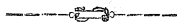


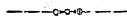
5
DZIEŁA KAROLA SZAJNOCHY.

DZIEŁA KAROLA SZAJNOCHY.

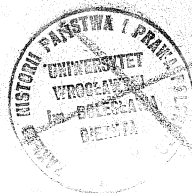


SZKICE HISTORYCZNE.

(Dalszy ciąg).



TOM II.



WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA.

Nowolipki Nr 2406 (3).

1876.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Августа 1874 г.

WOJNA O CZEŚĆ KOBIETY.



24180 II

24180

Rzeczywista postać dawno minionych zdarzeń, a powszechna o nich pamięć w narodzie, jakże różne od siebie rzeczy! Najdokładniejsza historia podaje tylko niepodobny portret wypadku, a z tego fałszywego portretu zaledwie jeden rys drobny, często wcale zmyślony przydatek malarza, przechodzi w wiedzę powszednią, staje się jedynym wspomnieniem długiego pasma dziejów. Rzeczywistość przemówiła niegdyś długim szeregiem słów, stanowiącym pewną rozumną całość, a pamięć pospolita, jak echo w górach, chwytając przypadkowo jeden luźny, dorywczy, najbliższy wyraz, i od doliny do doliny, od pokolenia do pokolenia, powtarza go coraz dziwniej, niezrozumiałej. Takiem echem brzmi np. po dziś dzień wiadomość o szumnym ugoszczeniu pięciu królów przez mieszczanina krakowskiego Wierzyńka. Bo jakżeby nie utkwiła w pamięci pospolitej sława szczęśliwego bogacza, który po 100,000 złotych mógł składać w darze królewskim biesiadnikom swojego stołu! Jeszczeż i drugie słowo, słowo opowiadające nam, iż głośna uczta mieszczańska zdarzyła się podczas godów weselnych, odprawionych przez Kazimierza W. na cześć zaślubin wnuczki Elżbiety pomorskiej z cesarzem Karolem IV, daje się jako tako do słyszeć w tém echu Wierzyńkowém. Wszakże słowa trzeciego, oświecającego nas, co dało powód weselu cesarskiemu w Krakowie, nie doszukasz się ani w pamięci ludzkiej, ani w uczeńskich nawet księgach dzisiejszych. Dowiedzieć się o niéj jedynie z staréj kroniki Długoszowéj i kilku dokumentów społecznych, potwierdzających prawdę Długosza. Opiewa to słowo w kształcie dziwnie zaokrąglonéj powieści, jak o sławę królowéj węgierskiej Elżbiety, siostry Kazimierza W., wszczeła

się wielka wojna, zakończona właśnie ową swadzbą krakowską. Nie znamy wiele ustępów w historii średnich wieków, któreby ciekawiej od niniejszego, charakteryzowały swoją epokę.

Każde pogranicze było w XIV. wieku sceną ustawicznych burd i grabieży sąsiadów. Najeżdżali się podobnie i mieszkańcy kresów węgiersko-czeskich. Codziennie donoszono królowi węgierskiemu Ludwikowi o gwałtach Czechów i Morawców w przyległych ziemiach węgierskich, królowi czeskiemu i cesarzowi rzymskiemu Karolowi IV. Luxemburczykowi o rozbojach Węgrów w włościach morawskich. Obaj monarchowie sąsiedni, godni w tém spółzawodnicy swego trzeciego sąsiada Kazimierza W. w Polsce, dbali wprawdzie surowo o spokój i bezpieczeństwo publiczne, lecz szlachta pograniczna trwała uporczywie w rycerskim obyczaju najazdów, miłszych raczej jako gra szermierki hazardowej niż jako źródło zysków. W ostatnich czasach, około roku 1360, byli górą Morawcy, oskarżani w Węgrzech o tyśiączne szkody graniczne. Król Ludwik wyprawił posłów do cesarza Karola w Pradze, żądając ukarania swawoli. Cesarz stanął w obronie swoich poddanych, słusznych (jego zdaniem) karcicieli dawniejszych krzywd węgierskich. Wszczęła się gorąca rozprawa między cesarzem Karolem a posłami króla Ludwika. Obyczajność średniowiekowa nie umiała hamować żarliwości serc i języków. Mówiąc o niebacznych rządach i urzędnikach węgierskich, nadmienił cesarz o królowej Elżbiecie, matce króla Ludwika, znaniej z przeważnego udziału w sprawach publicznych. W uniesieniu wymknęło mu się rubaszne o niej słowo, obrażające w najwyższym stopniu sławę kobiety. Posłowie rzucili się do również porywczej odpowiedzi. „Ani widokiem oblicza Karolowego“—prawi kronika¹⁾ „ani jego majestatem nie ustraszeni, oddali mu Węgrzy wet za wet, i niemogąc znieść tak krzyczącej zniewagi swojego króla i jego matki, jaką tylko mogli obelgą odparli i wzajemnili obelgę. Lubo wiemy — rzekli w głos do cesarza Luxemburczyka,—że z tąsamą zuchwałością, z jaką bez sromu targnąłeś się na cześć, świetne imię i sławę najjaśniejszego króla naszego i jego matki najmiłościwszej, zechcesz targnąć się także na nas, ich posłów, przecież nie zważając na żadne niebezpieczeństwa w obronie pana naszego i jego matki,

głośno tu i publicznie zaprzeczamy słowu twojemu, którem zbezczęściłeś rodzicielkę najjaśniejszego pana naszego, zbezczeczając temsamem i tegoż pana i króla węgierskiego Ludwika. Zaprzeczamy słowu twojemu, zadajemy fałsz twojej mowie, i powiadamy ci jeszcze i jeszcze raz, żeś słowem twojem pokrzywdził i spotwarzył niegodziwie króla naszego i jego matkę przezacną. Jakoż gotowi jesteśmy obyczajem rycerskim, dowieść z orężem w ręku nieposzlakowanej czi króla naszego i jego matki, stając w wyznaczoném miejscu i czasie do walki bądźto z tobą, bądź z jakimkolwiek innym obrońcą słowa twojego. I od tejże chwili, za bezprzykładną obelgę twoją, która nie powinna była wyjść nawet z ust monarchy, trzymającego pierwsze miejsce pomiędzy monarchami, wypowiadamy ci imieniem króla naszego, wypowiadamy wojnę tobie, i cesarstwu twojemu, i królestwu czeskiemu, i wszystkim państwom twoim.“ Cesarz zmieszał się mocno na tak hardą a wielosłowną odpowiedź. Obecni też panowie dworu czeskiego jeli prośbami i przedstawieniami upamiętywać go w gniewie. Złagodniał tedy Karol powoli, i ozwał się do posłów, iż pochwycone przez nich wyrazy wymówione były w żarcie. Ale posłowie nie dali się tém uspokoić. „Słowa zniewagi“ — rzekli — „nie zatrzeć słowem wymówki. Jeśli zresztą było obowiązkiem naszym ująć się za obrazę honoru królewskiego, toć nie jest już w naszej mocy, przebaczyć taką obrazę.“ Zaczém z temże wypowiedzeniem wojny, które odrazu cisnęli w oczy koronie czeskiej, opuścili posłowie dwór i stolicę Karolową i stanęli z powrotem w Węgrzech. Tam opowiadali królowi Ludwikowi najdokładniej co zaszło w Pradze, i jak sobie postąpili w obec cesarza. Król Ludwik nie tylko pochwalił znalezienie się swoich posłów, lecz nadto bogatemi darami w ziemiach wynagrodził ich śmiałość. Sam zaś zabrał się do spełnienia coprędzej groźby poselskiej, i ogromną wojną postanowił zmazać obelgę.

Uderzony tą wieścią świat nie dziwił się bynajmniej postanowieniu królewskiemu. Znieważona cześć królowej. Elżbiety zdała się wszystkim godną tak srogiój zemsty. W matce „Wielkiego“ króla Węgier Ludwika, w siostrze również „Wielkiego“ Kazimierza polskiego, czczono powszech-

nie jedną z najwspanialszych niewiast onego czasu. Znały ją z cnót i rozumu strony domowe, znały kraje odległe. W Węgrzech, za panowania mądrego króla Ludwika, który prawie w każdym rozporządzeniu dokumentowém odwołuje się do mądrych rad „najjaśniejszej pani Elżbiety, naszej matki najukochańszej,“ służył jej urzędowy tytuł „spółrządczyni“ królestwa. W połączonym niegdyś z koroną węgierską Neapolu, przywiodła ona do skutku koronację młodszego syna Andrzeja, zamordowanego później przez stronników żony Joanny. W Rzymie obchodzono uroczystą rocznicę jej pielgrzymki do tegoż miasta, w odwzięczenie złożonych wówczas przez Elżbietę ofiar pobożnych. Z Anglii, od sławnego króla Edwarda III, dochodziły ją najprzyjaźniejsze listy pociechy po stracie syna Andrzeja. A w jakimże poszanowaniu była królowa Elżbieta u Papieżów, w francuzkim Awinionie! Jan XXII w uznanie jej czynów bogobożności, mianowicie licznych fundacyj klasztorów franciszkańskich, nazywa ją „córá błogosławieństwa i łaski.“ Klemens VI w najważniejszych sprawach polityki przyrzeka stosować się do „rad jej roztropności.“ Grzegorz XI uprasza ją o opiekę nad zagrożoném przez syna Ludwika duchowieństwem węgierskiém. W ciągu traktatów o zapewnienie polskiej Kazimierza korony siostrzeńcowi Ludwikowi, ona to nie kto inny prowadzi układy pomiędzy obudwoma królami i narodami, i temiz właśnie czasy, roku 1359, przyjmuje w imieniu Ludwika hołd szlachty polskiej w Sądczu. Tak wielostronny udział w sprawach publicznych nie mógł wprawdzie nie narazić Elżbiety na nieprzyjaźń stronnictw przeciwnych; owszem wraz z swoim małżonkiem, królem Karolem Robertem, stała się ona niegdyś ofiarą zamachu królobójczego, który ją nawet nabawił kalectwa ręki odciętej, lecz tak w rozsiewanych z tego powodu kłamliwych za granicą pogłoskach, jakoteż w innych niepomysłnych o niej podaniach, nie było więcej w istocie prawdy, jak zwyczajnie w pokatnych złorzeczeniach zawiści. Jakoż nie wiedząc o nich zgoda w ziemi węgierskiej, oddawano jej tam hołdy powszechne i jednogłośnie oburzono się, gdy teraz gruchnęła wiadomość o zelazieniu jej przez cesarza.

A oburzenie kraju miało témwiększą słusność za sobą

ile że Karol IV zostawał w związkach bliskiego powinowactwa z królem Ludwikiem. Był on bowiem teściem Ludwika, małżonka córki Karola Małgorzaty, i lubo królowa Małgorzata od lat kilkunastu umarła, nie zerwał się przecież węzeł bliskości familijnej. Prócz tego słynął cesarz zresztą jako pan mądry, stateczny, pieczołowity o dobro ludu i spokój z sąsiadami. Dorównywał on w tej mierze obudwom sąsiadom swoim w Węgrzech i w Polsce, i niełatwo zaprawdę znaleźć w historii drugą dwudziestkę lat, w którejby sąsiadowało z sobą trzech tak znakomych monarchów jak właśnie nasz Ludwik, Kazimierz i Karol. Nie mogąc oderwać oczu od tej nieśmiertelnej trójcy monarszej, postrzegamy w niej zajmujące odcienia pojedynczych obliczów. Jako gospodarze, administratorowie, przewodnicy, sędziowie, są oni wszyscy zarówno błogosławieni, wielce podobnymi do siebie dobroczyńcami swoich narodów: lecz wpatrując się w nich ze strony osobistych skłonności, osobistej ambicji i próżności, widzimy z zadziwieniem trzy wcale różne postacie. Ludwik, potomek najświetniejszej w Europie rodziny, jaśniejącej polorem Francji i Włoch; blizki bratanek dwóch głosnych w świecie świętych, króla Ludwika IX i biskupa tolosańskiego Ludwika; najmożniejszy z królów ówczesnych—dbał najskrupulatniej o moralny pozór swoich postępów, o wykwintną, manierową powierzchowność wszystkich swoich kroków i obyczajów, o chwałę wzorowego monarchy u potomności, rozkwitającą mu już za życia z pod pióra poetów i dziejopisów. Rubaszny Piast krakowski, wychowaniec uboższych, mroczniejszych, bardziej prostaczych stron, mniej wymyślny w swoich pretensjach, niełakomy pochlebstw pisanych, lubił życie wesołe, prawdę zaprawną żartem, rozkosz bez więzów i hamulca, łowy przeplatane miłością. Karol IV przeciwnie syn plemienia rozmiłowanego w pracy książkowej, ubiegał się najchęciwiej o sławę uczoności, zachęcał poddanych do nauk i pisarstwa, parał się sam autorstwem, napisał mianowicie Pamiętniki życia swojego. A pamiętniki cesarza Karola Luxemburczyka, zdumiewającego świat ówczesny umiejętnością pięciu języków, to encyklopedia wszystkich nauk średniowiekowych. Doczytasz się tam i historii i prawa i medycyny, teologii nakoniec, obdarzającą nas kilką różnemi

kazaniami, czyli jak je autor nazywa „imaginacyami“ na jeden i tenże sam tekst Pisma św. Wszystko zaś owiane jest gęstą mgłą mistycyzmu, która na każdej stronnicy dzieła skłębia się w poważnie opisywane *fata morgana* najdziwotworniejszych wizyów, snów i widziadeł. Cóż za dzika np. wizya o aniołach z mieczami, miała zwiastować Karolowi blizką śmierć delfina francuzkiego! W inném miejscu opisuje cesarz następujące zjawisko nocne, pamiętne dla nas jako skazówka do wytłumaczenia sobie napaści na cześć królowej Elżbiety, „Zajechałem późno w nocy“—(opowiada Karol w swęj autobiografii)— „na zamek w Pradze, do domu burgrabskiego. I położyłem się spać, ja w jedném łóżku, a mój podkomorzy Wilhartitz w drugiem. I palił się wielki ogień na kominie, bo byłoto porą zimową. I wiele świec gorzało w komnacie, a wszystkie drzwi i okna były zamknięte. Otóż zaledwieśmy zasnęli, zaczęło chodzić coś po komnacie; tak, żeśmy obaj ocucili się ze snu. Kazałem tedy Wilhartitzowi wstać i obaczyć, co to takiego? On zaś wstawszy, obszedł całą komnatę, obejrzał wszystkie kąty, lecz nic nie znalazł. Zaczém naniecił jeszcze większe ognisko, zapalił jeszcze więcéj świec i poszedł do dzbanów z winem, które stały dokoła izby na ławkach. Tam napił się z jednego i postawił dzban koło jarzącéj świecy, i położył się spać. Ja spać nie mogłem lecz owinąwszy się w płaszcz, siedziałem cicho na łóżku. Aż tu słyszę, chodzi znowu coś po komnacie, lubo nikogo nie widać! A gdy tak z Wilhartitzem patrzymy przestraszeni na dzbany i na świece, zrywa się jeden dzban, i jakby niewiem przez kogo tam rzucony, leci poprzez łóżko Wilhartitzowe, z jednego kąta komnaty w drugi, zkąd odbity o próg i pada nareszcie na środek izby. Widząc to złękliśmy się niezmiernie, i słyszeliśmy kogoś chodzącego wciąż po komnacie, ale nikogośmy nie widzieli. Poczém przeżegnawszy się znakiem krzyża św., zasnęliśmy szczęśliwie i spaliśmy aż do rana, a dzban próżny leżał nazajutrz rano na temsamém miejscu na środku izby, jak go tam coś w nocy rzuciło.“— Owoż i ta nocna przygoda z dzbanem, i słowo ubliżenia Elżbiecie, wypłynęły ponoś z jednęj i tejsamęj ułomności wielkiego króla Czech. Tak przynajmniej mniemał królewski syn Elżbiety, a jego skrupulatność w rzeczach honoru nie

pozwała posądzać go o zmyślenia. Mniemał zaś Ludwik, iż przed owém posłuchaniem posłów węgierskich musiał Karol zawiele pofolgować trunkowi. Wyrzucił mu to owszem w oczy monarcha Węgier, obsyłając go dla temwiększego rozgłosu powtórném wypowiedzeniem wojny, w swojém własném imieniu. „Gdyś zbyt często nachylił dzbana, Karolu“—opiewał między innemi ten akt dyplomatyczny³⁾— „nie jesteś już papaniem ani zmysłów swoich ani swego języka.“ Chodziło teraz o to, aby i w gromadzącą się nad Karolem burzę wojenną, nie stracić podobnież równowagi.

A zanosiło się na wojnę, o jakiej nie miały dotąd wyobrażenia dzieje średniowiekowe. Zwyczajnie panuje zdanie, iż dopiero z końcem 15-go i początkiem 16-go stolecia, z powodu wdzierania się królów francuzkich do Medyolanu i Neapolu, nauczyła się dyplomacya wiązać alliansy wielu różnych koron przeciwko sobie. Tymczasem oto już teraz w połowie 14-go wieku, ku obronie sławy Elżbiety, stanęło przymierze wojenne, któremby się pochlubić mogła dyplomacya dzisiejsza, przymierze sześciu większych i mniejszych mocarstw. Aby z témniewątpliwym skutkiem uderzyć na Karola Luxemburczyka, a oraz przekonać świat, jak wielu obrońców znajduje cześć spotwarzonój królowej, uwziął się Ludwik węgierski wyruszyć na wojnę w towarzystwie jaknajwiększej liczby sprzymierzonych z sobą królów i książąt. W średnich wiekach każda wojna uchodziła za wielki sąd Boży między dwoma przeciwnikami, a któren z nich prowadził więcej alliantów, niejako świadków i poręczycieli swojej słuszności, tego sprawa okazywała się sprawiedliwszą, i rzeczywiście odnosiła zwycięztwo. Osobliwie związki rodzinne kierowały w szukaniu spółobrońców takiej sprawie przed sądem Bożym. W obecnym razie najbliższe pokrewieństwo łączyło Ludwika z królem Polskim Kazimierzem, rodzonym bratem Elżbiety. Do niego téż zgłosił się najpierw syn Elżbiecin z wezwaniem, aby nie ścierpiał obojętnie zniewagi siostry swojej, lecz wszystkimi siłami wsparł go w odemszczeniu jój krzywdy. Król Kazimierz oświadczył posłom węgierskim, iż nie tylko wszystkimi siłami wesprze Ludwika, lecz wystąpi na wojnę w własnej osobie i przyprowadzi posilki ruskie, litewskie i tatarskie. Wraz z poselstwem do

Kazimierza, udali się inni posłowie węgierscy do pomorskiego księcia na Szczecinie, Bogusława V, spokrewnionego z Pias-tami, a témsamém i z królową Elżbietą. Był on wnukiem rodzonej ciotki Kazimierza polskiego, i miał nadto za sobą jego córkę Elżbietę, poślubioną mu od lat ośmnastu. Przy-stąpił więc i Bogusław do ligi przeciwko nieprzyjacielowi swojej bratanki Elżbiety i dalszego owszem uzyskał jój so-jusznika. Liczył on bowiem podobnież do swoich krewnych króla duńskiego Waldemara IV Atterdaga, pana przedsię-biorczego i możnego, który dla długiej wojny z Hanseatyc-kiemi miastami Rzeszy niemieckiej, żywił w sercu żal do ce-sarza. Zaproszony przez poselstwo węgierskie, podał tedy i Waldemar zbrojną rękę do spółki przeciwko Karolowi, za-grożonemu jednocześnie dwoma nowymi sprzymierzeńcami Ludwika w samą Rzeszy niemieckiej. Jeli się tam strony królów Węgier i Polski dwaj potężni książęta, Rudolf książę rakuzki i Mejnhard książę bawarski. Zwłaszcza pomoc księ-cia rakuzkiego Rudolfa, słynnego z rozumu i gospodarności założyciela akademii wiedeńskiej, dodawała blasku sprawie Elżbiety, gdyż był on zięciem cesarza Karola IV, a stając do walki przeciw własnemu teściowi, świadczył temsamem najgłośniej o jego niesłuszności. Jakoż z tymiż właśnie ksią-żętami rzeskimi związali się królowie Węgier i Polski naj-ściślejszem przymierzem. W pierwszej połowie marca roku 1362-go ułożony został w Budzie dokument ugody między królem Ludwikiem a książętami Rudolfem i Mejnhardem, warujący Ludwikowi wszelką pomoc w wojnie z cesarzem. Posunął się ten traktat owszem aż do projektu rozbioru państw Karolowych, wzmiankując osobno o sposobie, jakim sprzymierzeni dzielić się mają spodziewaną zdobyczą cesar-skich „ludzi, miast, miasteczek, grodów i twierdz.“⁴⁾ Był przytém obecny i król polski Kazimierz, który już to wie-kiem już stopniem pokrewieństwa górując nad Ludwikiem, wpływał przeważnie na jego terażniejsze konnexye polityczne. Toż jako najstarsza głowa w rodzinie, przyjął on także za-pewnienie przyjaźni i pomocy od sprzymierzeńców swego siostrzeńca węgierskiego. Nowym dokumentem z tegożsa-mego roku, w Preszburku, obowiązali się książęta Rudolf i Mejnhard, tudzież młodszy Rudolfowi bracia Fryderyk, Al-

bert i Leopold, pod poręczycielstwem kilkudziesięciu baronów rakuzkich i bawarskich, do „wieczystej i nierozrywanej jedności z królem Kazimierzem,” przyrzekając nie zawierać bez jego wiedzy żadnych związków familijnych, nie wszczynać żadnej wojny, nie wchodzić w żadne przymierza, co też zastrzega wzajem Kazimierz.⁵⁾ Poruszono wszelkie sprężyny dyplomacyi ówczesnej, aby powiększyć zastęp obrońców czci Elżbiecinę. Obrażony honor Elżbiecin, można śmiało powiedzieć, pobudził dyplomacyą do najwcześniejszego przykładu szerokich, różnonarodowych sojuszów. Dzięki jej zabiegom urosło przeciw nieprzyjacielowi znacznej królowej węgierskiej poszóstne przymierze państw, sięgające od gór Tyrolskich aż po stepy tatarskie, od Adryatyku aż po Skandynawskie wybrzeża. A tak ogromnej potędze mógł cesarz Karol opierać się jedynie siłami swoich Czech, Moraw i kilku mniej możnych książątek Rzeszy. Ztąd gdy uderzyła godzina sądu Bożego, godzina tak nierównej zewszepochmiar walki, można było najgwałtowniejszych obawiać się katastrof. Wschód i Zachód — prawi nasza kronika — patrzyły z przestraczeniem na blizką walkę między cesarzem Zachodu a królami całego prawie Wschodu katolickiego.

I przyszło téż niebawem do rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich. Już w lecie roku 1362-go zgromadziły się wojska węgierskie pod wodzą króla Ludwika w okolicach Trenczyna, wojska czeskie pod naczelnictwem Karola w okolicach Kollina. Na rozpostartych pomiędzy nimi polach morawskich, miały prawdopodobnie rozstrzygnąć się losy wojny, może losy cesarstwa. W uczuciu swoich szczupłych sił, i mniejszej słuszności sprawy, przychylił się król czeski do układów. Przybył do obozu węgierskiego poseł Karolów, książę Bolko Świdnicki, niosąc projekta pojednania. Król Ludwik nie okazywał się przeciwnym pokojowi, byle uczyniono zadość sprawiedliwości. Zdaje się przecież iż propozycye księżęcia Bolka nie dochodziły miary wymagań sprzymierzeńców, gdyż zapalona raz pochodnia wojny nie zgasła. Owszem zbrojono się tém usilniej, ściągano zewsząd posiłki, a cesarz Karol, lękając się wszechstronnego najazdu Czech, zaopatrzył wszystkie głównejsze miasta kraju w potrzebny zapas oręża. Świat pozostał w dawniej obawie, po dawnemu

na spodziewane pobojuwisko zwracając wzrok niespokojny. Wtém, jak to często bywa, uwaga ludzka w jedną wyteęzała się stronę, a ważne wypadki uderzyły właśnie z przeciwnéj. Rozniosła się wiadomość o śmierci papieża Innocentego VI, zmarłego w pierwszych dniach września r. 1362 w Awinionie. Po niéj nastąpiła wieść o wyborze papieża Urbana, męża rzadkich darów umysłu i głośniej świętobliwości. Byłyto wypadki, które wszystkim sprawom onego czasu mogły odmienną nakreślić koléj. Nowy papież pałał chęcią uspokojenia świata, zawichrzonego we wszystkich stronach. Po między wszystkimi zamieszkami nie było niebezpieczniejszej nad wojnę sprzymierzonych królów z cesarzem. Na szczęście śród przydłuższych rokowań o pojednanie nadeszła zima, a nikt w zimie nie prowadził wojny podówczas. Wszakże za pierwszym promieniem wiosny zapowiadano sobie zgubę wzajemnie. Chodziło więc papieżowi o jaknajspiesniejsze przytłumienie pożaru. Zaledwie minęły pierwsze intronizacyi apostolskiej obrzędy, zagarnął się Ojciec św. do pracy około zażegnania wojennéj burzy na wschodzie. Uderzyła we wszystkie dzwony dyplomacya papieżka, ta macierz wszelkiéj dyplomacyi nowego świata. Jak głównie przemyślnością dyplomatyczną urosła liczba obrońców Elżbiety a nieprzyjaciół Karola, tak podobnież rozumem dyplomatycznym, lecz rozumem najświętszéj w obecnym razie intencji, należało rozdzierznąć węzeł. Zebrała się w imieniu papieża wielka ambassada pokoju, mająca obejść z kolei wszystkie dwory nieprzyjacielskie. Przewodniczył jéj biskup Wolturański, ⁶⁾ późniéj florencki Piotr, któremu Urban V listem wierzytelnym z dnia 24-go stycznia r. 1363-go, jako „aniołowi pokoju, w kraje niezgody wysłanemu,“ zlecił wszelkie ze swojej strony pełnomocnictwo. ⁷⁾ Obok biskupa Piotra dążyli tążsamą drogą biskup akweński Gwido, generał zakonu św. Dominika, i uczony a świętobliwy franciszkanin imieniem Jan. Wraz z legatami szły mnogie listy papieżkie, do cesarza Karola, do jego brata Jana margrabi morawskiego, do królów Ludwika i Kazimierza, do królowéj Elżbiety, do arcybiskupów pragskiego i mogunckiego. Najpierwszą stacyą zatrzymała się ambassada papieżka u cesarza Karola, na dworze czeskim. Po wręczeniu pism apostolskich upomnieli

legaci Karola dość surowo, „aby zaniechał wojnę nieprawą, która przynosi więcej klęsk niż tryumfów, więcej sromu niż sławy, więcej szkód niż korzyści, gdyż gubi tysiące dusz, i zachęca ludy barbarzyńskie do napadów na kraje chrześcijaństwa zwaśnionego. Od cesarza wyszła pierwsza pobudka waśni, on też niech ją pierwszy zgasi zawczasu, a gdyby trwać chciał w uporze, tedy niech wie, że kto się okaże przeciwnym zgodzie, przeciw temu sam Ojciec św. gotów jest powstać całą mocą swoich rad i posiłków.“ Karol IV widział nazbyt jasno niepomyślność położenia swojego, aby się miał ociągać z podaniem ręki do zgody. Oświadczył zatem uległość pośrednictwu apostolskiemu i ochotę uczynienia zadość żądaniom sprzymierzeńców. Z tym szczęśliwym owocem posłannictwa swojego udali się legaci następnie do Węgier, na dwór króla Ludwika. „Godzi się poskromić zawziętość gniewu“—ozwały się tam łagodniej przedstawienia orędowników. „Dla jednego słowa płochego, za które zresztą cesarz słuszną przyrzeka wynagrodę, grzechem byłoby przedłużać wojnę, równie monarchom jak i narodom zgubną, żadnym widokiem pożytku nie osłodzoną.“ Uznał to pobożny król węgierski, i oznajmił gotowość do złożenia oręża, jeśli sprawiedliwemu celowi wojny stanie się zadość. Jakimby zaś sposobem dał się osiągnąć ten warunek, miało okazać się u kresu dalszej podróży wysłanników papieżkich. Ta zaprowadziła ich przez Karpaty nad Wisłę, do stolicy polskiego króla Kazimierza. Kazimierz był najstarszym w rodzinnej lidze przeciwników cesarskich, i o niego też musiały ostatecznie oprzeć się wszelkie usiłowania rozjemcze. Czuł tę wagę swoją król Polski, i nie myślał bynajmniej zrzec się korzyści, jakieby ztąd spłynąć mogły na jego państwo. Pospołu z oczyszczoną czcią królowej z plemienia Piastów, miała także zajaśnieć sława ich starożytnej korony. Wypadło tedy legatom wynaleźć dla Kazimierza pewien dank okazały za przystąpienie do zgody. Zważając jego znaną mądrość i sprawiedliwość, ofiarowano mu za porozumieniem z resztą stron spornych, rolę sędziego polubownego, któryby wraz z świdnickim książęciem Bolkiem rozstrzygnął nieodwołalnie sprawę czesko-węgierską. Wszakże i poddanie się tak dostojnych monarchów jak cesarz rzymski i król

węgierski wyrokowi Kazimierzowemu, okazało się jeszcze niedostatecznym. Posłowie apostolscy ujrzeni się w potrzebie przydać pewien dalszy zaszczyt polubownictwu. Po szczególnie wymyśleniu onego, rozpoczęły się nowe zwiady u dworów czeskiego i węgierskiego, ażali i one zgadzają się na wniosek. A było projekt zaradzający do razu ostatnim trudnościom pojednania. Wychowywała się u dworu Kazimierza w Krakowie jego pomorska wnuczka Elżbieta, córka szczecińskiego księcia Bogusława, od lat kilku osierocona po matce. Młodociane latka księżniczki miały się już ku zameźciu, a jej kolligacya z tylą królami, jakoto z królem polskim, węgierskim, duńskim, przeznaczała ją chyba bardzo wysokiemu oblubieńcowi. Celowała też księżniczka niepowszednią urodą ciała a osobliwie rzadką krzepkością. Opowiadano sobie o niej w latach późniejszych, iż nieraz „gdy jej przyniesiono nową grubą podkowę, tak ją rozłomiła, jakoby była z jakiego słabego drzewa uczyniona; potem kucharskie tesaki i inne dosyć mocne narzędzia zwijała, jakoby z lipowego drzewa robione były; pancerz wzięwszy jakoby koszulę wiotczą, od wierzchu aż do końca rozdarła, co było z wielkiem podziwieniem wszystkich książąt i panów, tak przy stole wówczas siedzących jako stojących, czego nigdy na niej żaden człowiek dawniej nie widział, tylko to natenczas (t. j. znacznie później od opowiadanych obecnie zdarzeń), gwoili małżonkowi swemu czyniła.“^{s)} Teraz oblubieńcowi pięknej a silnej wnuki Piastów uśmiechał się jeszcze posag bogaty, przyrzeczony od możnego dziada Kazimierza. Owoż tę piastunkę królewskiego dworu w Krakowie umyślili posłowie papieżcy połączyć małżeńskimi śluby z cesarzem Karolem Luksemburczykiem, od kilkunastu miesięcy wdowcem po trzeciej żonie. Stałoby się takim sposobem najpewniej zadość pożądanemu dziełu pokoju. Zakończenie wojny weselem stawiało rękojmię, iż poswatani nieprzyjaciele nie tak łatwo porwą się znów do oręża. Poślubienie cesarza z wnuką króla polskiego, zdało się dalej najstosowniejszą nawiązką wyrządzonej Elżbiecie krzywdy. Młoda księżniczka pomorska była oraz wnuką węgierskiej siostry Kazimierza, a témsamem rodową uczestniczką jej sławy i niesławy. Gdyby potwarcze słowo Karola o babce było

prawdą, nigdyby on nie przystał na połączenie się z wnuką. Ofiarując jej swoją rękę cesarską, uznawał on przed całym światem płonność słowa onego. Spodziewane w takim razie gody weselne w Krakowie, przyozdabiały nowym lustrem stolicę i króla Polski. A głosząc tak przyjemnie wszystkie pretensye, zasługiwał fortunny projekt legatów na jaknajusilniejsze starania o wprowadzenie go w rzeczywistość. Jakby też na wyscigi krążyły bez ustauku posyłki dyplomatyczne między Krakowem, Pragą a Wyszogrodem węgierskim. I przedź niż można było tuszyć, nadbiegła wiadomość o przyzwoleniu Karola. Pod koniec stycznia wyruszyła ambassada papieżka dopiero z Awinionu w swoją podróż na wschód, a z końcem marca, po tylorakich konferencyach pomiędzy królami zwaśnionymi, stanęła zgoda na ostatni warunek uśpienia sporu małżeństwem. Widać, iż chciano koniecznie uprzedzić tém przyjście wiosny, grożącej wznowieniem wojny. Dzięki ojcowskiej opiece Stolicy Apostolskiej, zamiast o wojnie, usłyszał świat z radością o blizkich godach weselnych. Miano je zaś za prawdziwy owoc zrząceń niebieskich, gdyż zdarzyło się dziwnym sposobem, iż w tym samym czasie, kiedy legaci układali projekt ożenienia Karola z wnuką Kazimierza i Elżbiety, cesarz Karol powziął z swojej strony tężsamą myśl, postanawiając zgłosić się o rękę młodej księżniczki pomorskiej, aby tym sposobem rozerwać allians Kazimierza z Bogusławem i Waldemarem. Temci chętniej i niezwłoczniej należało przystąpić teraz do spełnienia tego aktu błogosławieństwa. Już w miesiącu następnym, w kwietniu r. 1363, miały odbyć się w Krakowie uroczystości wesela cesarskiego, poprzedzając polubowne rozstrzygnięcie całej sprawy przez Kazimierza, odroczone do chwili nieco późniejszej.

Spieszyło tedy do Krakowa na miesiąc kwiecień tak liczne i dostojne towarzystwo weselne, jakie mało która stolica widziała kiedykolwiek w swych murach. Dążył tam mianowicie oblubieniec cesarski Karol, otoczony gronem panów czeskich i rzeskich. Po oblubieńcu potrzebną była przede wszystkim obecność ojca oblubienicy, księcia pomorskiego Bogusława. Z książęciem szczecińskim jechał jego królewski bratanek Waldemar Atterdag, głośny na północy monarcha duński. Zmierzał też do Krakowa najbardziej zainteresowany

w całej sprawie król Ludwik, sławny w ówczesnym świecie jako pan tylu koron (to jest wymienionych w jego intytulacyi królewskiej koron Węgier, Dalmacyi, Kroacyi, Ramy, Serwii, Galicyi, Lodomeryi, Kumanii i Bośni) „ile zaledwie wszyscy inni królowie europejscy, razem wzięwszy, naliczyć mogą.“ Przy boku syna Ludwika znajdowała się królowa Elżbieta, poniewolna przyczyna poprzedniej wojny i terazniejszego wesela. Każdy z monarchów średniowiecznych poczytywał sobie za obowiązek honoru, mieć w swoim orszaku kilku książąt hołdownych. Przybywali tym sposobem z cesarzem Karolem IV, książęta bawarski i świdnicki, Otto i Bolko; z królem Ludwikiem Władysław książę opolski; nareszcie mazowiecki hołdownik Kazimierzów, książę Ziemowit. Nie chybiło dalej bogdaj poselstwo od sprzymierzonych książąt rakuzkich, przeszkodzonych w osobistym przyjeździe śmiercią spółprzymierzeńca Mejnharda, którego osierocone dziedzictwo, hrabstwo Tyrolu, przechodziło temiż właśnie dniami w wieczyste posiadanie rakuzkie. Nie brakło podobnież któregoś z posłów papieżkich, błogosławionych sprawców całej uroczystości. A cóż za tłumy bezimiennych książąt pomniejszych, pośledniejszego rycerstwa, tak zwanęj wędrownęj czyli błędnej w wszystkiego świata szwaleryi, płynęły w każdej porze podobnej na miejsce zgromadzenia, płynęły obecnie do Krakowa! Wszakże nad wszelką mieszaninę tak różnobarwnych drużyn gościnnych niższego rzędu, nawet poniekąd nad owe znajome głowy monarsze, świecił oczom ówczesnym i świeci wspomnieniu dzisiejszemu, pewien obcy zdaleka nadciągający przybysz królewski. Był to król Jerozolimy i Cypru, z rycerskiego domu Luzynianów francuzkich. Mimo krótkość panowania swojego, zasłynął on w dziejach jako Piotr „Wielki,“ a pełna przygód historia jego rodu i życia, otoczyła go wszelkimi promieniami romantyki średniowiecznej. Luzynianie francuzcy wypastowali się na łonie czarodziejskiej rycerskich czasów poezyi, która najpiękniejsze kwiaty swego zmyślenia, jak np. znaną podziśdzien powiastkę o Meluzynie, lubiła splatać z dziejami ich domu starożytnego. Najromantyczniejszy obrót historii średniowiecznej, krzyżowe wyprawy do ziemi św., zaniósł Luzynianów na tron Jerozolimy i owęj wyspy Cypryjskiej, „szczęśliwej“

wyspy gajów oliwnych i cyprysowych, którą starożytność klasyczna uznała najrozkoszniejszym zakątkiem swojego świata, czyniąc ją rodzinném miejscem bogini rozkoszy i miłości, siedliskiem czci Afrodyty. Od niedawna na cypryjskim tronie osiadłszy, królował Luzynian Piotr nie królując, częstszy gość za granicą niż w domu, chciwszy wieńców sławy rycerskiej niż panowania, wiedziony raczej poetycznemi widzeniami jakiejś wielkiej przyszłości, niż pospolitą chęcią rozkoszowania w słońcu dzisiejszém. Gwoli téj wymarzonej chwale lat przyszłych, dla odzyskania utraconej do Turków stolicy jerozolimskiej, opuścił Piotr swoje królestwo rzeczywiste, i w połączeniu z kawalerami Rodyjskimi, począł najprzód wojować Saracenów w Azji Mniejszej, mianowicie pod murami szczęśliwie wydartej im Satalii. Ztamtąd udał się zwycięzki Cypryjczyk do Europy, aby za pomocą nowego papieża Urbana wzbudzić powszechną wyprawę krzyżową do ziemi świętej. Dwór awinioński okazał najgorętszą przychyłność zamysłom Luzynianowym, podzielanym również przez króla Francyi Jana. Chcąc im dalszą uzyskać pomoc, skierował Piotr kroki swoje ku cesarzowi Karolowi IV, wybierającemu się właśnie na gody weselne do Krakowa. Blizki tam zjazd tylu królów i książąt zdał się Luzynianowi nader pomyślną sposobnością do wielkiej odezwy na rzecz krucjaty. Zaproszony więc przez Kazimierza W., udał się Piotr Wielki wraz z cesarzem Luxemburczykiem do stolicy polskiej nad Wisłę ⁹⁾. Jak niedawno, według kroniki, cały wschód i zachód stawał u podnóża Tatrów do boju na przeciw sobie, tak obecnie tenże sam wschód i zachód, a z Waldemarem i Luzynianem jeszcze i północ i południe, dążyły zgodnie na krakowską ucztę pokoju.

Już się wszyscy książęcy i królewscy goście zjechali. Brakowało tylko cesarza, któremu godność pierwszego monarchy w chrześcijaństwie nakazywała przybywać wszędzie ostatnim. Gdy go wreszcie oznajmiono w Olkusz, wsiadli na koń wszyscy czterej królowie, Ludwik, Waldemar, Piotr i Kazimierz, i w towarzystwie nuncjusza papieżkiego, poprzedzeni nieprzejrzany tłumem panów każdego dworu, wyjechali drogą olkuską naprzeciw cesarzowi. O milę od Krakowa obaczyły się zdaleka oba nadciągające ku sobie

dwory. Nastąpiła zwyczajna wówczas walka grzeczności i ceremonij. Uradowany wyrządzoną sobie attentą cesarz zsiadł z konia, i szedł pieszo na spotkanie monarchów. O czém od dworzan swoich usłyszawszy królowie, zskoczyli czempredź z siodła, i podobnie pieszo nieśli powitanie gościowi. Wtedy przy podaniu sobie rąk przez monarchów, przy wielokrotnych uściskach pomiędzy nimi, przy podobnym witanu się książąt i rycerstwa wszystkich dworów, witanu się tylu różnych języków i narodów na małym ziemiu polskiej kawałku, cóż za radość przejęła wszystkie serca! A serca ludzkości tamtoczesnej, o pół tysiąca lat młodsze od dzisiejszych i dziecinniejsze, lubo zawsze tezsame w gruncie, niezmiernie przecież odmiennie, swobodniej, nieumiarkowanej niż dziś, wyrażały co czuły! Zadowolenie próżności roztaczało za sobą pawie ogony najjaskrawszymi pstrocinami i błyskotkami w stroju, najdziwniejszych przechwałek w ustach; gniew ścisnął natychmiast czy to rycerskie czy nawet królewskie pięści do ciosu; a łza wzruszenia, ledwie w najgłębszych wstrząśnieniach duszy zwiłżająca dziś oko męskie, rozlewała się z łada powodu najobfitszym strumieniem płaczu. Czytając po kronikach co chwila o płaczących z radości lub smutku bohaterach, mniemamy to kwiatem krasomówstwa kronikarskiego, gdy tymczasem ci bohaterowie o brzęczących pancerzach i szyszakach, chociaż zrana krwawymi godzili na się pięściami, wieczorem na prawdę najrzewniejszym szlochali płaczem. Takimi też „gęstymi łez potokami”—upewnia nas kronika—obchodzili teraz zgromadzeni rycerze, książęta i monarchowie, uroczystość powitania się przed Krakowem. I dopiero po ulżeniu w ten sposób przepełnionym radością sercem, wsiedli wszyscy znowuż wesoło na koń, i posunęli ku miastu. Tuż przed bramami miejskimi czekał ojciec oblubienicy cesarskiej, książę Bogusław, wraz z panną młodą, otoczoną strojnem gronem matron i dziewic. Zaczęły nowe ceremonie i przywitania, nowe dalej pokłony witającego w bramach stolicy duchowieństwa, mieszczaństwa, wszystkich stanów! Zeszedł na ten dzień cały, i dopiero pod wieczór stanęli monarchowie w zamku królewskim. Tam obowiązek godnego przyjęcia gości dawał miejsce innym czynnościom i zacho-

dom, w których kto inny zwracał główną na się uwagę. Mówimy tu o zachodach około wygodnego pomieszczenia tyłu a tyłu gości różnego stopnia, języka i obyczaju—około dzieła daleko większej zasługi w chwili obecnej, niż chwały u potomności. Dziełom takim kwitnie zazwyczaj równie rzadko wieniec uznania, jak głównym zaletom wielkich wodzów wojennych. Wielkich wojowników wielbi opinia świata popolicie tylko z odwagi i bystrości oka na polu bitwy, lekceważąc również znamienitą a częstokroć daleko istotniejszą zasługę, odniesioną przez nich starannem zaopatrzeniem wojska w codzienne jadło i odzież. Podobnie i sława świetnego ugoszczenia zgromadzonych teraz w Krakowie królów i książąt, opowiadając głośno o przygotowanych im ceremoniach, ucztach i darach, zapomina mniej sprawiedliwie o rzeczy, która może przynajmniej dała uczuć się gościom w chwili obecnej, t. j. o ich okazałym, skorém, obfitém we wszelkie wygody pomieszczeniu, o posłuszném na wszelkie skinienia obsłużeniu. Ale nie zapomniał o niéj mądry gospodarz korony i zamku krakowskiego, Kazimierz, i porucił ją znanemu rozumowi człowieka, który prawie w równéj z nim mierze podzielił sławę obecnych godów krakowskich. Byłto właśnie ów ugościciel pięciu królów przy swoim stole mieszczańskim, mającym przecież w rzeczywistości daleko większe podobieństwo do stołu szlacheckiego niż mieszczańskiego. Zgodzimy się ponoś bez trudności na to zdanie, przypatrzysz się z nami bliższemu wizerunkowi Mikołaja Wierzyńska.

Pan Mikołaj nie był rodzonym lecz „wmieszkanym (jak mówiono) Polakiem.“¹⁰⁾ Pochodził on pierwotnie z krain nadreńskich, t. j. nie tyle z Niemiec właściwych, ile z podległych koronie francuzkiej ziem flandryjskich i hollenderskich, przesławnéj wówczas ojczyzny przemysłu i zamożności mieszczańskiéj. Obywatele tameczni, związani stosunkami kupieckimi z Gdańskiem, Toruniem i Krakowem, przybywali do tych miast i krajów jako ludzie bogaci, przemysłni, przedsiębiorczy, i osiadłszy tam z niemałemi nieraz kapitałami, oddając się korzystnym dla kraju i dla przedsiębiorców spekulacyom, dorabiali się ogromnéj czasem fortuny. Takim też prawdopodobnie sposobem zagnieździł się,

i w niezmiernie w Polsce porósł bogactwa, nasz „Nadrenczyk Mikołaj, zwany Wierzynek.“ Na wszelki wypadek mieszkał on „od bardzo dawna w swojej nowej ojczyźnie, i już w pierwiastkach panowania Kazimierza W., na dwadzieścia lat przed wypadkami daty obecnej, był wielce zamożnym obywatelem polskim, nawet urzędnikiem koronnym. Bądźto świeżo unobilitowany, bądź starem zaszczycony szlachectwem, dość, że szlachcic klejnotny, herbu Wierzynekowa czyli Łagoda, przytém znamienity urzędnik krajowy, bo stolnik sandomierski, liczył on się raczej do panów ziemskich, niż do rzędu mieszczan zwyczajnych. Miał Mikołaj wprowadzić obywatelstwo czyli prawo miejskie w Krakowie, posiadał grunta miejskie, mianowicie szerokie obszary po obudwóch brzegach Prądnika ¹¹⁾ bywał nawet niekiedy rajcą czyli konsulem miejskim, lecz te wszystkie cechy miejskości, służyły podobnież wielu innym członkom szlachty krajowej, posiadającej często pewną własność na gruncie miejskim; a zaszczyt radzietwa krakowskiego, zwyczajnie tylko przemijający, doroczny, od wyboru wojewodów ziemskich zawisły, znamionował częścię łaskę i zaufanie u dworu, niż moralną i obyczajową spólność z mieszczaństwem. Jako szczęśliwy zresztą właściciel wielu rzeczy światowych, zadziwiał Wierzynek także właścicielstwem przemnogich tytułów i obowiązków, przedstawiających go w coraz odmiennym charakterze. Jakby w wiele różnych osób rozmnożony swoją obrotnością wszechstronną, jest on naprzód stolnikiem sandomierskim, t. j. dzierżawcą włości królewskich województwa sandomierskiego, z obowiązkiem dostarczania dworowi królewskiemu wszelkich potrzeb stołowych. Podczas wyboru rajców w Krakowie podejmował się upossesjonowany tamże stolnik na jakiś czas zaszczytu radzietwa krakowskiego, a gdy przyszła pora wybierania podatków do „komory“ królewskiej, widzimy go w niektórych dawnych zapiskach „poborcą ziemskim.“ ¹²⁾ Żupy wielickie znały go jednym z swoich żupników, a w miasteczku Wieliczce posiadał on wójtowstwo, które przemysłny Nadrenczyk wzbogacił nowozałożonemi kramami różnych rzemiośł. ¹³⁾ W pobliżu Wieliczki i Bochni należała p. stolnikowi sandomierskiemu, niewątpliwie pomiędzy wielą innemi

posiadłościami, „zdawien dawna“ wieś Skrzyńka, gdzie pan Mikołaj występował w całym blasku ówczesnej władzy „dziedzica.“ Zjeżdżając więc ze trzy razy na rok do Skrzyńki, bywał on podejmowanym dwakroć przez kmieci, raz przez sołtysa; albo jeśli się mniej często zdarzyła tam gościna, pobierał czwartą część grzywny za każdy dzień pobytu czyli za każdy „obiad.“ Na odgłos wojny musiał sołtys ze Skrzynek przystawić pod herbową chorągiew pańską jednego kopijnika, t. j. jeźdźca w ciężkim rynsztunku z kopią, i przynajmniej dwóch lżej uzbrojonych pachołków. W imieniu też dziedzica odprawiały się wszelkie sądy poddanych, i pobierały się zwyczajne kary pieniężne, niemałe źródło dochodu. Za cztery główne zbrodnie stawali kmiecie przed trybunałem samego pana lub jego rządcy, za mniejsze przed sołtysem, którym od czterech właśnie lat, na mocy darowizny pana stolnika, był niejaki Hencelin Wierzynek, jego „wierny domownik“ a zapewne i krewny. Gdyż do wielu innych dóbr ziemskich dał Bóg panu Mikołajowi także niemało krewnych, a na timsamym dokumencie, którym ów Hencelin Wierzynek otrzymał sołtystwo w Skrzyńce, czytamy pomiędzy podpisanymi świadkami drugiego nawet „Mikołaja Wierzyńka, mieszczanina z Krakowa,“ także „służebnika“ stolnikowego. ¹⁴⁾ Nie nazywa atoli dziedzic Skrzyńki żadnego z tych Wierzyńków krewnym swoim w dokumencie wspomnianym, bo jego fortuna ogromna, w połączeniu z mądrością niepospolitą, wyniosła go wysoko ponad poziom zwykłych rodzin mieszczańskich, wprowadziła go w stosunki z książętami, osobiście z własnym królem Kazimierzem. Ze swego obowiązku stolnika i dostarczyciela dworowi królewskiemu wszelkich potrzeb stołowych, zostawał on w ciągłych stycznościach z całą liczbą dworzani i domowników królewskich, mając wiedzieć dokładnie ilu głowom przysposobić powinien żywność. Niedaleko mu zatem było do nadzoru nad całym dworem, i rzeczywiście porucił mu król Kazimierz zarząd wszystkiej wyższej i niższej „czeladzi“ dworskiej, oddał mu najwyższe u dworu dyspozytorstwo ekonomiczne, wkładające nań obowiązek starania się np. o jaknajgodniejsze przyjęcie i zaopatrzenie na zamku wszelkich gości królewskich. Potrzebując ku temu znacz-

nych zawsze sum w pogotowiu, żupnikując przytém w Wieliczce, pełniąc nieraz obowiązek poborcy, urzędował pan stolnik temsamém jako zawiadowca intrat królewskich, bywał owszem rzeczywistym podskarbin. Bądźto zresztą w charakterze tylorakiego urzędnika korony, bądź dla znanėj królowi mądrości i biegłości w sprawach światowych, uczestniczył on we wszystkich radach królewskich ¹⁵⁾, ledwie nie pierwszym zaszczycony tam głosem. Przy takim zaś znaczeniu u własnego monarchy, nie obeszło się bez stosunków z książętami zagranicznymi, z których niejeden prośbami o pożyczenie pieniędzy nawiedzał uprzejmie p. stolnika sandomierskiego. Z wszelkich bowiem wymienionych tu obowiązków i posiadłości, jako téż z ubocznych spekulacyj handlowych, rosły w skarbcu Wierzyńkowym ogromne sumy złota, które obrotny Nadreńczyk wołał po zagranicznemu pożyczać na procenta, niż staroświeckim zwyczajem kraju zakopywać na przyszłe lata w ziemię. Toć tenżesam cesarz i król Karol IV, któremu teraz w Krakowie wyrządzano takie honory, zapożyczał się w swojej młodości, jeszcze jako margrabia morawski, przed dwudziestą z okładem lat, znacznemi kwotami pieniężnemi u pana Mikołaja Wierzyńka ¹⁶⁾, już wówczas stolnika sandomierskiego i zamożnego. Był więc nasz bogacz Kazimierzowski (acz to najmniejszą sprawia uciechę) bogatym jeszcze w lata, których już ponoś niewiele, zaledwie pięć, pozostawało mu do spędzenia na ziemi ¹⁷⁾. Owóż jakoby ostatnim zaszczytem jego życia padł mu teraz obowiązek ugoszczenia królewskich swatów wnuki pana swojego, przyjęcia na zamku krakowskim tylu z szerokiego świata monarchów. Pan stolnik dopisał z nieśmiertelną chlubą obowiązkowi. Nagromadziwszy dostatek wszelkich zapasów, mając na zawołanie całą służbę królewską, a liczono u dworu krakowskiego po czterystu i więcej dworzan podówczas, potrafił on tak dogodnie i z takim ładem poumieszczać i obsłużyć wszystkich gości królewskich, iż żadnemu nie zbrakło na niczém, nie zaszła żadna zwłoka ani zamieszka, nie zapomniano o nikim. Cesarz z królami i książętami otrzymali „przepyszne mieszkania i komnaty na zamku, strojne w kosztowne opony i kobierce, w złotogłowa i klejnoty rozliczne.“ Mniej znakomitym panom,

niezliczonemu tłumowi zaproszonych i owszem nieproszenie przybyłych zewsząd rycerzy, wyznaczono „uczciwe“ gospody w mieście. Każdemu z panów, każdej gospodzie miejskiej, przydany został osobny komornik czyli przystaw, mający pamiętać o wszystkich wygodach gości. Wszystkim przystawom zalecił król Kazimierz słuchać rozkazów najwyższego zawiadowcy, Wierzyńka. Pod jego kluczem rozwarły się wszystkie skarbee, komory, piwnice, i owe z dawno nagromadzonych zapasów słynne śpichrze Kazimierzowskie. Z nich, na podobieństwo panny młodej u niektórych ludów słowiańskich, obsypywaną w dzień ślubu rześzystym deszczem pszenicy, oblały się weselne gody krakowskie obfitością wszelkich potrzeb, żywności i napojów, przypominającą cudowne gody onego w Kanie Galilejskiej wesela. Przyszłoby całą księgę napisać, gdybyśmy chcieli opowiadać wszystkie szczegóły uraczenia gości królewskich. Dość będzie nadmienić, iż każdy nie tylko do zbytku otrzymał tego, co zwyczajnie należy się gościowi, lecz nadto dawano mu obficie czego tylko zażądał, czego zapragnął z sobą na drogę lub do domu. Nasławszy wszystkim wszystkiego do komnat w zamku, i gospod w mieście, porozstawiano jeszcze na rynku krakowskim ogromne w wielu miejscach beczki i kadzie, pełne wina i owsa, z których każdy czerpał nie tylko w miarę potrzeby, lecz owszem po swawoli, a które natychmiast stawały pełne jak wprzód. A jaki ład w obsłudze, jaki dostatek panował w zaopatrzeniu, taka też wesołość niezwykajna ogarnęła serca wszystkich gości weselnych. Właściwa pora uciech zaczynała się dopiero od chwili ślubu wziętego. Aby więc nie tracić czasu na próżno, odbył się ślub cesarski już trzeciego dnia po zjechaniu oblubieńca Karola. Odbыл się zaś w katedrze zamkowej, w obecności wszystkich zgromadzonych królów, nuncjusza papieżkiego, książąt, panów i szlachty, cudzych i swoich. Celebrował go przesławny arcybiskup gnieźnieński Jarosław, jeden z znamenitszych mężów tego bogatego w najciekawsze postacie czasu, starzec blisko czterdziestoletni, jeszcze trzydzieści lat mający żyć na świecie, już prawie zupełnie ociemniały, a czczony w narodzie jako „najmędrszy z żyjących wówczas Polaków.“ Po ślubie nastąpiła wypłata posagu

oznaczonego przez Kazimierza W. w sumie stu tysięcy złotych florenckich. Była to stosunkowo suma zbyt szczupła, zaledwie którąś część wydatków na gody weselne stanowiła. Mógł ją owszem jeden prywatny bogacz Wierzynek jak o tym wkrótce usłyszym, złożyć biesiadowym podarkiem królowi Kazimierzowi. Bo też podówczas żony nie brały się dla posagu, ani dla osobistych nawet powabów. Panu młodemu chodziło głównie o tęścia, o szwagrow, o bratanków, o całą mężką parentelę oblubienicy, nie przynoszącej pierwotnie żadnego prawa do fortuny rodzinnej. Wszakże wiadomo, że zwłaszcza u nas, kobiety czasów piastowskich wykluczone były od dziedziczenia w majątku familijnym, zachowywanym całkowicie rodzeństwu męskiemu, choćby stopni najodleglejszych, zbywającemu siostrę lada jakim szelągim posagowym. Nie cennie zaś zaletami osobistymi, nie zdolne bogatym nawet posagiem „uszczęśliwić“ małżonka, chyba osobliwszym zbiegiem wypadków wyniesione nad poziom służebności domowej, miały kobiety w ogóle nader podrzędne znaczenie w życiu, a szczególnie w społecznym porządku tamtych stuleci. Wszelkie też głosne dzisiaj uwielbienie szwaleryi dla płci słabej, wszelkie oddawane jej hołdy, okazują się raczej złudą świecą, niż dowodem rzeczywistej fortuny kobiet w życiu i społeczeństwie. Potrzebowały one zaiste paladynów obrończych; sama natura wynajdowała pomoc rażącym niedogodnościom społeczeństwa tamtoczesnego, przejmując obyczaje rycerskie entuzjazmem opieki nad niewiastą, bo w świecie rzeczywistym gniotła ją barbarzyńska zewsząd niewola. Marzycielom rycerskim, poetom, jak np. przyjacielowi naszego oblubieńca cesarskiego, Petrarce, pozwalano dopuszczać się tyśiąca niedorzeczności na cześć kochanek, uwielbiać w sentymentalnych trelach przekwitłe wdzięki Laury, a w kole mężów poważnych, w zgromadzeniach uzbrojonych rzeczywistą władzą nad społeczeństwem, przed trybunałem sądowym i na soborach duchownych za Merowingów, odsądzano córki od równego udziału w spadku ojcowskim, roztrząsano pytanie, „ażali godzi się nazywać kobiety ludźmi?“¹⁸⁾ — pytanie niezupełnie jeszcze rozstrzygnięte w wieku XVI¹⁹⁾. Kobiecie XIV-go wieku należała niezaprzeczenie godność

człowieczeństwa jako matce, córce, żonie, siostrze szlacheckiej: kobieta sama przez się, jako stworzenie Boże, bez herbu i rodziny, daleka była od uroszczenia, aby ją stawiono na równi z rodzeństwem męzkim, aby ktokolwiek ujmował się o jej cześć. Jakoż czas nareszcie dać tu miejsce uwadze, która może wiele uroku odejmie opowiedzianym wypadkom, lecz przyda im wiele prawdy. Cała nasza wojna o cześć kobiety, była właściwie wojną o honor mężczyzny, o honor syna Ludwika i brata Kazimierza. Matka Ludwika jako kobieta, każda z kobiet ówczesnych jako taka, nie była nawet wyłączną właścicielką swojej własnej obrazy. Oblubienicy cesarskiej, wnuczki bogatego króla Kazimierza, starczyła posagiem dziesiąta część tej sumy, jaką sławny w tymże wieku mistrz krzyżacki Wallenrod trwoniał według podania na jedną ucztę rycerską.

Takież uczty kosztowne a wesołe, uczty blisko trzech tygodniowe, miały teraz rozgłosić po świecie uroczystość wesela cesarskiego w Krakowie, chwałę gospodarza godów, Kazimierza. Codziennie przez dni dwadzieścia szły nieprzerwaną koleją turnieje, biesiady, tańce, krotofile i uciechy wszelkiego kształtu. Z turniejami łączyły się ceremonie rozdawania przez Kazimierza bogatych danków rycerskich, każdą biesiadę uświetniało uczczenie gości upominkami, „zdumiewającymi swoją częstością i kosztownością,” każda uciecha śmiała się namiętną z całej piersi weselem, nie zapamiętaną nigdy w takiej pełni i gwałtowności. Bo jak gdyby sama pora obecnych godów krakowskich chciała podnieść je nad wszystkie znane uroczystości tego rodzaju, odbyły się one właśnie w dobie rozgorzenia świata powszechnym szaleństwem radości. Była to radość z ocalenia od wielkiego niebezpieczeństwa, które wszystką ludność ówczesną śmiertelnymi niedawno opasało ramiony, a w znacznej części nawet pochłonęło w istocie. Dwoma laty przed weselem krakowskim grasowała w Europie, po dwakroć w przeciągu dwunastu lat, najokropniejsza ze znanych w historii dżum, tak zwany „czarny mór,” mniemany koniec świata. Owszem, pastwiąc się bezopornie nad pozbawionym wszelkich prawie środków pomocnych światem, pożerając wszędzie krocie a krocie ofiar, w samym Krakowie przeszło

20,000 mieszkańców przyprowadziwszy o śmierć, stała się ta plaga boża rzeczywistym końcem świata dla całej trzeciej części ludności europejskiej, a w niektórych krajach, jak mianowicie w Niemczech, dla całkowitej połowy. Druga połowa, porażona w swojej młodzieńczej wyobraźni apoplektycznym wrażeniem trudnej do pojęcia dziś klęski, uległa istnemu zawrotowi umysłu i szalejąc w jednej części szaleństwem owych włóczących się po świecie, wpół obłąkanych, wyklętych od kościoła sekt Biczowników, uniosła się w większej części szałem rozkiełzanej na wszystko uciechy i wesołości, pragnącej przetrwonić, przeroskoszować poprzedzającą resztę życia i mienia, zanim nowy wybuch gniewu bożego zada ostatni rodowi ludzkiemu cios. Zaczem jak szero roko wzrok historii zasięga, rozewrzała we wszystkich krajach europejskich szalona żądza zabawy, brzmia zewsząd głośne w kronikach uczty, płasy i śpiewy, nastąpiła pora powszechniej swawoli obyczajów, ogarniającej nawet najpoważniejszy ze wszystkich stanów, nawet najwyższą jego sferę. Trwał ten paroxyzm uciechy przez lat czterdzieści do pięćdziesięciu, i rzuca dziwnie jaskrawą lunę na terazniejsze gody krakowskie, obchodzone właśnie u jego wstępu, w niemalżej zapewne mierze przejęte jego natchnieniem. Należąc zaś do jego najpierwszych objawów pod względem czasu, były one także pierwszemi co do znamienitości zgromadzenia swojego, co do mnogości sproszonych u jednego stołu koron królewskich i książęcych, których żaden z feystynów tamtoczesnych nie zgromadził tak wiele w jednym miejscu, nie uraczył z tak rozrzutną, owszem całę bajeczną okazałością, chcąc przed wszystkim światem roztoczyć chwałę swoją. Toż nie co innego stało się Kazimierzowi pobudką do przysposobienia tak szumnych godów weselnych, tego najskuteczniejszego wówczas środka popisania się zamocnością monarszą. „Chcąc okazać światu sławę królestwa swego“ — mówi podkanclerzy i historyk Kazimierzowski ²⁰⁾ — „wyprawił Kazimierz wielkie ucztowanie w mieście Krakowie.“

I nie samegoż tylko Kazimierza pobudzała wesołość tamtoczesna do zaspokojenia tym sposobem ambicyi swojej. Zapragnął i możny jego zarządcą dworu, pan stolnik san-

domierski, milionowy bogacz Wierzynek, uczynić sobie za-
dość ucztą bezprzykładnej okazałości. Mógł monarcha kra-
kowski przez dni tak wiele podejmować gości wspaniale,
toć i jego sędziwemu mistrzowi dworu godziło się pożądać
na chwilę tego zaszczytu. A patryarchalność epoki, nie
stawiającej żadnego prawie podziału oglądy edukacyjnej mię-
dzy panem a sługą, równie rubasznymi jednym i drugim;
a szanowność tego zacnego sługi, równie czcigodnego wier-
nością jak fortuną i siwym włosem, wносиły wymowną za
nim instancję. Za czyjśm staraniem królowie i wszyscy
goście mogli tak długo oddawać się w swobodzie i wygo-
dzie wszelkim uciechom, temu należało się w końcu od-
wdzięka krótkiego pobiesiadowania pod jego własnym da-
chem. Pozwolili tedy królowie zaprosić się przezeń na
ucztę, i majestatycznym pochodem udali się z książętami
i pany do jego domu, opodał od zamku krakowskiego. Co
więcej, za przybyciem cesarza i królów w domowe progi
pana stolnika sędmierskiego, odniósł on nowy dowód ich
łaski. Gdy już zasiadać miano do stołów, pokłonił się sta-
rzec monarchom prośbą, aby według własnego zdania mógł
oznaczyć miejsce każdemu z królów. Otrzymawszy zaś bez
trudności to pozwolenie, obrócił się Wierzynek do króla Ka-
zimierza, i rzekł: „Tobie najjaśniejszy panie winien jestem
wszystko co mam. Ty swojemi dobrodziejstwami bez miary,
wzbogaciłeś mnie przybysza; między najpierwszymi panami
posadziłeś mnie gościa w twojem królestwie; tobie też
pierwsze miejsce u mego stołu!“ — i posadził Kazimierza
najwyżej. Obok niego dał pan stolnik miejsce cesarzowi
Karolowi IV, swojemu z dawnych lat znajomemu, a nawet
dłużnikowi. Tuż przy cesarzu usiadł król węgierski Lud-
wik, przy Ludwiku Cypryjszym Piotr, a ostatnie miejsce za-
jął Waldemar Duński. Reszta książąt i panów rozsado-
wiła się według zwyczajnego porządku. I wszczęła się wielka
uczta, głośniejsza w pamięci pospolitej od wszystkich zda-
rzeń, które jęj dały początek. Kto na nięj nie był, temu
trudno uobecnić sobie jęj rysy, tak różne od dzisiejszych,
jęj wesołość rubaszną, jęj dziwną mieszaninę przesadnej ce-
remonialności z prostoduszną poufałością, jęj śmiechy szczere
i wiwaty ochocze. Temci jaśnieji świeci wzrokiem dzisiej-

szym wspaniałość zebranych w Wierzyńkowym progu spółbiesiadników, mianowicie jego gości królewskich. U jednego i tegożsamego stołu, nie powtórzonym może przykładem w dziejach, siedziało czterech monarchów, uczczonych przez potomność przydomkiem Wielkich: Kazimierz Wielki, Karol IV „wielki,” król Czech, „Wielki” w Węgrzech król Ludwik i Cypryjski Piotr Wielki. Ich piąty spółtowarzysz Waldemar, jeśli nie mądrością i szlachetnością serca, tedy przynajmniej potężnym dorównał im charakterem, acz nieco zbyt surowym, ponurym i ciężkim narodowi. O trójcy sąsiadujących z sobą monarchów Polski, Węgier i Czech o Kazimierzu, Karolu i Ludwiku, łatwo doczytać się wielkich rzeszy w każdej księdze dziejowej, i uczyniono już pobieżną wzmiankę powyżej. Dwaj dalsi ich sąsiedzi u stołu Wierzyńkowego, królowie Cypru i Danii, przedstawiali również niepowszedni a nigdy bliżej nie opisany widok, widok osobliwszej sprzeczności rodzinnych obyczajów i stron, stron południa i północy europejskiej, ojczyzny Afrodyty helleńskiej i groźnych Norn skandynawskich. Syn słonecznego Cypru i Palestyny, wychowaniec szwaleryi południowej, połykał (jak powiedziano) wszelkimi promieniami romantyki średniowiecznej, marząc ustawicznie o przygodach rycerskich, o awanturniczych po szerokim świecie wyprawach, o walkach z potworami, mianowicie z najokropniejszym z potworów, saraceństwem. Poświęcając całe życie zamyśłom i trudom krzyżowej wojny z Turkami, rojąc nader nieprawdopodobne odzyskanie korony Palestyńskiej, powoływał on się w tém napół rzeczywistym interesem swego berła i rodu, napół zaś poetycznym natchnieniem, poetycznymi widziadły cywilizacji ówczesnej, a jego teraźniejsza gościna w stolicy polskiej, jego obecność u stołu biesiady Wierzyńkowej, na którą między tyle różnych ludów nieznanych zaprowadziło go nakoniec długie błaganie się po całej prawie Europie, wypłynęła zapewne raczej z powszechnego zamięłowania rycerstwa w włóczędze po zagranicy, niż z rozsądnego zamiaru szukania związków dyplomatycznych i posiłków wojennych tam, gdzie one w rzeczywistości bynajmniej nie uśmiechały się jego nadziejom. Na wszelki wypadek, jego usilne gonienie jakiegoś wielkiego, acz nie-

dosięźnie daleko świeącego mu ideału, kontrastowało pięknie z ponurą oziębłością na wszelkie odleglejsze zamysły w życiu, na wszelkie idealniejsze plany i marzenia ambicyi, cechującą Cypryckizkowego sąsiada u stołu ucztę obecnej, starego króla Danii Waldemara IV, równie mglistego w duszy, jak jego niebo. „*I morgen er atter en dag* — i jutro jeszcze dzień!” — mawiał Waldemar obojętnie, z niejakiem przesyceniem długością dnia dzisiejszego, ilekroć fortuna w czemkolwiek nie dopisała; z kąd jego przydomek w dziejach Atterdag. Waldemarowe zwierzchnictwo nad przyległą Litwie Estonią, jego udział w niektórych wyprawach zakonu krzyżackiego do Litwy, głośnie na całą północ wieści o jego twardych rządach, czyniły go mniej obcym dworowi i narodowi polskiemu za Kazimierza, niż pamięci dzisiejszej, lecz nie ujmowały mu serc. Surowy Duńczyk ściszał srożej swój naród, niż mrozy ziemię północną. „Za króla Atterdaga” — skarżą się kroniki duńskie — „nie miał nikt nawet tyle czasu wolnego, aby zjeść, spocząć i wyspać się; tak ciężkie robocizny gnioły kraj cały.” Rozpamiętując swoje skolatane burzami życie, osobiwie dokuczającą mu często podagrą rozszożony, zwykł był Waldemar żałować głośnie trzech rzeczy: naprzód, iż nie kazał zabić w dziecięctwie swojej córki Małgorzaty, późniejszej twórczyni sławnej unii kalmarskiej, jednoczącj wszystkie trzy korony skandynawskie; iż nie kazał udusić goszczących u siebie posłów hanseatyckich; a trzecie, iż nie kazał uwarzyć żywcem dwóch śmiertelnych wrogów tronu swojego. Gdy niekiedy w boleściach omroczyło go skrzydło śmierci, odpychał starzec z niechęcią wszelkie pociechy ludzkie, a wdychał wniebogłosy: „O wspomóż Ezrom, wspomóż Soer, i wspomóż ty wielki dzwonie mój w Lund!” — byłyto trzy główne fundacye duchowne Waldemara ²¹⁾. Skoro zaś zdrowie wróciło, wyruszał król Atterdag w dalekie podróże po zagranicy, i gnany owym powszechnym niepokojem rycerstwa wędrownego, pielgrzymował do ziemi św., ciągnął w odwiedziny do papieża Innocentego VI w Awinionie, wyprawiał się z Krzyżakami do Litwy, zjeżdżał do stolicy krakowskiej na ucztę Wierzynkową, nie mniej porywczy tam spółbiesiadnik jak

niejeden z łagodniejszych książąt ówczesnych. Gdybyśmy bowiem chcieli zrobić sobie wyobrażenie o teraźniejszej zabawie królów u stołu Wierzyńkowego, zwłaszcza przy kielichu po wetach, nie mogłaby nie przypomnieć się nam zgiełkliwa scena takiejże biesiadnej zabawy kilku królów i książąt, po części tychsamych, którzy teraz uczują u pana stolnika sędomierskiego, opisana w wspomnianych poprzednio własnoręcznych pamiętnikach cesarza Karola IV, naocznego świadka, owszem spółuczestnika wypadku. Oto w drodze na wyprawę krzyżową do ziemi pruskiej, w Wrocławiu, przed laty blisko dwudziestu, siedzi przy bankiecie król czeski Jan, ojciec teraźniejszego Karola; siedzi teraźniejszy król węgierski Ludwik, wówczas dopiero siedemnastoletni młodzieniec; wreszcie hrabia Hollandyi Wilhelm, mnodzy inni książęta i margrabiowie, i sam opowiadający to autor, Karol IV, wówczas jeszcze margrabia Moraw. „Między innemi rozrywkami“ — pisze uczony Luxemburezyk ²²⁾ — „jakiemi monarchowie zwyczajnie chwile sobie skracają, przyszła wówczas kolej na ową niegodziwą i szaloną grę w kostki. W którą król węgierski i hrabia Hollandyi tak zaciekle grali przeciwko sobie, iż hrabia zgrał króla na 600 złotych florenckich. Widząc zaś, iż król gniewa się o to i ledwie wstrzymać się może od złości, uniósł się hrabia podobnież gniewem i zuchwałością i ofuknął króla w te słowa: „Miłościwy panie! Dziwi mnie, iż będąc królem tak możnym, w którego kraju, jak mówią, złoto się rodzi, żal ci tak małej summy pieniędzy i frasujesz się o nią. Wiedz tedy, królu, i wiedzcie wy wszyscy tu obecni, że z wygranych w kostki pieniędzy nie zwykłem robić użytku, lecz pozbywam się ich bez żalu.“ Co rzekłszy, wszystkie wygrane w grze floreny rzucił pomiędzy stojący do koła lud. Król jeszcze większym na to zaczerwienił się gniewem, lecz jako człowiek rozumny dyssymulował i zamilkł.“ Weselej niż podobną grą w kostki bawił się nieraz dwór Kazimierza W., bawiło się może i teraźniejsze towarzystwo królewskie przy uczcie Wierzyńkowej, kuglarskimi figlami sławnego podówczas krotofilnika, Niemca saskiego Eulenspiegla, w spolszczeniu Sowi-zrzała, pierwotnego nazwy i charakteru wszystkich późniejszych sowizrza-

łów. Trybem dzisiejszych artystów wojażujących obnosząc swoje sztuki po różnych krajach, zbierał on wszędzie hojne żniwo oklasków i szelągów, kuglował po wszystkich miastach środkowej Europy, popisywał się nieraz przed królami niniejszej gościny u Wierzyńka, mianowicie przed ponurym Waldemarem i naszym Kazimierzem ²³). Wszakże najweselszą zabawę przygotował milionowy gospodarz dopiero pod sam koniec zebrania. Gdy goście królewscy mieli przyjąć już pożegnanie Wierzyńka, uczcił on ich upominkami niezmiernej ceny, stopniującej się według stopnia dostojności każdego z królów. „Różne zaś dary“—opowiada kronikarz — „które otrzymał w ten sposób król Kazimierz, dochodziły, jak słyhać, wartości stu tysięcy złotych florencyckich.“ Jakżeby pamięć ludzka nie miała była przyłgnąć chciwie do téj uczty krociowej, zapominając o wszystkich innych zdarzeniach!

Śród scen takiego przepychu zbliżył się wreszcie koniec wszelkim uroczystościom. Z połową maja, przed samymi świętami zielonemi, upłynęła pora godom weselnym. Przez dni dwadzieścia weseliły królów nieprzerwaną koleją krotofile wszelkiego rzędu, gonitwy, płasy, a osobliwie huczne bankiety w komnatach odbudowanego przez Kazimierza pałacu królewskiego, ustrojonych bogato w owe „kurtyny, kobierce i purpury, na których wytwornym haftem perłami i kamieńmi drogiemi, wyobrażone były orły i inne herby królewskie“ — w owe przybory stołowe i kredensowe, owe misy ze szczerzego złota, naczynia z jaspisu i krystalu, niezliczone rogi do picia, wysadzone złotem i srebrem—o czém wszystkim mowa w testamentowych króla Kazimierza rozporządzeniach ²⁴). Cały ten wielodniowy przeciąg czasu wydał się jednym nieustającym bankietem i uchodzi téż w kronikach rzeczywiście za jedną wielką ucztę, wyprawioną dla okazania zamożności korony. Na koniec, w tymczasowym zamiarze, jak bogaty Wierzynek tak i Kazimierz W. udarował gości królewskich różnemi gościńcami, przeznaczonemi roznieść po dalekich krajach sławę bogactw i gościnności gospodarza swadźby krakowskiej. Natomiast miały według kroniki pozostać w Krakowie dokumenta zawartéj między

królami zgody i przyjaźni wieczystej, z któremi jednakże później niczyje nie spotkało się oko, i które zapewne nie istniały nigdy w istocie. Całe wesele cesarskie w stolicy polskiej było jednym głośnym na wszystkie świat dokumentem, jako po dniach rozterku wróciła jedność i przyjaźń między monarchów; lecz pergaminowe tego utwierdzenie pozostawiono nieco późniejszemu czasowi. Stała mianowicie dawniej już ułożona uchwała, aby ostateczne załatwienie waśni o cześć królowej Elżbiety, poruczyć dwóm sędziom polubownym, królowi polskiemu Kazimierzowi i Bolkowi książęciu na Świdnicy. Pozwolono im oraz nie spieszyć z ogłoszeniem wyroku, choćby takowe nawet do kilku miesięcy się odwlokło. W obecnej bowiem chwili, rozjeżdżając się w różne strony, zwrócili królowie całą uwagę na inny wielki przedmiot. Wypłynął on naturalnym biegiem rzeczy z całego wątku wypadków dotychczasowych. Powiodło się ojcowskiej pieczołowitości papieża Urbana V przejednać królów zwaśnionych, lecz oprócz zwyczajnych pobudek miłości chrześcijańskiej, świeciła mu w tém inna jeszcze myśl wielka, a tą myślą było zespolenie przejednanych monarchów w jedno powszechne przedsięwzięcie wojenne, pod znakiem krzyża—w powszechną wojnę świętą z Turkami. Tak jedno płóche słowo przeciwko czci Elżbiety, w coraz wyższe wzbijając się następstwa, wiodąc naprzód do szerokiej wojny między królami, dalej do pośrednictwa stolicy apostolskiej, ztąd zaś do zamysłu wielkiej krucjaty, miało w końcu wznieść się ponad ludami sztandarem powszechnego powstania chrześcijaństwa przeciwko Islamowi. Głównym chorążym tego sztandaru apostolskiego stał się w obecnym razie rycerski król Cypru i Palestyny. Poświęciwszy słodycze ojczyzny i panowania temu wspaniałemu celowi, nie omieszkał on poprzeć w Krakowie upomnienia papieżkie, zachęcić królów do udziału w wojnie krzyżowej. Wszyscy monarchowie uznali słuszność wezwania. Żaden też nie uchylił się od pomocy, acz każdy w różnym dawał ją stopniu. Kazimierz miał na karku ciągłą wojnę z pogaństwem litewskim i tatarskim, która miała zasługę krucyat. Ludwik ofiarował wojskom krzyżowym wolne przejście przez prowincje węgier-

skie. Cesarz Karol nie zaprzeczał położonym w niego nadziejom, iż w własnej osobie wyruszy do ziemi św. Dalsze zresztą szczegóły zamierzonej wyprawy miały być zadecydowane w stolicy apostolskiej, głosem papieża Urbana. Do Awinionu tedy zwróciły się wszystkie myśli i udała się osobicie znaczna część gości krakowskich. Szczodry ich gospodarz, Kazimierz, pozostał w domu, zajęty dopełnieniem ostatniego obowiązku gościnności, mianowicie przydaniem każdemu odjeżdżającemu królowi i książęciu osobnych urzędników, którzyby odprowadzili go aż do granic królestwa, i o wszelkich po drodze pamiętali potrzebach. Główni przeciwnicy obadwaj, cesarz Karol i król węgierski Ludwik, wrócili pojednani do swoich stolic, ten z matką Elżbietą do Budy, tamten z młodą cesarżową Elżbietą do Pragi. Królowie Cypru i Danii pojechali do Awinionu, Luzynian Piotr z sprawozdaniem z swoich kroków ku zachęceniu książąt europejskich do wojny św., Waldemar Atterdag z pobożną czołobitnią Urbanowi V, którego łaska i świętobliwość zhołdowały sobie na wieczne czasy umysł ponurego króla północy. W Awinionie, w całej Francyi, rozlegał się szezęk przygotowań orężnych do zapowiedzianej krucjaty. Sam król francuzki Jan V zaciągnął się pod chorągiew krzyżową i osobném pismem papieżkiem został mianowany naczelnym wodzem wyprawy. Jeśli nie w bieżącym jeszcze roku, tedy najdalej z wiosną roku przyszłego, miało nastąpić pospolite ruszenie chrześcijaństwa katolickiego przeciwko ludom Koranu. Po stu latach spoczynku broni krzyżowej zanosilo się na nową dla niej porę zwycięstw i chwały.

Tymczasem król Kazimierz, wolny w tym roku od napadów Litwy i Tatarów, krzątał się około polubownego zatarcia ostatnich śladów waśni czesko-węgierskiej. Aby zamierzona krucjata témpewniejsze osiągnęła błogosławieństwo, powinni byli królowie przystąpić do niej z sercami zupełnie pojednanemi. Głównemu źródłu sporu, obrażonej czci Elżbieciniej, stało się już zadość poślubieniem Elżbieciniej wnuki z cesarzem. Resztę kłólu pomiędzy nim a Ludwikiem, umyślili obaj sędziowie polubowni, król Kazimierz i Bolesław książę świdnicki, zgarnąć w jeden snop ryczałtowy,

i bez wszelkiego roztrząsania rzucić go w ogień. Zaczém gdy w miesiącu grudniu nadszedł termin ogłoszenia wyroku, ułożyli sędziowie następujący dekret kompromisarski, arcy-szacowny zabytek dawnéj prostoduszności w rozsądzaniu najważniejszych spraw, najcenniejszy może z przywiedzionych tu dokumentów dyplomacyi średniowiekowej. „My Kazimierz z bożej łaski król polski i Bolko z tejżesaméj łaski książę szląski i pan świdnicki, wiadomo czynimy wszystkim, którym na tém zależy, jako najjaśniejszy książę i pan, Karol IV z przejrzenia bożego rzymski i czeski król, tudzież oświecony książę Jan, margrabia morawski, z jednej strony; z drugieję zaś najjaśniejsi książęta i panowie, Ludwik król węgierski i Rudolf, tudzież reszta jego braci, książęta Austrii, według brzmienia obszerniejszych w tym względzie listów, obrali nas za rozjemców, przyjacielskich jednaczy, czyli sędziów kompromisarskich, ku załatwieniu wszelkich między sobą sporów, niesnasek i rozterków, od czasów najdawniejszych aż do dnia dzisiejszego. Zaczém mocą udzielonéj nam władzy rozjemczéj, zawyrokowaliśmy zgodną wolą i przekazujemy listem niniejszym, aby obiedwie strony rzeczzone, zaniechawszy wszelkich pomiędzy sobą sporów, niesnasek i rozterków, pozostały nazawsze dobrymi przyjaciółmi, bez wszelkieję obłudy i podstępności. A dla tém pewniejszego świadectwa, kazaliśmy ułożyć pismo niniejsze, zatwierdzone pieczęciami naszemi. Działo się w Krakowie, w wigilię św. Łucyi (12 grudnia) roku pańskiego 1363“²⁵⁾. Księżna rakuzka Katarzyna, córka cesarza Karola a małżonka księcia Rudolfa, sprzymierzeńca Ludwikowego, równie przeto blizka stronom obudwóm, podjęła się skłonić je do témrychlejszego przyjęcia uchwały sędziów krakowskich. Nastąpiło to bez wszelkieję zresztą trudności. Już w kilka tygodni, dnia 10 lutego roku 1364, wydali sobie Karol, Ludwik, Karolów brat Jan, książęta rakuzcy Rudolf, Albert i Leopold, uroczysty wzajem dokument, którym wszyscy zeznają, iż za pośrednictwem „najjaśniejszég, oświeconég, zacnéj i mądrég Katarzyny“ przyzwolili na wyrok polubowny Kazimierza i Bolka, i pod przysięgą na ewanielię św. i relikwię drzewa z krzyża pańskiego, zaprzysięgają sobie wieczystą zgodę i jedność“²⁶⁾. Takim sposobem zgasiła ostat-

nia iskra pożaru roznieconego gwoli oczyszczenia sławy Elżbiety. Uwiadomiony o tém papież, zaniósł gorące modły do nieba, iż mu dano było przywrócić spokój między królami. Legat papieżki Piotr otrzymał pochlebne pismo papieżkie, winszujące mu szczęśliwie dokonanych trudów poselskich. Inny list z Awinionu nakazywał mu podziękować monarchom, że tak przykładowie usłuchali przedstawień apostołskich²⁷). „Teraz zaś“—kończyły dalsze listy papieżkie—„gdy wrócił pokój królestwom chrześcijańskim, czas podnieść oręż przeciw niewiernym, i śladem dawnych krzyżowców pod mury dążyć jerozolimskie.....“

Ale nie tażsama gwiazda błogosławieństwa świeciła wyprawie jerozolimskiej co dziełu zgody krakowskiej. Projekt krucjaty zaczął wątleć na siłach, aż w końcu spełził na niczém. Spodziewany naczelnik wojny św., król Francyi Jan, umarł na wiosnę roku 1364, zostawiając gotowego wprawdzie następcę tronu, lecz bez następcy w naczelnictwie krucjacie. Cesarz Karol IV oddał się temi czasy wyłącznym staraniom o przysporzenie nowój prowincyi domowi swemu, i podobnie jak jego przeciwnikowi rakuzkiemu, księciu Rudolfowi, powiodło się w ciągu opowiedzianych tu zdarzeń zjednoczyć z posiadłościami rakuzkiemi hrabstwo Tyrolu, tak on wzbogacił teraz dynastję luxemburską nabyciem margrabstwa brandenburskiego. Sam rycerski Luzynian wytrwał w intencyi wojny krzyżowej, dla której z nader szczupłemi posiłkami udawszy się na wschód, zdobył tam z wielką chwałą Alexandryę i niektóre inne miasta tureckie. Co jednakże nie sprawiło żadnej różnicy w losach chrześcijaństwa oryentalnego, gdyż nikt nie pospieszył z pomocą a Turcy pozostali ciągle panami ziemi świętej, i nawet Alexandryę wkrótce odbili. Cały ów szereg następstw coraz wspanialszych, któremu dało początek obelżywe słowo Karola, stanął na wypadku sławnych godów wesela cesarskiego w Krakowie. Zamierzone niemi rozśławienie gościnności i dostatków Kazimierzowskich, okazało się szczęśliwszém od wszystkich innych zamiarów, o jakich była mowa w opowiadaniu niniejszém. Znikła bez śladu potęga dynastji luxemburskiej, upadło królestwo Cypru, zatarła się nawet pamięć imienia cnęj królowej Elżbiety, a sława wielmożności

ostatniego Piasta w koronie, rosła coraz szerzej od tego czasu. Dopieroż natenczas—upewnia nas kronika — „zasłynęło godnie imię Kazimierza króla polskiego, i rozniosło się odtąd po wszystkich krajach, i wszystkie téż państwa katolickie i barbarzyńskie, brzmiały odtąd sławą wspaniałości dzieł Jego“²⁸).

PRZYPISKI.

- 1) Długosz Historia IX. 1135.
- 2) W Frehera Scriptor. rer. bohem. str. 104.
- 3) Palacky Gesch. Böhmens. tom II część II str. 363 w przypisku.
- 4) Katona Historia crit. reg. Hung. X. 297.
- 5) Dogiel Cod. diplom. I. 152.
- 6) Wolturański czyli właściwie Wulturarski. Vulturara miasteczko w Neapolu.
- 7) Raynald Annal. eccles. ad a. 1362 et 1363 p. 426.
- 8) Paprocki Ogród królewski str. 192.
- 9) Przeciw Długoszowemu podaniu o przybyciu Piotra do Krakowa przez Wołoszczyznę, dokładniej społeczny Froissart Histoire et Chronique vol. I. chap. 217, zgodnie z resztą źródeł społecznych, jak kronika Villaniego, dokumenta w Raynaldzie i t. d.
- 10) Mówi tak o sobie drukarz krakowski Wietor w dedykacji Rotterdamszkiego dzieła „księgi które zowią Język.“ Kraków 1542.
- 11) Grabowski Ambroży Starożytnicze Wiadomości o Krakowie str. 288.
- 12) 13) Boczkowski w Wiadom. o Wieliczce, str. 153, 78.
- 14) Wszystkie szczegóły według dokumentu z r. 1359, w zbiorze Zakładu nauk. im. Ossolińskich.
- 15) Długosz Historia IX. 1136.
- 16) Naruszewicz Historya nar. Pol. wyd. 1785 VI. 130.
- 17) Boczkowski Wiadomość o Wieliczce str. 153, z aktów wielickich podaje śmierć Wierzyńka (przez pomyłkę Stanislaus zamiast Nicolaus) w roku 1368.
- 18) Gregor. Turon. w Bouqueta Script. rer. Gall. II. 322.
- 19) Obacz o tem pisma: Gediciusa Defensio sexus muliebris, Mollera De mulieribus hominibus.
- 20) Archidiakon Gnieźń. w Sommersb. Script. rer. siles. II. 99.
- 21) Dahlman Gesch. von Dänemark III. 23 i t. d. Westphalen Monam. cimbr. I. 1816.
- 22) Freher Script. rer. boh. str. 104.
- 23) Sowizrrzał krotofilny i śmieszny. Urodzenie, żywot, postęпки dokonanie jego dziwne, str. 67.
- 24) Archidiak. Gnieźń. Sommersb. Script. II. 106.
- 25) Katona Historia critica regum Hung. X. 323.
- 26) Tamże X. 327.
- 27) Raynald Annalas eccles. ad a. 1364 nr. 10.
- 28) Długosz Hist. IX. 1139.

MATKA JAGIELLONÓW.

I.

Ostatnie lata piętnastego i pierwsze szesnastego stolecia widziały całą szeroką przestrzeń Europy między Adryatykiem, Bałtykiem i morzem Czarném, pod bratniém berłem kilku Jagiellończyków, synów jednej i tejże samej matki: Władysława czeskiego i węgierskiego; Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta Starego, polskich. Z tak niezwykłą potęgą ziemską łączyli bracia Jagiellońscy również niezwykłą wartość moralną. Najpośledniejszemu z braci, Władysławowi Czeskiemu, wadziła tylko zbyt dobra dobroć, nie mogąca przecież wydrzeć mu chwały króla światłego, sprawiedliwego ¹⁾. Drugi brat Zygmunt Stary, sprawił swoją mądrością, iż naród który mu porucił swoje losy, nazywa jego czasy „złotym wiekiem“ swojej historii. Trzeciemu z braci, Kazimierzowi, dano było zasłużyć sobie cnotami swemi na wnijsie w poczet świętych, w liczbę niebieskich patronów kraju. Błoga zaprawdę matka, która takich synów wydała!

Lecz matce królewskich Jagiellonów należy się od nas więcej niż sam podziw macierzyńskiego jój szczęścia. Winniśmy jój wdzięczne uznanie, iż znaczna część wymienionych tu osobistych zalet i zasług potomków Jagiellońskich — uzyskanéj przez nich temż zaletami wziętości u narodów sąsiednich — i wynikłego ztąd rozrostu potęgi i sławy dynastyi Jagiellońskiej — była dziełem jój ręki. Dozwala nam przekonać się o tém stary, niedrukowany dotąd zabytek piśmienny, rzucający naraz nowe niespodziewane światło na tę

stronę dziejów i znaczenia naszej matki Jagiellończyków, małżonki Jagiellowego syna Kazimierza, córki cesarza Albrechta II, arcyksiężniczki Elżbiety.

Wspomniany tu zabytek jestto łacińskie pismo królowej Elżbiety o wychowaniu dzieci królewskich: *De Institutione Regii Pueri*. Oryginał jego, mała ozdobnie pisana książeczka o 138 stronnicach, znajduje się oddawna w bibliotece cesarskiej w Wiedniu, a Zakład Ossolińskich we Lwowie posiada je w bardzo starannym odpisie.—Obejmując w tej kopii 89 stronnic w ósemce, ma to pismo kształt listu, pisanego przez królowę Elżbietę w późnej starości do syna Władysława, króla czeskiego i węgierskiego, między rokiem 1502 a 1503, gdy on po świeżem zaślubieniu drugiej małżonki Anny, hrabianki d'Angoulême, spodziewał się zostać ojcem.

Pierwszą myślą, jaka się na widok tego rękopismu nasuwa, jest zapytanie, czy też królowa Elżbieta rzeczywiście go ułożyła. Język starożytny, styl prawdziwie klasyczny, niepospolita znajomość greckich i rzymskich dziejów, znamionujące chlubnie rękopism, zdają się przemawiać przeciw autorstwu królowej. W jedynę, jaką dotychczas znamy, wiadomości o tym ciekawym rękopiśmie²⁾ podniesiono nadto dwie z samegoż manuskryptu wydobyte okoliczności, mające sprzeciwiać się Elżbiecie. Pierwszą jest wzmianka królowej o sobie samój: iż „sześciu synów i tyleż córek na świat wydała,” podczas gdy Elżbieta, nader liczném ubłogosławiona potomstwem, była właściwie matką sześciu synów i siedmiu córek. Drugą okolicznością jest podobneż wyrażenie się autorki manuskryptu, że ma „około lat ośmdziesiąt”, podczas gdy królowa Elżbieta w porze układania rękopismu (jak z niektórych kombinacji okazuje się) liczyła właściwie lat sześćdziesiąt i sześć. W tak uderzające pomyłki mógł zapewne tylko kto inny w imieniu królowej popaść.

Atoli pomyłki te uderzają tylko na pozór. Co do mylnój rachuby lat, ta w onych czasach bardzo częstém była zdarzeniem. Stało wprawdzie gdzieś zapisano, w którym roku ten albo ów książę urodził się; z zapisków tych można dziś dokładnie datę urodzin wywieść; lecz wówczas (podobnie

jak dziś u ludu się zdarza) nieraz sam książę nie wiedział, ile właściwie ma lat. Toć nie szukając daleko, tenże sam król Władysław, do którego skierowany jest list Elżbiety, znajdował się w takim wypadku. Spółcześni dziejopisowie, w codziennych z nim stosunkach, i zapewne z jego własnych ust oświeceni w téj mierze, liczą mu przy śmierci 61 lat życia); na tablicy spizowej u grobu w Białogrodzie wyryto mu lat 58⁴⁾; właściwie zaś (jak się zdaje) umarł Władysław w 60 roku żywota⁵⁾. Mogła więc królowa przez podobną pomyłkę (jeśli w ogólności zaszła pomyłka) przyczynić sobie lat kilka, a mniemając się przeszło siedmiesięcio-letnią, powiedzieć, iż dochodzi ośmdziesięciu. — Pewniejszą była zapewne liczba dzieci. Lecz w tym względzie co innego spowodowało nieporozumienie dzisiejsze. Główną rzeczą zdała się tu liczba synów. Wielość córek uchodziła za rzecz podrzędną. Toć mówiąc o potomstwie ojca teje samej Elżbiety, króla rzymskiego Albrechta, donosi inny współczesny kronikarz austriacki, uczeń akademii krakowskiej, iż miał dwóch synów; a gdy mu przychodzi nadmienić o córkach, dodaje sucho: „Córki można pominąć“⁶⁾. Tak też i królowa Elżbieta, właśnie jedna z tych na pominięcie skazanych córek, szczyliła się głównie sześciu synami; o córkach wystarczała jej wzmianka, iż było ich „tylż“ co synów. Zwłaszcza, iż w tym wypadku równa ilość synów i córek wydawała razem dwanaście, liczbę ewangeliczną, zaszczytniejszą w oczach ówczesnych od trzy-nastki. Z czém zgodnie we wszystkich zwrotach stylu wyższego, czy to w wierszu pochwalnym przytoczonym przez samą Elżbietę w naszym piśmie o wychowaniu, czy to w krasomówczym frazesie kroniki Długoszewej⁷⁾, nie chwali się Elżbiecie iż miała dzieci trzynaścioro, lecz że równą liczbą synów i córek dopełniła apostołskiej dwunastki. Nie może tedy zdaniem naszym i niedoliczenie siódmej córki stanąć dowodem przeciw autorstwu królowej. A to tembardziej, iż odsądzając ją nawet od bezpośredniego udziału w ułożeniu księgi wątpliwiej, trzeba niezbędnie przypuścić, że ułożone i przesłane w imieniu królowej pismo, musiało jej co do treści szczegółowo być znane. W którymto razie, obie myłki mniemane, albo powinny były uleść łatwej przez

królowę poprawce, albo zostały przyjęte jako obojętne ozdoby stylu, równie naturalne pod piórem samej Elżbiety jak kogokolwiek trzeciego. Upieranie się przy ważności tych myłek zniewolałoby ostatecznie do wniosku, że królowa Elżbieta nie znała wcale listu swojego, na co już żadną miarą przystać nie można. Słuszne zaś odmówienie im wszelkiej wagi niweczy zupełnie wyprowadzony z nich dowód przeciw autorstwu królowej, o co nam właśnie chodziło.

Ważniejszym zarzutem, owszem jedyną okolicznością przekonywającą, że królowa Elżbieta bezpośrednio pisma swego nie układała, jest uderzający w nim styl klasyczny. W tej atoli mierze należy uwzględnić listową formę pisma. Powstało ono jak każdy inny z ówczesnych listów książęcych. To jest: królowa podawała szczegółowo treść pisma, a kanclerz jój, czy ktokolwiek wyjątkowo powołany ku temu, przyoblekał osnowę w dyplomatyczny owego czasu język, przyozdabiał ją dodatkami swój erudycyi, kwiatami stylu swojego. Tylko w ten sposób, tak naturalny listowemu kształtowi pisma, da się zrozumieć niewytlómaczona, inaczej różnorodność jego pojedynczych ustępów, z których wiele technie jawno duchem, czuciem, słowami bądź to piszącej bądź dyktującej matki, gdy inne znowu brzmią klasyczną frazeologią pisarza, prawdopodobnie Włocha; — wiele przypomina zdarzenia, osoby i charaktery otaczającego królowę dworu Jagiellońskiego, gdy inne upstrzone są niepożrebne reminiscencyami literatury i dziejów starożytnych.

Taki zaś sposób zapatrywania się na przedmiot nie czyni żadnego uszczerbku autorstwu matki. Mimo cudzego języka, cudzego krasomówstwa, jest ona zawsze pierwotną twórczynią pomysłu dzieła; od nikogo innego jak tylko od pierwotnej twórczyni pochodzą główne zarysy i myśli wykonania; z ust i serca samejże matki płyną widocznie całe ustępy niektóre. Dalsze szkicu niniejszego skazówki wyświeca nam, jaką drogą królowa Elżbieta mogła dostąpić z łatwością potrzebnego ku temu stopnia wykształcenia i dojrzałości moralnej. Stojąc zaś na tak podniosłym w istocie stopniu, okazuje się matka naszych Jagiellonów jedną z najświatlejszych niewiast swojego czasu. Tak gorące przejęcie

się ważnością mądrego wychowania, ażeby aż pismo szerokie układać w tym przedmiocie, przekonywa nas, iż w powszechnie sławioném wychowaniu, jakie pod przewodnictwem znakomitych nauczycieli jęj własni otrzymali synowie, główny udział macierzyńska wzięła troskliwość. Porównanie króla Kazimierza Jagiellończyka, ojca starannie wychowywanych królewiców, nie celującego bynajmniej ani rozumem ani dbałością o sprawy domu swojego, z matką królewiców Elżbietą, występującą teraz przed nami w niespodziewanej chwale mędrzyny i „myślicielki“, przechyła w tój mierze całą szalę zasługi na stronę dostojnej autorki pisma o wychowaniu. Jakoż wpatrując się bystrzej w bliższe i wiarogodniejsze świadectwa o onych czasach i oném wychowaniu, postrzegamy w istocie, iż naszejto królowej Elżbiecie przyznawano główne w niem uczestnictwo. Nie od kogo innego, tylko „od matki świętobliwej (*a sanctissima matre*)“ — prawią naoczni wychowania tego świadkowie, posły polskie do panów czeskich, zalecając im królewica Władysława — „wysłał Władysław wraz z pokarmem macierzyńskim bojaźń bożą, religijność, miłosierność i ludzkość“⁶⁾. Nie komu innemu, tylko „najzacniejszej i najpobożniejszej z matek“ — głosi na pogrzebie króla Zygmunta Starego dziejopis i sekretarz królewski, Marcin Kromer⁷⁾ — „zawdzięczał król-nieboszczyk i reszta jego braci swoje święte i mądre od najwcześniejszych lat wychowanie.“ — Elżbiety więc po większej części dziełem były błogie owoce edukacyi dzieci królewskich, jęj spuścizną świętość św. Kazimierza, dobroćliwość Władysława, mądrość Zygmunta. A ponieważ przedwszystkiem osobiste zalety Jagiellończyków zjednały im życziwość i trony ludów ościennych, zapewniły rządzonemu przez nich państwu, jak mianowicie państwu Zygmuntowemu, wiekopomną pomyślność, przeto i na te coraz dalsze i wspanialsze wynikiłości historyczne, na szerokie rozpostarcie się potęgi domu Jagiellońskiego, na szczęśliwy los Polski pod Zygmunta, wpłynęła niemało wychowawcza pieczołowitość królowej.

Podając bliższą o tak błogosławionęj matce wiadomość, przeznaczoną głównie do obeznania z pozostałym po niej zażytkiem literackim, dotkniemy ważniejszych szczegółów jęj żywota.

II.

Mądra wychowawczyni swoich dzieci koronnych, przebyła Elżbieta w latach młodości szkołę cierpkich doświadczeń. Urodzoną z najdostojniejszych rodziców, córkę cesarza Albrechta II króla czeskiego i węgierskiego, księcia austriackiego, jednego z najszlachetniejszych monarchów swojego czasu, i królowej Elżbiety, jedynaczki słynnego cesarza Zygmunta, dziedziczki Czech i Węgier, wypiastrowały młodocianą królową sierotwo, niedostatek, łyż opuszczenia. Już w trzecim roku życia ¹⁰⁾ odumarł ją ojciec cesarz Albrecht, nie miawszy jeszcze czasu ustalić się na świeżo objętych tronach, pozostawionych przy jego śmierci bez męskiego następcy. Dopiero w blisko cztery miesiące po zgonie męża, urodziła wdowa królewska syna Władysława, Pogrobowcem ztąd nazwanego, poczem we dwa lata sama umarła. Drobnę jej dzieci pozostały pod opieką stryja, z młodszej styryjskiej linii książąt rakuzkich, cesarza Fryderyka III. Pod jego to ramieniem, bądź w Neusztadzie bądź w Wiedniu, rosły odtąd obie sierotki, dwuletni Władysław Pogrobowiec, oczekujący pełnoletności a z nią objęcia Czech, Węgier i swego dziedzicznego księstwa austriackiego, i sześciolatnia Elżbieta, nieświadoma losu przyszłego.

Opiekun naszych dzieci królewskich, cesarz Fryderyk III, znany jest ze swojej łagodności. Nie było też w nim złej woli względem piastunków. Wszakże ustawiczne jego roztargnienie ówczesnym bezładem Rzeszy i ciągłe zamieszki domowe sprawiły, że sierotom Albrechtowym, oddanym nadzorowi cudzemu, nie zawsze dobrze się działo. Owszem opawiano sobie powszechnie, iż muszą żyć w niedostatku i zaniedbaniu, co równie bolało dzieci jak i lud cały, serdecznie przywiązany do pamięci cnotliwego ich ojca. W przeciągu kilku lat doszły skargi na niedolę podrosłych tymczasem dzieci do tego stopnia, iż w porze oddalenia się Fryderyka do Rzymu na koronację cesarską nastąpiło w Wiedniu gwałtowne poruszenie ludu i szlachty okolicznej na korzyść sierot. Pod przewodnictwem dawnego marszałka

dworu Albrechtowego, jednego z najzamożniejszych panów krajowych, Ulryka, zebrała się w kościele karmelitańskim walna rada mieszczaństwa, w której miano obmyślić środki złagodzenia losu królewiat¹¹⁾. Aby tém żywszą obudzićliwość, wprowadził Ulryk naszą Elżbietę w pośrodek zgromadzenia, i wstąpiwszy z nią na ambonę, zawołał:— „Patrzcie na tę dziewicę dostojną! Patrzcie i przekonajcie się, jak o nią dbają! Jestże jaka mieszcza, nie mówię już w tej stolicy, lecz w najlichszej mieścinie, któraby w takim stroju wyszła na miasto! odzież na niej—podarta, obuwie — dziurawe, ledwie że głodu nie cierpi.“ — Rozżalona królowna rzewnym wtórzyła płaczem. „Od łez i łkania“ — opowiada ówczesny sekretarz cesarza Fryderyka III, późniejszy papież Eneaszy Sylwiusz Piccolomini^{12/1)} — „nie można było dosłyszeć słów, któremi błagała zgromadzonych o pomoc dla siebie i dla brata.“ Nie byłyto zapewne pierwsze, jedyne łzy, jakie wycisnęło wychowanie sieroce....

Nie zbywało mu jednakże z drugiej stony na środkach wykształcenia. Pracowali nad niem zacni i światli ludzie. Jeszcze za życia matki wypiautowała Elżbietę kobieta uczona, niejaka Helena Kottaner, autorka pamiętników o swoich czasach, a w tym względzie jedna z najpamiętniejszych niewiast stolecia^{12/2)}. Później, gdy sieroty Albrechtowe dostały się pod opiekę cesarza Fryderyka, niejaki *mistrz* Hinterbach „mąż uczony“, ułożył umyślnie przepisy według których miano wychowywać dzieci królewskie. Nie przestał na tém dawny kanclerz i przyjaciel ich ojca, głośny w dziejach ówczesnych Kasper Schlick, piastujący i teraz tężsamą godność kanclerską, i choć zdala nad wychowaniem Albrechtowych potomków czuwający. Na jego prośbę tensam Eneaszy Sylwiusz, który z naocznego świadectwa opowiedział dzieje cesarza Fryderyka, napisał teraz osobną księgę *Owychowaniu dzieci*¹³⁾, poświęconą młodocianemu Władysławowi Pogrobowcowi, królowi Węgier i Czech. Onato niewątpliwie stała się wzorem pisma podobnej treści, które siostra i spółwychowanka Pogrobowca Elżbieta, poświęciła później swemu synowi. Znachodzim w niej tężsame rady, morały i weale niezwykle na one czasy prawidła edukacyjne, jakimi według życzenia Elżbiety miało kierować się wychowanie jój

spodziewanego wnuka czeskiego, a jakie zapewne znalazły już rzeczywiste zastosowanie w poprzedniem wychowaniu jej własnych synów, naszych Jagiellończyków. Lubo ułożone przez Włocha, nie byłyto bynajmniej miękkie, „włoskie“ prawidła. Z pod nieba Auzonii weszło w wychowawczą księgę Eneaszową jedynie zalecanie poezyi i poetów pogańskich, wybredności w wyborze nauczycieli, wstrętu od hucznych biesiad północy i t. p. Zresztą chce wychowawca włoski mieć z królewica nie krasomówcę lecz męża czynu, radzi przyzwyczajać go do znoszenia trudów i niedostatku, każe hartować go grubą strawą, szorstkiem odzieniem. Przeznaczone właściwie dla brata Władysława, przewodniczyły te przepisy bez wątpienia i wychowaniu siostry Elżbiety. Obaczmy je w żywej pamięci u późniejszej królowej polskiej.

Teraz życzone jej jaknajprędzszego wyjścia z pod pieczy nauczycielskiej. Niewieście w średnich wiekach nie było dość wczesnej pory do oddania ręki mężowi. Dwanaście lat, wiek zwyczajnej podówczas wieloletności żeńskiej, poczytywano powszechnie za najstosowniejszą do związku ślubnego chwilę. „Miała już rok piętnasty“ — mówi z politowaniem o naszej Elżbiecie społeczny kronikarz austriacki¹⁴⁾ — a jeszcze nie wydano jej za mąż.“ Jakoż było to jedynie winą przypadku. Już bowiem od swego roku czwartego¹⁵⁾ była Elżbieta zaręczoną Fryderykowi księciu saskiemu, i tylko śmierć narzeczonego zerwała ten pierwszy projekt małżeński. Zdarzył się niebawem nowy projekt i aspirant do ręki, mający jeszcze wcześniejszych starań zasługę. Gdyż jeśli saski Fryderyk zaręczył sobie w czwartym roku Elżbietę, polski królewic Kazimierz, syn Władysława Jagielly, ubiegał się o jej rękę, gdy ona zaledwie na świat przyszła, jeszcze za życia jej ojca, króla Albrechta, w prawdopodobnym roku urodzenia Elżbiety¹⁶⁾. Zwyczaj nadmiar wczesnych zaślubin, w połączeniu z średniowiecznem rozmiłowaniem w długich przed każdym czynem układach, namysłach i ceremoniach, zniewalał do pospiechu z rozpoczęciem kroków swadziebnych, a polskim Jagiellonom zależało wiele na wyswataniu się w domu rakuzkim. Jeszcze od czasu wy-

dania jedną z córek Kazimierza Wielkiego przez Ludwika króla Polski i Węgier w dom rakuzkich hrabiów Cyllejskich, starali się książęta polscy o kolligackie z książętami rakuzkimi stosunki. Toć znane są wczesne zaślubiny królowny polskiej Jadwigi z rakuzkim księciem Wilhelmem. Jego rywal, Jagiełło, mniemał po śmierci Jadwigi jedynie tém utrzymać się przy tronie, iż poślubił sobie Annę Cylejkę, córkę owęj przez Ludwika węgierskiego wyswatanęj królowny polskiej, wnuczkę Kazimierza W. Ciotka téj Anny, cesarzowa Barbara Cylejka, małżonka cesarza Zygmunta, a babka naszéj Elżbiety rakuzkiéj, zdała się Jagiellonom polskim tak bliską, iż Władysław Warneńczyk po zgonie Zygmuntowym i odjęciu Barbarze wszelkich dochodów w Węgrzech i Czechach, przeznaczył jéj zamek, miasto i powiat sędomierski na utrzymanie, „gdzie téż żyła dostatnio, jak długo jéj się podobało“¹⁷⁾ Cesarz zaś następca jéj rakuzkiego zięcia Albrechta, cesarz Fryderyk III — to potomek Piastów i Jagiellonów, jako urodzony z córki Ziemowita Piasta i Jagiełłowéj siostry Alexandry, z księżniczki mazowieckiej Cymbarki, poślubionéj rakuzkiemu księżęciu Ernestowi. Nie dziw więc iż zgodnie z zwyczajem czasu i kilkudziesięcioletnim kierunkiem koneksyj familijnych, tak wczesnie nasunęła się Kazimierzowi Jagiellończykowi intencya poślubienia Elżbiety.

Pierwsza odezwa o królownę w kolebce, skierowana do jéj dziada, cesarza Zygmunta w Pradze, nie osiągnęła wprawdzie zamiaru. Trwał przecież cierpliwy Jagiellończyk w powziętym raz zamyśle. Trzema laty po pierwszej próbie, w roku 1439¹⁸⁾, po śmierci cesarza Zygmunta, zgłosiło się w Wrocławiu u cesarza Albrechta drugie z témże samém przedłożeniem poselstwo, które pozyskawszy już przyzwolenie ojca Albrechta byłoby zapewne dopięło celu, gdyby nie bliska potém choroba i śmierć cesarska. Wtedy zamiast Kazimierza polskiego, otrzymał przyrzeczenie ręki królowny ów saski książę Frydryk. Czém jednakże nie zrażony Kazimierz przesyła w dalsze trzy lata, r. 1442, téżsamą prośbę po raz trzeci do matki w Węgrzech¹⁹⁾. Już zanosilo się na spełnienie życzeń Kazimierzowych, gdy wtém i życziwa

matka umarła. W ciągu kilkuletniej opieki cesarza Fryderyka ustały na niejaki czas dziewosłęby królewica polskiego, podniesionego teraz po śmierci brata Władysława pod Warną na tron ojczysty. Skoro atoli, skutkiem wspomnionego powyżej rozruchu w Wiedniu, opieka nad sierotami Albrechtowemi, przeszła od cesarza Fryderyka do spokrewnionego z dziećmi hrabi Ulryka Cyllejskiego, natychmiast (w r. 1452) ponowił król Kazimierz po raz czwarty swe dawne prośby o 15-letnią już pannę Elżbietę, przesłane obecnie do jej brata Władysława i nowego opiekuna Ulryka. Dopieroż tym razem stało się zadość tyloletnim staraniom. Władysław Pogrobowiec i hrabia Ulryk przyjęli uprzejmie poselstwo polskie. Powracającym z życzliwą odpowiedzią dziewosłębom królewskim przydani zostali z Wiednia mający zbadać bliżej wolę, osobę i obyczaje Kazimierza ²⁰⁾. Pomyślna ich relacya pociągnęła za sobą solenny w następnym roku zjazd poselski w Wrocławiu, gdzie stanęła ostateczna ugoda ślubna. Kazimierz otrzymał przyrzeczenie stu tysięcy węgierskich złotych posagu, a przyrzekł nawzajem trzy miasta królewskie, Koło, Opoczno i Przemyśl, na *oprawę* królowej. Radzono nad tém przez długich dziesięć dni, w kilkudziesięciu z obojęd strony posłów, pomiędzy którymi byli książęta, biskupi, kanclerze, wojewodowie i kasztelanów bez liku. Ukończonym obradom pobłogosławił głośny z cudów wymowy Jan z Kapistranu, kazaniem pod gołém niebem, którego kilkadziesiąt tysięcy ludu słuchało. Za kilka miesięcy, na początku roku 1454, miała młodociana oblubienica stanąć osobiście w Krakowie.

III.

Uroczystości przy wjeździe królowny do Krakowa i zaślubinach z królem Kazimierzem, liczą się do najwystawniejszych obrzędów dworskich w Polsce. Świetne grono najprzedniejszych panów i pań, mające w orszaku swoim przynajmniej dwa tysiące koni, powitało oblubienicę przed granicami państwa, w Cieszynie. Przed stolicą krakowską spotkał ją z całym dworem sam król Kazimierz, młody, led-

wie 26-letni mężczyzna, przyjemnej twarzy, wesołego wejścia, błyszczący od złota i klejnotów. Obok króla, w bogato przyozdobionej kolebce, jechała matka Kazimierzowa, stara królowa Zofia. Za niemi ciągnęli dostojnym rzędem arcybiskupowie, biskupowie, książęta szlęzcy, dygnitarze koronni. U bram miasta przyjęły wjeżdżających procesyę wszystkich kościołów, zakonów, cechów i bractw. Całemu pochodowi towarzyszył grzmiący odgłos dzwonów i trąb. Tak król jak i panowie wystąpili z nadzwyczajnym przepychem strojów i rzędów konskich. Rząd samego rumaka królewskiego szacowano na 40,000 złotych. Podobnież i na otaczających króla magnatach świeciły perły, aksamity, i złotogłowy. Młoda królowa mogła mniemać, że wjeżdża do kraju złotych gór. A to tylko chęć uczczenia jęj przybycia ustroiła tak bogato króla i panów dworskich.

Nazajutrz przy ślubie w kościele katedralnym, przyjazne młodej parze współubieganie się o zaszczyt dopełnienia obrzędu wywołało pomiędzy dostojnikami kościoła spór: kto ma ślub dawać. Pierwsze do tego prawo przyznawał sobie kardynał i biskup krakowski Zbigniew, jako gospodarz miejsca. Wyższe odeń prawo rościł sobie arcybiskup gnieźnieński, jako Prymas królestwa. Prawem rozjemcy i pośrednika chciał zaślubić oblubieńców ów świętobliwy mąż, Jan Kapistran, którego cudotwórcza od kilku miesięcy missya kaznodziejska w Krakowie, i obecność przy tym akcie zaślubin, stała im za najpiękniejszą ozdobę. Zgodzono się na wniosek rozjemcy, lecz gdy niezajomość polskiego i niemieckiego języka nie dozwoliła świętemu mężowi dokończyć rozpoczętego obrzędu, wyręczył go w daniu ślubu kardynał, a prymas namaścił i ukoronował królowę. Przez cały tydzień trwały te gody weselne, odprawiano uczty, tańce, turnieje. Po ośmiu dniach, liczny orszak węgierskich i czeskich pań i pań, który przybył z Elżbietą, pożegnał ją uroczyscie, i hojnie od króla polskiego obdarzony, wrócił nad Dunaj.

Pozostawiona w Polsce córka cesarska, znalazła przy boku króla Kazimierza godne swoich cnót i przymiotów pójzycie. Młody małżonek kochał ją „gorącą miłością“²¹⁾ i był wzajemnie od nię kochanym. Kraj okazał się Elżbiecie

w ogólności ubogim, lecz dwór opływał zawsze w dostatki, a i pospolici ludzie mieli sposobność gromadzić niemałe skarby, które wieśniaczym zwyczajem onego czasu po różnych zagrzebywano kryjówkach²²⁾. Naród tchnął jeszcze poniekąd rubaszną wieśniaczością, raził wykwintność zagraniczną widokiem swoich zgiełkliwych biesiad, swoich gminnych nałogów; lecz pod tą prostaczą powierzchownością było zdolne wzniosłych uniesień serce, płonął chciwy nauki umysł. Toć właśnie temi czasy, kiedy cnota rycerska mniej niż w innych latach płużyła, zdarzył się przykład heroicznego natchnienia, dany przez księcia na Zbarażu, który, od przemagającej siły Tatarstwa obleżony w swym zamku, „Samsonowym“—jak kronikarz o nim mówi— „duchem przejęty,“ wołał sam spalić się w grodzie z żoną i dziećmi, niż na czas jakiś pójść w niewolę pogańską²³⁾. A chęć nauki tak dalece ożywiła wszystkie stany narodu, że tysiące uczniów cisnęły się zewsząd pod sklepienia głównej szkoły krakowskiej²⁴⁾; że dla zapobieżenia grożącemu ztąd wyludnieniu siół, brakowi rąk w rolnictwie, musiano stanowić prawa, aby tylko pewnej liczbie synów włościańskich wolno było wydalać się na naukę²⁵⁾. Owszem nawet kobiety pały tak gorącą chęcią do nauk, iż niektóre, jak mianowicie pewna młoda dziewczyna, później na ksienię wyświęcona²⁶⁾ z niemałym w obec duchownych sądów niebezpieczeństwem, w mężki przebierały się strój, aby w krakowskim przybytku nauk zaczerpnąć wiedzy uczonój. Potrzeba było tylko zacząć, umysłowej podniety, a wszystkie szlachetniejsze popędy gotowe były bujnie rozwinąć się. Ile téj podniety wyjść mogło od światłój i cnotliwój królowój, tyle Elżbieta szczerze udzieliła jój narodowi. Uczyniła to zaś przykładem swego cnotliwego żywota i staraniem o również przykładowe późniejszego życia swych dzieci, służących tém za wzór całemu pokoleniu nowoczesnemu.

Własny żywot Elżbiety upływał wśród ciągłych trosk macierzyńskich i czynów bogobojności. Najpoważniejsze głosy społeczne, znane nam już z wzmianki poprzedniej, nazywają królowę „dziwnie pobożną, świętą.“ Przywiązana osobliwie do najsłynniejszego podówczas zakonu św. Franciszka, miała ona nawet przyjąć dozwolony świeckim osobom stopień

tercyarki ²⁷⁾). Tejże czei ku św. Franciszkowi, przeszło dwadzieścia klasztorów franciszkańskich i bernardyńskich, jużto przez samą królową jużto za jój staraniem przez króla zbudowanych, zawdzięczało Elżbiecie swój początek ²⁸⁾). Oprócz tego pozostały po niej inne jeszcze zakłady bogobojne. Jest np. takim kaplica św. krzyża, po prawej ręce przy wstępie do katedry krakowskiej, uposażona funduszem na dziewięciu duchownych; jest nim podobna fundacya ośmiu mansyonarzów w kościele św. Michała Archanioła w Krakowie, jest niejeden szpital dla ubóstwa okolicznego ²⁹⁾). A chcąc nawet w każdej powszedniego żywota chwili, codzienném zajęciem ręki, służyć Bogu i kościołowi, wypracowała królowa mnogie przybory kościelne, szyła komże, tkala ornaty bogate ³⁰⁾

To też wynagrodził ją Pan Bóg hojnie zato błogosławieństwem domowem. Dozwoliło jój niebo dochować się sześciu synów i pięciu córek ³¹⁾), oprócz dwojga za młodu ze świata wziętych. Nieraz dwanaścioro dzieci — chwali się Elżbiecie u ówczesnych wierszopisarzy i kronikarzy — spoczywało razem dokoła matki. Najmilszym jój sercu, jak naczni upewniają świadkowie ³²⁾), był średni z synów Olbracht, młodzieniec wesół, śmiały, rycerski, pełen wyniosłych замыsłów i przedsięwzięć. Starszy odeń dwoma laty Kazimierz, i najstarszy Władysław, ujmowali dziewczą skromnością i potulnością. Młodszy: Aleksander, Zygmunt i Fryderyk, dziwili przyjemnie swoją dziecinną powagą i wczesnym statkiem. Te ich osobiste zalety rozwijało od pieluch bardzo troskliwe prowadzenie. Synowie matki, która tak wysoce pokładała skuteczność edukacyi, iż osobne o niej pismo pozostawiła, otrzymali wszyscy rozumne, pracowite wychowanie.

Już między szóstym i siódmym rokiem życia wychodziły dzieci Kazimierzowe z pod pieczy niewieściej w ręce wychowawców męzkich ³³⁾). Głównym nauczycielem królewiców był Jan Długosz, kanonik krakowski, człowiek uczony i pobożny, bezwzględny prawdomówca, ojciec dziejopisarstwa naszego. Obok niego wymieniają spółczelni jeszcze pedagogiem chłopiąt królewskich niejakię Jana Welsa, mistrza z Poznania ³⁴⁾). Trzecim wychowawcą został później słynny Filip Kalimach Buonacorsi, uczony przybysz włoski, autor kilku szacownych pism o Polsce i Polakach, umysł nadobny

i przebiegły, a dla swojej polerowności, dla swego bystrego sądu w przedmiotach polityki, nadzwyczajnie ceniony u dworu, a zwłaszcza od królów.

Z tymi nauczycielami przejeżdżali się wychowawcy koronni co kilka lub kilkanaście miesięcy z jednej strony królestwa w drugą, z jednego zamku na drugi. Widzimy ich pod wyłącznym nadzorem wychowawców, zdaleka od rodziców królewskich, jużto w Tyńcu, jako w najbezpieczniejszym miejscu schronienia się od grasującego naówczas powietrza morowego ³⁵), jużto w Krakowie pod bokiem szkoły uczonej ³⁶), jużto w Starym Sączu ³⁷), w pośrodku zdrowej natury górskiej, jużto wreszcie w zamku lubelskim ³⁸). Wszędzie owa meżka surowość, jaką przed dwudziestu laty w swoich przepisach edukacyjnych Eneaszy Sylwiusz zalecał rodzonemu bratu naszej królowej Elżbiety, służyła za główną podstawę wychowania. W tej mierze starali się rodzice królewscy przede wszystkim o wpojenie królewicom uszanowania dla wychowawców. „Macie dwóch ojców“ — mawiał król Kazimierz do swoich dzieci — „jednego mnie, którym was spłodził, drugiego księdza Jana (Długosza), który wam umysł rozwinął“ ³⁹). A gdy cudzoziemcy przypadkiem weszli w progi mieszkania królewiców, pierwszą rzeczą, która ich uwagę na się zwracała, była uległość uczniów dla swoich mistrzów ⁴⁰). Tak poważany nauczyciel mógł w razie potrzeby nawet do bolesnych uciec się środków. Gdy bywało lament dzieci karanych dolatywał uszu królewskich, mawiał ojciec uradowany: „Niech płaczą! Nie masz dla mnie milszej muzyki nad płacz moich dzieci pod różgą nauczycielską“ ⁴¹). Toteż nie tylko łzy, lecz i głód i mróz i wszelkie trudy ręczne, nie były obce wychowankom królewskim. Przyodziani latem w grubą odzież sukienną, zimą zaś w proste kożuszki kozie; jadając poślednią zwyczajnie strawę ⁴²); dalecy od wszelkich wygod i pieszczot, oswajali się oni z wszelkimi dolegliwościami żywota, uczyli się wchodzić w niedolę każdego z najniższych poddanych swoich.

Wszakże ta szorstkość wychowania fizycznego nie wykluczała wytworności umysłu. Młodzieńcy królewscy przykładali się nawet do takich umiejętności, które podówczas miano jeszcze powszechnie za całę nowe i niezwykłe.

Mianowicie język i literatura klasyczna stanowiły ważną gałąź nauki. Po dziś dzień można (pomiędzy rękopismami zakładu Ossolińskich) widzieć grubą starożytną księgę, zawierającą wyciągi z najlepszych autorów klasycznych, zebrane przez Długosza dla królewiców⁴³⁾. W ważniejszych okolicznościach bądźto przy powrocie rodziców królewskich po dłuższej niebytności do stolicy i do bawiących tam właśnie synów, bądźto przy uroczystém podejmowaniu u dworu dostojnych gości zagranicznych, występowali uczniowie Długoszowi z przemową, ułożoną w niezwykłym dla świeckich uszu języku łacińskim, budzącą nim powszechny podziw dla młodocianych mówców⁴⁴⁾. Wtedy i powierzchowność królewiców nabierała świetności. Zamiast kozuszków kozłich, świeciły na nich adamaszki i złotogłowy, zamiast szarych sukien, jaśniał karmazyn; a gdy owi goście zagraniczni usłyszeli oracyę synów królewskich, gdy się przypatrzili ich ujmującym, strojnym teraz postaciom, ich nadobnemu zachowaniu się przy boku ojca—trudno im było później zapomnieć miłego widoku królewiat polskich, i opisując swoje po północnych i wschodnich stronach wędrówki, barwili radzi ten opis obrazem synów Kazimierzowych, nim jeszcze jeden z nich został świętym, a drugi wiekopomnym ojcem swego narodu.

Oto np. poseł ówczesnej Rzeczypospolitej weneckiej, *signor* Ambrosio Contarini, kreśli swoją przez Polskę do Azji odbytą podróż, i nadmieniwszy o odwiedzinach u króla Kazimierza w Łęczycy⁴⁵⁾, gdzie mu zwyczajem wschodnim nadesłano przed audyencyą suknię adamaszkową do przedstawienia się w niej królowi—dodaje następnie: „Dnia 19go (kwietnia r. 1474) przybyłem do ziemi, która się zwie Lubelska. Jest ona dość uprawna, z porządnym zamkiem, w którym bawili czterej synowie królewscy. Najstarszy mógł mieć około lat piętnastu, i tak stopniowo coraz niżej o rok. I mieszkali tam na zamku z bardzo światłym nauczycielem, który ich wychowywał. Chciano (a mniemam, że działo się to na rozkaz ojca), abym ich poszedł odwiedzić, co też rad uczyniłem. Jeden z nich powitał mię krótką przemową, tak zacną i rozsądną, jak tylko żądać można. A okazują nadzwyczajną rewerencyę swemu mistrzowi. Odpowiedzia-

łem jak należało, i złożywszy Ich królewicowskim Mościom słuszne podziękowanie za łaskawe przyjęcie, pożegnałem się.“

Wracając po trzech latach przez Polskę z Persyi, wstępuje Contarini znowu na dwór królewski. Bawił Kazimierz Jagiellończyk tym razem z królewicami na Litwie, w Trokach. Królewice znacznie podrosli. Widział ich Contarini teraz przez kilka godzin przy boku ojca, przy stole. „Dowiedziawszy się o mojem przybyciu“ — opowiada podróżny Włoch⁴⁶) — „wyprowadził Jego król. Mość dwóch kawalerów dworskich, aby mi powinszowali szczęśliwego powrotu i zaprosili mię na dzień jutrzejszy do stołu królewskiego. A następnego dnia (był to 15-go lutego 1477) rozkazał król Jegomość dać mi suknię z adamaszku karmazynowego, podbitą sobolami i zawezwał mię przed siebie. I chciał abym wjechał do dworu saniami, uprzężonemi sześcią rzadkiej piękności końmi, w towarzystwie czterech panów, którzy stali zewnątrz sań, i wielu innych, z wielką okazałością. Tak wjechaliśmy do pałacu Jego król. Mości, gdzie wysiadłszy, zostałem wprowadzony do komnaty królewskiej. Siedział tam król Jegomość we wspaniale przyozdobionem miejscu, mając przy sobie dwóch synów swoich, ubranych w strzyżony karmazyn, młodziuchnych i pięknych, że wyglądali jak dwa anioły. W którejto komnacie było jeszcze wielu panów i kawalerów znamienitych i inną szlachty. I postawiono dla mnie ławeczkę tuż naprzeciw Jego król. Mości, który przyjął mię tak mile i łaskawie, jak tego opisać nie jestem w stanie, i chciał abym jego dwóch synów ścisnął za ręce — jednym słowem, wyrządzał mi tak wielką ludzkość i uczciwość, że gdybym jego własnym był synem, nie mógłby mi być większej wyświadczyć. Chciałem mówić do niego kłęcząc, i wszelkiemi na to nastawiałem siłami; lecz król Jegomość nie chciał żadną miarą dopuścić, abym zaczął mówić do niego, aż póki piérwój nie wstanę. I żądał koniecznie abym usiadł, czegom ja żadnym sposobem uczynić nie chciałem. Wszakże nakoniec z posłuszeństwa dla częstych jego rozkazów, wypadło mi usiąść na chwilę. I tak siedząc, opowiedziałem Jego król. Mości z wszelką dokładnością całą moją podróż do Persyi... Poczém kazał mi król wstąpić do innej sali, gdzie były już stoły nakryte, a miałem

zawsze liczne towarzystwo około siebie. Po krótkiej chwili wszedł Jego król. Mość z synami przy odgłosie trąb i z wielką okazałością. I usiadł sam przy jednym stole, a przy nim po prawej ręce siedzieli pomienieni synowie jego, po lewej zaś najpierwszy z jego biskupów, a ja tuż za nim, niedaleko Jego król. Mości. A panowie, których było tam wielu, siedzieli także przy stole, ale nieco opodał, a było wszystkich, jak sądzę, około czterdzieści osób. Potrawy przynoszono na stół wśród coraz nowego odgłosu trąb, na wielkich półmiskach i w wielkiej obfitości. A do stołu służyli pacholki, jak u nas. Siedzieliśmy tak przy stole ze dwie godziny, w którymto czasie Jego król. Mość zadawał mi znowu wiele pytań względem mojej podróży, na co ja należycie odpowiadałem. Po skończonej uczcie, gdy uprzątniono stoły, zabrałem się do pożegnania Jego król. Mości, i stojąc zapytałem, czy ma jeszcze co do rozkazu. Natenczas król zlecił mi, abym prześwietną Signoryę (wenecką) pozdrowił od Jego król. Mości, i wiele uprzejmych wyrazów dodał, i kazał synom swoim, aby przemówili do mnie w tenże sam sposób. Zaczęłam oddawszy powinno uszanowanie, pożegnałem króla jegomości i jego synów.“

Nie masz tu żadnej wzmianki o królowej Elżbiecie. W XV wieku i w Polsce, klasztornie pobożna niewiasta, a zwłaszcza tereyarka zakonna, jak matka naszych królewiat, bywała bardzo rzadko widziana w gronie mężczyzn, w obec podróżników cudzoziemskich. Podczas gdy król z starszymi synami przyjmował gości z stron obcych, gdy młodsi synowie pod przewodnictwem swych mistrzów w zacisznym kształcili się ustroniu—ona wśród dworu niewieściego, czuwała nad swojemi córkami, równie starannie i szczęśliwie wychowanemi. Obyczajowe oddalenie od synów wynagradzało się jej radością z pomyślnych skutków starań około moralnej ich przyszłości. Edukacyjna troskliwość królowej, dzięki której młodzi Jagiellończykowie wyglądali w oczach cudzoziemców „jak aniołowie,“ przyniosła już za życia Elżbiety błogie dla nich, dla kraju i dla niej samej owoce.

IV.

Synom królewskim wychowanie wzorowe daleką jednako cześć. Lubo narody ówczesne nie żyły z sobą w tak bliskich jak dziś stycznościach, wiadano przecież w jednym kraju, czém się odznaczał drugi. Przez usta podróżników jak ów poseł wenecki, rozchodziły się po zagranicy, a zwłaszcza po przyległych krajach Węgrzech i Czechach, najpomysłniejsze o młodych Jagiellonach powieści. Ztąd gdy w zaburzeniach ówczesnych trony tych ludów niejednokrotnie opróżniały się, szły od nich wzajem prośby o królów do Polski. Skutkiem takiej odezwy Czechów, został najstarszy z wnuków Jagielly i cesarza Albrechta, dobrotliwy Władysław, jeszcze za życia i za przyzwoleniem czeskiego króla Jerzego z Podjebradu, obrany królem czeskim. Mało-co później znaczna część Węgrów powołała drugiego świętobliwego Kazimierza, na tron węgierski ⁴⁷⁾. Własna Jagiellonów ojczyzna Polska, zniewolona patrzeć jak narody sąsiednie wydzierają sobie jój królewiców, musiała na młodszych przestawać braciach. Są poszlaki pismienne, uwiadamiające nas o przechylaniu się korony szwedzkiej na skroń trzeciego Jagiellończyka ⁴⁸⁾. Owszem, czwartemu z braci przeznaczyła fortuna jeszcze nierównie wspanialszy los.

W tym samym roku, kiedy jeden poseł wenecki dążył przez Polskę do Azji, przybył ztamtąd do Polski inny ambasador wenecki, niejaki Catherino Zeno, niosący królowi Kazimierzowi ważne od cesarza Persyi poselstwo. Szukając w Europie sprzymierzeńców przeciw zdobywcom Grecyi, Osmanom sułtana Mahmuda, któremu potężna podówczas Persya zagładę poprzysięgła, kazał cesarz perski Hussenkassan oznajmić królowi Polskiemu: „Mam ja dwie córki dorodne, z których jedną, w wiarę chrześcijan ochrzczoną, chcę wydać za twego syna i przeznaczam mu w posagu całe cesarstwo greckie, zdobyte wspólnym trudem na Turkach ⁴⁹⁾. Król Kazimierz uśmiechnął się. Miał on dość trudów w utrzymaniu synom Węgier i Czech.

Zaprosiny królewiców Jagiellońskich na trony sąsiednie

świadczyły na wszelki wypadek o dobrej ich sławie za granicą, lecz dalsze ubezpieczenie napływających koron, przechodziło niekiedy w rzeczywistości dotychczasową materialną potęgę domu Jagiellońskiego. Koronę węgierską osiągnął później Jagiellończyk Władysław, łącząc ją z berłem czeskim. Teraźniejsze powołanie do niej królewica Kazimierza pozostało tylko bezskutecznym świadectwem czci, jaką synowie Elżbiety posiadali w domu i za granicą.

Zamiast węgierskiej, uśmiechała się Kazimierzowi inna korona. Dziewicze obyczaje, gorące ćwiczenia duchowne przy wątlém ciele, i owa żarliwość religijna ⁵⁰⁾, którą spostrzegamy zarówno w uczniu i kronice Długosza, zwracały nań wcześniej oczy pobożnego podziwu. Po zgonie w kwiecie młodości, zaczęły krążyć pogłoski o cudach u grobu królewica. Myśl wydania na świat *świętego*, jakąż błogą rozkoszą musiała macierzyńskie przenikać serce! Ułatwił spełnienie się téj myśli przez kanonizację św. Kazimierza, przedostatni z synów Elżbiety, mądry Zygmunt. Tysiące dusz zasmuconych, cierpiących, znachodziły odąd rokrocznie nadziemską ulgę u trumny nowego orędownika w niebiesiech. Sam podejrzany w prawowierności Bielski przyświadcza, jako „wiele pomocy uznają ludzie chorzy przy jego grobie“ ⁵¹⁾.

Oprócz tego błogosławieństwa niosło wychowanie Jagiellońskie jeszcze mnogie inne, pomyślnie krajowi skutki. Uszanowanie dla nauk, głoszone jawnie tak pilnym przykładaniem się do nich synów królewskich, wpajało się coraz głębiej w wyobrażenia i obyczaje całego społeczeństwa. Wzbudzona tém wychowaniem potrzeba światłych nauczycieli, nakazująca otwartemi ramiony przyjmować wszystkich uczonych mężów z stron obcych, przeszczepiona z dworu królewskiego na dwory pańskie, napełniała u schyłku XV i w pierwszej połowie XVI stulecia cały kraj znakomitymi cudzoziemcami, którzy z wielu względów wpłynęli dobroczynnie na dziwnie szybki postęp narodu w oświacie i uobyczajeniu. Zaczawszy od Kallimacha, dziejopisa Warneńczykowego, aż do Jodoka Deciusza, opisywacza dziejów i rodziny Zygmunta, iluż innych jeszcze gości uczonych, jak ów Konrad Celtés, poetyczny wielbiciel Wisły, jak Vadian

i Schraeter, pierwsi pisemni rozślawiacze kopalń krakowskich, jak Hartman Szedel, opisywacz stolicy Jagiellońskiej, jak Zainer, Lotter, Haller, pierwsi drukarze polscy, powiększyło umysłowy ruch tego czasu, w którym Jan Ostroróg pisał o *poprawie* Rzeczypospolitej ⁵²⁾, Mikołaj Kopernik przysposabiał się do swoich odkryć astronomicznych, a Wit Stwos pracami dłuta swego ozdabiał Kraków. Ileż wreszcie przybyśzów i ruchu naukowego w uczonéj szkole krakowskie! Jakoż najlepszym dowodem zbawienno-go wpływu wychowania dzieci królewskich na oświatę powszechną jest ówczesna liczba uczniów téj szkoły. Zgromadzało się ich niekiedy, przy uroczystszych obchodach, jak np. na pogrzebie Filipa Kallimacha, do piętnastu tysięcy. Donosi o tém przyjaciel Kallimachów, naoczny świadek pogrzebu, w liście z Krakowa do Włoch ⁵³⁾. A kto się zastanowi nad zwycajnym pod koniec średnich wieków natłokiem uczniów po akademiach, skutkiem którego np. w Pradze, kilkudziesięcią laty przed królową Elżbietą, tylko jedna część ludności akademickiej, emigrująca z niechęci ku Hussowi do Lipska, liczyła po 5,000 głów—przeciw któremu natłokowi, jak już wspomniano, musiały względem synów kmiecych stanowione być prawa, aby całkowicie nie opuszczali pługa—ten ową liczbę uczniów krakowskich nie znajdzie zbyt przesadzoną. Za niedawnym przykładem starownego wychowania synów królewskich jał teraz kraj cały tłumnie wychowywać się i oświecać.

Patrzyła na to królowa Elżbieta z powagą uznaną przez wszystkich matki i wychowawczyni pokolenia młodego. Rzadko kiedy widzimy ją za życia króla Kazimierza, jakoteż po owdowieniu, mieszającą się w sprawy publiczne: lecz ile razy zdarzy się to, zawsze szanowna małżonka i matka królewska stanowczy w rodzinie wywiera wpływ. Oto np. węgierski król Maciej Korwin żąda królowny Jadwigi w małżeństwo i ofiaruje pod tym warunkiem pokój Polakom, a król Kazimierz skłania się już do wydania mu córki. Wtedy królowa Elżbieta, zawzięta nieprzyjaciółka Korwina, nieprzyjaciela jéj brata Pogrobowca—„słowa na to“—jak kronikarz się wyraża ⁵⁴⁾—„niedała rzec, mówiąc: Iż Matyas chłop, kurczek Wołoszyn, nie godzien jéj!“—przeco zerwały się

układy. Podobnież gdy później król Aleksander drugą siostrę Elżbietę zaślubić chciał Bohdanowi, gospodarowi wołoskiemu, „stara królowa“ znowuż—“słowa na to nie dała rzec ⁵⁵⁾, ponieważ był innéj wiary. Gdy po śmierci króla Kazimierza następstwo tronu, już wówczas na los elekcji zdane, chwiało się pomiędzy dwoma synami, królowa Elżbieta nadesłaniem kilku chorągwi zbrojnych starszemu i ulubionemu synowi Olbrachtowi, rozstrzygnęła sprawę na jego korzyść. Widząc zaś po zgonie Albrechtowym, jak przy podobnież wątpliwéj elekcji, syn Aleksander, przemocą oręża, zamyślał zdobyć sobie koronę, umiała matka powstrzymać go od wybuchu i ułatwić mu tém spokojne posięście tronu. „Tak więc“—mówi światły jéj dziejopis dzisiejszy ⁵⁶⁾— „po raz drugi wybawiła Elżbieta Polskę i Litwę od wojny domowéj.“ Jeśli kto, tedy nasza matka Jagiellonów, ta (jak z podziwieniem powtarzali o niéj spółczesni) „córką królewską, siostrą królewską, małżonką królewską, matka trzech (później nawet czterech z kolei) królów ⁵⁷⁾ — zasłużonéj używała powagi.

W takiméż tégż uczuciu rzeczywistéj wyższości umyśliła królowa Elżbieta udzielić synowi Władysławowi, już królowi czeskiemu, w lat dziesięć po owdowieniu, jako matrona siedmdziesięcioletnia, swoich wyobrażeń i doświadczeń edukacyjnych. Po skreślonym tu szkicu jéj życia, będziemy zapewne mniéj skorzy odmawiać Elżbiecie głównego udziału w piśmie, które wypłynęło z tego zamysłu. Wypiastowana na rękę piśmiennéj wychowawczyni, autorki, owéj Heleny Kottaner—sławiona przez spółczesnych jako główna uczestniczka w staraniach około wzorowego wychowania synów Kazimierzowych ⁵⁸⁾—surowa karcicielka wychowania zaniedbanego i obyczajów prostaczych, rażących ją w osobie bądź to owych wzgardzonych spółzawodników o rękę córek królewskich, bądź własnej synowéj W. księżniczki Heleny, małżonki Aleksandra, którą mąż w przechowanych dotąd listach do matki musiał usilnie uniewinniać w téj mierze ⁵⁹⁾—osobliwie zaś mając przed sobą wzór rozprawy edukacyjnéj napisanéj przez sławnego autora dla rodzzonego brata królowéj—była Elżbieta ze wszech miar usposobioną do przesłania synowi listu podobnéj treści — ma Elżbieta zupełne

prawo do pisma, które naraz ze wszelkimi warunkami autentyczności zewnętrznej, pojawia się niespodzianie pod jej imieniem.

W zakończenie wglądnijmy w osnovę tego ciekawego i znakomitego zabytku historii Jagiellońskiej.

V.

„Słyszę synu najukochańszy!“ — rozpoczyna królowa swoją mowę do Władysława, — „co daj panie w niebiesiech! iż Anna, małżonka twoja, powije ci wrychle małego Kazimierza. Jak niezmierną radością i pociechą przejęła mię ta wiadomość, możesz już z tego powziąć, iż żadną miarą powstrzymać się nie mogłam, aby nie ułożyć na piśmie dla ciebie i Anny twojej nauk niektórych, mogących zdaniem mojem przyczynić się do należytego wychowania dziecka naszego. Jakież bowiem pożądańsze i radośniejsze może nam Pan Bóg wyświadczyć dobrodziejstwo, jak dać ci syna, który....

„A wychowania królewskiego naukę któż kiedy w czasach dawniejszych, któż za dni naszych, owszem któż w przyszłych (śmiałybym wyrzec) wiekach, zbadał dokładniej odemnie, która będąc córką i małżonką dwóch najzaczniejszych królów, mając dziada i rodzonego brata królami, zostawszy matką trzech królów, jednego W. księcia (litewskiego) i kardynała jednego — wydałam na świat sześciu synów i tyleż córek, wypiastowałam ich, wychowałam, i nieraz z niemi, ku osobliwшему zdziwieniu i radości ludzkiej, u jednego zasiadywałam stołu. Jakoż (co także do szczęścia mego policzyć trzeba) blisko ośmdziesięciu lat już dochodząc, a do dnia dzisiejszego najczerstwiejszych i w niczem nienadwątlnych używając zmysłów, jestem od całego świata poczytywana za szczęśliwą, sławiona jaka taka. Bo masz wiedzieć synu najdroższy, że znamienite talenta piśmienne wielbią już imię moje. W dowód swojej szczególnej życzliwości ułożył pewien włoski poeta niepośledni o mojem szczęściu wiersz, który zapewne chętnie odczytasz...

„Wybaczysz, sądę, tej wzmiance o saméj sobie. Starzy

ludzie, jak wiesz, chętnie powtarzają swą chwałę. Zwłaszcza w obec dzieci, które mają być naśladowcami ich cnoty....“

Po tym wstępie obejmującym 5 stronic, radzi królowa Elżbieta najprzód, aby synowa Anna swe przyszłe dziecko ile możności sama karmiła. Tylko gdyby to żadną miarą stać się nie mogło, niech mu da mamkę szlachetną, obyczajną a osobliwie wymowną. Ku poparciu tego następują na dalszych 5 stronicach zgodne z wyobrażeniem królowej zdania innych osób w téj mierze, stwierdzone różnemi przykładami.

Drugą radą jest również wymowne zalecenie pobożności, sprawiedliwości, a przedewszystkiem odwagi, po których idzie zaraz pochwała wstrzemięźliwości w jedzeniu, zakończona przepisem osławiania dziecka z grubą niekiedy strawą.

Żadna zaś cnota, mniema matka następnie, nie zdoła zajaśnić bez wymowy. O tę więc należy rodzicom królewskim starać się usilnie dla swego dziecka, a to przez wynalezienie mu znamienitych nauczycieli, nad których nie masz nic pożądanszego i zacniejszego w tém życiu, jak tego dowodem przemnożone przykłady starożytnych mędrców i bohaterów.

Zaczém kreśli Elżbieta, na blisko dwudziestu stronach, aż do połowy dziełka, zajmujący obraz codziennego trybu życia i edukacyi przyszłego wnuka! Rano do wczesnego obiadu trwają nauki. Potém swobodna, nie nateżająca pogadanka, albo, co bardzo użyteczném dla dzieci bywa, przysłuchiwanie się muzyce, śpiewom. Po południu znowuż do książki, z której teraz nauczyciel czytać może uczniowi ustępy z poetów starożytnych, mianowicie z Wirgiliusza, tego Homera rzymskiego. Aby nie znużyć chłopięcia, ma wkrótce nastąpić chwila spoczynku, poświęcona rozrywce, ćwiczeniom ciała a zwłaszcza takim grom i zabawom, w których popłaca więcej zręczność niż siła albo przypadek. Potém, ostatnim do nauki nawrotem, weźmie chłopiec przed się studjum retoryki, ułatwione tłumaczeniami z języka ojczystego na łaciński, jakotóż wykładem celujących w tym zawodzie pisarzy klasycznych, jak np. Cyclerona albo (według zdania Kalimachowego) Xenofonta, autora Cyropedyi.

W dnie świąteczne niech królewic pod należyty nadzorem idzie na łowy, rozumie się mniej niebezpieczne, jak np. sarn, zajęcy, kóz dzikich i t. p. Jeśli natenczas w drodze, w lesie, podczas spoczynku, zdarzy mu się spotkać się z ludźmi ubogimi, otrzymać zwyczajem krajowym jakiś podarek, zażądać przypadkowie pomocy, powinien okazywać wszystkim uprzejmość, rozmawiać z każdym uprzejmie i wesoło, nie skąpić oznak przychylności. — Przy ucztach świątecznych, w których będzie miał udział królewic, godzi się jaknajwiększą zachować skromność. Wystarczą cztery rodzaje potraw, jeden gatunek wina, i to, jeśli być może, acz obyczaj krajowy srodze temu sprzeciwia się, a nawet wielki upatruje w tém grzech — wodą rozpuszczonego. Jako dowód złych skutków, wypływających z zaniedbania tych przepisów skromności biesiadniczej, przytoczone są różne przykłady, między innemi, Macieja Korwina, króla węgierskiego, który w ogóle służy nieprzyjaznej Elżbiecie za obraz przywar edukacyjnych. Nakoniec czytamy tu zalecenie starań około przyozdobienia powierzchowności, o zręcznie trefiony włos, co także w danych okolicznościach pomyślne dla dzieci królewskich sprawia wrażenie.

Druga połowa dziełka zapełniona jest morałami ogólniejszemi. Zalecają one wstręt od podchlebstwa i pochlebców, chronienie się ambicyi, „tėj plagi królestw i królów.“ Natomiast niech wychowanek przyszły będzie dla wszystkich uprzejmym i przystępnym, niech miłuje stałość, wierność i prawdę, a osobiwie niech dba o wstrzymięźliwość zmysłową, która z tylu względów uświetnia osobę królewską. Za umiarkowaniem w życiu codziennem nastąpi sama przez się równowaga moralna, umiejąca zawsze czyto w pomyślności czy w nieszczęściu, należytą zachować miarę. W tém téż, w ludzkości, w szczodrobliwości, zwłaszcza względem uczonych, bez których pomocy nawet najzasłużeńszych monarchów pamięć zgasłaby w dziejach bez śladu, w ujmowaniu sobie serc ludzkich dobrocią i łaskawością, polega od dawna główna domu Jagiellońskiego zaleta, i w niejto powinien królewic czeski celować.

Na ostatnich kartach podane są niektóre przepisy względem zewnętrznego udostojnienia osoby, przez przy-

swojenie sobie pewnej naturalnej majestatyeczności, dalej od wszelkich gminnych objawów podziwu, śmiechu, zniecierpliwienia. Da ona nabyć się wczesnem przyzwyczajeniem królewica do okazalszych uroczystości dworskich, do przemawiania w obec licznych słuchaczy, a nie wyklucza bynajmniej również potrzebnej biegłości fizycznej we wszystkich ćwiczeniach rycerskich, jakoto w szermowaniu orężem, robieniu kopią i lancą, używaniu strzelby i łuku.

Kończy się całe pismo zwięzłą rekapitulacją wszystkich zawartych w niem rad i przestróg, które mimo swojej zwyczajnej ogólnikowości, mają przecież wiele cech szczegółowych, tylko swemu odrębnemu przeznaczeniu, swemu do potomka Jagiellonów skierowaniu właściwych. I tak obok tłumy przykładów historycznych, udowadniających każdą radę podaną, branych pospolicie z klasycznej starożytności, a temsamem nietyle zapewne z wspomnień Elżbiety, ile z erudycyi stylizatora listu pochodzących, napotykamy z radością bardzo wiele podobnych wzmianek, wziętych z obrębu rodziny i rodzinnego pożycia Jagiellonów. Nie dowiadujemy się z nich wprawdzie o żadnym nowym wypadku historycznym; ograniczają się one prawie wyłącznie na powtórzeniu pewnego w ustach Jagiellońskich zwyczajnego morału, pewnego rysu charakteru członków rodziny królewskiej; lecz bliskość i autentyczność źródła tych podań nadawa im nadzwyczajnie wiele powabu i nowości. Można złożyć z nich następujące obrazki pojedynczych Jagiellończyków.

Sam król Kazimierz, ojciec rodziny, którego królowa nigdy bez łez przypomnieć sobie nie może, okazuje się przedewszystkiem najpobożniejszym z monarchów tamtoczesnych. Wrodzona majestatyeczność czyni go małowymnym. Pomyślność o tyle tylko przejmuje go radością, o ile podaje mu sposobność składać za nią dziękczynne modły Niebiosom. Żądza powiększania władzy i posiadłości jest w jego oczach zgubą państw wszelkich. Umiarkowanie w używaniu uciech i przyjemności codziennych robi go wielkim przyjacielem zwyczaju biesiad włoskich, przy których trzy lub najwięcej cztery rodzaje potraw stoją na stole, a wino bywa mieszane z wodą. Za to hojność królewska posuwa się w nim tak daleko, że ledwie

nową przywdzieje szatę, zaraz nią któregoś z dworzan obdara. Za największe zaś szczęście poczytuje sobie król Kazimierz obecność ludzi uczonych, mianowicie Filipa Kalimacha, dla którego cała rodzina królewska nie może dość pochwalnych znaleźć wyrazów. — Po królu świeci w wspomnieniach królowej najjaśniejszą pamięć ulubionego syna Olbrachta. „Jakże niewysłowioną radością rozpyływało się serce moje, o Boże!” — woła matka wzruszona — „gdym w Olbrachcie moim widziała wszystko zebrane, co tylko potrzebne jest majestatowi królewskiemu! Zda się, jakoby sama natura stworzyła go do korony! Bo i powaga i ludzkość i hojność, nawet względem takich, którzy się jej nie spodziewali, walczyły w nim o pierwszeństwo, wzbudzając powszechną dlań cześć i miłość. A jak szczodrobliwym i łaskawym okazywał się Olbracht dla Kalimacha, swego dawnego mistrza a późniejszego doradcy! Nie lubiąc jednakże szumnemi popisywać się słowy, powtarzał on zwyczajnie, iż dlatego natura dała ludziom dwoje uszu a jedno usta, aby więcej słuchali niż mówili. — Również ludzkim i szczodrym jest Aleksander, panujący właśnie po zmarłym bracie Olbrachcie, gdy matka Elżbieta układa swe przepisy edukacyjne. Ile razy wypadnie mu być w podróży lub na łowach, nie minie kmiotka żadnego, aby z nim nie pomówił, a nawet nie wzdryga się napić z czarki ubogiej, i owszem wychyli ją aż do dna. Pewnemu zaś młodzieńcowi, który 24 wierszy na jego pochwałę złożył, uradowany Aleksander darował tyleż sztuk złota i jeszcze konia w dodatku. — Młodo zgasły Kazimierz, którego świętobliwość już za życia matki wróżyła mu przyjęcie w poczet świętych, nie niewał tyle środków do folgowania hojności, co starsi bracia. Wszakże i to, czém rozrządzał, pozwalało mu zjednać sobie chwałę rzadkiej dobroczynności. Jakkolwiek przecież miłował ludzi, najwyższym po Bogu przedmiotem czci i względów była u niego prawda. Zły książę wydawał mu się podobnym do przetaka z którego wszystko wycieka. — Podobnie i najmłodszy z braci, późniejszy kardynał Frydryk, miał wysokie wyobrażenie o powołaniu książęcém. Uczoność cenił on, jako jedną z podrzędnych zalet królewskich. Ludzkość, dobroć, uchodziła w jego oczach za wyższą na

wszelki wypadek cnotę. — Zygmunt mało jeszcze wówczas był znanym. Zdaleka, pisze matka, wygląda on surowo, nawet ponuro. Wszyscy atoli, którzy zbliżają się do niego, nie mogą nachwalić się jego uprzejmości, dobroci, przystępności i wielce ztąd rozmiłowani są w nim. — Zdanie macierzyńskie sprawdziło się później miłością całego narodu, długich wieków.

Oprócz wzmianek o członkach rodziny królewskiej obfituje rękopism królowej w charakterystyczne rysy innych osób społecznych, jak np. króla węgierskiego Macieja, Kalimacha, wielu w Czechach i w Polsce bawiących legatów rzymskich, niektórych dostojników dworu syna Władysława czeskiego i t. p. Jeśli te ostatnie przykłady mogły równie snadno wypłynąć z pióra królowej jakoteż jej kanclerza; jeśli przeplatające całą rozprawę reminiscencye klasyczne przyznajemy całkowicie temuż stylizatorowi urzędowemu: tedy przynajmniej w przywiedzionych tu wzmiankach rodzinnych, mianowicie w owym wezbraniu uczucia przy wspomnieniu ulubionego Olbrachta, w owym wylaniu się dumy macierzyńskiej jakim zaczyna rękopism, niepodobna zdaniem naszym zapoznać bezpośredniego udziału matki. Zresztą należy jeszcze wymienić szczegół, popierający przypuszczenie autorstwa Elżbiety. Zalecając wnukowi swojemu przedewszystkiem ludzkość, odzywa się królowa do syna Władysława: „Jakoż, mam-li otwarcie z tobą mówić, więcej do tąd sławy odniósł ród nasz z ludzkości, niż z czynów znamienitych“⁶⁰). Tak skromnego wyznania nie mógł, sądzymy, dopuścić się kto inny, jak tylko samaż matka rodziny, najmniej zaś pisarz urzędowy, dworski, pochlebca, jakim bez rzeczywistego wpływu Elżbiety, musielibyśmy uznać podrabiaacza rozprawy.

Mamy wreszcie w samém piśmie skazówki tej pomocy, która ułatwiła pracę królowej. Są niemi ślady bliskiego podobieństwa, zachodzącego między rozprawą Elżbiety, a owem edukacyjnem pismem Eneasza Sylwiusza, ułożonem dla jej brata i spółwychowanka, służącym jej następnie za wzór do własnej pracy. Uderzają te znamiona powinowactwa osobiwiewe w zaleceniu mamki w y m o w n é j, pożywienia grubego, znamienitych nauczycieli, przykładania

się do utworów Wirgilego. Tak niepewszednie na ową epokę rady bywają niekiedy prawie temiż samemi dawane słowy. I tak np. przy zachwalaniu dobrych nauczycieli używa jedna i druga rozprawa tegoż samego przykładu Tymoteja, starogreckiego nauczyciela muzyki, który od uczniów mających już pierwsze początki wymagał dwójnasób większej nagrody niż od innych, ponieważ musiał oduczać ich na-przód tego, co im źli nauczyciele wpoiili.

Jak samo dziełko stawia oczywisty dowód staranności królowej około wzorowego wychowania rodziny, tak też wszystkie okoliczności zgadzają się na przyznanie jej daleko istotniejszego w niém uczestnictwa, niżby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło. Nasza matka królów, córka cesarzów, pozostanie na wszelki wypadek główną wychowania Jagiellonów mistrzynią.

Pamiętano też przez długie wieki to wychowanie. W sto lat po przyjściu Elżbiety do Polski, w mowie na cześć Zygmunta starego, wychwala je szerokimi słowy głośny w narodzie Orzechowski ⁶¹). W blisko dwieście lat przypomina je z uwielbieniem żywociarz Władysława IV-go Wazy, Kobierzycki ⁶²). W roku, w którym to piszemy, upływa właśnie czwarty od zaślubienia Elżbiety wiek.

Zdarzone temi czasy wydobyte tej nieznannej księgi edukacyjnej powinno w tém jaśniejszém świetle przedstawić jej piękną rolę w historii.

P R Z Y P I S K I.

- 1) Porównaj społecznego Dubravii Hist. Boh. Han. 1602. str. 265.
„Caetera in illo jure optimo laudaveris.“
- 2) Piękny artykuł Aleksandra hr. Przeździeckiego w Bibliotece Warszawskiej, 1852, I. 524.
- 3) Dubravii Hist. Boh. p. 265.
- 4) Klose Von Breslau Doc. Gesch. V. 757.
- 5) Porówn. datę urodzin w Jodok. Dec. De Jagell. fam. (Pistorii Corpus. II: 289 1 marca 1456) z datą śmierci w Dubrav. Hist. p. 265—15 marca 1515.
- 6) „Tamen de filiabus non curatur“ — Senatorium Martini Abb. w Pez Script. rer. austr. II. 659.
- 7) Dług. Hist. XIII. 570.
- 8) Gołębiowski Dzieje polskie pod panow. Jagiell. III. 268.
- 9) Oratio in fun. Sigism. przy Kronice, w wyd. Koloń. 1589 st. 462.
- 10) Udzieloną przez Aleks. Przeździeckiego (Biblioteka Warsz. 1852 I. 528) wiadomość o urodzeniu się Elżbiety około roku 1436 potwierdza społeczny kronikarz austriacki Ebendorfer de Haselbach, zażyły na dworze króla Albrechta, a donoszący nam (Pez Script. rer. austr. II. 1853), że Elżbieta około szesnastego roku zaręczoną została swemu polskiemu małżonkowi, który ostatecznie w r. 1452 zgłosił się o jej rękę.
- 11) Aen. Sylv. Hist. Imp. Frid. III. w Kollara Anal. med. aevi II. 207.
- 12₁) Tamże.
- 12₂) Przeździecki. Bibl. Warsz. 1852. I. 530. Część Pamiętników Heleny wyszła z druku w Lipsku r. 1846.
- 13) Aen. Sylv. Opera omnia. Basileae 1551. p. 964. Tractatus de liberorum educatione. Ad Ladislaum Ungariae et Bohemiae regem.
- 14) „Quae jam quintum decimum agens annum perstitit innupta.“ — Ebendorfer w Peza Script. rer. austr. II. 1853.
- 15) Ob. intercyzę z r. 1440 w Herrgott Monum. dom Austr. III. p. I. str. 82.
- 16) 1436. Długosz Hist. XII. 693. 700.
- 17) Długosz Hist. XII. 708.
- 18) Tamże XII. 711. 712. Kurz Oesterreich unter K. Albrecht II. Tom II. 300—gdzie dokument plenipotencyi, dany posłom polskim w Krakowie feria 3 ante ascensionem Domini 1439.

- 19) Wapowski Dzieje kor. Pol. Tłum. Malinowski. II. 410. — Długosz Hist. XII. 771.
- 20) Długosz Hist. XIII. 101.
- 21) Porównaj Długosz Hist. XI. 661. Gołębiowski Dzieje Jagiellończyków II. 381. — Miechowita o samym królu Kazimierzu — w Pistor. Corp. II. 223.
- 22) Długosz Hist. XIII. 516.
- 23) Wiszniewski Hist. literat. IV. 450.
- 24) Ustawa z r. 1496. Voll. Legg. I. 259. 260. Statuimus quod tantummodo unus filius de villa a patre recedere possit ad studia literarum artificiorum.
- 25) Pez Scriptor. rer. austr. II. 629.
- 26) Herrgott Monumen. Dom. Austr. III. LXXXIII., według Lequileusa.
- 27) Tamże.
- 28) Miechow. Chron. w Pistor. Corp. II. 257.
- 29) Tamże.
- 30) Dwie córki umarły w latach dziecięcych. O kolei w jakiej przychodziły na świat dzieci królewskie ob. Jodok Decius De Jagell. fam. W Pistor. Corp. II. 300.
- 31) Miechowita.
- 32) Długosz Hist. XIII. 411. Królewice, Kazmierz i Olbracht urodzili się w l. 1458 i 1460 a już w r. 1467 obejmuje Długosz nadzor nad nimi.
- 33) Miechowita str. 246.
- 34) Długosz Hist. XIII. 411.
- 35) Tamże XIII. 437.
- 36) Kobierzycki Histor. Vladisl. p. 23.
- 37) Viaggio del Mng. M. Ambrosio Contarini w Secondo Vol. delle Navig. et Viaggi. Venetia 1574. str. 113.
- 38) Vita Długossi — przy lipsk. wyd. Hist. Długoszowej.
- 39) Ambr. Contarini — str. 113.
- 40) Orzechowski Orat. in funere Sigism. Pistor. III. 37.
- 41) Kobierzycki Hist. Vladisl. p. 23.
- 42) Nadmieniam o tym rękopiśmie August Bielowski w wydanych świeżo Fragmentach Troja. str. XI.
- 43) Długosz Hist. XIII. 437.
- 44) Secondo vol. delle Navig. et Viaggi, raccolte da Giov. Batt. Ramusio. Venetia. 1574. str. 113.
- 45) Tamże fol. 124. p. vers.
- 46) Długosz pod latami 1469 i 1471.
- 47) Gołębiowski Panowanie Jagiellonów III. 433.
- 48) Długosz Hist. XIII. 509.
- 49) Porówn. Ferreriusza Vita B. Casimiri Thorun. 1521. str. Alii Syzmatyków eo sancto insectaret odio...
- 50) Kron. wyd. Gałęz. VI. 19.

- 52) Monum. pro Reipubl. Ordinatione w Pamiętn. Warsz. r. 1818. T. XII.
- 53) Wiszniewski Hist. Liter. IV. 450.
- 54) Bielski wyd. Gałęz. V. 224.
- 55) Bielski VI. 82.
- 56) Aleksander Przezdziecki. Bibl. Warsz. 1852 I. 541.
- 57) Miechowita. Pistor. II. 257.
- 58) Obacz cytaty 8 i 9.
- 59) Gołębiowski. Panowanie Jagiell. III. 453.
- 60) Kopia Zakł. Oss. str. 75. „Et ut verum coram te loquar: hactenus plus laudis ex humanitate quam rebus excellenter gestis nostra domus et adepta.“
- 61) Pistor. Corpus. Hist. Pol. III. 36, 37.
- 62) Vita Vladisl. p. 23.

JADWIGA JAGIELLONKA,

KSIEŻNA BAWARSKA.

Przez kilka tygodni roku 1475-go nie mówiono w Niemczech o niczém inném jak tylko o festynach wesela książęcego w Landshucie. Prawie połowa książąt niemieckich, wraz z cesarzem Fryderykiem III, zjechała na miejsce godów, zamienione w kilkunastodniową stolicę przepychu, ceremonij, bogactw, hojności i zabawy. Jeden z widzów ucześniejszych opisał wszystkie uroczystości, i uczynił je przeto równie ciekawymi dla potomnych jak i współczesnych. Odtąd diaryusz wesela landshuckiego ¹⁾ stał się jedynym w swoim rodzaju obrazem średniowiecznych zwyczajów dworskich, podziwianym, badanym, przytaczanym przez wszystkich dziejopisów owej epoki. Dla nas jest on tém pamiętniejszym, ile że bohaterką wypadku była królowna polska, najstarsza córka Kazimierza Jagiellończyka i mądrzej Elżbiety Austriaczki. Wpatrując się w obrzędy sławnych zaślubin bawarskich, wpatrujemy się oraz w miłą wspomnieniom naszym postać królowny, o której dotąd nic prawie nie wiedzieliśmy. A oblubienica landshucka nie potrzebowała być córką szczepu Jagiellońskiego, ani bohaterką wiekopomnych godów weselnych, aby zająć uwagę ludzką. Już jako kobieta, przedstawia ona swojém życiem wielce zajmujący acz posępny przykład losu ludzkiego. Opatrzność pozwoliła jój urodzić się na tronie; jedna z najmędrszych matek w koronie czuwała nad jój młodością; troskliwy wybór rodziców wydał ją w małżeństwo powszechnie szanowanemu książęciu; sława światowa otoczyła jój wesele niezgasłym blaskiem wielkości, a przecież jakże mało szczęścia znała Jagwiga! Obaczmy to w poniższym opisie trzech różnych scen jój życia, przechowanych w pamięci trzech różnych kronik. Polski kronikarz

Długosz mówi o rozstaniu Jadwigi z rodziną i ojczyzną; bezimienny autor diariusza opiewa chwałę jej zaślubin; bawarski opat Anioł maluje jej smutne potem osamotnienie.

I.

Rozstanie.

Królowna Jadwiga liczyła zaledwie lat jedenaście, gdy ją poraz pierwszy zażądano w małżeństwo. Zgłosił się wówczas o jej rękę węgierski król Maciej Korwin Huniady, następca po królu Władysławie Pogrobowcu z domu Habsburgów. Atoli matka Jadwigi była rodzoną siostrą tegożsamego Pogrobowca, któremu Huniadowie niejedną za życia sprawili gorycz. Dlatego miała królowa Elżbieta żal do Macieja i zniweczyła jego zamiary. Nie przyszedł także do skutku nieco późniejszy wniosek zaślubienia Jadwigi z arcyksięciem rakuzkim Maksymilianem. Dopiero trzeciemu projektowi uśmiechnęły się losy. Wyszedł on od bawarskiego księcia Ludwika, jednego z najmożniejszych książąt Rzeszy niemieckiej. Pod koniec roku 1474-go, gdy królowna właśnie siedemnasty rok życia skończyła, stanęło u króla Kazimierza w Łęczycy poselstwo bawarskie pod przewodnictwem biskupa ratysbońskiego Henryka, proszące o rękę Jadwigi dla Ludwikowego syna i następcy Jerzego. Król Kazimierz odłożył ostateczną odpowiedź do narady z królową, i zabrał posłów ze sobą do Radomia, gdzie rodzina królewska miała odbyć uroczystość Bożego Narodzenia. Matka-królowa oświadczyła się przychylnie żądaniu bawarskiemu. Dzisiejsze królestwo Bawaryi zostawało wtedy pod panowaniem dwóch dzielnic tegożsamego domu, t. j. starszej, posiadającej większą połowę kraju czyli Niższą Bawaryę z stołecznym miastem Landshut, i młodszej, panującej w Mnichowie. Nasz Ludwik był głową starszej linii, i miał jednego syna Jerzego, młodzieńca w dwudziestu latach, któremu chorobą znękaney ojciec porucił już rządy kraju. Obudwóch książąt chwalono z najzacniejszych przymiotów duszy, obaj słynęli z sprawiedliwości i zamiłowania w naukach, a bogactwa ojca

i syna przeszły w przysłowie gminne. Obudwóch też zna historia pod przydomkiem „Bogaczów,” głośnych osobliwie skarbami drugiej ze swoich stolic, Burghausen, przesławnego składu zgromadzanych tam oddawna dziwów przepychu i kosztowności. Niekiedy miewali książęta bawarscy jeszcze nieskończenie bogatszą i wspanialszą stolicę, bo samą stolicę rzymską, która wraz z koroną niemiecką trwała przez lat kilkadziesiąt w rodzinie książąt bawarskich. Dziedzic takiego domu, Jerzy, okazał się zewszeczmiar godnym Jadwigi. Toż zaraz po świętach Bożego Narodzenia podpisano obopólnie umowę ślubną, z którą posłowie landshucey powrócili wesoło do ojczyzny. Według zwyczaju czasu otrzymała królowna bardzo skromny posąg, bo tylko 32,000 dukatów, do wypłaty w ciągu lat pięciu. Nierównie większą sumę 100,000 florenów przeznaczono na jej wyprawę. Wyjazd Jadwigi i zaślubiny w Landshucie miały nastąpić w jesieni roku przyszłego. O umówionym czasie przybyło nowe poselstwo bawarskie po pannę młodą. Oboje królestwo bawili z nią podówczas w mieście Poznaniu. Tamże w pierwszych dniach października odbyło się pożegnanie. Zaczyna matka Jadwigi pocieszała się myślą, iż porucza córkę rodzinie, w której ona mogła spodziewać się szczęścia pod każdym względem. Zasmuconą królowną bawiono powieściami o pięknościach Bawaryi, o bezustannych w Landshucie festynach i turniejach, o bajecznych skarbach w Burghausen, pomiędzy którymi były np. posągi dwunastu apostołów w naturalnej wielkości ze srebra, i takiż posąg Zbawiciela ze złota. Nie wiedziała nieboga, czém złoty zamek Burghausen miał stać się dla niej w przyszłości. Odjeżdżającej przydano orszak polskich panów i pań, mających towarzyszyć Jadwidze aż do Landshutu. Dworowi niewieściemu przewodniczyła owdowiała księżna cieszyńska Anna, z Dorotą z Sienna, wdową po kanclerzu koronnym Janie Koniecpolskim Pobogu. Pomiedzy panami byli najprzedniejsi: Stanisław z Ostroroga wojewoda kaliski, Mikołaj z Kutna łęczycki, Dobiesław z Kurożwęk kasztelan rozpierski, Jan z Koczyna podkomorzy krakowski i wielu innych. Pod ich opieką stanęła królowna szczęśliwie na miejscu przeznacze-

nia. Z załączonego tu dziennika zaślubin obaczmy, z jaką uprzejmością i czcią przyjęto ją w nowój ojczyźnie.

II.

Diaryusz uroczystości weselnych.

Obaj książęta bawarscy cenili sobie wysoko królewskie pochodzenie Jadwigi. Mimo książęcą godność małżonka zachowała ona zawsze tytuł „królowej.” Takim też mianem odznacza ją nasz diaryusz. Królewską zaś dostojność wprowadzając w koło rodzinne, postanowili książęta powitać ją z niezwykłą okazałością. Sława książąt „Bogatych” zniewalała do témwiększego przepychu. Zjechało na zaprosiny teścia i syna tak świetne grono gości, jakiem zapewne mało kiedy szczyliły się zaślubiny książęce. Przyjmowali królową polską w Landshcie: cesarz Fryderyk III, jego syn Maksymilian, jego brat Zygmunt, palatyn reński Filip, palatyn Otto, palatyn Jan, bawarscy książęta na Mnichowie Albrecht, Krzysztof i Wolfgang, kurfirst brandenburski Albrecht, jego syn Fryderyk, margraf badeński Eberhard, landgraf leuchtenberski Ludwik, grafowie wirtemberski Ulyryk i hennenberski Otto, wreszcie niezmierna liczba grafów i panów niższego rzędu. Sześciu biskupów celebrowało przy ślubie, dodając powagi wszystkim uroczystościom. Z wszystkimi prawie książętami przybyły panie książęce, otoczone licznym dworem niewieścim. Sama np. elektorowa brandenburska wystąpiła przy wjeździe w orszaku stu szlachetnych matron i panien, z których czternaście najstrojniejszych jechało konno za księżną. Pomiedzy innymi gośćmi zasłużył się godom landshuckim osobliwie jój recerski małżonek Albrecht, zwany Achillesem niemieckim. Przywioził on bowiem w swojej świcie beimiennego autora naszej „relacji,” bez której cała uroczystość byłaby poszła w niepamięć. Należał jój twórca niewątpliwie do rzędu heroldów tamtoczesnych, ludzi piśmiennych, mających właśnie obowiązek opisywać solenności podobne, z szczególném uwzględnieniem ceremoniałów, herbów, barw dworskich, strojów

i t. p. Dzięki jego pracy, dowiadujemy się wielu szczegółów o nieznanej zresztą Jadwidze Jagiellonce, o towarzyszących jej panach polskich, o niektórych zwyczajach owego czasu. Jako sługa księcia rycerskiego, poświęca herold brandenburski osobliwszą uwagę krotofilom rycerskim, gonitwom turniejowym, powtarzającym się w każdej chwili, przy każdym akcie. Od nich też zaczyna cały diaryusz.

* * *

Przybyłem do Landshutu w poniedziałek, gdy książę Jerzy wjeżdżał właśnie na plac turnieju. Miał na sobie suknię aksamitną, koloru brunatnego, podobnie jak i deka na koniu. Na kapeluszu miał książę prześliczną szarfę złocistą i takąż tekę z najrzadszych piór, a u kity spinę świecącą, i prócz tego szeroki jedwabny pas dokoła kapelusza. Koń książęcy miał kosztowny bukiel u czoła, a w buklu bardzo piękny pióropusz.

Z księciem Jerzym wjechał w szranki pan Ludwik Westerstetten, w żupanie koloru fiołkowego, podobnie jak i strój konia. Rozpędziwszy się ku sobie, obaj chybili. Książę trafił tylko w skrzydło u hełma, a konie uderzyły tak gwałtownie łbami o siebie, że o mało nie obaliły się w tył.

Za księciem Jerzym wprowadzono w szranki dziesięć rumaków, na których siedziało tyleż pacholąt. Konie i pacholęta były ubrane w adamaszek brunatny i miały strusie forgi i pióropusze na głowie.

Przed księciem zaś postępowało dziesięciu zacnych mężów, pomiędzy którymi było kilku rycerzy, a wszyscy mieli na sobie żupany brunatno-amarantowe, i świecące guzy z kitami u kapeluszków.

Tegoż samego dnia stanęła królowa (panna młoda) wieczorem w Mosbergu, o dwie mile od Landshutu, i dopiero nazajutrz we wtorek obaczyliśmy ją w Landshucie.

We wtorek rano wysłano naprzeciw pannie młodej kilku książąt i panów, którzy ją mieli powitać w polu. A byli to następujący książęta: cesarzewic Maksymilian, młody pfalcgraf, książę Krzysztof, książę Hans neuenmark-

ski, młody Wirtemberczyk, biskup eichstadzki i biskup frejsingeński.

Cesarzewic miał na sobie żupanik aksamitny, w pasy czerwone, białe i popielate; pfalcgraf Filip żupanik atłasowy, czerwony, z dwoma odmiennemi szlakami przez lewe ramię, z których jeden był biały, drugi czarny. Książę Krzysztof miał krótką suknię jedwabną, koloru brunatnego, u której jeden rękaw bogato perłami był haftowany. Książę Hans i młody Wirtemberczyk mieli także jedwabne suknie, tamten delię czerwoną, ten kiereję brunatną, z zieloną pręgą przez środek.

Wyjechał też naprzeciw królowej pan Wurian z poczem sług, a miał na sobie aksamitną delię czerwonej maści.

Gdy więc nadjechała królowa, zsiadli wszyscy książęta z konia, tudzież niektórzy z towarzyszących im panów i postąpili ku powozowi.

Najprzód powitał ją cesarzewic, potem młody pfalcgraf, a po nim młody markgraf, który miał na sobie bardzo skromny żupanik o dwóch kolorach, czarnym i popielatym, z literami na rękawie; miał jednakże wielce kosztowną spinkę z pióropuszem u kapelusza. Po markgrafie witali królowę książę Krzysztof, książę Hans, młody Wirtemberczyk, biskup eichstadzki, biskup frejsingeński, hrabia Hans Werthen, pan Michał Schwartzenberg, tudzież inni.

Królowa jechała w złocistym powozie, a miała na sobie suknię ze złotogłowu, a na twarzy zasłonę, z poza której nie można jej było widzieć. Nie wysiadła z powozu, tylko podała rękę przez okno, i uprzejmie głową ku nim kłaniała, na co książęta bardzo nisko kłaniali się nawzajem. Przywitawszy zaś królowę, poszli wszyscy witać starą elektorową saską i młodą księżniczkę saską, które jechały w drugim powozie za królową, a były zasłonięte czarnymi kwefy. Po przywitaniu obudwóch, wsiedli książęta znowu na koń i jechali przed powozami.

Królowa miała dwa ozdobne powozy, ale nie wielkie. W jednym siedziała ona sama, a w drugim jej fraucymer. Każdy z tych powozów spoczywał na czterech misternie rzeźbionych i połączanych lwach, u czterech rogów wasagu. Każdy lew trzymał w pazurach tarczę, z wizerunkiem korony

polskiej, a pomiędzy powozami królowej i jej fraucymeru, jechała stara elektorowa saska.

U powozu królowej szło ośm białych koni w szorach czerwonym suknem obszytych. Siedziało na koniach dwóch forysiów w czerwonym stroju. Podobnie uprzężony był powóz, w którym jechały panny królowej.

Po prawej stronie powozu królewskiego jechał książę Otto w barwie pana młodego, t. j. brunatnej, białej i popielatej, a miał jeden rękaw precudnie haftowany perłami. Tuż przy nim jechał Berneńczyk i landgraf Ludwik z resztą panów i dworzan, którzy udali się na spotkanie królowej, a wszyscy mieli na sobie barwę księcia Jerzego.

Po lewej stronie powozu jechali panowie polscy, po największej części w krótkich żupanach ze złotogłowa, albo jedwabiu. A jeden z pomiędzy nich miał krótki żupan, całkowicie perłami haftowany, i miał też wysoką czapkę, podobnie najpiękniejszymi perłami szytą.

A drugi, jeszcze kosztowniej ubrany, i najmożniejszy ze wszystkich, owszem nad całym dworem królowej przełożony, jechał cokolwiek przed powozem, pomiędzy dwoma innymi, także magnatami polskimi. Miał zaś na sobie krótki żupan z odwijanemi połami, ze złotogłowa, a pod sobą dzielnego konia, okrytego bogatą deką, haftowaną perłami. Na głowie miał wysoki kapelusz, grubą szarfą jedwabną owinięty. Obaj towarzyszący mu panowie mieli krótkie jedwabne suknie, jedwabne szarfy na kapeluszach, i szable w srebrnych pochwach, miejscami połączanych. Pasy u szabel były dużemi złocistemi lamami wykładane, i zwiślały do samej ziemi, mając wielkie zankle czyli klamry, jak to zwyczajem bywa w ich kraju.

Przed powozem królowej szły dwa konie wierzchowe, na których siedziało dwoje pacholąt w czerwieni, a konie były okryte bardzo kosztownymi dekami; jeden miał dekę ze złotogłowa, drugi jedwabną; obiedwie zaś poły u dek miały szerokość i kształt skrzydeł nietoperzowych, i były całkowicie perłami haftowane. Należały te konie do królowej.

Za niemi jechało czterech Litwinów na małych koniach. Mieli na sobie kaftany czerwone z złocistym bramo-

waniem, przez plecy łuk i sajdak z strzałami, i byli zresztą całkiem na sposób turecki ubrani i uzbrojeni.

Za Litwinami jechało znowuż dwoje pacholąt, na roślących koniach; jeden miał dekę perłami haftowaną, drugi wysadzaną lamami, poczęści srebrnemi po części téż pozłacanemi. Znajdowały się także lamy u munsztuka i rzędu, lecz były wcale niewielkie. Gdyśmy się zapytali, czyje to konie? odpowiedziano, iż owego kosztownie ubranego Polaka, który przewodził dworowi. A pacholęta miały na sobie sukienne żupaniki.

Za niemi jechało troje innych pacholąt, także polskich i także na roślących koniach, a deki i munsztuki i rzędy wszystkich trzech koni były wysadzone srebrnemi lamami, tuowdzie pozłacanemi, podobnież mierniej wielkości.

Po tych wszystkich pacholętach jechała reszta panów polskich, którzy towarzyszyli królowej. Jechali zaś parami, po dwóch a dwóch, i wyprzedziwszy nieco powóz królowej, zbliżyli się ku miastu. Najmożniejsi jednak pozostali przy powozie królewskim, i tworzyli bardzo świetną komitywę, zajmującą niemały kawał drogi.

Wtém nadjechało czterech rycerzy, wysłanych z miasta dla wyprawienia małej gonitwy przy gościńcu. Zatrzymały się tedy pawozy, i ustąpiły cokolwiek z drogi, i uczyniono zwyczajny okrąg dla widzów, w którym stanęła młoda królowa, przypatrując się turniejowi, podobnież jak i stara elektorowa saska.

Owóz gonili z sobą najprzód niejaki Hieronim z Rozenbergu i któryś z dworzan pana de Reitzenstein. I dobrze nacierali na siebie, lubo się w niczém nie uszkodzili; i spadł na koniec Rozenberczyk. A potem gonił pan Wilhelm Seckendorfer, i strzaskał kopię w kawałki.

Po téj gonitwie ruszono znowuż ku miastu, a wszyscy książęta, którzy wyjechali byli witać królowę, udali się teraz naprzód ku miastu. A niedaleko miasta musiały powozy jechać nieco pod górę; na górze zaś czekali książęta mnichowscy z całym dworem, wszyscy bez wyjątku w sukniach barwy brunatnej, ustawieni trójkami wzdłuż gościńca, tak, iż potrzeba było jechać długo koło nich. Jakoż przy-

patrywała się im ciekawie panna młoda, gdyż byli bardzo przystojni, a liczono ich na trzysta do czterechset koni.

Pod samém miastem, przy gościńcu na łące, czekała wszystka reszta książąt i panów, mianowicie najjaśniejszy pan nasz, cesarz Fryderyk, mój pan markgraf Albrecht, książę austriacki Zygmunt, książę Ludwik, ojciec pana młodego, siedzący w małym otwartym powozie. Dalej książę Wolfgang mnichowski, markgraf badeński, biskup salcburski, biskup bamberski, biskup augsburski, biskup passauski, wszyscy ze swoimi grafami i panami. A gdy nadjechali książęta, którzy wysłani byli powitać naprzód królowę, połączyli się wszyscy razem, i utworzyli szerokie koło, i stali tak kołem przy drodze; a mój pan, markgraf Albrecht, sprawował tam urząd ochmistrza, i szykował wszystkich jak się należy, i jeździł ciągle dokoła książąt i panów. A w samym środku pomiędzy nimi siedział na koniu książę Jerzy, pan młody, w żupanie swojej barwy, t. j. koloru brunatnego, białego i popielatego, a na lewym rękawie miał bogaty haft z pereł. Niektóre perły były nadzwyczajnej wielkości, a wszystkie razem tworzyły napis: *In Ehren liebet sie mir* (miłujcie mię przystojnie). I była oprócz tego wyhaftowana na rękawie altanka z liści dębowych, a w altance siedziała dama, trzymająca lwa na uwięzi. Toż i munsztuk i deka i rząd na koniu były haftowane perłami, a koń był rzadkiej piękności.

Na głowie miał książę Jerzy kapelusz swojej barwy, opasany wieńcem z kółek złocistych, z prześlicznym pióropuszem u przodu, oprawnym w guz kosztowny. Podobnież i koń miał na głowie kosztowny bukiel z wysokim forgiem.

Cesarz miał na sobie delię czerwoną, ze złotogłowu, z bardzo szerokim wyłogiem, całkowicie perłami haftowanym; a pomiędzy perłami były niektóre nadzwyczajnej wielkości, i było téż bardzo wiele drogich kamieni pomiędzy niemi, jakoto: dyamentów, szafirów, szmaragdów, ametystów, rubinów, tudzież niemało innych.

Książę Ludwik siedział w małym powozie, a miał na sobie czerwoną delię aksamitną; markgraf Albrecht miał czarną delię aksamitną i całemu dworowi ochmistrzował; książę Zygmunt miał atłasową delię zielonego koloru,

a książę Albrecht i książę Wolfgang mieli jedwabne żupany koloru brązowego, bez rękawów perlami haftowanych. Młody markgraf badeński miał czarną delię z aksamitu, a biskupi ubrani byli w długie płaszcze purpurowe.

Gdy nadjechała królowa, i była już tylko o rzut kamienia od koła, w którym stali książęta, zsiadł cesarz z konia, a za jego przykładem poszła i reszta książąt. Książę Ludwik zaś podniesiono w powozie, ale nie mógł ani stać ani wyleżeć o własnych siłach. Musiało więc czterech dworzan wziąć go pod ręce, i prowadzić czyli raczej nieść go przed innymi książętami naprzeciw przyszłej synowej.

Cesarz szedł w pośrodku, mając po prawej stronie księcia Jerzego, po lewej zaś markgrafa Albrechta, księcia Ludwika, księcia Zygmunta, tudzież inne książęta. Którzy wszyscy, idąc tak obok siebie, przywitali królową młodą.

Na widok nadchodzących książąt zsiadł książę Otto z konia, i wraz z swoimi dworzanami, jakoteż z panami i dworzanami polskimi którzy tożsamo uczynili, przystąpił do powozu królowej, aby ją z niego wysadzić. Co gdy się stało, wyprowadzili ją wszyscy naprzeciw witającym książętom. Następnie uczyniono tożsamo starą elektorową saską, jakoteż młodą księżniczkę saską, i wyprowadzono je obie za królową na miejsce powitania.

Cesarz powitał królową skłonieniem głowy, i podobnie królowa powitała cesarza. Ale inni książęta powitali ją uchyleniem głowy i kolan, a królowa uchyliła im tylko głowy.

Po odbytym powitaniu stanęli wszyscy w dwóch wielkich półkołach naprzeciw sobie. Po jednej stronie stał cesarz z książętami Ludwikiem, Jerzym, markgrafem Albrechtem i t. d. Po drugiej stała młoda królowa, a przy niej stara elektorowa i młoda księżniczka saska, a za wszystkimi trzema stali ich panowie i panny dworskie.

Owóż gdy się tak ustawili, wystąpił markgraf Albrecht z piękną mową w imieniu pana młodego, i rozprawiał szeroko o zaślubinach książęcych, jak dziwnie sprowadził Pan Bóg oboje państwo młode z dalekich kończyn świata, co oczywistym jest zakiem, iż małżeństwo obecne będzie z łaski Najwyższego pożytecznym całemu chrześcijaństwu, a oso-

bliwie św. państwu rzymskiemu. Te i tym podobne słowa prawił markgraf Albrecht ku wielkiemu zbudowaniu przytomnych, aż w końcu przestał mówić. Natenczas jakiś zacny pan polski w podeszłych leciech, który umiał dobrze po niemiecku, przetłumaczył królowej na język polski co mój pan, markgraf Albrecht, oświadczył w imieniu książąt.

Gdy królowa wysłuchiwała oracyi książąt, odpowiedział tenże tłumacz następnie po niemiecku, co królowa odpowiedziała książętom. Poczém zakończono przemowy, i obścąpili książęta młodą królowę i odprowadzili ją do powozu, jakotóż starą elektorową i młodą księżniczkę saską, i wsadzili je do powozu, a sami siedli na koń, i jechali przed królową do miasta, a królowa jechała za nimi noga za nogą.

Gdy więc cesarz i reszta książąt i panów zbliżyli się ku farze, leżącej tuż przy gościńcu, siedziało tam u drzwi kościelnych wiele księżeń i pań, pomiędzy któremi mianowicie młoda pfalcgrabina, w sukni z czerwonego złotogłowu, i w kosztownym wieńcu z kolców złocistych, z pod którego spadał kwefik cieniuchny. Przy niej siedziała młoda hrabina wirtemberska ubrana podobnie jak pfalcgrabina; dalej margrabina w takiejże sukni ze złotogłowu, mająca wysokie rogi na głowie, zwyczajem niderlandzkim; następnie księżna Ludwikowa, matka pana młodego, w szerokiej sukni z czarnego aksamitu, w wytworném ubraniu głowy, w lokach, przeplatanych perłami, klejnotami i złocistemi lamami; opodal landgrabina leuchtenbergska, także w złotogłowej, fałdzistej sukni i w wieńcu z kolców kosztownych; wreszcie panie Schwarzenberg, Rineck, Hanau, Oettingen, tudzież wiele innych zacnych pań, księżeń i panien.

Stanawszy tedy przed farą, zsiadł cesarz z konia, a za jego przykładem poszedł książę Albrecht i t. d. jakotóż wszyscy inni książęta, niektórzy z grafów i panów i poszli ku drzwiom do księżeń, i pozostali tam aż do przybycia królowej.

Gdy zaś królowa wjechała z swoim dworem do miasta, zsiadli z konia niektórzy z towarzyszących jej panów, mianowicie panowie księcia Ottona i kilku panów polskich,

i szli koło powozu, jak pierwój prosto ku farze. Tożsamo uczynili panowie, którzy jechali przed powozem starój elektorowój saskiej, a teraz zsiadli podobnie z koni, i szli także koło powozu.

Ksiązę Otto jechał na koniu aż do samego kościoła. Dopiero u drzwi fary zlął także, i wraz z innymi panami wysadził królowę z powozu, i prowadził ją ku księżnom i paniom u progu fary.

Powitała ją nasamprzód młoda pfalcgrabina, a za nią stara księżna bawarska, a za nią hrabina wirtemberska i landgrabina leuchtenbergska, i panie Schwarzenberg, Rineck, Hanau, Oettingen i t. d. I schylały się nisko wszystkie księżne i panie, a królowa tylko im głową kłaniała, a po skończoném powitaniu wprowadził cesarz i ksiązę Otto królowę do kościoła; inni zaś książęta wprowadzili resztę księżeń i pań i panien. A gdy wszyscy weszli do środka, zamknięto drzwi kościelne.

Potém panie i panny królowej zaprowadziły ją do jednéj z kaplic bocznych, i zdjęły z niej suknię wierzchnią, jakotóż ubranie głowy, i włożyły jęj na skronie kosztowny wieniec z kółców, i przypięły jęj cienką zasłonę. Podobnie włożono jęj na włosy prześliczną przepaskę perłami szytą, niezmiernęj kosztowności. A miała królowa tylko jeden warkocz. Zaczém gdy ją ustrojono obyczajem krajowym, zaprowadziły ją panie i panny do wielkiego ołtarza. Królowa płakała bardzo, a cesarz i ksiązę Jerzy i wszyscy inni książęta stanęli przy nięj u stóp ołtarza, i zaślubił ich biskup salcburski. A po ślubie kazano tym samym ksiązętom, którzy przyprowadzili królowę, wyprowadzić ją także z kościoła, i odprowadzono ją w stroju ślubnym aż do pałacu, gdzie miały nastąpić pokładziny. A po wyjściu z kościoła miała królowa głowę na dół spuszczoną i zasłonę na twarzy, i bardzo rzewnie płakała. Nie można téż było widzieć jęj rysów, a niesiono przed nią wiele świateł gorejących aż do pałacu. Inni książęta odprowadzili tamże resztę księżeń i pań, zabawiono w pałacu aż do nocy, kiedy rozpoczęły się tańce.

Wieczorem podczas tańców miała królowa na sobie zieloną suknię adamaszkową bardzo szeroką, jak to zwyczaj-

jem jest w jój ojczyźnie. Od połowy rękawów otwierały się drugie rękawy ze złotogłowu. Wysoka kreza u sukni była dużemi perłami przetykana, na głowie zaś miała królowa wieniec z kolców i przepaskę perłami szytą, a włosy były w jeden warkocz splecione. Prowadził ją do tańca cesarz i książę Otto.

Miejsce gdzie księżne siedziały, było od stropu aż do posadzki obwieszone kobiercy i oponami. Jak daleko siedziały księżne i hrabiny, były te opony z aksamitu czerwonego, a tuż przed niemi ciągnęły się przez całą salę wysokie kraty drewniane, i nikt nie śmiał wchodzić do środka, chyba tylko książęta, hrabiowie i najprzedniejsi z panów. I były dwie fórtki w kratkach z ryglami, a ktokolwiek wchodził lub wychodził przez furtkę, musiał zasunąć rygiel za sobą.

Cesarz miał na sobie tężsamą delię co w dzień; na piersiach zaś wisiał mu niezmiernie kosztowny krzyż z wielu drogiemi kamieniami, i miał czarny kapelusik na głowie, z kosztowną spinką u przodu, i poszedł w taniec z królową. Przed nim zaś tańczył książę Zygmunt z pfalcgrafem i z cesarzewicem i młodą margrabią i księciem Krzysztofem i młodą Wirtemberczykiem.

A potem tańczył książę Zygmunt z pfalcgrabiną, a przed tymi obojgiem tańczył cesarzewic z młodą pfalcgrafem i z księciem Krzysztofem i z młodą Wirtemberczykiem, a wszyscy ci książęta mieli tężsame suknie co w dzień.

Potem tańczył cesarzewic z margrabiną, a przed niemi tańczył książę Zygmunt z młodą pfalcgrafem i z młodą Wirtemberczykiem i z księżciem Krzysztofem.

Potem tańczył młody pfalcgraf z młodą księżniczką saską, a księżniczka miała na sobie szeroką suknię czarną, której wyższa połowa, od szyi aż do stanu, haftowana była perłami; pfalcgraf zaś miał tężsamą suknię co w dzień.

Potem tańczył margraf Frydryk z pfalcgrabiną, potem książę Jerzy z hrabiną wirtemberską, potem książę Albrecht ze starą księżną, potem inni książęta z innymi księżniczkami i tańczyli książęta wzajem przed sobą, aż póki wszyscy nie przetańczyli.

Po tańcach książąt i niektórych grafów i panów, pomiędzy którymi widziałem także pana Wuriana, udał się pan młody do przygotowanej sobie komnaty, w której miały być pokładziny. I poszli z nim cesarzewic i młody markgraf i książę Albrecht i inni.

Po ich odejściu przetańczono jeszcze cztery albo pięć tańców, a potem zaprowadzono królowę do tej samej komnaty, do której udał się książę Jerzy. Prowadzili ją cesarz jegomość i książę Otto. Inni zaś książęta prowadzili resztę księżeń i pań, i wyszli także z sali. A grafowie i panowie i szlachta, jakoteż hrabiny i wszystka reszta pań, pozostali razem na sali, i tańczyli jeszcze przez czas niejaki. Książęta i księżne nie wrócili już nazad do tańców. Tylko grafowie i hrabiny przetańczyli jeszcze z piętnaście tańców, aż nareszcie przestali tańczyć, i rozeszli się wszyscy.

Powiadano mi, że łożo było nadzwyczajnie strojno i kosztownie zasłane; a wszystka pościel była ze złotogłowu. Z takiejże materji były i zasłony u łoża, jakoteż piernaty i poduszki.

Ojciec pana młodego, książę Ludwik, czekał na korytarzu u progu, w towarzystwie wielu panów i dworzan. A wszyscy mieli jarzące światła w ręku. Za wnijsciem zaś królowej kazał i książę Ludwik zaprowadzić się do komnaty, w której miały być pokładziny.

Nazajutrz rano we środę, gdy pan młody i panna młoda wstali, zeszło się do nich książąt bez liku; nadszedł cesarz i markgraf Albrecht i reszta książąt, i zaczęli wszyscy składać podarki. Najpierw złożył darowiznę swoją pan młody, którą w imieniu jego oddawał markgraf Albrecht, i darował królowej młodej puzderko, w którym był bardzo kosztowny alszbant, a do tego dziesięć tysięcy złotych węgierskich. Wtedy miał tenże markgraf Albrecht piękną i długą przemowę do królowej, prosząc ją ze strony pana młodego, aby darowizny téj nie przyjmowała za wiano czyli morgengabę, lecz w dowód jego miłości i przyjaźni, dla tém mocniejszego przekonania się o jego affekcie i przywiązaniu, które zawsze chować będzie dla niej w swém sercu, jako dla swojej kochanej małżonki i towarzyszki. Te i tym-

podobne komplementa prawil markgraf królówej w imieniu pana młodego.

Stał zaś przy niej podtenczas ów poważny pan polski, który zawsze towarzyszył królówej, a umiał po niemiecku. Ten powtórzył jęj wszystko w języku polskim, a królowa nawzajem oświadczyła, przez niego, że będzie chętnie zastosowywała się w każdym razie do życzeń męża, i z wielką przyjemnością i chęcią przyjmuje ofiarowany sobie podarek, i chce mężowi swojemu wywzajemniać się zawsze powolnością i posłuszeństwem, ile będzie mogła podać, i byle tylko wiedziała, czego po niej wymaga. I będzie go téż kochała z całego serca, a gdyby dostrzedz miał czegoś, coby mu się nie podobało, natenczas niech jęj tylko oznajmi, a chętnie zaniecha tego, gdyż tak jęj przykazali rodzice, ojciec i matka, których ona słuchać chce jak przystoi. Te i wiele innych gładkich i mądrych słów powtórzył tłumacz polski zgromadzonym książętom w imieniu młodej królówej.

Potém obdarzyli ją inni książęta i niektóre miasta znaczniejsze, z wyjątkiem samego cesarza. Zaczął tedy mój pan, markgraf Albrecht, przymawiać cesarzowi, jako powinienby także darować coś, aby uniknąć obmowy ludzkiej. Ale cesarz jegomość odszedł, niczego nie darowawszy, i dopiero później nadesłał hrabiego Werdenberga, na imię Hugo, który przyniósł podarek od cesarza, t. j. spinkę, oszacowaną przez niego na tysiąc złotych, lecz niektórzy z obecnych panów szacowali ją tylko na pięćset, a najwięcej na sześćset złotych. Owóż przeciągnęło się to składanie podarków aż do dziesiątej godziny, kiedy trzeba było iść do kościoła.

Przy uroczystym pochodzie do kościoła szło przed panem młodym trzydziestu i dwóch zacnych mężów, pomiędzy którymi wielu rycerzy, a wszyscy nieśli wielkie świece woskowe, pomalowane brunatno i biało i popielato, a niosący je panowie byli w taką samą barwę ubrani, i mieli perłami haftowane rękawy. Tuż za nimi, przed samym księciem Jerzym, szła niezmierna moc trębaczy, a za trębaczami postępował pan młody.

Po prawej ręce pana młodego szedł markgraf Albrecht,

a miał na sobie czarną suknię ze złotogłowu; po lewej zaś siedł książę Zygmunt rakuzki, w czerwonej delii z aksamitu.

Pan młody ubrany był w srebrnogłowej delii z haftem czerwonym, podbitej sobolami, i z szerokim wyłogiem sobolowym. Na głowie miał kapelusz czerwony z nadwyzczajnie kosztowną przepaską z kołców, o której powiadano—sam to na własne uszy słyszałem—że niemasz księcia w żadnym z krajów niemieckich, któryby posiadał przepaskę takiej wartości. A po jednej stronie kapelusza wisiała koronka z pereł, w której znajdowały się tuowdzie niezmiernie wielkie i cenne perły; z przodu zaś ozdobiony był kapelusz wysoką kitą, oprawną w niezmiernie kosztowną spinkę. Owóz w takim stroju siedł książę do kościoła; a za nim szli sami grafowie i panowie, aż do orszaku królowej i biskupów.

Przed panną młodą niesiono także wiele świateł jarzących, a niesli je także sami zacni panowie, których było właśnie tylu, ile przed księciem. A za nimi szli trębacze i piszczkowie bez liku. Summa zaś wszystkich panów i grafów przed panem młodym i panną młodą — siedmdziesięciu i czterech. Mówiono jednakże, iż nie przyszli jeszcze wszyscy którzy przyjsć mieli.

Owóz zaraz za trębaczami szła panna młoda, a prowadził ją cesarz i książę Otto. Tamten miał na sobie bardzo kosztowną suknię z czerwonego złotogłowu, o wyłogu szerokim, haftowanym perłami, pomiędzy którymi było wiele drogich kamieni, jakoto: dyamentów, rubinów, szmaragdów, szafirów i wiele innych. Na piersiach zaś wisiał cesarzowi nader kosztowny krzyż, wysadzany podobnież wielą drogiemi kamieniami, a siedł cesarz po prawej stronie królowej. Po lewej prowadził ją książę Otto, w krótkim brunatnym żupanie, którego jedna połowa była haftowana perłami, podobnie jak czapka, i jedna nogawica, świecąca od dużych pereł, przeplatanych tuowdzie dużemi brylantami; a siedł książę Otto, jak powiedziano, po lewej ręce.

Panna młoda miała suknię czerwoną, z najprzedniejszego atlasu, wyszywaną całkowicie perłami, które osobiwie powyżej stanu były nadzwyczajnie wielkie i piękne. I była

cała suknia haftowana w duże kwiaty barwiste, a w kwiatkach błyszczały różne drogie kamienie niepospolitej wartości. Podobnie i wysoka kreza u sukni świeciła niezmiernie bogatym haftem z pereł, mających tém większą cenę, ile że suknia była do zadziwienia szeroka, według obyczaju polskiego. Na głowie zaś miała panna młoda arcykosztowny wieniec z prześlicznych kolców, a wewnątrz wieńca na włosach leżała szeroka przepaska z dużych pereł. Zpod wieńca zwisał cieniuchny kwef, nie zakrywający przecieź oblicza, ani kosztownego alsz mantu, który świecił pod krezą. Szła panna młoda wyprostowana, ale oczy miała spuszczone w ziemię, a jest bardzo ładna i miła, i spogląda niekiedy bardzo swobodnie i uprzejmie. Ma też dziwnie piękną rękę o długich cienkich palcach, i również pięknie utoczone ramiona, jakoteż całą postać układną i bardzo kształtną, i skoro przywdzieje strój niemiecki, będzie wyglądać bardzo wspaniale. Nie można też napatrzeć się jej skromnej a książęcej postawie i jej niewinnemu wejściu. I w takimto stroju prowadzono ją do kościoła.

Po królowej szła młoda księżniczka saska, a miała na sobie czarną suknię ze złotogłowu, na skroniach zaś wieniec z kolców kosztownych i również kosztowny alsz mant na szyi. Prowadzili ją młody markgraf po jednej a pfalcegraf po drugiej stronie; tamten miał krótki jedwabny żupan koloru czerwonego, w połowie perłami haftowany, podobnie jak czapka i jedna nogawica; ten ubrany był w delię czerwona ze srebrogłowu, z prześliczną przepaską z pereł na kapeluszu.

Za nimi szła pfalcegrabina, w sukni z czerwonego złotogłowu, w wieńcu z kolców kosztownych, z pod którego zwisał kwef cienki. Na szyi miała alsz mant kosztowny, a prowadził ją młody cesarz i książę Albrecht. Cesarz miał na sobie krótki żupan jedwabny koloru czerwonego, cały perłami haftowany, tudzież kapelusik podobny. Książę Albrecht ubrany był w krótki żupan brunatny o jednym bogato perłami haftowanym rękawie, pomiędzy którymi było bardzo wiele drogich kamieni.

Daliej szła hrabina wirtemberska, w sukni z czerwonego złotogłowu, w wieńcu kosztownym i alsz buncie na szyi,

a prowadzili ją markgraf badeński i książę Hans neuenmarkski; tamten w czarnej, ten w czerwonej delii z aksamitu.

Daléj szła księżna Ludwikowa, matka pana młodego, w czarnej sukni ze złotogłowu i w zasłonie, pod którą widać było loki, przeplatane perłami, drogiemi kamieniami i kolcami złotemi. Prowadzili ją książę Wolfgang i landgraf Ludwik leuchtenberski. Książę Wolfgang miał jedwabny żupan barwy brunatnej, u którego jeden rękaw był haftowany perłami, podobnie jak i czapka. Landgraf Ludwik ubrany był w czerwoną delię z aksamitu, a na głowie miał perłami szyty kapelusz.

Potém szła margrabina, w sukni całkowicie perłami haftowanej, bardzo kosztownej, a z pomiędzy pereł świeciło wiele brylantów i różnych drogich kamieni. Podobnież i reszta stroju odznaczała się kosztownością; wysokie zaś ubranie głowy było według zwyczaju niderlandzkiego podniesione w dwa wielkie rogi, okryte cienką zasłoną, a obwieszone dokoła klejnotami, pomiędzy którymi błyszczało wiele pereł i drogich kamieni i kolców. Prowadzili ją hrabia wirtemberski i hrabia Otto Hennenberczyk.

Następnie prowadzono starą elektorową saską, która miała na sobie czarną suknię aksamitną, a szła pomiędzy księciem Krzysztofem i jednym ze swoich panów.

Na samym końcu szła landgrabina Leuchtenberska, w sukni ze złotogłowu, w wieńcu na głowie i w alszbancie kosztownym. Za nią postępowały inne mniej znakomite damy, jako to: panie Rineck, Hanau, Oettingen i t. p., a wszystkie miały suknie ze złotogłowu i alszbanty i po części wieńce na głowie.

Przed panem młodym i całym orszakiem weselnym jechał na koniu ów kosztownie ubrany magnat polski, w delii z czerwonego atłasu ale nie długiej, a haftowanej w kwiaty dość rzadkie. Towarzyszyło mu wiele polaków, idąc piechotą po jednej i drugiej stronie.

Weszli wszyscy do kościoła przed ołtarz, i wyszli ztamtąd w tymże samym porządku, jak zwyczajnie szli albo stali; a wszystkie ławki i krzesła w kościele były okryte czerwonym aksamitem; celebrował zaś biskup salcburski.

Po nabożeństwie nastąpiła uczta, przy której młoda

królowa siedziała u wyższego końca stołu, a przy niej markgrabina; poniżej zaś księżna Ludwikowa, matka pana młodego. U niższego końca stołu siedziała stara elektorowa saska.

Przy drugim stole siedziały: młoda pfalcgrabina, młoda Wirtemberka, córka księcia Ernesta, i landgrabina leuchtenberska.

Pan młody jadł z cesarzem, który siedział u góry, a poniżej markgraf Albrecht, książę Zygmunt i biskup sałburski. Książę Jerzy zaś siedział na drugim końcu stołu, naprzeciw cesarzowi.

Przy drugim stole siedzieli: młody cesarzewic, książę Albrecht, młody pfalcgraf, młody markgraf, książę Krzysztof, markgraf badenśki, Wirtemberczyk i książę Wolfgang.

Po obiedzie, który się skończył około drugiej godziny po południu, wjechało w szranki czterech szermierzy, po dwóch z kolei, aby gonić z sobą na ostre, t. j. Heinz *von Waldenfels*, Hans *von Drot*, niejaki Parsberger i Jost *von Luchaw*. I zmierzyl się tak dzielnie kopiami, że o mało nie pospadali, gdyby im nie dano rychło pomocy.

Przypatrywała się królowa gonitwom z okna w pałacu, a było przy niej sześć panien z jej orszaku. Te miały wszystkie czerwone suknie adamaszkowe, z wyłogiem u kołnierza, szerszym niżli na pędź, haftowanym perłami. I miała też ciasne, wysokie krezy, podobnie perłami haftowane. I były wcale nieszpetne, a oprócz nich stali za królową sami polscy panowie i panny polskie.

W innym domu, obok ratusza, przypatrywała się z okna markgrabina, a przy niej siedziała księżna Ludwikowa z księciem Ottonem.

Owóż gdy się skończyły gonitwy pierwsze, wjechał w szranki książę Krzysztof z pewnym rycerzem polskim. I zaczęli, według zwyczaju, obmacywać się wzajem, czy który z nich niema jakiego fortelu przy sobie. I czynili to tak długo, że aż wieczór tymczasem nadszedł, i nie mogli gonić z sobą dnia dzisiejszego, i odjechali z szranków bez walki.

Po wieczerzy nie przyszła ani panna młoda ani reszta

księżeń na salę tańców; inne zaś panie i panny tańczyły przez cały wieczór.

We czwartek po obiedzie nastąpiły znowu gonitwy. Wjechał tedy książę Krzysztof w szranki jak wczoraj; a był ubrany w jedwab' koloru czarnego, białego i brunatnego. Też saméj barwy był rząd na koniu. Za nim wjechał ów rycerz polski, ubrany podobnie w jedwab, barwy białej, brunatnej i niebieskiej, którego koloru był także kropierz na koniu. Mieli więc gonić z sobą o klejnot wartości stu czerwonych złotych węgierskich, albo o pieniądze w tejsze saméj kwocie. Przyjechało téż z rycerzem polskim kilku innych Polaków, aby dobrze omacać księcia, czy niema jakiego fortelu pod zbroją albo w siodle. A jednemu z tych panów wisiał na szyi bardzo kosztowny klejnot, wartujący przynajmniej dwieście czerwonych złotych. Tenż sam Polak zsiadł z konia i zażądał, aby podobnie zszedł książę Krzysztof. Poczém szukał koło niego w ramionach, w pasie, w nogawicach i gdzie mu się tylko zdało, że książę fortel jaki mieć może. Szukano téż podobnie w rzędzie końskim, a gdy książę znowu wsiadł na koń i ze trzy albo cztery razy przejechał się po placu, zażądali panowie polscy, aby po raz drugi zsiadł z konia, i znowu omacywano go wszędzie jak wprzód. Ale nie znaleziono niczego przy nim, a książę wielce się gniewał; ów zaś Polak nie odstępował go aż do rozpoczęcia gonitwy, i ciągle uważał na to, czy książę fortelu jakiego nie używa.

Było téż kilku panów ze strony księcia Krzysztofa, mianowicie hrabia Schaumburg i pan *von* Ambsberg, którzy w podobny sposób omacywali rycerza polskiego i jego konia, i znaleźli szeroki rzemień pod siodłem, i nie odstąpili Polaka aż do rozpoczęcia gonitwy.

Podczas gdy ów pan polski przetrząsał księcia Krzysztofa, wjechali w szranki książę Albrecht i markgraf Frydryk, z dwoma innymi rycerzami, którzy gonić mieli z książętą. Gdy więc książę Albrecht obaczył, jak panowie polscy macają brata jego, wielce się także rozgniewał. Rozpoczęły się jednak gonitwy, a książę Krzysztof zwał Polaka na ziemię. Z początku ugodzili obadwaj w siebie jak należało,

ale niebawem pękła Polakowi kopia i koń mu utknął; co widząc zwrócił się książę w bok, a skręcając, trącił Polakowi konia tak mocno, że się całkiem obalił i przykrył sobą Polaka. Poczém wszczął się tak wielki krzyk, że nie można było słyszeć słowa własnego.

Wystąpił tedy do walki książę Albrecht, a miał na sobie suknię aksamitną koloru brunatnego. Też samą barwy był i rząd konia. Towarzyszyło mu czterech grafów, dwóch z jednej, dwóch z drugiej strony, a ci mieli na sobie krótkie żupaniki z brunatu i także czapki; przeciwnik zaś księcia Albrechta ubrany był w adamaszek brunatny.

Markgraf Frydryk miał na sobie suknię czerwoną, aksamitną. Takieże barwy i materii był rząd na koniu. Dziesięciu pacholików biegło obok niego i przed nim, a miało na sobie czerwone suknie jedwabne. Na głowie zaś mieli i pacholiki i konie pióropusze wysokie w kosztownych buklach. A przeciwnik markgraфа ubrany był w jedwab' czerwony, którego téż koloru była deka na koniu. Ale chybili się obaj.

Książę Albrecht gonił po swoim bracie Krzysztofie, i dobrze ugodzili w siebie kopiami, ale nie spadli, a dopiero po nim przyszła kolej na markgraфа Fryderyka i jego adwersarza, który się zwał Exbitzer.

Wjechało jeszcze w szranki kilku innych rycerzy, pomiędzy tymi dwóch z orszaku księcia Albrechta. Ci dwaj gonili przed książętami, i za pierwszym razem chybili. W drugim zaś biegu szturknęli się kopiami, i pozostali w siodłach, ale konie im utknęły i upadły. Musiano wydobywać jeźdźców z pod koni. Reszta rycerzy goniła po książętach. Byli to niejacy Fritz Geling i Hans von Lukaw, którzy obaj uderzyli w siebie tak mocno, że tamten spadł. Hans dosiedział, ale byłby spadł także, gdyby mu nie dano w czas pomocy.

Potém wjechał na plac Wirtemberczyk, a był ubrany w brunat, tak on jak i koń jego, i biegło przed nim czterech dworzan w tej samej barwie. Z nim razem wjechał w szranki jego przeciwnik, ubrany w tę samą barwę, z zieloną pręgą przez suknię. I uderzywszy na siebie, trafili się, lecz nie spadli.

Królowa ze swojemi pannami i panami przypatrywała się gonitwom z tego samego okna co wczoraj; podobnie i markgrabina i księżna Ludwikowa, które także przypatrywały się walce.

Przypatrywał się też książę Jerzy, pan młody, mający na sobie płaszcz zwykłej barwy, który w jednej połowie był haftowany perłami, podobnie jak i kapelusz. A stał przy nim młody pfalcgraf z wielą książętami i pany. Markgraf Albrecht zaś i książę Zygmunt byli przy boku cesarza.

Po gonitwie księcia Krzysztofa z rycerzem polskim udał się pfalcgraf w towarzystwie hrabiego Hansa von Wertheim do owego pana polskiego, co miał na szyi klejnot kosztowny, a hrabia Hans zawezwał Polaka do gonitwy o ten klejnot lub o jego wartość w pieniądzu. A Polak przystał; i byliby natychmiast gonili z sobą, lecz było już za późno. Dlatego odłożono gonitwę na dzień jutrzejszy.

Wieczorem tańczono. Tańczyła też królowa i wszystkie księżne. Miała zaś królowa na sobie długą suknię z przedniego adamaszku, a z rękawów wychodziły drugie rękawy, te były ze złotogłowu. Wysokie krezy haftowane były perłami; na szyi miała królowa kosztowny alszbant, na głowie zaś prześliczny wieniec z kolców, osłonięty ciemną tkaną. Pierwszy taniec tańczyła panna młoda z cesarzem.

Markgrabina miała suknię czerwoną ze złotogłowu, a na głowie ubranie sposobem niderlandzkim.

Pfalcgrabina miała suknię niebieską, która powyżej stanu haftowana była bardzo pięknymi perłami; podobnie jeden rękaw.

Młoda księżniczka saska miała czarną suknię i bardzo kosztowny alszbant, a połowa sukni powyżej stanu była haftowana perłami.

Wirtemberczyk miał żupan koloru brunatnego, haftowany perłami powyżej stanu; podobnie haftowany był jeden rękaw i jedna poła.

Księżna Ludwikowa, matka pana młodego, miała czarną suknię z aksamitu, z szerokim wyłogiem, haftowanym perłami, pomiędzy którymi było wiele drogich kamieni.

Stara elektorowa saska miała suknię aksamitną koloru czarnego.

Tańczył cesarz i po wieczerzy, jakoteż markgraf Albrecht i reszta książąt. Miał zaś cesarz na sobie suknię aksamitną w różne kolory, i miał kosztowny krzyż na piersiach, a na głowie kapelusik z kosztowną spinką.

Pan młody miał na sobie ten sam płaszcz i kapelusz co w dzień.

Markgraf Albrecht miał czarną suknię ze złotugłową.

Pfalcgraf miał krótki żupan niebieski; a jedna poła żupana i czapka i jedna nogawica, były haftowane perłami i to bardzo pięknymi i dużymi.

Cesarzewic miał żupanik czerwony, cały perłami szyty.

Książę Otto miał krótki żupan brunatny, całkowicie haftowany perłami.

Książę Albrecht miał krótki żupan téj samej barwy co książę Otto, a jeden rękaw był haftowany perłami, nadzwyczajnie wielkimi. Takiezsamé żupaniki o jednym haftowanym rękawie mieli książę Krzysztof, i książę Wolfgang, ale perły były o wiele mniejsze.

Młody Wirtemberczyk miał brunatny żupanik z adamaszku, z zieloną pręgą przez środek.

Królowa tańczyła z każdym księciem po raz, a wszyscy książęta szli w tańcu po lewej stronie; tylko Wirtemberczyk szedł z prawej. Przeto pytano go, czy nie widział jak inni książęta tańczyli z młodą królową, a szli zawsze z téj strony, z której chodzą kobiety.

Gdy wszystkie księżne i wszyscy książęta przetańczyli wystąpił mój pan, markgraf Albrecht, i nakazał w imieniu pana naszego, cesarza, aby się uciszono, i kazał rozstąpić się wszystkim, i zrobić koło, w którym miały tańczyć same księżne i hrabiny i panie, i nikt więcej prócz rodowitej szlachty.

Tańczyła tedy najpierw młoda królowa, trzymając za rękę markgrabinę. W drugiej parze szła pfalcgrabina z młodą księżniczką saską, w trzeciej stara księżna Ludwikowa z Wirtemberką, w czwartej landgrabina leuchtenberska z panią Rineck, i tak dalej para za parą, których było razem ośm

par, same zacne panie i panny, a wszystkie rodu książęcego lub szlachta.

Cesarz stał z ubocza, na przodzie, a za nim reszta książąt i hrabia Hugo Werdenberg. I przypatrywali się wszyscy księżnom i paniom tańczącym, jak przechodziły koło nich. Było też pomiędzy nimi bardzo wiele pięknych panien i pań, ale mój pan markgraf Albrecht odniósł największą sławę ze swoich pań i panien; bo lubo i inych książąt panie i panny były piękne i kosztownie ubrane, żaden przecie nie miał ich tyle co mój pan, markgraf Albrecht, gdyż było ich w jego świecie więcej niż sto.

Samych też powozów, w których jechały panie i panny markgrafa, było dwadzieścia i pięć, nie licząc w to jego własnych i markgrabiny powozów. A jechało za markgrabina czternaście panien konno, na małych damskich koniach; każda zaś miała na przodzie u kapelusza pióropusz z kosztowną spinką. Sama zaś markgrabina jechała z fraucymerem w dwóch złocistych powozach.

W piątek stanęli w szrankach graf Hans von Wertheim i ów Polak z klejnotem, chcąc gonić o tenże klejnot, jak się umówiono dnia wczorajszego. Ale zacząwszy się omacywać, tak długo szukali fortelów przy sobie i u siodeł, że nie mogło przyjść do gonitwy. Odjechał też dzisiaj markgraf wraz z markgrabina, i nocował pierwszego dnia w Maienburgu.

W sobotę bardzo rano wybrał się cesarz z cesarzowicem, i z wszystkimi pany swoimi, i odjechał do Austrii. Tegoż samego dnia wyruszył też Wirtemberczyk, i puścił się w drogę za moim panem, markgrafem, i słyszałem, że ma przyjechać do Ansbach.

Inni książęta mieli jeszcze pozostać, ale ja nie mogłem dłużej zabawić i odjechałem; przeto niewiem kiedy reszta książąt wyjechała z Landshutu.

Powiadano mi, że było w Landshucie podczas godów weselnych około 6,500 koni gościnnych, którym dawano obrok, nie licząc innych. Pomędzy temi liczono z 5,000 samych koni rycerskich, a z półtora tysiąca powozowych. Jakoż sam markgraf Albrecht miał z sobą więcej niż 1,300 koni, t. j. 1,200 rycerskich, a ze 100 powozowych.

Mieszkali książęta przez cały czas po gospodach i tamże posyłano im żywność. I było w gospodzie każdego księcia po dwóch albo trzech ludzi dworskich, umyślnie do tego odstawionych, aby mieć baczność, czy który z gości nie potrzebuje czegoś. A gdy jakakolwiek potrzeba się okazała, zaraz dostarczano wszystkiego, pod łaską pańską.

Po wszystkich gospodach książęcych gotowano jeść dla szlachty i nieszlachty. W markgrabskiej jednakże kuchni było wiele nieładu; zkąd niektórzy z naszych ludzi, osobliwie uboższa szlachta, nie mało mieli zmartwienia. Dawano im tylko dwa mięsa i jarzynę, a rzadko kiedy pieczenie, o co winiono głównie szafarzów i kuchmistrzów markgrafa, a narzekano codziennie, iż będąc na weselu, jedzą jak w domu.

Zapłacił ojciec pana młodego wszystko, co tylko książęta wyekspensowali po gospodach; a gdy mój pan przyjechał do Ingolstadu, tedy i tam wszystko zapłacono za niego. Mieliśmy tedy wszystkiego w podostatku, i nie chciano pozwolić, aby ktokolwiek sam za siebie zapłacił.

* * *

III.

B u r g h a u s e n.

O kilka mil od Landshutu, blisko ujścia rzeki Salcy do Inu, leżał ów sławny skarbiec książąt bawarskich, o którym wspomnieliśmy przy wyjeździe królowny z Polski. Był to wielki zamek obronny, wznoszący się nad miastem Burghausen, opasany kilkorakim murem i wałem, najeżony rzędem ogromnych dział. Zewnątrz uderzał widok odstraszającej warowności, a wewnątrz panowała cisza i samotność zupełna. Owe nagromadzone tu skarby i kosztowności, tak głośnie w dalekim świecie, nie sprawiały na miejscu żadnego ruchu i gwaru, leżały nieme i martwe. Nikt ich nawet nie podziwiał okiem ciekawym, nie patrzył na owe apostoły ze srebra, na postać Zbawiciela ze złota, na stopy bitéj monety, płyt srebrnych, srebra i złota w sztabach, brył suro-

wój rudy srebrnej i złotej — co wszystko przy późniejszym przetransportowaniu w inne miejsce mogło zaledwie na 70-u zmieścić się brykach. Wszelki bowiem przystęp do zamku był surowo wzbroniony, a szczupły poczet straży miejscowej albo wcale zubożetniał dla drogich dziwów, które żadnego wpływu nie wywierały na jego losy, albo nie wpuszczony do wnętrza skarbców, widział tylko żelazne rygle i drzwi, za którymi one leżały niewidome. Nie brakło wprawdzie świetnego towarzystwa zamkowi burghauseńskiemu, które pod każdym innym dachem byłoby rozpostarło wesołość i uciechę, któremu nawet w innej porze i innym miejscu rzeczywiście szumne wyprawiano festyny, lecz w obecnym razie nie przydawało onoby najmniej radości miejscu, ani odbierało jej wzajem od niego.

Mieszkała w Barghausen małżonka panującego księcia, otoczona gronem zwyczajnej służby dworskiej, lecz pobyt jej miał raczej cechę przymusu więziennego, niż dobrowolnej, rozweselającej gościny. Zjechała ona tu od lat kilku za rozkazem małżonka i zamieszkując jedno z pobocznych skrzydeł zamkowych, nie wychyliła się odtąd ani razu za obręb murów. Nikt też wzajemnie nie nawiedzał jej samotności, pozbawionej nawet widoku dzieci, dwóch kilkuletnich córeczek, chowających się pod okiem ojca. Owszem czuwający nad księżną i jej dworem ochmistrz, czyli raczej dozorca zamku, niejaki Jan Ebran, człowiek ponury i nieużyty, przestrzegał jaknajsurowiej, aby żadne związki ani, stosunki nie zachodziły między zamkiem a resztą świata. Ztąd i nad całym orszakiem księżny ciążyło brzemię podejrzliwego nadzoru, przytłumiające wszelką swobodę i wesołość młodzieży dworskiej. Sama księżna tém jedynie chroniła się od nieprzyjemnej cenzury, iż dobrowolnie ścieśniała szranki odosobnienia swojego. Ustawicznie przeto w głębi komnat swoich zamknięta, stała się ona prawie niewidomą dla reszty mieszkańców zamku, poczytujących sobie za szczególne osobliwe, gdy ktoś ujrzał ją trafem, ukradkiem.

Była to panna młoda wesela książęcego w Landshucie, „królowa“ Jadwiga Jagiellonka. Po nadzwyczajnie szumnych godach weselnych przyszło jej spędzić życie w zupełnej samotności. I nikt nawet nie wiedział, co ją przywiodło do

tego stanu. Ani postępowanie księżny, ani charakter księcia nie dawały dostatecznego powodu do tak smutnej kolei losu. Przykładne życie Jadwigi pozostawiło najchlubniejszą po sobie pamięć ²⁾, a książęcia Jerzego nazywano powszechnie sprawiedliwym, rozumnym, miłującym nauki. Jakieś nieszczęsne przeznaczenie rozdmuchało wielki pożar z iskierek, które w innym razie byłyby zapewne zgasły niedostrzeżone. Opowiadano sobie, iż częste zajazdy zbrojne, podejmowane przez Jerzego obyczajem średniowiekowym w ziemie sąsiednie, a ustawiczną pożogą i grabieżą trapiące lud okoliczny, i usilnie przeto wypominane książęciu przez małżonkę, rzuciły pierwsze ziarno niezgody ³⁾. Nierzadko też miał książę Jerzy oddawać się miłostkom pokątnym, które odstręczyły mu serce księżny. Dopókiż jeszcze żył stary książę Ludwik i ojcowskiemi okiem czuwał nad dziećmi, utrzymywała się pożądana jedność małżeńska. Wszakże już we cztery lata po zaślubinach landshuckich umarł czcigodny starzec, a niedługi przeciąg lat dalszych, dopełnił miary nieporozumień. W dziesięć lat po świetnych godach weselnych znalazła się księżna w samotnych murach zamku Burghausen, i już ich nigdy za życia nie opuściła. Bardzo rzadko odwiedzał ją małżonek, a prócz niego niedostępną była nikomu droga do zamku, znanego tylko z opowiadań o nagromadzonych tam skarbach. „Pozbawiona wszelkich uciech światowych“ — prawi jedna z współczesnych kronik bawarskich ⁴⁾ — „miała młoda księżna jedyną pocieszycielką swoją: samotność.“ — „Nic jej nie pomogły wszelkie cnoty i wdzięki“ — czytamy tamże dalej — „jakby nowa Danae, żyła nieszczęśliwa przez długie lata w ukryciu zamku swojego, pomiędzy skarbami książęcemi, aż Pan Bóg nie powołał jej z tego świata.“

Trwała samotność Jadwigi przez lat siedmnaście. Znosiła ją księżna z godną niewinności swojej powagą, z jednostajną zawsze słodyczą charakteru. Nie donosząc nam o żadnej skardze na los niezasłużony, pozostawił ten długi przeciąg czasu wiadomość o pewnym drobnym zdarzeniu, malującym nader pochlebnie światłą dobroć serca Jadwigi.

Było w jej orszaku dwoje dzieci szlacheckich, młodzieniec i dziewczyna. Kochali się oboje w rodzinnych jeszcze progach, a spólny pobyt w samotności tém żywszą roz-

budził miłość. Przyczyniła się do niej trudność uprojektowanego małżeństwa, któremu jakieś domowe stosunki przeszkadzały. Pod wpływem tylu różnych pobudek zakradła się namiętność w młode serca. Jednego dnia dostrzeżono śladów tajemnej schadzki kochanków. Czuwająca nad pannami staruszka zaalarmowała cały zamek. Surowy dozorca zamku upatrywał w tém występku niezmiernęj wagi. Wszelkie miłości w obrębie samotniczego mieszkania księżny były rzeczą najściślej zakazaną. Ciężka też kara, zhańbienie na całe życie, może śmierć sama, groziły biednym kochankom. Uwięzieni w celach osobnych, czekali oboje ostatecznego wyroku, gdy ich doszedł rozkaz stawienia się przed księżną.

Za wejściem do pokoju Jadwigi, ujrzeni winowajcy kapłana obok pani. Surowe ich spojrzenia kazały obawiać się wszystkiego. „Żałujecie waszję płochości?” spytała księżna. „Jesteście gotowi naprawić winę waszą? Chceciez się pobrać?”

Zdziwieni kochankowie, nie wiedzieli co odpowiedzieć. Na to wytłumaczyła im księżna, iż jedynym sposobem naprawienia występkę było małżeństwo niezwłoczne. Ledwie za drugim i trzecim powtórzeniem téj błogięj wieści uwierzyli szczęśliwi, i odpowiedzieli zgodnie z życzeniem księżny i własnem. Wkrótce téż dano im ślub, który według postrzeżenia kroniki ³⁾ „uczynił zadość sprawiedliwości, winowajcom i spokojowi samejże pani.”

Oto jedyny wypadek w dziejach siedemnastoletnięj samotności Jadwigi. Gdy ten przeciąg czasu upłynął, była ona jeszcze w czerstwości wieku i sił. „Niespodziewanie” tedy doniesiono księciu z Burghausen, iż księżna żyć przestała. Nastąpiło to dnia 2 lutego 1502. Do wiadomości kraju przeszedł zgon Jadwigi pismem jednego z poetów i uczonych bawarskich, Jakóba Locher, wychwalającem poetycznemi słowy nieboszczkę, i mającém pocieszać księcia. Tytuł mu: „*Trenodia, czyli Lament pogrobnny, na część najdostojniejszję Jadwigi, ze krwi królów polskich, małżonki najjaśniejszego palatyna reńskiego i książęcia Bawaryi.*” ⁶⁾ Największą część kart zajmuje allegoryczny dramat w języku łacińskim pod nazwą: „*Jabłko złote,*” odegrany w aka-

demii ingolsztadzkiej, fundacyi książąt Ludwika i Jerzego. W wstępnej zaś przemowie do profesorów uniwersytetu czytamy o Jadwidze: „Jakże nie podziwiać jej wychowania, które nie znając świecistych i różnowzorych pieluch, nie rozigrane krotofilnością rozkosznych nianiek, nie wypieszczone puchem ciepłuchnych poduszeczek, dalekie smacznym kąskom i kieliszeczkom, obce tańcom swawolnym, hartowało ją owszem pracą kądzieli i wrzeciona, karmiło zasadami bogobojności, przyozdobiło wszelkimi naukami, osłoniło obyczajnością przykładną, uzbroiło pawężą wstydlivości.“ Kończy Locher zwrotem do ojczyztego kraju Jadwigi, nazywając go szanćem obrony od Tatarów i Turków.

Spoczęły zwłoki Jagiellonki w pobliskim opactwie Cystersów w Raitenhaslach, dziś maleńkiej wiosce nad Salcą.

Z dwóch pozostałych po niej córek, jedna, Elżbieta, poszła za Rodberta palatyna reńskiego, i zasłynęła osobliwszą dzielnością charakteru; 7) druga, Małgorzata, żyła jak matka, w samotności klasztornej.

P R Z Y P I S K I.

- 1) Napisany w starożytnój niemczyźnie, znajduje on się w nadzwyczajnie rzadkiem dziele: „Entdecktes Staats-Cabinet, von Joach. Müller, Archivar zu Weimar 1714. Erste Eröffnung,“ str. 351—384, które tylko przez szczególną uprzejmość przyjaciela otrzymaliśmy w odpisie z zagranicy.
- 2) Fratris Angeli Abbatis Formbacensis Calamitatum Bavariae Liber V, w Oefeles Scriptores rerum Boicarum I. 128.
- 3) Ebran de Wildenberg Chron. Bavar. Oefeles tamże I. 302: crebra furta ejus impatientius ferentem
- 4) Joannis Staindelii Chronicon. Oefeles I. 542.
- 5) Fr. Angeli Calamit. Oefeles I. 128.
- 6) Threnodia sive funebris lamentatio in laudem inclytæ matronæ Hedvigis ex Polonorum regum stirpe prognatæ... a Jacobo Locher Philomuso in publico fano cantata. (Ex Ingolstadio XIII Calend. Julii 1502) 4-to.
- 7) Oefeles I. 123 mulier cordata ac nonnihil cordata.

ZWYCIĘZTWO R. 1675 PODE LWOWEM.

Założenie plantacyi na zamkowej górze nad Lwowem przyozdobiło Lwów niezwykle piękną przechadzką. Swoi i obcy, wszyscy cenimy wysoce jęj przyjemności, zachwycamy się jęj wielorakiemi powaby, nie znając przecież albo nie przypominając sobie najwspanialszego jęj wdzięku. Jestto wdzięk wielkiego wspomnienia historycznego, jestto otwierający się z nięj widok miejsca, na którém spełniony został wiekopomny czyn bohaterski.

Patrzymy codziennie na jego scenę, przechadzając się po wschodnim rąbku plantacyi ponad łazienkami Kisielki, i wiodąc okiem po tęg niezmięrzonęj płaszczyźnie, która od rogatki żółkiewskięj, wprost błyszczącego stawu łazienek, rozpościera się i niknie poza przyłądkiem dalszego pasma wzgórzów na prawo. Na tejtó równinie stoczyła się przed 180 laty, za czasów króla Jana Sobieskiego, między pięćciotysięcznęg rycerstwem polskięg a 40 do 60 tysięcami ordy tatarskiej i Turków, szczęśliwa dla chrześcijan walka, liczona do najświetniejszych tryumfów króla Jana III., który według wyrażenia się dziejopisów późniejszych ¹⁾, „niebył nigdy tak wielkim jak na pobojuwisku pod Lwowem.“ „Na tejtó równinie“ — mówi spółczesny historyk angielski Connor, osobiście obeznany z dworem warszawskim, a nieprzyjazny w ogółności Polakom — „odniesiono największe może zwycięztwo, o jakim kiedykolwiek słyssały dzieje“ ²⁾. — „Na tejtó równinie“ — wtórzý mu wreszcie pisarz dzisiejszy, głośny historyk francuzki Salvandy ³⁾ — „rozstrzygnęły się losy podziwienia godnęg kampanii, która może nie ma równęg sobie w wiekach poprzednich, a ledwie ustąpi któręjkolwiek z kampanij wieku naszego.“ „W dzień tego zwycięztwa“ —

donosi wreszcie urzędowa „Gazeta Francyi,” w nr. 103 z dnia 22 października r. 1675 — „zajaśniała Opatrzność widomięj niż kiedykolwiek nad Polską, i okazało się jawnie, że samo niebo opiekuje się tém przedmurzem świata chrześcijańskiego, które przed wszystkiemi narody chroni go od nawału najsroźszych nieprzyjaciół“ ⁴⁾).

Czasy „zniesienia“ Ordy pod Lwowem, tylko ośmiałaty wcześniejsze od szturmów armii tureckiej do murów Wiednia i odsieczowej wyprawy króla Jana, były czasami najwyższej potęgi półksiężycza. Większa połowa Węgier, znaczna część Ukrainy i Podola, zostawały pod panowaniem Osmanów. W węgierskiej stolicy Budzie, w świeżo zdobytym Kamieńcu podolskim, tureccy zasiadali baszowie. Rok po roku widział wojska tureckie wdzierające się w coraz dalszą głąb państw chrześcijańskich, po coraz dalsze podboje. Osobliwie Polska znalazła się w tej chwili narażoną na ciosy muzułmańskie. Z dworem wiedeńskim miała Porta od lat dwunastu pokój nader pomyślny, uwieńczony rozpostarciem granic tureckich aż po twierdzę Neuhäusel o 10 mil od Presburga, pozwalający Turkom zbroid się do wyprawy wiedeńskiej. Cały ciężar zwyciężkiej potęgi W. Sultanów spadał na omdlałe królestwo obudwóch Piastów ostatnich: króla Michała Korybuta i Jana III Sobieskiego. Przez kilka z kolei lat uderzała ta potęga siłą rozhukanego morza w nadszczerbione granice polskie, zalewając je raz po raz, mianowicie w latach 1672, 1673, 1674, 1675, 1676, zbrojnemi tłumy ogromnych wypraw podbójczych. Co tylko w najważniejszych wydarzało się wojnach, sami cesarze osmańscy przewodniczyli wyprawom. Podczas gdy nawet tak wielkie przedsięwzięcia wojenne jak oblężenie Wiednia, powierzane bywały mniej dostojnemu naczelnictwu wezyrów: nad Dniestr, przeciwko Polsce, sam cesarz Mahomet IV po trzykroć w sześciu latach z całym wyruszył dworem. Wtedy liczne oddziały armii tureckiej wydrążyły w skałach po-brzeża naddniestrzańskie lodownie dla cukierników sułtańskich — pola buczackie, okryte sieciami niezliczonej zgrai łowczych sułtańskich, bawiły padyszacha nowym rodzajem polowania — w Buczaczu poufni wysłańcy króla polskiego Michała ślubowali Turkom pokój tajemny, zniżający koronę

polską do rządu holdownych podnózków Porty — a cesarz Mahomet IV powtarzał na łowach, podczas przeglądu wojska, u stołu, nawet w nocy, jedyne słowo: „Gdańsk!“⁵⁾ — marzył o rozprzestrzenieniu krańców swojego państwa od morza indyjskiego po Bałtyk.

Ale i padyszachowie miewają marzenia — nieziszczone. W poprzek drogi do Gdańska, w poprzek drogi do Wiednia, stanął Mahometowi IV mąż jeden, lecz mąż wielki, Sobieski. Daleki jeszcze całkowitemu dzisiaj uznaniu, prawie zapomniany jak jego pobojuwisko pod Lwowem, oparł się on całemu nawałowi islamu, i bajecznie szczupłemi siły ocalił nietylko własną ojczyznę, ale cały wschód Europy. Pierwszym z ważniejszych ku temu kroków była przesławna bitwa chocimska roku 1673, odwzięczona wyniesieniem zwycięzcy na tron królewski, drugim przedkoronacyjna kampania z roku 1674, przezwana od Francuzów „cudowną“, rozpoczęta szeregiem korzyści oręża tureckiego śród lata, a zakończona nagłą klęską pod zimę,—trzecim wreszcie chwała również przedkoronacyjnej jeszcze kampanii z roku 1675, nasza wygrana pod lwowską górą zamkową. O niejto bliższa nam wzmianka tutaj.

Chodziło Porcie o uiszczenie pokoju buczackiego, który jój przyznawał Podole, Ukrainę i coroczny haracz ze strony Polski, a którego ekzekucyi nie dopuścił naprzód sejm, następnie zaś zwycięzki oręż nowego króla. Doświadczeniem roku zeszłego nauczyli się Turcy, iż chcąc jakąkolwiek wojnę z Polską szczęśliwym zakończyć skutkiem, należy zakończyć ją wcześniej przed zimą. Ztąd już o pierwszej wiosnie wyruszyły tego roku wojska sultańskie w pole. Wyruszyły z dwóch stron, od Dniepru i Dunaju, dwoma wielkimi armiami, „zdolnemi (jak mówiono) zawojować nietylko Polskę ale pół świata.“ Jedną, tatarską, rozsypującą się co chwila w drobne łupieżkie oddziały, prowadził Han W. Selim-Geraj, przodkując pięciu podrzędnym sułtanom krymskim, pomiędzy którymi sływał osobliwie stryj hański Ssafa-Geraj, zwany powszechnie od godności swojej „sułtanem Nureddynem“, t. j. wtórym z domniemanych następców tronu hańskiego. Drugiej armii tureckiej przewodził saraskier czyli najwyższy dowódzca wojsk ottomańskich Szisz-

man Ibrahim, mający pod sobą 15 baszów, pomiędzy tymi pięciu wezyrów, a nadto obudwóch gospodarów wołoskich. Razem liczone siły nieprzyjacielskie na 150 do 200,000 wojowników.

Przeciw tak wielkiej potędze broniła całej Polski garstka rozmaicie uzbrojonego wojska, cośkolwiek starodawną husaryi, kilkanaście chorągwi pancernych i kozackich, kilka pułków piechoty krajowej i cudzoziemskiej, razem zaledwie 25 do 30,000 ludzi, rozrzuconych maleńkimi kupkami na szerokiej przestrzeni, po miasteczkach, zamkach, obozowiskach. O rychłym powiększeniu obrony, o pospolitem ruszeniu, uznanem oddawna za tłum wcale gnuśny, niesforny, bezużyteczny, nie można było myśleć. Tylko cud, cud jenuśzu wojennego, korzystającego przedewszystkiem z błędów nieprzyjaciela, mógł zbawić kraj. Nieukoronowany wciąż jeszcze król — obozował w świeżo oswobodzonej Ukrainie. Nieskończenie większy jako wojownik głową niż jako wojownik szabłą, wlepił on chciwie wzrok w poruszenia nadciągających wrogów, śledząc z niespokojnością, na którą z wschodnich prowincyi polskich, na Ukrainę-li czy odrazu na Ruś Czerwoną, uderzy wyprawa tegoroczna.

Muzułmanie wymierzili cały swój zamach przeciw królowi, rozlali się po Ukrainie. Jan Sobieski odetchnął. „Saskier Ibrahim niedołęga!“ — zawołał. — „Nim jesień minie, ubędzie jego ogromnej armii!“ Zaczém umyślnie ustępując mu miejsca, cofnął się Sobieski na Ruś, a Tatarzy i Turcy zaczęli dobywać zamków i miast ukraińskich. Zabrało im to wiele czasu, i nie przyniosło najmniejszego pożytku, gdyż prawie wszystkie oblężone twierdze oparły się nieprzyjacielom, kiedy tymczasem król coraz warowniejszą pozycję umaniał sobie na Rusi. Obierając Lwów za centralne stanowisko obrony, opasał go Jan z daleka szerokiem półkołem twierdz, poruczonych najdoświadczeńszym mężom. W Brodach i Załóżcach zamknął się z trzema tysiącami żołnierza hetman polny koronny, książę Dymitr Wiśniowiecki; w Złoczowie, z takąsamą liczbą, wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski; w Brzeżanach chorąży W. kor. Sieniawski, w Podhajcach Makowiecki, w Zbarażu pułkownik Desauteuils, w Trębowli Samuel Chrzanowski. Całe pogranicze między

Wołyniem i Podolem a Rusią, najeżyło się warowniami, uzbrojonemi za staraniem wielkiego króla bogdaj mieszczańską, bogdaj chłopską załogą. Nadto jął się Sobieski zwyczajnego środka paraliżowania wojny traktatami o pokój. Na wezwanie Hana W. udało się trzech pełnomocników królewskich do obozu Tatarów, aby za pośrednictwem Selim-Gereja, zawiązać układy z Ibrahimem.

Tym sposobem postęp oręża ottomańskiego coraz szkodliwszej doznawał zwłoki. Cesarz Mahomet IV, czyli właściwie wszechwładny wezyr W. Ahmed Kiupriuli, dziedzic dostojęstwa, jenuusza i światoburczych zamysłów swego ojca Mahometa Kiupriuli, zżymał się z niecierpliwości. Ibrahim otrzymał rozkaz zawojować czémprędzej bezbronną Polskę z jej królem, albo dać gardło. Gdyby mu wojska nie stało, nadejdzie druga armia, która już przeprawia się przez Dniestr; gdyby i ta nie starczyła, zbiera się trzecia pod dowództwem samego padyszacha, na polach Adryanopola.

Dumny seraskier Ibrahim złożył się przed dywanem, że już dawno byłby schwytał króla Polskiego, lecz nie wie gdzie się podział. Aby go więc odszukać, aby własne ocalić gardło, rzucił się seraskier przyspieszonym pochodem ku ziemiom ruskim. Pod Husiatynem połączyły się obie armie najeżdźcze, licząc przeszło 100,000 ludu zbrojnego. Owi orędownicy polscy, stanąwszy za tatarskim pośrednictwem przed naczelnym wodzem tureckim, zostali nadzwyczajnie hardo przyjęci. „W dwóch słowach zamknijcie waszą prośbę“ — ofuknął ich seraskier — „bo trzeciego słuchać nie będę.“ — „Dwa za mało!“ — odpowiedzieli smutno posłowie.

Ibrahim kazał wziąć ich pod straż, i prowadzić z sobą za wojskiem, jako świadków spodziewanych teraz tryumfów muzułmańskich. Nastąpiły też w istocie wszelkie wysilenia przemocy i srogości. Palono wszystkie sioła przed sobą, wbijano na pal mieszkańców, uprowadzano w jasyr całą ludność okolic. Zdradnie opanowaną twierdzę zbarazką dał Ibrahim zapalić na czterech rogach i wyprowadził uwięzionych posłów polskich na wzgórze, aby się przypatrywali płonącemu do koła miastu. Z krwawo zdobytych Podhajec zagnano przeszło 30,000 ludu w niewolę. Przeszło 30 znacz-

niejszych miast i grodów uległo zniszczeniu. Niezmierna trwoga ogarnęła kraj wszystek. Kto mógł, unosił życie za Wisłę. Cała nawałnica nieprzyjacielska zdążyła już ku Złoczowowi, mierząc prosto na Lwów.

Lwów został porażony wtóry głównym szańcem królestwa. Troskliwy o niego król przybył spiesźnie do miasta. Za nim zjechała tamże z całym dworem królowa. Przygotowano się do przebycia długiego oblężenia, do przebycia wielkiego niebezpieczeństwa, które wszyscy pragnęli podzielać społem.

Mimo wszelką jednak obawę, mimo zupełne prawie оголоzenie z środków, mimo zwyczajny wreszcie rozsądek, nie odstępowała króla pewna zuchwała odwaga, podnosząca strwożone dokoła serca. Mając wjeżdżać do Lwowa, zakazał król wszelkich powitalnych ceremonij i ogniów w mieście. Wtém doszła go wiadomość o owém doniesieniu Ibrahima do Carogrodu, jakoby Jan skrył się przed nim. Natychmiast wyszedł rozkaz królewski, aby miasto zagrzmiało w powitanie ze wszystkich dział, dla oznajmienia Ibrahimowi, gdzie może znaleźć króla. Ta starorycerska śmiałość, jak zbawienna dla swoich, tak szkodliwą okazywała się wrogom. Dziki, zabobonny, oryentalną wyobraźnią mamiony Tatar i Turek, był aż nadto skorym do powodowania się wrażeniami dziwów mniemanych. Toć przed niewielą dopiero dniami, przystępując do zdobywania Załoziec, i chcąc zasięgnąć wróżby w téj mierze, wypuszczono z obozu tureckiego czarną kokosz ku miastu. Czarodziejska kwoka wróciła z gdakiem w szeregi muzułmańskie, a Turcy uszli w popłochu z pod Załoziec.

Wiadomo jak dalece później sama obecność króla Jana rzuciła bajeczny postrach na wrogów. Może takążsamą i teraz nadrabiając nad nimi władzę, nie zapomniał król o przysposobieniu im także nierównie rzeczywistych powodów lęku. Po ściągnięciu wszelkich możliwych w obecnej chwili posiłków, znalazło się przy królu sześć do ośmiu tysięcy ludzi, którym dowodzili częściowo szwagier królewski i hetman polny litewski, Michał książę Radziwiłł, chorąży kor. Sieniawski, strażnik kor. Bidziński, słynny kawaler Maltański Lubomirski, generał Korycki, pułkownikowie Międzyński

i Polanowski. Bezpośredniemu dowództwu króla pozostało zaledwie 2,000 żołnierza. Ustawił go król obozem o ćwierć mili od murów miejskich, ku Krzywczycom, w niewielkiej dolinie pomiędzy wzgórzami i parowami leśnemi, poza ową nagą piaskową górą i jej odroślami bocznymi, które przechadzającym się po dzisiejszych plantacjach po nad łązienkami Kisielki, ograniczają widok na prawo. Jakkolwiek szczęśliwem mogło być położenie, jakkolwiek ufano wojenną sztuce króla, nalegali przecież senatorowie obecni, aby król w bezpieczniejsze miejsce schronił swoją osobę. Sobieski odpowiedział, iż *tu* oczekiwać będzie nieprzyjaciela, i jak przed ośmią laty w Podhajcach, pobije go podjazdami, lub zginie.

Było to w drugiej połowie sierpnia. Dość pomkniona już pora roku, rozkazy z Konstantynopola, świeżo rozbudzony zapał armii tureckiej, wszystko zniewalało Turków do kroku stanowczego. Na polach między Płuhowem a Jezierną, stanowiskami Ibrahima i W. Hana Selim-Geraja, odbyła się wielka rada wojenna. Wiedząc już teraz o pobycie króla w stolicy ruskiej, postanowiono wyprawić znaczną część armii pod Lwów, dla rozbicia obozu królewskiego i odparcia króla (jak o tém wyraźnie była mowa) aż pod Lublin albo Jarosław, a potem z resztą armii chciano otoczyć i zdobyć miasto.

Pierwszą połowę dzieła, wymagającą nadewszystko szybkości, poruczono głównie Tatarom. Prawie cała Orda z pozostawieniem jedynie szczupłej garstki przy hanie i jasyrze, a przybrawszy natomiast ochotników tureckich, wyruszyła pod naczelnictwem Ssafa-Geraja, Nureddyna i Adżi Geraja sułtanów, w 40,000 wybrakowanych junaków, całym pędem na Lwów. Dnia 23 sierpnia otarła się przelatująca chmura tatarska o zamek Złoczowski, zkąd waleczny wojewoda ruski Jabłonowski przez kilka godzin armatnim smagał ją ogniem. Tegoż samego dnia w piątek przed św. Bartłojem, doszła do Lwowa pierwsza wiadomość o groźącym zamachu, nadesłana przez pułkownika Międzyńskiego, który w 2500 ludzi wyprawiony na podjazd, zabrał pod Uniowem kilka języków tatarskich i natychmiast dostawił ich królowi.

Wyprawa Nureddyna zerwała się tak nagle, że sami jeńcy uniojscy nie wiedzieli dokładnie, jaka właściwa siła ciągnie na Lwów. Musiał tedy przypuścić Jan Sobieski, i przypuszczano w rzeczy powszechnie, że przyjdzie wytrzymać zamach obudwóch połączonych armii nieprzyjacielskich. Oczekując co chwila ich przybycia, pospieszyło wszystko na stanowiska. Mieszczanie rzucili się z bronią w rękę na mury; lud, kobiety, duchowieństwo, zalegli wszystkie świątynie; wraz z dzwonami, wzywającemi do modłów w niebezpieczeństwie, uderzały z wyższego zamku armaty, dając znać mieszkańcom przyległych siół, aby uciekali przed Ordą nadciągającą. W niedzielę 25 sierpnia, o samém południu, postrzeżono z wyższego zamku ogromne tumany kurzu na gościńcu gliniańskim. Od ustępujących ztamtąd czat przednich rozniósł się powszędy głos: nieprzyjaciel! Zatrzymany dotychczas w mieście Sobieski pożegnał teraz królowę, która wraz z ludem udała się w procesyi do kościoła katedralnego, a król z całym dworem wojennym pognął do obozu za miastem.

Ze szczytu wzgórzów zamkowych i przyległych (z kądem Sobieski przez jakiś czas przypatrywał się uważnie dalekiemu pochodowi nieprzyjaciela) odsłonił się nagle dziwny widok natury. Nieprzyjaciel znajdował się w odległości Biłki królewskiej. Najpiękniejsza pogoda niedzieli sierpniowej rozpromieniła cały widnokrąg. Wtém naraz zaczerniało niebo okropną tuczą nad Biłką i ciągnącemi tamtędy nieprzyjaciołmi. Podczas gdy nad Lwowem najjaśniejsze świeciło słońce, uderzył w Biłce na Muzułmanów gwałtowny grad ze śniegiem, który w jednej chwili wszystkie okoliczne pola pobieliał. „Nie sprzyja Bóg zamachowi“ — przeniknęło tajemną trwogą Ordę i Turków, głośną otuchą chrześcijan. Korzystając z pomyślnego pomiędzy swemi wrażenia, zachęcił król do tém ściślejszego wykonania rozkazów. Szczupłe, pięcio- a najwięcej ośmio-tysięczne wojsko królewskie, otrzymało następujący szyk bitwy. Pewną część wojska, pod wodzą księcia Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego wyprawił król gościńcem sichowskim aż ku Bóbrce, aby z téj najdalszej na prawo strony zastąpić drogę Tatarstwu, i nie dać mu obejść króla z ubocza. Reszta sił została

podzielona na troje. Jedna część czyli prawe skrzydło, pod jenerałem Koryckim, stanęło poza rogatką łyżakowską, na gościńcu winnickim. Lewe skrzydło, złożone z kilku chorągwi husarskich, prowadzonych przez chorążego koronnego Sieniawskiego i podkomorzego bełzkiego, oparło się o podnóże zamku wysokiego, ku rogatce żółkiewskiej i szerokim tamże błotom od strony Zboisk. Król ze swoim obozem na dolinie pomiędzy wzgórzami dzisiejszego Zniesienia tworzył centrum. Zawierało ono kilka chorągwi wołoskich pod strażnikiem koron. Bidzińskim, kilka husarskich, siedm pancernych, trzy kozackie i cokolwiek piechoty z niewielką działek, razem mało co nad 2000 ludzi.

Położenie obozu było według szczegółowych doniesień takie, iż mając wystąpić z niego na płaszczyznę pobojuwiska ku Żółkwi, należało naprzód iść w górę ze 300 kroków, potem drugich 300 grzbietem wzgórzów pomiędzy obozem a płaszczyzną, wreszcie ciasnym wąwozem, najezonym zaroślami, spuścić się na płaszczyznę. Ku temu wąwózowi musieli kierować się Tatarzy, chcąc opanować obóz królewski, co w istocie stanowiło główną metę wyprawy. Dlatego zwrócił król wszelką uwagę na ten przesmyk, osadził kilkaset strzelców ukrytych w gęstwie, ustawił w pobliżu wołoskie chorągwie Bidzińskiego na straży, a na jedném ze wzgórzów nad wąwozem zatoczył kilka dział, zdolnych ostrzeliwać ztamtąd równinę.

Nie za tą jednak osłoną, nie w samymże obozie, zdało się wytrzymać główny atak nieprzyjaciela. Przyzwyczajony *uprzedzać* go znienacka, zamierzył król i dzisiaj użyć téj zuchwałości, szczęśliwój gdy posiłkowanej jeniuszem. Zaczém obwarowawszy należnie obóz, wyprowadził Sobieski wojsko swoje na wzgórze nad równiną, aby w danej chwili rzucić je gdziekolwiek na płaszczyznę. Ponieważ zaś ciężkie chorągwie husarskie, stanowiące główną siłę królewską, dobre do rozbijania nieprzełomanych zastępów lecz mniej użyteczne w spotkaniu się z lekkim, pierzchliwém jak wiatr Tatarstwem, nie wielką wróżyły tam skuteczność, przeto zabłysnął królowi nagle jeden z owych pomysłów, który dogadzając naprzód pewnej poszczególnój potrzebie, okazuje się z wielu innych jeszcze względów ko-

rzystnym. Przeciwno mniemaniu najstarszych wojowników, wierzących przesądnie w bezwarunkową zbawienność zbroi husarskiej, wydał król rozkaz, aby cała husarya złożyła swój rynsztunek żelazny i ciężkie kopie, a przybrała natomiast lekkie dzidy kozackie. Przybyło tym sposobem kilkanaście set luźnych kopij i rynsztunków husarskich, w które nowy ordynans króla kazał ustroić się niezmierną podówczas liczbie ciurów i służby obozowej. Zaimprovizowana tak niespodziewanie husarya, nie mająca innego przeznaczenia jak tylko stać pomiędzy zaroślami na wzgórzach, jakoby gotowa do uderzenia rezerwa, dwójnasób na pozór powiększyła siły królewskie. Cudownym wpływem jenuusza, ubożuchna armia obronna sprawiała wrażenie wielkiego, szeroko rozpostartego wojska; wzgórze i lasy zamieniły się w twierdze, słabszy gotował się uderzyć na mocniejszego, ci którzy w innym razie byłiby blizcy rozpacz, teraz tuszili sobie tryumf!

Tymczasem Nureddyn z swoją ordą postępował naprzód wśród gromów burzy gradowej, wśród huku ciągłych strzałów sygnałowych z zamku wyższego, wśród bicia dzwonów nieszpornych w mieście. O godzinie czwartej z południa okazały się szyki nieprzyjacielskie w pobliżu wzgórz zamkowych, posuwając się ku nim ogromnym półksiężcem, rozciągniętym od Zboisk aż do Krzywczyc. Jednocześnie wrócił od Bóbrki podjazd hetmana polnego Radziwiłła z relacją, iż nie masz nigdzie Tatarów w tamtej stronie. Nadeszłem z sobą wojskiem wzmocnił hetman obadwa skrzydła, przydzielając husaryą husaryi, hufce lekkie chorągwiom lekkim. Później w zamiarze zwarcia się wstępnym bojem z pogaństwem, sprowadził Sobieski swoje wojsko ze wzgórz na płaszczyznę, i o sporą ćwierć mili pomknął się naprzeciw ordzie.

Zaledwie to nastąpiło, oznajmiono królowi, iż na lewym skrzydle pod zamkiem wyższym, u przeprawy przez błota koło Zboisk, przyszło już do spotkania. Silnie od przeciwniejszego wroga ciśnięte chorągwie poczęły się tam mieszać i cofać. W tej stanowczej chwili wydał król hasło do boju na wszystkich punktach. Zwyczajem swoim przeznęknął i pobłogosławił pobożny Sobieski całe wojsko, i z trzy-

krotném okrzykiem „Żyje Jezus!“ na ustach, rzucił się w zastępy nieprzyjacielskie.

Gwałtowne natarcie powstrzymało impet Tatarstwa i dozwoliło poprawić się chorągwiom na lewém skrzydle. Gdy jedne oddziały armii muzułmańskiej z trudnością pasowały się z jazdą, innym oddziałom, chcącym przez wąwóz i przyległe parowy przedrzeć się w obóz królewski, celne pociski strzelców i ukrytj w zaroślach piechoty niezmierną czyniły szkodę. Z timsamym szczęśliwym skutkiem zagrzmiały także działa ze wzgórzów. Rażne wykonanie trafnie obmyślanych rozkazów zrównoważyło nierówne siły walczących. Długo jednakże trwał bój. Długo czekały zgromadzone w świątyniach miejskich rzesze, aby nadeszła wieść ocalenia. Z przed obrazu Matki Boskiej w katedrze udała się królowa z ludem do kościoła jezuickiego, i upadła tam na kolana przed wizerunkiem św. Stanisława Kostki. Dopiero z zachodem słońca zabrzmiała wiadomość o wygranej. Obawa aby mrok wieczorny nie wsparł przeważnego nieprzyjaciela, natchnęła walczące rycerstwo polskie do ostatecznych wysileń. Złamany niém wróg, stracił ducha. Nim jeszcze owa mniemana husarya na wzgórzach świeży (jak myślano) przypuści szturm, wypadło myśleć o bezpieczeństwie. A równie nagle w odwrocie jak i w natarciu, pierzchnęło Tatarstwo w jednej chwili na wszystkich punktach. O pierwszym cieniu nocnym nie było go już na widnokręgu. „Jakby widmo straszliwe“—mówi jeden z współczesnych ⁶⁾ — „zjawiła się ta ogromna armia w przeciągu kilku godzin przed obleżoném miastem i znikła.“ Tylko czerwieniejący zdała pożar Lisienic, Mikłaszowa, Kamienopola, zapalonych przez Ordę dla utrudnienia pogoni, wskazywał płomienne ślady ucieczki.

Ciemność nocy przeszkodziła ściagać uciekających. Nie wiedzano zresztą z pewnością, czy nagła rozsypka tak przemocnego nieprzyjaciela nie była tylko zwyczajnym fortem tatarskim, po którym on z podwójną wściekłością ponowi zamach. Nie wiedzano w ogólności, czy z samym jedynie Nureddynem, czy z całą armią Ibrahima i Hana, stoczono bitwę. W każdym razie zdało się niewątpliwą, że nazajutrz przyjdzie powtórzyć walkę. Dlatego kazał król

pozostać wojsku przez noc na pobojuwisku, a sam odjechał do obozu. Nie chciał nawet wrócić przedwcześnie do miasta, gdzie teraz wniebogłosy brzmiały modły dziękczynne. Po Panu Bogu i królu dopomogli do zwycięstwa najwięcej szwagier królewski hetman polny litewski książę Michał Radziwiłł, późniejszy wojewoda wołyński a teraźniejszy podskarbi nadworny koronny Atanazy Miączyński, podkomorzy chełmiński i jenerał piechoty Krzysztof Korycki, wreszcie pułkownik Aleksander Polanowski, i sławny kawaler małtański a później kasztelan krakowski książę Hieronim Lubomirski.

Jedno z owych dziwnych zwycięstw turecko-polskich w których nieraz sama wrażliwość i przesądność fantazyi oryentalnej, sam postrach imienia dowódcy chrześcijańskiego, decydowały o losie bitwy, kosztowała wygrana pod Lwowem cale niewiele ofiar. Nierównie większą stratę ponieśli zwyciężeni, zwłaszcza u przeprawy przez błota koło Zboisk. Nigdy jednakże nie wykryła się liczba poległych nieprzyjaciół, ponieważ Tatarzy swoim zwyczajem porwali trupów ze sobą i spalili ich w drodze. Po całym gościńcu do Złoczowa i Pomorzan płonęły nocą te stosy pogrzebowe.

Dopiero nazajutrz okazała się istotna wielkość wygranej. Ranek 26 sierpnia ujrzał armię nieprzyjacielską w ucieczce, już o 8 mil od Lwowa. Jednej nocy ubiegli Tatarzy tyle drogi z pod Lwowa, ile ciągnąc pierwój pod Lwów, uszli w trzech dniach i nocach. Można z tego wnosić o wieściach, jakie z uciekającymi nadbiegły do obozu Ibrahima i Hana. Przedstawiono króla polskiego panem ogromnej armii, w zwyciężkim pochodzie naprzeciw Turkom. Przerażeni wodzowie obudówch wojsk, kazali coprędzej zwinąć namioty. Dla przyozdobienia odwrotu jakąkolwiek pomyślnością wojenną, postanowili Turcy w drodze ku Wołoszczyźnie zdobyć zamek w Trębowli. Dowódzca tameczny Chrzanowski utrzymał się aż do przyobiecanej odsieczy króla. Jakoż nie dał Sobieski czekać długo na siebie. W pięć tygodni po zwycięstwie pod Lwowem znalazł się wielki wojownik na czele 20,000 żołnierza, pościągane go z bezpieczniejszych w téj chwili twierdz, i z tém wiel-

kiem dla niego wojskiem pospieszył ścigać podwójną armię nieprzyjacielską, która do niedawna liczyła 180,000 ludzi.

Dnia 6 października dowiedział się przerażony seraskier pod Trębowłą o nadciąganiu króla, a w kilka dni później, po nagłym ustąpieniu Ibrahima popod Kamieniec za Dniestr, i podobnymże ujściu Ordy, nie było już nieprzyjaciela na ziemi polskiej.

Takim sposobem wygrana pod Lwowem rozstrzygnęła kampanię roku 1675-go. Z kampanią w roku 1675-ym spełził na niczym jeden z owych gwałtownych szturmów, jakimi Oryent od wieków uderzał w świat zachodni. Na owej szeroko rozpostartej płaszczyźnie, po której codziennie spoglądamy z góry zamkowej, odegrała się jedna z najheroicniejszych scen, jakimi Zachód opierał i oparł się tym szturmom. Miasto oswobodzone, kraj ocalony, całe chrześcijaństwo zwyciężkim puklerzem zasłonię — oto pojedyncze rysy tego wielkiego wspomnienia historycznego, które jednym z mniej znanych acz najwspanialszych wdzięków przyozdabia codzienną przechadzkę naszą. Patrząc na owe domki pobliskiej wsi Zniesienia, które na prawo od łązienek Kisielki wznoszą się na wzgórzach i wśród parowów, widzimy żywe pomniki odświeżonego tutaj wypadku. Wieś Zniesienie, nazwana według wiadomej tradycyi od zniesienia Tatarów w r. 1675, stanęła na jednym z najpamiętniejszych punktów tej bitwy. U społecznych, nie znających jeszcze Zniesienia, nazywa się ona bitwą pod wsią Lisienicami 7).

PRZYPISKI.

- 1) Salvandy. Ce grand capitaine qui n'avait jamais été si grand.
- 2) This memorable victory, the greatest perhaps that has been known in any age.
- 3) Cette admirable campagne, que rien peut-être n'égale dans les siècles antérieurs, qui a été à peine surpassée de nos jours.
- 4) La protection divine y a paru plus que jamais sur la Pologne, et le ciel y a sensiblement fait voir, qu' il défendoit luy-mesme ce boulevard de la chrestienté, qui seul la met à couvert des ravages de ses plus redoutables ennemis.
- 5) Salvandy Hist. de Pol. avant et sous Jean Sobieski.
- 6) Dalerac Anecdotes de Pologne.
- 7) Wszystkie szczegóły bitwy skreślone są według jęj opisów społecznych. Znajdują się takowe w dziełach następujących: 1) Relacya o potrzebie i transakcyj z Tatarami, która się odprawowała 25 sierpnia pod Lwowem pod wsią Lisienicami A.D. 1675 — w Zimorowicza Historji miasta Lwowa, przekł. M. Piwockiego, Lwów 1833 str. 478. 2) La victoire remportée par le Roy de Pologne sur les Tartares près Léopol, w Gazette de France z roku 1675 str. 765—776. 3) Załuski Epistolae historico-familiares tom I. str. 574—577. 4) Józefowicz Annalium urbis Leopoliensis tomus extravagans, rękop. Bibl. Ossolińsk. fol. str. 864. 5) Jemiołowski, Pamiętnik, Lwów 1850 str. 242—245. 6) History of Poland by Bernard Connor London 1698 tom I str. 168 — 169. 7) Dalerac, Anecdotes de Pologne, Paris 1699. tom I. str. 19—21.

00. TRYNITARZE.

I.

Sprowadzenie do Polski.

Wielu z dzisiejszych mieszkańców Lwowa nie wie już wcale, że ów gmach dawniej akademii na przedmieściu krakowskiem, który obecnie ku nowemu przeznaczeniu dźwiga się z gruzów, był niegdyś klasztorem i kościołem Trynitarzów. Jeszcze trudniej usłyszeć, kiedy i w jaki sposób powstał ten zakład duchowny. Wszystkie dotychczasowe historye i kroniki miasta Lwowa albo o tém nie mówią, albo tylko nawiasowém zbywają nas napomknieniem. Co zaś do skutków zbawiennych, jakie fundacya Trynitarzy miała w codziennem życiu miasta i kraju, temu nigdzie najmniejszy nie poświęcono wzmianki. *) A przecież nie ma pędzi ziemi w obrębie Lwowa, którego historia i przeznaczenie odpowiadałyby tak ściśle charakterowi dawnych dziejów całego miasta, czyniłyby w takim stopniu zadość zwyczajnym potrzebom jego przeszłości, jak szczupła przestrzeń, mieszcząca niegdyś przybytek tych zacnych bosych mnichów w białym habicie, z czerwono-niebieskim krzyżem na piersiach, z ręką po jałmużnę na okup niewolników wyciągniętą.

Ze zmianą czasów zmienia się także charakter krajów

*) Mówię tu jedynie o zapomnieniu Trynitarzów w opisach historii miasta Lwowa. Gdzieindziej, o Trynitarzach w ogólności, wspomniono już niejednokrotnie. Należy tu wymienić osobliwie piękny artykuł Kraszewskiego w drugim tomie „Okruszyn“, pod napisem „Wspomnienia księży Trynitarzów.“ Nie znałem go, pisząc opowiadanie niniejsze

i miast. Dawniej słynął Lwów najbardziej ze swego położenia w sąsiedztwie pogan. Bliskość Tatarów w Krymie, Turków w Chocimiu i Kamieńcu, częste najazdy tamtych a wojny z tymi, pozwalały naszemu miastu zasłużyć sobie na miano „przedmurza Polski, warowni chrześcijaństwa.“ Smutną tę sławę opłacał wszystkim kraj przyległy mnogimi klęskami i ofiarami. Jedną z najpospolitszych była niewola w rękę Ordy lub Turka. Zasilana ciągłymi zagonami pogaństwa, sprawiała ona tyle straty w ludności, co mór nieustający. Jak łatwo pojąć, gnębił jasyr osobliwie niższe klasy narodu. Moźni panowie siedzieli bezpiecznie w swoich zamkach lub dobrach odleglejszych, a popadłszy przypadkowo w niewolę, miewali okup nietrudny. Ubogi szlachcic, włościanin, rodzina kmiecia, szły zwyczajnie na całe życie w kajdany. Nastręczające się przeciw temu środki zaradcze, jak np. zbrojne odbicie niewolnika w pół drogi, wymiana za jeńców nieprzyjacielskich, zdarzały się nazbyt rzadko. Potrzeba było ciąglejszej, codzienniejszej pomocy. Napróżno przez długie lata oczekiwano jój w postaci szeregu twierdz, zamykających raz na zawsze granicę napadom wschodnim. Doczekano się jój nareszcie w osobie zakonników św. Trójcy, przeznaczonych swoją ustawą do wykupywania więźniów z niewoli pogan.

Nastali Trynitarze pod koniec XII wieku w Hiszpanii, przyniesionej wówczas jarzmem Arabów. Założycielami zakonu byli śś. Jan de Matta i Feliks Walezy, w szczególnej zawsze zostający u niego czci. Według pierwotnej reguły, zatwierdzonej w roku 1198 przez papieża Innocentego III, miały dwie trzecie części majątku zakonnego iść zawsze na utrzymanie braci, cała zaś reszta na wykupno niewolników chrześcijańskich. Oswobodzenie się półwyspu Pyrenejskiego spod jarzma Maurów, ograniczyło działanie Trynitarzy na wybrzeża maurytańskiej Afryki. Dalsze czasy wywołały reformę w łonie zakonu, skutkiem której Trynitarze podzielili się w drugiej połowie XVI stulecia, na braci reformowanych czyli trzewikowych i braci surowszej obserwancyi czyli bosych. Jak prawie wszystkie zakony, tak też i ci ostatni, mieli w Rzymie swój klasztor w owym czasie, gdy po głośnej odsieczy Wiednia przez Jana Sobieskiego, przybyło tam

pod koniec roku 1683 poselstwo polskie, składające u nóg papieża Innocentego XI, świeżo zdobytą chorągiew Mahometa.

Nie tu miejsce opisywać solenne przyjęcie tego daru. Oprócz ustanowienia nowej na pamiątkę zwycięstwa wiedeńskiego uroczystości N. Panny, oprócz wzniesionego królowi posągu na placu rzymskim, przesłania mu przez papieża tytułu „Obrońcy wiary chrześcijańskiej“ i oręża poświęcanego, upamiętniło się ówczesne poselstwo polskie sprowadzeniem OO. Trynitarzy do kraju.

Było już drugi nowy zakon, który królowi Janowi III za wdzięczał swe rozkrzewienie się w Polsce. Po zwycięstwie pod Chocimem przywołał Sobieski Kapucynów nad Wisłę, i założywszy już poprzednio kilka różnych klasztorów, jak mianowicie Karmelitów bosych i OO. Bonifratrów we Lwowie, Dominikanek w Żółkwi, zbudował wspaniały przybytek kapucyński w Warszawie. Teraz już to dla okazania pobożnej za nowe błogosławieństwo niebios wdzięczności, już to dla przyjęcia w pomoc nadmienionym potrzebom prowincyi wschodnich, postanowił Jan III wezwać do Polski zakon, trudniący się wykupywaniem jeńców. Główny wykonawca woli królewskiej, przewodnik poselstwa z chorągwią Mahometa, młody opat mogiński Denhoff, wkrótce potem godnością kardynała zaszczycony, wybrał ku temu bosych Trynitarzy hiszpańskich.

W ich to klasztorze „u czterech źródeł“ przed miastem, zatrzymał się poseł polski przez dni kilka przy swoim wejździe do Rzymu, i poznawszy tam regułę i obyczaje klasztorne, dał im pierwszeństwo przed innymi tegoż samego powołania zakonnikami. Król Jan pochwalił pisemnie wybór Denhoffa. OO. Trynitarze przyjęli z radością uwiadomienie o nowootwierającej się im ojczyźnie. Na list posła polskiego do generała zakonu w Hiszpanii, przybyło ztamtąd dwóch braci duchownych, przeznaczonych do rozkrzewiania nowej reguły w Polsce.

Przed ich wyjazdem do kraju, ułożył im opat mogiński szeroką informację, jak się należy zachować w Polsce, aby i umysły krajowców pozyskać zakonowi, i surowej jego obserwancyi nie podać przez to w niebezpieczeństwo. Zach-

działa w tej mierze potrzeba wielkiej bacności. Gdyż, jak owa informacja opiewa, nie było kraju niefortunniejszego dla rygoru obyczajów zakonnych nad ów, dokąd udawali się teraz bracia hiszpańscy. „Polska”—mówi Denhoff—„jak morze! Piękne ono na oko i powabne, i do żeglowania zachęcające; lecz biada ludziom zakonnym, którzy mu zbyt dowierzają. W pół drogi uwiężą ich mielizny, na których kto wprzód utkwiał, oby przynajmniej nauczył przykładem swoim następnych, jak zaraz u wstępu nadać pomyślniejszy obrót sterowi.“

Ciekawe téż przepisy czytamy w dalszym ciągu. Między innemi zaleca doradzca polski, nie osiadać klasztornie na wsi ani w miasteczku, jako w miejscach przystępniejszych zwolnieniu ścisłej reguły, lecz w wielkiem mieście. Wszelkie uczęszczanie na biesiady w domach szlacheckich, wszelkie niekoniecznie potrzebne komunikacye z osobami świeckimi, acz religijną ubarwione intencją, powinno być jak najsurowiej wzbronione. Polaków można wcześniej przyjmować do zakonu, lecz od czasu do czasu wypadnie przyzwać nowych braci hiszpańskich ku pomocy. „W ogólności”—kończy instrukcyja—„tem błogosławieński owoc wyda młoda drzewina, im obficiej rodzime soki hiszpańskie zasilą polski jój korzeń.“

Z takimi przestrokami, z listem papieża Innocentego XI-go do króla, z wielą rekomendacyjnych pism od kardynałów i Denhoffa, wybrali się osadnicy pobożni, OO. Jan a S. Antonio, Franciszek a *Conceptione* i Jan a S. Francisco, w miesiącu marcu r. 1685 w drogę do Polski. Dnia 22 maja stanęło całe grono w Warszawie. Łaskawe przyjęcie u króla, u biskupów i panów polskich, przyniosło im wkrótce tyle jałmużny, ile było potrzeba do obmyślenia sobie klasztoru. Zwłaszcza biskupowie polscy okazali się hojnymi dla przybyśzów zakonnych. Pisemne asygnacye nuncyusza i trzech biskupów, zapewniły im na lat kilkanaście 2,500 złp. stałego rok w rok dochodu. Nie wahając się długo w wyborze miejsca zgodzono się powszechnie na założenie pierwszej osady na Rusi, we Lwowie, w obliczu pogan, u których czcigodni Ojcowie pełnić mieli swoje dzieło pobożne.

Jakoż już w kilka tygodni później, dnia 13 lipca roku

1685, przybyli wszyscy trzej z pieniędzmi i listami polecającymi do ówczesnej stolicy Rusi. Przywieźli ich tam w tryumfie dwaj pierwsi dygnitarze krajowi, hetman w. k. i wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski i kasztelan krakowski Andrzej Potocki. Przyjęli ich zaś w tymczasową gościnę OO. Teatyni, w swoim klasztorze na przedmieściu brodzkiem, gdzie dziś koszarzy artylerji.

II.

Troski o klasztor.

Aż dotąd wiodło się wszystko po myśli. Kilkumiesięczny przeciąg czasu wystarczył, aby skutkiem powolnej korespondencji między Rzymem, Warszawą a Madrytem, trzej ubodzy zakonnicy hiszpańscy, do niedawna w dalekiej osiedleni Kordowie, ujrzeni się poza Wisłą, w stolicy Rusi, jako założyciele nowej gałęzi swego zakonu, w posiadaniu potrzebnych ku temu sum. Po tak szczęśliwych początkach, słuszną było spodziewać się i nadal podobnie świetnych postępów. Ani też przypuszczamy zwyczajnie, aby równie pobożne przedsięwzięcie jak to, którego dzieje tutaj opowiadamy, mogło w owych wiekach pobożnych znaleźć jakiegokolwiek zawady. Tymczasem chciejmy tylko rozpatrzeć się bliżej w historii, a przekonamy się, iż wszelkie dzieło ludzkie, w każdym wieku i miejscu, musi w swoim wzroście odbyć niezbędną walkę z oporną rzeczywistością. Owszem ta walka, przewidziona zwycięzko na korzyść zacnej intencji dzieła, stanowi nieraz jedną z najpiękniejszych chwil jego życia. Takim też wdziękiem przyodziwia się teraz skromna historia zaprowadzenia OO. Trynitarzy we Lwowie. Już prawie u celu swoich starań, utknęli oni o niepoczesną przeszkodę, odraczającą do pewnego czasu pożądane owoce ich działalności.

Chodziło o nabycie miejsca na klasztor. Najstosowniejszemu zdało się takie, w któremby, jak to wówczas nierzadko zdarzało się, znajdowały się już zabytki jakiegoś opuszczonego kościoła, klasztoru lub przynajmniej kaplicy.

Zarazem musiano uważać na to, aby nowy zakład duchowny, przeznaczony do zbierania jaknajliczniejszej jałmużny, nie krył się na ustroniu, zdala od oczu i rąk pobożnych. Obu-
dwom tym względom odpowiadały nader stosownie zwaliska
jednego z kościołów na przedmieściu krakowskiem, tuż za
murami miasta. Byłto dzisiejszy kościół Panny Maryi, się-
gający początkiem swoim czasów Kazimierza W., a wtedy
po zgorzeniu w r. 1682, od lat kilku pustką stojący. Ku
tego więc nabyciu zwrócili Ojcowie wszelkie starania.

Zaniesiono w tój mierze prośbę do arcybiskupa lwow-
skiego, Konstantyna Lipskiego, do nuncjusza papieżkiego
w Warszawie, nawet do króla. Wszyscy zgodzili się na
propozycję. Brakowało jeszcze tylko przyzwolenia miasta
i kapituły. Otóż rada miejska oświadczyła się nieprzychyl-
nie. Kościół P. Maryi należał zdawna do miasta, posiada-
jącego nad nim *jus patronatus*, które przez wprowadze-
nie zakonników zostałoby uronione. Z podobnemiż trudno-
ściami wystąpiła jednocześnie i kapituła. Wikaryusze kate-
dralni bywali od wieków administratorami świątyni P. Ma-
ryi, stanowiącej przeto część ich funduszu dotacyjnego.
Odstąpienie kościoła Trynitarzom znacznieby go uszczupliło.

Ten podwójny opór zatamował całą sprawę. Nie po-
mogły wielokrotne obrady i zgromadzenia panów rajców
i całego duchowieństwa lwowskiego. Nie skutkowały gor-
liwe instancje i edykta nuncjusza, ani kilka razy pono-
wione listy królewskie. Wszelkie zabiegi posłużyły jedynie
do przedłużenia zwłoki w fundacyi. Przez ośm miesięcy, t. j.
przez drugie tyle czasu, ile wprzód potrzebą było do spro-
wadzenia zakonników z Hiszpanii na Rzym i Warszawę do
Lwowa, musieli oni teraz oczekiwać we Lwowie, w swojej
gościnie u Teatynów, coraz wątpliwszego końca procesu.
Nareszcie wypadło rzec się zgoła myśli nabycia kościoła
pożądanego.

Zaczęto więc o inne, choćby mniej dogodne starać się
miejsce. Wtedy nadarzyło się kupno pewnego ogrodu tuż
za murami miasta, przy furcie jezuickiej. Chciano tam nowy
z gruntu budować klasztor. Stała uгода z właścicielem,
który dawnym zwyczajem, zaceniwszy zrazu 7,000 złp., spu-
ścił po krótkim targu na 2,600. Uradowani zakonnicy mieli

już składać pieniądze, gdy oto rada miejska nową wniosła przeszkodę. Zdało się rajcom, że ogród targowany przytykał nazbyt blisko do murów miejskich. W razie oblężenia mógłby nieprzyjaciół użyć klasztoru za dogodną sobie warownię. Rozbił się cały układ.

Chcąc wynagrodzić tę powtórnią odmowę, uczyniło miasto teraz własną OO. Trynitarzom propozycję. Posiadało ono kilka domków w pobliżu ulicy żydowskiej, wewnątrz murów, wynajmowanych Żydom. Ponieważ ci oddawna nie opłacali czynszu, i w ogólności do najopłakaniejszego stanu opustoszenia przywiedli budynki wydzierżawione, przeto umyśliła rada miejska odebrać Żydom te rudera i sprzedać je Ojcom na klasztor. Znaczyło to właściwie, jak dziejopis zakonny wyraża się — „duchownym groszem wetować swoją stratę.“ Że atoli ofiarowane pustki leżały w obrębie murów, więc chętnie przystali księża na projekt rajców i weszli z nimi w targ. Po całodziennym handlu w ratuszu, zacząwszy rozmowę od zażądania 10,000 złp., sprzedali deputaci miejscy plac i ruiny za połowę tej sumy. Pozostało tylko zasięgnąć potrzebnego w tym razie zatwierdzenia królewskiego.

Tymczasem Żydzi, mieszkający bezpłatnie w tych zwaliskach, a zniewoleni obecnie do ustąpienia z nich, zakrzętnęli się około cofnięcia całego planu. Nie mogąc wskórać u rajców, udało się kilku do hetmana w. k., przebywającego podówczas w pobliżu, na wsi. Zyskawszy tam przychylny list od hetmana, pobiegli inni copędziej do samegoż króla w Żółkwi. Skutkiem tych gorących zabiegów stało się, iż po kilku miesiącach dalszej zwłoki sam król, w niedawnej sprawie o kościół P. Maryi usilnie popierający zakonników, teraz sprzeciwił się ich życzeniom. Układ z rajcami spełził na niczém. W jedyną pociechę przyrzekł król zmuszonemu Trynitarzom przybyć niebawem do miasta i zająć się osobiście wynalezieniem miejsca na klasztor.

Jużto dziesiąty miesiąc upłynął, jak trzej przybysze zakonnicy troskali się bezskutecznie we Lwowie. W tym przeciągu czasu jeden z nich, O. Franciszek *a Conceptione*, umarł u Teatynów. Nareszcie w niedzielę palmową r. 1686 zjechał sam król do miasta. Służył wtedy u dworu królewskiego

niejaki Aleksander Dynowicz, szlachcic, burgrabia wilanowski, posiadacz domu we Lwowie. Należała mu tam tak zwana kamienica Malechowska, wewnątrz murów, niedaleko bramy krakowskiej, mająca jeszcze kilka innych, acz mniej znamienitych spółwłaścicieli. Bawiąc najczęściej w Warszawie, pragnął Dynowicz pozbyć się swojej posiadłości we Lwowie, zostając bez należytego nadzoru, w stanie zupełnej dezolacji. Usłyszawszy tedy o zachodach xx. Trynitarzy insynuował królowi zamiar sprzedania im kamienicy. Pobożny król wziął to za skazówkę woli niebios, i przy widzeniu się we Lwowie z Trynitarzami, zaproponował im kupno domu.

Ucieszeni zakonnicy weszli natychmiast w układy z Dynowiczem, który ze swojej strony przyrzekł usunąć wszelkie przeszkody, jakieby przez kogokolwiek mogły być podniesione. Jakoż zaledwie miasto dowiedziało się o układzie, zaraz w istocie znalazły się trudności. Założenie klasztoru w miejscu kamienicy Malechowskiej, zacieśniłoby (zdaniem rajców) połąć krakowską. Nadto, przejściem domu miejskiego, podległego wszelkim podatkom i ciężarom, w ręce duchowne, wolne od tychże opłat i obowiązków, poniosłoby miasto znaczny uszczerbek. Nie mogła zatem rada miejska dopuścić kupna, a mnogość spółwłaścicieli nastęrczała łatwą sposobność do utrudnienia układu.

W takim położeniu należało naprzód załatwić sprawę z pomniejszych właścicielami. Uspokoiwszy już kilku, znalazł Dynowicz największy opór u pewnego krawca, droższego się nadzwyczajnie z ceną swęj części. Po długich bezskutecznych namowach, udano się obopólnie przed radę miejską, która wcale nie przyspieszała zgody. Nie mogli Ojcowie doczekać się jej inaczej, jak przez zapewnienie krawcowi 500 złp. odstępnego. Zyskawszy zaś tyle, zażądał krawiec jeszcze dalszych 100 złp. w dodatku. Dorzucił je chciwemu człowiekowi przełożony klasztoru Teatynów, litujący się swoich znękanych gości. Podniosła się przeto ogólna cena lichego, zupełnie opustoszałego domu do 13,600 złp. I tegoż drogiego kupna, nie chciało jeszcze zatwierdzić miasto. Dopiero dwukrotny list królewski, nakazujący surowo wpisanie kontraktu w księgi miejskie, a w razie prze-

ciwnym, wciągnięcie onego w akta grodzkie, zmiękczył rajców. Przyszło nakoniec do wprowadzenia Ojców w posiadanie kamienicy nabytėj.

Dnia 1 czerwca zgromadzili się w niej sędzia i pisarz miejscy, dwaj xx. Trynitarze, Dynowicz z krawcem i kilku świadków. Po skończonym akcie sądowym zatknęli księża krzyż na gruncie kupionym, w znak właścicielstwa. Ledwie to nastąpiło, nadbiegła zewsząd gromada ludzi ubogich, mających jakąkolwiek pretensję pieniężną do Dynowicza i krawca, domagając się teraz jēj umorzenia. W obawie, aby sprzedaż domu nie odjęła im ostatniej rękojmi odzyskania należitości, oświadczył starszy Trynitarz, iż nie złoży wprzód pieniędzy, aż póki wszystkim słusznym żądaniom zadość uczyniono nie będzie. „Jeżeli tak“ — ozwie się Dynowicz — „tedy cała ugoda za nic! Protestuję przeciwko sprzedaży domu!“ Poczém wzięwszy krawca za rękę, wyszedł z nim w najwyższém uniesieniu. Sędzia miejski zapisał protestacyę i oddalił się także. Za nimi rozbiegli się wierzyciele. Pozostali zakonnicy pogrążyli się w ciężkim smutku.

Nie było innego środka, jak pokusić się o przebłaganie Dynowicza. Jeszcze tegoż samego wieczora udali się księża do niego z oznajmieniem, iż bez względu na czyjekolwiek pretensye, gotowi są złożyć pieniądze. Widok blizkiego złota sprawił pomyślne na Dynowiczu wrażenie. Przyrzekł cofnąć swą protestacyę. Sprawa biednych wierzycieli tyle przynajmniej zyskała, iż przypadającą krawcowi sumę, prawie połowę ceny, pozwolił Dynowicz dla ich zabezpieczenia złożyć w depozycie u jednego z duchownych lwowskich. Wezbrana nad Trynitarzami burza przeminęła szczęśliwie.

Nazajutrz rano, po odwołaniu protestacyi, zatwierdził urząd miejski kupno i wprowadzenie w posiadłość. W ciągu dnia pożegnali obaj Trynitarze ze łzami w oczach swoją gościnną siedzibę u Teatynów, i chcąc wszelkim dalszym zagrozić wątpliwościom, sprowadzili się pod wieczór na stałe mieszkanie do swego domu. Byłoto właśnie w przedjutrze Zielonych Świątek. Nowa siedziba braci była raczej brudną, smrodną ruiną, niż domem, niż klasztorem. Jakże smutno przyszło im obchodzić tam piękne święto wiosenne,

pierwiastki swego pobytu! Wszakże mocna wiara ozłociła im ściany zwalisk, a bliska przyszłość przyniosła świetną nagrodę.

III.

Nowa osada klasztorna.

Zaraz po świętach zabrali się ojcowie do przekształcenia swoich ruin w dom Boży. Wymagało to ciężkiej, a zwłaszcza niemiłej pracy, w porównaniu z którą zakładanie klasztoru w pustyni leśnej mogło zdawać się przyjemnością. Musiano najprzód oczyścić dolną część domu, służącą całemu sąsiedztwu za skupisko śmieci i brudu. Wprawiono następnie okna i drzwi, pokryto budynek nowym dachem, opasano go płotem. Przy tém wszystkiém gniotła wszędzie ciasnota, której nie było sposobu rozprzestrzeniać.

Najobszerniejszą z wyrestaurowanych komnat przeznaczono na kościół tymczasowy. W pierwszą ozdobę darował mu nuncyusz papieżki obraz Matki Boskiej częstochowskiej na blasze. Za jego przykładem xięża ormiańscy ofiarowali część starego ołtarza z obrazem św. Trójcy, koronującej N. Pannę; jakiś ubogi mieszczanin złożył jałmużną trzeci obraz z wizerunkiem Bogarodzicy; administrator arcybiskupstwa ormiańskiego wypożyczył przybory ołtarzowe i naczynia kościelne.

Po dwóch miesiącach, dnia 14 lipca r. 1686, nastąpiło uroczyste poświęcenie nowej świątyni. Celebrował sam nuncyusz; administrator ormiański miał kazanie do ludu; sławny rajca Kuczankowicz przemówił w imieniu miasta do celebranta; nuncyusz odpowiedział poleceniem świeżej fundacyi pobożnej opiece mieszczan. Poczém skromna biesiada w celi przybocznej, pozwalająca Trynitarzom widzieć teraz OO. Teatynów nawzajem przy swoim stole, zakończyła ceremonię.

Odtąd wzrastał nasz zakład nieprzerwanie w coraz nowe ozdoby i przydadki. Ku wdzięcznej pamiętce długiej gościny u Teatynów, wzniesli Trynitarze niebawem

drugi u siebie ołtarz, poświęcony czci ich patrona, św. Ka-jetana. Ustanowiono przed nim osobne, co srode odbywające się nabożeństwo, któremu nuncyusz papieżki udzielił 300 dniowego odpustu. W kilka dalszych tygodni, w dzień św. Felixa, dnia 20 listopada, stanął trzeci ołtarz w nowym kościele, zbudowany na cześć pierwotnych założycieli zakonu, śś. Felixa Walezyusza i Jana z Maty. Jednocześnie zostało zaprowadzone bractwo szkaplerza Najświętszej Trójcy, w które za nuncyuszem papieżkim wpisało się bardzo wiele pobożnych osób, zwłaszcza zakonnych. Przybył też fundusz na dwie msze co tygodnia, zapewniony przez mieszczanina lwowskiego Brevi darowizną 200 złp. i placu na rozszerzenie klasztoru.

Do tak wzrastającego konwentu zawitało w miesiąc po poświęceniu kościoła trzech dalszych zakonników z Hiszpanii. O. Jan *a S. Antonio*, dotychczasowy przewodnik dzieła, stanął jako superior na czele nowej gminy duchownej. Śmierć jednego z świeżo przybyłych braci hiszpańskich, pochowanego na cmentarzu klasztornym, już nawet jednym grobem rodzinnym zbogaciła osadę. Jeszcze w tym samym roku zastąpili zmarłego dwaj nowicyusze krajowi, pierwsi w tym zakonie Polacy. Byli to niejaki Jan Białozor, syn mieszczanina lwowskiego, przyobleczony w suknię zakonną dnia 4 października, i Zacharyasz Michalewicz, pierwotnie alumn zgromadzenia Teatynów, wielce pożądanym nowemu zakładowi, gdyż pochodząc z przodków ormiańskich, miał znajomość języków wschodnich, potrzebnych w zamierzonych wędrówkach redempcyjnych na Wschód. Aby Trynitarzom lwowskim ułatwić spieszniejsze rozpoczęcie tych zbawiennych czynności, nadeszła dyspensa rzymska, ukrócająca nowicyat do ośmiu miesięcy próby zakonnej.

Gdy te miesiące upłynęły, już pierwszy superior lwowski O. Jan *a S. Antonio*, nie piastował urzędu. Wróciwszy w połowie roku 1687 do rodzinnej Hiszpanii, dostąpił tam zasłużonej za swoje trudy lwowskie nagrody, będąc wkrótce na generała zakonu powołany. Superiorat opróżniony poruczono w październiku r. 1687 O. Janowi *a Nativitate*. Za jego przełożęństwa zaczęły dotychczasowe troski i prace nieść owoc błogosławiony. W połowie stycznia roku 1688

wyruszyła z progów ubogiej świątyni trynitarskiej pierwsza wyprawa redempcyjna, otwierająca szereg ośmnastu podobnych wędrówek w 95 latach następnych.

IV.

Pierwsze Redempcyje.

Najbliższą do wykupu jeńców stacyą turecką był podówczas Kamieniec Podolski. W tę więc stronę zwrócili się pielgrzymi trynitarscy. Było ich dwóch: O. Michał *a. S. Maria*, właściwy redemptor, i socyzus jego, x. Michał *a. S. Trinitate*, ów nowicyusz ormianin, mówiący doskonale sześciu językami wschodniami. Jużto z jałmużn, już z trzeciej części dochodów zakonnych, niesiono z sobą przeszło 4000 złp. okupu.

Pożegnawszy dnia 15 stycznia pozostałych w klasztorze czterech spółbraci, zatrzymali się obaj Trynitarze po niedługiej podróży w miasteczku Janowie, koło Trębowli. Należało uwiadomić ztamtąd baszę kamienieckiego o swoim przybyciu i zamiarze. Nastęczył się z pomocą pewien mieszczanin janowski, nazwiskiem Ksornet, obiecując wynaleźć stosownych wysłanników. Zdało się to rzeczą niełatwą, ile że kilku zawezwanych ku temu ludzi, wymówiło się od posёлki, jako nadmiar uciążliwej i niebezpiecznej. Prócz tego sam Ksornet przedstawił ojcom w najusilniejszych wyrazach bezskuteczność pielgrzymki do Kamieńca. Wyprawieni wreszcie tłumacze przynieśli ztamtąd wiadomość, iż basza kamieniecki domaga się, aby wykupna w Kamieńcu dopełnił nie x. redemptor lecz Ksornet.

To wzbudziło podejrzenie o Michała. Nasunęły się jeszcze inne powody niedowierzania rzetelności informatora janowskiego. Lękając się tedy dalszych sideł, opuścili Trynitarze potajemnie miasteczko, i w najcięższe mrozy, nocując po dwakroć w lesie, zmierzali do Kamieńca.

Dnia 2 lutego rozwarły się przed nimi bramy twierdzy tureckiej. Wnijscie nieznanym dotąd zakonników wprowadziło w ruch całą ludność. Gruchnęły najdziwniejsze o nich

pogłoski. Jedni mieli ich za wysłańców samegoż papieża, przybyłych z ogromnemi skarbami, w chęci wykupienia wszystkich jeńców chrześcijańskich. Inni widzieli w nich szpiegów, czarnoksiężników, godnych śmierci niezwłocznej. Dla usmierzenia rozruchu ulicznego kazał basza wziąć ich natychmiast pod straż i przyprowadzić przed siebie.

Na szczęście znalazł się pomiędzy domownikami baszy uczciwy Turek, marszałek jego dworu, który nietylko przejednał pana, lecz owszem ułatwił zakonnikom jaknajprędsze dokonanie zamiaru. W przeciągu kilku godzin dobito targu o tylu niewolników, na ilu wykupno starczył fundusz niewielki. Wróciło zań ojczyźnie i rodzicom ośmiu jeńców szlachetnych, pomiędzy nimi dwie kobiety. Z radośnym sercem spoczęli pielgrzymi chrześcijańscy przez noc pod dachem gościnnego marszałka.

Przy pożegnaniu jutrzejszém oświecił ich zacny gospodarz względem podstępności Ksorneta. Zadłużony u kupców kamienieckich, umyślił on zaspokoić ich żądania pieniędźmi trynitarскими, i sam w tym celu udał się przez swych wysłańców z prośbą do baszy aby nie dozwolił Trynitarzom wstępu do miasta. „Na drugi raz“ — zakończył Turek — „bądźcie ostrożniejsi, i nie wchodźcie w umowy z nikim innym, jak tylko z nami.“ W jakątąką oznakę słusznój wdzięczności udarowali go Trynitarze dwudziestą lewami tureckimi. Za to dał im marszałek konwój sześćdziesięciu spahów, którzy aż do samej granicy polskiej odprowadzili bezpiecznie księży i jeńców.

Kilka dni drogi przywiodło ich nazad do Lwowa. Przed uroczystém wnijszciem do miasta zatrzymało się całe grono na przedmieściu halickim, w klasztorze Karmelitów. Ztamtąd zostali wyzwolenicy przedstawieni przez superiora Trynitarzy hetmanowi w. k., Stanisławowi Jabłonowskiemu, który wszystkich hojną zaopatrzył jałmużną. Poczém odbyła się solenna introdukcyja redempcyi w progi świątyni trynitarzkiej.

Oprócz zakonników św. Trójcy uczestniczyli w niej gospodarze klasztoru, z którego wyruszyła procesya. Urządzono ją według osobnych przepisów ceremoniału trynitarzkiego. Wykupieni postępowali rzędem, na przemian z za-

konnikami. Wszedłszy bramą halicką, ciągnął pochód przy odgłosie śpiewów pobożnych, wśród bicia dzwonów, przy tłumnym zbiegowisku ludności, przez cały rynek, ku nowemu klasztorowi na Krakowskim.

Każdy chciał przypatrzeć się tej nieznanej jeszcze uroczystości, obaczyć jeńców. W niewielkiej ich liczbie znajdowały się wszystkie stopnie wieku ludzkiego. Widziano tam starą szlachciankę Tarczewską, trzymaną przez półtora roku w niewoli, wykupioną za 180 złotych. Tuż po niej szli dwaj młodzi niewolnicy, opłaceni nierównie drożej, bo po 450 złp. Za nimi szła młoda matka z dziećciem, urodzonem we trzy miesiące po wzięciu w jasyr. Kosztowali oboje najwięcej z całego grona, gdyż za matkę musieli Trynitarze dać złotych 600 a za dziecie 240. Dwaj dalsi brańcy byli w samej sile wieku, i zostali stosownym, po 600 i 450 złp., ocenieni okupem. Zamykał się szereg starcem, niejakim Piątkowskim, wynędznionym ośmnasto-miesięcznymi więzami, z których 390 złotych go wyzwoliło.

Stanawszy w małym kościółku trynitańskim, na którego miejscu w czasie popadnięcia jeńców w niewolę wznosił się jeszcze brudny opustoszały budynek, upadli wszyscy ze łzami na kolana, składając dzięki niebiosom i zacnym zakonnikom. Cała też ludność miejska przejęła się odtąd nierównie gorętszą życzliwością dla Trynitarzy. Jak to przy każdej redempcyi w zwyczaju było, poświęcono i to pierwsze dzieło wyzwolenia pewnemu szczególnemu protektorowi zakonu. Wywdzięczyli się Trynitarze tym sposobem w razie obecnym kardynałowi Denhoffowi, swemu pierwszemu sprowadzicielowi do Polski, bawiącemu wciąż jeszcze w Rzymie.

We dwa lata po pierwszej redempcyi, wśród ciągłych prac i trosk około rozszerzenia budynku klasztorowego, podjęto drugą podobną wyprawę. Przewodniczył jej znowu poprzedni redemptor, x. Michał *a S. Maria*, z swoim socyuszem. Znaczniejsze jałmużny, uzbierane przez x. redemptora po różnych domach szlacheckich, a osobiście w Grodzie, u obojga królestwa i panów dworskich, dostarczyły środków do wykupienia większej liczby nieszczęśliwych.

Innym jednakże trybem miano postępować tym razem. Zarzucając poprzedniej wyprawie zbyteczne narażanie się

na osobiste niebezpieczeństwa, zalecono teraz obudwom wykupicielom, dopełnić dzieła za pomocą wysłanych naprzód tłumaczów. Dla zasiągnięcia rady w téj mierze, wstąpili obaj redemptorowie po drodze do hetmana w. k. Stanisława Jabłonowskiego. Znajdował się u niego kozak dworski, nietylko z imienia, jak dziejopis trynitarSKI donosi, lecz i z charakteru—BarabasZ. Ten dowiedziawszy się, że Ojcowie, skutkiem rady powziętój, mieli z Czernielicy koło Zaleszczyk wyprawić tłumaczy z pieniędzmi do Kamieńca, rozporządził dziesięciu poufnych kozaków, którzyby ich rozbili.

Jakoż w istocie, dostawszy się potajemnie wraz z księżmi do pomienionego miasteczka, wybiegli rabusie na spotkanie wyprawionych ztamtąd tłumaczów, napadli ich, odebrali pieniądze i poczęli uprowadzać związanych. „Zdarzyło się przecież miłosierdziem Boskiem“ — opowiada kronika klasztorna—, że jeden z tłumaczy wyśliznął się z rąk hultajom, i pośpieszywszy do x. redemptora w Czenielicy, wszystko co się stało, rzetelnie opowiedział. Struchlał na taką nowinę wraz z swym towarzyszem o. Michał; a nie wiedząc co czynić, udał się najpierw do Boga, a potem do komendanta chorągwi, stojącej właśnie w miasteczku.“

Temu rzecz całą przedłożywszy, otrzymali Trynitarze kilkunastu żołnierzy do ścigania złoczyńców. Odważni wojownicy przetropili wszystkie przyległe góry, doliny i kryjówki, lecz dla wielkiego mrozu i wiatru z śniegiem, nie zdołali żadnego upatrzyć śladu. Już tedy nazad powracać miano, gdy nagle jeden z pomiędzy nich spostrzeże, iż z niezbyt dalekiego jaru wybuchał w górę słup dymu. To samo i drudzy obaczywszy, domyślili się jakichś niebezpiecznych ludzi przy odludném ognisku, i czemp prędzej skierowali w tę stronę.

Znaleziono wkrótce wszystkich dziesięciu bezbożników dokoła ognia, z powiazanymi tłumaczami opodal. Nie było sposobu ucieczki lub oporu. Wzięto wszystkich bezbronną garścią, związano ich temi samemi sznurami, z których uwolniono tłumaczów, i odszukawszy po kieszeniach zbójcekich całej sumy trynitarSKiej, oddano jeszcze tegoż wieczora pieniądze ojcom uradowanym, a hultajów pod sąd.

Powtórna pomyślniejsza posółka pieniędzy i tłumaczy do Kamieńca wyjednała tam bez trudności trzynastu nowym niewolnikom upragnioną swobodę. Przybyłych z tłumaczami do Czernielicy, przyjęli oo. Trynitarze pod swą dalszą opiekę. Poczém posilonych, odzianych, wyspowiadanych, wprowadzono znowu z tą samą ceremonią do świątyni trynitarzkiej we Lwowie. Dedykacyę téj drugiej redempcyi otrzymał król Jan III.

Pomyślny wpływ, jaki obiedwie pierwsze redempcy sprawiły na usposobienie ludności względem zakonu, zachęcił do tém gorliwszych usiłowań na przyszłość. Już w roku następnym 1691, odbyła się nowa wyprawa, równie szczęśliwym ubłogosławiona skutkiem. Prowadził ją znowu x. Michał, za pomocą znacznie większych funduszy. Podczas gdy obie poprzednie redempcy razem tylko 11,727 złp. wydać mogły na okup, obecna trzecia miała do rozrządzenia blisko 34,000. Nadto otrzymali redemptorowie od Rzeczypospolitej ośmnastu jeńców tatarskich, do wymiany z małym dodatkiem za niewolniki chrześcijańskie. Dzięki tym podwojonym środkom, wykupiono tym razem za pośrednictwem tłumaczy, bez żadnych zresztą przygód, 43 brańców w Kamieńcu. Znajdowali się pomiędzy nimi bez różnicy szlachta i chłopci, mężczyźni, kobiety, dzieci. Byłato jedna z najświetniejszych redempcyi. Wprowadzona z zwykłą ceremonią do Lwowa, przypisana hetmanowi w. k., Stanisławowi Jabłonowskiemu, poparła ona skutecznie dalsze starania Ojców około rozszerzenia swego klasztoru i zakonu w tém mieście, owszem w odleglejszych prowincjach Polski.

Wróćmyż teraz na chwilę w progi uboższego konwentu w pobliżu bramy królewskiej.

V.

Wzrost klasztoru i zakonu.

Zawsze jeszcze przybytek trynitarzki we Lwowie wyglądał raczej jako dom ludzki niż Boży. Zgromadzająca się na nabożeństwo publiczność, musiała przestawać na koś-

ciołku, mierzącym 15 sążni w dłuż, a 11 w szerz. Pozwolił wprowadzić król przykupić 4 sążni gruntu z ulic i nabyć jeden z przyległych domów, atoli nowy spór z miastem o 500 złp., zażądanych przez magistrat w wynagrodzenie podatków, jakie przejściem kamienicy Dynowicza w ręce duchowne odpadły miastu, nie dopuścił korzystać z pozwolenia.

Dopiero w r. 1696, t. j. w 10 lat po instalacji Trynitarzy przy ulicy krakowskiej, zaniosło się na lepsze. Zgłosił się wtedy do superiora klasztoru właściciel jednej z pobliskich kamienic, oświadczając zamiar sprzedania jęj za pół ceny. Podobała się ta ofiara tém bardziej, iż lubo dom stręczony nie przytykał bezpośrednio do budynku trynitarzkiego, była przecież nadzieja zamienić go za inny, bezpośrednio przyległy, a w posiadaniu xx. Karmelitów trzewickowych będący. Przyjęto więc propozycję pobożną i kupiono w półdarmo kamienicę, znaną pod nazwą „Marchwiana.“

Dla uspokojenia się ze strony miasta, złożyli Trynitarze nawet owe 500 złp., które cokolwiek przyjaźniej natchnęły miasto. Resztę oporu zwalczyła szczęśliwie okoliczność następna: Po śmierci króla Jana w tym samym roku, zawiązała się, jak wiadomo, konfederacja wojskowa, mająca na celu wymuszenie zaległego od dawna żołdu. Jeden z oddziałów wojska skonfederowanego obległ naszą stolicę Rusi, zniewoloną do wypłaty 50,000 złp. kontrybucyi. Miasto nie miało pieniędzy. Przy wytężeniu wszelkich środków doraźnych zabrakło jeszcze kilka tysięcy. W takim położeniu oo. Trynitarze ofiarowali pożyczkę. Byłato pomoc z nieba. Obowiązało się miasto zwrócić ją niechybnie na Boże Narodzenie. Gdy to nadeszło, niebyło znowuż pieniędzy. Wypadło układać się z Ojcami. Ci stali mocno przy swoim prawie, i położyli za warunek pokoju albo wypłatę długu albo odstąpienie kamienicy Marchwianej, z pozwoleniem zamiany za przyległy dom karmelicki i przydatkiem owych 4 sążni gruntu z ulicy. Jeden z rajców miejskich, skrycie przychylny Trynitarzom, dopomógł im w téj sprawie przez umyślnie zaniedbywanie składki na spłatę długu. Przyciśnione zniecka miasto musiało uledeć. W roku 1698 powiększyła się posiadłość klasztoru kamienicą Marchwianą,

wymienioną wkrótce za karmelicką, i kawałkiem gruntu z ulicy.

Tymczasem, w r. 1697 zdarzył się niespodzianie inny, równie korzystny przyrost. Za wyłączną prawie pomocą kasztelanowej wołyńskiej, Anny Wielhorskiej, nabył klasztor od mieszczanina Morawca drugą przyległą kamienicę, wznoszącą się od strony Zamku Niższego. Było tylko początek coraz znamenitszych łask, jakimi rodzina Wielhorskich potężnie odtąd wspierać zaczęła klasztor.

Wkrótce sam kasztelanik wołyński, syn Anny, przywdział sukienkę trynitarzką we Lwowie. Roku 1701, po kilku-letniej służbie w zakonie dostał on pierwszy z Polaków godności superiora, czyli, jak przełożonych lwowskich podówczas zwano, ministra prowincyała. Z miłości dla syna otworzyła kasztelanowa wołyńska konwentowi św. Trójcy wszelkie źródła swoich dochodów. Ułatwiwszy mu poprzednio zakupno owę kamienicę Morawcowej, łożąc bez przerwy znaczne jałmużny na porządki i ozdoby kościelne, zasłużyła się ona dalej pospołu z synem fundacją statuy P. Jezusa Nazareńskiego. Wracając z nowicyatu w Madrycie, przywiózł był kasztelanik wołyński w roku 1696 kopię statuy Chrystusa Pana, znajdującęj się w madryckim kościele Trynitarzy, a wsławionęj w całym kraju cudami. Kosztem Wielhorskich znalazła też kopia wspaniałe umieszczenie u Trynitarzy lwowskich, otrzymała fundusz cotygodniowęj mszy z nabożeństwem do Przenajśw. Sakramentu, i zaczęła także słynąć łaskami. Czém jeszcze bardziej ujęta kasztelanowa, powzięła zamysł wyświadczyć klasztorowi swe główne dobrodzieństwo, t. j. nowy z gruntu wybudować mu kościół.

W tym czasie odprawiali Trynitarze nabożeństwo w nowęj świątyni, przeniesionęj z pierwotnego miejsca do świeżo nabytęj kamienicy Marchwianęj. Było przybytek cokolwiek obszerniejszy, mierzący 36 sążni długości, a 18 w szerz, zawsze jednak zbyt ciasny dla coraz większego napływu ludu. Również więc temu ludowi pobożnemu jak i oo. Trynitarzom zadość uczynić pragnąc, przystąpiła kasztelanowa wołyńska do fundacyi okazalszego kościoła. Trwała budowa przez dwadzieścia lat. Uroczyste założenie kamienia węgielnego odbyło się dnia 8 września r. 1703. W listopadzie

r. 1721 umieszczono Przenajśw. Sakrament w nieukończonej jeszcze świątyni. Otwarto ją zupełnie dopiero dnia 12 czerwca 1727. Konsekracya zaś nie nastąpiła wcześniej jak 16 września roku p. 1731.

W tym wieloletnim przeciągu czasu umarła bogobojna fundatorka. Nie położyło to przecież końca jój łaskom. Jużto bowiem jój syn Trynitarz, obrany temi czasy powtórnie prowincyałem, jużto brat jego Wacław, piastujący kasztelaństwo wołyńskie, jużto wreszcie inni członkowie i bratanki rodu Wielhorskich, wspierali nieustającą nigdy hojnością fundacyę pobożnej matki. Za tę dziedziczną szczodrobliwosć otrzymała cała rodzina w pamiętnikach zakonnych nazwę: „wiekopomnych fundatorów i patronów klasztoru.“

Nowo wzniesiony kościół uświetnił się wkrótce różnemi instytucjami i skarby duchownemi. Owa statua Pana Jezusa Nazareńskiego zawsze pierwsze pomiędzy niemi trzymała miejsce. Przy coraz większym wzroście jój czci, została ustanowiona osobna konfraternia, poświęcona Jezusowi Nazareńskiemu. W sierpniu r. 1740 wprowadzono świeżo przyozdobioną statwę i nowe bractwo, wśród niesłychanie wystawnych, przez trzy dni trwających uroczystości, z świątyni katedralnej do kościoła trynitarzkiego.

We dwa lata później umieszczono tamże z niemniejszą solennością ciało ś. Faustyna, przesłane konwentowi z Rzymu, darem Ojca św. Klemensa XII. Rozliczne nabożeństwa, procesye, ceremonie odprawiane przy wizerunku P. Jezusa i zwłokach świętych, połączone z obchodami obudwóch konfraternij Szkaplerznej i Nazareńskiej, wynikłe z świeżo umnożonej czci świętych patronów zakonu, Jana z Maty i Feliksa Walezyusza, tudzież z wielu innych przypadkowych okoliczności, jak np. z okazji jubileuszu w r. 1751, podały kościół i klasztor Trynitarzy w coraz większą łaskę u ludzi. Skutkiem tego były coraz hojniejsze jałmużny, coraz szersze rozpościeranie się zakładu na zewnątrz, coraz świetniejsze przyozdobienie go wewnątrz.

Przyrosło mu kilka nowych domów i placów, jak np. tak zwana kamienica Szwiecka obok Morawcowej, kamienica Karczewskich w pobliżu, plac Poradowskich, wreszcie inne

murowane i drewniane domki w sąsiedztwie. Dzięki hojności domu Wielhorskich, z których syn zmarłej kasztelanowej wołyńskiej jeszcze po dwakroć piastował godność superiora i prowincyała, weszli oo. Trynitarze w posiadanie wsi Lemieszowa, na której zabezpieczona była część zapisów pobożnych. Stało obok kościoła okazałe kolegium trynitarckie, w którym wykładano nauki teologiczne. Kształciło się w nim tylu uczniów zakonnych, iż zaczawszy od roku 1710, nie tylko całe zgromadzenie składało się bez wyjątku z Polaków, lecz nawet pomiędzy mianowanymi z Hiszpanii superiorami i prowincyałami, żadnego nie widzimy już cudzoziemca.

Każdy z przełożonych klasztoru widział się w stanie,łożyć jedną ręką znaczne sumy na okop jeńców, drugą zaś na potrzeby i ozdoby kościelne. O sumach redempcyjnych wspomniemy niżej. Tu nieobojętną w historii naszego klasztoru zda się nam rzeczą uczynić wzmiankę o kosztach, jakie kilku superiorów w każdym trzechletnim przeciągu swego urzędowania podejmowało na rzecz klasztoru. I owo w pierwszym z takich okresów, których rachunki są nam z pamiętników klasztornych znane, od 1695 do 1698, czyniły wydatki na budowę i przyozdobienie pierwotnego kościoła złp. 4346, na zaopatrzenie zakrystyi złp. 14,690, na urządzenie kolegium 20,636 złp. W drugim trójleciu, do roku 1701 wydano na kościół 5699 złp., na zakrystyę zaś i kolegium 11,224. W trzecim trójleciu do r. 1704, na dawny kościół 11,402, na zakrystyę 22,253, na kolegium 11,101, na fabrykę nowego kościoła Wilhorskich 10,640. W czwartym, do r. 1707, na dawny kościół 7,909, na nowy 7,512, na zakrystyę 4,494. Do r. 1710 na dawny kościół i na zakrystyę 13,589, na nowy kościół 19,859, na kolegium 9110. Do r. 1716 (rachunków z lat 1710—1713 brakuje) na nowy kościół i na zakrystyę 32,138, na nowy kościół 32,999, na kolegium 35,505. Przy dalszych latach nie położono rachunków.

Zasłynął jeszcze nasz klasztor przy ulicy krakowskiej jako pożądane miejsce spoczynku wieczystego. Każdy z dobrodziejów klasztoru poczytywał sobie za najmilszą nagrodę leżeć po śmierci w miejscu tak ubłogosławioném, w pobliżu

tylu świętości. Znaleźli w ten sposób przytułek ostatni u xx. Trynitarzy: Franciszek Rojewski, starosta drohowyzki, zmarły r. 1707; żony jego Anna pogrzebiona r. 1710, Teresa Belzecka, kasztelanka bełzka, pochowana r. 1708.

Najczęstszymi atoli gośćmi, najliczniejszymi mieszkańcami kruchty kościoła zakonnego, byli Wilhorscy. Mieli oni u Trynitarzy lwowskich niejako dziedziczną przystań grobową! Spoczęli z kolei, po nadzwyczajnie okazałych uroczystościach pogrzebnych, szczegółowo niekiedy w pamiętniku klasztornym opisanych, najsamprzód główna fundatorka kościoła, kasztelanowa wołyńska Anna, zmarła r. 1706 i jej synowie: Wacław, kasztelan wołyński, przeniesiony do wieczności w r. 1707, i brat jego zakonnik, duchownym imieniem o. Antoni od ś. Jana Chrzciciela, zeszyły ze świata r. 1729. W r. 1725 pogrzebiony został u Trynitarzy Jerzy Wielhorski, kasztelan wołyński, starosta żytomirski. W dalszych latach, a mianowicie w latach 1733 i 1740, wstąpili tam do grobu Felix Wilhorski starosta braclawski, rodzony brat poprzedniego, i o. Józef a Jesu, drugi Trynitarz z domu Wielhorskich. W latach zaś 1737 i 1742 złożono w podziemiach trynitarских zwłoki Ludwika z Zamojskich Wielhorskiej, kasztelanowej wołyńskiej, wdowy po wymienionym wyżej Wacławie.

Któreto wszechstronne rozświetlenie i zakwitnienie pierwszego trynitarzkiego klasztoru we Lwowie rozniosło wkrótce zarody innych podobnychże fundacyj, pojawiających się w różnych okolicach, szybkiem po sobie następstwem. Jedną z pierwszych w tej mierze był drugi trynitarzski klasztor we Lwowie, wzniesiony na przedmieściu halickiem, pod wezwaniem św. Mikołaja, gdzie dziś kościół tegoż świętego, pochodzący pierwotnie od Trynitarzy, i nowy gmach uniwersytetu, przesiedlonego w ten sposób z jednej świątyni trynitarzkiej w poblizę drugiej.

Ufundował tę wtórą osadę trynitarzką Mikołaj Strzałkowski, podczaszy żydaczowski, zamieszkały we Lwowie, w sąsiedztwie swojej fundacyi. Pierwszy jej dokument został ułożony dnia 22 sierpnia r. 1693. W niespełna trzy lata później stanął na zakupionym przez fundatora placu pierwotny kościółek z drzewa, poświęcony 5 stycznia roku

1696. Dopiero w roku 1739 przystąpiono do budowy większego kościoła murowanego, który otwarty został w roku 1745. Klasztor zaś, zbudowany na gruncie przyległym, дарowanym przez Jana Kajetana Jabłonowskiego, starostę czehryńskiego, przyszedł do skutku dopiero w r. 1751.

Co do klasztorów w dalszych stronach królestwa, te dość będzie wymienić tu pokrótce, idąc za podaniem samychże xx. Trynitarzy, biorących zazwyczaj datę poświęcenia kościoła klasztornego za rok fundacyi klasztoru. I tak pominąwszy pomniejsze, krótko trwałe zakłady, jak np. misye trynitarские w Białymkamieniu i w Horochowie, stanął trzeci klasztor zakonników ś. Trójcy r. 1690 w Krakowie; czwarty r. 1691, za staraniem Andrzeja Potockiego, kasztelana krakowskiego, hetmana polnego koronnego w Stanisławowie; piąty r. 1693, fundacyi Tomasza Karczewskiego, kasztelana halickiego w Beresteczku; szósty r. 1693 w Warszawie na Solcu; siódmy r. 1696, z uposażenia Jana Kazimierza Sapiehy, wojewody wileńskiego, hetmana w. litewskiego, w Wilnie na Antokolu; ósmy roku 1700, założony przez biskupa wileńskiego Brzostowskiego, w Trinitopolu pod Wilnem; dziewiąty r. 1707, w Kamieńcu Podolskim, odzyskanym przed ośmiu laty od Turków; dziesiąty r. 1717, wzniesiony przez Władysława Sakowicza, sędziego grodzkiego trockiego, w Orszy; jedenasty r. 1718, fundacyi Pawła Majkowskiego, podskarbiego braclawskiego, w Łucku; dwunasty r. 1727 nakładem Józefa Potockiego podówczas wojewody kijowskiego, w Tomaszowie; trzynasty w tymczasowym r. 1727, przy pomocy Piotra Oziębłowskiego, wojskiego brzesko-litewskiego, w Brześciu litewskim; czternasty w następnym r. 1728, za wsparciem Jerzego Lubomirskiego, podówczas oboźnego koronnego w Lublinie; piętnasty w roku 1731, za przyczynieniem się kasztelana krakowskiego Józefa Potockiego, w Krotoszynie w Wielkopolsce; szesnasty roku 1740, z hojności Stanisława Potockiego, krajczego koronnego, w Braclawiu na Ukrainie; siedmnasty w r. 1741, uposażony przez Pawła Benoe, później kasztelana warszawskiego, w Bursztynie; ósmnasty w tym samym roku 1741, fundacyi Teofili z Sieniawskich Jabłonowskiej, chorążyny koronnój, w Teofilopolu na Wołyniu.

Te wszystkie konwenty i kolegia, utrzymujące się po większej części z jałmużn i dochodów kościelnych, były nadto w posiadaniu znacznej intraty stałej, przeznaczonej na okup niewolników, a dzielącej się na tak zwane sumy funduszowe i rękodajne. Pierwsze, funduszowe, zapewnione przez dobrodziejów na dobrach ziemskich lub dochodach publicznych, nie mogły być naruszone w kapitale, i tylko corocznym procentem swoim służyły potrzebom redempcyjnym.

Takich sum funduszowych mieli Trynitarze razem 294,000 złp., mianowicie z zapisu króla Jana III 20,000, Stefana Bidzińskiego, wojewody sandomierskiego 100,000, kasztelanowej kamińskiej Kossakowskiej 60,000, wojewody ruskiego Matczyńskiego 50,000 i t. p. Drugie, rękodajne, w gotówce, pozostawiane pospolicie u dobrodziejów, lub gdzieindziej umieszczone, przynosiły także tylko pewną roczną prowizję, lecz mogły być w razie potrzeby całkowicie podjęte i użyte. Takich sum rękodajnych mieli Trynitarze u Michała Wielhorskiego, kasztelana wołyńskiego złp. 56,000, u chorążego koronnego Stanisława Potockiego 40,000, u kasztelana elbląskiego Przebędowskiego tyleż, u starosty wierzchowskiego Broniewskiego 28,000 i t. p.

Zaczém w ogólności, nie wliczając drobniejszych jałmużn i dochodów codziennych, posiadały klasztory trynitarские w Polsce, według ówczesnej stopy procentowej 8 od 100, rocznego dochodu 80,000 złp. Nieregularne wpływianie prowizyi umniejszało czasem tę sumę. Zato przydłuższe powstrzymanie redempcyi, pozwalając dochody nieużyte lokować na dalsze procenta, mnożyło kapitał pierwiastkowy. Jakoż same sumy funduszowe powiększyły się w ten sposób o blisko 40,000 złp.

Z wszystkich polskich konwentów i kolegiów różnego stopnia i niejednakowej zamożności urosła osobna prowincya zakonu ś. Trójcy, prowincya Polska, której pierwszym prowincyałem cudzoziemcem obrano r. 1695 o. Jana od św. Trójcy, a która r. 1726, na generalném zgromadzeniu czyli *diffinitorium* w Madrycie, otrzymała stanowcze urządzenie pod tytułem ś. Joachima.

Łubo zgromadzenia prowincjonalne w różnych z kolei odbywały się miejscach, zawsze atoli lwowski klasztor przy

ulicy krakowskiej, zaszczycony wyłącznem posiadaniem godności Ministrów-Prowincyałów, połączonęj z jego superioratem, miał znaczenie stolicy. Mianowicie wszystkie redempcyje niewolników, dla których cały zakon istniał właściwie, wracały przez długie lata niezmiennie w progi świątyni trynitarzkiej we Lwowie, jako głównej rezydencji władzy zakonnej.

O tychto dalszych redempcyach mowa nam teraz.

VI.

Ogół czynności redempcyjnych.

Późniejsze okupy nie następowały tak często po sobie jak początkowe. W pierwszych latach czyniono je prawie rokrocznie. Wtedy w przeciągu lat siedmiu, od 1688 do 1695 podjęto 6 redempcyi. Dalszy przeciąg lat 86 dokonał ich tylko 12. Zdarzały się wówczas przerwy po kilka, po kilkanaście lat. Tłumaczyły je czasy niespokojne, zaburzenia krajowe. Jakoż najdłuższe przerwy przypadły najprzód w porę zatargów elekcyjnych między Augustem III-m a Stanisławem Leszczyńskim, kiedy od r. 1727 do 1743, przez lat 16, żadnego nie uskutecznilo okupu, a następnie w porę podobnych niepokojów, podczas elekcyi Stanisława Augusta i zawiązków konfederacyi barskiej, kiedy od roku 1755 do 1770, przez lat 15, tozsamo się powtórzyło.

Zresztą wyruszali Ojcowie, zwyczajnie jeden Redemptor i jeden Socyusz, co lat 6, 7, 8 i więcej, z mniejszą lub większą sumą wykupną, w swoją miłosierną pielgrzymkę do pierwszej stacyi tatarskiej lub tureckiej. Po ustąpieniu Turków z Kamieńca Podolskiego bywały taką najbliższą stacyą pospolicie albo miasta Budziackie i Nohajskie Ren i Kuszany, albo Kilia nad Czarnomorzem i Bakieszary w Krymie.

Udając się w dalszą stronę do Konstantynopola, przyłączali się Redemptorowie do orszaku poselstw Rzeczypospolitej, i przy onych pomocy pełnili missyę swoją. W podobnym razie podarzało się niekiedy uzyskać u rządu tureckiego bezpłatny zwrot kilkudziesięciu jeńców, których

Trynitarze swoim kosztem odstawiali do kraju. Takim sposobem przyszła do skutku redempcyja jedenasta, najznamienitsza ze wszystkich, jakie Trynitarze polscy kiedykolwiek podjęli.

Odbyła się ta pamiętna wyprawa r. 1727, w dwóch miejscach, w Bekieszarach i Konstantynopolu. Wrócono wtedy największą liczbę niewolników ojczyźnie, i wydano największą sumę okupu. Przyprowadzono bowiem w granice polski 61 osób, częścią darowanych przez Portę, częścią pieniędźmi wyzwolonych. Koszta zaś téj wyprawy czyniły 71,667 złp. Przyplacono ją nadto mnogimi niebezpieczeństwami i przygodami, w których sam towarzysz i siostrzeniec x. Redemptora, niejaki Pajewski, z ręki tureckiej życie utracił, tłumacz redempcyi śmiertelną ranę odniósł, a całe wykupione już grono jeńców powtórnie zagarnione zostało w jasyr, i tylko po długich prośbach i usiłowaniach, za łaską Baszy z Benderu, odzyskało swobodę.

Zatoż mieli księża Trynitarze pociechę, uszczęśliwić wtedy wiele rodzin powrotem dawno oplakanych ojców i braci, którzy nie w poblizkim Krymie, nie od kilkunastu miesięcy, lecz w odległych stronach Azji lub w Konstantynopolu, od lat kilkudziesięciu, galerowe dźwigali więzy. Pod tym względem należał widok obecnej redempcyi do najrzeczniejszych zjawisk, jakie sobie wyobrazić możemy, Stawali teraz na ziemi ojczystej starcy zgrzybiali, którzy ją opuścili w młodości; przybywali ludzie w wieku podeszłym, którzy jój wcale nie znali, ile że jeszcze w dziecięcych latach uprowadzeni w niewolę, mogli chyba jaknajcienniejsze wspomnienia zachować o swoich stronach rodzinnych.

Dokładne sprawozdania pamiętników trynitarских obeznawają osobiście z temi ofiarami czasu onego. Pomiędzy sześćdziesięcioma wyzwolenkami połowa składa się z starców sędziwych, wyżej lat sześćdziesięciu. Na ich czele był 90-letni staruszek a 48-letni niewolnik, Stanisław Komorowski, z Sieradzkiego niegdyś, przed blisko półwieczem porucznik z pod chorągwi p. Służki, pojmany pod Kamieńcem wraz z żoną Jadwigą Komorowską, która teraz równie zgrzybiałą staruszką powracała z mężem do kraju. Pomimo

znakomitego imienia i niepośledniego stopnia w społeczeństwie, kosztują oboje staruszkowie, ze względu na bliską chwilę śmierci, zaledwie tyle co jeden prosty parobek, bo tylko 1,000 złr.

Co do starszeństwa niewoli, przodkował 70-letni starzec Wierzbicki, syn szlachecki z Podola, porwany w 18-m roku życia, niewolnik od lat 52. Pod ich przewodnictwem ciągnęli niemniej sędziwi towarzysze: Białokrynicki Jan, wieku 80, niewoli 6 lat; *urodzony* Aleksander Jabłoński, niegdyś rotmistrz z pod chorągwi p. starosty Brańskiego, wieku lat 76, niewoli 44; Marcin Kowalewski, niegdyś kapitan w pułku marszałka koronnego Lubomirskiego, tyluż lat wieku i niewoli; Jan Zawadzki z Sieradzkiego, towarzysz z pod chorągwi księdza biskupa płockiego Madalińskiego, wieku 73, niewoli 44 lat; szlachetni: Stefan Brewicki z przemyskiego, Sebastyan Żurawski z sędomierskiego, Sebastyan Margaszewski z sędomierskiego, Szymon Żak, niegdyś trębacz z pod chorągwi Sieniawskich, wszyscy 70-letni starcowie, po 36, 40, 48 lat niewoli. Młodszy od nich bo tylko 60-latni wyzwoleniec Antoni, uprowadzony dziecięciem, niewiedział zgoła jak się nazywa, czy szlachciec lub nieszlachciec? w której stronie dom miał rodzinny? Jego 50 letni druh Jan, w również chłopięcym wieku porwany przez Kozaków i zaprzędany do Carogrodu, wiedział że się nazywa Zaleski, lecz jakże w tém nader gęstem imieniu znaleźć swoich własnych z przed półwieku Zaleskich! W mało co odmienném położeniu znajdowało się jeszcze wielu innych branców téj XI redempcyi. Ileż scen osobliwszych, radośnych i bolesnych wywołał powrót tylu różnych członków rodziny w tyle różnych progów domowych!

Inne redempcyje odznaczały się innym charakterem niezwykłości. I tak np. redempcyja poprzednia, odbyta roku 1720 w Kuzanach, w ziemi budziackiej, była głównie redempcyą dzieci. Przed gronem 26-u ludzi w podeszłym wieku, po większej części szlachty, wykupionej także po kilkudziesięcioletniej niewoli, postępowało w Warszawie, gdzie redempcyę tę wprowadzono, ośmnaścioro dzieci, chłopiąt i dziewcząt, po 4, 6, 10 i więcej lat. Byłyto sieroty zmarłych w niewoli rodziców, podrosłe w zupełném zaniedbaniu,

bez chrztu i wiadomości o Bogu. Znajdowały się pomiędzy nimi także osoby w dojrzałym wieku, zwłaszcza niewiasty które niemowlętami uprowadzone w jasyr, wychowały się tam z tatarską, weszły nawet w dobrowolne lub przymusowe związki z Tatarami, i wracały teraz z potomstwem do ojczyzny. Przez cały tydzień zbiegano się w Warszawie do księży Misyjonarzy, widzieć tych jeńców nieletnich i wszelkimi zasilać ich potrzebami. Niebawem ochrzczono wszystkich, i porozbierano na opiekę po różnych domach.

Podobne rysy towarzyszyły każdej wyprawie. Rzadko też która obeszła się bez przygód i niebezpieczeństw. Główną trudność stanowiła zawsze niechęć pozbywania się jeńców chrześcijańskich przez panów tatarskich lub tureckich. Społeczeństwa orientalne opierają się od tak dawna na niewolnictwie, że takowe zakorzeniło się wszelkimi sposobami w ich obyczaje, wyobrażenia, nawet przesady. Między innemi użalają się Trynitarze na powszechne w całym państwie tureckim rozumienie, iż ktokolwiek ma choć jednego z Chrześcijan niewolnika, nie może przyjść do ubóstwa. Dlatego, nie chcąc sami pracować, starają się najusilniej o niewolników europejskich, którymi wszelkie pola obrabiają i cały dom obsługują. Nie z łakomstwa tedy okupu, lecz z chciwości posiadania ludzi niewolnych, zabierają Turcy i Tatarzy Chrześcijan w niewolę i ukrywają onych starannie przed każdą sposobnością wykupu. Z którejto przyczyny potrzeba dopiero — opowiadają pamiętniki redempcyjne — starać się o ferman sułtański, i ogłaszać ten ferman, i wyszukiwać panów, posiadających kilku niewolników chrześcijańskich i zmuszać ich do sprzedaży, gdyż oni sami nie chcą ani sprzedawać ani jakimkolwiek sposobem pozbywać się niewolników.

Gdy już z wykupionymi wracano do ojczyzny, zdarzało się niekiedy, jak np. przy redempcyi XI w r. 1727 i XIII w r. 1752, iż odbito nazad drużynę oswobodzoną, dopuszczano się gwałtów na Redemptorach, i albo zgoła nie powetowano następnie szkody, lub tylko w małej części. Nigdy przecież nie targnięto się rzeczywiście na osobę lub wolność samychże Redemptorów, i z wyjątkiem jedyne go zamachu śmiertelnego w Benderze, o którym wyżej wspomniano, nie

padło żadne życie ludzkie, w całym stuletnim ciągu czynności redempcyjnych, ofiarą pobożnych prac trynitarских. Owszem niekiedy, jak np. podczas redempcyi XI w r. 1727, nadawano księżom Redemptorom znamienite przywileje, uwalniając całą gromadę wykupioną od wszelkich myt, cełł, haraczów, stawiając ją pod opiekę ciągłego kowoju tureckiego i t. p.

Odbyto takich wypraw redempcyjnych od r. 1688 do 1783 razem 18; w szczególności, oprócz oznaczonych datą chronologiczną trzynastu, jeszcze pięć innnych w latach 1699, 1706, 1712, 1776 i 1783. Kosztowały one razem 573,427 złp. Wyswobodziły zaś razem 517 jeńców chrześcijańskich, tak szlachty jako i chłopów, mężczyzn jako i kobiet, dzieci i starców. „Redempcyj w kraju Polskim uczynionych, że mało wydaje się“ — tłumaczą się księża Trynitarze w sprawozdaniu z prac swoich — „nie z ubliżenia księży Redemptorów chęci i ochoty, ale z wielu innych przyczyn pochodzi: częścią dla wojen i zamieszkań państw pogranicznych, częścią dla zarazy powietrza, częścią i najwięcej dla zatrzymania prowizyj należących, że od niektórych sum wcale nie oddają, od niektórych ledwo jaka część dochodzi, a częstokroć i sumy i prowizye giną; zkąd idzie, że dla niedostatku sumy pieniężnej, sposób redempcyi zostaje ubliżony.“

VII.

Zniesienie klasztoru.

Do przyczyn usprawiedliwiających stosunkową nieliczność okupów, należy jeszcze i to, że sami Turcy i Tatarzy coraz mniej z czasem miewali jeńców. Nadeszła bowiem chwila, kiedy potęga półksiężycza zaczęła chylić się ku upadkowi. Skoro zaś Islamizm zaprzestał grozić Europie, natychmiast Europa poczęła straszną być Islamizmowi. W przeciągu kilkudziesięciu lat od przyjścia Trynitarzy do Lwowa, skutkiem kilku nieszczęśliwych wojen z Austryą i Rosyą, utraciła Turcyja Kamieniec Podolski, Belgrad, Serbie, Moł-

dawię, Wołoszczyznę, półwysep Krymski. Tatarzy Krymscy, w r. 1752 po raz ostatni na Rusi Czerwonej grasujący, poddali się w r. 1782 zwierzchnictwu Rosyi, która téż w roku następnym całkowicie zajęła Krym.

Niewola pogańska przestała nękać wschodnią część Europy, albo przynajmniej ograniczyła się do zwykłych zajęć wojennych. Zakonnicze wyprawy redempcyjne, sam byt zakonników trynitarских, zdały się mniej potrzebnymi. W takim stanie rzeczy nastąpiło zniesienie klasztorów w Austrii. Klasztory trynitarские we Lwowie i w innych stronach Galicyi, znalazły się w liczbie zniesionych. Tożsamo spotkało większą część konwentów pod panowaniem rosyjskiem. Z całego tak szybkiego rozrostu zakonu św. Trójcy w granicach dawniej Rzeczypospolitej, pozostały do dziś tylko cztery skromne zakłady w Warszawie, w Wilnie, w Łucku i w Kamieńcu Podolskim.

I pozostały tylko ciekawe pamiątki klasztorne, starannie ułożone sprawozdania z dziejów i czynności zakonu w Polsce, po największej części spisane i drukowane we Lwowie, za główne źródło szkicu niniejszego użyte. Mianowicie dwa dzieła trynitarские, jedno w języku łacińskim, drugie w polskim; tanto nader obszerne i szczegółowe, to krótkie i sumaryczne, zasługują na wyszczególnienie. Są one:

- 1) *Hypomnema Ordinis Discalceatorum Sanctissimae Trinitatis Redemptionis Captivorum, in inclytum Regnum Poloniae introducti promotione Eminentissimi Joannis Casimiri Dönhoff S. R. E. Cardinalis, Serenissimi Olim et Invictissimi Poloniarum Regis Joannis III post celeberrimam ad Viennam Austriae victoriam favoribus et protectione plantati, munificentia celsissimorum, Illustrissimorum, Reverendissimorum, Perillustrum Fundatorum propagati, apostolico munimine Benedicti XIII Papae in provinciam Sancti Joachimi redacti. Redemptionibus Captivorum Christianorum Condecorati. Opus duplici indice Alphabetico nempe et Chronologico illustratum. Cura et labore P. F. Mariani a S. Stanislao, natione Poloni, olim quatuor vicibus Concionatoris Ordinarii, Philosophiae Sacraeque Theologiae Professoris,*

nunc ejusdem Ordinis et Provinciae Chronologi. Var-saviae in Typographia S. R. M. et Reipublicae Collegii Scholarum piarum, Anno Domini MDLIII fol. str. 854.

- 2) Zebranie wszystkich Redempcyi, które Prowincya Polska zakonu Najśw. Trójcy do wykupienia niewolników w kra-jach tureckich i tatarskich od roku 1688 do roku 1783 czyniła. Podane do publicznego wszystkich stanów uwi-a-domienia. Przez księdza Adama od Najśw. Trójcy Re-demptora. W Warszawie roku 1783. 8-vo str. 95.

KOPIA HUSSARSKA.

Dziadku! czemu to mówią, że wojskiem byli hułani, kiedy w historyi niesłychać nic o hułanach?

— Spytaj się ojca. Powie ci.

— Jużem się pytał. Mówił, że nie wie.

— To zagłównij do książki.

— Jużem zaglądał. I tam nic nie ma.

— A cóż tam w waszych książkach, kiedy nie ma w nich o hułanach i hussarzach!

Dziadek był ciemny. Dawno nie zaglądał do książek. I nie od czytania téż ociemniał. Dość mu było przez lat siedmdziesiąt patrzeć na ten świat. W siedmdziesiątym i którymś roku życia zasłonił mu Pan Bóg oczy. Od téj chwili zaprzestał dziadek rachować sobie lata. Czas nietylko stanął mu w biegu, lecz owszem cofnął się wstecz. Myśli dziadka zwróciły się w pierwsze lata, i krążyły bez przerwy około dawnych wspomnień. Ciemny dla obecności, widział dziadek jak na dłoni czasy swojej młodości, czasy i obyczaje przed-konfederackie i przed-Stanisławowskie.

— A wiesz ty chłopcze, co to kopia?

Chłopiec postrzegł, że dziadek zaczyna opowiadać, co on tak lubił słuchać; przysiadł się więc u nóg staruszka, i ciekawie patrzył mu w oczy, którym teraz słońce Sasów świeciło.

— Co to kopia?! Hej panie podkomorzy parnawski! cóżbyś powiedział, słysząc to zapytanie! Mów im o kopii a nie zrozumiają, póki nie powiesz: lanca. Kiedy słyszą, że niegdyś nad każdym łóżem szlacheckiem wisiała szabla, to myślą sobie: Dawne to czasy! A kiedy im prawisz, że jeszcze pierwój niż szabli, dawano tam miejsce kopii, to myślą

sobie: Zapomina się dziadek! A przecież za naszych czasów, dobrze o tém wiadano. I nie było nikogo od Pałuk aż po Parnawę, coby był nie znał kopii pana podkomorzego parnawskiego Kampenhauzena. Wszystkie po nim byłyto już tylko lance lub piki; on ostatni miał prawdziwą kopią hussarską.

Jak dziś pamiętam ją u niego w Rybniszkach, gdzie się wychował. Blisko trzy sążnie długa, gruba u tulei jak ramię, a lekka jak palma w kwietnią niedzielę! Drzewce miała z młodej prostej osiki, wydrążone u spodu, żółto pokostowane. Tuleja, to jest żelazna oprawa u spodu aż po rękę, mierzyła przynajmniej półtora łokcia. Grot był o trzecią część krótszy, czworograniasty; tylko partacze używali trójgraniastych albo okrągłych. Dla wzmocnienia wiotkiej kibici kopii, biegły od grotu na dobre półtora łokcia dwa mocne pręty czyli pióra żelazne. Po oprawie tych piór można było zmiarkować mistrza. W nich to cała dzielność kopii się ukrywała. Przy dobrej osadzie były pióra na pół cala szerokie, dwunastą część cala grube i w pół drzewca wpuszczone. Ćwieki, któremi je przymocowano, musiały wprzód umaczane być w occie. Dziurki do ćwieków nie powinny były wiercone być naprzeciw sobie. Główki zaś od ćwieków miały być gładkie, aby się ręka na nich nie zadzierała.

To też gładka i równa i polerowana była kopia pana podkomorzego, jakby cacko panieńskie. I strojna w kitajkowy proporzec, który zwisał poniżej grotu, koloru żółtego i zielonego, na ćwierć łokcia szeroki a do pół kopii długi. I gdy bywało uwinięta w wstęgę proporca, tuli się kopia pana podkomorzego spokojnie w kącie przy łożu pańskim, myślałbyś, że to bawidelko niewinne, gdyby nie czerwona plama na grocie, krew szwedzka z pod Klissowa.

Kochał się też pan podkomorzy w swojej i w wszystkich kopiach! I napisał nawet uczoną książkę na ich pochwałę, którą potem księża Jezuici wydrukowali w Kaliszu¹⁾. Kiedy już w podeszłych leciach wziął mię chłopcem do siebie, musiałem nieraz czytywać przed nim z téj książki, jako wielce moralnej i użytecznej młodemu wiekowi. Owszem dedykował ją z téj przyczyny bardzo pobożnemu kapłanowi,

księdzu biskupowi plockiemu Dębowskiemu, swemu kolligatowi, z którym najwięcej dla tego pochlebiało mu powinowactwo, ponieważ ksiądz biskup był herbu Jelita czyli trzy kopie. Tak jeszcze dzieckiem będąc, nauczyłem się cenić i szanować kopię hussarską.

Toćto najstarszytniejsza broń świata, głośna w piśmie św. i w pismach mędrców pogańskich. Kopii krótkiej używali niektórzy królowie w oznakę najwyższej władzy. Później gdy berła wymyślono, służyła ona kapłanom pogańskim za także godło. Po rozszerzeniu się ewangelii i nastaniu rycerstwa chrześcijańskiego, przeszła kopia w ręce rycerzy, poczytujących go za najzaciejszą broń swoją. Mieczem szermowano w chwili spoczynku, gwoli zabawce; gdy szło na ostre, dobywano *królowej broni*. Miecz pozostawiono giermkom i pacholikom, a rycerz kruszył kopią. W turniejach, kto zwykłym trybem rycerskim okupił sobie u heroldów wolność walczenia kopią, ten mógł potem bezpłatnie walczyć dowoli mieczem; kto zaś tylko popis mieczem okupił, ten musiał płacić z osobna za walkę kopią. Ztąd urosło przysłowie turniejowe: Kopia wyzwala miecz, miecz nie wyzwala kopii.

W onychczasach rycerskich walczyło nią wielu bohaterów cnotliwych, którzy po śmierci weszli jako święci w kalendarz. Czy widziałeś chłopcze, aby jakiego świętego malowano kiedy z strzelbą lub bandoletem, a z kopią jest ich kilku, jako św. Jerzy, św. Marcin, św. Maurycy. Dlatego też i Dawid ofiarował Panu Bogu kopią Goliata, a procy, którą wiktoryę z niego otrzymał, nie ofiarował.

Wtedy z krzyżem dostała się kopia do Polski. Dobrze jej było u nas, jak nigdzie w świecie. Kopia znalazła u nas, czego kopii potrzeba; my w kopii, co dla nas najpotrzebniejsze. Boć kopii najmilej w szerokiem polu, w roztrzystym obszarze, a gdzież pola więcej jak w Polsce! Naszemu zaś niebu godzi się oręż, którego nie uszkodzi wilgoć, nie zamoczą deszcze, nie strawi rdza, a w tém nie masz nad kopią. To jedyna zdrowa, jedyna żywa broń! Z muszketu gdy wystrzelisz, to go potem rzucić chyba w błoto. Lepiej wtedy mieć dobrą dębową pałkę, niż flintę w rękę. Kopia przeciwnie, zawsze nabita. U niej proch nie zwil-

gotnieje, zapal się nie zatka, skałka się nie rozpali, panewka się nie złamie. Ona zawsze sucha i chędogą bez daszków, płaszczyków i namiotków, niezbędnych flincie. Nie boi się ani słońca, ani deszczu, ani rosy, ani kurzawy. Nie potrzeba jój plastru, szpiku, oliwy; obejdzie się bez rożków i flejtuchów; nie wie co szrubsztok i dREWienko do polerowania. A trzykroć dalej sięgnie niż szabla.

Dlategoż przyłgnał Polak do kopii, a kopia do Polaka. Byłato przyjaźń i miłość jak za dni Dawida i Jonatana. Nie pozwolono używać jój nikomu, jak tylko szlachcicowi. Szlachcic zaś, czyto w domu, czy w polu, nie miał nic kosztowniejszego nad kopią. W czasie pokoju, gdy bywało dom stawia, bierze naprzód kopią do ręki i wymierza nią wysokość i szerokość komnat, aby jój nie było ciasno w nowym budynku. Gdy na wojnę ruszono, rozsyłał hetman nowe kopie rycerstwu. Gdzie po leżach zimowych stanąć miało wojsko obozem, tam wedle starodawnego zwyczaju, zatknęto kopią w polu albo na łące. W batalii kopia, ten najpewniejszy klucz do wiktoryi, otwierała niechybnie wrota zwycięztwu. Ona to impetem swoim rozbijała chmury nieprzyjacielskie pod Kirchholmem, Kłuszynem, Chocimem i Cudnowem. Drzewcę kopii stało się drzewem, na którym sława polska najpiękniejszy męztwa swojego wydała owoc. Wojownik, któremu przed innymi powierzono ją do piastowania, zwał się hussarz. Był to ostatni rycerz wedle pisma świętego.

Inne wszelako pismo zasmakowało ludziom. Ustało rycerstwo chrześcijańskie w świecie. Przedrzeźniając się kopii, wymyślili ludzie rożenek, który zatknęto na muszkiet i nazwano bagnetem. Podobało się to Francuzom, którzy wtedy pod swoim *grand roi* królem Ludwikiem XIV zaczęli zdrobniałemu przewodzić światu. Ludwikowi XIV zalecił go *monsieur* Louvois, a wiadomo, że ani Ludwik XIV, ani *monsieur* Louvois, nie byli wielkimi bohaterami. Ale że wiele wojen toczyli, więc zagaściło się w świecie to lichy, i odjęło ludziom serce od kopii. Już jój zresztą mało gdzie widać było po świecie za granicą. Tylko u nas jeszcze świeciła się garstka rycerstwa i tkwiła kopia w ręku. Aż i u nas zaczęto przebąkiwać o nowój modzie, o nowój broni, a gdy

w roku 1689 wyprawiało się rycerstwo na Bukowinę, przeciwko Turkom, pan hetman Jabłonowski, pierwszy hetman, który się dał konterfektować w peruce, nie rozdał nowych kopii hussarzom, lecz kazał wziąć im muszkiety z bagneta.

Zmiarkowała hussarya co się święci. Otóż gdy wkrótce umarł Jan III i nadeszła elekcya, dowiadywano się zcicha o kandydatach, jaką który broń lubi. Książę de Conti, Francuz, pasyonował się do bagneta; elektor saski August miał gorący afekt do kopii. Odprawiono tedy z kwitkiem Francuza, a okrzyknięto hurmem Augusta.

Jakoż było wielki zaprawdę król, jeden z owych dawnych manarchów rycerskiej duszy a wspaniałego serca. Bagnety zginał jak szpilki i owijał sobie około ręki. Sam gonił do pierścienia, umiał szermować z szablą w lewą, a kopią w prawą rękę, lubił i wyprawiał turnieje. Nie zawiedli się też na nim hussarze nasi. Wrócił im kopie, i starał się wszelką siłą wskrzesić ich dawną sławę. Dlatego o nic tak nie dbał, jak o ludzi rycerskich, znających się na robieniu tą bronią.

Pomiędzy takimi wpadł mu usobliwie w oko mój w następnych latach dobrodziej, podówczas jeszcze młody, pan podkomorzy parnawski. Był to rodowity szlachcic inflancki, zpokrewniony przez żonę z wielu staropolskimi domami. Nie podobna też było wymyśleć coś piękniejszego, jak pan podkomorzy w pełnej zbroi hussarskiej. Widywałem go w niej co roku na wielkanoc, gdy starzec z pacholkiem jechał konno do kościoła w Rybniskach. Na głowie szyszak błyszczący, pierś i cała postać w żelazie, u barków dwa w górę wzniesione skrzydła sępie lub orle. Z pleców spływała skóra lamparcia, karmazynowym adamaszkiem podbita, złotemi pod szyją szponami spięta. Po jednej stronie miał krzywą szablę u pasa i długi prosty miecz, koncerz, przymocowany u siodła; po prawej obuch do rozbijania zbroi nieprzyjacielskiej, i — królowę całego rynsztunku, kopią w tulei. Nuż gdy w stroju takim, marszem młodych lat rozogniony, złożył się kopią! natarł na czele swojego hufcu!

A poznawszy go zresztą rezolutnym i biegłym w sztuce wojennej, porucił mu król August uformowanie dwóch no-

wych pułków hussarskich. Jeden miał być całkiem podług staréj mody uzbrojon, drugi cokolwiek lepszy. Zaczynając od rzeczy mniej kosztownéj i trudnéj, ustanowiono najprzód pułk pośledniejszy, ubrany w kolety sukienne, bez żelaza i wedle nowéj manieri, *permiatim z szlachty* i plebejuszów złożony. Nazywano ich hussarzami albo jeszcze zwyczajniéj lancyerami.

Gdy miało przychodzić do wystawienia pułku drugiego, usłyszał August II, że ów francuzki król Ludwik, wróg kopii, chciał na własne oczy obaczyć Hussarza polskiego, aby się téż przekonać, czy to w rzeczy tak straszny żołnierz. Lubo więc król August nie żył w wielkiéj przyjaźni z monarchą francuzkim, przecież z miłości dla kopii i jéj chwały, umyślił mu dogodzić. I wysłał tedy pana podkomorzego z całym poczem hussarskim na dwór króla Ludwika, mówiąc: „Nie dość, że w domu wskrzesimy hussaryą; potrzeba jeszcze rozsławić ją znowu w świecie!”

Jakoż czuł pan podkomorzy co za odpowiedzialność wziął na siebie, i był pewnym, że król francuzki weźmie go z sobą w pole, na wojnę, gdzie pan podkomorzy zrobił ślub w duszy, albo zginąć w oczach króla Ludwika albo nawrócić Francuzów na wiarę kopii.

A król francuzki cóż?

Oto kazał panu podkomorzemu na dziedzińcu w Saint-Germain, przed wypudrowanymi markizami, ze swoim poczem hussarskim kadryla tańczyć na koniu. Jakby hussarz i koń hussarski byli na to stworzeni, aby nosić kaprysole i kurbety wycinać! Pan podkomorzy wrócił z sercem skrwawioném. Niepodobna mu było pozbyć się myśli, że gdyby kto inny, ktoś zręczniejszy, możeby się sprawa lepiej była powiodła. Ogarnęła go więc melancholia, w której ciągle powtarzał, że nie wart nosić kopii. Na koniec podziękował królowi za rotmistrzowstwo hussarskie i wstąpił do infanteryi koronnéj, gdzie wkrótce na generał-majora wyszedł. Zawsze jeszcze rozprawiał pan podkomorzy z królem Augustem o usztyftowaniu drugiego pułku hussarzy, ale niebawem król August umarł, a następca jego myślał tylko o operze drezdeńskiéj, i nieprzyszło nigdy do resurekcyi hussarstwa.

A pan podkomorzy, usiadłszy na starość w Rybniszkach i pojednawszy się z dawną zbroją hussarską, która w każde wielkie święto wychodziła z starożytnéj szafy kracianéj, mawiał po każdym odczytaniu książki o kopiach, „Póki kopii a hussarza stanie, przepowiedział mądry statysta, pan kasztelan lwowski Fredro, póty będzie Polak pan w polu. Skoro kopia zginie, zginie i polska cnota. Zginęła widać jedna, a oto i drugiej już na schyłku.“

Na wiadomość o śmierci pana podkomorzego, zjechali się wszyscy pozostali hussarze na solenne exekwie. Było ich już zaledwie siedmdziesięciu. A ponieważ tylko przy takich pogrzebných uroczystościach widywano ich jeszcze w liczbie znaczniejszój, przeto do różnych zarzutów przeciw nieużyteczności hussaryi, przybyło jeszcze szyderstwo ludzkie. Wojownicy uczonemi racyami zdyskredytowali kopię rycerską, panowie zaprzestali służyć wojskowo, albo woleli na co innego niż na kosztowną zbroję hussarską trwonić majątki, a gawiedź prosta, rada zawsze nowemu panu i nowéj modzie, naśmiewała się z starych hussarzy, nazywając ich rycerzami pogrzebowemi. Przy każdym zresztą pogrzebie występowało ich co raz to mniej. Nakoniec, na sejmie delegacyjnym r. 1775 zupełnie skasowano hussaryą.

Pozostały tylko owe lancyery króla Augusta. Nie byli to właściwie starodawni hussarze, gdyż naprzód nie nosili zbroi żelaznéj, a nadto składali się bez różnicy ze szlachty i plebejuszów. Że jednak mieli kopią, czyli, jak teraz częściej mówiono, *lancę*, więc kto tylko kochał przeszłość krajową, ten w lancyerach szanował ostatni szczątek hussarstwa. I nazywano ich téż rozmaicie: Lancyery, Hussarze lub Kopijnicy. Z czasem, mając wzgląd na ich lekkość i ręczność, pochodzącą naturalnie z braku rynsztunku żelaznego, a nie koniecznie zgodną z przeznaczeniem staréj hussaryi, przyrównano ich raczéj do innego żołnierza w dawném wojsku koronném, to jest do również skasowanéj jazdy tatarskiéj, w której towarzysz zwał się z tatarska *ulan*, tyle co kniaź. Ztąd przyrosła naszym lancyerom nazwa *hulan*, wzięta z tegoż samego słownika, z którego przyszło do nas wiele innych wyrazów sztuki wojskowéj, jako *bulawa*, *buzdygan* etc. A gdy za króla Stanisława

Augusta przystąpiono do reorganizacyi wojska koronnego, ci z hussarska uzbrojeni lancyerowie, powszechnie teraz dla swego powinowactwa z hussaryą szanowani, a od publiczności hułanami ochrzczeni, otrzymali kawaleryi narodowej denominacyą.

Temuto chłopcze mówią, że wojskiem narodowém byli hułani, lubo nie słyhać o nich w historyi. Hussarza to czczono w hułanie, a hussarz wzbudzał cześć, jako rycerz, jako pan kopii, królowej broni. Ona to unobilitowała hussarzy i hułanów, a wy niewiecie wcale co kopia!

Chłopiec już nie słyszał tego wyrzutu. Usnął w pół rozprawy u kolan dziadka. Ukołysany opowiadaniem, marzył słodko o hussarzach i o hułanach.

P R Z Y P I S E K.

- 2) Przedmiotu do artykułu niniejszego dostarczyło nader rzadkie dziełko pod tytułem: Chwała y Apologia Kopy y Pik cum refutatione niektórych zarzutów, przeciwko nim. Anno MDCCXXXVII. W Kaliszu w drukarni Colleg. Soc. Jesu. Nieznane Bętkowskiemu, znajduje się ono w xięgozbiorze Zakładu Ossolińskich, i oprócz 12 nieliczbowanych kart tytułu, dedykacy i przedmowy, liczy 164 stronnic w formacie małej ósemki. Przedmowa umieszczona jest w exemplarzu biblioteki Ossolińskich na końcu. Dedykacya, zaczynająca się od słów: „Jaśnie Wielmożny y Nayprzewielebniejszy Mści X. Biskupie Płocki y Dobrodzieiu“, ściąga się do Antoniego Dębowskiego, siedzącego na wspomnioném biskupstwie od r. 1736 do 1751, a jak się z dedykacy dowiadujemy, spokrewnionego z autorem. Nie możnaby zresztą dojść z saméj książki, jak się ten bezimienny autor nazywał, gdyby nie bardzo stary, najprawdopodobniej spółczesny dopisek na tytule: Kaupenhausin author. Za tym śladem idąc, znaleźliśmy w Niesieckim, wyd. pierwsze II. 476, wzmiankę następującą: „Jan Kampenhausen Podkomorzy Parnawski, General Major Infanteryi koronnej, temi czasy gdy to piszę, w wielu okazjach téj ojczyźnie dobrze zasłużony.“ Na str. zaś 50-éj dziełka o Kopiach, mówi autor o regimencie piechoty, „który kommanderować mam honor.“ Ta zgodność cudzego dopisku na tyle z słowami Niesieskiego i napomknieniem autora, nie pozwala nam wątpić, że „Chwała y Apologia kopy“ wyszła istotnie z pod pióra podkomorzego parnawskiego Kampenhausena, nie „Kaupenhausin“ jak dopisek zmyloném brzmieniem opiewa. Co do innych skazówek bibliograficznych i historycznych, zawartych w saméj książce, okazuje się ze str. 23, że nazywając rok 1732 „przeszłym rokiem“, pisał ją autor roku 1733 — z dedykacy (str. u spodu [2]), a że czynił to z polecenia „Wielkiego Monarchy“ Augusta II, który właśnie w ciągu téj pracy umarł — z przedmowy, że autor przez wiele lat własnem doświadczeniem próbował dzielności kopii, to jest w hussaryi służył — nareszcie z wielu porozrzuconych po całym dziełku wzmianek, że król August II był wielkim miłośnikiem kopii i przemysliwał o wskrzeszeniu hussaryi. Z wyjątkiem tedy kilku szczegółów ubocznych, są wszystkie główne rysy artykułu niniejszego oparte na prawdzie historycznej.

O MYSZACH KRÓLA POPIELA.

I.

Ścieśnienie widnokregu.

Moglibyśmy zacząć z poetą:

„Podjąłem dzieło niezgłębionéj treści,
Opiewam morze bez gruntu i brzegów....“

Chodzi bowiem o rozwiązanie zagadki, nad którą nieskończenie wielu uczonych pracowało od wieków, a pracowało bez skutku.

I godziłoby się tém słuszniej rozpocząć z tonu tak wysokiego, ile że starożytna zagadka nasza powtarza się oraz w historii innych narodów, również nie świadomych podziśdzeń jéj znaczenia.

Ale nie naszemu-to pióru ulatać w sfery wysokie, krążyć po napowietrznych obszarach poezyi i allegoryi, zaciekać się w mglistą krainę mytów.

Dlatego nie będziemy w rozprawie niniejszój sięgać czasów Herodotowych, — nie chcemy za przykładem ostatniego z niemieckich objaśniaczów naszej tradycyi ¹⁾ upatrywać w pojęciu myszy tajemniczego zjednoczenia pojęć kału, złota i zagłady, — nie widzimy potrzeby zastanawiać się nad znaczeniem myszy w hieroglifice egipskiej i ra monetach starogreckich, gdzie ona dość często towarzyszy wizerunkowi Apollina, — obejdziemy się nawet bez roztrząsania kwestyi: dlaczego Autaryoci według Troga Pompeja uciekali z ojczystych siedlisk przed mnóstwem myszy i żab?

albo z kąd się wzięła nazwa starożytniej krainy Myzja, jakoby kraju myszy?

Stoi nam w drodze csobliwsze podanie o pożarciu przez myszy wielu historycznych osób w różnych krajach europejskich, między wiekami IX-tym a XIV-tym i o tychto jedynie czasach, miejscach i przygodach chcemy tu mówić.

Dotkniemy zaś wszystkich znanych nam wypadków tego rodzaju, ponieważ przez porównanie jednego z drugim da się najlepiej uchwycić sekret zagadki i wypróbować wskazany do niej klucz.

Zaczém obeznajmy się przedewszystkiém z ogólną liczbą tradycji dotyczących. Znachodzimy je w dziejach polskich, niemieckich i francuzkich. W Polsce oprócz króla Popiela zginął od myszy kujawski książę Mieczysław, zjedzony w roku 1237. W Niemczech doznali tegoż losu: 1) arcybiskup moguncki Hatto II w roku 969; 2) sztrasburski biskup Widerolf albo Biterolf w roku 997; 3) pewien możny nieprzyjaciel cesarza Henryka IV około roku 1106; 4) rycerz Henryk z Laufen około roku 1126; 5) arcybiskup koloński Adolf po roku 1212; 6) arcybiskup bremeński Gotfryd Arensberg około roku 1363. We Francyi zjadły myszy pewnego rycerza w okolicach nadreńskich roku 1012.

Mamy tedy razem wypadków dziewięć, w pięciuwiekowym przeciągu czasu od roku mniejwięcej 840 do 1363, w środkowej Europie od Renu aż po Wisłę.

Cóż w téj przestrzeni wieków i na téj przestrzeni krajów mogło ukrywać się pod zagadkowym nazwaniem mysz?

II.

Nazwy od zwierząt.

Przenosząc się myślą w germańską średnich wieków historję, przenosimy się w czasy i kraje najdziwniejszego języka obrazowego, w kraje i czasy najfantastyczniejszych symbolów, godeł, znaków i nazw.

Co do znaków dość będzie przypomnieć świeżo upowszechnione herby; co zaś do nazw, mianowicie nazw narodów i ludzi, te w znacznej części brane były od zwierząt.

Ileżto razy już powtórzono, że jak w każdej pierwsiastkowej epoce dziejów, tak i w pierwsiastkowej średnich wieków historii, zachodził daleko ściślejszy węzeł między rodem ludzkim a zwierzęcym niż teraz!

Kiedy w nowo układanych kołędach wół i osieł radowali się z pastuszkami narodzeniu Dziecięcia — kiedy do najzwyczajniejszych zabaw umysłu należało tworzenie bajek, powiastek i poematów z życia i obyczajów zwierzęcych — do najulubieńszych zaś krotofil częste przebieranie się w skóry zwierzęce — wówczas nie było też narodu, któryby nie miał pewnego właściwego sobie zwierzęcia, i osobnej od niego nazwy.

Pomijając tysiączne szczegóły inne, wspomniemy tylko starożytną notatkę słowiańską z XII-go stolecia, wydrukowaną w Szafarzykowych „Starożytnościach.“ Jestto właśnie katalog przeszło trzydziestu nazw narodowych, z przydaniem każdemu narodowi pewnej nazwy zwierzęcej.

Frank w téj notatce jest lwem, Alemanin orłem, Rusin wydrą, Litwin turem, Bulgar bykiem, Włoch kotem, Serb wilkiem, Sas żrebcem, Grek lisem i t. p.

A wyszczególnione tu miana zwierzęce wikłały się na prawdę tak bałamutnie z rzeczywistemi nazwiskami narodów, że podziśdzień np. nie umieją zadecydować uczeni, czy imiona anglo-saskich zdobywców Brytanii Hengist i Horsa, po angielsku i sasku tyle co koń, są imionami osobowemi, albo tylko ogólną denominacją plemienia Sasów, nazywającego się w owym zapisku starosłowiańskim właśnie koń albo żrzebiec.

Podobnie zaś jak całe narody średniowiekowe, tak i stany niektóre, miawały także nazwy od zwierząt.

Znawcom starożytności germańskich przypomni się do razu głośna niegdyś denominacya wilk, po starogermańsku warg. Znaczyła ona bannitę, i co zwykle szło za tém — rozbójnika.

Wszystkie pomniki średniowiecznych dziejów północy pełne są tego wyrazu. Nie dość że w poetycznym języku

pieśni i sag skandynawskich wilk a korsarz znaczy zawsze tożsamo, ale nawet prawnicza terminologia statutów nie wahała się używać wyrazu wilk zamiast bannity, frazesu „przywdziać komuś łeb wilczy“ zamiast: „wygnać go z kraju.“

„Ustawa salicka w rozdz. 58 i ustawa rypuarska 85, 2“ — czytamy w klasycznym dziele Grimma o germańskich starożytnościach prawniczych²⁾ — „wyraża się: *Wargus* t. j. wywołany z powiatu“ — „*Wargus* zaś“ — objaśnia Grimm następnie — „znaczyło wilka i rozbójnika, ponieważ bannita na podobieństwo wilka przebywał w lasach, i podobnie jak wilk, mógł być zabitym bezkarnie.“

„Anglosasowie“ — opiewa dalszy ciąg tegoż samego paragrafu u Grimma, — „mawiali: *vearges heafod* albo *wulfes heafod* (t. j. wilczy łeb) za *exlex*, *extorris* (t. j. bannita, wywołaniec)“, jak się to okazuje z ustawy VII-mój króla Edwarda Wyznawcy: „*lupinum enim gerit caput quod anglice wulfes heafod dicitur*“ (t. j. ma głowę wilczą, co po angielsku nazywa się *wulfes heafod*). Tożsamo w innym miejscu u Bractona ks. IV rozdz. 11: „*extunc utlagati gerunt caput lupinum, itaque sine judiciali inquisitione rite pereunt* (t. j. od chwili bannicyi mają wywołancy łeb wilczy, przezco bez sądu zabijani być mogą)“. Podobnież w starożytnych poematach zbioru Chaucera: „Wilczą głową obwołano — młodzieńczego Gamelyna. Wilczą głową go zrobiono, i bannitów leśnym królem...“

Któreto wyrażenie bywało tém naturalniejszym, ile że bardzo liczni podówczas wywołancy przywdziewali w istocie skóry wilcze, zakrywali sobie twarz wilczym łbem czyli szłykiem. „Wabił ich nowy *comes* różnemi ponętami“ — mówi znany kronikarz Helmold³⁾ o nieukróconych Sasach nad Elbą — „aż póki nie ułaskawił tych dzików. Wtedy odmieniło się oblicze ludu tego, wtedy ciżsami, którzy niegdyś zwykli byli zakrywać sobie okrutny łeb maskarami (*saevum caput abdere larvis*), stawiać sidła podróżnym, rabować po gościńcach, kraść czego wydrzeć nie mogli, ci (mówię) zmienili natenczas obyczaje, i na drogę pokoju nawrócili swe kroki.“

Służyło to przebieranie się w skóry wilcze po części

zwyczajnej potrzebie przyodziewku, po części téż dla zamaskowania się w czasie napadów, po których niejeden łotrzyk porzucał znowuż życie zbójcekie, niejeden bannita otrzymał znów przebaczenie, niejeden dzik wczorajszy byłwał utro przykładnym poddanym i sąsiadem, aż póki nie obudziła się znowuż natura wilcza, i nie pociągnęła go po raz drugi do lasu.

W trudnym do uwierzenia zamęcie i barbarzyństwo obyczajów ówczesnych, można było w ten sposób po razy kilka być wilkiem i znów człowiekiem, przybierać z kolei postać wilczą i ludzką. Posłuchajmy w téj mierze ciekawego opowiadania pewnej kroniki z początku XIII-go stolecia:

„O ludziach, którzy przemieniali się w wilków. Dysputują często uczeni —“ pisze Gerwazy Tilburiensis, państwa Arelatskiego marszałek, około roku 1211 ⁴⁾ — „czy Nabuchodonozor na czas wyznaczonej sobie pokuty został w prawdziwego wołu przemieniony od Boga, czy tylko postać i obyczaje wołu na siebie przybrał, i żarł siano nie zmieniając natury ludzkiej. Bądź jak bądź, to pewna, iż (za szczególniejszym losów ludzkich obrotem) nie masz nic zwykleszego u naszych, jak na pewne lunacye przeobrażać się w wilków. Zналиśmy wszyscy Poncyusza *de Capitolio*, z Alwernii w biskupstwie Klaromonteńskim, który wywołał z kraju i wydziedziczył Raimbalda *de Pineto*, rycerza biegłego w rzemiośle wojenném. Ten zostawszy bannitą i tułaczem po świecie, błąkał się trybem zwierzęcym po bezdrożach i lasach, aż jednéj nocy popadł z wielkiej trwogi ⁵⁾ w szaleństwo i został wilkiem. Poczém niezmiernie szkody wyrządzał swoim stronom ojczystym, pustoszył wieś, porywał dzieci, rozdzierał starców. Nakoniec jakiś cieśla tak mocno ugodził go siekierą, że mu jedną nogę odrąbał, i dopiero wtedy odzyskał nieszczęśliwy postać człowieczą. I cieszył się potem jawnie z swego kalectwa, ponieważ strata nogi uwolniła go od wściekłości i potępienia wiecznego. Mówią bowiem tacy wilkołakowie, iż tylko odcięciem nogi lub ręki można wyleczyć się z nieszczęścia podobnego.“ — „W Wijeńskich zaś okolicach“ — upewnia nieco dalej pan marszałek Gerwazy — „żyje podziśdzien

człowiek — który z każdym nowiem przybiera postać wilka na czas niejaki.“

Zastosujmyż do téj powiastki ową frazeologię prawniczą o wilczych głowach—zwróćmy osobliwie uwagę na wyraźną wzmiankę o poprzedniej bannicyi wilkołaka z odciętą nogą — a zrozumiemy bajeczność tradycyi, i wpadniemy owszem na trop wszystkich podań o wilkołakach—najprawdopodobniej wywołańcach i rabusiach według brzmienia praw starożytnych.

Ale mniejsza o wilkołaków. Wspomnieliśmy o nich jedynie dla okazania, jak często ludzie miewali niegdyś nawzajem od zwierząt.

Nie zkadinał téż wzięły się owe myszy mordercze.

III.

Myszy korsarze.

Znany jest wyraz niemiecki *mausen*, pochodzący od słowa *Maus* czyli mysz. Znaczy on „porwać ukradkiem“, jak czynią myszy. Lecz to dzisiejsze jego znaczenie nie zgadza się zupełnie ze znaczeniem w czasach dawniejszych. Pod tym względem ciekawą jest porównać tłumaczenie tegoż wyrazu w słownikach niemieckich z różnego czasu.

Nowy słownik etymologiczny Schwencka, z roku 1855, mówi: „*mausen* — podejść i chytrze z cicha porwać (*entwinden*)“.

Dawniejszy słownik Wachtera, z roku 1737, kładzie z prosta: *mausen*: — *furari*, kraść.

Starożytny słownik Schiltera⁶⁾, ułożony do objaśnienia najdawniejszych zabytków języka niemieckiego, opiewa: *mausen*, *mosen* — *rauben*, rabować.

Im dalej więc w czasy odległe, tém sroższemi okazują się charakter i czyny „myszy“.

W znaczeniu rabować czytamy wyraz *mausen* w temżesamém prawie salickim, które w przytoczonym wyżej przykładzie używało wyrazu wilk za bannitę. *Wargus*,

znaczy tam „wywołańca z powiatu“, a *mosen, mosdo* po kilkakrotnie: „rabować, *exspoliatio*, rabunek“⁷⁾.

Ktoby jeszcze głębiej sięgać chciał w starożytność, temu posłużyłby mogła uwaga Schwencka⁸⁾, według której „w języku sanskryckim wyrazy *mysz* i *kraść* są jednego i tegożsamego źródła.“

Co do nas, przestajemy na ustawie salickiej z wieku V albo VI, i dostrzegłszy w niej śladu myszy z bójce-kich, szukamy ich dalej nie w Indyach, lecz w pobliżu Franków salickich.

Ku temu słuszną wiedzieć najsamprzód, jak wyraz *mysz* tłumaczy się w owych językach staro-germańskich, w których poprzednio spotkaliliśmy się z obrazowemi wyrazy *wilk*, *wilcza głowa* i t. p.

Nazywa się tedy *mysz* po staro-niemiecku i szwedzku *mus*, po anglosasku w l. m. na podobieństwo brzmienia polskiego *mys*⁹⁾, po islandzku, t. j. w piśmiennym języku Eddy i sag północnych — podobnie z polską *mys*¹⁰⁾.

W znaniej zaś formie pochodnej z końcówką *ing*, zna-czy *mys* czyli *mysing* „rozbójnika morskiego.“

Było w północnej Europie, od czasów najdawniejszych do późnych, bardzo wiele takich „myszy“ czyli *mysingów*, albo z polską *myszaków*.

Jednym z najsłynniejszych jest ów „*mysing*“ czyli „książę korsarzów“¹¹⁾ w Eddzie islandzkiej, który zabił miał mytycznego króla Danii Frodona, i wielorako zresztą wspominany bywa w mytologii północnej.

W okolicach południowo-szwedzkiej półwyspy Kolnen zachowała się tradycja o olbrzymie, t. j. zazwyczaj rozbój-niku, który nazywał się „*myszą*“, z kąd nastąpiło przysło-wie miejscowe w języku szwedzkim: *Jaette muus, bodde pae kolna huus* — t. j. Olbrzymia *mysz* mieszkała w zamku kolneńskim¹²⁾.

Na bałtyckiej wyspie Gotlandyi jest przylądek, który podziśdzień zwie się „wzgórzem *mysingów*“, co według objaśnienia starożytników szwedzkich znaczy „wzgórze kor-sarzów“¹³⁾.

Nie podlega więc wątpliwości, że istniały niegdyś *myszy* i *myszaki* korsarskie. Mniej pewną może zda-

wać się rzeczą, czy oneto w istocie pożarły króla Popiela i jego towarzyszków.

Dla rozwiązania téj wątpliwości zróbmy próbę naszego tłumaczenia, to jest: wejdźmy w szczegóły każdej z wymienionych powyżej dziewięciu przygód z myszami, i przekonajmy się, czy towarzyszące im okoliczności zgadzają się z takim korsarskim charakterem zdarzenia.

IV.

P r ó b a.

Wskazane przez nas słowo zagadki daje się zastosować w praktyce do tak małej liczby wypadków, iż nie można za prawdę nazwać go ogólnikiem, przystającym do każdego zdarzenia.

Zasłużylibyśmy poniekąd na ten zarzut, gdybyśmy np. powiedzieli, że mysz znaczy w ogólności rozbójnika jakiegokolwiek.

Każda bowiem przygoda śmiertelna mogłaby złożona być na karb jakichś rozbójników, zdarzających się wszędzie i zawsze.

Korsarz zaś wymaga wyłączeń miejscowości, wymaga morza lub rzeki wielkiej, których nie dostrzeżesz z łatwością w każdym wypadku.

Jeżeli wszystkie przygody nasze działy się bez wyjątku na wodach, u brzegu wielkich rzek, tedy utwierdza to w wysokim stopniu nasz domysł.

Zwłaszcza że znaczna liczba dziewięciu różnych zdarzeń tego samego rodzaju nie może być rzeczą przypadku. Mógłby taki przypadek zdarzyć się w razie jednym i drugim, lecz niezmiennie powtarzanie się takiejże samej wodnej miejscowości we wszystkich razach — nabiera wagi dowodu.

W dalszym ciągu rozprawki usłyszym więcej szczegółów przyzwalających; mianowicie dowiemy się, coto za korsarze tak długo grasowali po świecie.

Tymczasem sprawdźmy przedewszystkiēm wodnā miejscowość zdarzeń.

a) Popiel.

Najstarszy opis przygody Popielowēj, podany przez naszego Marcina Galla, opiewa jak następuje ¹⁴⁾.

„Według opowiadania starcōw dostojnych doznał ten-
ż Popiel takiego prześladowania od myszy po wygnaniu
z krōlestwa — że towarzyszący mu orszak musiał go z tēj
przyczyny przewieźć na pewnā wyspę — a gdy te zwierzęta
niegodziwe popłynęły tam za Popielem, towarzysze bronili
go od nich w jednēj wieży drewnianēj—aż póki Popiel, dla
zabójczego fetoru z wielkiēj liczby trupōw opuszczony od
wszystkich, sromotnā nie zginął śmierciā, pod gryzącym zę-
bem potworōw“ ¹⁵⁾.

Niewymienionē tu bliżēj miejscem wypadku miało być
kruświckie jezioro Gopło, z stojācemi po dziś dzień szczāt-
kami „Myszēj wieży“. Te dzisiejsze szczātki budowly m u-
r o w a n ē j nie mogā zapewne pochodzić z czasōw Po-
piela, który zginął w wieży drewnianēj, lecz stojā prawdo-
podobnie w tēmsamē miejscu, i były zapewne w tynsa-
mym celu wzniesione.

Z wiarygodnych zaś badań znawcōw okazuje się, że
„wielkie“ niegdys jezioro Gopło, przy wyższym stanie wszyst-
kich ówczesnych wōd, łączyło się z poblizkiemi rzekami:
Wartā, Odrā i Wisłā, a tēmsamē i z morzem.

„Dopóki Gopło“ — czytamy w szacownē dziele Suro-
wieckiego o rzekach i spławach polskich ¹⁶⁾ — złączone by-
ło z Wartā i Wisłā, dopóty służyło za główny gościniec
handlu i żeglugi do morza.... Mysza wieża nie mogła
mieć innego przeznaczenia, jak tylko służyć zarazem dla
straży i przyświecania żegludze.“

b) Hatto II r. 969.

Zwłoki tego arcybiskupa moguncckiego leżały do nie-
dawna w kruhcie arcybiskupiēj: „u św. Albana, pomiędzy
świętymi biskupami“ ¹⁷⁾.

Imię jego powtarza się dość często w kronikach spōł-

czesnych i bliskoczesnych, bez żadnej wzmianki o myszach.

Najdawniejsza ze znanych nam wieści o nich znajduje się w kronice minoryty Marcina pod nazwą *Flores temporum*, z końca XIII stolecia ¹⁸⁾. Powiedziano tam w kilku słowach: „Arcybiskup Hatto miał być pożartym od myszy.“

Pierwszy szczegółowy opis jego przygody zjawił się pod koniec wieku XV w znanj kronice Jana Trithemiusza, opata ¹⁹⁾. Wycytujemy tam najprzód, iż Hatto w czasie głodu spędzić kazał do jednego domu wszystkich żebraków z okolicy, i spalił ich razem z domem, jako ludzi bezużytecznych, zjadających chleb ubogim a pracowitym.

Zato spotkała go niebawem okropna kara boża. „Opadła go bowiem“ — prawi kronika — „niezmierna ilość myszy, i zaczęła gryźć go z wściekłością. Gdziekolwiek Hatto się zwrócił, wszędzie myszy tłumem za nim pędziły, i w ciało mu się wżerały. Im usilniej je odganiano, tém gwałtowniej nacierała zgraja rozjadła, i ani na chwilę spoczynku mu nie dawała. Widząc się wreszcie bez ratunku na lądzie, postanowił za poradą przyjaciół szukać bezpieczeństwa na wodach, i dał się przewieźć w łódce na wyspę w póród Renu, gdzie rzeka Naha wpada do niego, i zamknął się w wysokiej wieży na wyspie, mniemając się ocalonym. Ale nie masz miejsca pod słońcem, gdzieby ręka sprawiedliwości Bożej nie zdołała dosięgnąć winowajcy. Zebrały się tedy niezliczone gromady myszy, i przepłynawszy rzekę, wdarły się tłumnie na wieżę, rzuciły się na Hattona i na śmierć go zagryzły.“

Podobnie jak kruświcka wieża Popiela, tak i stojąca podziśdzień Hattonowa pod Bingen, zwie się odtąd *der Müsethurm*, Mysza wieża. Miała ona zaś w istocie tożsamo przeznaczenie co nad-Goplańska, t. j. służyła za latarnię wodną i czatę, z której dawano znać o zbliżaniu się statków nieprzyjacielskich.

Było nawet kilka takich strażnic na Rénem, i jeszcze średnio-wieczno-niemiecki słownik Scherza z r. 1781 ²⁰⁾ mówi pod wyrazem *Müsethurm* o dwóch tamże wieżach

myszach czyli strażniczych — według naszego tłumaczenia „strażnicach przeciw myszom“ t. j. korsarzom.

Są owszem wiadomości, iż sławni średnich wieków korsarze Normanowie nadpływali Renem pod Bingen, i dla uwolnienia się na przyszłość od niedogodnej wieży tamecznej, zburzyli ją w r. 883 ²¹⁾.

Niżej usłyszymy obszerniej, jak długo i srodcze to korsarstwo normańskie grasowało na Renie i wybrzeżach, nawet po okolicach odleglejszych.

Kroniki późniejsze i małej wiarygodności ²²⁾ przypięły historyjkę o Hattonie II do osoby Hattona I, zmarłego o 50 lat wcześniej, r. 914.

c) Widerolf r. 997.

Dyecezya i stolica tego biskupa sztrasburskiego leżała u brzegów téj samej rzeki, na której zginął Hatto.

Imię jego brzmi rozmaicie w kronikach: Widerolf, Biterolf, Wilderolf, Wilderald, Wilderof, Wildeolf i t. p.

Główny dziejopis Widerolfa Bruschiuś, autor *Historii biskupów sztrasburskich czyli argentorackich*, wyraża się o nim pokrótce:

R. 985, poświęcił Widerolf monaster w Seltz nad Renem, i tajnym ale zawsze sprawiedliwym sądem bożym zjedzony został od myszy r. 997, dnia 12 lipca. Pogrzebiony w Ebersheimmünster ²³⁾.

W innych opisach śmierci Widerolfowej czytamy: „Został zagryziony od myszy, gdy w łódce schronienia szukał na Renie“ ²⁴⁾.

d) Rycerz francuzki r. 1012.

Jeden z najlepszych roczników niemieckich, tak zwany kwedlinburski, pisze pod rokiem pomienionym ²⁵⁾:

„Tegoż roku, we Francyi, ale niedaleko Kolonii, zdarzył się pewnemu rycerzowi ²⁶⁾ okropny wypadek śmierci. Został bowiem trudnym do uwierzenia sposobem pokąsany na ustroniu od myszy, i mimo najusilniejsze starania krewnych o wyleczenie go z ran — musiał się rozstać z tym światem.“

Potrzebujemyż nadmienić, iż okolica, „niedaleko Kolonii“ jest to okolica nad rzeką Renem?

Powtarza tę historyjkę Thietmar, opuszczając jednakże rzecz główną, t. j. miejsce wypadku, a dodając niektóre mniejważne okoliczności i bardzo wiele morałów.

e) Rycerz niemiecki około r. 1106.

W jednym z rozdziałów sławnego dzieła *Zwierciadło historyczne* przez Wincentego z Bellowaku,²⁷⁾ zmarłego w r. 1264, czytamy wiadomość o śmierci cesarza Henryka IV-go w Lüttich r. 1106, a bezpośrednio po tém co następuje:

„Pewien nieprzyjaciół nieboszczyka cesarza, pan możny i bogaty, siedział jednego razu wesoło przy obiedzie, gdy nagle wypadły myszy, i dokoła go obskoczyły, że niemógł uciec nigdzie przed niemi. A było tak wielkie mnóstwo téj plagi, że ledwie można uwierzyć, aby się jój znalazło tyle w jednéj okolicy. Odganiano je różgami i kijami, ale nie zdołano dać rady, i nikomu ona zresztą nie czyniła nic złego, okrom temu nieszczęśliwemu, którego gryzła i prześladowała okrutnie. Przeco uwieźli go słudzy o rzut strzały na morze, lecz nadaremnie, bo myszy i tam natychmiast go dopędziły. A przepłynąwszy przez wodę, wdarły się do okrętu w tak wielkiéj liczbie, iż zdawało się jakoby morze falami je wyrzucało, i żarły go straszliwie. Zaczém obrócili słudzy okręt znowuż do brzegu, i wysadzili nieszczęśliwego na ląd gdzie myszy niezwłocznie go zagryzły i śmiercią okrutną chciwość swą nasyciły.“

Nie wyszczególniono tu wyraźnie nazwy morza, lecz obaj późniejsi powtarzacze téj wieści, autor tak zwanéj „Wielkiéj kroniki Belgickiéj“ w wieku XV²⁸⁾, i dzisiejszy zbieracz niemieckich powiastek gminnych²⁹⁾, mają w myśli morze przy ujściu Renu.

f) Henryk z Laufen około r. 1126.

Tak zwany „Annalista Saski“, z XII stólecia, opowiada pod wskazanym tu rokiem:

„Hrabia Bernhard, drugi brat królowéj (Gizli, małżonki Konrada Franka), miał kilka córek, z których jedną, imieniem Idę, poślubił Henryk, pan na zamku Laufen, brat trewirskiego biskupa Bruna i hrabiego Poppona. Tenże

Henryk ³⁰⁾ zginął zagryziony na śmierć od myszy, a jego wdowę Idę pojął następnie pewien rycerz z Saxonii ³¹⁾.

Obie wymienione tu nazwy miejscowe, Laufen i Trewir odneszą się do starodawniej widowni czynów korsarskich.

Laufen bowiem leży znówuż nad Renem, w okolicach Bazylei, a Trewir nad znaną rozbójnikom morskim Mozellą, którą oni mianowicie r. 892 dostali się do tegoż miasta ³²⁾.

g) Arcybiskup Adolf około r. 1212.

Po śmierci cesarza Henryka VI-go z rodziny Hohenštaufów, rozszczępiły się Niemcy w dwa przeciwne stronnictwa, z których każde wybrało sobie r. 1198 innego króla. Jedno wyniosło na tron Filipa Hohenshtaufa, drugie Welfa Ottona. Za Ottonem był także arcybiskup koloński Adolf Altena, jeden z pierwszych książąt cesarstwa. W ciągu dziesięcioletniej odtąd wojny domowej pomiędzy obudwoma królami zmienił arcybiskup Altena zdanie, i wraz z większą częścią stronnictwa przechylił się ku Filipowi. Wtedy około r. 1212 spotkała go śmierć tajemnicza, o której kronika Engelhusiusza z pierwszej połowy XV wieku wyraża się pokrótce ³³⁾.

„Arcybiskup koloński, Adolf, dał się przekupić, i opuściwszy Ottona, przeszedł na stronę Filipa, za co wygnany od Kolończyków, pożarty został od myszy.“

Spotkała go ta przygoda właściwie w miasteczku Neuss.

Wygany bowiem ze swego arcybiskupstwa Adolf, udał się po wspomnienie do króla Filipa, który umyślnie najechał ziemie arcybiskupie, i zdobywszy tam owe miasteczko, osadził w niem wygnańca.

Leży zaś Neuss podobnie jak Kolonia nad rzeką Renem, niegdyś jeszcze bliższą miasta niż dzisiaj, i słynie właśnie jako jeden z najdawniejszych celów wypraw korsarskich ³⁴⁾.

h) Książę Mieczysław r. 1237.

Kronika Długosza pod wskazanym tu rokiem opowiada ³⁵⁾:

„Gdy książę Mieczysław Chościsko, syn mazowieckiego i kujawskiego księcia Konrada, a z rozporządzenia ojców-

skiego dziedzic ziemi kujawskiej, pograbił raz wdowom i sierotom wiele sztuk bydła, i suty bankiet z krów porzezanych sprawił swoim dworzanom, zdarzyło się sprawiedliwym dopustem niebios, karzących jego obecne i dawniejsze występki, iż niezmierna ilość myszy opadła go w pośród hucznej biesiady i zaczęła gryźć go niemiłosiernie. Uchodząc tedy niebezpieczeństwa, dorwał się książę okrętu i uciekł na wody i na rzeki dalekie. Ale myszy wszędzie za nim gnały po wodach i po morzach, i nędznie go wreszcie pożarły.“

Wytkniętą tu drogą do morza, nie mogło być nic innego jak tylko Wisła, oblewająca główne miasta kujawskie i mazowieckie.

i) Gotfryd r. 1363.

Przygoda Gotfryda Arensberga, najprzód biskupa osnabruckiego, od roku zaś 1348 arcybiskupa bremeńskiego, stała się najmniej głośną ze wszystkich. Jestto bowiem powiastka najpóźniejsza, a bajki — jak wiadomo — tém głośniejsze im starsze. Znajdujemy ją tylko w pobieżnem wyliczeniu kilku innych przygód podobnych, wziętą z jakiejś niewymienionej kroniki, bez żadnych zresztą szczegółów ³⁶).

Wiemy przecież zkađinąđ, iż arcybiskup Gotfryd Arensberg umarł r. 1363 nieznaną bliżej śmiercią w miasteczku Stade.

Stade zaś nietylko leży nad wielką rzeką, bo nad odnogą Elby, ale było owszem zdawiendawna miejscem grasowania korsarzy, którzy w r. 994 zamordowali tu panów całej ziemi przyległej, sławnych grafów stadeńskich, bratanów dziejopisa Thietmara ³⁷).

Wzmianka o tém złoczyŹstwie przypomina tysiące innych zbrodni téj samej ręki.

Bo nietylko w tym jednym roku i miejscu grasowało korsarstwo średnich stóleci.

Byłato plaga odwieczna, codzienna, nad wszelki wyraz okrutna.

Wspomnimy o niej dla okazania, coto za myszy zjadły tylu panów dostojnych.

I.

Korsarstwo średniowieczne.

Ku tém jawniejszemu świadectwu bezstronności, podamy wzmiankę niniejszą prawie całkowicie słowami innych pisarzy.

„Rozbójnictwo morskie było główném zatrudnieniem ludów północnych“³⁸⁾.

„Korsarstwo nietylko nie hańbiło nikogo, lecz miało owszem cechę zatrudnienia męskiego, było w Skandynawii pogańskiej ulubioném rzemiosłem szlachty, królewiców, a nawet królów“³⁹⁾.

„Kto na czele łodzi korsarskich zwykł był pustoszyć wybrzeża wszystkich państw okolicznych, ten zwał się królem morskim“⁴⁰⁾.

Wszystkie téż morza ówczesne były pełne takich królów morskich, takich rycerzy, takich rozbójników bez liku.

„Korsarze normańscy“ — opowiada świadek współczesny⁴¹⁾ — „opanowali najprzód wszystkie morza północne, zajęli potém ujścia rzek wszystkich, a zapuszczając się w końcu coraz dalej w głąb krajów, plądrowali któredy chcieli.“

Aby im tamę położyć — opowiada sekretarz Karola W. Eginhard⁴²⁾, — kazał cesarz u wszystkich portów i u wszystkich ujść rzecznych swego państwa, pozakładać strażnice i utrzymywać straż ciągłą, aby żaden statek korsarski nie mógł wcisnąć się w rzekę.“

Były to właśnie takie wieże strażnicze, jakieśmy widzieli powyżej na Renie i w jeziorze kruswickiem, a o jakich zresztą dowiadujemy się na każdój karcie ówczesnych dziejów Francyi, Niemiec i Anglii.⁴³⁾

Ale żadne środki obrony nie zdołały okiełzać korsarza normańskiego.

W krótkim czasie — „wszystkie rzeki krajowe były w ręku Normanów, musiała ustać wszelka żegluga rzeczna.“⁴⁴⁾

„Mianowicie cztery główne rzeki: Ren, Skalda, Sekwana

i Ligiera, służyły Skandynawcom za gościniec w głąb państwa Karolińskiego.“⁴⁵⁾

Sekwaną i Ligierą płynęli oni aż do wschodnich i południowych okolic Francyi, rozlewali się po Burgundyi, Lotaryngii i stokach pirenejskich, pustoszyli miasta Auxerre, Troyes, Chalons, Rheims, Tuluzę i t. d.⁴⁶⁾

Jeszcze dalej niosła ich rzeka Ren, mająca wówczas jak wszystkie rzeki europejskie, nierównie większą obfitość wód.⁴⁷⁾

Korzystając z pełniejszych brzegów, wysiadając w miejscach przytrudnych, i swoim powszechnie znanym zwyczajem przez długie nieraz przestrzenie wlokąc czołna po suszy⁴⁸⁾ zdążało normaństwo Renem po Kolonię, Moguncyę, Sztrasburg, niekiedy nawet do Szwajcaryi.⁴⁹⁾

Z nad brzegów neusseńskich lub bingenńskich rozbiegała się tłuszcza korsarska po stronach odleglejszych, burzyła starożytny Akwisgran, zakładała w katerze tameczną stajnię dla koni swoich.⁵⁰⁾

Nie tylko nadmorskie więc okolice, lecz i najgłębsze wnętrza państw tamtoczesnych, doznawały plagi rozbójnictwa wodnego.

Wszędzie rozlegał się okrzyk żałosny: „Od napadów korsarstwa normańskiego wybaw nas Panie!“⁵¹⁾

Po wszystkich krajach i kronikach owej epoki brzmią szerokie opisy klęsk niesłychanych.

We Francyi nie masz miary skargom na „ciągłe pożogi i spustoszenia kraju przez Skandynawców, na ciągłe przez nich porywanie ludu w niewolę, łupienie i znieważanie kościołów, przeco w najodleglejsze ustronia musiano uciekać z świętościami.“⁵²⁾

W dzisiejszej Belgii i Hollandyi, wzdłuż ujść Renu i Skaldy, rozprzęgli Normanowie wszelki ład i związek społeczny.⁵³⁾

Anglja popadła przez nich w ostatnią toń zamętu i została wreszcie po razy kilka zdobytą od „królów morskich.“⁵⁴⁾

Wybrzeża wschodniej Danii leżały zdawien dawna „niezamieszkałą dla napadów korsarskich pustką.“⁵⁵⁾

Bo nie przestając na brzegach i rzekach stron zachodnich, na Elbie, Wezerze, Renie i t. d., „grasowało korsarstwo z osobliwszą chciwością po brzegach i rzekach wschodnio-północnych.“⁵⁶⁾

Owszem, w téjto właśnie stronie wschodnio-baltyckiej, u ujścia Odry, zasłynęła w 10-m wieku osada korsarzów Jumskich czyli Jomsburskich, mająca osobną konstytucją rycerską, przedstawiana przez znawców jako „ideał rozbójnictwa morskiego.“⁵⁸⁾

U dalszego zaś ujścia Dźwiny grasowały owe bandy korsarskie, które dopomogły Rurykowi do założenia państwa nowogrodzkiego, które pod Oskoldem i Direm zajęły Kijów nad Dnieprem, a później tylokrotnie szturmowały do bram Carogrodu.

I działo się to wszystko od czasów najdawniejszych do bardzo późnych.

Zaczęła się plaga korsarstwa średniowiecznego (według zwyczajnych obliczeń) przed skończonem stółciem ósmem, a trwała w rozmaitych przeobrażeniach po wiek czternasty i piętnasty.

Z początku, w okresie powszechnie znanych wypraw normańskich, od ostatnich lat wieku VIII-go po pierwszą połowę XI-go, miała ona niejaka cechę rycerskości pogańskiej — później, za ustaloną już na północy religii chrześcijańskiej, była ona prostym zbójctwem morskim, acz niezmiernie rozszerzonym i srogim.

I dadzą się w tym sześciowiekowym przeciągu czasu wykazać epoki pojedyncze, w których korsarstwo pod wpływem chwilowych okoliczności z podwójną wrzało wściekłością.

Byłyto epoki następujące:

1) Czasy sławną wojny skandynawskiej pod Hafursfiord, rozstrzygającej losy pogaństwa i dawnych obyczajów północy, około połowy wieku IX-go, to jest właśnie około czasów Popiela — kiedy „tyle zgraj korsarskich rozroliło się po morzach skandynawskich, ile ich nigdy jeszcze nie widziano w tych stronach.“⁵⁸⁾

2) Czasy tak zwanych napadów askomańskich, z końcem wieku X-go i przez większą połowę XI-go, przedstawiane we wszystkich kronikach i rocznikach niemieckich, jako pora ustawicznych rabunków morskich, popełnianych przez ówczesnych korsarzów Askomanów.⁵⁶⁾

3) Czasy głośnych w XIV-m wieku „Braci Witalskich“

t. j. ogromnej rzeszy korsarskiej, która po długoletniem grasowaniu po wszystkich wodach i wybrzeżach bałtyckich, opanowała wielką wyspę Gotlandyę, starodawną siedzibę korsarstwa normńskiego⁶⁰), czyli owym gotlandzkim wyrazem mówiąc: *mysingów* albo myszy — założyła tu swoją stolicę — zawezwała do siebie banitów z wszystkiego świata, i dopiero wielorakim usiłowaniom miast hanseatycznych i zakonu krzyżackiego, uległa pod koniec wieku.⁶¹)

Każda zresztą wojna powiększała liczbę korsarstwa.

Służyły bowiem zwyczajnie obudwom stronom walczącym liczne bandy zawezwanych ku pomocy korsarzy⁶²), które wzrastając w ciągu wojny, brojąc po wybrzeżach nieprzyjacielskich i przyjacielskich, napełniały gwałtami wszystkie morza i rzeki, a nagrasowawszy się z początku w imieniu stron wojujących, grasowały następnie przez długie lata spokoju w swoim własnym.

Jakoż wpatrzymy się jeszcze bliżej w przygody zagryzionych od myszy ofiar, a uderzy nas okoliczność, iż prawie wszystkie wypadki zdarzyły się w czasie wojny albo w ciągu jednej z owych epok górującego korsarstwa.

Wspomnimy o tém w związku z niektórymi innemi szczegółami, utwierdzającemi korsackie znaczenie „myszy.”

VI.

Zgodność reszty okoliczności.

Wytknęliśmy ślady nazwania zbójców morskich „myszami.”

Dostrzeżliśmy, iż wszystkim bez wyjątku przykładom pożerania ludzi od myszy towarzyszy właściwa rozbójnicztwu morskiemu scena, t. j. miejscowość morską lub rzeczna, a niektóre miejsca wyszczególnione jak np. siedziba arcybiskupa moguncckiego Hattona *Bingen*, kolońska Adolfa *Neuss* i bremeńskiego Gotfryda *Stade*, okazywały się nawet starodawnym celem gwałtów korsarskich.

Zastanówmy się jeszcze nad osobliwszym upodobaniem tych tradycyj w miejscowości wybrzeżów Renu.

Widzieliśmy tę rzekę przed chwilą ulubionym gościńcem starożytnego korsarstwa, a przynajmniej pięć z wyliczonych tu dziewięciu morderstw myszych zdarzyło się nad Renem, wzdłuż jego brzegów od morza aż po Szwajcaryę, t. j. w Bingen, w Neuss, w okolicach Kolonii, w Sztrasburgu i Lauffen — do czego należałoby prawdopodobnie przydać jeszcze przygodę owego na morze zagnanego nieprzyjaciela Henryka IV-go — zagnanego tam zapewne ujściami Renu.

Zwróćmyż teraz uwagę na częstotę mordów myszych w takich właśnie epokach, które zkadąd znamy porą najgwałtowniejszego rozbójnictwa morskiego, zwłaszcza w czasach wojennych.

Śmierć Popiela (około połowy IX-go wieku) przypadła w samą kulminację korsarskich wypraw normaństwa, trzy dalsze wypadki z lat 969, 997 i 1012 należą do epoki najgwałtowniejszych właśnie napadów askomańskich, a cztery ostatnie przygody z lat 1106, 1212, 1237 i 1363, zdarzyły się w czasie wojen, i wiążą się nawet bezpośrednio z ich biegiem.

Rzecz-to szczegółowego sprawdzenia godna.

Wertując roczniki i kroniki niemieckie z drugiej połowy X i pierwszej XI wieku, mianowicie roczniki hildesheimski i kwedlinburski, tudzież pisma Flodoarda, Richera, Thietmara, Alperta, Ruotgera, Adama Bremeńskiego, Rodulfa i t. p., spotykamy raz poraz: „piratów,” Askomanów, wikingów, Normanów, t. j. wszelkiego kształtu korsarzów.

Jeden z wymienionych tu roczników lub kronikarzy, mówi o częstych napadach normańskich na brzegi Elby⁶³), drugi o ustawicznych napaściach korsarstwa na archidiecezją bremeńską nad Wezerą⁶⁴), — trzeci o „ciągłej trwodze rozbójnictwa morskiego,” wiszącej nad ludnością wybrzeżów reńskich⁶⁵) — czwarty o grasowaniu normaństwa po mniejszych nawet rzekach, jak np. po rzece Lek⁶⁶) — piąty i szósty o pojedynczych gwałtach głośniejszych, jak np. o mordowaniu walecznych obrońców Elby, hrabiów stadeńskich⁶⁷).

I nie dziw: było to właśnie pora ostatnich wysiłków korsarstwa pogańsko-północnego, pora „ogromnej wyprawy”⁶⁸) szwedzko-duńskiej w r. 994 na Niemcy — i zabójczych szturmów duńskich w latach 991, 993, 1002, 1013 i 1015 do

Anglii, opanowanej wówczas całkowicie przez „królów morskich.“

W tój wrzawie wszechstronnych, rokrocznych klęsk — niepodobna przypuszczać, aby historyczne pomniki owego czasu zdołały były spamiętać i zapisać kaźden napad normański, kaźden rok łupieży rozbójniczej, kaźden wypadek pomniejszy i ustronny.

Pytając przecież o cyfry głośniejszych w tój mierze lat, otrzymujemy wiadomość o najgłośniejszych napadach korsarskich w latach 950⁶⁹⁾, 962⁷⁰⁾, 988⁷¹⁾, 994⁷²⁾, 995⁷³⁾, 1006⁷⁴⁾, 1007⁷⁵⁾, 1012⁷⁶⁾, 1014⁷⁷⁾, 1019⁷⁸⁾ i t. d.

Sąto zaś właśnie lata owych przygód arcybiskupa mogunckiego Hattona w r. 969, biskupa sztrasburskiego Winderolfa w r. 997, i francuzkiego rycerza „z pod Kolonii“ w r. 1012.

Co do dalszych przygód z wieków XII, XIII i XIV, te nietylko zdarzyły się w czasach wojennych, ale zostają nawet w wyraźnym związku z wojną.

Czasy śmierci owego (około r. 1106) na morze zagnanego nieprzyjaciela „nieboszczyka cesarza“ — są czasami wojny między stronnictwami tegoż cesarza Henryka IV-go, a jego syna Henryka V. Zagryziony od myszy rycerz trzymał z synem Henrykiem V-m, a pan krajów, w których najprawdopodobniej spotkała go ta katastrofa, księżę nadreńskiej Flandryi Robert, był właśnie nieprzyjacielem tegoż syna Henryka, a temsamém i naszego rycerza, niemaliśmy przeto otoczonego niebezpieczeństw, gdy miał przeciw sobie pana swoich własnych okolic.

Pożarty od myszy (około r. 1212) arcybiskup koloński Adolf, poniósł tę śmierć bezpośrednio po srogiój wojnie domowój, w którą on sam jako jeden z głównych działaczy wchodził, a o której w liście papieża Innocentego III-go powiedziano: „Mordy, rabunki, pożogi, gwałty najohydniejsze, bywają popełniane w dzień biały; nie masz domu ani gościńca, któryby bezpiecznym był od nich; nikt nie broni złoczynstw nikomu, i wszystek też kraj napęłnił się złoczyncami.“⁷⁹⁾ A dzisiejszy historyk onych czasów dodaje: „Jeśli brat biskupa wirburskiego na publicznym gościńcu

porwać mógł prałata magdeburgskiego i kazać mu oczy wyłupić — jeśli szlachetni wassalowie cesarstwa mogli w podobny sposób napaść biskupa wirceburskiego Konrada, zamordować go w pół drogi do kościoła, i pastwić się jeszcze nad jego trupem, ponieważ chciał powściągnąć ich gwałty — cóż się musiało dziać z uboższymi!“ Oprócz biskupa Konrada zginął również morderczym sposobem sam król Filip, zabity r. 1209 przez pfalegrafa Ottona Wittsbacha. Wkrótce po Filipie zdarzyło się tożsamo jego mordercy Ottonowi, banicie, zabitemu nędznie w ucieczce. Cóż dziwnego, iż w czasach tak strasznej burzy zginął także wygnany z Kolonii Adolf? zwłaszcza gdy dodamy wiadomość, iż ostatniem ze znanych zdarzeń w życiu Adolfa był zbrojny napad na arcybiskupstwo kolońskie, w celu wygnania ztamtąd arcybiskupa Teodoryka ⁸⁰⁾, przy czém zabicie przez korsarzów wojennych nader zrozumiałą byłoby rzeczą.

W roku 1237 zjadły myszy młodego księcia Kujaw Mieczysława Chościska, a tenże właśnie rok był porą wojny między pomorskim księciem Świętopełkiem a ojcem Mieczysława Konradem, księciem Mazowsza, tym starodawnym wrogiem Świętopełkowym ⁸¹⁾. Książę Mieczysław miał najwięcej około 20 lat ⁸²⁾, i ulegając w tak wczesnym wieku rozkazom ojca, służył z nim razem za cel napaści Pomorzyczka. Pomorzanie zaś należeli oddawna do najzuchwalszych na północy *mysyngów* ⁸³⁾, którzy teraz za Świętopełka i Konrada uwijali się właśnie wielokrotnie po Wiśle, zdobyli tąż wiślną drogą w r. 1237 albo mało co przedtém przyległy Wiśle Bydgoszcz ⁸⁴⁾, splądrowali w r. 1238 całe Kujawy, i ubiegli nadwiślański Włocławek ⁸⁵⁾. Oni to zapewne „zagryźli“ wtedy młodego księcia Konradowica.

Wśród takiejże burzy wojennej zginęła ostatnia ze znanych ofiar napadów myszych, bremeński arcybiskup Gotfryd w r. 1363. Cały owszem zawód Gotfryda był jednym nieprzerwanym ciągiem zatargów zbrojnych. Nim jeszcze papież mianował go w r. 1349 arcybiskupem bremeńskim, obrała kapituła bremeńska na toż arcybiskupstwo administratora dyecezyi, Maurycego Oldenburskiego. Jak za owego arcybiskupa z Kolonii Adolfa cesarstwo Rzymskie — tak teraz arcybiskupstwo bremeńskie, otrzymało dwóch panów,

ujrzało się przedmiotem wojny domowej. „Zaczęli tedy“ — opowiada kronika ⁸⁶⁾ — „wojować z sobą arcybiskup Gotfryd i arcybiskup Maurycy, obaj hrabiowie z urodzenia, tamten arensberski, ten oldenburski.“ Po dziesięcioletnich przygodach i zmianach wojny musiał w końcu Gotfryd ustąpić Maurycemu. Kandydat kapitulny owdładnął całkowicie arcybiskupstwo, a Gotfrydowi przeznaczono na mieszkanie arcybiskupi zamek Stade nad Elbą, osławiony zdawien dawna napadami korsarzów, zabójczemi niegdyś dla dawnych hrabiów stadeńskich. Tak niebezpieczna siedziba była tém gorszej wróżby, ile że mimo ustąpienie Gotfryda nie ustała jeszcze burza wojenna. Rozpasane od lat kilku namiętności rodziły coraz nowe stronnictwa i nowe zwady, napełniały szczękiem wojennym całą okolicę bremeńską. W téj dalszej wojnie — kończy kronika — „inkasztelowany został kościół w Lullenhus, a w przeciągu jednego roku pomarli nędzną śmiercią wszyscy sprawcy inkasztelacyi. Wtedy umarł także arcybiskup Gotfryd, i pogrzebiony został w kościele bremeńskim.“

Którato wzmianka o pogrzebaniu zwraca uwagę naszą na jedną z dalszych okoliczności, przyświadcających wskazanemu tu wytlumaczeniu zagadkowych podań o myszach.

O bardzo wielu zjedzonych przez nie ofiarach, mianowicie o arcybiskupie Hattonie II, biskupie Widerolfie, arcybiskupie Gotfrydzie, powiedziano wyraźnie, gdzie spoczywają ich zwłoki, albo przynajmniej gdzie one do niedawnych lat spoczywały.

Mówiąc tedy o pożartych od myszy ludziach, których ciała tam i tam leżą, nie rozumiano pierwotnie rzeczywistego pożarcia. W takim bowiem razie musiały zniknąć ich zwłoki, albo przynajmniej musiano by unikać wszelkiej wzmianki o złożeniu onych w tym a w tym grobie. Zdaje się więc, iż nasz zagadkowy sposób mówienia miewał z początku nie inne jak tylko takie znaczenie, jakie rzeczywiście nadaje mu wiadomość o owym pod Kolonią zjedzonym rycerzu francuzkim z r. 1012, t. j. znaczenie śmiertelnego pokaleczenia przez kogoś, po którym tenże rycerz leczył się długo, acz bezskutecznie.

Pamiętną jeszcze jest rzeczą, iż mimo tak znaczną

liczbę i tak niepoślednią godność osób zjedzonych, nie pozostała w historii żadna wiadomość o ich właściwym rodzaju śmierci. Jeśli więc tradycja po razy dziewięć powtarza bajkę pozorną, a historia w żadnym z tych dziewięciu wypadków nie umie postawić natomiast coś innego, wiarygodnego, natenczas musi tak uporeczywa tradycja mieć pewną słuszość, t. j. słuszość obrazowego nazwania zbójców myszami.

Zgadza się także z naszym domysłem wyjątkowa godność pożeranych zwyczajnie osób. Cztery z nich są arcybiskupami lub biskupami, a powszechnie wiadomo, iż biskupowie średnich stuleci to najbogatsi ludzie swojego czasu, i na nich też, na kościoły, na możne opactwa i klasztory, stawiali w rzeczy najchętniej zasadzki *mysyngowie* ⁸⁷).

Ale najciekawszą z natrąconych tu okoliczności podrzędnych jest bezpośrednie połączenie wzmianki o myszach ze wzmianką o korsarzach, uderzające nas w najdawniejszym z roztrząsanych tu podań.

Musimy zastanowić się nad tém z osobna.

VII.

Bliskość myszy i korsarzy w kronikach.

Najstarsza ze wszystkich piśmiennych wzmianek o ludożerstwie myszy znachodzi się w roczniku kwedlinburskim, pod rokiem 1012.

Jestto wzmianka współczesna, skreślona piórem niepopolitým, cenioným wysoce w rocznikarskiej literaturze niemieckiej.

Uczeni wydawcy najnowszego zbioru kronik i roczników niemieckich stawiają bezimiennego rocznikarza kwedlinburskiego w pewnym względzie nad wszystkich pisarzów tamtoczesnych ⁸⁸), i wynurzają żal, iż tak znamienity talent nie jął się pracy większej, samodzielniejszej.

Jakże w pisarzu tak starożytnym, tak światłym, a tém samém mniej łatwowiernym od innych, ma się bajeczka

o myszach do reszty otaczających ją doniesień wiarogodnych?

Umieszcza ją tedy rocznikarz w takiem pasmie wiadomości i myśli, w tak blizkim związku myszy z korsarstwem, iż wypadłoby wnosić, że właściwe znaczenie tego zagadkowego wyrazu było mu dobrze wiadomém—albo przynajmniej— że wieści o myszach i korsarzach chodziły wówczas bardzo blisko ze sobą.

Oto całkowity ustęp rocznika:

„Umarł Unger biskup (poznński). Umarł Thietmar proboszcz i mnich. Urodziło się we wsi Kochstädt dwoje męzkich bliźnięt z zębami, z ustami wykrzywionemi na podobieństwo ptaków, a prawa ręka u jednego była krótszą na podobieństwo skrzydła. Trzeciego dnia po urodzeniu miały uśmiechać się do siebie. Za spólną zgodą gminy dano im umrzeć, gdyż ogarnęła wszystkich obawa, aby nie żyli długo. Tegoż roku we Francyi, lecz niedaleko Kolonii, zdarzył się pewnemu rycerzowi okropny wypadek śmierci. Został bowiem w trudny do uwierzenia sposób pokąsany na ustroniu od myszy, i mimo najusilniejsze starania krewnych o wyleczenie go z ran, musiał się rozstać z tym światem. Stała się także wielka klęska od napałów korsarskich (*magna etiam a piratis devastationis clades facta est*) w okolicach północnych, w pewnej prowincyi, przyczém wielu zamordowano, innych w niewolę uprowadzono, mnogie mieszkania ludzkie i przynależące do nich dobra zburzono, i tylko mała liczba mieszkańców prawie nago umknęła. Bywały téż trzęsienia ziemi po różnych miejscach...”

Nie ma tu żadnego dziwu, żadnych morałów—wzmianka o zabijaniu takich kalek, jakimi były owe za „wspólną zgodą“ stracone bliźnięta, okazuje się z tysiąca tamtoczesnych przykładów obyczajowych aż nazbyt niestety wiarogodną ⁸⁹⁾ — wspomnienie myszy kończy się na prostém opowiedzeniu wypadku, z pozostawieniem czytelnikowi wolności rozumienia rzeczy w jęj właściwém znaczeniu, lub téż w znaczeniu cudotworném.

Ale nie kaźden z kronikarzy ówczesnych bywał tak umiarkowanym, dbał tak mało o efektowność swojej powie-

ści, i już w krótkim czasie po jój wciągnięciu w rocznik kwedlinburski przybrała ona wcale odmienną postać pod piórem innego, pretensjonalniejszego pisarza.

Jest nim znany opowiadacz dziejów Bolesława Chrobrego, Thietmar.

Pisze on tuż po roczniku kwedlinburskim, lecz, jak to z całej jego kroniki widać i jak o tém najnowsi wydawcy Monumentów niemieckich szeroce się rozpisują ⁹⁰⁾, bierze znaczną część swoich wiadomości, mianowicie po rok 1013, z tegoż rocznika kwedlinburskiego.

Słynie zaś Thiermar z zamięłowania w dziwach, widzeniach, snach, strachach i t. p., opisywanych szeroce w jego kronice, i co nierównie gorsza — lubi przekreślać właściwą postać rzeczy.

Chciejmy tylko przypomnieć sobie, jakim np. potworem jest u niego ten sam Bolesław Chrobry, o którym wiarogodniejsi spółcześnicy Thietmara, jak święty apostoł Bruno ⁹¹⁾, jak towarzysze i żywociarze świętego apostoła Wojciecha ⁹²⁾, tak chlubne pozostawili świadectwa.

Biorąc tedy ową nowinę o myszach ludożerczych z rocznika kwedlinburskiego — a właśnie w tym razie przypominają najnowsi wydawcy Thietmara po raz drugi kwedlinburskie źródło powiastki — cóż z niej zrobił nasz Thietmar?

Przytoczymy cały dotyczący ustęp kroniki, nie lekając się zbytniej jego długości, która przynajmniej w części wynagrodzi się nam próbką Thietmarowego trybu mówienia o Bolesławie.

„Urodziło się temi czasy dwóch braci z zębami, mających usta na podobieństwo kaczki, a u jednego z nich była połowa prawego ramienia podobną skrzydłu kaczemu. Trzeciego dnia po urodzeniu śmiali się obaj do siebie, a pomarli w r o z r u c h u p o s p o l i t y m (*civili dissensione moriuntur*). Pewien zaś rycerz, gdy się gwałtowną ręką targnął na majątności świętego Klemensa i nie chciał nagrodzić szkody, został naraz w komnacie opadniętym od niezmiernej ilości myszy. Zaczął tedy najpierw bronić się od nich kijem, następnie uderzył na nie orężem,

a gdy wszystko nic nie pomogło, kazał się zamknąć w skrzynię i zawiesić na sznurze wpośród komnaty. Późem gdy ta plaga uspokoiła się zewnątrz, i mniemał się już wolnym, znaleziono go na śmierć zagryzionym od innych myszy. Wtedy jawnie okazało się wszystkim, którzy byli przytém obecni i którzy później nadeszli, że jedynie gniew Boży, mściciel zbrodni wspomnionój, o zgubę go przypawił. — Tymczasem (uwięziony książę czeski) Jaromir, o którym wyżej mówiłem, błagał pokornie o łaskę króla (Henryka), i w znak miłosierdzia i restytucyi został skazany na wygnanie, pod strażą biskupa Etelboda, następcy po biskupie Ansfrydzie. A karę tę ściągnął Jaromir na siebie nie sprzeniewierzeniem się w czemkolwiek królowi Henrykowi, lecz zamordowaniem niezmiernie wielu Bawarczyków, którzy bez królewskiego i jego pozwolenia jechali z darami do Bolesława (Chrobrego). O którejto karze Jaromirowej dowiedziawszy się, uradowali się nasi nieprzyjaciele, a przeleżeli się przyjaciele, z obawy czegoś podobnego dla siebie. I obyż tego samego doznali na sobie wszyscy, którzy kiedykolwiek dali taką radę królowi Henrykowi. Potem brat Jaromirów Oldrzych, zawezwany przez króla, przybył do Merseburga, i niesłusznie przywłaszczone sobie państwo (czeskie) otrzymał darem łaskawym. Około tych czasów deszcze ulewne i napady korsarsar z ó w wielkie szkody (pożał się Boże!) zrządziły. Tegoż samego czasu wylał Dunaj w Bawaryi a zamulił się Ren....“

Ileż tu zmian i przekształceń! Podobieństwo do ptaka w ogólności przeistoczyło się w podobieństwo do kaczki; ze śmierci „za zgodą pospolitą“, zrobił Thietmar — a sami wydawcy Thietmarowi ostrzegają, iż zrobił mylnie — śmierć „w rozruchu pospolitym“; wzmianka o rycerzu zjedzonym postradała głównej okoliczności, t. j. miejsca wypadku; co zaś najcharakterystyczniejszą się zdaje — usunął Thiermar wiadomość o napadzie korsarskim z bezpośredniego następstwa po wiadomości o myszach, zataił przeto uderzającą w roczniku assocyacją myśli, przydał kilka szczegółów fantastycznych, i przegrodziwszy obiedwie

wzmianki szerokim ustępem o Bolesławie, utopił korsarzów w nowinie o deszczach ulewnych i Dunaju.

Jeden z późniejszych kronikarzy niemieckich powtarza powiastkę tę za Thietmarem ⁹³⁾, zachowuje szczegół o świętym Klemensie i rok wypadku, lecz nie znalazłszy w Thietmarze żadnej skazówki co do miejsca przygody, odniósł zdarzenie do ulubionej sobie miejscowości w Saksonii, przez co tylorako przeistoczona tradycja stała się zgola niepodobną do swego pierwowortu w roczniku kwe-dlinburskim.

Nie takimże sposobem zacierała się właściwa barwa wypadku? — zaciemniało się zrozumiałe niegdyś znaczenie wyrazu „m y s z”? — stało się bajką, co pierwotnie było tylko podobnąż alluzją do jakiegoś zapomnianego z czasem pojęcia, jak przez alluzję nazwano w i l k i e m bannitę?

Z formuły praw starożytnych „dać komuś wilczą głowę” powstały tradycje o wilkołakach — z zwyczaju nazywania korsarzów owymi „myszami o l b r z y m i e m i,” owymi *mysingami*, urosły powiastki o porażeniu ludzi przez myszy.

Ale jakże długo krążyły te powiastki po świecie! ileż papieru zapisano o myszach ludożerczych!

Dlatego nie mamy uroszczenia, aby od jednej rozprawki naszej ustała starodawna wątpliwość.

Podano przecież dat kilka, których dokładniejsze z czasem utwierdzenie lub zaprzeczenie, większą może spowodzi pewność.

Jedna z takich przyszłych prób tłumaczenia naszego dałaby się zrobić w sposób następujący.

Przygody z myszami ludożerczemi mają powtarzać się także w dziejach hiszpańskich ⁹⁴⁾.

Z braku źródeł nie mogliśmy się doszukać żadnej poszlaki tego rodzaju.

Może ktoś inny będzie od nas szczęśliwszym.

Owóż ciekawą byłoby ujrzyć, czy i w tych powiastkach hiszpańskich powtarza się korsarska miejscowość nad morzem lub u rzek wielkich.

Należałoby jednakże być ostrożnym w wyprowadzaniu wniosków z téj jedynéj okoliczności; gdyż, jak tego powiastka o rycerzu z pod Kolonii świeżym była przykładem, mogła w pierwotnym brzmieniu tradycyi znajdować się wyraźnie miejscowość wodna, którą druga i trzecia wersya albo zupełnie zatarła albo do niepoznania zmieniła.

P R Z Y P I S K I.

- 1) *Mythologie der Volkssagen und Volksmärchen*, von F. Nork. Stuttgart 1848 str. 390, 404.
- 2) Wydanie z r. 1854 str. 733.
- 3) *Wydanie Lubeckie* r. 1702 str. 156.
- 4) *Leibnitz, Script. ver. brunsvic.* I. 1003.
- 5) Aby go ktokolwiek nie zabił „słusznie bez sądu, rite, sine judiciali inquisitione”—jak ów paragraf w dziele Grimma opiewa.
- 6) *Thesaurus, Antiquitatum Theutonicarum* III. 599.
- 7) Tamże III. 599 i w tomie II, gdzie całkowity tekst legis salicae.
- 8) Str. 400.
- 9) *Leo, Angelsächsische Sprachproben* str. 203.
- 10) *Voiage en Islande par Olofsen et Povelsen* I. 432. Czacki *Dzieła* I. 20.
- 11) *Dalin, Geschichte des Reiches Schweden*, übers. von Dähnert. Greifswald 1756 I. 255 „von einem Mysing oder Seekönig....“
- 12) *Loccenius, Antiquitatum Sueco-Gothicarum Libri tres*. Francofurti 1676 str. 113 „*Peninsula Kolnen quondam gigante nomine murem inhabitatorem habuisse fertur. Unde adhuc a senibus: Gigas mus habitavit in Kolnensi domo...*“ *Huus, domus, raczěj arx, ob. Ihre Glossar. Suio Goth.* I. 935.
- 13) *Dalin* I. 315. „*Der Mysinge-Hügel ein Andenken von Seeräubern.*“
- 14) *Wyd. Bandtk.* str. 26.
- 15) Już Kadłubek przekreślił tę najstarszą wieść o Popielu, opowiadając, jakoby „feter zabójczy“ powstał z niepogrzebionych zwłok stryjów pomordowanych.
- 16) W wyjątkach w „*Przyjacielu Ludu*“ Rok ósmy (1842) str. 223, 226.
- 17) *Latom. Catal. archiep. Mogunt. Mencken Scriptorum rer. germ.* III. 476.
- 18) *Eccard Scriptor.* I. 1613.
- 19) *J. Trithemii Spanheimensis abbatis. Tomus primus Annal. Hirsauensis.* Typis monast. s. Galli 1690 p. 116.
- 20) *Scherzii Gloss.* I. 1041 „*duae turres speculatoriae.*“
- 21) *Ludewig Gr. Universal Lexicon*, pod słowem *Bingen*.
- 22) *Compil. Chronol. Leibnitz Scriptor. rer. brunsv.* II. 64.
- 23) *Leibnitz Script. rer. brunsvic.* I. 265. not.
- 24) *Ludewig Gross. Univ. Lexicon* 1748 tom LVI str. 848.
- 25) *Pertz Scriptorum* III. 81.
- 26) *Viro, Thietmar* (tamże III. 81.) militi.

- 27) Vincentii Bellovacensis Speculum historiale, księga 25, rozdz. 117.
- 28) Magn. Chron. Belg. w Pistor. Script rer. germ. III. 127.
- 29) Wolf Deutsche Märchen Leipz. 1845 str. 309.
- 30) W indeksie do pierwszego tomu Eccarda Scriptores rer. german. medii aevi str. 458, ściągnięto zaimek tenże (qui) przez pomyłkę do hrabiego Popona.
- 31) Pertz Scriptores rerum germ. VI. 677.
- 32) Zeuss Die Deutschen u. Nachb. 531.
- 33) Leibnitz Script. rer. brunsv. III. 1112.
- 34) Depping Histoire des expedit. des Normands, wyd. 1844 p. 190.
- 35) Wyd. frankfurckie I. 658.
- 36) J. S. Bandke, Dzieje królestwa polskiego, wyd. z r. 1820. I. 60.
- 37) Pertz Script. rer. germ. III. 72. 774.
- 38) Zeuss, Die Deutschen und die Nachbarstämme str. 523.
- 39) Tamże 522.
- 40) Dahlman Gesch. Dännemarks I. 65. Langeb. Scr. r. danic. I. 14.
- 41) W dziele Zeussa 528.
- 42) W Deppinga Histoire des exp. marit. des Norm. 59.
- 43) Np. Depping, Histoire des expéditions maritimes des Normands 1844 str. 138. Lappenberg, Geschichte Englands I. 316.
- 44) Depping 122.
- 45) Zeuss 528.
- 46) Depping 230. 234. 85.
- 47) Tamże. 148.
- 48) Tamże. 299.
- 49) Dalin, Geschichte von Schweden I. 78.]
- 50) Snorro Heimskringla. Wyd. 1697 p. 221.
- 51) A furore Normanorum libera nos Domine! Mallet Introd à l'Hist. de Dannemarc p. 159.
- 52) Zeuss 528.
- 53) Depping 243.
- 54) Lappenberg Gesch. Engl. 447 i t. d.
- 55) Dalin, Gesch. Dännem. I. 136.
- 56) Zeus 528.
- 57) Depping 374 l'idéal de la piraterie.
- 58) Depping 255.
- 59) Pertz Script. rer. germ. tom V. indeks pod słowem Ascomanni.
- 60) Depping 33.
- 61) Langeb. Script. rer. danic. I. 261. Voigt. Gesch. Preuss. V. 312. 654.
- 62) Np. Pertz Script. VI. 514 insidiae piratarum imperatoris r. 1165.
- 63) Crebra irruptio. Tamże VII. 317.
- 64) Continuas piratae furentis incursiones. Tamże III. 832.
- 65) Omnis haec regio piratas timet. Tamże III. 869.
- 66) Tamże IV. 705.
- 67) Tamże III. 90. 773.
- 68) Dahlmann Geschichte Dännem. I. 90.
- 69) Tamże III. 609.

- 70) Tamże III. 406. IV. 270.
 - 71) Tamże VII. 317.
 - 72) Tamże III. 90. 773.
 - 73) Tamże III. 657.
 - 74) Tamże IV. 704.
 - 75) Tamże IV. 705.
 - 76) Tamże III. 81. 830.
 - 77) Tamże VII. 57.
 - 78) Tamże III. 869.
 - 79) Raumer, Gesch. der Hohenst. II. 658.
 - 80) Struvius, Script. rer. germ. I. 381.
 - 81) Barthold, Gesch. von Pommern. II. 462.
 - 82) Ojciec Mieczysława Konrad, urodził się według zwyczajnego podania r. 1191. a Mieczysław był jego drugim synem. Mógł tedy ten syn drugi urodzić się najwcześniej około r. 1215, a w r. 1237 mieć najwięcej 20 lat.
 - 83) Np. Vita s. Ottonis. ed Ludevig I. 499, 680, 688.
 - 84) Barthold II. 410. Długosz tom I. st. 664.
 - 85) Tamże II. 360. I. 664.
 - 86) Meibom Script rer. germ. II. 66.
 - 87) Depping Pertz Script. III. 157 r. 882 biskup Metzki Walo zabity od Normanów.
 - 88) Pertz Archiv IV. 645 Die grösseren Stellen... sind viel besser geschrieben als Zeitgenossen es gewöhnlich vermochten.
 - 89) Porówn. np. Grimm Deutsche Rechtsalterthümer, wyd. 1854 str. 456. Man hielt es für unrecht, missgestalte, krüpelhafte, schwächliche Kinder aufzuziehen... Podobnież Michelet Origines du droit français str. 3—11.
 - 90) Pertz Archiv VI. 689 Anhang. Ueber die Annales Quedlinburgenses als Quelle des Thietmur 689—699.
 - 91) W świeżo ogłoszonym liście do cesarza Henryka. Bibliot. Warsz 1856. IV. 215.
 - 92) Pertz, Scriptorum IV. 593. 607.
 - 93) Botho w Leibnitza Script. rer. brunsv. III. 320.
 - 94) Bandtke, Dzieje król. pol.
- ~~~~~

O „ŁAŻNI“ BOLESŁAWA CHROBREGO.

Zdawiendawna lubiono przeplatać historię dykteryjkami. Im starszą, która kronika, tém częstsze w niej przypowiadki ucieszne. Najstarsza z kronik polskich, tak zwana Marcina Galla, umie przy każdym wypadku przytoczyć jakąś facecyę. Oto np. obadwaj pierwsi Bolesławowie, wjeżdżając wesoło do stolicy zdobytej, uderzają mieczem w złotą bramę kijowską¹⁾. Oto Bolesław Śmiały, przyrzekając swoją opiekę w. księciu kijowskiemu Izasławowi, miał targnąć go w żarcie za brodę²⁾. Oto wreszcie Bolesław Chrobry, chcąc się okazać łaskawym, „sprawia łaźnię“ możliwym młodzieńcom.

* Każda z tych przypowiadek zawiera pewien szczegół prawdziwy. Lecz prawda ta miała wcale inne znaczenie w rzeczywistości niż w ustach kronikarza. I tak np. owo uderzenie orężem w złotą bramę kijowską, które kronikarz osobliwie przy wjeździe Bolesława Chrobrego przedstawia jako koncept rubaszny, nawet swawolny, trudny tutaj do powtórzenia, było właściwie znakiem uroczystego wzięcia w posiadłość. Nie wiedziała o tém większa część towarzyszących Bolesławowi rycerzów, nie wiedział opowiadający to kronikarz, lecz każdy znawca ówczesnej symboliki prawa mógłby nam być wytłumaczyć, że biorąc w posiadanie jakiś kraj albo gród nowy, należało dotknąć się orężem albo kopią granicznych słupów kraju lub bramy miasta.

Takim np. sposobem Autharis król Longobardów, opanowawszy całą południową Italię, wjechał na koniu w Morze Śródziemne i ugodził kopią w wmurowany tam słup, jako w najdalszą granicę swojego państwa. Takim sposobem niektórzy z udzielnych panów niemieckich, posiadający

ziemie nad Renem, wjeżdżali konno w rzekę i uderzali w nią kopią³⁾.

Później stał się ten symbol tak powszechnym, iż zaczęto używać go nietylko w znak rzeczywistego wejścia w posiadłość, lecz dla samego popisania się jakąś mniemaną własnością albo zdobyczą. Wtedy każdy pragnął dotknąć się czegoś; ślepy król czeski Jan Luxemburczyk, wojując z Kazmierzem Wielkim, chciał koniecznie dotknąć się kopią murów Krakowa; lada rycerz angielski rozpędzał się ku stolicy francuskiej, i szturknąwszy dzidą o jedną z bram Paryża, miał się czém chwalić na całe życie⁴⁾.

W podobnie symboliczném znaczeniu targano czasem za brodę. Znaczyło to przyjmować kogoś w swoją obronę, i bywało niejednokrotnie w użyciu. Widzimy to w przykładzie króla Wizygotów Alaryka, o którym spółczesne kroniki prawią, że dotknięciem się brody króla Kłodoweusza, adoptował tegoż potężnego monarchę Franków⁵⁾. Jeszcze częściej kazali tacy opiekunowie postrzygać swoich pupilów, o czém bardzo gęste wzmianki w kronikach. Mniejsza atoli łatwość dotykania się czyjejs brody, i usilnie przez duchowieństwo zalecany zwyczaj krótko strzyżonych włosów⁶⁾, ochroniły ten symbol od podobnych nadużyć, jakim uległo uderzanie orężem w bramę.

Nie trudno tedy zmiarkować, że i owa „łaźnia“ Bolesława Chrobrego miała raczej symboliczne niż rzeczywiste znaczenie. Uchodzi ona powszechnie za akt kary cielesnej, a któż zechce wierzyć na prawdę, iż potężny i wielce przykładny król, jak Bolesław, własnoręcznie chłostał poddanych. Ale wpatrzmy się sami w opis téj ceremonii, jak on pierwotnie opiewa u kronikarza⁷⁾.

Czytamy naprzód o wspaniałej uczcie u dworu. Siedzą za stołem król, królowa i dwunastu najznamienitszych magnatów kraju „przyjaciół i doradców“ Bolesławowych, wraz z małżonkami swojemi. Wielka radość w kole godowém. Toczą się różne rozmowy o wypadkach publicznych, zdarza się wzmianka o winowajcach zacnego rodu, którzy dopuścili się czynów niegodnych i zostali za to skazani na śmierć. Przez wzgląd na zasłużonych krajowi przodków, żałuje Bolesław wydanego wyroku, który wspomnieniem swoim za-

sępił radość powszechną. Wtedy odzywa się z przymileniem królowa: Czy chętnie przystałby król, iżby jakiś święty wskrzesił straconych? Bolesław odpowiada łaskawie, a królowa powstaje z miejsca, i wraz z dwunastą „przyjaciółmi i doradcami“ korony, pada do nóg królowi. „Powstrzymałam“ — mówi — „wykonanie wyroku i proszę teraz o życie winowajców, którzy pod ścisłą zostają strażą.“ Bolesław ściska królowę i podniósłszy ją z ziemi, pochwała miłosierny uczynek.

„Zaczem téj saméj chwili“ — ciągnie kronikarz dosłownie dalej ⁸⁾ — „spieszą wysłańcy po winowajców, z rozkazem co rychlejszego powrotu. Królewscy tymczasem biesiadnicy oddają się tém żywszemu weselu, ile że się okazało dowodnie, jak mądrze królowa umie przestrzegać sławy króla i pożytku królestwa, i jak łaskawie król przychyła się do życzeń małżonki i przyjaciół. Ci zaś, po których gońców wysłano, muszą za przybyciem stawić się najpierw nie przed królem, lecz przed królową, od której surowemi i łagodnemi skarceni słowy, bywają prowadzeni do łaźni króla. Tam Bolesław kąpiąc się z nimi, upominał ich jak ojciec własnych synów, a wychwalając pamięć ich przodków, przemawiał do nich: „Wy tak zacnego rodu potomki, nie powinniście byli dopuszczać się takich sprawek!“ Przyczem starszych wiekiem tylko słowami bądźto sam bądź przez innych strofował, u młodszych zaś razy do słów przydawał. A upomniawszy ich po ojcowsku, i królewskiem przyozdobiwszy szaty i darami ich zaszczyciwszy, owszem do wyższego stopnia godności podniósłszy obdarzonych, pozwalał im z radością powrócić do domu.“

Oto pierwotne brzmienie powiastki, która później w tak powszechne weszła przysłowie. Odtrąćmy niektóre przydatki poetyczne, a dostrzeżemy następujących głównych rysów zdarzenia:

Odbywa się wielka uczta u dworu.

Przeznaczeni do łaźniennéj ceremonii młodzieńcy znajdują się pod strażą.

Król ma do nich przemowę w łaźni.

Po kąpeli i przemowie następuje własnoręczne uderzenie przez króla.

Za tém idzie przyodzianie w szaty królewskie i obdarczenie upominkami.

Kończy się obrzęd podniesieniem młodzieńców do wyższego stopnia godności i wesołym powrotem do dom.

Za darowaną im karę śmierci, za łaskawe przebaczenie sprawy gardłowej, są to aż nazbyt hojne zaprawdę przeprosiny. Z całej owszem powiastki widać, iż mniemana chłosta łaźnienna przynosiła więcej chluby niż szkody, była raczej wyszczególnieniem niż karą. Któż nawet wie, czy nie miała ona przypadkowie symbolicznego znaczenia jakiejś czci wyrządzonej, również opacznie zrozumianej przez kronikarza, jak on opacznie wytłumaczył sobie owo uderzenie orężem w bramę, owo dotknięcie brody? Należałoby tylko przekonać się, czy w historyi innych narodów nie słychać o podobnym szczególe obyczajowym, czy też gdzieindziej nie sprawiano także łaźni podobnej?

I rzeczywiście przypomina się nam taka zaszczytna łaźnia wielekroć za granicą. Jestto uroczysta kąpiel, brana niegdyś przez szlachetnych młodzieńców przed pasowaniem rycerskiem. Nie towarzyszyła ona wprawdzie każdemu obrzędowi tego rodzaju, lecz w bardzo wielu wypadkach, osobliwie zaś w pierwszych czasach rycerstwa, poczytywano ją za najpamiętniejszy symbol święcenia rycerskiego. „Kaž Alberyku“ — mówi w dawnym poemacie rycerskim król francuzki do marszałka swojego:

„Kaž Alberyku, w usług twych nagrodę,
Przyrządzić łaźnię i skap w niej synowca,
Chcę go rycerskim przyozdobić pasem.
Kazał więc kąpiel przyrządzić marszałek,
I wsadził w wannę zanego młodzieńca
Na czas niedługi“⁹⁾....

Nie innymto sposobem dostąpili np. zaszczytu rycerskiego książę normandzki Goffred, sycylijski król Ludwik II ¹⁰⁾ i mnodzy niższego rzędu młodzieńcy. Osobliwie w Anglii były takie łaźnie rycerskie od najdawniejszych czasów w zwyczaju. Poprzedzał je i kończył szereg rozmaitych obrzędów i ceremonii, przestrzeganych z największą akuratnością, według osobnych przepisów, które podziśdzień ist-

nieją w archiwach starodawnych ¹¹⁾. U dworu królów angielskich doszło pasowanie po kąpieli solennej do tak wysokiego znaczenia, iż powstał tam osobny zakon rycerzy tego rodzaju, tak zwany zakon i order „Łazienny,” istniejący po dzień dzisiejszy. Król Henryk IV umocował go w XIV wieku nowemi statutami, a początkiem swoim ma on sięgać czasów króla Alfreda W. t. j. o wiele dawniejszych od Bolesława.

Tyle co do kąpieli. Pozostaje wytłumaczyć podobnież znaczenie chłosty. W tym względzie natrąca się samo przez się uderzenie przy pasowaniu rycerskiem. Trzykrotny raz orężem po ramieniu lub plecach, i używany przy takiej okoliczności policzek, tak zwany „policzek rycerski,” „ostatni w życiu rycerza“ ¹²⁾, mogły nieobeznanym z ceremonią prostaczkom wydać się na prawdę karą cielesną. Powtórzyła się cwa fałszywa wersja kopii i brody: obraz wzięto za rzeczywistość. Przypuszczając zaś tak symboliczne znaczenie łaźni i chłosty, tych dwóch głównych rysów zagadkowej ceremonii Bolesławowskiej, postrzegamy całą ceremonię w istocie niczem innem, jak tylko udzieleniem znamienitego zaszczytu, starożytną formą święcenia rycerskiego.

W uderzający téż sposób zgadzają się z takim pojęciem rzeczy wszystkie inne okoliczności aktu naszego, wyszczególnione powyżej. Rozczytajmy się tylko w dawnych opisach uroczystości przyozdobienia pasem rycerskim, zbyt szerokich do powtórzenia tu szczegółowo ¹³⁾, i znanych zresztą w znacznej części z kądinąd, a przekonamy się sami o następujących znamionach dalszej tożsamości obrzędów.

Jak przy każdym pasowaniu rycerskiem tak i w opisie łaźni Bolesławowskiej, czytamy najprzód o wielkiej uczcie dworskiej, towarzyszącej zwyczajnie obrzędowi tego rodzaju, osobliwie w główne święta doroczne, a najosobliwiej w Zielone.

Jak młodzieńcy Bolesławowscy, tak i wszyscy aspiranci do stopnia rycerskiego, przebywali poprzednio pewien rodzaj więzienia ¹⁴⁾, t. j. musieli bądźto w kościele bądź gdzieindziej czuwać noc całą, przygotowując się postem i modlitwą do aktu uroczystego.

Jak młodzieńców Bolesławowskich prowadzono najpierw przed królowę, tak i wszyscy przeznaczeni do pasowania giermkowie, stawali zwyczajnie najprzód przed obliczem królowej i panien dworskich, albo jakichkolwiek dam innych, które z wielką uroczystością stroiły ich do obrzędu.

Jak skąpani już młodzieńcy polscy otrzymywali w upominku „szaty królewskie i różne inne dary,“ tak jednym z głównych warunków przyozdobienia pasem rycerskim — było zaszczytowanie nowego rycerza „darami królewskimi,“ stanowiącemi główne znamię rycerstwa, t. j. pasem, żupanem karmazynowym, łańcuchem, ostrogami złotemi, tarczą herbową.

Jak wreszcie młodzieńcy Bolesławowscy wracali do domu, „z podniesioną do wyższego stopnia godnością,“ tak też każdy z nowych rycerzów dostępował swym pasowaniem najwyższej wówczas godności świeckiej, dającój mu nawet pierwszeństwo przed królem niepasowanym, a zbliżającój go poniekąd do godności kapłaństwa ¹⁵⁾.

Wszystkie tedy okoliczności utwierdzają w domysle, iż sławna łaźnia Chrobrego była symbolem zaszczytu udzielonego. Nie brak owszem innych jeszcze skazówek, przyświadcających podobnemu pojęciu rzeczy. Jedynie takim wytłumaczeniem aktu zagadkowego, tłumaczymy sobie oraz niektóre inne wzmianki kronikarskie o czasach Bolesława Chrobrego, albo niedostatecznie zrozumiałe inaczej, albo nie dość wiarogodne bez związku z innemi wzmiankami pokrewnej treści.

I tak np. mówi tensam Marcin Gallus w inném miejscu swojej kroniki, iż „który z rycerzów nabył sławy i zaszczytów u dworu, ten bywał nazywany „synem królewskim“ — „non miles ille sed regis filius vocabatur“ ¹⁶⁾. Jestto właśnie znany tytuł rycerski *filius armorum* ¹⁷⁾, którym świeżo pasowanych, czyli, jak inaczej jeszcze mówiono, adoptowanych ¹⁸⁾ rycerzów, zaszczycali książęta pasujący czyli adoptujący.

Z innój kroniki, z Długoszowej, dochodzi nas wiadomość, iż w kilkanaście lat po przyjęciu chrześcijaństwa przez Mieczysława, t. j. właśnie za czasów Bolesława Chrobrego, zaprowadziła szlachta polska pobożny zwyczaj wydobywania

oreża przy ewanielii podczas mszy świętej, co miało świadczyć o gotowości do obrony wiary Chrystusa ¹⁹⁾. Owóż było właśnie powszechny zwyczaj starożytnej szwaleryi, o którym jedno z najgruntowniejszych w tej mierze dzieł opowiada: „Dawni rycerze wstawali przy ewanielii, i trzymając wydobyte oreże w rękę, okazywali się gotowymi do ciągłej walki za wiarę“ ²⁰⁾. Upowszechnienie się tego zwyczaju w Polsce Bolesława Chrobrego, jest przeto dalszym dowodem istnienia uorganizowanej za jego czasów szwaleryi.

Tenże sam Długosz donosi nieco później, iż w kilkanaście lat po śmierci Bolesława Chrobrego przyjęła szlachta polska zwyczaj ostrzygania włosów okrągło powyżej uszu, jakoby w pamiątkę mnichostwa Kazimierza Odnowiciela ²¹⁾. Wpatrzmy się jednakże w szczegółowe opisy rycerstwa starożytnego, a postrzeżemy z niemalém zadziwieniem, że i to postrzyganie czupryny należało do głównych obowiązków przykładowego rycerstwa. Chciało ono okazać tém posłuszeństwo dla przepisów kościelnych, zalecających skromność w odzieży i sposobie noszenia włosów, cenionych jeszcze z czasów pogaństwa jako zaszczytna niegdyś oznaka stanu, i z nadzwyczajną przeto wykwinnością pielęgnowanych. Ztąd jak duchowni tak i rycerze wzorowi nosili krótko obcięte włosy, a wyrażenie się „ostrzyżony obyczajem szwaleryi ²²⁾“ użyte np. o jednym z rycerzów króla francuzkiego Ludwika św. miało powszechnie zrozumiałe znaczenie.

Zbierzmyż te pojedyncze wzmianki obyczajowe z czasów Bolesława Chrobrego, i przenieśmy je na jednego z owych skąpanych przezeń młodzieńców, a cóżto za obraz urośnie wtedy z tych rysów? Oto stanie przed nami możny rodowity młodzieniec, który przebył ceremonię łaźni u dworu — który otrzymał wtedy honorowe szaty królewskie — który podczas mszy świętej wyciąga oreż przy ewanielii — który nosi okrągło obcięte włosy — który wreszcie nazywa się „synem królewskim.“ I spytajmyż któregośkolwiek ze znawców starożytnego rycerstwa w Europie, kto jest ten młody wojownik? a usłyszemy: Rycerz według wszelkich przepisów.

Przypuściwszy zaś rzeczywiste istnienie takiej wówczas postaci, odsłaniamy sobie wcale nowy pogląd na epokę Bo-

lesława Chrobrego. Była ona o wiele mniej barbarzyńską i rubaszną niż powszechnie mniemamy. Waleczny i pobożny Bolesław, zaprzyjaźniony z mężami rzadkiej świętobliwości, jakoto z św. Wojciechem, św. Brunonem, św. braćmi pustelnikami — okazuje się zarazem otoczony dworem przykładnego rycerstwa, któremu on przy pasowaniu wykląda obowiązki rycerskie, t. j. obowiązki najwyższych cnót chrześcijańskich, i które też następnie zastosowuje się do nich w miarę możliwości. A bijące ztąd światło tém chlubniej opromienia całą epokę, im rzadszém i mniej spodziewaném było wówczas widowisko podobne. Obyczaje rycerskie zakwitły w całej pełni dopiero nieco później, t. j. w ciągu wypraw krzyżowych. Tak wcześnie onych pojawienie się w Polsce jest o ile ciekawém, o tyle oraz dalekiém od zarzutu anachronizmu. Już bowiem w znacznie dawniejszych czasach, mianowicie od wznowienia godności cesarskiej przez Karola W., dają się postrzegać ślady obyczajów i obrzędów rycerskich. Osobliwie w anglosaskiej i duńskiej Anglii, nie obcej Bolesławowi Chrobremu, gdyż rządzonej długo przez jego szwagra Swena i siostrzeńca Kanuta, miało święcenie rycerskie wielu od dawna zwolenników²³⁾. Sam Bolesław Chrobry otrzymał ten „długo upragniony zaszczyt“ od cesarza Henryka II podczas Świąt Zielonych w Merseburgu, nie wahając się służyć poprzednio Henrykowi w zwyczajnej roli giermka niosącego przed nim miecz do kościoła²⁴⁾.

Posiadłszy tém władzę udzielania rycerstwa własnym giermkom, używał jég nieskapo Wielki Bolesław, i otoczył się świetnym dworem pasowanego rycerstwa, swoich „synów łąziennych.“ Wiadoma jest sława Chrobrego z niezmiernéj liczby gości rycerskich, krajowych i zagranicznych, podejmowanych hojnie u jego dworu, zasiadających codziennie przy czterdziestu stołach królewskich²⁵⁾.

Pod tym względem celowało panowanie Bolesława Chrobrego jedyną w swoim rodzaju chwałą, niezrównaną w żadnej z epok następnych. Nasz o niespełna sto lat późniejszy Marcin Gallus, piszący swoją kronikę na cześć Bolesława Krzywoustego, a témsamém niesклонny wcale do ubliżania jego dworowi, przedstawia swoje czasy jako epokę upadku w porównaniu z wiekiem Chrobrego²⁶⁾.

Bo też niezmierne zmiany zaszły między Chrobrym a Krzywoustym, zmiany w Polsce i w całej reszcie świata. Kilkoletni bezrząd pogański po śmierci syna Chrobrego, zaburzenia domowe pod Bolesławem Śmiałym, wygnanie Bolesława Śmiałego, wojny domowe między Władysławem Hermanem a jego synem Zbigniewem, upadek cesarza Henryka IV i wzniesienie się powszechnej przewagi dworu rzymskiego — to wszystko przekształciło dawną postać kraju i dworu, przyniosło z sobą nowe obrzędy i obyczaje, podało w niepamięć dawne.

Pod wpływem tego przeobrażenia zapomniano także znaczenia łaźni Bolesławowskiej, uderzenia w złotą bramę kijowską, dotknięcia się brody Izaśławowej. Zapomnieli je osobliwie ludzie duchowni, uczeni, powtarzający opowiadania równie nieobeznanych z rzeczą opowiadaczy, a gdy z czasem i w innych krajach zaprzestano używać łaźni przy pasowaniu rycerskiem, stała się ona zgoła niezrozumiałą, przeszła w żartobliwe przysłowie.

Dziś próbując wykazać prawdziwe jój znaczenie, przypominają się nam mimowolnie owe słowa poety:

Co to! Co to!
Inne czasy, inni ludzie!
Mów im prawdę szczerozłotą
A słuchają jak o cudzie!

P R Z Y P I S K I.

- 1) Martini Galli Chronicon ed. Bandtke 1824 p. 46. 100.
- 2) Tamże p. 101.
- 3) J. Grimm, Rechtsalterthümer 1854 p. 68.
- 4) Jadwiga i Jagiełło tom I dopisek V str. 377.
- 5) Grimm, Rechtsalterth. 146 ut Alaricus barbam tangeret Clodovei.
- 6) Collectio Conciliorum XII R. 930 6. R. 1099 nr. 23. Concil Rotho. mag. c. 6. ut nullus homo comam nurit, sed sit tonsus sicut decet Christianum; alioquin a limitibus S. Matris ecclesiae sequestrabitur, nec sacerdos aliquis divinum ei officium faciet ve ejus sepulturae interierit.
- 7) Galli Chron. p. 67.
- 8) Tamże p. 68. Eadem ergo hora pro captivis illis, per mulieris prudenciam vite reservatis, cum equis plurimis mittebatur, et euntibus redeundi terminus ponebatur. Tunc vero leticia multiplex illis residentibus acrescebat, cum regina regis honorem ac regni utilitatem sic sapienter observabat, et rex eam, cum amicorum consilio, de suis petitionibus audiebat. Illi autem, pro quibus missum fuerat, venientes, non statim regi, sed regine, presentabantur; qui ab ea verbis asperis et levibus castigati, ad regis balneum ducebantur, quos rex Bolezlaus, sicut pater filios, secum balneantes corripiebat, eorumque progeniem memorando collaudabat: Vos, inquit, tanta, vos tali prosapia exortos, talia comittere non decebat. Etate quidem provecciores verbis tantum, tam per se, quam per alios, castigabat, in minoribus vero verbera cum verbis adhibebat, sicque paterne commonitos, ac indumentis regalibus adornatos, datis muneribus, collatisque muneribus honoribus, ire domum cum gaudio permittebat.
- 9) Ducange, Glossarium mediae et infimae latinitatis, Parisiis 1733 I. 735.
- 10) Tamże I. 735.
- 11) Tamże I. 736.
- 12) Tamże I. 266. 267.
- 13) Np. w Ducange Glossarium pod wyrazem Miles i w Sainte-Palaye Mémoires sur l'ancienne chevalerie, Paris 1781 tom I. 65—146.
- 14) Galli Chron. 67 sub custodia.
- 15) Sainte-Palaye Mémoires I. 68. 115.
- 16) Galli Chron. 75.
- 17) Ducange Glossar. IV. 734. Sainte-Palaye I. 345. 346.
- 18) Ducange Glossar. IV. 734. I. 150.
- 19) Długosz Histor. II. 105. Podobnież jeszcze wcześni: Komentarz przy kronice Kadłubka, w załączeniu do II tomu Długosza

- str. 643. *Lechitae olim ob zelum in Deum et verbum Christi. extrahebant gladios dum evangelium legebatur.*
- 20) *Sainte-Palaye Mémoires I. 74. 128.*
- 21) *Długosz Histor. III. 211. caesariem capitis et comam barbaro more non nutries. A jeszcze wcześniej i jeszcze charakterystyczniej: Vita S. Stanisłai przy Gallusa Chron. wyd. Bandtk. stri 335, indictum Polonis ut in tonsura rotunda confirmarent se moribus religiosorum.*
- 22) *Sainte-Palaye I. 290. 345. roigné à guise de chevalerie.*
- 23) Cała historia Anglii za czasów saskich, przed i po Alfredzie W. w IX wieku, pełna jest przykładów uroczystego święcenia i przypisywania oręży.
- 24) *Thietmari Chron. w Pertza. Monum. Germ. hist. III. 833.*
- 25) *Chron. Galli p. 71.*
- 26) Tamże p. 53. porównanie czasów Chrobrego i Krzywoustego pod względem liczby rycerstwa, p. 64. pod względem bogactw.

Artykuł niniejszy był drukowany najpierw w Bibliotece Warszawskiej na r. 1856. Tuż przed powtórzeniem go w zbiorze obecnym doszedł autora list bezimienny, oznaczony stemplem poczty rosyjskiej w Hussiatynie, zawierający co następuje.

W roku zeszłym p. Barteniew wydał listy Cara Aleksieja Michajłowicza (*Sobranie Pisem etc. Moskwa 1856*). Są one ważnym materiałem do Historii oświaty Rosyi w XVII wieku, ale ani dziejów, ani piśmiennictwa polskiego nie obchodzą do tyła, ażebym je publiczności podawał w treści i podrobnie rozbieżał. Inny mam powód wzmiankując o nich, jeden szczegół zapisany w listach Cara Aleksieja do biegaczej rozprawy, zagajonej przez p. Karola Szajnochę, rzuca nową zagadkę, która potrzebuje rozwiązania.

P. Karol Szajnocha w ostatnim swoim szkicu, O łaźniach Boleśławowych, (*Bibl. Warsz. Grudzień 1856*) przeinaczając dotychczasowe o nich rozumienie, z powziętej myśli wywiódł się dowodnie i wnioski wsparł świadectwami przeciwko powadze których nic do zarzucenia nie mam. Objawię tylko jedynie jako wątpliwość, czy p. K. Szajnocha poglądem swoim skierowany wszystek na daleki zachód, po za granice słowiańskich posad, nie zabaczył czegoś bliższego w badaniach o sprawianiu łaźni.

Pół ósma wieka dzieli Chrobrego od Cara Aleksieja, ostatniego przedstawiciela starego porządku w Rosyi, który syn jego Piotr W. do nowego nagiął obyczaju i stworzył niejako państwo nowe. Sam czas przygotował reformę, a poparta jeszcze silną ręką, szybko i ledwie niedoraznie dospiała. Na jednym tronie, rzec można, Syn i Ojciec dwoma różnemi rządzili narody.

Schyłek XVII wieku, a mianowicie panowanie Cara Aleksieja przedstawia w Rossyi ciekawy obraz usiłowań rozerwanych i dążności sprzecznych bez obmyślanego celu i planu do odmian: jednym nie dogadzała staroświecczyzna, kiedy przeciwnie drudzy nie zdając sobie również z tego sprawy, radziby byli na zawsze ją zachować. Ten przełom wszystkie pamiętniki tamtoczesne jeszcze bardziej czyni zajmującymi, a w ich liczbie niepoślednie trzymają miejsce listy Cara Aleksieja. Jakkolwiek może być trudnem studiowanie każdej podobnej Epoki przechodowej, łatwo w niej jednak wyróżnić obyczaj miejscowy od przybyśzowego tém bardziej, jeżeli mamy daną tak niedaleką przeszłość, o przeminionych niespełna lat dwieście.

Nie myślę bynajmniej podjąć na siebie téj pracy, zdało mi się tylko zmówić powyższych słów kilka dla postawienia w prawdziwem świetle właśnie tego szczegółu, o którym nadmienilem. W jednym z poufnych listów do ulubieńca swego Afanasia Matiuszkinsa Car Aleksiej pisze w te słowa.

„Zawiadamiam ciebie, że się tém rozrywam, że stołników bezprzestannie kąpię co rana w stawie Jordan (przerębl) dobra zrobiona — Człowieka po cztery — i po pięci i po dwunastu człowieka za to: kto niepospieje do mojego przeglądu, tak tegoć kąpię, a po kompaniu daruję. Wołam (zapraszam) ich co dnia u mnie kąpiel niech ci jedzą w bród, a drudzy powiadają: my zaś umyślnie niepośpiejem, tak zasię i nas wykapia, tak i za stoł posadzą—wielu umyślnie nie pośpiewają.“ („Izwiieszczaiu tebe szto tem utieszaiu sia, szto Stołnikow bez prestani kupaiu ežeutr w prudzie Jordan chorosza zdiełana, czełowieka po czetyry i po piati i po dwienadcati czełowiek za to: kto nie pospieiet k mojemu Smotru, tak toho i kupaiu da posle kupania żałuui, zowu ich ežeđen, u menia kupalszczyki, die iadziat w dowol—a innie howoriat, my de narokom ne pospieiem, tak de i nas wykupaiut da i za stoł posadziat, mnohie narokom nepospiewaiut.“)

Dziwnym trafem spotykają się w jakiémcis rodowem pokrewieństwie gorące łaźnie Chrobrego z zimnemi kąpielami Cara Aleksieja. Czyżby i te miały zawitać z zachodu? mógłbym zaręczyć, że tak nie jest, ale się nie obieram za sędziego w téj sprawie, poprzestanę na zestawieniu jednych przy drugich, a rozstrzygnie o nich najlepiej sam p. Karol Szajnocha. W rozumieniu symboliczném staréj łaźni, nowy ten szczegół o kąpieli zawadza i bruździ, a nadto osłabia dowody pana K. Szajnochy nawodząc myśli wątpliwość czy w ich prawdzie do rzeczywistości nie przybłąkało się trocha złudzenia.

Dziękując nieznanemu korespondentowi za tę nieobojetną wiadomość, odpowiadam mu całkowitém umieszczeniem jéj tutaj. Co do mojego własnego zdania w téj mierze, jestem w podejrzaném położeniu autora, który wpadłszy na pewien domysł trafny lub mylny, mniema

widzieć we wszystkim utwierdzenie swojego wniosku. Sądzę w istocie, iż nawet w razie niewątpliwego powinowactwa między łaźnią Bolesławowską a kąpielą Alexejową — do takiej przecież wątpliwości wystarczają przytoczone słowa listu carskiego? — nie upada podane przezemnie tłumaczenie ceremonii Piastowskiej. Jest pewien sposób pogodzenia wzmianki bezimiennego korespondenta z twierdzeniem mojego artykułu o tożsamości znaczenia łaźni polskiej i rycerskiej kąpeli na zachodzie. Ta rycerska uroczystość zachodnia, jakkolwiek w bardzo wielu krajach tamecznych obchodzona, okazuje się głównie u takich ludów zachodnich w używaniu, które pod względem pierwotnych obyczajów w niezaprzeczo-
nym z Rosją zostają związku, t. j. u ludów normańskich czyli waregskich. Szukając starożytnych śladów rycerskiej kąpeli na zachodzie, znajdujemy ją głównie w Anglii, Normandyi francuzkiej i Włoszech południowych, a te wszystkie kraje były od wieku X i XI łupem zdobywców normanskich, którzy przyjąwszy tam chrześcijaństwo, i uświęciwszy niém swoje staro-
dawne obyczaje rycerskie, w wiadomy historykom sposób pomiesza-
li z sobą niektóre obrzędy wiary nowej i dawniej. Jak wielkie zaś znaczenie miała w północnej praojczyźnie Normanów kąpiel, jak uroczyste obcho-
dzono tam pewne obrzędy kąpielowe, widać to z częstych wzmianek o ką-
peli w sagach północnych, z wielu nazw miejscowych jak Snorra laugh
czyli Łaźnia Snorrowsa, z powszechniej w pogaństwie normańskiem cere-
monii zlewania wodą w znak adopcji dzieci przez ojca, osobiście zaś
z owych słów kronikarza o starożytnych Prusakach, tych wraz z Rusią,
Żmudzią i Litwą najbliższych pod względem obyczajowym pobratymcach
normańskich, czyli jak ich nasz Kadłubek nazywa Getach, t. j. właśnie
Goetar (Ihre Glossarium svio-gothicum I. 709), z łacińska Getae czyli po-
łudniowo-szwedzkich Normanach. „Niektórzy z nich“, — mówi w XIII
wieku Dusburg ks. III. rozdz. 5, — „kąpią się codziennie z uszanowania
dla swoich bogów, aliqui omni die balneis utebantur ob reverentiam deo-
rum suorum“ — a co w pogaństwie czyniono ob reverentiam deorum, tu
u ochrzczonych Normanów powtarzało się na cześć rycerskości chrześcijań-
skiej, w najbardziej zaś normanskim ze wszystkich państw nowoczesnych,
w Anglii, utrwaliło się w istniejącym podziśdziej orderze łaźni. Mógł
więc starożytny obrzęd kąpeli normańskiej dostać się jednocześnie z nor-
mańskimi Waregami na Ruś i przetrwać tam do czasów Alexejowych —
a z innymi Normany rozszerzyć się po opanowanej od nich Europie zacho-
dniej, i przejść ztamtąd wraz z rycerstwem normańskiem do Polski, bez
przypuszczania bezpośredniego związku między zimną kąpielą ruską a go-
rącą łaźnią Chrobrego. Czy jednakże w Polsce pierwotnej, t. j. za naj-
pierwszych Piastów i wcześnziej, nie było żywiołów tejsamej narodowości
i tych samych obyczajów co w Rusi normańskiej i w normańskich krajach
zachodu — i czy tém samém pewien bezpośredniejszy węzeł nie łączył do-
tyczających obrzędów Bolesława i Alexeja — o tém zachowujemy sobie
wzmiankę w inném, ukończoném już piśmie.

NASTANIE SZLACHTY I HERBÓW
W POLSCE.

I.

Szlachta tyle co ród, rodowitość.

Szlachta i herby przyszły do nas od Czechów, a Czesi wzięli je od starożytnych Germanów.

Z Germanii przybyły one do Czech w czasie przyjęcia chrześcijaństwa przez Czechów od Germanów, a z Czech do Polski w czasie przyjęcia chrześcijaństwa przez Polaków od Czechów.

Nim obaczmy jak się to stało, obaczmy najprzód pierwotne znaczenie wyrazu *szlachta*.

Jestto starodawny rzeczownik z niemieckiego pierwiastku *schlagen*, niegdyś *slahen*, w najdawniejszej starożytności *slachan*, mającego znaczenie *uderzyć* albo *rodzić*. Mówi się jeszcze dzisiaj: *die Bäume schlagen aus*, drzewa puszczają listki; *aus der Art schlagen*, wyrodzić się; *von gutem Schlag*, dobrego rodu albo gatunku. Utworzony z tego słowa rzeczownik *Slahta*, inaczej *Slachta*, w dawnym narzeczu niższo-niemieckim *Schlachta*, w dzisiejszej niemczyźnie przekształcony w *Geschlecht*, znaczył tyle co *ród* albo *rodzaj* po łacinie *genus*, *familia* albo *cognatio*.

Ku tém większej oczywistości, przytoczymy kilka przykładów: *Servorum genus*, *Scalk slahta*, ród niewolników. *Vestri generis iuuuera slahta*, waszego rodu ¹⁾. *Abrahamis slahta*, ród Abrahama. *Judor slahta*, pokolenie Judy ²⁾. *Manniger slahte*, varii generis, różnego rodu ³⁾. *Goter slahte*, dobrego rodu ⁴⁾.

Albo w psalmie 73-m wiersz 8: *Dixerunt in corde suo cognatio eorum inter se... Chaden in iro herzen diu slahta*

ze *inanderen* ⁵⁾ (według Wujka): Mówili w sercu swoim *rodzaj* ich pospołu, albo (według edycyi Szarffenbergera 1577): Rzekli w sercu swem *rodzina* ich społu.

Mamy tedy rzeczownik *Slahta*, *Slachta*, *Schlachta*, w polskiem podobnieŜ Szlachta lub Ślachta, ale nie masz jeszcze znaczenia *Szlachetności*, *nobilitas*.

W tém ostatniém znaczeniu używali i używają Germani podziśdzień wyrazów *Adel*, *edel* właściwie *aedel*.

Obeznajmy się jednakŜe dokładniêj z tym wyrazem, a przekonamy się, Ŝe i w nim takŜe zawiera się pojęcie *rodu*.

Zgadzaą się na to wszyscy staroŜytnicy niemieccy.

Zdarzały się wprawdzie przykłady wyprowadzania wyrazu *adel* od słowa *od*, *uodal*, *praedium*, posiadłość ziemska; lecz mniemanie to okazało się przywidzeniem, nie mającém głosu w nauce, acz niebezpiecznêm dla filologów słowiańskich. ⁶⁾

Głębsi badacze dawniejszych i nowszych czasów przyjęli za rzecz udowodnioną, iŝ *adel*, *edet*, niekiedy *aethel*, pochodzi od starogermańskiego wyrazu *aett*, ród, *genus*, *prosapia* i znaczy podobnieŜ ród, pokolenie, familią, *genus*, *cognatio* ⁷⁾.

U autorów dawniejszych znajduą się na to przykłady w staroŜytnych przekładach i formułach, używających wyrazów *edel*, *edhili*, *aedlum*, zamiast *gens*, *cognatio*, albo „rodem z miejsca pewnego.“ Oto kilka:

In carne generis ejus... in sines *edhiles fleische*... w ciele rodu swojego. Ex genere Judae... *fona Judases edhile*., z pokolenia Judy. Demonstramus nunc genus et patriam ejus... *chichundimes auh nu dhes edhili endi odhil* (gdzie *edhil* genus, i *odhil* ziemia, są wyraźnie przeciwstawione sobie)... Okażmy teraz ród i ojczyznę jego ⁸⁾. Ostrogothus *prosapia*... *Oestgoetskoer at aedlum*... rodem z Ostrogotyi. Gente Anglus... *Aengskoer at aedlum*... rodem Anglik. Gente Danum... *Danskan at aedlum*... rodem Duńczyk ⁹⁾.

Najnowszy zaś badacz Grimm, wskrzesiciel staroŜytniej filologii germańskiej, autor sławnego dzieła o prawniczych staroŜytnościach niemieckich, rozpoczyna rozdział o szlachcie prostemi słowy.

„*Adal, adel,* znaczy *genus, prosapiu*, z przydatkowym pojęciem *nobilitas*“¹⁰⁾.

Mają zatem oba wyrazy *slahtha* i *adel* właściwie toż samo znaczenie rodu, rodziny, pokolenia, z jedyną różnicą owego pojęcia przydatkowego.

To jest: ród jakikolwiek, ród pospolity, ród w ogóle, zwał się u starożytnego germaństwa *slahtha*; ród szlachezny, ród poszczególny, ród wyłącznie „urodzonych“ zwany był *adel*.

Możemy nawet wskazać przyczynę tego.

Pochodząc bowiem od słowa *slahan*, dziś *schlagen*, mającego podwójne znaczenie rodzić i bić, miał wyraz *slahtha* podobnież dwojakie znaczenie rodu i bitwy (niegdyś także mordu, zabójstwa)¹¹⁾.

Dla uniknięcia téj dwuznaczności nadał wydoskonalający się język tym obudwom znaczeniom formę odmienną: znaczeniu bitwy pozostawił pierwotną formę *slahtha*, dziś *schlacht*; znaczeniu rodu (w ogóle) przybył zwyczajny przyrostek *ge*, z czego zrobiło się *geschlecht*, niegdyś *geschlacht*¹²⁾.

Szanowne zaś pojęcie rodu zacnego, szlacheznego, ku tem staranniejszemu oddaleniu go od wszelkiej dwuznaczności, odróżnił język owym drugim wyrazem *adel*.

Zresztą mają oba wyrazy *slahtha* i *adel* tak dalece toż samo znaczenie rodu, iż (jak powyżej widziano) tłumacząc jedno i toż samo wyrażenie łacińskie *ex tribu Judae* albo *ex genere Judae*, mówiono w starożytnym języku germańskim raz *Judor slahtha*, drugi raz *Judases edhile*.

Ponieważ zaś wyraz *adel*, równoznaczny wyrazowi *slahtha*, jest oraz równoznacznym naszemu słowu „szlachta“ czyli „szlachectwo“, przeto jawną jest rzeczą, iż tenże polski wyraz „szlachta“ inaczej „ślachta“ i ów niemiecki *slachtha*, inaczej *schlachtha*, jako tegoż samego i znaczenia i brzmienia, są jednym i tym samym wyrazem.

Pozostawałaby chyba wątpliwość, kto od kogo, czy Słowianie od Niemców, czy też Niemcy od Słowian przyśwoili sobie ten wyraz?

W téj atoli mierze nie masz wątpliwości na seryo.

Kiedy bowiem Słowianie dla okazania słowiańskiej ko-

lebki wyrazu „Szlachta,“ muszą uciekać się do wcale zagadkowych pierwiastków *lech*, *lecha*, grzęda; język germański przedstawia swoją *Slahte*, jako jedną z tysiąca różnych form pierwiastku *Slahan* dziś *Schlagen*, zapełniających sobą znaczną część słownika niemieckiego.

Słowianie następnie dla zabezpieczenia kłopotliwemu pytaniu: z kąd tak uderzające podobieństwo wyrazów *slachta* i *ślachta*, widzą się zmuszeni do przypuszczenia, iż Niemcy swoją *szlachtę* przywłaszczyli sobie od Słowian, co ze względu na zupełny brak innych pochodnych wyrazów od słowiańskiego pierwiastku *lecha*, a niezmierne rozrozdzenie się germańskiego pierwiastku *slahen*, jest prostą niedorzecznością.

Po trzecie. Przytoczone wyżej przykłady używania wyrazu *slachta* przez Niemców, pochodzą w większej części z najdawniejszych czasów piśmienności niemieckiej t. j. z wieków IX i X, a polski i czeski wyraz „szlachta,“ jak to najgorliwsi obrońcy jego słowiańskości przyznają „dopiero później zaczął być znany Słowianom“¹³).

Znają go w końcu jedynie ci Słowianie, którzy bezpośrednio stykają się z Niemcami, u Germanów zaś jest on po wszystkich narzeczach, i w przeróżnych rozgałęziony znaczeniach.

Owszem, im bliżej który z używających go ludów słowiańskich sąsiaduje z Niemcami, tém szerzej w sposób niemiecki rozkrzewił on się u niego.

I tak, kiedy w dalszej od Niemców Polsce, wyraz „szlachta“ ma jedynie słowiańskie znaczenie panującej klasy narodu, w bliższych Niemcom Czechach, miał on nadto niemieckie znaczenie rodu *jakiegokolwiek*, nawet gatunku.

Oto przykłady: „Rzekł Dariusz: każdy z was zna swoją *szlachtę* (swój ród)! Nie masz tak twardój przygody z kórejby się nie potrafił wydobyć každy, kto pomny jest swojej *szlachty* (rodu swojego)“. Albo: „zióło tego pokolenia czyli téj *szlachty*“¹⁴).

Da się nawet unaocznic stopniowa kolój przeistaczania się wyrazu *szlachta* w drodze z Niemiec do Polski.

W Niemczech znaczył on ród i bitwę, a przyjąwszy później jako ród formę *Ge-schlecht*, pozostał jedynie w znaczeniu bitwy.

W Czechach upowszechnił się on w niemieckiem znaczeniu rodu w ogóle, a przybrał nadto słowiańskie znaczenie rodu zacnego, rodowitości.

Do Polski dostał się on jedynie jako ród zacnych, „urodzonych.“

Zaczém już z samych dowodów filologicznych można zawiązać, iż nasz wyraz szlachta jest wyrazem germańskim, i że przez Czechy przyszedł do Polski.

Ale nie o filologią tu chodzi.

Rozprawa niniejsza ma zamiar historyczny.

Okazemy więc z dziejów, dlaczego i jakim sposobem niemiecki wyraz *slachta*, nabył u nas tak wielkiej wagi.

II.

Rodowitość przychodzi z chrześcijaństwem.

Niepotrzeba długo dowodzić, iż główną zasadą szlachectwa jest właśnie to, co się zawiera w niemieckim wyrazie *slachta*, t. j. ród. rodowitość.

Powtarza się takie pojęcie *rodowitości* w nazwach szlachty u wszystkich innych narodów.

Słowa łacińskie *generosus*, *gentilis*, francuzkie *gentil-homme*, angielski *gentry*, hiszpańskie *hydalgo*, niemieckie *adel*, wszystkie mają znaczenie *gens*, *genus*, ród, pochodzenie rodowe.

Wszelka *szlachta* gdziekolwiek, była tylko zbiorem rodów uprzywilejowanych.

Cóż zaś stanowiło istotną spójnię rodu każdego? Własność, posiadłość. Ztąd *possessyonat* znaczył zwykle tyle co *szlachcic*.

Czém objawiało się najwyraźniej należenie do rodu? Prawem brania w nim spadku, sukcesyi.

Co było głównym przywilejem rodowitości szlacheckiej? Dziedziczość. Ztąd dziedzic zwyczajnie tyle co *pan*, co *szlachcic*.

Odbierzmy rodzinie własność, członkom rodu prawo dziedzictwa, całemu rodowi przywilój dziedziczości, a mimo

wszelką miłość rodzinną, rozerwie się związek rodzinny, rozejdą się bracia po świecie, zapomną o sobie krewni, zginie dawne znaczenie rodu.

Służby własności i dziedzictwu tak wielka waga w czasach obecnych, a służyła jeszcze większa w dawniejszych.

Im dalej bowiem sięgniemy w przeszłość, tém rzadszym i kosztowniejszym okazuje się przywilej własności dziedzicznej, dziedziczności.

Cofając się po śladach dokumentów prawnych w najgłębszą odległość naszych dziejów, znajdujemy ostatniemi dokumentami polskimi nadania *jure haereditario* czyli prawem dziedzicznym, udzielane w znak osobliwszej łaski, a stawiące nam dowód, iż przed nimi nie było (powszechnego) prawa dziedzictwa.

Nad te najdawniejsze zabytki ustawodawcze nie masz u nas starszych śladów pisemnych, a chcąc sobie w tej mierze zrobić wyobrażenie jeszcze dalszej przeszłości, należy uciec się do dokumentów pośrednich.

Są nimi dokumenty ludów sąsiednich, odnoszące się do takiej samej przemiany społeczeństwa, jaka i u nas zaszła przed owemi nadaniami *jure haereditario*.

Tą wielką zmianą społeczną było zaprowadzenie religii chrześcijańskiej.

Nie ograniczając się bynajmniej na zaniechaniu dawnych obrzędów bałwochwalczych, pociągnęło ono za sobą daleko zupełniejsze przeobrażenie *wszystkich* stosunków społecznych, niż nas zwyczajnie uczy historia tego wypadku.

W Polsce nie dochowały się żadne dokumentowe ślady z czasów przyjęcia chrześcijaństwa, a tém samym żadne wzmianki o społecznej wówczas reformie; lecz u wszystkich ludów sąsiednich, mianowicie w Węgrzech, w Prusach i w Litwie pozostał szereg najciekawszych dokumentów z tej pory.

Szukając w nich skazówek do wyjaśnienia sobie kwestyi własności i dziedziczności, znajdziemy arcyważne ustępy, zostające w uderzającym związku z naszymi dokumentami *jure haereditario*.

Te najstarsze z prawnych zabytków polskich obdają prawem dziedzictwa coraz większą liczbę osób poje-

dyńcych, które go dotąd jeszcze nie miały, a owe chrzestne dokumenty sąsiednie, darzą niém ryczałtowo całą klasę możniejszą, zawierając niekiedy wyraźną wzmiankę, iż przed aktem obecnym, to jest w czasach pogaństwa, nie było tego prawa w rozleglejszém znaczeniu słowa.

Można więc przyjąć za pewne, że podobnież i w Polsce, jak w XII i XIII wieku dla osób pojedynczych, tak za czasów pogaństwa dla całej społeczności, nie istniała dziedziczność w właściwém słowa znaczeniu.

Z tego względu są te dokumenta sąsiednie poniekąd dokumentami *naszemi*, i słuszną obeznać się z niemi dokładniej.

Zaczynając tedy od Węgier, czytamy w pamiętnych rozporządzeniach św. Szczepana na korzyść nowych chrześcijan, co następuje: „Ustanowiliśmy naszą mocą królewską, aby każdy miał prawo dzielić swoją posiadłość, dać ją żonie, synom, córkom, krewnym (*parentibus*) lub kościołowi; po jego zaś śmierci niewolno nikomu niweczyć tego¹⁵).

W Litwie otrzymało bojarstwo u chrzcielnicy zapewnienie różnych swobód chrześcijańskich, pomiędzy którymi wymienia król na czele łaskę następującą: „Każden bojarzyn przyjmując religię chrześcijańską, będzie miał zupełne prawo posiadać, dzierżyć, sprzedawać, alienować, mieniać, dawać, darować i na jakikolwiek wolny i nieprzymuszony użytek, według upodobania, obracać wszelkie zamki, dobra, wsie, domy, tudzież wszystko co posiada po ojcu, używając przytém podobnych praw, jakie służą reszcie szlachty korony polskiej.“ W nieco późniejszym zaś dokumencie dodano: „Po śmierci ojca, niewolno nikomu wyzuwać dzieci z posiadłości dziedzicznych; mają one owszem posiadać takowe wraz z sukcesorami swoimi na sposób panów i szlachty korony polskiej¹⁶).“

Podobnąż kartę swobód nadał legat papieżki w roku 1249 nowo nawróconym Prusakom. Udzielono im w nięj przywileju dziedzictwa, opisano sposób przechodzenia spadków na dalszych krewnych, a w końcu dołożono: „Łaskę tę przyjęli neofici z wdzięcznością, gdyż w pogaństwie spadał majątek na samych tylko synów¹⁷).“

Oto właśnie główna podstawa dziedziczności pogańskiej.

Dziedzictwo przechodzi tylko na synów. W braku tychże staje się ono *puścizną*, zabieraną przez księcia.

Do tego zwyczaju konfiskaty odnoszą się owe słowa ustawy św. Szczepana: „*niewolno będzie nikomu niweczyć tego*,” odnoszą się podobnie słowa w dokumencie dla Litwy: *niewolno będzie wyzuwać dzieci z posiadłości ojczystych*,” odnosi się także zastrzeżenie w dalszym ciągu dokumentu pruskiego, odnoszą się wreszcie tysiączne wzmianki starożytnego prawodawstwa polskiego, o zajmowanych przez księcia puściznach.

Dalsi krewni nie mieli w pogaństwie żadnego prawa do dóbr rodzinnych, czyli, właściwie mówiąc, w pogaństwie nie było dalszych krewnych. Cała rodzina pogańska składała się z ojca i synów¹⁸⁾.

W ostatnim rezultacie: pogaństwo nie znało ani rodziny ani dziedziczności w późniejszym znaczeniu słowa.

Jedynie taki stan rzeczy okazuje się zgodnym z treścią najdawniejszych podań dokumentowych, a wszelkie zdania przeciwne, mianowicie owe marzenia o jakiejś szerokiej społeczności familijnej w naszym pogaństwie, są złudzeniem optycznym, ściągają się bowiem właściwie do czasów późniejszych, chrześcijańskich.

I nie dziwić się temu ograniczeniu własności i życia rodzinnego w pogaństwie. Niedostawało mu pewnego nader ważnego uświęcenia, które samo jedno ściętnia i utrwała stosunki familijne, małżeństwa chrześcijańskiego.

Wieloleństwo pogańskie, nadaremnie zaprzeczane przez apologetów pogaństwa¹⁹⁾, utrzymywało węzły rodzinne w niepodobnym do uporządkowania zamęcie.

Upewnieni o tym szeregiem różnorodnych świadectw społecznych, czytając zgodne w tej mierze podania listów papieżskich²⁰⁾, kronikarzy krajowych²¹⁾, apostołujących pomiędzy poganami księży chrześcijańskich²²⁾, nie możemy zapomnieć, mianowicie jaskrawego obrazu najdawniejszej kroniki czeskiej.

Nie unosząc się bynajmniej moralną zniewagą przeciwko obyczajom pogańskim, owszem upatrując w nich pewną cechę złotego wieku, opowiada znany czeski kronikarz Kozmas, iż nie tylko w czasach pogaństwa panowała u jego

ziomków „wspólność związków małżeńskich“²³), lecz nawet długo po wprowadzeniu religii chrześcijańskiej, jeszcze około roku 1002, „wolno było każdemu według upodobania mieć po dwie i trzy żony; ani ubliżało w czémkolwiek cnocie, jeśli kto porwał cudzą małżonkę, lub jeśli czyjaś żona poszła żyć z cudzym mężem. I było owszem wielką hańbą dla męża przestawać na jednej żonie, i podobnie wstydem dla żony mieć tylko jednego męża.“

Jeszcze starszy zaś autor żywota św. Wojciecha mówi wyraźnie: „Dla kilku małżonek jednego męża byli krewni w kazirodnych ze sobą związkach“²⁴).

Taki stan rzeczy nie dopuszczał wyróżniania pojedynczych rodów w narodzie, a brak dziedziczności majątków nie pobudzał do zmiany stanu.

Dwie wzajemnie oddziaływające na siebie okoliczności: wątrość związków małżeńskich i ograniczenie dziedzictwa, broniły rodzinie rozramienić się w szerokie koło prawnie ustalonych stosunków pokrewieństwa, a majątkowi utrwalić się dziedzicznością w rodzinie. Zaledwie od ojca do synów dała się wykazać czysta krew pochodzenia, i przechodziło dziedzictwo. Poza synami panowała zamieszka „spólnych małżeństw“ i konfiskata.

Dopiero chrześcijaństwo zniosło tę zamieszkę i konfiskatę.

Skutkiem niesłuchanie wytrwałej walki z narowem małżeńskiej wspólności pogan, skutkiem owęj zaledwie dziś rozumiałej surowości w zabranianiu małżeństw pomiędzy najdalszemi stopniami powinowactwa, powiodło się chrześcijaństwu wyklarować nareszcie stosunki pokrewieństwa, a jednocześnie spłynęły na nowych chrześcijan, z daru spółapostołującej władzy książęcej, pewne swobody i przywileje chrześcijańskie, pomiędzy któremi pierwszy — dziedziczność.

Zaczęły nastawać szeroko rozgałęzione rody chrześcijańskie z przyznanem sobie dziedzictwem chrześcijańskim.

Były to rzeczy nowe i potrzebowały nowych nazwań.

Nazwy te wzięto z téj samej ręki, z kąd zostało wzięte i chrześcijaństwo, t. j. w Polsce od Czechów, w Czechach od Niemców.

Według języka tych wspólnych apostołów czeskiego i pol-

skiego pogaństwa otrzymały nowe *dziedzictwa* germańską nazwę *erb* czyli *herb*, a nowe rody, mające taką własność dziedziczną, nazwanie *szlachty*, t. j. właśnie rodu, rodziny.

Kto nie miał żadnego dziedzictwa do pozostawienia rodzinie albo odziorzenia po krewnych, temu i za chrześcijaństwa niepotrzebna była rodzina, ten nie należał do żadnej „szlachty“.

Erb, *Herb*, dziedzictwo, któreby ktoś albo rzeczywiście posiadał, albo do którego przynajmniej rodem swoim miał prawo, stanowiło główny warunek szlachty, szlachectwa.

Zastanowimy się teraz nad tym głównym warunkiem.

III.

Herb tyle co erb, dziedzictwo.

Natrącają się przed wszystkiem dwie wątpliwości: 1) czy *erb* a *herb*, mimo różnego brzmienia pierwszej głoski, jest w istocie toż samo? i 2) dla czego wyraz niemiecki *erb*, oznaczający dziedzictwo, zmienił znaczenie swoje w polskim wyrazie *herb*, oznaczającym pewne znamię na tarczy?

Co do pierwszego, wiadomo, iż jak jeszcze podziś dzień, tak zwłaszcza w średnich wiekach mówiono na początku *e* albo *he*: *ereditas* i *hereditas*, arfa i harfa, ołd i hołd, orda i horda, ussarz i husarz i t. p.

Równie i *erb* brzmiało niekiedy *herb*. Oto kilka przykładów z starożytnych aktów i rękopismów niemieckich: *afdir herbo prohaeres* ²⁵⁾, dziedzic drugiego stopnia; *herbi*, pewien rodzaj posiadłości dziedzicznych ²⁶⁾; albo w kazaniu z XII-go stulecia: wrócił wygnaniec do swojego dziedzictwa, *ist der ellinde mennisge widir chomin zuo sineme herbe* ²⁷⁾.

Stosownie do takiej tożsamości przyjęli niektórzy Sło-

wianie, mianowicie Czesi, zwykłą formę *erb*; inni zaś, jak Polacy i Serbowie łużyccy, dawniejszą formę *herb*.

U tych ostatnich zachowały się podziśdzień słowa *herba*, *herbnuszc*, *herbwański*, w znaczeniu: dziedzic, dziedzictwo i dziedziczny.

Niemniej łatwą do zrozumienia jest przemiana wyrazu *erb* jako dziedzictwo w wyraz *herb* jako znamię na tarczy.

Każdemu aktowi urzędowemu, nadaniu każdej ła-ski, towarzyszył w średnich wiekach pewien znak symboliczny.

W podobnie obrazowy sposób udzielano także prawa dziedzictwa.

Było ono w każdym razie rodzajem wyzwolenia, i nie potrzeba długo tłumaczyć, iż człowiek posiadający pewną własność dożywotnie, z ramienia kogoś trzeciego, a człowiek posiadający ją prawem nieograniczonego dziedzictwa, mają się do siebie jak człowiek niewolny do wyzwolenia.

Odwiecznem zaś godłem samowładności była u narodów europejskich tarcza.

Ktokolwiek bez zupełnej władzy nad sobą zostawał pod czyjąś opieką albo obroną, ten zostawał „pod jego tarczą“, *sub scuto nostrae potestatis*, jak mawiali książęta o ludziach niewolnych lub nieosiadłych, jak powiedzieć mógł mąż o żonie, ojciec o dzieciach i t. p.

Ztąd jak przy wyzwoleniu syna u starożytnych Germanów ²⁸⁾, tak i przy wyzwoleniu rodu całego przez obdarzenie go prawem samowładnego dziedzictwa, była dawana tarcza, aby wyzwoleni odtąd sami za jej pomocą byli sobie obroną i opieką.

Podobnie i pasowanie rycerskie poczytywano głównie za uroczystość udzielenia błogosławieństwa i tarczy, zkad też zwykle mówiono: „pasować kogoś“ albo tylko: „dać mu błogosławieństwo i tarczę“ ²⁹⁾.

Już więc sama tarcza bez żadnego na sobie znaku, była dostatecznem godłem szlachectwa, i zdarza się z tej przyczyny, iż przy wielu starożytnych dokumentach wiszą

pieczęcie szlacheckie, przedstawiające samą tarczę bez żadnego *herbu* w dzisiejszem znaczeniu słowa.

Zwyczajnie jednakże potrzebowała tarcza osobnego jeszcze znamienia, gdyż będąc znakiem samowładnej dziedziczości pewnego kawałka ziemi, miała ona zarazem odznaczać wszystkich członków *rodu* jednego, i to nie tylko jako ludzi wolnych i samowładnych w ogóle, lecz nadto jako prawnych spadkobierców tegoż poszczególnego kawałka ziemi.

Pod tym względem ogólne wyrażenie się „mieć tarczę“ znaczyło „być szlachcicem“, poszczególne zaś wyrażenie „mieć jedną i tę samą tarczę z kimś trzecim“ użyte np. przez naszego Marcina Galla o Bolesławie Krzywoustym i morawskim książęciu Świętopełku ³⁰⁾, znaczyło być jego krewnym, należeć do tegoż samego dziedzictwa“ albo jednem ogólnem mianem na te oba pojęcia: „należeć do tegoż samego *imienia*“.

Aby zaś *wiele* osób mogło też samą posiadać tarczę potrzeba było pewnego wspólnego znaku na tarczy tych wszystkich osób.

Otrzymał tedy każdy ród od książęcia oprócz tarczy szlacheckiej jeszcze pewien znak wspólny, łączący wszystkie tarcze jednego rodu, któryto znak był jedynie wyobrażeniem rzeczy, stanowiącej ogólną własność członków całego rodu, to jest wyobrażeniem spólnego wszystkim kawałka ziemi dziedzicznej.

W takim rozumieniu mówi znane dzieło „O pierwiastkach prawa francuzkiego: Każdy rycerz nosił swoją ziemię dziedziczną wymalowaną na tarczy swojej“ (Michelet p. XXXVII).

Zaczem i nasz *herb* polski jest w rzeczy niczem innym jak tylko wymalowaną na tarczy ziemią szlachecką, czyli wymalowanem *dziedzictwem* rodu, t. j. właśnie owem niemieckiem *erb* czyli *erbe*.

Ztąd nazwy tak wielu herbów polskich, jak np. Bogorya, Jastrzębiec, Działosza, Łada, Dąbrowa, Godzięba, Sulima, Szeliga, Białynia, Przyrowa, Kadłub i t. p. ³¹⁾ są tylko nazwami istniejących podziśdzień wsi.

Wyobrażano taką wieś dziedziczną najczęściej tym sa-

mym symbolem średniowiecznym, który służył wówczas do wwiązania kogoś w posiadanie ziemi dziedzicznej. Wwiązywał tedy książę w taką posiadłość najczęściej przez podanie obdarzonemu uszczknietej z darowanego gruntu gałązki, grudki ziemi, rośliny i t. p.³²⁾, któreto wszystkie znaki szły następnie jako znamiona nadanej wsi na tarczę.

Ztąd też idzie, iż dzisiejsi badacze heraldyki postrzegają na najdawniejszych pieczęciach szlacheckich tylko jakieś „drzewka, roślinki“ i t. p.³³⁾.

W innym razie brano znaki herbowe od niektórych innych uroczystości, towarzyszących niekiedy udzielaniu prawa dziedzictwa, jak np. od chrztu, pasowania rycerskiego, nadania urzędu i t. p.

Jeśli nowokreowany *dziedzic* otrzymał swój przywilej w nagrodę za porzucenie pogaństwa a przyjęcie religii chrześcijańskiej, tedy malowano mu na tarczy ową przepaskę chrzestną, którą np. pieczętowali się członkowie starożytnego rodu Nałęczów.

Bardzo często łączyło się nadanie dziedziczości z pasowaniem rycerskiem, przypominającem się już za czasów Bolesława Chrobrego³⁴⁾, a powszechném w czasach późniejszych.

Głównym zaś warunkiem zaszczytu rycerskiego był koń, od którego prawie wszystkie języki dały nazwę rycerzom, mieniąc ich *ritter*, *eques*, *chevalier* i t. p.

Podobnież i nasz szlachcic, z łacińska *miles*, miał przedewszystkiém znaczenie jeźdźca, a chcąc powiedzieć „wojsko piesze i jazda“, mówi najstarszy kronikarz: „wojsko piesze i szlachta“³⁵⁾.

Jak sama tarcza bez żadnego znamienia bywała dostateczną cechą szlactwa, tak też sama postać jeźdźca była znakiem wyższej od szlactwa dostojności rycerskiej, i na tym jednym znaku przedstawiali książęta niższego rzędu, pieczętując się samą postacią jeźdźca, jeśli już otrzymali pasowanie rycerskie; a pieszą, jeśli jeszcze nie byli pasowani.

Książętom godziła się całkowita postać na koniu, a szlachcie pasowanej dość było użyć pewnej części przyborów rumaka rycerskiego.

Z pomiędzy tych, siodło było częścią zelżywą, i nie znały obyczaje większej dla rycerza zniewagi, jak gdy mu za karę kazano nieść siodło w ręku ³⁶⁾.

Najzaszczytniejszymi zaś znamionami rumaka były strzemiona i podkowy.

Trzymać komuś strzemie, znaczyło powszechnie uznawać się jego podwładnym; wstępować w czyjeś strzemie, mieć prawo następstwa po nim; dotknąć się strzemięcia czyjegoś, uciec się pod jego opiekę; wsadzić kogoś na koń bez strzemion, wyrządzić mu obrazę najsromotniejszą ³⁷⁾.

Jeszcze większą wagę miała podkova: stanowiła ona główną rycerskość konia. Koń nie podkuty, albo nie na wszystkie cztery nogi podkuty, nie był wcale koniem rycerskim, a jazda na takim podłem zwierzęciu liczyła się do najdotkliwszych rodzajów kary ³⁸⁾.

Przeciwnie, wymalowane na tarczy strzemie, świecące tam podkova, świadczyły o podniesieniu szlachectwa polspolitego do godności rycerskiej.

I zdaje się rzeczą pewną, że owa niezmienna ilość podków w herbach polskich, znaczy jedynie rycerską godność przyozdobionych niemi rodów szlacheckich.

Takież znaczenie mają prawdopodobnie także zwyczajne *strzaly* herbowe, właściwie kopie. Prawo noszenia kopii cechowało od wieków stan ludzi wolnych ³⁹⁾, a od czasów upowszechnienia się rycerstwa była ona najzaszczytniejszą bronią rycerską.

Udzielenie więc kopii znamionowało albo godność rycerską, albo usamowolnienie obywatelskie, a łącząc się z nadaniem dziedziczności, przypominało się kopią czyli strzałą na tarczy.

Przydatek krzyżyka w herbie bywał zapewne tylko świadectwem odbytej przez rycerza wyprawy krzyżowej przeciw poganom do Prus z Bolesławem Chrobrym, na Pomorze ze Śmiałym i Krzywoustym, na Litwę z każdym prawie książęciem. Wynagradzając się bowiem różnemi dożywotniami zaszczyty rycerstwu zagranicznemu, nie pozostała zasługa taka zapewne bez nagrody i w Polsce.

Tysiąc innych okoliczności wprowadziło tysiąc innych modyfikacyj w nieustającą kolój udzielania przywilejów szla-

chectwa, udzielania przez coraz nowe ręce, coraz nowym osobom i pokoleniom pod wpływem coraz nowych zwyczajów.

Powiększyła niezmierną różnokształtność heraldyki potrzeba znaków drugiego rzędu, znaków dla ucha, tak zwanych proklamacyj czyli zawołań.

Każdy bowiem herb musiał przemawiać nadto do słuchu, mieć pewne stałe hasło, po któremby wszyscy należący do herbu mogli na woływać się w czasie wojny lub gwałtów.

Niekiedy była nazwa herbu oraz jego zawołaniem czyli hasłem; najczęściej jednakże różniły się nazwy herbów i hasła, a w takim razie miano ziemi dziedzicznej, właściwie miano *erbu*, było używane dowolnie za jedno albo za drugie.

Weszły też do ogółu heraldyki krajowej najstarsze ze wszystkich herbów, to jest herby całego kraju i pojedynczych jego okolic, czyli ziemskie, istniejące po większej części zapewne już za pogaństwa, lecz istniejące jako używane zawsze i wszędzie znaki *wojenne*, a tém samém różne wcale od przywilejowych herbów prywatnych.

Nie mając powodu zapuszczać się w szczegóły zawołań i herbów ziemskich, mówimy tu jedynie o prywatnych, a tym za główną podstawę służyło pojęcie dziedziczności, pewnej spółki rodowej przeznaczonej do odziedziczania się wzajem.

Z téj przyczyny bywał wyraz *herb* tłumaczony zwyczajnie tém samém słowem łacińskiem, którem tłumaczono także wyraz *rodzina*, ród, to jest słowem: *genealogia*, *familia*, *domus*, *cognatio*.

I jak dziś mówi się: „herbu Gryf“, „herbu Nałęcz“, tak niegdyś mówiono powszechnie „z rodu Gryfów“, „z rodu Nałęczów“, *de familia Nałęcz*, *de familia Griffonum*, albo *de cognatione Nałęcz*, *de cognatione Griffonum*⁴⁰⁾, a ktoby powiedział był: „ze szlachty Nałęczów“ albo: „ze szlachty Gryfów“, ten byłby powiedział w gruncie toż samo.

Z którejkowiek bowiem strony spojrzymy na obadwa wyrazy nasze, zawsze i w *herbie* i w *szlachcie* odezwie się

nakoniec fundamentalne pojęcie wielkiej owych czasów nowości, rodu.

Wspomnione powyżej herby ziemskie pochodzą (jak powiedziano) zapewne z czasów pogaństwa; lecz herby i szlachectwo *rodowe* spłynęło do Polski z chrześcijaństwem.

Przychodzi teraz szukać dalej po drodze czasów, jakimi też zabytkami podań, napomknien kronikarskich, śladów dokumentowych, upamiętniło się w narodzie takie a nie inne nastanie szlachty.

IV.

U n i a c z e s k a.

Dwie okoliczności sprawiły, iż naród bardzo ciemno przypomina sobie tak arcyważny wypadek, jakim było uorganizowanie szlachectwa w kraju.

Jedną jest nadzwyczajnie długi brak dziejopisów, krajowców, z których pierwszy, Kadłubek, pisał w przeszło 200 lat po wypadku, zanadto już spotężniałym i dawnym za jego czasów, aby go zapisywać jako nowość ciekawą, pamiętać jego początek.

Drugą i o wiele jeszcze ważniejszą była niechęć do otwartego wyznania, iż naród w czémkolwiek zadłużył się sąsiadom, cokolwiek wziął z zagranicy. Przeczytajmy np. co już za Zygmunatów mówi w téj mierze Orzechowski ⁴¹⁾, a zrozumiemy niebezpieczeństwo odżywiania się ze skromną prawdą.

Zdarzają się przecież nader treściwe półsłówka kronik, świadczące o niezupełném jeszcze zapomnieniu istotnego źródła szlacheckości i herbów w Polsce.

Należy tu mianowicie wzmianka w Kronice Bielskich: „Niektórzy rozumieją, że z wiarą chrześcijańską dopiero u nas i szlachectwa i herby nastały“ ⁴²⁾, lubo sami Bielscy temu nie wierzą.

Jeszcze charakterystyczniejsza reminiscencya przechowała się w kronikach ruskich.

Przedstawia ona w tak skromném świetle pierwiastki szlachectwa w Polsce, odbiega tak dalece od dumnych wyobrażeń późniejszych, iż nie ma się czemu dziwić, dlaczego dopiero jakaś kronika ruska podniosła ją z zapomnienia.

Zawiera się to podanie w ogłoszonej niedawno kronice rusko-litewskiej z czasów Kromera ⁴³⁾, i wiąże się z powieścią o Unii Horodelskiej z r. 1413.

Zgodnie z ważném napomknieniem Długosza ⁴⁴⁾, nie powtarzającem się zresztą w żadnej kronice tamtoczesnej, opowiada latopisiec litewski o wpływie cesarza Zygmunta na tę unię polsko-litewską, i daje tém świadectwo rzeczywistej wiarogodności reszty przytoczonych przez siebie wzmianek.

Namawia tedy cesarz panów litewskich, aby poszli za przykładem Polaków, którzy w podobny sposób zawarli niegdyś unię z Czechami, i wielką ztąd mieli korzyść.

Oto całkowity ustęp kroniki: „Począł cesarz mówić panom litewskim, iż panowie laccy nie mogli inaczej uczynić pokoju między królestwami czeskiem a polskim, i zawsze między temi królestwami walki bywały, aż dopóki panowie laccy z panami czeskimi nie zbratali się tém, iż herby sobie Lachowie pobrali u panów czeskich, a odkąd herby sobie pobrali i tém się zbratali, odtąd przestała walka pomiędzy nimi, i żyją z sobą w pokoju. Panowie litewscy odpowiedzieli cesarzowi i w. książęciu Witołdowi tym obyczajem: „Miłościwy cesarzu i gospodarze nasz, w. książę Witołdzie! Lachowie nie byli szlachtą, ale byli ludźmi prostymi, ani herbów swoich nie mieli, i wielkimi dary dochodzili tego u Czechów, biorąc od nich tak wielkie skarby, że im herbów swoich Czechowie użyczyli, i szlachtą ich uczynili, i przyjęli ich w herby swoje: my zaś jesteśmy starą szlachtą rzymską“ i t. d.

Spytajmyż teraz owęj wzmianki Bielskich o nastaniu szlachectwa i herbów za Mieczysława, od kogoto otrzymali je Polacy „wraz z chrześcijaństwem?“ a powyżmiemy naturalną odpowiedź: od tego samego narodu, od którego i chrześcijaństwo, t. j. od Czechów.

I spytajmyż przeciwnie naszego latopisca ruskiego:

kiedyto zbratali się Polacy tak ścisłemi węzłami z Czechami? a nasunie się sama przez się odpowiedź: w tym samym czasie, kiedy oba narody zbratały się chrześcijaństwem. Zresztą bowiem, wyjąwszy wcale późniejsze czasy panowania króla Wacława w Polsce, nie przypominają sobie dzieje innej epoki trwalszych związków Polski z Czechami, oprócz Dąbrówki i Mieczysława.

Przy słabém światelku odpowiadających sobie w ten sposób natrąceń kronikarskich zaczyna w pewnej mierze rozwidniać się dla nas wypadek, o którym wszelka zresztą pamięć zagasła, a którego wspomnienie w naszej kronice ruskiej na tém względniejszą zasługuje uwagę, im większego prawdopodobieństwa nadaje mu reszta okoliczności.

Ów cesarz Zygmunt, przypominający Litwinom unię Polski z Czechami, był królewicem czeskim a synem Polki i mógł przeto znać w istocie tradycye obu narodów, a panowie litewscy przyjmują jego wzmiankę jako rzecz wszystkim wiadomą.

Wyrażenie się Litwy o panach polskich przed unią czeską jako o „ludziach prostych,” jest tylko odmiennem brzmieniem tegoż samego zdania, jakie o Polakach przedchrześcijańskich wyrażają najprzeciwniejsi mniemaniu naszemu autorowie, nazywając owe czasy stanem „zupełnej równości“⁴⁵⁾, t. j. właśnie zupełnej prostaczości.

Miedzy świeżo ochrzczoneą Polską, a apostołującymi w Polsce Czechami, zachodziły w istocie stosunki ścisłego zjednoczenia, które nie mogły obejść się bez podobnej asymilacji społecznej, o jakiej nadmieniamy nasza kronika ruska.

Za małżonka Dąbrówki panowali Czesi przez dłuższy czas w Krakowie, a za jój syna Chrobrego panowali Polacy przez jakiś czas w Pradze i w całych Czechach, i ustąpiwszy nawet z stolicy czeskiej, nie postradali kraju całego, gdyż przez długie jeszcze lata dzierżyli czeską Morawią.

Św. Wojciech stał się pierwszym patronem Polski, a jego czescy bracia wnieśli do Polski swoją różę herbową, zapewne nie jedyny tego rodzaju gościniec czeski.

Owszem, najdawniejszy herbarz polski Długosza⁴⁶⁾, twierdzi wyraźnie, iż wiele starożytnych klejnotów polskich, mia-

nowicie herby: Oksza, Wieniawa, Rawicz, Ogończyk, Odro-
wąż, Kuszaba, Grabie, Pomian, Przegonia, Stenberg, przy-
były do Polski z Czech lub Morawii.

Były tedy gęste ślady społecznego braterstwa obu na-
rodów, w którym oczywiście przodkował naród dawniej
ochrzczony.

Dopieroż taką unią braterską przypuszczając, umiemy
dać odpowiedź na zapytanie, dlaczego jedynie w Czechach
i w Polsce znajduje się wiele instytucyj i nazw społecznych,
o których nie słyhać w innych krajach słowiańskich.

Czechy to głównie i Polska znają tak ważne rzeczy
i słowa, jak np. *szlachta*, *herb*, *król*, *pan*, *sejm* i t. p.

Zapewne teje starożytniej unii zabytkiem jest także
nasz wyraz *obywatel* tak szanowny i dawny ⁴⁷⁾ w Polsce,
a wyraźnie czeskiego zakończenia i tyle przeto ciekawy dla
naszych filologów.

Dalszy ciąg wieków zaprowadził wprawdzie wielką ró-
żnicę między szlacheckim społeczeństwem Polski a Czech,
lecz w wiekach X i XI były one sobie wielce podobne.

Zachowując sobie na później wzmiankę o powodach
do téj różnicy, wskażemy teraz inny rodzaj pamiątek, które
pozostawiło po sobie upowszechnienie się szlactwa i her-
bów w Polsce.

V.

Nadania jure haereditario.

Sąto, jak wyżej wzmiankowano, najdawniejsze doku-
menta krajowe.

Sięgają one według powszechnego przyjęcia ⁴⁸⁾, aż do
czasów Bolesława Krzywoustego.

Mamy owszem skazówki jeszcze starszej u nas egzy-
stencji nadań podobnych.

Zachował się bowiem nieogłoszony jeszcze transsumpt
dokumentu z r. 1065 ⁴⁹⁾, który zawiera erekcyą klasztoru
w Mogilnie przez Bolesława Śmiałego, a w którym powie-
dziano między innemi: „Zbylut *miles* nadał kościołowi dzie-

dziczną wieś Bogusino za przyzwoleniem krewnych swoich. *Miles Magnus* Dobrogost nadał kościołowi dziedziczną wieś Padniewo za przyzwoleniem krewnych. *Zbylut miles addens eidem ecclesiae haereditatem Bogusino cum consensu amicorum suorum. Miles Magnus Dobrogostius addens eidem ecclesiae haereditatem Padniewo cum consensu amicorum suorum.*

Wyrazy *haereditatem* i *cum consensu amicorum* stawiają dowód wyraźny, że już w połowie wieku XI istniały posiadłości *cum jure haereditario*, potrzebujące przyzwolenia krewnych w razie donacyi.

Od połowy zaś wieku XI, do przyjęcia religii chrześcijańskiej, mianowicie do wznowienia onój przez Kazimierza Restauratora, upłynęło tak mało lat, że *jednoczesne* nastanie chrześcijaństwa i przywilejów *jure haereditario*, nie może podlegać wątpliwości.

Z którejkolwiek zresztą epoki pozostały dokumenta tego rodzaju, w każdej okazują one pewną właściwą sobie cechę, wzbudzającą podziw niejaki.

Zwracano mianowicie uwagę na to, iż *jus haereditarium* nietylko jest prawem dziedziczenia, jak ze starożytniej łaciny wynikało, ale w Polsce było też czém inném⁵⁰⁾.

Było ono w szczególności darem zupełnej prawie samowładzy w dobrach dziedzicznych, ile że panowie uzyskując je, „uwolnieni byli od wielu albo wszystkich podatków i opłat, mieli pozwalane pobieranie czynszów, ceł, myta; bywali uwalniani od naprawy dróg, zamków i innej wojennej służby⁵¹⁾, a miewali sobie pozwolone budowanie własnych zamków; byli uwalniani od wszystkich instancyj sądowych, czasem nawet od *curii* samej, a sobie w swojej włości, w swoim dziedzictwie, miewali sądownictwo bez oznaczenia prawa przyznane. Były to słowem przywileje zupełnie z pod prawa, panów i ich włości wyosobniające⁵²⁾.

Nie miało to przecież pozoru jakichś niezwykajnych przydatków do właściwego przywileju dziedzictwa; owszem wypływało samo przez się z ówczesnego pojęcia *dziedziczności*.

Jak bowiem wyrazy *szlachta*, *szlachectwo*, znaczyły w gruncie tylko *ród*, *rodowitość*, tak i w wyrazach *dziedzic*,

dziedziczny, tkwiło główne pojęcie *samowładztwa*, niezawisłości.

Pomijając tysiące innych przykładów, przekonamy się o tém najłatwiej z następującej wzmianki kronikarza z czasów Bolesława Krzywoustego.

„Książę morawski Świętopełk“ mówi nasz Gallus⁵³), był poprzednio dziedzicznym; później atoli czeski książę Borzywój, uniesiony ambicyą, zagarnął jego księstwo pod swoje zwierzchnictwo. *Igitur Swathopole dux moraviensis haereditarius prius extitit; postea vero ducatum Boemie Boriwój suo dominio plenus ambitione subplantavit.*

Inaczej: Świętopełk był poprzednio dziedzicznym, a później stał się *holdownym*, zaczęm dziedziczny a niedziedziczny, znaczy tyleż co wolny a zawisły, udzielnny a feudalny, pan niepodległy a wassal.

Ztądto obyczajowa świetność naszego wyrazu *dziedzie*, nadawanego podziśdzień szlachcie *possessyonatom*, a drogiego już czasem Bolesławowskim.

Był on już wtedy tak dalece nazwą wolności, w ogóle ludzi wolnych, że nawet niewolnik na zagonie, zyskując usamowolnienie, otrzymał nazwę *dziedzica*.

Ztądto uderzają nas w niektórych dokumentach najstarszych osiedli na gruntach kmiecych *haeredes*⁵⁴), co według znanego za granicą terminu prawniczego, znaczyło chłopów usamowolnionych⁵⁵).

Z czasem przylgnęło świetne miano *dziedzica* jedynie stanowi szlacheckiemu, i zapewniło mu oprócz niektórych mniejszych pożytków następne swobody kardynalne: 1) prawo przekazywania majątku nietylko dzieciom, lecz oraz dalszym krewnym, i podobnież brania spadku po dalszych krewnych; 2) przywilej wyzwolenia kmieci swoich od danin panującemu, z prawem pobierania onych na rzecz własną; 3) przywilej wyzwolenia dóbr swoich, t. j. poddanych swoich, od wszelkich sądów książęcych z prawem własnego sądownictwa nad nimi.

Teraz po słówku o każdym z tych praw z osobna. Prawo pozostawiania i brania spadków, inaczej prawo *mie*nia *rodu* jakiegoś, w obszerniejszém słowa tego znaczeniu,

czyli należenia do jakiejś *szlachty*, pochlebiali wielą jawnemi korzyściami, a połączone z niem niedogodności jeszcze się czuć nie dawały: każdy bowiem członek takiego rodu, inaczej każdy *szlachcie* (jak z Kmita Kmicic, z Sławęta, Sławęcic i t. p.) mógł co chwila odziedziczyć jakiś majątek, widział się otoczonym liczną zgrają krewnych i popleczników, przemawiał śmiało do króla, a jeszcze śmieliej do każdego człeka bez *szlachty* czyli bez rodu.

Za to, chcąc sprzedać albo darować wieś dziedziczną, musiał szukać przyzwolenia rodu całego, albo przynajmniej bliższych „stryjców herbowych,” inaczej bowiem występowali oni przeciw nabywcy, odzywając się z bliższem od niego prawem do wsi dziedzicznej, która niepowinna była wychodzić z rodu.

Nastąpiła owa spólność rodowa, którą wzięto za charakterystyczną cechę stanu społecznego Słowian od czasów przedchrześcijańskich⁵⁶⁾, a która wcale przeciwna temu stanowi, rozwinęła się dopiero pod wpływem chrześcijaństwa, jednocześnie z zaprowadzeniem szlachectwa i herbów w ziemniach słowiańskich.

Wyniknęło wreszcie z dziedziczności rodowej konieczne wykluczenie córek od spadków, gdyż biorąc za główny warunek dziedziczenia tożsamość krwi, musiano koniecznie wykluczyć zięciów, krew cudzą, przybyszów z rodu innego.

Druga korzyść nadań *jure haereditario*, t. j. wolność dóbr od podatków, była z początku jak się zdaje bardzo ograniczona, rosła w przeciągu czasów, zmieniała się według usposobienia rządów, i dopiero w wieku XIV, w skutek znanej ugody Koszyckiej z królem Ludwikiem, stanęła na dwóch groszach łańowych, czyli tak zwaną „królewszczyźnie,” będącą jedynie znakiem uznania najwyższej władzy królewskiej.

Trzecia korzyść, t. j. własne sądownictwo nad ludem, obdarzyło „dziedziców” zaszczytnym mianem „pan.”

Według coraz powszechniejszego uznania⁵⁷⁾ jestto słowo germańskie pisane w starożytniej niemczyźnie *ban*, *fan* i *pan*, lecz oznaczające jednostajnie „prawo sądenia.”

Czyto jako *ban*⁵⁸⁾, czy jako *fan*⁵⁹⁾, czy wreszcie jako *pan*⁶⁰⁾, służyło ono zawsze bądźto pewnemu urzędnikowi

królewskiemu, który zasiadał na sądach, bądźto pewnemu właścicielowi ziemskiemu, który uzyskał prawo sądownictwa własnego.

Ztądto zapewne poszło, iż w Polsce owi z urzędników koronnych, którzy pierwsiastkowo byli głównie sędziami, t. j. kasztelanowie, zachowali do późna wyłączone miano *pan*, i zamiast „kasztelan krakowski“ lub „wojnicki“ mówiono zwyczajnie „pan krakowski“ „pan wojnicki“ i t. p.

Takie kardynalne swobody spływały z *prawem dziedzicznym* na nowo utworzoną niemi *szlachtę*, „herbowników“, „dziedziców“, „panów“, wolnych od służebności i danin.

Często łączyło się jeszcze z nadaniem *jure haereditario* nadanie pewnego urzędu koronnego.

W starożytności mianowanie najwyższych urzędników krajowych, mianowicie wojewodów i kasztelanów, działo się w sposób nadzwyczaj uroczysty, podobny późniejszemu ob-
rzędowi przyozdabiania pasem rycerskim.

Przeczytajmy np. starożytną formułę prawną wymawianą w VII i VIII wieku przez królów frankskich, przy mianowaniu wojewodów i kasztelanów, czyli ówczesnym wyrazem „duków, komesów lub patrycyuszów.“ Brzmi ona jak następuje: „Poruczyliśmy ci urząd komesa, duka i patrycyusza w onym powiecie, abyś nam zawsze nienaruszoną zachował wierność; abyś wszystką ludność tameczną sprawował według słuszności, ustaw i zwyczajów ludu każdego; abyś wdowom i sierotom był obrońcą żarliwym; abyś złoczyństwa, zbrojców i zbrodniarzy wytępiał z jak największą srogością; aby żyjący pod twojemi rządami ludzie przykładni cieszyli się pokojem i pomyślnością.“⁶¹⁾

W Anglii zaś i w państwach skandynawskich nadawali królowie takż urząd jarłów, ealdormenów czyli starostów, przez opasanie nowego dostojnika orężem, przywieszeniem mu tarczy i wsadzenia hełmu na głowę.“⁶²⁾

W podobnyż zapewne sposób, może z przydatkiem zachodnio-europejskiego obrzędu *łazni*, udzielana bywała w Polsce najmożniejszym krajowcom, np. owym dwunastu „przyjaciołom“⁶³⁾ i doradcom“ Bolesława Chrobrego, podwójna dostojność szlachestwa i urzędu.

W czasach późniejszych, kiedy liczba kandydatów do

prawa *szlachty* przewyższyła liczbę dostojęństw i urzędów koronnych, a w całym świecie zachodnim upowszechnił się zwyczaj rycerstwa pasowanego, straciły owe francuzkie formuły, tudzież owe angielskie obrzędy pasa i tarczy, pierwotne znaczenie udzielania urzędu koronnego i spowszedniały w prostą ceremonię opięcia pasem rycerskim, zalecającą nowym rycerzom zawsze jeszcze owe moralne obowiązki komesów, a zdobiącą ich orężem i tarczą jarłów.

Wtedy przywilejom *jure haereditario* czyli nadaniom szlachectwa, zaczęło w Polsce towarzyszyć powszechnie pasowanie rycerskie.

Nawet nowo nawróconym Prusakom udzielił legat papieżki w r. 1249 pozwolenia, aby synowie zamożniejszych rodziców, w znak osiągniętej samowładności, otrzymali pas i oręż rycerski ⁶⁴).

W Polsce, zwłaszcza w klasie możniejszej, a osobliwie książęcej, opięcie pasem rycerskim wiązało się niejako nieodzownie z uznaniem kogoś *dziedzicem*.

„Niech mi syn twój ustąpi księztwa,“ — mówi w kronice Kadłubkowej ⁶⁵) Mieczysław Stary do małoletniego Leszka Białego — „a ja przybiórę go za syna, i ozdobiwszy go w tym celu pasem rycerskim, zwrócę mu księztwo i uznam go według obrzędu prawa *dziedzicem*.“

Za przykładem książąt i najmożniejszych panów upowszechniły się pasowiny rycerskie u wszelkiej szlachty, jako zwyczajny obrzęd wwiązania w prawa dziedziczości rodowej.

Kiedy owszem (jak zwykle bywa) otworzyły się z czasem różne odcienie w jednym i tym samym stanie szlacheckim, mianowicie odcienie większych i mniejszych fortun, pozwalających albo niepozwalających odbyć na sobie kosztowną ⁶⁶) ceremonią pasowin: natenczas ogół stanu szlacheckiego podzielił się na dwa różnej godności stopnie, jeden możniejszy, szlachectwa pasowanego, drugi mniej możny, prostej szlachty.

W skutek tego niektóre ustawy książąt w wiekach XIV i XV, mówiąc o przyzwoleniu wszystkiej szlachty na ogłoszoną właśnie ustawę, wyrażały się u wstępu (w ówczesnym przekładzie polskim): „Toć są prawa ustawione

w ziemi mazowieckiej... gdzie tam byli *passani* i szlachetni panowie, albo: „My Jan z Bożej łaski ksiązę mazowieckie, pospołu z *passanymi* pany i szlachetnymi“⁶⁷⁾, a w oryginale łacińskim: „*Haec sunt jura et statuta ducatus Mazoviae.... cum consensu strenuorum ac nobilium terrae ejusdem consiliarios*“ i „*Johannes d. gr. dux Mazoviae, praesentibus strenuis nobilibusque dominis*“⁶⁸⁾, a znaczyło szlachtę możniejszą i mniej możną (*strenuus*, *gestreng*, *Ritter*).

Następne czasy zatarły tę różnicę między nierównymi stopniami fortun, a pas i szabla rycerska weszły w wolny każdemu zwyczaj, stały się równie wymownym znakiem szlachectwa jak niegdyś tarcza i wymalowane na niej „piątno“ erbowe.

Mianowicie w drogim szlacheckiemu strojowi pasie, przechodzącym tak uroczyście z ojca na syna, przywdziewanym tak starannie przy każdej solenności, przechowała się ciekawa pamiątka starodawnego obrzędu uszlachetniania, mająca w wieku XVIII jeszcze wartość obyczajową, w wieku XV wartość pewnej urzędowej dystynkcji, a w wiekach XI i XII wartość rzeczywistej i rzadkiej jeszcze godności, rycerstwa pasowanego.

Nie od jednego bowiem razu, lecz owszem bardzo powoli szerzyły się w Polsce przywileje *jure haereditario* i nadawane niemi szlachectwo.

Za Bolesława Chrobrego, Kazimierza Odnowiciela, Bolesława Śmiałego, było zapewne bardzo niewielu uczestników nowego prawa, bardzo niewielu szlachciców nowych.

Dopiero od czasów Kazimierza Sprawiedliwego, po sławnym za jego rządów synodzie łęczyckim, okryła się Polska bujnym porostem szlachty i erbów, porostem swobód zachodnio-chrześcijańskich.

Chodziło synodowi łęczyckiemu najbardziej o zabezpieczenie majątku zmarłych księży od tak zwanego prawa puścizny, czyli od grabieży *książęcej*⁶⁹⁾.

Byłoto właśnie owem staropogańskiem prawem, pozwalającym ksiązęciu zabrać majątek odumarły bez synów.

Po osobach duchownych nie pozostawali synowie, przeto grabił ksiązę puściznę.

Jeśli książdz był *szlachcicem*, czyli miał *ród*, tedy powi-

nien był majątek pozostawiony spadać na dalszych krewnych; lecz dawne nadużycia, praktykowane we wszystkich krajach europejskich, pozwalały książętom zabierać i w takim razie majątek.

Jeśli zaś nieboszczyk nie należał do *szlachty*, t. j. nie miał rodu żadnego, natenczas grabież zdawała się tém słuszniejszą.

Owoż ustanowił synod łęczycki, iż dobra zmarłych księży nie mają być grabione, t. j. mają pozostać przy kościele, albo spadać na krewnych, bądźto szlachetnych, bądź nieszlachetnych.

W ostatnim razie, przyznał synod krewnym nieboszczyka prawo dziedziczności *rodowej*, prawo szlachectwa.

Polska napełniła się tłumem nowych rodów dziedzicznych, tłumem nowej szlachty i nowych erbów, a Kazimierza „Sprawiedliwego“ sławi współczesny biskup i kronikarz, jako głównego rozszerzyciela swobód krajowych, swobód dziedzicznego szlachectwa, połączonych w mniejszej lub większej mierze z wspomnioném powyżej wyzwoleniem od danin, służebności, sądów książęcych i t. p.

W takiemto znaczeniu powiedziano o Kazimierzu w kronice: „Rozwiązał pęta niewoli, zdjął jarzmo poborczości, wyzwolił od haraczów, zniósł służebnictwa, nie tylko ulżył brzemieniu, lecz owszem uchylił je całkowicie, kazał ustać ciężarom i przymusom“⁷⁰⁾.

Za jego też czasów uwidomiła się wielka różnica, zachodząca między szlachecką społecznością Polski a Niemiec.

Kiedy najstarszy brat Kazimierza Sprawiedliwego, Władysław II, bawił wygnańcem w Niemczech, i za pomocą cesarską starał się wrócić do Polski, wyrzekano tam przeciw niemu: „Chce Niemcom zaprzedać swobodę naszą“⁷¹⁾.

Germańskiem słowem umianowane szlachectwo polskie przybrało wcale odmienną postać od szlacheckości germańskiej.

Wzmianka o tém odsłania nam wcale nową stronę przedmiotu.

VI.

Dziedziczność i feudalność.

Okazaliśmy już powyżej, iż wyrazy *dziedziczny* i *feudalny* stały w zupełnej z sobą sprzeczności.

Dziedziczność oznaczała posiadanie wolne i niezawisłe, feudalność posiadanie zawisłe, warunkowe, ograniczone.

Ułatwia to odpowiedź na zapytanie: o ile feudalizm panował lub nie panował w Polsce?

Z wyjątkiem niektórych nie nieznaczących zachceń i pozorów chwilowych, była dziedzicznie-szlachecka Polska nie tylko wolną zupełnie od feudalizmu, ale nawet ukonstytuowaną wcale przeciwnie.

Jakimże więc sposobem rzecz wcale różnej istoty od feudalności zachodniej, wzięła w Polsce nazwę z Zachodu?

Wyjaśnimy sobie to zagadnienie, czyniąc należytą dystrykcję pomiędzy epokami historyi.

Kiedy do Czech i Polski wnikało chrześcijaństwo z instytucjami Zachodu, nie znano jeszcze na Zachodzie przewagi feudalizmu.

Zaledwie w XIII wieku ostatecznie wszechwładny w Niemczech ⁷²⁾, był feudalizm o cztery wieki wcześniej, t. j. w wiekach IX i X, dopiero w porze wzrostu początkowego, a jeszcze wcześniej, t. j. w wiekach V i VI, w ledwie dostrzeżonym zarodzie.

Górował podówczas w państwach zachodnich system wcale przeciwny, tak zwany allodialny, t. j. właśnie *dziedziczny*.

Przypominając sobie ten stan pierwotny, postrzegamy w przedfeudalnym społeczeństwie Zachodu dwojaki stopień obywatelstwa, czyli dwojaki stopień pierwiastkowej szlachty germańskiej: pierwszy, klasę allodialnych czyli dziedzicznych t. j. zupełnie wolnych posiadaczy własności ziemskiej; drugi, klasę posiadaczy feudalnych, trzymających swoje ziemie dożywotnią od księżęcia *dzierżawą*, a przeto pod pewnemi uczążliwemi warunkami, mianowicie z obowiązkiem *nieograniczonej* służby wojennej.

Tamci, dziedzice allodyalni, protoplaści późniejszej szlachty polskiej, miewali szeroko rozpostarte rody erbowe: żyli w wielkich spółkach dziedzicznych⁷³⁾, sejmowali wolnemi głosy z księżciem, płacili tylko dobrowolne i tylko na jeden raz uchwalone podatki, pełnili tylko warunkową służbę wojenną, ciągnąc pospolitém ruszeniem ku obronie ojczyzny, nigdy za granicę na podbój.

Z takimi poddanymi mogli książęta zachodni, mianowicie przedsiębiorczy królowie frankscy, równie mało dokażać, jak późniejsi królowie polscy ze swoją szlachtą.

Zwróciła się tedy wszelka uwaga i łaskawość księżęcia ku poddanym drugiego rzędu, ku owym posiadaczom feudalnym, o wiele skorszym do posłuszeństwa i zawiślejszym, owszem do zupełnej z początku służebności włożonym, a zwłaszcza na każdą wojnę bez ograniczenia ciągnąć obowiązanych, i chętnie też każdej chwili ciągnącym.

Przy pomocy stronnich względów książęcych, mianowicie za niedołęznego panowania dynastji karolińskiej po Karolu W. we Włoszech, w Francji i w Niemczech, zaczęli posiadacze feudalni przemagać w wieku IX allodyalnych, ale nie wzięli jeszcze góry stanowczo.

W tymto właśnie wieku IX weszły wraz z zachodniém chrześcijaństwem, zachodnie instytucje do Czech, a weszły w starodawniej, powszechnie jeszcze poważanej formie zwyczajów allodyalnych czyli dziedzicznych.

W takim też charakterze allodyalnym podały następnie Czechy swoją instytucją szlachecką, wraz z chrześcijaństwem w X wieku Polsce.

Zakorzeniwszy się tu w ciągu przydłuższych związków z Czechami, rosło allodyalne szlachectwo pomyślnie na nowym gruncie, mającym kiedyś obiecaną zostać mu ziemią.

I rozwijały się tedy jednocześnie w niewielkiej od siebie odległości dwa wcale różne stany społeczne: w Niemczech szerzył się coraz przeważniej system feudalny, w Polsce wznagała się allodyalność.

Wychowanek czasów i krajów po-karolingskich, wojenny system feudalny, system właścicielstwa warunkowego, owaładnął w ciągu wieków X i XI tak dalece wszystkie stosunki, że nietylko ostatnie zabytki własności allodyalnej,

ale nawet zwierzchnia władza książęca doznała jego przemocy.

Ostatni dziedzice allodyalni, nieskończenie mniej możni od magnatów feudalnych, ujrzeni się w konieczności uciekać tłumnie pod skrzydła feudalizmu, chronić swoje allodyalnie wolne zagrody w obronę pobliskich zamków feudalnych, a książęta i królowie zachodni, nawykłszy pozwalać na kolejne następowanie synów po ojcach w dzierżawnych posiadłościach feudalnych, musieli nakoniec uznać prawo warunkowego *dziedzictwa* feudów.

Zniknęły tedy w XI i XII wieku z jednej strony wszystkie allodya, t. j. wszelka swobodna *własność* w zupełnym słowa znaczeniu, i ustała z drugiej strony dzierżawna ograniczoność i surowa służebność feudów, a upowszechnił się pośredni stan społeczny, który nie był ani zupełnie swobodnym właścicielstwem, ani wyłącznie osobistą dzierżawą feudalności pierwotnej: stan warunkowego, ograniczonego, danicznego dziedzictwa, feudalność w późniejszym znaczeniu słowa.

W porównaniu z losem dawnych dziedziców allodyalnych, w porównaniu z prosperującą teraz w Polsce allodyalnością, byłto stan o wiele późniejszy, ale ponieważ jego zwycięstwo nad allodyami pociągnęło za sobą wiele następstw zbawiennych, przeto ma on swoją chwałę w historii, znalazł wielką wziętość u ludzi, i coraz bujniej plecił się na Zachodzie.

W potężnym rozroście swoim, przy gwałtownym parciu żywiołów germańskich ku Wschodowi, rozpostarł się feudalizm w wieku XI także po Czechach, zagłuszając tam niedawną plantę allodyalności.

Ztąd lubo Polacy od Czechów otrzymali swoje szlachectwo, zaszła niebawem zupełna różnica między allodyalnym szlachectwem polskim, a nowo-feudalnym szlachectwem Czech.

W XIII wieku dostąpił feudalizm najwyższego tryumfu w Niemczech, i wygórowało allodyalnie niezawisłe możnowładztwo w podzielonej na księstwa Polsce.

Odtąd zaczęła na Zachodzie kląć się przed władzą

monarchiczną feudalność, a w Polsce rozprzestrzeniać się po całym narodzie wolna szlacheckość allodyalna.

W taki więc sposób wyróżniły się od siebie w przeciągu czasów szlachectwo polskie i szlachectwo germańskie: takim sposobem rzecz umianowana w Polsce słowem zachodniem, przybrała charakter przeciwny Zachodowi.

Na widok coraz większej z czasem sprzeczności obu dwóch stanów społecznych, nie mogli ani Polacy ani Niemcy przypuścić, aby ich odmienne instytucje miały jakiegokolwiek pokrewieństwo u źródła.

Polacy poczytali swoje szlachectwo za rzecz z gruntu słowiańską, a u Niemców allodyalnie dziedziczne zwyczaje szlachty polskiej, mianowicie zwyczaje majątkowej wspólności rodów, lubo dopiero wraz z chrześcijaństwem wniesione od Zachodu, otrzymały wyłącznie miano *prawa polskiego*.

„Bo wy Niemcy nie wiecie, co to jest prawo polskie“—mówi w Kronice Henrykowskiiej ⁷⁴⁾, za dni najwyższego wygórowania feudalizmu u Niemców, prawoznawca polski do niemieckiego, i nuż mu wyklądać prawo najdalszych krewnych do sprzedanej komuś obcemu *erbownej* dziedziny rodu, które, jakkolwiek przeciwne kusej sekcesyjności feudalnych dziedzictw niemieckich w wieku XIII, było przecież powszechnie zrozumiałem na Zachodzie przed pięcią albo sześcią wiekami, w wiekach VI, VII i VIII.

Również zagadkową stała się jeszcze pewna inna różnica między szlachectwem polskiem a zagranicznem, to jest różnica herbowości.

„Dziwiono się oddawna, z kąd pochodzi tak zwana wspólność herbową u szlachty polskiej? czyniąca jeden i tensam herb gromadną własnością kilkunastu, czasem nawet kilkudziesięciu domów osobnych, a nieznana wcale szlachectwu zagranicznemu.“

Jestto właśnie tylko zabytek starodawniej allodyalności szlachectwa w Polsce.

Allodyalne bowiem dziedzictwo przechodziło nieograniczonem następstwem na krewnych najodleglejszych, lubo nazwę osobnego domu noszących, byle tylko jednym i tym samym herbem poświadczyć mogli, iż pierwotnie z tegoż samego pochodzą rodu.

Feudalne zaś dziedzictwa szlachty innych narodów, przechodziły w ogólności tylko na bliższych krewnych z wykluczeniem stopni dalszych a osobliwie pobocznych, na które żadnego wcale względu nie mając, wracał majątek znowuż do dyspozycji książęcia.

Ztąd świadectwo pochodzenia od pewnego rodu pierwiastkowego, tenże sam starodawny herb rodu, bywał w Polsce bardzo starannie zachowywany przez krewnych nawet podówczas, kiedy bliższe albo dalsze stopnie pokrewieństwa tworzyły osobne domy nowego miana, zapominały z czasem o wspólnym pierwiastku pochodzenia i tylko w jednym i tymczasowym herbie, służącym w taki sposób kilkunastu albo kilkudziesięciu różnoimiennym domom, miały pamiątkę spólnego źródła, nazywały się ciągle stryjcami, albo stryjami herbowymi ⁷⁵).

Przeciwnie w feudalnym szlacheństwie zagranicznym dalszy stopień pokrewieństwa nie przynosił żadnej korzyści, przez co zakładając nowe domy odmiennego nazwiska, nie troszczyli się założyciele o zachowanie dawnego herbu, lecz otrzymywali od książęcia albo herb wcale nowy, albo jakiś drugi i trzeci znak w przydadku do pierwotnego.

Z tej przyczyny bywają herby zagraniczne z tak wielu rozmaitych złożone znaków, polskie zaś tak proste i jednoznaczne.

Z tejże samej przyczyny okazuje się heraldyka zfeudalizowanych Czechów, nieznająca spólności herbów, różną pod tym względem od polskiej, lubo niegdyś była pierwszym jej wzorem.

Tak wyróżniają się z czasem teżsame instytucje w różnych porach i miejscach, tak odmiennymi stają się owszem same pojęcia narodu o tém, co stanowi zacność i chwałę jego dziejów.

Dziś wykazanie obcego pochodzenia instytucji herbowej, zdaje się ubliżać jej zaszczytowi — niegdyś było ono jej chlubą.

Zakończmy wzmianką o tém osobną.

VII.

Zmiany czasów.

Wiek obecny uskarża się niekiedy na przeludnienie; świeżo ochrzczona Polska skarżyła się na zbytnią szczupłość ludności.

Brak mieszkańca, to brak żołnierza, brak podatków, brak bogactw, brak handlu i przemysłu, brak wszelkiej pomyślności.

Niedarmo też przez kilka wieków następnych, aż do wielkiego organizatora Kazimierza w 400 lat po ochrzczeniu, myśleli książęta polscy jedynie o sprowadzaniu osadników do kraju.

W braku zaś rąk, w braku prostej uprawy ziemi, brakowało tém bardziej głów i uprawy umysłu.

Jak czasy rzadkiej ludności były same przez się czasami rzadkiej oświaty, tak napływ osadnictwa zagranicznego był jeszcze z téj przyczyny korzystnym i pożądanym, że wnosił do kraju zarody większej oświaty, polerowniejszych zwyczajów.

Ztąd czyto wędrowny kapłan z krucyfiksem i książką w ręku, czy rycerz spieszący w służbę dworską u Bolesławów, czy rolnik osiadający na glebie, wszyscy byli nadmiar miłymi „gośćmi“, a wniesione przez nich wyobrażenia zagraniczne, zwyczaje cudzoziemskie, ustawy dojrzałszej gdzieindziej społeczności, uświetniały nader pochlebnym lustrem króla i państwo.

Jakoż nawet ów potężny i bogaty Bolesław Chrobry, w porównaniu z którego wielmożnością najznamienitsi królowie czasów późniejszych wydawali się tylko chudymi książkami — „miewał tę jedyną skargę na ustach, iż mu brakowało rycerzów, *quod solis militibus indigeret* ⁷⁶⁾“. Przetłumaczywszy zaś użyty tu wyraz *militibus* właściwem mu mianem *szlachta*, otrzymamy wiadomość, iż mu „tylko *szlachty*, to jest właśnie stanu *rycerskiego* niedostawało,“ czyli inaczej: że pragnął utworzyć sobie szlachtę.

Z czém rymuje podanie innego kronikarza, donoszącego o Bolesławie Chrobrym, iż „dla ozdoby dworu swojego otaczał się nietylko rycerstwem i najdosłojniejszymi panami, ale oraz licznym orszakiem *wyzwolenców*, których wyniósł do stanu szlacheckiego „z poddaństwa“ ⁷⁷⁾, t. j. właśnie: orszakiem niewolnych niegdyś posiadaczy pogańskich, wyzwolonych nadaniem chrześcijańskiej samowładności *jure haereditario*.

Wyzwolenicy krajowi cieszyli się nowém szlacheństwem, a „każdy gość zagraniczny, który odznaczył się w rycerstwie przed obliczem monarszém, nie rycerzem lecz synem zwał się królewskim. Jeśli zaś w czémkolwiek nie dopisało mu szczęście, natychmiast król Bolesław nieskończonemi obsypywał go dary, odzywając się do obecnych: Gdybym tego walecznego rycerza mógł wykupić złotem od śmierci, jak skarbami mojemu zaradzić mogę jego niedostatki, tedy samą chciwość śmierci przesyciłbym bogactwami“ ⁷⁸⁾.

Jeszcze bardziej uderzającym sposobem uwydatnia się ówczesna wziętość cudzoziemszczyzny, ówczesna potrzeba żywiołów zagranicznych, w pamiętnéj nauce testamentowéj, którą spółczesnik i powinowaty Mieczysława I, węgierski król Szczepan św. pozostawił swojemu synowi Emerykowi.

Czytamy tam między innemi: „O przyjmowaniu cudzoziemców i o hojności względem przybyszów. Z gości i przybyszów zagranicznych rośnie tak wielki pożytek państwu, że słuszną przypisać mu szóste miejsce pomiędzy zaszczytami dostojności królewskiej. Cóż bowiem innego dopomogło wzrostowi państwa rzymskiego, co do takiej wielkości i chwały podniosło królów rzymskich, jeśli nie napływ wielu zacnych i mądrych ludzi z różnych okolic świata? Byłaby Roma podziśdzien *niewolnicą*, gdyby potomstwo Eneasza nie uczyniło jéj wolną. W miarę napływania gości cudzoziemskich z różnych krajów postronnych, napływają téż różne z nimi języki i obyczaje, przybywają z nimi różne ustawy, przywileje i zwyczaje wojenne, co wszystko przyozdabia i wślawia dwór królewski, a rzuca postrach na zuchwałość sąsiadów. Każde zaś państwo, w którém panuje tylko jeden język i jedno prawo, bywa niedołężném i kruchém. Dlatego przykazuję ci synu, abyś ochocząc

sercem przyjmował *gości*, i nie skąpił im łask, i starał się pilnie o to, aby chętniej przybywali do ciebie niż dokądinąd. Gdybyś bowiem pokusił się wywrócić, com ja zbudował, albo rozproszyc, com ja zgromadził, przyprawilibys o niezmierną krzywdę królestwo swoje“⁷⁹⁾.

W tymto właśnie duchu poczytuje ów „list Matyldy“ za wielki zaszczyt synowi Bolesława Chrobrego, „iż chwała Boża trzema różnemi językami brzmi w jego państwie“⁸⁰⁾.

Toż jeszcze w wieku XV nie wahano się powiedzieć o Kazimierzu W., w przedmowie do statutu, iż „rzymskich panów choregiwnych przykładem, rzeczy swoje, tudzież poddanych swoich, pocziwym obyczajem oświecić chciał“⁸¹⁾.

Dopiero w czasach późniejszych przyzwyczajono się uważać szlachectwo za plód wcale domowy.

I znalazła się niejaka słuszość złudzeniu, ile że z długim przeciągiem czasów zaszły niemałe zmiany w samejże instytucji herbowej, znacznie różnej w końcu od typu owjej chwili pierwotnej, kiedy szlachectwo weszło z krzyżem do Polski.

Pierwsza i główna zmiana wypłynęła naturalnem następstwem z tejsamiej okoliczności, która niegdyś otworzyła wrota przyjściu szlachectwa.

Pierwotny brak ludności sprzyjał (jak powiedziano) napływowi żywiołów zagranicznych, a gdy za ich pomocą utworzyło się szlachectwo rodów krajowych, zaczęły te nowe rody, te dziedziczne spółki rodowe, rozradzać się w coraz szerszą przestronność.

W takiem rozprzestrzenieniu się każdego rodu z osobna, objawiły się niedogodności *pierwotnej* organizacyi szlachectwa, nieobliczonej jeszcze na późniejszą tłumność członków rodowych.

Pierwotny *erb*, czyli dziedziczny majątek rodu, na zbyt szczupły w stosunku do późniejszej tłumności spółherbowników, stał się nakoniec zawisłym od tak wielu prawnych pretendentów do *erbu*, że wszelki rozsądny obrót takim dziedzicznym majątkiem uległ całkowitemu zatamowaniu.

Do tego upowszechnił się z czasem inny rodzaj własności, nieodziedziczonej po przodkach, lecz osobiście kup-

nem albo darem nabytój, a témsamém niepodlegającój prawu spółdzielczości rodowój, lecz zawislój jedynie od woli właściciela ⁸²⁾.

Wyniknął ztąd niezmierny zamęt stosunków właścicielstwa, jużto z powodu ciążącój nad każdym majątkiem chmury spółdzielców rodowych, jużto z powodu wątpliwój niekiedy różnicy między majątkiem dziedzicznym a nabytym.

Nastał przeto czas powszechnego pieniactwa o majątki, czas niezliczonych bezprawiów trybunalskich, zdzierstwa sędziów, namiętnego rozbechtania żyłki pieniackiej, która odtąd stała się niejako warunkiem prawdziwój krwi szlacheckiej.

Wymagało to koniecznej reformy ustawodawstwa, którój w istocie za Kazimierza W. dokonał Statut Wiślicki, a która od pierwszego do ostatniego paragrafu z nadmienioną tu plagą pieniactwa walcząc ⁸³⁾, uderzyła głównie przeciw dawnój spółdzielczości rodowój.

„Macierzą wszelkiego rozterku a niezgody“ — opiewa dotyczący ustęp statutu ⁸⁴⁾, — „jest spółność posiadania. Gdyż mając spólnie zawiadować majątkiem, poruszają się bracia rodzeni częstokroć ku wzajemnej mierziączce i kłopotom niemałym. Przeto gwoli uwarowaniu się zwady, a może nawet uszkodzenia żywota ubogiego, najlepiej bywa dla członków rodu, gdy żyją w własnych osobnych domach z przynależącą każdemu częścią majątku, uczyniwszy rozbrat pomiędzy sobą.“

Ułatwione zostało dzielenie się rodów w mnogie domy osobne, różnego zwykle nazwiska, a niekiedy i herbu.

Ciekawa tego pamiątka przechowała się w innym paragrafie tegożsamego statutu, regulującym sprawę herbową.

Za życia ojca, powiedziano w tym paragrafie ⁸⁵⁾, nie wolno synom przybierać nowych herbów czyli pieczęci: po śmierci ojca mogą to czynić.

Byłoto właśnie hamulcem przedwczesnego wyosobniania się synów, gdy ojciec żył jeszcze w pewnej posiadłości dziedzicznej, mogącój po jego śmierci stać się przedmiotem sporu. Przybieranie herbu nowego było zupełnym rozbratem z rodem, było założeniem wcale nowego domu, a ponieważ przed śmiercią ojca i ostatniem rozporządzeniem

dzierżoną przezeń własnością, nie dało to uskutecznić się należycie, przeto dopiero po śmierci ojca i ostatnim podziale, pozwalano odmieniać herb.

Zazwyczaj jednakże zatrzymywały wyosobnione domy dawien herb starożytny.

Ustaliła się właściwa heraldyce polskiej *spólność herbowa*, zadziwiająca heraldyków zagranicznych.

Na mocy tej spólności, wszyscy członkowie kilku, kilkunastu, czasem nawet stu i kilkudziesięciu ⁸⁶⁾ domów jednego herbu, poczytywali się za krewnych czyli „stryjców herbowych“, a kolligując się z innemi dalej herbami, rozpościerali coraz szersze związki rodzinne.

Cały kraj okrył się nieprzejrzaną siecią braterstwa; cała szlachta stała się jedną rodziną krewnych.

I toż właśnie stanowi niespożytą zasługę szlachectwa w Polsce, stanowi jego niezrównaną oryginalność.

Kardynalne zasady instytucyj społecznych przechodzą z wieku do wieku, od narodu do narodu, i nie masz ludu żadnego, któryby w tej mierze był samorodnym. Ztąd chwała oryginalności polega głównie na tém: co którykolwiek naród umiał zrobić z poślubionego zkądinąd zarodu cywilizacyi? Pod tym zaś względem, gdzież drugie zjawisko historyczne, któreby się mogło mierzyć z olbrzymią wspaniałością obrazu, jaki przedstawiła światu *szlachecka rodzina* Polski?

Każdy ze stu tysięcy jój braci czuł w duszy i praktykował w życiu, co ów biskup chełmski wyraził w kilku słowach treściwych, godnych wyrzycia w każdym sercu szlacheckiem.

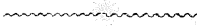
„Mam tylu krewnych“— mawiał zacny biskup Powała, niegdyś z Władysławem Warneńczykiem rycerz pod Warną— „że nie masz prawie żyjącego dzisiaj Polaka, któryby nie był mi krewnym“ ⁸⁷⁾.

Cóż za niezmierna różnica między tém spokrewnieniem się całego prawie narodu, a owym skromnym związkiem kilku rodów dziedzicznych czyli *szlachty erbowej*, przybyłym niegdyś z chrześcijaństwem do Polski!

P R Z Y P I S K I.

- 1) Schilter, Thesaurus antiquit. theutonic. III. 744.
- 2) Graff Althochdeutscher Sprachschatz VI, 780.
- 3) Wachter Glossar. germ. 1419.
- 4) Wackernagel Deutsches Lesebuch 229.
- 5) Schilter I. 150.
- 6) Obacz dopisek I, Lech, lecha, szlachta.
- 7) Ihre Glosarium suo—gotthicum I, 6—14. Wachter 18.
- 8) Wachter 18.
- 9) Ihre I. 11.
- 10) Wydanie 1854, str. 265.
- 11) Tamże str. 665.
- 12) Adelung II. 609.
- 13) Maciejowski Hist. praw. słow. 1832, I, 118.
- 14) Jungman Słown. pod wyrazem Slechta i Slachta.
- 15) Werböcz Corpus juris hung. II, 5.
- 16) Działyński Zbiór praw lit. str. 1, 13.
- 17) Dogiel Cod. dipl. R. Pol. IV. 17 „in paginis“ mylnie zamiast „in paganisimo“ jak w wydaniu Dregera. Wiszn. Hist. lit. II 349.
- 18) Ob. dopisek II. Rodowość starogermańska.
- 19) Maciej. Pamiętn. I, 231 Hist. praw. II, 197—201.
- 20) Dogiel Cod. diplom. IV, 19. Item promiserunt quod duas vel plures uxores simul de caetero non habebunt.
- 21) Nestor: Imiachuże po dwie i po tri żeny.
- 22) Żyw. św. Wojciecha 181, 190, propter plures uxores unius viri.
- 23) Chron. 8.
- 24) Vita s. Adalbert. 181. 190.
- 25) Graff Althochdeutsch. Sprachschatz I, 406.
- 26) Brinckmeier glossar. diplomat. pod tém słowem.
- 27) W. Wackernagel Deutsch. Leseb. I, 196.
- 28) Tacitus Germ. scuto frameaque.
- 29) Segen und Schild we wszystkich dziełach o rycerstwie niemieckiem.
- 30) Str. 282, 283.
- 31) Porówn. Tabella miast, wsi, osad Króles. Pols. Warsz. 1827 i t. p.
- 32) Grimm D. Rechtsalterthümer 110—133.
- 33) Maciej. Piśmienn. I. 609.
- 34) Ob. artykuł „O łaźni Bolesł. Chrobrego.“
- 35) Str. 189 nullum peditem sed milites tantum.
- 36) Michelet Origines du droit fr. 379.

- 37) Np. Długosz Hist. X, 142 z związaniem sub ventrem equae nogami.
- 38) Michelet 382, Grimm 712.
- 39) Ut servi lanceas non portent w kapitularzach V cap. 247. Eichhorn Deutsche Rechtsgesch. I, 133 — Omnes hastati. Vita S. Ott. Ludev. I, 712 — Michelet Origines 280.
- 40) Bogułał Chron. Somersb. II, 57, 63.
- 41) Np. w Żywocie Jana Tarnowskiego w rozdziale „o narodzie Tarnowskich“.
- 42) W rozdziale o Mieczysławie I.
- 43) Narbutt T. Pominiki do dziejów litewskich str. 43.
- 44) Długosz Hist. XI, 336 suadente Sigismundo.
- 45) Maciej. Hist. prawod. I, 118.
- 46) Insignia seu clenodia regni Poloniae, wydane przez J. Muczkowski.
- 47) Znajduje się on już w przekładach Biblii z XVI w. Ob. Linde pod tym wyr. Tamże Skrzetuski Pr. P. I, 187. „Samę szlachtę prawa nasze rozumiały właściwie przez obywatelów“.
- 48) Np. Lelewel Pocz. prawod. 1828 str. 55.
- 49) Wynaleziony przez szanownego przyjaciela mojego A. Bielowskiego i w jego posiadaniu będący.
- 50) Lelew. Pocz. prawod. str. 84.
- 51) Zawsze tylko do pewnego stopnia i warunkowo, jeśli np. dobra duchowne zostały nadane takim prawem.
- 52) Tamże str. 83.
- 53) Str. 282.
- 54) Np. w sławnym dokumencie tynieckim z r. 1275, powtarzającym dokument z czasów Bolesława Krzywoustego heredes Medwed, Klech, Mych, Woyan.
- 55) Brinckmeier Glossarium diplomaticum I, 949 Haeredes, Hōrige.
- 56) Ob. dopisek III, Pieśń o sędzie Libuszy.
- 57) Maciejowski, Polska pod względem ob. I. 55 „jestto wyraz nie słowiański, lecz gocki“.
- 58) Brinckmeier Glossar. diplom. I. 263. Gerichtbarkeit a) überhaupt b) peinliche.
- 59) Schilter Thesaur. antiq. teuton. III, 378 vexillum judiciale.
- 60) Tamże pod wyr. „pan“.
- 61) Eichhorn Deutsche Rechtsgesch. 1818. I, 79.
- 62) Lappenberg Gesch. Engl. I, 567. 580. Dahlmann Gesch. Dänem. I, 120.
- 63) Gallus p. 67 amicos.
- 64) Dogiel Cod. dipl. IV, 18.
- 65) Str. 817.
- 66) Omissis sumptuosis solemnitatibus. Ducange Gloss. lat. voce Alapa militaris.
- 67) Lelew. Pomn. jęz. i uchw. 133. 140.
- 68) Bandtkie Jus pol. 417. 425.

- 69) Kadłub. 779 a principibus usurpatum. Boguf. Sommersb. II, 46. fisco principum.
 - 70) Kadłub. 778.
 - 71) Tamże 783.
 - 72) Eichhorn Deutsche Rechtsgeschichte II, 1276.
 - 73) O istnieniu takiej wspólności majątkowej u narodów germańskich ob. dopisek III, Pieśń o sędzie Libuszy.
 - 74) Stenzel Liber fundat. claustris in Heinrich. str. 43.
 - 75) I tak np. jedynie na mocy wspólnego herbu Oksza, nazywa Stanisław Orzechowski Mikołaja Reja z Nagłowic, w żywocie Jana Tarnowskiego, swoim „stryjem“.
 - 76) Chron. Mart. Galli p. 74.
 - 77) Długosz Hist. lib. II, p. 124 sed et libertorum quos a servitute dissolveat.
 - 78) M. Gall. p. 75.
 - 79) Werboecz Corpus juris Hung. II, 4. Katona Hist. crit. I, 374.
 - 80) Dethier Epist. ined. p. 4. quis in laudem Dei totidem coadunavit linguas?
 - 81) Bandtkie Jus pol. 25. Lelew. pomn. jęz. 94.
 - 82) Stenzel Liber fundationis cl. Heinrichow. p. 43.
 - 83) Lelew. Pomn. jęz. 17. „Aby w drapieżtwie alybo w ciąży naszego ubóstwa.... obykli są łakomi sędzie“....
 - 84) Bandtkie Jus pol. 95. Lelew. Pomn. 67. Jadw. i Jag. II, 96.
 - 85) Bandtkie Jus pol. 33.
 - 86) Ob. Niesiecki, pod herbem Jastrzębiec.
 - 87) Długosz Hist. XIII, 576. singulos fere mortales Polonos stirpe sibi et cognatione conjunctos astruebat. Niesiecki Kor. pol. pod herbem Powąła.
- 

I. Szlachta, lech, lecha.

Panowie Jungmann i Szafarzyk w Słowniku języka czeskiego i w *Aelteste Denkmäler der böhmischen Sprache* str. 89, powiadają: Jak niemieckie wyrazy *adeling*, *adel*, pochodzą od słowa *uodal*, praedium, posiadłość, tak i słowiańskie *szlachta* i *lech*, pochodzą od słowa *lecha*, zagon. Jestto zestawienie bardzo powabne, ale nader pozorne. Według przytoczonych bowiem w rozprawie naszej skazówek, wyprowadzają dzisiejsi germaniści słowa *adeling*, *adel*, nie od *uodal* posiadłość, lecz od *adal* lub *edel* ród. Upada więc analogia, a wyrazom słowiańskim pozostaje utrzymać się własną siłą. W takim razie potrzeba osobliwszą dla nich mieć słabość, aby nie zwątpić w przyznawane im znaczenie szczerosłowiańskie. Inaczej, na którykolwiek z tych trzech wyrazów rzucimy okiem, każdy się okaże nader podejrzanego znaczenia i pochodzenia. I tak najprzód co do wyrazu *szlachta* natrąca się pytanie, jakim sposobem z wyrazu *lech* może uformować się słowo pochodne *szlachta*, z niezwykłym w podobnych derywacyach przyrostem *ta*? Gdzież jakikolwiek inny przykład derywacji tego rodzaju? Co do drugiego wyrazu *lech*, tego właściwie nikt nie rozumie, a témsamém nie powinien brać za źródłosłów innych znanych wyrazów. Mając być ojcem tak arcyważnego słowa jak *szlachta*, pojawia się on tylko dwa razy, i to wcale niezrozumiałem znaczeniu. Dalimil pisze: „W serbskim narodzie był *lech*, który nazywał się Czech,“ a już przepisywacze Dalimilowi nie ufali zrozumiałości tego wyrazu i tłumaczyli go przydatkiem *muż*, *mąż*; późniejszym zaś filologom słowiańskim podobało się upatrzeć w *lechu* młodzieńca, junaka czyli rycerza, bez względu na to, że ten młodzieniec o kilka wierszy niżej, „niesie dzieci swoje na plecach“. Po raz drugi powtarza się wyraz *lech* w *Pieśni o sądzie Libuszy*, a ma tam znowuż równie za-

gadkowe znaczenie, jak zagadkową w ogólności jest epoka i cała treść téj pieśni. Takąsą samą niepewność zachodzi wreszcie co do wyrazu *lecha*. Ma on w starosłowiańskim języku oznaczać *zagon*, w dalszém odniesieniu *kawalek ziemi*. Słyszając to, możnaby mniemać, iż wyraz ten powtarzał się bardzo często w mowie potocznej, należał do słów najpowszedniejszych. Tymczasem zajrzyjmy do Miklosicha *Radices linguae slovenicae*, a obaczmy, iż wyraz *lecha* zdarza się mało co więcej nad raz jedyny, mianowicie w przekładzie ewangelii św. Marka, w rozdz. 6, w. 40. Powiedziano tam po łacinie: *discubuerunt in partes per centenos et quinquagenos*. W starosłowiańskim przekładzie odnosi się słowo *liecha* do wyrazów *in partes*, i znaczy właściwie *rzędem*, w liczbie mnogiej *rzędami*. W takiémtó znaczeniu oddają wszystkie przekłady biblij to miejsce. Niemiecki przekład opiewa: *und sie setzten sich nach Schichten je 100 und 100, 50 und 50*. Francuzki: *et ils s'assirent en divers rangs*. Polskie przekłady mają: „rozsadzili się na części po stu i po pięciudziesiąt“, albo „siedli rząd podle rzędu“, albo z zachowaniem tegoż samego wyrazu słowiańskiego „siedli tłuszcze *lechami* po stu i po pięciudziesiąt“ (Ob. Linde pod tym wyr.). Ma więc *lecha* w tych przykładach znaczenie *rzędu*, i zachowuje je w przenośném używaniu zamiast wyrazu *zagon*, gdzie *lecha* znowuż oznacza tylko *rząd*, formę, powzdłużność kształtu, a bynajmniej *grunt*, ziemię, o którą głównie chodzi. Przekona o tém najdokładniej szereg przykładów używania wyrazu *lecha* w języku polskim, zebranych przez Lindego. Oto kilka: „Długie w lechę (*w rząd*) układał zagony“ — „Lecha długa albo gruba, ziemia do siania nieco od ziemi podniosła, deszczkami obita“ — „Rzodkiew najlepiej sadzić na wysokich lechach albo zagonach, (t. j. albo na wysokich warstwach czyli pokładach ziemi, albo na zwyczajnych zagonach)“. Wszędzie tu *lecha* ma jedynie znaczenie pewnej formy powzdłużnej lub podniosłej, nie zaś materji. Jedném słowem: *lecha* znaczy *rząd*, *szereg*, *warstwę*, *szychtę*, *pokład* i t. p., a bynajmniej *grunt*, *ziemię*, *glebę*, posiadłość. W takiém zaś znaczeniu *warstwy* powtarza się tensam wyraz w językach starogermańskich, gdzie *leg* i *lech* (Richt-

hofen, Altfries. Wörterb. pod temi wyraz.), *laga* i (w niższoniemieckim narzeczu g-ch) *lacha*, *lecha*, znaczy właśnie *poziom*, *pokład*, *rząd*, *warstwę*. Jakoż dziś jeszcze mówi się w języku niemieckim *eine Lage Kanonen*, rząd armat na okręcie; *eine Lage* (niższo-niemiecką wymową *eine Lache*) *Sand*, warstwa piasku; *eine Bienenlache* (Adelung p. sł. *lage*) rząd pni w pasiece. W dalszém przeistoczeniu znaczy *leich*, *lech* (Adelung p. t. s.) podziśdzień ulicę, długi rąbek ziemi granicznej i t. p. Odzywa się wreszcie nasza *lecha* w podobném znaczeniu, *pokładu*, *podścieliska* w innych jeszcze językach, mianowicie w greckim słowie *lech*, *lechos*, łoże, odpowiadającém polskiej *lesze* jużto kształtem powzdłużnym, jużto ową „podniosłością od ziemi“, właściwą grzędom w ogrodzie. A co najgorsza, w obudwóch językach cudzoziemskich, t. j. niemieckim i greckim, ma *lecha* wyraźny źródłosłów w czasownikach *legen*, *lehen*, *legomaj*, kłaść, podczas gdy w językach słowiańskich stoi ona całkiem osamotniona. Jest tedy wszelki powód do wniosku, że języki słowiańskie przyjęły ją zkadina, a czasy późniejsze dały jęj znowuż wyjść z używania, jako wyrazowi napływowemu, bez głębszego rozkorzenia się w języku, zastępując go bardziej słowiańskim wyrazem *grzęda*, w którym podobnież panuje pojęcie *rzędu*. Na wszelki wypadek jest nasza *lecha* wyrazem tak niepewnym, iż nie godzi się fundować na nim najobojętniejszego twierdzenia, a tém mniej teorii o pochodzeniu *szlachty* u Słowian.

II. Rodowość starogermańska.

Mówimy jedynie o stanie familii w pogaństwie Słowian i innych ludów sąsiednich a współczesnych. Mówimy o nim tak, jak nas zniewalają do tego wyraźne świadectwa historyczne; że istniały kiedyś ludy pogańskie, u których panował inny stan życia społeczeńskiego, nie należy do rzeczy. Toć i Rzymianie nie byli chrześcijanami, a mieli przecież dokładnie uregulowane stosunki pokrewieństwa i ustawy spadkowe. Coś podobnego daje się widzieć także u starożytnych Germanów. Lubo poganie i barbarzyńcy,

zyli oni w szeroko rozramienionych związkach rodowych, i przestrzegali stosunków pochodzenia. Owszem rodowość była u Germanów niejako podstawą całego porządku społecznego. Polegał na niej mianowicie wymiar sprawiedliwości i sposób toczenia wojny. Co do pierwszego, znana jest germańska instytucja główszczyzny *wehrgeld*, jedyny u Germanów system sądownictwa karnego, nakazujący całemu rodowi człowieka zabitego ścigać mordercę, i dzielić się uzyskaną na nim główszczyzną. Co do sposobu wojowania dowiadujemy się od Tacyty, iż cała organizacja wojenna kierowała się u Germanów związkami krwi, ile że „hufce germańskie tworzyły się nie trafem lub przypadkowym skupieniem różnego ludu, lecz według rodów i pokrewieństwa: „*non casus nec fortuita conglobatio cuneum facit, sed familiae et propinquitates*“. Przedstawia się tedy u Germanów wcale inny stan rzeczy, który może właśnie dlatego przybrał tak odmienną postać od społeczeństwa u Słowian, że Germanowie byli narodem wojennym a wędrownym, zmuszonym do obronnego skupiania się w większe lub mniejsze oddziały czyli hufce, wiązane najłatwiej węzłami pokrewieństwa. Jakiegokolwiek zresztą okoliczności były tego powodem, daleko ważniejszą na wszelki wypadek jest dla nas kwestya, jak rodowość germańska zgadzała się z zwykłym u pogan wielożeństwem, w którym rozprawa nasza upatrzyła tak wielką przeszkodę wykształceniu się związków rodowych? Pod tym zaś względem otrzymuje nasze pojęcie rzeczy zupełną aprobatę w pewnym *dalszém* świadectwie o Germanach. Starożytni Germanowie nie znali w ogóle wielożeństwa, zdarzającego się czasem tylko u książąt, „raczej dla honoru niż zmysłowości: *exceptis admodum paucis, qui non libidine sed ob nobilitatem plurimis nuptiis ambiuntur*“. Zwyczajna jednożenność była owszem tak dalece właściwą dawnym Germanom, że opisujący ich Tacyt bierze ją za charakterystyczną oznakę pogaństwa germańskiego, donosząc, iż Germanowie „prawie *sami jedni* pomiędzy barbarzyńcami przestają na jednożeństwie: *nam prope soli barbarorum singulis uxoribus contenti sunt*“. Potwierdza się to następnie dwoma dalszemi napomknieniami Tacyty, z których jedno opisuje uroczyste obrzędy zaślubin u Germanów, dru-

gie zaś donosi z zadziwieniem, iż „mimo tak wielką liczbę narodu, nadzwyczajnie rzadkie w nim cudzołóztwa: *paucissima in tam numerosa gente adulteria*“. Była więc szeroko rozwinięta rodowość u Germanów, gdyż było jednożeństwo, i panowały oraz inne instytucje społeczne, oparte na związkach krwi. Brak tego wszystkiego u Słowian każe tém mocniej wierzyć w owo nieistnienie u nich rodów w pogaństwie, które przyjeśliśmy w naszej rozprawie, a którego nie zmieni znane świadectwo św. Bonifacego o małżeństwach słowiańskich. „Wendowie“—mówi tenże św. Apostoł Niemców w liście do jednego z królów anglosaskich — „Wendowie, którzy są najplugawszym rodzajem ludzi, tak gorliwie wzajemną miłość małżeńską zachowują, że małżonka po śmierci męża życie sobie odbiera.... aby z nim razem na jednym zgorzała stosie“. Mimo pozorną świętość tej wzmianki, nie zaprzecza ona bynajmniej wielożeństwu. Mowa tu jedynie o wierności słowiańskich żon w ogóle, których mogło być dwie i trzy, a każda z nich miała obowiązek ginąć wraz z mężem. Sama zresztą wzmiankowana tu śmierć ofierna, podejmowana przez wdowę wraz z niewolnikiem i koniem pańskim, przedstawia żonę słowiańską raczej niewolnicą niż towarzyszką męża. Taki zaś stan nie wróżył pomyślnie o moralności, co téż w owym przydatku świętego Bonifacego „którzy są najplugawszym rodzajem ludzi“ smutne znajduje potwierdzenie.

III. Pieśń o sędzie Libuszy.

Przyzwyczajono się mniemać powszechnie, jakoby wymieniony tu pomnik literatury był obrazem społecznych stosunków Słowian, w czasach pogańskich. Ponieważ *sąd Libuszy* wynurza się przychylnie o spólném pożyciu braci i równym podziale majątku ojcowskiego pomiedzy synów, przeto upatrzono w tém charakterystyczną cechę starożytnych ustaw słowiańskich. Najuczeńsza owszem edycja tego pomnika w dziele: *Die ältesten Denkmäler der böhmischen Sprache, kritisch beleuchtet von P. J. Safarik und Fr. Palacky*, Prag 1840, odnosząca go do wieku IX lub pierwszej

połowy X, stara się udowodnić, że *pieśń o sądzie Libuszy* przedstawia walkę między prawem słowiańskim żądającym równego działu, a germańskim przyznającym całe dziedzictwo najstarszemu synowi. Tymczasem przy dokładniejszym roztrząśnieniu przedmiotu okazuje się wszystko złudzeniem. W *pieśni o sądzie Libuszy* nie masz wcale pogaństwa, nie masz podstawy praw wyłącznie słowiańskich, nie ma żadnej walki pomiędzy prawem germańskim a słowiańskim. Jest to po prostu poemat chrześcijański, przedstawiający scenę sądownictwa chrześcijańskiego, mianowicie według przyjętych w Czechach zwyczajów prawa saskiego. Co do czasu skreślenia rękopismu nie mamy uroszczenia wdawać się w bliższe oznaczenie epoki, nie znając autografu. Zdaje się przecież mimo wszelkie przeciwnie temu pozory, iż wskazany przez samychże wydawców (Denkmäl. str. 33, 32 n. 2) wiek XII albo XIII, w którym według ich własnego przyznania „*dopisane*“ zostały głoski niektóre i przybyć mogły linie atramentem ciągnięne, będzie zapewne najwcześniejszą epoką całego rękopismu. Nie pozwalając sobie jednakże stanowczego w tej mierze głosu, mamy tém więcej dowodów ku poparciu twierdzenia, iż *sąd Libuszy* jest sądem chrześcijańsko-niemieckim. Dla przekonania się o tém, przypomnijmy najpierw główną treść poematu.

Dwaj rodzeni bracia wadzą się o spuściznę ojcowską. Sprawa ich wytacza się przed Libuszę. Księżna ustanawia sąd, zwołuje tak zwanych „kmieci“, wyprawia posłów po lechów i władyków. Zgromadzają się w Wyszogrodzie kmiecie, lehowie, władykowie; zasiada księżna na tronie; stają przy niej „dziewy“ z księgą ustaw i mieczem; stoją w pogotowiu narzędzia próby Bożej, ogień i woda; rozpoczyna się sąd. Libusza oświadcza się za wspólném pożyciem braci albo równym podziałem mienia, i wzywa zgromadzenie, aby wybrało jeden z tych dwóch wypadków, albo całkiem nowy ustanowiło wyrok. Na to lehowie i władykowie naradzają się z sobą; jeden z lechów donosi o ukończeniu narady; „dziewy“ zbierają głosy do urny; lehowie liczą je i oznajmują wyrok większości: bracia mają pospołu władać majątkiem. Oburzony tém starszy brat nie uznaje wyroku i od-

zywa się z prawem do całkowitego dziedzictwa. Księżna uskarża się na swoje „poganie” i dobrowolnie składa władzę książęcą. Kończy fragment przemową jednego z lechów, odradzającą szukać prawa u Niemców.

Owóż jednym z głównych powodów fałszywego zapatrzenia się na całą osnovę poematu jest niedostateczne ocenienie wyrazu „poganie”. Pp. Szafarzyk i Polacki tłumaczą go kilkakrotnie (str. 43, 48, 55, 83) wyrazem *po-hanbienie*, *contumelia*, *schmaecht*, *Schmaehung*. Zachodzi w tém jednakże niedokładność. *Poganie*, rzeczownik od czasownika *ganić*, *poganić*, *naganić*, okazuje się prostym przekładem albo równoznacznikiem niemieckiego *schelten*, francuzkiego *blamer*, średniołacińskiego *blasphemare*, polskiego *naganić*, *naganienie*, a te wszystkie wyrazy znaczący w średnich wiekach *apellować*. Co do wyrazów *schelten*, *blamer*, *blasphemare*, przekona o tém każdy zupełniejszy słownik pomienionych języków; polskie zaś *naganienie*, znajduje się naprzód w oryginale statutu wiślickiego: „*cum aliquis arguit alias nagani sententiam castellani Cracoviensis*” (Bandtke p. 89), następnie w jego przekładzie z wieku XV, „kiedy kto *nagani* albo odzowie skazanie pana krakowskiego, co rzeczono jest pospolicie narzeczenie albo *naganienie*.” (Lelew. Pom. str. 62). Jest tedy czeskie *poganie* właściwie zapomnianym wyrazem terminologii prawniczej oznaczającym *apellacyę*, czyli odwołanie się nie do innego prawa, coby sprzeciwiało się zwyczajnemu biegowi rzeczy, lecz tylko do innéj wyższej instancyi. Taką wyższą instancją względem Libuszy mniema autor poematu władzę królewską w Niemczech, stawiając tém oraz dowód, że pisze w takim czasie, kiedy Czechy w sprawach sądowych ulegały zwierzchnictwu Niemiec, to jest w czasach o wiele późniejszych od pogaństwa. Ztąd ostatnia odezwa jednego z lechów, odradzająca szukać prawa u Niemców, nie mierzy bynajmniej do różnicy między prawem niemieckim a słowiańskim, lecz radzi tylko zaprzestać na instytucyi krajowej, nie uciekając się do prawa, to jest do sądu Niemców. Jednym słowem, mowa tu o dwóch różnych instancyach tegoż samego prawa, bez wzmianki o walce prawa słowiańskiego

z germańskiem, która walka okazuje się zresztą z innych jeszcze powodów zupełnie urojoną w obecnym razie. Co bowiem w komentarzach do *Pieśni o sądzie Libuszy* powiedziano o prawie słowiańskiem, jako o prawie równych działów albo *spólnego* posiadania majątku, o prawie zaś germańskiem jako o prawie uprzywilejowanej pierworodności, polega na prostém złudzeniu chronologiczném. Pierwszeństwo synów najstarszych ustaliło się u narodów germańskich dopiero w czasach późniejszych, w porze zakwitnięcia feudalizmu od wieku X; wieki poprzednie, mianowicie IX, VIII, VII i VI, nawet wieki pogaństwa, były u wszystkich narodów germańskich epoką *równych* działów, a nawet *spólnego* posiadania. Mamy na to niezliczone dowody w przedfeudalném ustawodawstwie wszystkich ludów germańskich. I tak, np. prawo Wizygotów przepisywało: „Si ex uno fratre sit unus filius, et ex alio fratre plures, omnem haereditatem defuncti capiant et aequaliter per capita dividant portiones; w równych częściach podziela się majątkiem.“ (Majer, Germ. Urverfass. str. 135). Prawo Bawarów nakazywało: Ut fratres haereditatem patris aequaliter dividant, aby bracia w równych częściach dzielili się majątkiem ojca (Eichhorn, Deutsche Staats-und Rechtsgesch. 1818, I, 188). Prawa północne wyrażały się w tym samym duchu, zalecając nawet zupełną *spółność* i nierozdzielność posiadania: „Beisammen wohnen Brüder am besten; najlepiej braciom żyć w spółności majątku.“ (Gejer, Geschichte von Schweden I. 263, 264). Taką samą radę spółności czyli pożycia w spółkach, inaczéj *parentelach* rodowych, zawiera prawo Longobardów: „Omnis parentela usque in septimum gradum memoretur, ut parens parenti per gradum et parentelam haeres succedat, sic tamen ut ille qui secedere vult, nominatim uniuscujusque nomina parentum suorum antecessorom dicat; parentela trwa aż do siódmego stopnia, a krewni dziedziczą po sobie według porządku parenteli, byle ten który chce odziedziczyć, umiał nazwać imiona swoich krewnych antecessorów.“ (Majer, Germ. Urverf. 100). Jeszcze powszechniej zdarzają się takie spółki dziedziczne w prawie salickiem, gdzie nawet (jak później w naszej księdze wiślickiej) znajdujemy przepisy, jakim sposobem ten albo ów

członek parenteli może się wyosobnić ze spółki: Si quis de parentilla tollere se voluerit. (Majer, Germ. Urverf. 74). Według powszechnej wówczas zasady równych działów byli nawet bękarci w używaniu takiej równości i miewali równe działy z resztą rodzeństwa. (Michelet, Origines du droit franç. 67. Adam Brem. Lindenbr. 60). Owszem, pierwotną równość działów poczytywano później, to jest za czasów feudalizmu, za charakterystyczną cechę wszystkich narodów i czasów przedfeudalnych, czyli, jak zarozumiała feudalna wyrażała się: ludów i czasów *barbarzyńskich*. W takiemto znaczeniu mówi np. w XI wieku znany dziejopis Adam Bremeński (wyd. Lindenbr. p. 31). „Qui, ut mos est barbaris, aequam tunc inter liberos sortiti sunt partem haereditatis; którzy, jak to bywa w zwyczaju u ludów barbarzyńskich, wzięli równe działy w spadku ojcowskim.“ Co zaś w czeskim komentarzu do *pieśni o sądzie Libuszy*, (Denkmäl. str. 100) przytoczono z kroniki normañskiej: pater adultos filios cunctos a se pellebat, praeter unum, quem haeredem sui juris relinquebat, ściąga się do zwyczajnego u Normanów wypędzania nietylko kilku synów, ale całej owszem młodzieży kraju, na morze w cudze strony, nie dowodząc bynajmniej prawa pierworodności, o którym we wzmiance niniejszej tém mniej może być mowa, ile że ów pozostawiony w domu syn jeden, *praeter unum*, bywał zazwyczaj synem najmłodszym, nie mogącym jeszcze dać sobie rady w świecie. Reszta zaś powtórzonych następnie słów uczonego Phillipsa zawiera tylko uwagę, że już w owę przedfeudalnę epokę równych działów objawiała się w prawach germańskich dążność (*die Richtung*) do primogenitury feudalnej, lubo nad samą dążność nic więcej wówczas widzieć się jeszcze nie daje.

Nie ma więc powodu upatrywać w *sądzie Libuszy* śladów prawa słowiańskiego z czasów pogańskich, albo walki tegoż prawa z germańskiem. *Pieśń o sądzie Libuszy* jest tak dalece obcą czasom i obyczajom pogańskim, że owszem wszelkie rysy odmalowanego w niej obrazu sceny sądowej są rysami całkiem chrześcijańskimi, mianowicie rysami sądów chrześcijańskich według prawa saskiego. Czemu chrześcijański autor pieśni napatrzył się od XII albo XIII wieku

do syta w Czechach i w Niemczech, to przeniósł on żywcem w opis swojej sceny pogańskiej, zaledwie jedną licencją poetyczną: *wecoziznih bogou* „nieśmiertelnych bogów,” zamiast „nieśmiertelnego Boga,” ubarwiwszy go nieco z pogańska. Zresztą nie ma *żadnego* rysu, któremu byśmy nie umieli wykazać wzoru w średniowiecznych zwyczajach chrześcijańskich. Słuszna przekonać o tém skazówkami szczegółowemi. Wytknęliśmy już wyraz terminologii prawniczej *poganie*, o którym więcej w *Grimma Deutsche Rechtsalterthümer* 1854 str. 865. Towarzyszy mu zbliska podobnyż wyraz drugi jeszcze ciekawszy. Zamiast słowa *osądzić* używała średniowieczna terminologia wyrazu *znachodzić* (to jest prawo), *finden* (das Recht), *invenire* (sententiam), zamiast *sąd*, *wyro*k, mówiono *znalezienie*, *die findung*, zamiast *sędzia*, *znalazca*, *finder*. Jestto wyrażenie się tak charakterystyczne i wyjątkowe, iż niełatwo przypuścić, aby pojawiwszy się raz w języku staroniemieckim, powtórzyło się ono samo przez się w słowiańskim. Owóż w *Sądzie Libuszy* w wierszu 76, zamiast *wyrok*, czytamy *nalez*, słowo nieznane wcale w innych narzeczach słowiańskich, jawnie przetłumaczone z niemieckiego wyrazu *findung*. Ale nie koniec na tém. Jedną z najciemniejszych zagadek naszej pieśni jest słowo *witizowym* w wyrażeniu się: *wyuczzone wieszczom witizowym*, zastosowaniem do owych „dziew sądowych,” które towarzyszą Libuszy. Učení komentatorowie czescy znają odpowiedni wyraz niemiecki, lecz uwiedzeni zwyczajną pokusą erudycyi, wolą iść za znaczeniem dalszém niż bliższém, widzą w tém słowie jakichś starosłowiańskich „witezów” czyli zwycięzców, domysłają się pruskich i Trebillionowych Withingów. Tymczasem jest to tylko trzeci wyraz terminologii prawa saskiego, będący odmienną nazwą owych sędziów czyli *znaleźców*, którzy inaczej mieli urzędowy tytuł *wiedzących*, po staroniemiecku *witiz* lub *witig* (Wachter, Glossar. pod słow. *witig* Denkmäl. 96), po łacinie *sapiens*, z słowiańska według zwyczajnej przemiany *g* w *z* (Denkmäl. 96) *witiz*, jak się to okazuje z tysiąca średniowiecznych formuł prawnych, np. *Clotarius cum sapientibus suis invenit*, Klotar osądził (zawyrokował) z sędziami (Eichhorn, Deutsche Staats und Rechtsgesch. I, 105), „*Witz-geding* (tak właśnie pisze się

owo słowiańskie słowo *uitz*) albo *witzig geding, judicium sapientum*“ (Haltaus, Glossar. m. aevi pod słowem *witzig*) i t. p., ztąd „wyuczone wieszczbom witzowym,“ znaczy „znające się na *wieszczbach* czyli wypowiedziach *sędziów* albo *znalezców*, co tém oczywiście zgadza się z naszym wykładem, ile że te „dziewy sądowe,“ właściwie rodzaj woźnych albo pisarzy sądowych, którym poeta gwoli dziewiczemu charakterowi księżnej Libuszy dał postać dziewic, zbierają następnie głosy sędziów, a témsamém muszą znać się na ich wypowiedziach czyli formułach. Takież tłumaczeniem technicznych wyrazów sądownictwa chrześcijańskiego mogą być także słowa: „chwalić wypowiedzi,“ *laudare, collaudare sententiam* (Grimm, Rechtstalt. 864) „ustawić prawdę,“ *veritatem dicere*, w któremto ostatnim wyrażeniu słowo *veritas, prawda*, znaczy jednorazowy, poszczególny sąd czyli wyrok, podczas gdy *zakon* oznacza ogólny zbiór starodawnych praw i zwyczajów; ztąd *pochwalichu prawdu po zakonu*, znaczy: „pochwalili (*collaudabant*) świeżo wydany sąd czyli wyrok sformułowany według praw uświęconych wiekami.“ Takież powtórzeniem zwyczajnej formuły praw niemieckich są mianowicie wyrazy „u nas prawda po zakonu swatu, iu że prinesehu otcu nasi,“ powleczone tak złudnym pozorem narodowości słowiańskiej, a będące właściwie tylko ulubioną formułą wszystkich niemieckich wyroków i statutów. Opiewa ta formuła zwyczajnie „prawo to przynieśli zstarodawna ojcowie nasi,—dys recht haben vor alter Zeit unser vorfarn herbracht (po dwakroć w przedmowie do zwierciadła saskiego)“ albo: „my wyżej pomieniona gmina wyznajemy, iż prawo to przynieśli nam przed wielą laty nasi rodzice i przodkowie,“ albo: „wiadomo nam i przyniesiono do nas w ten sposób od przodków naszych,“ albo: „przynieśli to od wieków przodkowie nasi“ (Grimm, Rechtsalt. 772, 773 zawsze „auf uns gebracht,“ jak w pieśni „prinesehu“). W skutek podobnegoż wreszcie przypomnienia sobie zwyczajnych przyborów każdej sceny sądowej w średnich wiekach, umieścił poeta w swojej pieśni owe narzędzia średniowiecznych prób Bożych, płomień i wodę, kazał jednej „dziewie“ trzymać w ręku „deski prawodatne,“ to jest księgę praw (deski tyle co księga, Denkmäl. str. 98) towarzyszącą zwyczajnie

sądom niemieckim (Grimm, Rechtsalt. 784 librum legis, pisarz z księgą, der Schreiber bei dem Buch), drugiej zaś dziewięć dał w rękę miecz, będący podobnie zwyczajnym atrybutem sali sądowej (Grimm 852; Michelet, Origines du droit français str. 315).

Na tejże samej drodze dochodzimy wreszcie znaczenia przednich aktorów sądu *Libuszy, lechów*. Główną w sądach niemieckich rolę odgrywali owi wyżej wymienieni *znaleźcy, finder, urtheiler, schoeffen*, w polsko-magdeburgskich sądach *ławnicy*. Nie mając właściwie tytułu i urzędu sędziów, byli oni jedynie powołanymi do rozstrzygnięcia pewnej wątpliwej kwestyi rozpoznawcami, któreto jednakże rozpoznanie stanowiło główną czynność sądownictwa średniowiecznego. Sędzia albo sędziowie właściwi byli tylko prezesami zebrania (Grimm str. 750 Haltaus Glossar. str. 1644: a iudice praeside), zapytującymi *znaleźców* o słuszność czyli *prawdę* (viritatem) w pewnym wypadku spornym, a potem wykonywającymi ich wyrok. „Wyrok sądowy”—czytamy w często przytaczanym tu dziele Grimma, str. 863—„był tylko odpowiedzią *znaleźców* na zadane im przez sędziego pytanie.“ Owoż wpatrzmy się dokładniej w scenę sądu *Libuszy*, a znajdziemy naszych *lechów* takimiż właśnie dawcami odpowiedzi, zgodnymi we wszystkich rysach z charakterem zwyczajnych *znaleźców* saskich. Było tych *znaleźców* czyli *finderów* przy każdym sądzie zwyczajnie siedmiu (Grimm, str. 775, 777, 858, 863; Eichhorn, D. Rechts-und Staatsgesch. I, 211, der Regel nach sieben), a zliczywszy wymienionych w *sądzie Libuszy lechów* (Denkmäl. str. 35 po Zutozlau...) otrzymujemy z zadziwieniem taką samą *síóðemkę*. Zamiast sędziego prezyduje w uroczystym zgromadzeniu naszego poematu, jako bardzo często zdarzało się w sądach niemieckich (Grimm str. 752), samą księżną Libuszą, a jej wstępna przemowa do zgromadzenia opiewa: „Se bratroma rozresite prawdu... Budeta im oba w jedno wlahti, ci se rozdelita rounu meru? Oto braciom rozstrzygnijcie prawdę... Majaż obaj władać z sobą spolem, czy téż równą rozdzielić się miarą? Jestto, jak widzimy, prostym zapytaniem według zwyczaju prawa saskiego pociągającym za sobą różne inne czynności, które podobnie są niczem innem jak tylko praktyką codziennych

zwyczajów saskich. Przypatrzmy się bliżej téj analogii. Po usłyszaném zapytaniu naradzali się znaleźcy sascy tajemnie pomiędzy sobą (Grimm 787, 788, heimlich, secretum), i w podobnyż sposób naradzają się cicho (ticho govoriti) nasi lechowie. Po skończonej naradzie następowało zebranie i obliczenie głosów, które według prawa saskiego decydowały większością (Grimm 773, 864, 875, 879) i w podobny téż sposób rozstrzyga w naszej pieśni większość zebranych głosów *uecinu*, (Denkmäl. 36, 61). Wydajdowali z pomiędzy wszystkich głosów zebranych tę większość wyrokującą i oznajmiali ją sascy znaleźcy, mający od téj właśnie czynności nazwę swoją i takążsamą czynność pełnią nasi lechowie: „i daste ie (głosy) lechom provolati... ie uecinu prouolati w narod,” to jest wzięwszy z rąk dziew głosy zebrane, znachodzą większość i oznajmają ją zgromadzeniu. Jakoż témto właśnie rozwiązują się pytania uczonych wydawców czeskich (Denkm. str. 89), „dlaczego w wierszu 78 tylko lechowie i władyki, w wierszu zaś 89 tylko lechowie są wymienieni?” W wierszu 78 (clanehu se lesi i uladiki, kłaniali się lechowie i władyki), następującym bezpośrednio po zapytaniu Libuszy, występują tylko lechowie i władyki bez kmieciów, ponieważ oni-to sami, to jest znaleźcy i przytomna sądowi gmina, z wykluczeniem właściwych sędziów, którymi są właśnie owi kmiecie, mieli pojedynczemi głosami swemi dawać odpowiedź na zapytanie, mianowicie dawać ją czasem zosobna, czasem pospołu, jak o tém np. w Eichhorna Rechtsgeschichte I, 211: „Die Gemeinde oder die Urtheiler... durch ihre Stimmen; to jest: gmina albo znaleźcy przez głosowanie...” W wierszu zaś 89 „i daste ie lehom prouolati; i dały dziewy lechom obwołać głosy” wymieniono jedynie lechów, ponieważ do nich samych, to jest do samych znaleźców saskich, należało właśnie znaleźć w ogólnej liczbie głosów przeważającą większość, *wieczinę*, i oznajmić czyli obwołać ten wyrok znaleziony. Podobnież w wierszu 53: „cda se snehu lesi i uladyki u uisegrade... gdy się zjechali w Wyszogrodzie lechowie i władyki,” czytamy tylko o lechach i władykach, ponieważ oni to sami, to jest powołani na sąd obywatele całego kraju, możniejsi i ubożsi, nie mieszkali w stolicy, i dopiero za osobném poselstwem

księżny, znaném także w sądownictwie niemieckim (Grimm 765 *Bote*. Eichhorn I, 211), zjeżdżają się do Wyszogrodu. Kmiecie zaś, to jest sędziowie właściwi znani w Czechach pod tém imieniem jako członkowie „najwyższego trybunału królestwa,—das permanente oberste Tribunal des Reiches (Dankmäl. 69),“ mieszkali ciągle w stolicy (permanent) i nie potrzebowali dopiero zjeżdżać się wraz z lechami i władzami do miasta, lubo księżna posyła po nich do domów w mieście. Mamy więc rozwiązane oraz pytanie: w jakim stosunku zostają do siebie trzy różne klasy występujących w naszej pieśni aktorów? *Kmiecie* są to owi znani w średnich wiekach najwyżsi sędziowie czescy; *lechy* są to powoływani z grona obywatelstwa prawoznawcy czyli główni znaleźcy, zasiadający tylko jednorazowo w sądzie, zresztą zamożniejsi ziemianie; *władzyki* wreszcie, owi *minus nobiles* (Denkm. str. 89), są zwyczajną publicznością każdego sądu saskiego.

Nasuwa się owszem na téj drodze osobliwsza skazówka do samejże nazwy lachów, Przypominając sobie bowiem różne w różnych stronach nazwania starogermańskich znaleźców, spotykamy także nazwę „lah, lah man,“ prawoznawca. Miała ona swój pierwiastek w starogermańskim wyrazie „lag“ albo „lög,“ według znanéj niższo-niemieckiej wymowy „lach“ albo „lech“ w dzisiejszym angielskim języku „law“, w duńskim „lowe, prawo“, a służyła mianowicie znaleźcom anglosaskim, ob. Lappenberg, Geschichte Englands I, 602 (lah-men). Ponieważ zaś między językiem wyszłych do Brytanii Saksonów, a pozostałych nad Elbą Sasów, panowało najściślejsze powinowactwo, przeto słuszną przypuścić, że i w nadelbańskiej Saksonii znaném było to słowo, a ztamtąd wraz z samémże prawem saskim przeszło do Czech. Jakoż zdarzają się wzmianki istotne, iż wyraz „lög, lech,“ prawo, brzmiał do późnych czasów nad niższą Elbą, że oznaczał tam właśnie „zgromadzenie sądowe“ (Grimm, str. 837 mene loeg, u Fryzów), a obejmując tém-samém wszystkie osoby zgromadzenia, przyłgnał mianowicie do głównych aktorów sądu, naszych znaleźców, nazwanych u brytańskich Saksonów „lah-man“, a u nadelbańskich Sasów i Czechów, zprosta „lech“, lechy.

Na wszelki wypadek odnosiło się to miano nie do pewnego ogólnego stanu obywatelstwa, lecz do samego *obowiązku* w zgromadzeniach sądowych, pełnionego tam chwilowo przez mianowanych lub obranych ku temu obywateli światlejszych i możniejszych. Po którémto wykazaniu tożsamości saskich znalców a naszych lechów, nie pozostaje już w „Pieśni o sędzie Libuszy“ żaden rys zwyczajowy, któremu byśmy nie wytknęli tu źródła i wzoru w średnio-wiecznych zwyczajach sądownictwa chrześcijańskiego. Nie masz témsamém w naszej pieśni żadnego śladu pogaństwa, nie masz wyłącznych pojęć prawnych słowiańskich, nie masz walki między prawem germańskiem a słowiańskiem. Jestto (jak powiedziano) obraz sceny sądowej chrześcijańsko-niemieckiej, pochodzący prawdopodobnie z epoki Rękopismu Króldworskiego, zastosowany przez poetę do pogańskich czasów Libuszy, a tak dalece przejęty zasadami prawa saskiego, że i ów niby słowiański wyrok równego podziału ojcowizny pomiędzy obudwóch braci zgadza się nie tylko z przedfeudalném prawodawstwem germańskiem, lecz nawet z dosłowném brzmieniem późniejszego Saxonu. Libusza i lechy nakazują podzielić się równą miarą, a Żwierciadło saskie powtarza po kilkakroć ten sam *nalez*, zalecając np. w księdze I, rozdział 5, aby każdy brat, nawet poświęcający się stanowi duchownemu, a więc dostatecznie na całe życie zaopatrzony. „otrzymał równą część dziedzictwa ojczystego wraz z resztą braci,—*obtinebit aequam partem cum fratribus in haereditate*.“ Toż nakoniec i owo poganienie, czyli *appellacya* do króla w Niemczech jest tylko *applikacyą* innego paragrafu Żwierciadła, nakazującego w ks. 2, rozdz. 12, „aby w razie poganienia wyroku, nastąpiło przedłożenie go najwyższemu sędziemu, a nakoniec królowi, *an den hōgesten richtere unde tolest vor den koning* (Grimm 865).“ Służy owszem ta ostatnia okoliczność za jeden z dalszych dowodów przeciw zbyt starożytnemu wiekowi pieśni naszej, ile że *appellacye* czyli naganienia podobne, uchodzą w historii praw germańskich powszechnie za owoc czasów późniejszych. (Eichhorn, Deutsche Rechtsgeschichte I, 225; Grimm 865 *späterhin*.)

~~~~~



# SŁOWIANIE W ANDALUZJI.



## 1. Starodawne związki Słowian z Hiszpanią.

Napróżno pytalibyśmy Słowian dzisiejszych o pamięć przedchrześcijańskich stosunków z Andaluzją. Nawet właściwe znaczenie *Andaluzya* potrzebuje dziś wyjaśnienia. Nazywała się tak w wiekach średnich, mianowicie w pierwszych połowie, cała przez Arabów opanowana Hiszpania. W tych to czasach i stosunki Słowian z władającymi w Andaluzji Arabami dobrze były wiadome. Osobliwie z wieku X-tego pozostało kilka jednogłosnych a nadzwyczajnie ciekawych świadectw w téj mierze.

Miedzy latami 943 a 948 pisał uczony Arab Massudy swoje historyczne dzieło *Łąki złota i kopalnie klejnotów*, w którym znajdujemy dwukrotną wzmiankę o Słowianach w Hiszpanii. Raz opowiada Massudy: „Najliczniejszy naród Słowian nazywa się Luzane. Prowadzi on handel aż do Andaluzji, Konstantynopola i Kazarów.“ W drugim miejscu czytamy o chowie bobrów w okolicach Kijowa, zkad futra bobrowe idą w handel do Andaluzji<sup>1)</sup>.

Najsławniejszym ze wszystkich arabskich królów Hiszpanii czyli kalifów Kordowy był Abdelrachman III<sup>2)</sup>, u którego pomiędzy dostojnikami dworu urzędował także mądry izraelita Chasadaj. Ten około roku 959 pisząc do króla Kazarów w Azyi, donosi między innemi, iż u kalifa Abdelrachmana bywają posłowie od cesarza greckiego, od króla Niemców i od króla narodu Gebalim, „którzy są Słowianami (*al-Sekalab*).“ W dalszym zaś ciągu wspomina list Chasadaja o nadeszłych właśnie posłach od tegoż króla

Słowian, z którymi przybyło także do Kordowy dwóch Żydów <sup>3)</sup>.

O tymże samym kalifie Abdelrachmanie III dowiadujemy się od pisarzy arabskich, iż przyjmował również poselstwa od jakiegoś króla Słowian imieniem Duku. Wracającemu posłowi książęcia słowiańskiego został przez Abdelrachmana przydany wzajemnie poseł z Kordowy, jakiś (mozarabski zapewne) biskup Hugo Rabia, który dopiero po dwóch latach powrócił z tej słowiańskiej wędrówki <sup>4)</sup>.

Najwymowniejsza atoli wzmianka o stosunkach Słowian z Arabami w Hiszpanii pochodzi z roku 976, od arabskiego imama Ebn-Haukala, który w swojej *Księdze podróży* opowiada: „Kraj Słowian jest tak wielkim, że na wschód dostarcza niewolników Korassanowi, na zachód zaś Andaluzyi. Andaluzjanie zakupują ich w Galicyi, we Francyi, w Lombardyi i Kalabryi, aby ich uczynić eunuchami, poczem wywożą ich do Egiptu i Afryki. Wszyscy eunuchowie słowiańscy, którzy gdziekolwiek są w świecie, pochodzą z Andaluzyi“ <sup>5)</sup>.

Jakkolwiek dziwną wydaje się ta wiadomość, nie jest ona przeto mniej wiary godną. Nie brak bowiem doniesień innych, utwierdzających ją w wysokim stopniu. Ebn-Haukal opowiada, iż Arabowie otrzymywali niewolników słowiańskich z Galicyi, Francyi, Lombardyi i Kalabryi, a wszystkie te kraje prowadziły wówczas istotnie bardzo skrzętny handel niewolnikami w strony arabskie.

Co do Lombardyi i Kalabryi, to jest co do Włoch całych (pod Lombardją rozumiano wszystek kraj włoski od Alpów aż do Rzymu)—tam zwłaszcza Wenecyanie trudnili się zakupowaniem i wywozem niewolników do Andaluzyi. Samą stolicą rzymską służyła im za targowisko takiego handlu. Odbływały się nad Tybrem głośnie jarmarki niewolników, o których np. pod rokiem 747 dowiadujemy się w żywocie świętego Zacharyasza, iż dostarczyły Wenecyanom wiele ludności niewolniczej, wywożonej przez nich następnie do krajów saraceńskich <sup>6)</sup>. Kiedy ustawy papieżkie i cesarskie zabroniły Wenecyanom parać się ludokupstwem po głównych miastach włoskich, powetowali oni tę stratę sposobem innym i weszli w porozumienie z liczną zgrają kor-

sarzów na morzach Adryatyckiem i Śródziemném. Ci łupem i taniem kupnem brali niewolników po wszystkich brzegach sąsiednich, a Wenecyanie wieźli ich w handel do Afryki i Andaluzji <sup>7)</sup>.

Nie było zaś brzegów obfitszych w łup i towar ludzki nad wybrzeża po słowiańskiej stronie morza Adryatyckiego, gdzie jeszcze w wieku XV-tym kwitnęły tak bogate targi na niewolników, jak np. Raguza <sup>8)</sup>. To też największa zapewne część tłumów niewolnych, sprzedawanych ludom muzułmańskim w owym handlu rzymskim, weneckim i korsarskim, składała się ze Słowian, którzy nawet od tego otrzymać mieli w tych stronach swoją nazwę Serwów, t. j. z łacińska *niewolników*, iż byli ofiarą ciężkiej niewoli <sup>9)</sup>.

Co do Francyi, tam walnemi stacyami handlu arabsko-niewolniczego słynęły wówczas miasta Verdun i Lyon. O Werduńczykach donosi około roku 948 biskup Liutprand, iż nie tylko dostawiali niewolników Saracenom w Hiszpanii, ale dla większego zysku zamieniali ich sami w eunuchów <sup>10)</sup>. W Lyonie trudnili się tym handlem najwięcej Żydzi, oskarżani o to wielokrotnie przed władzą cesarską i królewską, mianowicie przez arcybiskupa lyońskiego Agobarda (umarł roku 840). Pozostał jeszcze list jego *O niegodziwości żydowskiej*, w którym wycytujemy jak wiele cierpiał od Żydów i „przyjaciół żydowskich,” ponieważ upominał ludzi w kazaniach, aby nie dopuszczali Żydom kupować i wywozić niewolników do Arabów w Hiszpanii <sup>11)</sup>.

Droga z Hiszpanii na Lyon i Verdun prowadziła ku brzegom Renu i niższej Elby, t. j. w strony słowiańskie, będące właśnie teatrem najsroższego kupczenia ludźmi, i to głównie przez kupców izraelskich. „Kiedy Czesi“ — mówi o tém nawiasowo pisarz dzisiejszy <sup>12)</sup> — „sprzedawali jeńców i brańców polskich, kiedy koło 1160 Pomorzanie zbiegłych i schronienia u nich szukających Obodritów Polakom, Sorabom i Czechom sprzedawali — była to prawdziwa synów i córek w Słowiańszczyźnie sprzedaż.... Matka Bolesława Krzywoustego, królowa Judith (zmarła 1085) wielką liczbę chrześcijan z niewoli żydowskiej wedle możności wykupywała“ — bo „Żydzi w Polsce póki mogli, korzystali z tego i ludźmi handlowali“. Takież sam widok przedsta-

wiają słowiańskie kraje Czechy i Miśnia. W Czechach według doniesień w żywocie św. Wojciecha „sprzedawano niewolników chrześcijańskich niedowiarkom i Żydom.“—A kupcy żydowscy tak wielu jeńców i ludzi niewolnych za nie-szczesne zakupywali złoto, że biskup żadną miarą wykupić wszystkich nie zdołał <sup>13)</sup>. W Miśni niemieckiemu margrabiemu Goncelinowi w pierwszych latach wieku XI-go zarzucali współcześni, „iż wiele rodzin chrześcijańskich sprzedawał Żydom“ <sup>14)</sup>.

Jeśli zaś znany kronikarz niemiecki Thietmar, żyjący za czasów Ebn-Haukala, wyraża się przysłowiovo o mieszkańcach zniszczonej wojną osady: „poszli w rozsypkę jak rodzina słowiańska, która w różne strony idzie na sprzedaż w niewolę“—tedy słuszna przyjąć za pewne, iż jedną z tych *różnych stron* była droga na Verdun i Lyon do Hiszpanii. Przypominają się tu mianowicie owi dwaj Żydzi Chasdaja, towarzyszący poselstwu słowiańskiego króla Gebalimów do Abdelrachmana III, a bogdaj czy nie tym samym obładowani towarem, którym kupezyli owi Żydzi polskiej królowej Judyty, owi Izraelici czescy za dni świętego Wojciecha, owi izraelscy spółnicy markgraфа Miśni, jakoteż żydowscy ludokupcy Lyonu.

Otrzymywali wreszcie Arabowie niewolników naszych z Galicyi t. j. od brzegów morskich w zachodnio-północnym kącie Hiszpanii. Lądowały tam oddawna handlowe statki pewnego ludu, który nietylko sąsiedował ze Słowianami, ale nawet wzdłuż brzegów Bałtyku panował długo nad nimi, t. j. Normanów. Już od roku 827 grasowali ci korsarze wojennie po brzegach galicyjskich i portugalskich, a wiadomo, iż przed rozpoczęciem wojennych wypraw normańskich na pewne kraje bywały one pierwój odwiedzane od handlowych łodzi Normanów, które za powrotem na północ przywoziły pierwszą wiadomość o bogactwach zwiedzonej ziemi, i dawały pierwszą zachętę do zbrojnego na nią najazdu. Wziąwszy zaś na uwagę, iż głównym artykułem handlowych wypraw normańskich bywali niewolnicy, tudzież przypomniawszy sobie owe tłumne jarmarki na niewolników, które według świadectwa Helmolda odbywały się do późna u słowiańskich brzegów Bałtyku, przestaniemy się

dziwić, jakim sposobem Andaluzyjanie spotykać mogli Słowian w Galicyi.

Spotykano się z nimi w istocie po tych wszystkich krajach i drogach, któremi Ebn-Haukal tak tłumnie sprowadza ich do Hiszpanii. Widząc niewolników słowiańskich przybywających jedną stroną od wschodu z Lombardyi i Kalabrii, drugą stroną od zachodu i północy z Galicyi, miał Haukal zaiste słuszną dziwić się wielkości kraju, który tak różnym kresom świata dostarczyć mógł brańców swoich. Ze względu na takąż wszechstronność tamtoczesnej niewoli słowiańskiej nazywa Benjamin z Tudeli jeszcze w wieku XII całą Słowiańszczyznę krajem Kanaan, „z powodu, że jój mieszkańcy sprzedają swych synów i swe córki wszystkim narodom“<sup>15)</sup>. A jeśli czyjś tedy właśnie Benjaminowém świadectwem o niewoli słowiańskiej po wszystkich krajach słuszną sprawdzić świadectwo Ebn-Haukala o tłumnej niewoli Słowian w Hiszpanii, gdyż Benjamin był z zamieszkania Hiszpanem, z urodzenia Żydem, a tém samém spółwyznawcą głównych handlarzy ludźmi.

Nie brak więc różnostronnych skazówek, wyjaśniających wiadomość Ebn-Haukala. Co więcej, nie brak nawet szczegółowych doniesień o losach, jakich ci do arabskiej Hiszpanii wywożeni Słowianie doznali tam w ciągu wieków. Były to losy zrazu powszednie, później coraz pomyślniejsze, w końcu niezwykajnie świetne i wielkie. Donoszą o nich pisarze arabscy, opowiadający współcześnie lub bliskocześnie dzieje Maurów w Hiszpanii, podziśdzień w rękopisie, do niedawna po największej części nieznani. Zajmowali się nimi wprawdzie od zeszłego wieku uczeni europejscy, mianowicie bibliotekarz madrycki Casiri i Anglik Murphy. Tamten roku 1760 wydał w Madrycie dzieło pod tytułem „*Bibliotheca Arabico-Hispana Escorialnesis*“, ten w Londynie 1816 ogłosił swoją *Historję panowania Mahometanów w Hiszpanii*, „*History of the mahometan empire in Spain*“, głównie ze źródeł Kasirego czerpaną.

Obydwie te prace mieszczą wiadomości i wyjątki z arabskich dziejów Hiszpanii, zawierające niemało wzmianek o Słowianach w tym kraju, ale o ogólném bogactwie historycznej literatury arabskiej dają bardzo niedokładne wyo-

brażenia. Dopiero w roku 1820 wyszło w Madrycie zupełniejsze w téj mierze dzieło, napisane przez J. A. Conde pod tytułem: *Historia panowania Arabów w Hiszpanii*, „*Historia de la dominacion de los Arabes en Espana, sacada de varios manuscritos y memoryas arabigas*“, po niemiecku w przekładzie Rutschmanna w Karlsruhe 1824. Przedstawiając po raz pierwszy w obszerniejszych zarysach prawie całkowicie słowami historyków arabskich dzieje i urządzenia Maurów w Hiszpanii, nagromadził Konde zarazem najobfitszy zapas wiadomości o naszych Słowianach w Andaluzji. Z zawartych w jego dziele opowiadań arabskich, tudzież z dawniejszych wyjątków Kasirego <sup>16)</sup> podajemy, co następuje.

## 2. Straż słowiańska w Kordowie.

Najdawniejsza wzmianka o pobycie Słowian w Hiszpanii pochodzi z czasów emira czyli króla Hakema I, panującego Arabom hiszpańskim od roku po Chr. 796 do 822. Czytamy o nim w dziele Kondego: <sup>17)</sup> „Król Hakem zaprowadził u dworu straż przyboczną, złożoną z pięciu tysięcy zbrojnych, w liczbie których było 3,000 Mozarabów a 2,000 Słowian. Utrzymywał także król Hakem wielu eunuchów wewnątrz pałacu.“

Działo się to w sto lat po zawojowaniu Hiszpanii przez Arabów, a w lat pięćdziesiąt po nastąpieniu tam sławnej dynastji Omejów, władających pierwój wielkim kalifatem wschodu w Bagdadzie. Hakem I czyli całkowitem imieniem Alhakem ben Hiszem Abulasi był trzecim królem arabskim w Hiszpanii z dynastji Omejadów, a słynie jako jeden z najsamodzielniejszych monarchów swojego rodu. Starając się o nadanie nowemu państwu jak największą potęgę i świetności odznaczył się Hakem osobiwie uzupełnieniem brakujących mu porządków dworności oryentalnej. W zastosowaniu do niej należało otoczyć się jak najliczniejszymi tłumami niewolników, przeznaczonych do usługi i obrony monarchji. Jakoż dwór Alhakema ben Hiszem napełnił się w istocie tak wielkim tłumem służby niewol-



nój, jakiego według wyraźnych upewnień dziejopisów arabskich „nie utrzymywał przedtém ani dziad jego ani ojciec.“ Nastąpiła liczniejsza straż przyboczna, nastąpiła zgraja eunuchów. Straż nadworna pobierała żołd i składała się z dwóch oddziałów: jeden był konny, stał załogą w przyległych alkazarowi czyli dworowi królewskiemu koszarach i liczył 3,000 tak zwanych Mozarabów, t. j. dawnych chrześcijan andaluzyjskich, wynarodowionych pod panowaniem arabskiem, najczęściej renegatów. Oddział drugi służył pieszo, zamieszkiwał wnętrza alkazaru i składał się z 2,000 niewolników, zakupionych z krajów odległych, i pełniących także służbę pałacową przy osobie królewskiej.

Co ostatni byli to nasi Słowianie. Złożony z nich oddział nazywają dziejopisowie arabscy stale i wyraźnie „strażą słowiańską.“ Słowianami czyli zwyczajnóm brzmieniem arabskiem Seklabami lub Saklabami. W wyjątkach arabskich, u Kasirego ma ta nazwa jeszcze formę Skalab, Skalabi, w zakończeniu łacińskiem *Scalabaeus*, *Scalabitae*. Przyczynę téj różnicy wskazuje sam wydawca, żaląc się w przedmowie do swego dzieła, iż badanym przez niego rękopisom arabskim brakuje nierzadko samogłosek <sup>18)</sup>, przezco zmuszonym był umieszczać je dowolnie, a nie mając jeszcze uutorowanej zwyczajem drogi, trzymał się Kasiri powszechnéj w średnich wiekach łacińskiej formy *Sclavi* lub *Sclabi*, i zamiast dzisiejszego czytania *Saklab* czytał zwykle *Skalab*. Wiedział zresztą uczony bibliotekarz madrycki kto byli nazwani tak cudzoziemcy, gdyż na stronie 206 tomu II dodaje sam objaśnienie: „Skalabi są to Illyrowie, zwani pospolicie Słowianami, którzy pod owe czasy służyli zbrojno w Hiszpanii“ <sup>19)</sup>. Żadnemu téż z późniejszych pisarzy nie przyszło na myśl, mieć naszych Skalabów za co innego, a nowsi tłumacze dziejopisów arabskich Murphy i Konde, jako téż inni korzystający z nich pisarze jak Aschbach w swojej *Historii Omejadów* i Hammer-Purgstall w *Galerii żywotów najznakomitszych monarchów muzułmańskich* zarzucają nawet zupełnie formę arabską, i piszą zwyczajnym sposobem Słowianie, *Sclavonians*, *Eslavos*, *Slaven*, *Slavonier*.

Oprócz obowiązków w straży przybocznej pełnili Sło-

wianie w Kordowie jeszcze ową służbę eunuchów, do której w tak wielkiej liczbie przeznacza Ebn-Haukal niewolników słowiańskich w Andaluzji, t. j. w ogólności służbę pokojowców królewskich. W przytoczonym powyżej ustępie z opowiadań arabskich u Kondego, wzmianka o dwóch tysiącach Słowian w przybocznej straży króla Hakema łączy się bezpośrednio ze wzmianką o wielu eunuchach wewnątrz pałacu królewskiego, a owa wiadomość Ebn-Haukala o niezmierniej ilości eunuchów słowiańskich w Hiszpanii daje nam wszelką pewność, że i ci eunuchowie Kondego byli to w znacznej części Słowianie. Owszem według dalszych świadectw arabskich w Kasirim przeważała liczba Słowian tak dalece w tłumie eunuchów królewskich, iż nazwa Słowianin a eunuch stała się zupełnie równoznaczną. Ztąd np. zamiast „jeden z eunuchów zabił króla Alego“ mówiono „jeden ze Słowian zabił Alego“ <sup>20)</sup> — zamiast „wielu Słowian poniosło za to karę śmierci na krzyżu“ piszą kronikarze arabscy „wielu eunuchów poniosło karę śmierci“ <sup>21)</sup> — zamiast „Wadha dozorca pokojowców słowiańskich“ czytamy „Wadha dozorca eunuchów“ <sup>22)</sup> i t. d. Nakoniec słusznie czy niesłusznie przeszła nazwa eunuchów na całą straż słowiańską, oznaczoną tém oryentalnóm mianem równie u dawniejszych pisarzów arabskich jak i dzisiejszych chrześcijańskich. W skutek tego zamiast powiedzieć za Kondem, iż w przybocznej straży króla Hakema służyło 2,000 Słowian, liczy w niej oryentalista Herbelot 2,000 eunuchów <sup>23)</sup>, głośna zaś później wojna domowa między przybocznymi strażami słowiańską a afrykańską, nazywa się w arabskim kronikarzu Alhomaidim wojną eunuchów z Berberami <sup>24)</sup>. Z Czem nareszcie zgadzają się dzisiejsi przerabiacze wiadomości arabskich, pisząc jak Aschbach „słowiańscy eunuchowie w straży przybocznej“, <sup>25)</sup> albo jak Hammer-Purgstall „przez naczelnika słowiańskiej straży eunuchów“ <sup>26)</sup>.

I tém łatwiej zapewne rozciągnięto jedną ogólną nazwę na Słowian w straży i Słowian pokojowców \*), ile że

---

\*) Autor żywota Jana opata Gorczyńskiego (Pertz IV. 371.) w opisie poselstwa do Kordowy mówi o kalifie Abdelrachmanie III: „Przy-

ci i tamci byli zarówno niewolnikami, zakupionymi wraz z owym tłumem innych niewolników słowiańskich, których według Ebn-Haukala rozsyłano z Andaluzji dalej po różnych krajach. Pewien pisarz arabski opowiada, iż ponieważ nasi Słowianie w Kordowie nie rozumieli języka Muzułmanów, przeto dawano im nazwę Niemych, po arabsku *alcharas* <sup>27)</sup>). Znany zaś orientalista niemiecki Hammer-Purgstall mniema to słusznym odwetem za nazywanie Teutonów przez Słowian podobnie Niemymi czyli Niemcami <sup>28)</sup>). Inny pisarz arabski ma naszych Słowian andaluzyjskich za „cudzoziemców od wschodu“ <sup>29)</sup>), co ze względu na geograficzne położenie krain słowiańskich nad niższym Dunajem albo Wisłą i Dnieprem wobec półwyspu Pirenejskiego okazuje się rzeczą całkiem właściwą.

Nie zbywa nawet na poszlakach do oznaczenia poszczególnej ojczyzny niektórych Słowian w Hiszpanii. O jednym z najgłośniejszych naczelników słowiańskich o którym przyjdzie nadmienić więcej osobno, pozostała wiadomość, iż był rodem z Dalmacyi <sup>30)</sup>). Wielu Słowian w straży później-

---

stęp do niego rzadki i prawie żaden. Wszystko załatwiane bywa listownie przez sklawów pokojowców, *tantum litteris per sclavos cubicularios*.“ Jest wszelkie podobieństwo do prawdy, że ci *sclavi cubicularii* są to pokojowcy słowiańscy, *Slavi cubicularii*. Żywot opata Jana pisany był przed rokiem 984, a wtedy wyraz *Slavi* lub *Sclavi*, nieznany jeszcze w późniejszym znaczeniu niewolnika, znaczył jedynie Słowianina. Jakoż we wszystkich dziesięciu tomach Monumentów „Germaniae“ Pertza, w których źródła dziejów niemieckich doprowadzone są aż po wiek XI, a z których każdy jest opatrzone starannym indexem średniowiecznej łaciny, znajdujemy wyraz *Sclavi* jako rzeczownik oznaczający niewolników tylko raz jeden, i to właśnie w przytoczonym tu ustępie o pokojowcach w Kordowie. Godzi się przeto wnosić, że i w tym razie jedynie użyty jest wyraz *Sclavi* w właściwem znaczeniu narodowości, nie zaś w nieużywanym jeszcze znaczeniu niewolnika. Posługujący opat Gorczyński Jan, prowadzony do Kordowy przez jednego z owych mieszkańców miasta Werdunu, którzy tylu eunuchów z niedalekich sobie okolic słowiańskich wyprowadzili w handel do Andaluzji, z daleko mniejszem zapewne zdziwieniem spotkał pokojowców słowiańskich u dworu Abdelrachmana III, niż my spotykamy ich w opisie jego poselstwa.

szego kalifa Abdelrachmana III-go wyprowadza jeden z nowych pisarzy <sup>31)</sup> z krajów słowiańskich pod panowaniem węgierskiem, będących istotnie niepośledniem roiskiem ludokupstwa pod owe czasy. Prowadziły ztamtąd mianowicie dwa różnostronne trakty handlowe, któremi niewolnicy wielkomorawscy dostać się mogli nakoniec do Hiszpanii. Jeden szedł w stronę zachodnią, ku Francyi, owém pograniczem bawarskiem, kędy przepisy niemieckiego króla Ludwika z roku 906 uwalniały handel niewolnikami morawskimi od wszelkiej opłaty celnój. <sup>32)</sup> Drugi wiódł na południe ku Wenecyi, z którą Węgrzy od najpierwszych czasów swego wtargnięcia do Wielkiej Morawii ciągle utrzymywali stosunki. Z Francyi zaś i Wenecyi otwierała się biednym „Kanaanitom“ morawskim daleko łatwiejsza droga do Arabów w Kordowie niż nazad do ojczyzny. — Na galicyjskie wreszcie targi przybywał niewolnik słowiański najprawdopodobniej z okolic nadelbańskich, zkąd dowoził go Arabom w Hiszpanii bądźto Niemiec ową drogą na Verdun, bądź kupiec normański morzem wzdłuż brzegów Francyi.

Podobnie i pora najpierwszego pojawienia się Słowian w Hiszpanii licuje z wiadomemi zkądinąd zdarzeniami, które mogły wpłynąć na to zjawisko. Zaprorowadzenie straży słowiańskiej i eunuchów przez króla Alhakema I. nastąpiło między latami 796 i 822, a też właśnie czasy dały początek najsroźszej pladze podbojów i ludokupstwa w ziemiach słowiańskich. Po owym albowiem roku 747, kiedy na targach w Rzymie kupowano publicznie niewolników do wywozu w strony arabskie, wzmógł się najbardziej korsarsko-wenecki handel ludźmi wzdłuż słowiańskich wybrzeży Adryatyku. Od roku 789 uderzyły w Słowiańszczyznę nadelbańską pierwsze wojenne szturmy Franków i Niemców, łączone każdym razem z uprowadzeniem tłumów słowiańskiego ludu w niewolę. W tymże samym nakoniec czasie zaczęły u zachodnich brzegów Hiszpanii pokazywać się łodzie normańskich handlarzy ludźmi, niemyłne zwiastunki blizkich napadów zbrojnych.

Od czasów Alhakema I nie słyhać przez dłuższe lata o Słowianach w Kordowie, lecz że się znajdowali u dworu, tego dowodzi następująca wzmianka z czasów króla Abdalli,

między rokiem 888 a 912, dająca nam obraz ich uzbrojenia i pochlebne świadectwo wziętości, na jaką sobie zasłużyli u ludu.

„Gdy Abu Otman usunął się od urzędu wezyra“ — opiewa dosłownie opowiadanie arabskie<sup>33)</sup> — „przełożył go król Abdalla nad swoją strażą słowiańską, złożoną z samych cudzoziemców od wschodu. Byli oni w wielkiem poszanowaniu, i odznaczali się osobliwszą powagą w postawie i obyczajach, wypróbowaném mężstwem, wiernością i przychylnością. Słowianie pełnili służbę wewnątrz pałacu, a każdy był uzbrojony mieczem do uderzenia oburącz, tarczą i berdyszem.“

Po Abdalli nastąpił ów Abdelrachman III, czyli całkowitem imieniem Abdelrachman ben Mohamed ben Abdalla Anazir Ledinalla, który przyjmował poselstwa od króla słowiańskich Gebalimów i od słowiańskiego księcia Duku — najslawniejszy z arabskich władców Hiszpanii. On to pierwszy z emirów, czyli królów swojej dynastii przybrał tytuł kalifa, który kronikarze łacińscy tłumaczą wyrazem „cesarz.“ Licznie od różnych monarchów tamtoczesnych nadsyłane do jego tronu poselstwa, stojące dotąd ruiny wznoszonych przezeń gmachów, przechowane dotąd rękopisy wspieranej przezeń literatury arabskiej, świadczą podziśdziej o niezwykłym blasku jego korony. Panując z bezprzykładną okazałością przez lat pięćdziesiąt (od roku 912 do 961), rozszerzył i uświetnił Abdelrachman wszystkie po przodkach odziedziczone porządki swojego państwa.

Doznała tego i założona przez Alhakema I. straż królewska, mianowicie słowiańska. Cała gwardya przyboczna składała się teraz z 12,000 ludzi w trzech różnonarodowych oddziałach, t. j. ze Słowian, z Mozarabów andaluzyjskich i Maurów afrykańskich czyli Zenetów. Jak te dwa ostatnie oddziały tak i oddział słowiański urósł pod Abdelrachmanem do liczby 4,000 zbrojnych.<sup>34)</sup> Według innych doniesień utrzymywał ten kalif u swego dworu razem 6,087 Słowian.<sup>35)</sup> Być może iż wskazana powyżej liczba czterech tysięcy oznaczała tylko hufce Słowian w straży przybocznej, reszta zaś 2,087 pełniła służbę pokojową przy osobie kalifa. Na wszelki wypadek tak ci pokojowcy słowiańscy

jak i zbrojni Słowianie w straży przybocznej, zapelniając wnętrza alkazaru, otaczali ciągle monarchę, i mieli przeto daleko bliższy przystęp do jego powiernictwa i względów niż obadwa inne oddziały, to jest konni Mozarabowie i Afrykanie.

W takim to bezpośredniem pobliżu tronu widzimy straż słowiańską za Abdelrachmana III-go, około r. 949, przy uroczystém przyjęciu poselstwa cesarza bizantyńskiego, jako téż nazajutrz po śmierci tego kalifa w roku 961, przy intronizacyi jego następcy Alhakema II.

Mianowicie ta ostatnia scena — opowiadają źródła arabskie<sup>36)</sup> — odbyła się bardzo wspaniale. „Siedzącego na tronie monarchę otaczali jego bracia, stryjowie i naczelnicy straży przybocznych, tak słowiańskiej jak andaluzyjskiej i afrykańskiej. Naprzeciw tronu stał - hadżib wraz z wezyrami. Straż słowiańska, uszykowana w dwa rzędy, trzymając w jednej ręce miecze nagie, w drugiej tarcze ogromne, zajmowała w półkolu całą objętość sali. Za nią ustawieni byli również w dwóch rzędach niewolnicy murzyńscy w białym stroju, z toporami na ramionach. Na dziedzińcu przed pałacem stały inne oddziały straży, t. j. straż andaluzyjska i afrykańska, w przepysznym stroju i świetnej zbroi. Resztę placu zapelniali biali niewolnicy, z nagiemi mieczami w ręku.“

Ale nietylko do popisów przy uroczystościach podobnych doprowadziła Słowian w Kordowie poniewolna służba w szeregach straży i w gronie eunuchów pałacowych. Wsparci łaską kalifów i zbiegiem pomyślnych okoliczności, wzniesli się niektórzy za następców Alhakemą II-go, w początkach wieku XI-go, na stopień najznakomitszego urzędu dworu, t. j. urzędu hadżibów, w Kordowie tyle co pierwsi ministrowie w rzeczach pokoju i wojny. Inni sięgnęli jeszcze wyżej, i korzystając ze srogięj wojny domowej, która podówczas w drobne okruchy rozbiła państwo Omejów, potrafili zostać całkiem niezawisłymi władzcami w kilku takich odłamkach. Najpierw wspomnimy o hadżibach.

### 3. Hadżibowie czyli wielkorządzczy słowiańscy.

Było takich wielkorządców słowiańskich pod różnymi królami pięciu: Wadha, Hajran, Naja, Razikala i Sekan. Wyszli oni bądźto z szeregów straży, bądźto z grona eunuchów. Przed dokładniejszą wzmianką o każdym z nich poszczególne, przypomnijmy kilka ogólnych rysów z starożytnej historii Wschodu, ułatwiających nam zrozumienie dziwnie świetnej niezwykłości ich losu.

Nic powszedniejszego niegdyś na Wschodzie jak podobne przechodzenie z więzów do panowania. Jak nam dziś nietrudno zgodzić się na wiadomość, że wielu starożytnych Słowian szło w niewolę na Wschód, i służywało tam wstrząsy lub za eunuchów, tak każdemu z dawniejszych Arabów naturalną było rzeczą wnioskować dalej, że niejeden z tych słowiańskich żołnierzy lub eunuchów został z pewnością wielkorządcą prowincyi, a nawet panem królestwa.

Ledwie bowiem nie wszystkie trony orientalne ulegały przez jakiś czas przemocnemu wpływowi naczelników gwardyi sułtańskiej, albo nadwornej zgrai eunuchów — i ledwie nie wszyscy z takich przemocnych z początku naczelników, później zwyczajnie rządzców prowincyi a nawet uzurpatorów tronu, byli zakupionymi z zagranicy niewolnikami.

Najbliższym przykładem podobnych oddziałów straży są Janczarowie tureccy i Mamelucy egipscy. Oba te pułki przydworne rekrutowały się z poturczonych brańców postronnych, pomiędzy którymi najzdolniejsi dobijali się z czasem dowództwa w pułku, wszechwładzy w państwie. Janczarowie trzęśli w ten sposób przez długi czas tronem sułtanów w Konstantynopolu. Mamelucy t. j. po arabsku tyle właśnie co *niewolnicy*, z pierwotnych stróżów dawnej dynastyi władców Egiptu, stali się w połowie wieku trzynastego jedynymi władzcami kraju. O tych ostatnich mówi jeden z najsłynniejszych badaczy historii orientalnej, Hammer-Purgstall w swoich dziejach państwa Ottomańskiego (I. 756): „Nazwa Mameluków znaczy, jak wszyscy wiedzą, zakupionych w młodości niewolników, z których kalifowie tworzyli sobie najpierw straż przyboczną, a którym za

podupadnięciem władzy kalifów obalanie tronu codzienném stało się zatrudnieniem. Mnodzy z takich niewolników tureckich zasiedli na tronach jako założyciele nowych dynastyj w różnych krajach szerokiego państwa kalifów. Nigdzie jednak władza monarsza nie spoiła się tak nierozłącznie z pochodzeniem niewolném, nigdzie niewolnik jako taki nie miał bliższego prawa do tronu jak w Egipcie, gdzie Mamelukowie od upadku domu Ejub aż do podbicia przez Osmanów, przez blisko półtrzecia wieku na jednym z najpotężniejszych tronów Wschodu władali.“

Podobnie i eunuchowie bywali poturczonymi w niewoli cudzoziemcami. Pełniąc służbę pokojowców przy osobie monarchów, umieli niektórzy zjednać sobie łaskę i zaufanie swoich panów, dochodzili najwyższych urzędów i dostojęstw, stawali się wszechwładnymi rządcami państwa. Działo się to nie tylko w krajach Islamu, lecz nawet u dworu cesarzów greckich, w chrześcijańskim Konstantynopolu, gdzie eunuch Eutropiusz za cesarza Arkadyusza, Chryzafi za Teodozego i jego siostry Pulcheryi, Narzes za Justyniana, posiadli równie głośnie imię w historii bizantyńskiej jak hadżibowie słowiańscy u dziejopisów arabskich. W państwach mahometańskich na Wschodzie cztery najwyższe urzędy dworu t. j. marszałkowstwo dworu męskiego, marszałkowstwo harem, podskarbstwo i podkomorstwo, obsadzone były zwyczajnie eunuchami.

Do takichto usług w szeregach straży lub w gronie eunuchów używani w Andaluzji niewolnicy słowiańscy mogli z łatwością osiągać również wysokie stopnie fortuny. W każdym razie przyszło zmienić całkowicie swoją postać zewnętrzną, przybrać religję mahometańską, przyodzierać i nazywać się po arabsku. Czynili to Słowianie za przykładem innych towarzyszy niewoli, i bądź to z pogańskich bądź z chrześcijańskich stron Słowiańszczyzny napływając za kupnem do Kordowy, bądź to do straży bądź w eunuchów poczet wcieleni, przyjmowali dobrowolnie lub przymusowo wiarę Islamu, przyswajali sobie strój, język, obyczaje mahometańskie. Dawne imię rodzinne ustępowało nowemu, albo zostało dziwacznie wykrzywione w ustach i rękopisach arabskich.



Ztąd lubo imona niektórych udostojnionych w Hiszpanii Słowian jak np. Naja, Razikala, Zahor i t. p. ludzą niejakiem podobieństwem do brzmień słowiańskich, są to zapewne brzmienia mahometańskie. Miana zaś niektórych hadżibów jak Hairan, Zohair i nawet tak słowiańskiego na pozór dźwięku Wadha lub Wada, należą do powszechnie znanych nazw orientalnych, używanych przez wielu głośnych w historii i literaturze Arabów. W kilkadziesiąt lat później, pod koniec historycznej roli Słowian w Hiszpanii, występują w arabskich kronikach Andaluzji niektórzy Słowianie pod całkiem mahometańskim imieniem, jak np. „Słowianin Muhamed ben Abi Siar”—„Słowianin Muhamed ben Zejad“ i t. p.

W takim przeistoczeniu co do miana, wiary, stroju, urzędu, wyglądali nasi hadżibowie słowiańscy raczej jak rodowici Muzułmanie niż synowie okolic nadwiślańskich lub naddunajskich. Mimo to wszystko pamiętają im źródła arabskie zawsze ich pochodzenie słowiańskie. Każdemu z wymienionych tu naczelników słowiańskich towarzyszy w kronikach andaluzyjskich nieodstępny przydomek „Słowianin, *Alsaklab*“ u Kasirego powszechnie *Scalabaeus* jak np. „Wadha Słowianin,“ „Hajran Słowianin,“ „Naja Słowianin“ i t. p.

Bo też właśnie to starannie przez Arabów przypominane pochodzenie zagraniczne ułatwiło Słowianom najbardziej odegranie tej roli, w jakiej zna ich historia andaluzyjska. Będąc albowiem cudzoziemcami, bez osobistych koligacyj i stosunków w Hiszpanii, wzbudzali oni najwięcej zaufania w kalifach i użyci do ważnych a hojnie wynagradzanych posług, mieli powód odplacać im wzajemnie wiernością i poświęceniem. Jakoż wszyscy hadżibowie słowiańscy odznaczyli się osobliwszem przywiązaniem do dynastji Omejów, i dopiero po ich całkowitym upadku śmieli przywłaszczyć sobie pojedyncze udziały ich spuścizny.

Trzymając się zaś Omejów, trzymali się Słowianie tym wierniej swoich własnych rodaków u steru rządów. Naczelnicy słowiańscy i Słowianie w stopniach podrzędnych, Słowianie w straży przybocznej, i w orszaku eunuchów, tworzyli razem ściśle zbratane z sobą stronnictwo. Przez cały kilku-

dziesięcioletni przeciąg gościnnego występowania Słowian w Hiszpanii, nie wspominają kroniki arabskie o żadnej pomiędzy nimi niezgodzie. Każdy bądźto z szeregów straży bądź z grona eunuchów wywyższony naczelnik opierał się w planach ambicyi na zbrojnym hufcu swego plemienia, miewał oden pomoc gotową, i choćby pierwotnie należał do grona pokojowców, uchodził u dziejopisów arabskich zawsze za dowódcę straży słowiańskiej.

Żyjąc w tak ścisłej z sobą jedności, umieli Słowianie wzmocnić się nadto przymierzem z pewnym potężnym stronnictwem samegoż kraju. Było niém tak zwane stronnictwo Alamerydów, złożone z członków i przyjaciół rodziny przemożnego hadżiba Almanzora. Poczynający się temi czasy upadek dynastyi Omejadów tém się głównie objawił, że nowy od roku 976 kalif Kordowy Hiszem II-gi, naprzód przez dłuższy czas małoletni, później jedynie rozkosznej samotności w ogrodach swego alkazaru oddany, nie zajmował się zgoła rządami państwa, lecz zostawiał je całkowicie hadżibowi Almanzorowi. Nie czyniło to wprawdzie uszczerbku sprawom publicznym, gdyż hadżib Muhamed ben Abi Abdalla ben Abi Amer Almanzor, liczył się do najzasłużeńszych mężów Hiszpanii muzułmańskiej, i bądźto swojemi pięćdziesięciu zwyciężkami bitwami przeciwko chrześcijanom, bądźto osobliwszą dbałością o podniesienie nauk, mianowicie założeniem sławnej akademii umiejętności i sztuk nadobnych w Kordowie, uświetnił w wysokim stopniu długie panowanie Hiszema. Otaczała go też wielka liczba czcicieli, stronników, krewnych, których od pięknych ogrodów Alamerya, darowanych Almanzorowi przez kalifa Hiszema, a będących zwyczajnem miejscem rodzinnych, uczonych i dyplomatycznych u niego zebrań, nazywano powszechnie Alamerydami<sup>87)</sup>. Jako przyjaciele wiernego Omejadom hadżiba odznaczała się Alamerydzi przychylnością dla téj dynastyi i pociągnęli tém ku sobie również wiernych Omejom Słowian.

Zdarzają się owszem mniemania, jakoby jeszcze ściślej-  
szy związek zachodził między Almanzorem a Słowianami.  
Znajdujemy bowiem u niektórych pisarzów, niewskazują-  
cych przeciw źródła podania swego, iż Almanzor pierwszy

zaprowadził straż słowiańską w Kordowie<sup>38)</sup>. Nazwa zaś stronnictwa Alamerydów, którą odtąd rozciągano także na Słowian, miała pochodzić od imienia rodziny Almanzorowój Aamer, z arabska Alaamer. Wiedząc atoli z pewnością, iż Słowianie, od przeszło stu pięćdziesięciu lat wcześniej, służyli u dworu królów andaluzyjskich, nie możemy sobie zaprowadzenia straży słowiańskiej przez Almanzora wytłumaczyć inaczej, jak tylko że Almanzor o wiele ją powiększył. Bądź jak bądź stanowili już Słowianie za Almanzora znaczną potęgę u dworu królewskiego w Kordowie, a zespoliwszy się ze stronnictwem Almanzorowóm, podzielali zwyczajnie jego nazwę. Ztąd „Alamerydzi i Słowianie“ — „Słowianie i Alamerydzi“ powtarza się na każdej karcie opowiadań arabskich; prawie wszyscy Słowianie miewają przydomek Alamerczyk, *el Alameri*, spotykamy się nawet z wyrażeniem „Słowianie alamerydzczy.“

Na mocy zasług wszechwładnego hadżiba Almanzora nastąpił po nim w dostojęństwie ojcowskiem jego syn Abdelmelik (roku 1002), który tak świetnie utrzymał powagę domu, iż po rychłym jego zgonie (roku 1008) przeszło wielkorządztwo jakoby dziedzictwem na drugiego syna Almanzora imieniem Abdelrachman. Ale ten okazał się człowiekiem nieudolnym i lekkomyślnym, a król Hiszem nie umiał zastąpić go kim innym, ani własną ręką sterować państwa. Przyszło więc do publicznych niesnasek i zamieszek, na których czele stanął Muhamed Abdeldziabar, daleki krewniak Omejów. Wybuchło powstanie pod Muhamedem, Abdelrachman zginął na krzyżu w opanowanej przez powstańców Kordowie, Muhamed został hadżibem (r. 1009). Dalsze jego zamysły wyprowadziły na scenę pierwszego z hadżibów słowiańskich Wadchę, po którym wystąpili z kolei Hajran, Naja i inni. Wmieszanie się Słowian pod ich naczelnictwem w wewnętrzne zamieszki kraju przybrało odtąd tak wielką wagę, iż jeden z nowszych badaczy dziejów andaluzyjskich opowiadając w osobnym rozdziale należące tu zajścia, daje mu napis: „Stronnictwa andaluzyjskie, alamerydzkie, *słowiańskie* i afrykańskie“<sup>39)</sup>. Osobliwie zaś historia hadżiba Wadhy przedstawia rolę Słowian w pośród innych stronnictw ówczesnych w świetle wcale przyjazném, gdyż w wysokim

stopniu bezinteresowaną, jedynie dla dobra ulubionej dynastyi Omejadów podjętą, pełną ludzkości i poświęcenia.

#### 4. Hadżib Wadha. <sup>40)</sup>

Wdarcie się Muhameda Abdaldżiabar na dostojność hadżiba wywołało długi szereg wojen domowych, które w znacznej mierze były tylko walką pomiędzy różnymi oddziałami straży nadwornej. Oddział słowiański trzymał z przygnębionym teraz domem Almanzora. Muhamed protegował i miał na swoje rozkazy oddział andaluzyjski. Afrykanów zaczął nowy hadżib upokarzać wszelkimi sposobami i prześladować. Nie inny los czekał samego króla Hiszema. Muhamed postanowił odebrać mu tron i życie, i zmyślił najprzód pogłoskę o ciężkiej chorobie króla. Widząc zaś jak mało lud Kordowy troszczy się o życie swego kalifa, przystąpił niezwłocznie do morderczego zamachu. Miano już zabić Hiszema, kiedy dowiedział się o tém Słowianin Wadha, nazywany jeszcze inaczej Wadheh albo Wazihu <sup>41)</sup>, przydomkiem *El Alameri* albo *Alsaklab* <sup>42)</sup>. Był to podkomorzy czyli nadzorca słowiańskich pokojowców króla Hiszema <sup>43)</sup>, nadzwyczajnie przywiązany do swego pana. Ulitowawszy się losu kalifa, udał się do hadżiba Muhameda z przedstawieniem, jak niepotrzebném byłoby zamordowanie Hiszema. „Po cóż broczyć się krwią nieszczęsnego“ — rzekł do Muhameda — „jeśli i bez niej możesz dopiąć swoich zamiarów? Dość będzie ukryć Hiszema na całe życie w więzieniu. Ja sam wskażę najłatwiejsze do tego środki.“

Muhamed Abdeldżiabar usłuchał rady przywiązanego Słowianina \*). Porwano nocą jakiegoś ubogiego człowieka,

\*) O dwadzieścia kilka lat wcześniej inny Słowianin w tychże południowych stronach Europy innemu cesarzowi ocalił życie. Był to cesarz rzymski Otto drugi, wojujący w południowej Italii z Grekami i Arabami, i rozgromiony od nich w bitwie pod Bassentellą nad morzem r. 982. Ścigany od nieprzyjaciół Otto, nie widział innego sposobu ocalenia jak skoczyć z koniem w morze, i dopłynąć krążącego opodal statku, gdzie w istocie przyjęli go żeglarze. — „Na nieszczęście byli to Grecy z wyjątkiem jednego Słowianina,

według chrześcijańskich kronikarzy chrześcijanina<sup>44</sup>), bardzo podobnego z postaci i rysów twarzy do króla, i uduszonego wsunięto w pościel królewską. Hiszem tymczasem został potajemnie uwieziony z pałacu i pod srogiem zamknięciem ukryty w domu pewnego poufnego wezyra. Jednocześnie rozpuszczono fałszywą wiadomość o coraz większym niebezpieczeństwie chorego króla, potem o mianowaniu przezeń Muhameda następcą, nareszcie o śmierci kalifa. Mniemany Hiszem został włożony w trumnę i z nadzwyczajnym przepychem pogrzebany. Muhamed Abdeldziabar wstąpił na tron Omejów, przybrawszy jako nowy kalif przydomek *el Mohdi Bila* t. j. Uśmiericiel (r. 1009).

Pierwszym krokiem jego rządów był rozkaz wydalenia z miasta powszechnie nieulubionej straży afrykańskiej. Stawiony przez nią opór przywiódł do krwawej walki, w której oddział andaluzyjski wraz z ludem miejskim wyrzucił Afrykanów z Kordowy. Wszakże za murami miasta skupili się zwyciężeni i obrali sobie wodzem niejakiego Sulejmana, który zaprowadził rozbitków ku granicom chrześcijańskim, gdzie im przybyły posiłki od hrabi czyli z arabska „króla“

---

który znał dawniej cesarza. Ten ubrał go w suknie swoje i dał mu do zrozumienia, aby się niczem nie zdradzał. Żeglarzom zaś oznajmił, że to jeden z urzędników Ottona, mający pod swoją strażą skarby cesarskie, które znajdują się w Rosanno. Gdyby go żeglarze chcieli zawieźć do tego miasta i puścić go tam na wolność, dałby im za to większą połowę skarbów. Nad to wszystko ofiarował się Słowianin w zakład za dotrzymanie umowy, co tak ujęło Greków, że popłynęli natychmiast do Rosanno. Po zbliżeniu się do brzegu udał się Słowianin do miasta, rzekomo aby przystawić skarby, w rzeczy zaś aby biskupa Teodoryka uwiadomić o niewoli i przybyciu cesarza.“ Biskup sprowadził co prędzej ludzi cesarskich, pod których zasłoną wyskoczył Otto II-gi na ląd i pognął cwałem do miasta. Giesebrecht „Kaiser Otto II“ w Raumera „Jahrbücher des deutschen Reiches“ II. 79. — Do południowej Italii oprócz wspomnianych u wstępu ludokupców weneckich i korsarzy italskich, wywozili Słowian jeszcze rozbójnicy normańscy, nawiedzający w wieku XI wybrzeża dalmackie i kroackie. Safarik „Starozitnosti Slovanske“ str. 674—675. Znaczna zaś część południowej Italii była zajęta podówczas przez Arabów, którzy niewolników słowiańskich dostawali dalej swoim pobratymcom w Afryce i Hiszpanii.

kastylijskiego Sankcyusza. Kalif Muhamed el Mohdi na czele straży andaluzyjskiej musiał wyruszyć w pole przeciw sprzymierzonym nieprzyjaciołom, i poniósł niebawem stanowczą klęskę. Sulejman ze swymi Afrykanami i posiłkowym oddziałem chrześcijańskim stanął u bram opuszczonej stolicy (roku 1009).

Tam przewodził teraz Słowianin Wadha. Ze wszystkich oddziałów straży przybocznej, największą wziętość u ludu posiadali jak się zdaje Słowianie. Po wyparciu Afrykanów, a oddaleniu się straży andaluzyjskiej z kalifem Muhamedem, objęli oni główne przewodztwo miasta. Nie mając jednak dość siły, nie chcieli Słowianie opierać się zwyciężkim sprzymierzeńcom. Sam Wadha nakłonił mieszczan, aby ulegli chwilowemu naciskowi okoliczności. Zawięzały się układy pomiędzy Sulejmanem a Wadhą, na mocy których mieszkańcy zobowiązali się otworzyć bramy miasta, a Sulejman przyrzekł okazać nawzajem niektóre względy ludowi. Po niedługim czasie weszli Afrykanie z posiłkami chrześcijańskimi do stolicy. Sulejman kazał obwołać się kalifem i przyjął przydomek *Al Mostain Bila* t. j. Wzywający Boga o pomoc.

Panowanie nowego władcy było według przewidzenia Wadhy bardzo nietrwałe. Wiele różnych przyczyn współdziałało ku jego upadkowi. Dawna niechęć przeciwko Afrykanom wzmogła się teraz religijną odrazą, jaką wzbudzały ich chrześcijańskie posiłki. Przychylni Omejadom Słowianie pragnęli dawnego porządku rzeczy, i różnemi środkami próbowali osłabić Sulejmana. Naprzód chciała nakłonić go straż słowiańska, aby dla ujęcia mieszkańców wymordować kazał sprowadzonych ze sobą chrześcijan. Nie przystał na to Sulejman, lecz zapobiegając rozruchom, wyprawił swoich sprzymierzeńców z Kordowy, czém znacznie uszczuplił swoje siły. Następnie zgłosił się do niego Wadha i rzekł: „Kalif Hiszem nie umarł jak rozgłoszono, lecz żyje w bezpiecznem ukryciu. Jedyną drogą do uspokojenia państwa jest przedstawić go narodowi i wrócić mu tron jego przodków. Uczyni tak a zjednasz sobie serca wszystkich mieszkańców.“ — Sulejman odpowiedział: „Postąpiłbym chętnie według zdania twojego, lecz obecny stan rzeczy stoi na przeszkodzie. Nie godzi się powierzać państwa tak słabym rękóm. Uspokój

się przecież Wadha, prędzej czy później przyjdzie czas na Hiszema.“

Największych jednak przeciwności doznał Sulejman od swojego wygnanego rywala. Muhamed el Mohdi poszedł za jego przykładem i pozyskał także posiłki chrześcijańskie. Z temi uderzył co rychlej ku stolicy, zkąd musiał przeciw niemu wyruszyć Sulejman. Przy pierwszém spotkaniu nieprzyjaciół zanosło się na krwawą bitwę, która wypadła nieszczęśliwie dla Sulejmana. Muhamed z przymierzeńczym oddziałem chrześcijańskim opanował Kordowę i ujrzał się znowu u steru rządu (zawsze roku 1009).

Taka zmienność losów ustaliła znaczenie Wadhy w Kordowie. Dla zjednania sobie jego wpływu mianował go Muhamed swoim hadżibem czyli pierwszym ministrem. Dalsze wypadki jeszcze wyżej podniosły Wadzę i Słowian. Już bowiem nazajutrz po swojej klęsce pokrzepił się Sulejman i odnowił wojnę domową. Stawiający mu czoło Muhamed wrócił pobity do stolicy, którą opasało wojsko Sulejmanowe. Oblężeni mieszkańcy nie sprzyjali połączonemu z chrześcijanami Muhamedowi ani Sulejmanowi i jego Afrykanom. Témcı bliżej skojarzył się Muhamed ze Słowianami, których fortuna rosła coraz świetniej z dniem każdym. „Hadżib Muhameda, Słowianin Wadha“ — opowiadają dziejopisowie arabscy — „posiadał całe zaufanie swojego pana, i z nieograniczoną władzą wydawał rozkazy we wszystkich sprawach. Wszystkie urzędy przeszły z ramienia Wadhy w dzierżenie Słowian i Alamerydów, którego żądaniom nie śmiał sprzeciwiać się Muhamed. Wreszcie najrozsądniejszym obywatelom Kordowy sprzykrzyła się taka przewaga Słowian, czemu oni nietylko nie starali się zaradzić, lecz owszem jeszcze bardziej wzbudzali niechęć przeciwko sobie, dając radę Muhamedowi, aby kilku najmożniejszych szejków i wezyrów skazał na wygnanie z Kordowy, pod pozorem jakoby miotali krzywdzące słowa na niego, i ściągali tém podejrzenie na siebie.“ \*)

---

\*) Conde Historia I. 571. „El eslabo Wadha su Hagib era toda su confianza, y mandaba con absoluto poder...”

Właściwym atoli przedmiotem życzliwości Słowian był nie Muhamed, lecz dom Omejów i nieszczęśliwy Hiszem. O jego to przywróceniu myśleli oni teraz za Muhameda jak nie dawno za Sulejmana. Wspomniona tu rada wygnania podejrzanych o spiski obywatelów, mająca podać Muhameda w coraz większą niechęć u ludu, mogła ułatwić powrót królowi Hiszemowi. W tejsze myśli uwiadomili Słowianie potajemnie naczelnika chrześcijańskich posiłków imieniem Armengudi, jakoby Muhamed zamierzył wymordować swych sprzymierzeńców, co tak dalece przejęło trwogą chrześcijan, że mimo najusilniejsze zapewnienia Muhameda nie chcieli pozostać dłużej w Kordowie, i wyjściem swoim sprawili mu znaczny ubytek w ludziach. Tymczasem wojsko Sulejmana coraz natarczywiej szturmowało do miasta. Ściśniony zewsząd Muhamed stracił wszelką nadzieję utrzymania się przy koronie. Wtedy według życzeń Wadhy i Słowian a przepowiedni Sulejmana „przyszedeł czas na Hiszema.“ Opowiadają o tém dziejopisowie arabscy u Kondego:

„Słowianin Wadha el Alameri korzystał z pogodnej chwili, aby przedstawić Mahamedowi niebezpieczeństwa, które go ze wszystkich stron otaczają. Dla powiększenia jego obawy odkrył mu knowane przeciw niemu zamachy, opisał niepewną wierność straży przybocznej i niezgodę pomiędzy różnemi jój oddziałami. Będąc zresztą samowładnym panem Kordowy, doprowadził Wadha do tego, iż, nie czekając wyraźnych rozkazów Muhameda, wydobyto z ukrycia króla Hiszema i pokazano go ludowi w wielkiej moszei. Stało się to w niedzielę miesiąca Dylhadzia w roku od ucieczki proroka 400 (po narodzeniu Chr. 1010 w lipcu). Całe miasto było w radośnem poruszeniu, gdy się rozeszła pogłoska, że kalif Hiszem żyje, a gdy go obaczono, zdało się ludziom jakby snem wszystko, co się działo przed ich oczyma. Niezliczone tłumy mieszkańców zgromadziły się przed moszeją, gdzie im Słowianin Wadha przedstawił ich monarchę, którego z oznakami najwyższej radości obwołano na nowo królem, i wśród okrzyków powszechnego uniesienia zaprowadzono do alkazaru.“

Ukryty tam Muhamed został przez Słowianina Anbaro przystawiony do stopni tronu, a przez Hiszema na śmierć



skazany. Głowę straconego posłano jego współzawodnikowi Sulejmanowi. Sprawca tego wszystkiego Wadha, otrzymał od Hiszema w nagrodę dostojęństwo hadżiba. Nie przestał na tém wierny sługa Omejów, lecz wraz z współplemiennikami swoimi jał się zupełnego uspokojenia państwa.

Pozostawało jeszcze wiele pracy do podjęcia w téj mierze. Z jednej strony Sulejman ciągle jeszcze groził stolicy, z drugiej powstał gubernator prowincyi Toledo, Obejdalla, syn zamordowanego kalifa Muhameda al Mohdi, chciwy pomszczenia śmierci ojcowskiej. Sulejman zawezwał go do wspólnej wojny przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi Hiszemowi II, do czego skłonił się Obejdalla. Wypadło rozerwać czempredź tak niespodziane przymierze, zwalczać pojedynczo obudwóch nieprzyjaciół. Gwoli temu były pokojowiec królewski został na razie wojownikiem, i jak się okazało, bardzo szczęśliwym.

Dowództwo nad Słowianami objęli z rozkazu Wadhy Słowianie Zahor <sup>46)</sup> i Anbaro, a sam Wadha na czele jazdy wyruszył ku Toledo (r. 1010). Nie zastawszy tam Obejdalli, spieszącego tymczasem połączyć się z Sulejmanem, potrafił naczelnik słowiański zawiązać tajemne porozumienia z mieszkańcami, które niebawem uczyniły go panem miasta Toledo. Jednocześnie powiodło mu się zawrzeć układy o pomoc z chrześcijańskim „królem“ Kastylii, który niezwłocznie nadesłał mu znaczne posiłki. Dla większego pośpiechu nie zażądał Wadha upoważnienia króla Hiszema do tego kroku, co następnie poczytano mu za wielką winę. W połączeniu z rycerstwem chrześcijańskiem podążyła armia Wadhy za Obejdallą, który na wiadomość o upadku miasta Toledo powracał na pole walki. Rychło spotkali się nieprzyjaciele w morderczej bitwie, pierwszej i ostatniej dla Obejdalli. Rozbity z wojskiem swoim od Wadhy, został wzięty w niewolę i odesłany do Kordowy, gdzie z wyroku króla Hiszema zginął pod mieczem kata. Sulejman stracił możnego sprzymierzeńca, i w domiar nieszczęścia poniósł ciężką porażkę od Słowian Zahora i Anbara, którzy szczęśliwymi wycieczkami odparli Afrykanów od bram stolicy.

Te zwycięstwa dopełniły miary zasług i znaczenia Słowian w Kordowie. „Słowianin Wadha“ — czytamy w opo-

wiadaniach arabskich u Kondego — „wrócił do stolicy pełen radości ze swoich czynów, odprawił posiłki chrześcijańskie z wielkimi darami i jeszcze większe obietnice dał im na drogę. Król Hiszem przyjął go z największymi oznakami uszanowania. Zostającym pod jego rozkazami Słowianom i Alamerydom wydzielono urzędy alkaidów i wieczyste namiestnictwa w południowych stronach Hiszpanii, mianowicie w Tadmir, Kartagena, Alalfe, Lekant, Almerya, Denia, Xativa i t. d. Podobnież innych Słowian, którzy już od dawniejszego czasu posiadali takie urzędy, potwierdził król nadal w onych dzierzeniu“ \*). Jeden z dzisiejszych pisarzy zawiera to w krótkich, ale nie mniej treściwych słowach: „Od téj chwili hadżib Wadha za pomocą swoich Słowian rządził samowładnie Kordową. Najwyższe dostojęstwa posiadli jego stronnicy; wielkorządztwa najznakomitszych miast dostały się Słowianom“ <sup>46</sup>). Jeszcze wymowniej prawi o tém znany orientalista i dziejopis: „Teraz panami Andaluzji byli Słowianie. Prawie wszystkie prowincye przeszły pod rządy Słowian“ <sup>47</sup>).

Była to nowość, która nie mogła zadowalniać powszechnie. Niezupełnie jeszcze pokonany Sulejman umiał korzystać z okoliczności: Ogłoszona przezeń odezwa powołana gubernatorów wschodniej Hiszpanii do oparcia się przewadze Słowian, „tyranizujących Kordowę i inne miasta“. O czém dowiedziawszy się Wadha, nakłonił króla Hiszema, ażeby ze swojej strony rozesłał pisma do innych gubernatorów, w szczególności do zarządzających Aldżezyrą i Ceutą Beni Hanudów, przyrzekając im świetne korzyści a nawet następstwo tronu po swojej śmierci, w razie pomocy ku dalszej wojnie ze Sulejmanem. Hiszem wydał listy żądane, lecz Wadha zostawił je u siebie niewyprawione.

Natomiast przybyły od Sulejmana tajne pisma do niektórych mieszkańców stolicy, i zawiązały porozumienie z obywatelami względem poddania miasta. O samym Wadzie doszła pogłoska do uszu króla, iż znosił się potajemnie

---

\*) Conde Historia I. 577..... el Rey Hixem concedio para sus Eslavos y Alameries, alcaidias y tenencias perpetuas en la parte meridional de Espana.....

z nieprzyjacielem. Niektóre z poprzednich kroków hadżiba, mianowicie zawarcie przymierza z chrześcijanami bez upoważnienia z Kordowy, uprzedziły Hiszema nieprzyjaźnie przeciwko zbawcy swojemu. Przedsięwzięte w jego mieszkaniu śledztwo wykryło owe listy niewyprawione. Nie potrzeba było większych dowodów. Przykład osobliwszej fortuny, jakiej na Wschodzie dostępują nieraz najpośledniejsi ze służby dworskiej, stał się teraz przykładem tragicznej katastrofy, jaką zwyczajnie kończą się takie fortuny orientalne. Z rozkazu króla Hiszema ucięto głowę Wadzie (r. 1011). Dostojęństwo hadżiba nadał Hiszem w roku następnym innemu Słowianinowi, Hajranowi.

## 5. Hadżib Hajran<sup>48)</sup>.

Nowy Hadżib słowiański był poprzednio gubernatorem Almeryi, a objąwszy naczelne rządy państwa, odegrał nie mniej ważną i tragiczną rolę jak Wadha. Pod pewnym względem upamiętnił on się jeszcze bardziej w historii i literaturze andaluzyjskiej, gdyż pozostać miały o nim długie poematy pochwalne, ułożone w języku arabskim przez sławną poetkę Algasenię i poetę Abu Amera. Pierwszy z tych wierszy ofiarowany mu był w Kordowie niebawem po mianowaniu hadżibem, za drugi wynagrodził Hajran poetę znaczną sumą złota w Aldżezyrze. W ogólności tak swoją wziętością u najwykwintniejszych umysłów andaluzyjskich, jakotóż samém imieniem swoim, przedstawia się następca Wadhy jako Słowianin wysoce już na wzór ogłady i dworskości arabskiej przekształcony. Cośmy bowiem nadmienili powyżej, iż pełniący przy kalifach straż i służbę pokojową Słowianie przyjmowali oddawna religię swoich panów, a z nią nowe miana i obyczaje, potwierdza się osobliwie teraz za czasów Hajranowych. Przy różnych okolicznościach spotykamy Słowian całkiem już poturczonych z imienia, jak np. „Słowianina Muhameda ben Abi Siar,“ „Słowianina Muhameda ben Zejad“<sup>49)</sup> t. j. Muhamedów synów Abi Siara i Zejada; straż słowiańska obchodzi swawolą i zbytkami po mieście święta mahometańskie, a w historii Wadhy widzie-

liśmy, jak Słowianie żądali od Sulejmana, aby wymordować kazał swoich sprzymierzeńców chrześcijańskich. Wszystko to świadczy o znaczném aklimatyzowaniu się naszych pobratymców w Hiszpanii, dalekich już zapewne owemu stanowi rzeczy, kiedy ich pogardliwie nazywano „Niemymi.“

Najpowszedniejszą zaś drogą do zakorzenienia się takich z arabska ucywilizowanych Słowian w nowém społeczeństwie muzułmańskiem było otrzymanie jednej z owych posiadłości ziemskich, któremi kalifowie obdarzali zwyczajnie swoich ulubieńców i naczelników straży. Na takim majątku wiejskim pod imieniem i strojem mahometańskim, w rodzinnych i towarzyskich związkach z ludnością muzułmańską, przybierali dawni niewolnicy słowiańscy coraz bardziej wejrzenie oryentalne, spłynęli się w dalszych wiekach z różnoplemienną masą narodu, lecz w obecnym początku stulecia XI, zasilani ciągłym jeszcze napływem niewolników z praoczyzny słowiańskiej, zachowali pamięć swego dawnego pochodzenia i mają u dziejopisów arabskich przy każdej sposobności wyraźne odznaczenie „Słowian.“

Takim też z arabska ucywilizowanym dworakiem wyobrażamy sobie Hajrana, w którego imieniu brak zwyczajnej zgłoski *ben*, t. j. syn, naprowadza na domysł, iż równie jak Wadha pierwszy w swoim rodzie przyjął religię mahometańską i świetniejszej doszedł fortuny. Zresztą celował Hajran też samą zacnością charakteru, dobrocią serca a osobliwie przywiązaniem do dynastji Omejów, jakie poznaliśmy już w Wadzie. „Był to wojownik wielkiego męztwa i niezwyčajnego rozsądku“—mówią o nim pisarze andaluzyjscy— „który sam jeden byłby ocalić zdołał Hiszema, gdyby szczęście jego nie doszło było do kresu... Znamionowała Hajrana wielka pobłażliwość i szlachetność umysłu; jemuto winien był kraj powstrzymanie wielu srogich rozkazów króla Hiszema, który wszystkich zamożniejszych obywatelów miał w podejrzeniu, zabraniał wszelkich zgromadzeń oprócz w moszei, i w najniewinniejszej schadzce mieszkańców upatrywał jakieś knowanie spisków.“

Urosły ztąd niechęci i zamieszki publiczne, które ośmieliły Sulejmana do tém usilniejszego wznowienia wojny. Afrykanie jego coraz gwałtowniej szturmowali do miasta,

a mieszkańcy Kordowy leniwie stawali do obrony, niekiedy nawet wyraźnie przeszkadzali własnym obrońcom. Napróžno walczył Hajran jednocześnie z wdzierającymi się w bramy nieprzyjaciołmi i z rozkoszującym z tyłu pospólstwem. Miasto zostało zdobyte (r. 1013). Hajran u stóp alkazaru raniony, schronił się z trudnością pod jakiś dach ubogi, i znalazł tam ukrycie. Nieszczęśliwszy od niego Hiszem znikł podczas szturm, nie zostawiając najmniejszego śladu swojej śmierci albo ucieczki. Zwycięzcy Afrykanie w niesłychanie okrutny sposób splądrowali stolicę, Sulejman po raz drugi osiadł na tronie.

Nieznający losu Hiszemowego Słowianie upadli mu do nóg z prośbą, aby udarował życiem dawnego króla. Gdy im odpowiedziano, iż nie wiadomo co się stało z Hiszemem, utwierdziło się pomiędzy ludem mniemanie o jego powtór-nem utajeniu i nowém kiedyś przyjsciu. Tymczasem dobra Alamerydów poszły w podział między zwycięzców. Wodzowie afrykańscy otrzymali znaczne posiadłości ziemskie w prowincjach. W rządzonej niegdyś przez Hajrana Almeryi za-władnął nowy gubernator z ramienia Sulejmana. Wszystko zdało się ustaloném, gdy nowe wystąpienie Hajrana pomie-szało szyki zwycięzcom.

Uleczwszy się w swoim ukryciu z ran odniesionych, opuścił były hadżib słowiański stolicę Sulejmana, i udał się potajemnie do Aurioli. Tam związki z możnymi przyjaciółmi i stronnikami pozwoliły mu zebrać niemałą siłę zbrojną, z którą wyruszył ku Almeryi. Po dwudziestodniowym opo-rze ulegli stronnicy Sulejmanowi, zdobyte miasto wróciło pod panowanie Hajrana (r. 1013).

Uważając to jedynie za początek nierównie ważniej-szych czynów, zakrzętnął się Hajran okoro zebrania groź-niejszej potęgi przeciw Sulejmanowi, i popłynął w tym celu do sąsiednich brzegów Afryki (r. 1014). Panował natenczas w tamecznych zmkach Ceuta i Tanger daleki kręwniak nieszczęśliwego Hiszema, Ali ben Hamud, starszy brat Alka-zema ben Hamud, władającego po tej stronie cieśniny Gi-braltarskiej, w Aldżezyrze, tuż naprzeciw braterskiej Ceuty. Do tych to obudwu Hamudów napisał był Hiszem niegdyś za poradą Wadhy owe niewyprawione listy z obietnicą na-

stępstwa tronu po swojej śmierci, gdyby go zasłonili od Sulejmana. Do tego też Alego w Ceucie pospieszył teraz Hajran ze Słowianami, i dawszy mu wiadomość o przyrzeczonej przez Hiszema koronie, zawezwał go do boju z Sulejmanem. Ponieważ niewiedzano jeszcze z pewnością, czy Hiszem żyje lub zginął, należało podnieść wojnę w jego imieniu, a dopiero przekonawszy się o istotnym stanie rzeczy rozstrzygnąć sprawę następstwa.

Ali przystąpił do przedsięwzięcia i pociągnął za sobą młodszego brata Alkazema w Aldżezyrze, dokąd udał się Hajran niezwłocznie. W krótkim czasie przeprawiło się wojsko Alego z Ceuty do Andaluzji, dostawił swoich posiłków Alkazem z Aldżezyry, uzbroili się za sprawą Hajrana Alamerydzi i Słowianie w okolicach Almeryi. Starszy Hamud rozpoczął kroki nieprzyjacielskie opanowaniem Malagi, i został obwołany naczelnikiem przymierza. W pół drogi między Malagą a Almeryą nastąpiło połączenie wojsk sprzymierzonych, prowadzonych z Almeryi przez Hajrana, z Malagi i Aldżezyry przez obudwu Hamudów. Dla pozyskania témpowszechniejszej sympatyi kraju złożyli sprzymierzeni uroczystą przysięgę, iż jedynie w celu osadzenia Hiszema na wydartym mu tronie lub pomszczenia krwi jego, rozpoczęli i toczyć będą zaciętą walkę (r. 1015).

Cały opowiedziany tu szereg wypadków od podróży Hajrana do Afryki aż do pochodu sprzymierzonych przeciw Sulejmanowi w Kordowie, nazywają niektórzy dziejopisarze arabscy wojną Berberów z eunuchami, rozumiejąc pod pierwszą nazwą Afrykanów Sulejmanowych, pod drugą Słowian. Kiedy więc według źródeł arabskich u Kondego Słowianie wzywają Alego z Ceuty na tron Kordowy, Słowianom daje Ali pismo do brata w Aldżezyrze, Słowianie pod Hajranem łączą się z wojskiem Alego — inny historyk arabski Alhomaiddi, przypisuje to wszystko eunochom <sup>50)</sup>. Nazwa „eunuch,“ głównie w znaczeniu pokojowca, sługi pałacowego, zrosła się w Andaluzji tak nierozłącznie z nazwą Słowianin, jak gdzieindziej przyłgnęło do téj ostatniej pobliskie pojęcie „niewolnika.“

Zaprzysiężona przez sprzymierzeńców walka trwała przez kilkanaście miesięcy wśród zmiennych kolei losu, aż

nareszcie coraz większa niechęć przeciw Sulejmanowi, coraz tłumniejsze odstępstwo w jego stronnictwie, do tego stopnia przerzedziło szeregi afrykańskie, iż tylko mała garstka pozostała pod bronią. Z tak uszczuploną siłą do stanowczej zmuszony bitwy, chciał Sulejman po niepomyślném spróbowaniu szczęścia ocalić się wczesnym odwrotem, gdy część własnego wojska obróciła się przeciw niemu, i do ostatniej przywiodła go rozsypki. Okryty ranami dostał się wraz z bratem swoim Abdelrachmanem w ręce zwycięzców, którzy niepowstrzymanym pędem opanowali twierdze przyległe a w końcu samą stolicę (r. 1016).

„Po wnijściu sprzymierzonych do Kordowy“ — opowiadają dziejopisowie arabscy — „kazał Ali przyprowadzić przed siebie ранego Sulejmana z bratem Abdelrachmanem, tudzież z ojcem Alhakemem, sprawującym pod niebytność synów rządu stolicy, i spytał ojca: Powiedz, starcze, gdzie podzieliście króla Hiszema? Alhakem odpowiedział, iż nie wie co się z nim stało. Na co Ali: Zamordowaliście go? Starzec powtórzył: Nie zamordowaliśmy go i nie wiemy co się z nim dzieje. Na co nie zważając, obnażył Ali oręż i rzekł: Te trzy głowy poświęcam zemście króla Hiszema i dopełniam jego rozkazu. Natenczas podniósł oczy ranny Sulejman i zawołał: We mnie samego gódz swoim mieczem, gdyż ci dwaj niewinni są niczego. Ali jednakże nie usłuchał słów Sulejmana i silnemi cięciami ściał głowy ojcu i synom. Śmierć Sulejmana, jego brata i syna, zdarzyła się w niedzielę, dnia ósmego w miesiącu Muharram, roku od ucieczki proroka 407 (po Chr. 1016). Ali wydał rozkaz, aby z największą starannością szukano wszędzie króla Hiszema; i nie było we wszystkich alkazarach żadnej komnaty, żadnej kryjówki, żadnego podziemia, którychby nie przetrząsniono jak najdokładniej. Ale wszelkie poszukiwania okazały się bezskutecznemi, gdyż król Hiszem nigdy się już nie pojawił. Ogłoszono tedy publicznie śmierć jego, czém dano powód nowym pogłoskom i baśniom pomiędzy ludem.“

Za poradą Hajrana został Ali pod imieniem Motuakil Bila obwołany kalifem. Takim sposobem wszystko, czego dostąpił niedawny rządzca Ceuty, było dziełem Hajrana.

Mimo to nie doczekał się on zasłużonej nagrody. W rychle po swojej intronizacji obraził się Ali zbyt niemi, jak mniemał, uroszczeniami Hajrana i kazał mu oddalić się ze dworu na dawne gubernatorstwo Almeryi. Zaledwie przybył tam Hajran (r. 1017), otoczyła go liczna drużyna przyjaciół i stronników, gotowych dać mu zbrojną pomoc przeciw niewdzięcznemu sprzymierzeńcowi. Za hasło ułożonego powstania posłużyło imię ulubionych Słowianom i Alamerydom Omejów, których zobowiązano się osadzić znowu na tronie. Dla siebie samych umówili spiskowi wieczyste gubernatorstwa pod nowym rządem z prawem dziedzicznego spadku na dzieci. Wybuchła wojna, rokoszanie znaleźli się niebawem pod wodzą Hajrana u bram stolicy. Śmiała wycieczka Alego zadała wprawdzie ciężką klęskę nieprzyjaciółom, lecz nie stłumiła powstania. Rozsrożony Hajran postanowił obejść się bez Kordowy i w inném mieście państwa założyć innemu kalifowi stolicę.

Cofnął się tedy do Jaen i obwołał tam kalifem Abdelrachmana IV Almortadi, prawnuka po sławnym Abdelrachmanie III (r. 1017). Nowointronizowany Omej odwdzieczył mu się mianowaniem go swoim hadżibem. Pod sztandarem Abdelrachmana IV przedłużył Hajran wojnę i został po raz drugi rozbity przez Alego. Tylko jakaś niedostępna kryjówka ocaliła życie rannemu. Taką atoli wiarę pokładano w jego przemyśle i środkach niewyczerpanych, iż skoro do Abdelrachmana doszła wiadomość o miejscu jego ukrycia, posłano po niego świetny orszak rycerstwa i sprowadzono go jakby w tryumfie do Jaen. Zaczém odnowiła się wojna i zaczęła przybierać coraz groźniejszą postać dla kalifa w Kordowie, aż nareszcie trzecia niepomysłność oręża dokonała zguby Hajrana. Wytężywszy wszelkie siły odporu, wyprawił Ali jedno wojsko przeciw Abdelrachmanowi ku Jaen, a z drugim podążył do Almeryi. Oblężony tam hadżib bronił się do upadłego, i dopiero śmiertelnie dzidami skluty, za nieżywego już poczytany, uległ przemocy. Miasto złożyło oręż, przywleczone mu przed siebie Hajranowi Ali własną ręką ściał głowę (r. 1017). Dziejopisowie arabscy wspominają z żalem o jego śmierci.



Jeszcze większego żalu nabawiła ona jego współplemienników, pełniących ciągle służbę pokojowców w Kordowie. Zdarzył się owszem po niedługim czasie wypadek, w którymby można upatrywać zemstę Słowian na Alim za śmierć Hajrana. Wróciwszy bowiem z Almeryi do Kordowy i przygotowując tam ostatnią, walną wyprawę przeciw Abdelrachmanowi w Jaen, został Ali przez swoich pokojowców słowiańskich uduszony tajemnie w łaźni (r. 1018). Tych zabójców Alego nazywają inni pisarze zwyczajnym w Kordowie sposobem eunuchami <sup>51)</sup>. Brat i następca Alego w Kordowie, Alkazem, domyślił się sprawców zamachu, i uwięzionych pokojowców kazał wziąć na tortury, chcąc wymóżyć na nich wyjawienie dalszych współwinowajców. Śród okropnych katuszy przyznali się Słowianie do zamordowania Alego, lecz nie wymienili osobiście żadnych współników czynu. I ci na męki wzięci a potem na pal wbici Słowianie nazywają się gdzieindziej eunuchami.

Przeciw Alkazemowi przybył niebawem z Afryki syn Alego Jahija (Dżohija) i opanował po niejakiem czasie Kordowę (r. 1021), a gdy nowa zmiana fortuny zmusiła go ustąpić z niej przed Alkazemem, ten po raz drugi kazał badać Słowian na mękach, jako podejrzanych o porozumienie z Jahiją. I zdało się to rzeczą tém bardziej prawdopodobną, ile że na afrykańskim dworze Jahiji w Ceucie służyło od najdawniejszego czasu niemało Słowian, z pomiędzy których odznaczył się osobliwie zuchwały Naja.

## 6. Hadżibowie Naja, Razikala i Sekan <sup>52)</sup>.

Na południowe brzegi morza Śródziemnego dostawali się Słowianie bez trudności z Hiszpanii. Już Ebn-Haukal opowiada, jak Arabowie hiszpańscy wyprawiali niewolników słowiańskich do Afryki i Egiptu. W historii hadżiba Hajrana mieliśmy przykład dobrowolnych podróży Słowian do Ceuty i Tangeru. O dwóch towarzyszach pobytu i rządów Naji w Afryce, Słowianach Razykali i Sekanie, podają źródła arabskie, iż pochodzili z Albarken, t. j. zapewne z miasta lub kraju Barka, z arabska Albarka, leżącego na

wschód od Trypolis, między Egiptem a pustynią Saharą. Nie mając więc śladów w tej mierze, przechodzimy do dziejów Naji.

Wystąpienie Jahiji przeciw stryjowi Alkazemowi przypadło w porę najgwałtowniejszego rozgorzenia wojen domowych o tron Kordowy. W niedługim lat dziewięciu przeciągu (od r. 1017 do 1026) panowali na stolicy Omejadów z kolei Ali ben Hamud z Ceuty, brat jego Alkazem, synowiec Alkazema Jahija, Alkazem po raz drugi, Abdelrachman prawnuk wielkiego Abdelrachmana III, Abdelrachmanów stryj Muhamed, nareszcie Jahija po raz drugi. Przetrawwszy tylu współzawodników, doczekawszy się podobnie śmierci owego przez Hajrana w Jaen obwołanego Kalifa Abdelrachmana Almortadi, połączył Jahija znaczną część Hiszpanii maurytańskiej pod swoim berłem, i miał zaprowadzić w niej nowy porządek rzeczy, gdy nagle śmierć w nieszcześliwej wojnie z wielkorządcą Sewilli zniweczyła wszelkie nadzieje. Po zgonie Jahiji podniesiony został w Kordowie przez mieszkańców ostatni potomek Omejów Hiszem III (r. 1026), a dziedziczne posiadłości rodziny Jahiji czyli domu Hamudów, także domem Edryzydów zwanego, t.j. Ceuta i Tanger w Afryce, tudzież Malaga w Hiszpanii, stały się łupem długoletnich sporów wojennych <sup>53</sup>).

Wyprawiając się do Hiszpanii po koronę zabitego ojca Alego, zostawił był Jahija w swojej afrykańskiej stolicy Ceucie dwóch małoletnich synów Edryza i Hacena pod opieką dwóch zaufanych wezyrów, Słowianina Naji i Araba Aben Bokidy. Żył tam jeszcze brat Jahiji imieniem Edryz, władający osobnym udziałem kraju. Gdy Jahija po osiągnięciu kalifatu zginął w Hiszpanii, chcieli mieszkańcy Malagi pozostać nadal pod panowaniem Hamudów i posłali do Ceuty po nowego władzcę z ich rodu. Z przyczyny małoletności obudwóch pozostałych synów Jahiji udał się do Malagi stryj Edryz, wzięwszy z sobą ku pomocy w rządach ceutańskiego wezyra Aben Bokinę (r. 1027). Przy jego mądrym wsparciu wstąpił się Edryz I przydomkiem Almutajad, jako jeden z najcnotliwszych emirów swojej epoki, a w Ceucie rządził tymczasem Naja, opiekując się ciągle małoletnimi potomkami Jahiji, Edryzem i Hacenem. Po la-

tach jedenastu umarł albo zginął zamordowany Edryz I Almutajad w Maladze, która za staraniem wiernego Aben Bokiny przeszła w posiadanie starszego piastunka Naji, Edryza syna Jahiji (r. 1039).

Zaledwie atoli powiodło się Edryzowi II, przydomkiem Hajan, osiąść na tronie Malagi, wystąpił przeciw niemu były opiekun Naja, żądając całej spuścizny ojcowskiej dla młodszego syna Hacena. Gdy zaś Aben Bokina i mieszkańcy Malagi sprzeciwili się temu, wyprawił się Naja z Hacenem na czele spiesźnie zebranych wojsk do Malagi, aby ją opanować mocą oręża. Naprzeciw lądującym nieprzyjaciółom wyszedł zbrojno Aben Bokina i stoczył z nimi walkę szczęśliwą. Odparte wojsko Naji musiało schronić się do jednego z zamków przyległych i zostało tam obleżone. Mimo waleczność rycerstwa ceutańskiego nie znalazła się inna droga ratunku jak układy z Bokiną. Dzięki przebiegłości Naji wypadły one dość pomyślnie dla obleżonych. Edryz II zachował swoją Malagę, Hacen zobowiązał się poprzestać na Ceucie i Tangerze. Oprócz tego powiodło się Naji wyjednać, iż jeden z najmożniejszych kupców Malagi, imieniem Aszetaifa, ścisły jego przyjaciel i powiernik, otrzymał u Edryza II urząd wezyra. Późem odpłynął Naja ze swoim wychowankiem do Ceuty i rządził tam spokojnie aż do jego pełnoletności.

Nareszcie jednak wypadło złożyć opiekę. Po dwóch latach objął młody Hacen własną ręką ster państwa i ożenił się z piękną Azafią, córką swego zmarłego stryja Edryza I. Naja wrócił do podrzędnego stanowiska hadżiba, które tém mniej zaspakajało jego ambicją, ile że okrom żądzy panowania dręczyła go jeszcze miłość do Azafii. W nieszczęsnej chwili postanowił wydrżać Hacenowi tron i małżonkę, i dokonał zamachu. Hacen zginął (1042) wraz z małym synkiem, o którymto ostatnim sumienni pisarze muzułmańscy dodają, iż Bogu tylko wiadomo, czy zamordowany został przez Naję, czy też umarł z choroby. Państwo Ceuta i Tanger przeszło w ręce zabójcy poślubionego z Azafią.

Dalsza kolój wypadków uniosła Naję do czynów jeszcze zuchwalszych. Na pierwszą bowiem pogłoskę o zamor-

dowaniu Hacena w Ceucie, jał brat jego Edryz II w Maladze uzbrajać wielką wyprawę do Afryki w celu ukarania zamachu, czemu wypadało zapobiedz ze strony Naji. Upredzając tedy napad Edryza na Ceutę, wyruszył się Naja z licznie zaciągnionemi wojskami do Malagi, gdzie niespodziewanem pojawieniem się przeważył szalę wojny na swoją stronę. Obadwa zamki Malagi dostały się w moc najeźdźców, za tajnem porozumieniem z Aszetaifą, ubieżono także Alkazar, Edryz II ujrzał się uwięzionym w własnym pałacu. Już nie tylko nad Ceutą i Tangerem lecz i nad kwitnącém państwem Malagi rozpostarło się berło Naji, gdy wystąpienie trzeciego przeciwnika obaliło całą budowę.

W sąsiedniém państwie Aldżezyry władał krewniak Edryza Muhamed, syn byłego Kalifa Kordowy Alkazema. Ten na wiadomość o napadzie Naji na Malagę pospieszył z liczném rycerstwem ku pomocy królowi Edryzowi. Naja wyruszył co prędzej naprzeciw niemu, ale nim przyszło do spotkania, doradzili mu fałszywi przyjaciele z Malagi, aby uniknął bitwy, i wróciwszy do miasta czekał na liczniejsze zaciągi. Uczynił tak Naja, niewiadomo z jakiej właściwie przyczyny, i w towarzystwie wielu Słowian powracał do Malagi.

Wtém u najciaśniejszego zakrętu drogi zaskoczył go tłum rycerstwa andaluzyjskiego, któremu nie zdołał oprzeć się z garstką dworzan słowiańskich. Wszyscy Słowianie wraz z swoim wodzem zostali zamordowani (r. 1053). Dwóch z rycerstwa pognało z wieścią o tém do miasta, gdzie natychmiast obwołano dawny porządek rzeczy, uwolniono króla Edryza i wzięto krwawy odwet na zdrajczym Aszetaifie jakotóż na współnikach Naji, Słowianach. Zaledwie starania króla Edryza zdołały uskromić zawziętość mściwego ludu. Wojsko Naji rozproszyło się; Ceuta wróciła pod panowanie Hamudów.

Po Naji wystąpiło w dziejach Maurytanii jeszcze dwóch Słowian, podobnież namiestników w Ceuta i Tanger, Razikala i Sekan. Rządzili oni tym krajem, gdy w skutek nowych zamieszek wojennych opanował go król Malagi Edryz II. Lud Ceuty jakoś nie sprzyjał nowemu władcy, z czego umyślili korzystać Razikala i Sekan, i lubo sami znienawi-

dzeni dla swego okrucieństwa i zdzierstwa, zaczęli podburzać tajemnie krajowców przeciwko Edryzowi. „Ale mieszkańcy“ — opowiadają pisarze andaluzyjscy — „udali się do Edryza i rzekli: królu, ci Słowianie, którzy cię otaczają, są zdrajcami i służą ci sercem podstępny, przemyśliwając o twojej zgubie i knując spiski przeciwko tobie. Pozwól, abyśmy postąpili z nimi, jak zasługuje na to ich przestępstwo. A król Edryz nie był wstanie uwolnić ich z rąk rozżartego pospólstwa, które porwało obudwóch z przed oblicza Edryza i natychmiast zarębało szablami.“

Taka nieprzyjaźń ludu na wybrzeżach Afryki wyngaodziła się Słowianom tém głośniejszą wziętością kilku dalszych naczelników pod niebem Andaluzyi. Cośmy bowiem opowiedzieli dotąd o przygodach pobratymców naszych w Hiszpanii, nie wyczerpuje bynajmniej miary ich fortuny w tych stronach. Bywszy niekiedy wielkorządcami i obrońcami królów, bywali oni czasem sami królami. Słuszną wspomnieć o tém z osobna.

## 7. Królowie słowiańscy w Almeryi, Denii, Murcyi, Walencyi.

Ze wspomnionym w poprzednim ustępie kalifem Hiszmem III wygasła całkowicie dynastia Omejadów. Jeżeli już za ostatnich Omejów rozprzegła się jedność państwa wśród ciągłych wojen domowych, tedy po ostatnim Omeju wzmogło się to rozprzężenie do stanu prawdziwie chaotycznej rozsyпки. Skołatany kilkuletnią burzą kalifat rozpadł się w tysiąc niezawisłych od siebie szczątków. Nastąpiło tyle osobnych całości, osobnych państw i państewek, ile dawniej było prowincyj, powiatów, miast. Naczelnicy takich większych i mniejszych udziałów miewali różne tytuły, najczęściej (jak w opowiadaniach arabskich wycytujemy) dawano im nazwę królów. Ztąd przed skreśleniem dziejów społeczności arabskiej w Hiszpanii pod tę porę umieszczony jest w dziele Kondego osobny spis takich królów, według rządzonych przez nich królestw. Znachodzimy tam z kolei

królów Kordowy, Malagi, Sewilli, Toledu, Saragosa, Grana dy, Badajozu, Azahili, Almeryi i Denii, Huelby i Libli, Tadmiru i Murcyi, Walencyi, wreszcie Segury. Na czele zaś królów Almeryi i Denii wyczytujemy: „Kajran Słowianin, Zoair Słowianin“ — a nieco niżej na czele królów Walencyi: „Mudafas Słowianin, Mubarik Słowianin, Lebib Słowianin.“

Po rozważeniu wszystkich wypadków i okoliczności, o których mowa była powyżej, nie zdziwi nas królewskość tych pięciu królów słowiańskich. Przypominając sobie z historyi hadżiba Wadhy, jak wiele gubernatorstw i miast rozdano za Hiszema II w zarząd Słowianom, uwierzmy z łatwością, iż w czasie następnych wojen domowych jeden i drugi z takich wielkorządców słowiańskich potrafił ustalić sobie byt niezawisły w swojej dzierżawie, i podług owego wyrażenia arabskiego „nazywany był królem.“

Wszakże im niewątpliwszą okazuje się królewska godność takich władców chwilowych, tém trudniejszą jest rzeczą, wyróżnić ich poszczególną historję z chaosu najzawilszych wiadomości o tysiącu królach i królestwach ówczesnych. Oprócz niedokładności i zamętu doniesień o wypadkach owęj epoki przeszkadza temu osobiście coraz zupełniejsze zacieranie się słowiańskiego charakteru naszych bohaterów słowiańskich. Dopóki Słowianie byli jeszcze niedawnymi przybyszami w Hiszpanii, dopóty towarzyszył im u dziejopisów arabskich nieodstępny przydomek „Słowianin,“ po którym łatwo rozeznąć ich w tłumie dziejów. Z coraz dłuższym atoli pobytem w kraju, z coraz dokładniejszym zastosowaniem się do zwyczajów i powierzchowności mieszkańców, tracą pojedynczy naczelnicy słowiańscy ten odznaczający przydomek i stają się coraz bardziej Muzułmanami w wierze, imionach i znaczeniu.

Snadno też będzie zrozumieć, iż właśnie ci słowiańscy królowie niektórych okolic andaluzyjskich musieli starać się o to, aby jak najmniej trącić cudzoziemszczyzną, aby jak najzupełniej dorównać mieszkańcom powagą obyczajów krajowych. Ztąd zaś coraz większa trudność w dochodzeniu słowiańskiej narodowości zmuzułmanionych przybyszów z nad Wisły lub Dunaju. Z tego też powodu nie możemy opowiedzieć tyle o naszych pięciu królach słowiańskich, co

o hadżibach. Ile się przecież znalazło, podajemy w krótkości.

Pierwszy z dwóch słowiańskich królów Almeryi, nazywany tu Kairanem, jestto tensam hadżib Hiszema II i Alego Hamuda, Hajran, o którym pisaliśmy obszerniej. Głoski *K*, *Kh* i *H* bywają według objaśnień Kasirego równoznaczne w arabskim <sup>54</sup>). Z dostojenstwa hadżiba w Kordowie wracał Hajran podwakroć do niezawisłych rządów Almeryi, i bywa przeto umieszczany w poczcie jej królów. Pozostała o nim jeszcze wiadomość, iż głównie za jego pomocą panował w Saragosie Almondar ben Hud z rodziny Ate-dżibiów <sup>55</sup>).

Następcę po Hajranie w Almeryi, Zoaira lub Zohaira, nazywają pisarze arabscy jego krewnym. Podawca niektórych wiadomości o nim, Kasiri, mieni go z urodzenia Dalmatą <sup>56</sup>). Musiał wszakże Zohair zmienić w Hiszpanii swoje imię i wejrzenie słowiańskie, gdyż nie łatwo przypuścić emira arabskiego, niepobratanego wiarą, strojem i zwyczajami z poddaną sobie ludnością muzułmańską, a imię pod którym nasz Dalmatyniec słynie w rządzie królów Almeryi, jest właśnie arabskiem i przypomina się np. w imieniu poety arabskiego przed Mahometem <sup>57</sup>). Za czasów Hajrana rządził Zohair Denią. Po śmierci swego bratanka uderzył na Almerję i opanował ją szturmem (r. 1018). Podobnież Tadmira i Murcyja zostały pod jego władzą. Za główną stolicę służyła mu Almerja; w Denii i Tadmirze osadził on podległych sobie gubernatorów <sup>58</sup>). Tożsamo stało się z Murcyą, gdzie z ramienia jego dzierżył wielkorządztwo niejaki Abdelrachman z rodziny Thaher, inaczej Muhamed Ben Althaher <sup>59</sup>).

Od tych kilku prowincyj nazywano Zohaira bądźto panem Almeryi i Murcyi bądź samęj Murcyi, lecz w każdym razie towarzyszyło imieniu niezbędne odznaczenie „Słowianin Zohair król Almeryi i Murcyi“ — albo stało samo „Słowianin, *Alsaklab*, *Saclabaeus*, król Murcyi“ <sup>60</sup>). U jednego z nowszych dziejopisarzów Hiszpanii pod panowaniem Maurów czytamy o nim: „Po niedługim czasie zawładnął Słowianin Zohair całém pomorzem od Murcyi po Almerję, tudzież wyspami Balearskimi. Jako jego hołdowni-

cy zarządzili w Denii Ali ben Mudżahed, na wyspach Balearskich Abul Dżeis i Ahmed ben Raszyd, a w Murecy Abubekr Ahmed. W krainie Walencji panował ścisły sprzymierzeniec Zohaira Abdelazis Abul Hassan, wnuk Almanzora, prawdopodobnie od r. 1022. Gdy zaś Zohair po dość długich rządach w Almeryi umarł albo zamordowanym został, przeszła Almerya z woli Zohaira spuścizną na Abdelazego przydomkiem Almanzora, przed r. 1051“<sup>61)</sup>.

O pierwszym słowiańskim królu Walencji Mudafasie nie doszukaliśmy się żadnych szczegółów. Mudafas znaczy tu zapewne tyle co Mudafar, a ze zwyczajnym przydatkiem arabskim *al* powtarza się imię Almudafar dość często w dziejach andaluzyjskich. Przy żadnym zaś Almudafarze nie znaleźliśmy ani przydomku Słowianin, ani czegokolwiek takiego, coby go cechowało królem Walencji.

Dwaj dalsi królowie słowiańscy w kraju Walencji Mubarik i Lelib, inaczéj Mubarik i Lebun, byli właściwie panami miast i powiatów Murbiter czyli Murwiedro i Xatiwa, a zostawali w niejakiéj zawisłości od króla Walencji Abdelazego, z którym był sprzymierzony także Zohair. Więcej o nich nie wiemy. W latach nieco późniejszych występują tylko synowie jakiegoś Lebuna, mianowicie Abu Wahib ben Lebun w Walencji około roku 1065, Isa ben Lebun w Murwiedro, Ibraim Abul Asbag ben Lebun około tegoż czasu w Walencji, Amir ben Lebun w Ubedzie<sup>62)</sup>. Sążto synowie naszego słowiańskiego króla Walencji, żadną już odznaką nieprzypominający swojej cudzoziemskiej narodowości? W takim razie mielibyśmy w nich najwidoczniejszy przykład zlewania się słowiańskiej krwi w trudną do wyróżnienia jedność z resztą muzułmańskiej ludności kraju.

Za ich téż czasów giną w istocie ostatnie ślady Słowian w Hiszpanii. Z upadkiem dynastji Omejów zgasła świetność panowania Arabów w Andaluzji. Przeszło półwiekowe pasmo wojen domowych zubożyło kraj cały, przywiodło do niedostatku kalifów, zatamowało handel i wszelkie stosunki zagraniczne. Podupadli następcy wielkiego Abdelrachmana nie mieli już tych skarbów, ani tych związków z ludami cudzoziemskimi, aby sprowadzać sobie roje niewolników „od wschodu“, aby się nimi otaczać w swoich



pałacach i ogrodach czarownych. Pierwszy np. kalif po ostatnim Omeju Hiszemie III imieniem Dżewar wiódł życie całkiem chudopacholskie, nie chciał nawet sprowadzić się do pałacu dawnych kalifów, nie mając już owych tłumów służby, pokojowców, straży przybocznych, niewolnic i niewolników wszelkiego kraju, które niegdyś zapełniały alkazary Abdelrachmanów. W drugiej połowie wieku XI (r. 1086) wtargnęli wprawdzie do Hiszpanii nowi najezdnicy z Afryki, tak zwani Almorawidowie, i przywróciwszy przewagę oręża muzułmańskiego, zaprowadzili nowy porządek rzeczy, ale lubo jeszcze około czterech stuleci trwało panowanie Maurów w Hiszpanii, nie wróciły wieki dawniej świetności.

Tymczasem zaś poczęło się wyjaśniać za Pirenejami u chrześcijańskich ludów Europy. Sfolgowało znaczenie kupczenie towarem ludzkim, ustał wywóz niewolników do Hiszpanii. Zdarzyły się wprawdzie jeszcze pojedyncze transporty, ale tak ryczałtowego handlu, jak za czasów Ebn-Haukala nie było. Niewolnik słowiański szedł teraz gęściej do Krymu, do Azji, do Stambułu niż do Kordowy.

Główna tedy pora goszczenia Słowian w Hiszpanii trwa mniej więcej od czasów Hakema I do końca wojen domowych po upadku Omejów, czyli do opanowania Hiszpanii przez nowoprzybyłych z Afryki Almorawidów, t. j. od r. 796 do 1086. Była to najświetniejsza epoka panowania Arabów w Andaluzji, słynącego w historii z niezwyčajnej pomyślności światowej, z blasku bogactw, uprawy nauk, ogłady obyczajów. Za staraniem światłych Omejów rozwinęły się w Hiszpanii arabskiej do najwyższego stopnia umiejętności, kunszty, przemysł, rzemiosła; Andaluzja stała się niezaprzeczenie najmożniejszym i najrządniejszym krajem swojego czasu.

Wpłynęło to wszystko osobiłszym sposobem na bawiących w Hiszpanii Słowian, którzy mając odegrać przeważną rolę w społeczeństwie arabskiem, musieli niezbędnie dorównać mu oświatą. Z tego względu poznanie tamtoczesnej cywilizacji arabskiej w Andaluzji jest w pewnej mierze poznaniem ukształcenia Słowian tamiecznych. Jakoż wcale niedostateczną mniemalibyśmy niniejszą wiadomość o naszych pobratymcach u dworu kalifów andaluzyjskich,

gdybyśmy bogdaj w kilku dorywczo zebranych rysach nie okazali, jak Hiszpania arabska wyglądała za czasów Słowian.

## 8. Andaluzya za czasów Słowian.

Lata obudwóch pierwszych hadżibów słowiańskich Wadhy i Hajrana — czyli lata rządów Abdelrachmana III, jego syna Hakema, tudzież jego wnuka Hiszema, uchodzą zwyczajnie za chwilę najpromienistszego rozblasku arabskiej cywilizacji w Hiszpanii. Mianowicie w czasach kilkunastoletniego pokoju za Alhakema II wzmożła się Andaluzya w zamówność i uprawę, jakiej ani przedtém ani później nigdy już nie zaznała. Przestrzeń ziemi na południe od rzeki Duero, mieszcząca dziś zaledwie 9 milionów mieszkańca, żywiła wówczas prawie trójnasób tyle, bo 25 milionów. „Kalif Alhakem“ — czytamy w opowiadaniach arabskich u Kondego <sup>63)</sup> — „kazał zliczyć i spisać wszystkie osady swojego państwa. Według tego rachunku znajdowało się natenczas w Hiszpanii 6 wielkich stolic i okręgów wojskowych, 80 miast pierwszego rzędu a 300 mniejszych. Liczba miasteczek, siół, zamków i folwarków, nie miała granic. Sama okolica Gwadalkiwiru zawierała 12,000. Niektórzy utrzymują, jakoby główna stolica Omejadów Kordowa (rozciągająca się wówczas na pięciomilowej przestrzeni wzdłuż brzegów Gwadalkiwiru) liczyła 200,000 domów, 600 świątyń, 50 szpitalów, 80 zakładów naukowych, 900 łaźni, 21 przedmieść kamieniem brukowanych, nocą lampami oświetlanych....“

Teżsame źródła opowiadają dalej: W czasach długiego pokoju, który panował za króla Alhakema, zakwitnęło rolnictwo we wszystkich prowincjach państwa. Na równinach Granady, Murcyi, Walencyi i Arragonii, pozakładano wodociągi do nawodniania pól; w innych miejscach były kopane w tym celu wielkie sadzawki, a wszędzie wznoszono plantacye najrozmaitszego rodzaju, stosownie do gleby i klimatu każdej prowincyi. Jedném słowem, ten mądry kalif kazał miecze i kopie przekuć na rydle i lemieszce, a swoich wojennych, niespokojnych muzułmanów przeistoczył w rol-

ników i pasterzy. Najznakomitsi rycerze upatrywali chlubę w uprawianiu własną ręką ogrodów swoich, a poważni sędziowie i lekarze używali wczasu w zacieniach szpalerów ogrodowych. Panował powszechny zwyczaj opuszczać o pewnym czasie miasto i zamieszkiwać ustronia wiejskie. Jedni czynili to na wiosnę, kiedy cała natura znajdowała się w kwiecie; inni jesienią, w porze zbioru owoców....“

Gdy zaś niezamożny miłośnik życia wiejskiego przedstawiał na samych wdziękach przyrody — bogacze folgowali swoim zamiłowaniom sielskim w willach z niezmiernym wytworem urządzonych, a kalif Abdelrachman Anazir założył w tym celu jedyny w swoim rodzaju przybytek rokoszy i przepychu, mogący bliższym opisem dać nam jakie takie wyobrażenie o siedzibach emirów andaluzyjskich.

„Ten pałac czyli to miasto najpiękniejszych ogrodów, sięgających aż do przedmieść Kordowy, nazwał Abdelrachman po imieniu ulubionej niewolnicy Azahrą, t. j. kwiatem czyli pięknoscią. Budowę zajmowali się najzawołąnsi mistrzowie, sprowadzeni umyślnie z Konstantynopola, Bagdadu, Fostat i Kairwanu, a wykonanie ozdób pojedynczych poruczono najzdolniejszym rzeźbiarzom i snycerzom owego czasu. Opowiadając według wiarogodnych doniesień pisarzy andaluzyjskich wszelkie dziwy i osobliwości Azahry, można popaść w podejrzenie o łatwowierność, czerpiącą podania swoje z bajek Tysiąca i jednej nocy.“

„Najwspanialszym ze wszystkich pałaców, które razem tworzyły rezydencję Abdelrachmana, był tak zwany pałac kalifów. Dziejopisowie arabscy, mający upodobanie w orzeczeniach liczbowych, zapisali w swoich regestrach, iż przy budowie jego pracowało codziennie 10,000 ludzi. Półtora tysiąca mułów i 400 wielbłądów dowoziło materiały murarskie. Oprócz niezmiernej ilości surowego kamienia spotrzebowywano codziennie 6,000 głazów ciosanych. Cały gmach spoczywał na 4,312 marmurowych kolumnach, sprowadzonych po większej części z Grecyi, Włoch, Francyi i Afryki. Nie tylko wewnątrz pałacu roztoczono jak największy przepych, bogactwo i misterność w wykończeniu wszystkich szczegółów, ale i zewnątrz ujmowała dziwna nadobność i okazałość. Nawet pokrycie dachu, równie jak i posadzki, było

wyłożone mozaikową robotą, koloru złocistego i błękitnego. Do belek, słupów, podwoi, użyto drzewa cedrowego z ozdobnemi rzeźbami.“

„Najkosztowniejsza i najwspanialsza część pałacu zwała się salą kalifa; ściany i posadzkę miała z marmuru. U stropu i po bokach świeciły ozdoby ze złota, pereł, płaskorzeźb i arabesków. Ale największe podziwienie wzbudzała bijąca w pośrodku sali fontana, z jaspisu wyłobiona. Otaczała ją grupa dwunastu zwierząt z litego złota, połyskujących drogiemi kamieniami w różnych kolorach.... W pośrodku téj grupy unosił się złoty łabędź cudnej roboty, dzieło najślawniejszych mistrzów carogrodzkich. Nad łabędziem zwisała ze stropu bardzo kosztowna perła, upominek cesarza bizantyńskiego Leona...”

„Oprócz alkazaru czyli głównego pałacu wznosiło się w Azahrze wiele innych budynków okazałych, jakoto: wielka moszeja, mennica, mieszkania dla straży pieszej i konnej... Niemniej wspaniałemi od gmachów i pałaców były także połączone z niemi ogrody, w których rozkiełzana wyobraźnia orientalna zdawała się urzeczywistniać najrozkoszniejsze marzenia swoje. Sztuka i natura ubiegały się tu o pierwszeństwo. Gaje drzew owocowych, myrty, laury, oliwy, tworzyły zielone grupy dziwnej różnitości odcieniów, kąpiąc gałęzie swoje w czystych jak błękit nieba jeziorach. W osobnych przestrzeniach ogrodowych snuły się najrozmaitsze rodzaje zwierząt. Roje pstrobarwnych i melodyjnych ptaków ulatały po właściwych sobie częściach ogrodu, zamkniętych zewsząd przezroczystą siatką drucianą. Łąki najpiękniejszych i najwonnejszych kwiatów schlebiały oku i powonieniu.“

„Było także w ogrodach Azahry mnóstwo łaźni i łazienek z marmurowemi wannami dziwnej ozdobności i wygod. W pośrodku tych ogrodów czarownych na wzgórzu, z którego otwierał się widok uroczy — wznosił się pawilon kalifa, gdzie Abdelrachman zwykł był wypoczywać wracając z łowów. Nadobną tę budowę dźwigały białe kolumny marmurowe z złotemi nagłówkami. Strop i ściany wewnątrz były nadzwyczajnie bogato przyozdobione złotem i kamieniami drogiemi. W pośrodku znajdowała się olbrzymia

koncha z porfiru, pełna żywego srebra, urządzona w ten sposób, iż srebro przyplýwało i odpływało. Na wszystkie strony prowadziły drzwi z hebanu i kości słoniowej, za których otworzeniem zalewała się cała sala tak jaskrawemi strumieniami światła, iż nie można było otworzyć oczu.“

„Chcąc niekiedy zadziwić albo przestraszyć swoich gości, nieobeznanych jeszcze z dziwami Azahry, dawał Abdelrachman skinienie służbie, aby wprawiła w ruch żywe srebro. Rażący blask słońca, odbity od zwierciadła żywego srebra, zamieniał się natenczas w jedną przeciąglą błyskawicę, w której cały pawilon drżał i kołysał się w morzu światłości, na podobieństwo miotanego burzą okrętu“<sup>64</sup>).

Gdy piękna niewolnica Azahra weszła po raz pierwszy do ogrodów jej imieniem nazwanych, uderzył ją nieprzyjemnie widok przeciwniejszej góry, czarnym lasem porośnięj. „Jakże możesz zezwolić panie!“—rzekła do kalifa Abdelrachmana — „aby piękność jak Azahara spoczywała w objęciach tak szpetnego murzyna?“—Abdelrachman kazał wyciąć las czarny, a zasadzić natomiast najpiękniejsze gaje figowe i migdałowe.

Jego praszczur Abdelrachman I, pierwotnie wygnaniec z ojczyzny i wydartego sobie tronu w Bagdadzie, następnie założyciel dynastji Omejadów w Hiszpanii, zaszczerpił w ogrodach Kordowy pierwszą palmę w Hiszpanii, z której rozroszły się wszystkie palmy w tym kraju. Siadając wieczorami na krużganku jednej z wierzyc ogrodu, lubił starzec przypatrywać się wzrostowi młodego drzewka, przypominającego mu oddaloną ojczyznę. Dumania jego wylały się nawet w pełnym tęsknoty wierszu, porównyującym dolę osiadłego w cudzej stronie wygnańca z losem zaszczerpionej pod andaluzyjskiem niebem drzewiny.

A tożsamo usposobienie uczuciowe, tensam dar poetyczny, które cechowały wielkiego wojownika Abdelrachmana, towarzyszyły także jego następcom, w ogólności każdemu Arabowi ukształconemu. Prawie wszyscy w szkicu niniejszym wymienieni książęta andaluzyjscy, mianowicie Abdala, Abdelrachman III, Alhakem II, Hiszem, Sulejman, i t. d. odznacжали się talentem poetycznym i zostawili po sobie ułamki mową wiązaną. Podania do monarchji bywały styli-

zowane wierszem, wodzowie na polu bitwy wierszem o odniesioném donosili zwycięztwie, przechadzający się po ogrodzie kalif, na liściu platanowym wydawał rozkazy wierszem.

Obok powszechnego zamiłowania w poezyi nie brakło także popędów do umiejętnego szukania prawdy. Znana jest dbałość kalifów o rozszerzenie nauk, nawet osobista żądza oświecania się. Celował tém osobliwie syn i następca Abdelrachmana III. „Król Alhakem“—czytamy u Kondego<sup>65)</sup>—„był od młodości tak wielkim miłośnikiem nauk i sztuk nadobnych, iż z prawdziwą namiętnością zbierał najkosztowniejsze księgi o kunsztach i umiejętnościach, najcenniejsze pisma o poezyi i krasomówstwie, jako téż wszelkiego rodzaju dzieła i pamiątki w zawodzie historii i geografii, nie szczędząc ani trudu, ani pieniędzy. Ze wszystkich stron zwożono mu co było najznamienitszego w tych przedmiotach, a we wszystkich znaczniejszych miastach Afryki, Egiptu, Syrii, Iraku i Persyi utrzymywał kalif umyślnych posłów, którzy mieli obowiązek wyszukiwać i kupować dla niego książki najlepsze.“

„Cały pałac kalifów zapełnił się tak dalece zbiorami naukowemi, iż można było mniemać, jakoby nie zawierał nic innego prócz książek. I nie przypominano sobie żadnego z emirów muzułmańskich, któryby z tak wielką chciwością zgromadzał wszelkiego rodzaju książki jak Hakem. Dwór jego stał otworem dla wszystkich ludzi rozumnych i uczonych, których wyprawiał często w podróże, aby mu zewsząd dostarczali nowych materyałów do jego zbiorów. W Egipcie utrzymywał król Hakem w tym celu Abu Izaka Muhameda ben Alkazem el Szejbani, w Syrii Abu Omara i kilku innych, w Bagdadzie Muhameda ben Tarhan. Do szybkiego odpisywania rzadkich ciekawych dzieł służyli we wszystkich miastach biegli i hojnie opłacani pisarze.“

„Biblioteka Alhakema ułożona była według podziału nauk i kunsztów. We wszystkich salach, na wszystkich szafach znajdowały się ozdobne napisy, zawierające tytuły ustawionych na półkach książek, z wyszczególnieniem nauk o których traktowały. W głównych katalogach zapisane były dzieła, nazwiska autorów, ich pochodzenie i ojczyzna, rok urodzenia i śmierci, wszystko z najściślejszą dokładno-

ścią. Historyk Aben Hajan donosi, iż katalogi biblioteki meruańskiej nazwanéj tak od pałacu Meruan, składały się z 44 tomów, każdy tom o kartach 50, na których znajdowały się jedynie nazwiska autorów i kolekcyci ich pism. Według innego zaś pisarza miał główny katalog ukończonym być dopiero za panowania Hakemowego syna Hiszema.“

Sławny hadżib Almanzor, któremu niekiedy przypisują zaprowadzenie straży słowiańskiej, założył w istocie akademię umiejętności i sztuk nadobnych. Należeli do niej sami ludzie zasłużeni oświacie, którzy już napisali jakieś dzieło uczone, bądźto prozą bądź wierszem. Inni protektorowie i miłośnicy nauk lubili otaczać się towarzystwem uczoném, wyprawiali biesiady literackie, zwyczajnie w dzień czwartkowy. Na posiedzeniach akademii, przy obiadach uczonych, tudzież z innych okoliczności odbywały się dysputy umiétne, improwizowano na zadane tematy, walczone z sobą o palmę. Całe pożycie towarzyskie przejmowało się uszanowaniem dla uczoności, wyrażajacém się w dziwnych nieraz zjawiskach.

Nawet poniżona w społeczeństwie orientalném niewiasta odzyskiwała zaletami umysłu utraconą powagę, stawiała na równi z mężczyznami. Dziejopisowie andaluzyjscy opowiadają bardzo często o uczonych Arabkach, poetkach, sekretarkach królewskich, podobnie jak Słowianie często ze stanu niewoli podniesionych. Nawet sama srogość wojenna łagodniała pod wpływem światła, zmuszona zastosować się do przepisów wytwornéj obyczajności. Prawy rycerz arabski winien był posiadać dziesięć cnót kardynalnych, mianowicie: rzetelność, mężstwo, zręczne jeżdżenie na koniu, ugrzecznienie, poetyczność, krasomówstwo, siłę fizyczną, wprawność w ciskaniu dziirytem, w strzelaniu z łuku i w robieniu orężem. Przez rycerzów chrześcijańskich, bawiących wielokrotnie na dworach emirów andaluzyjskich, miały przepisy téj wytworności rycerskiej upowszechnić się pomiędzy rycerstwem hiszpańskiem i francuzkiem i przyczynić się nie mało do rozwoju szwaleryi europejskiej. Z większą jeszcze pewnością da się to powiedzieć o wpływie nauk arabskich na średniowiekową uczoność europejską. Toć wiadomo, w ilu różnych gałęziach owi w bibliotekach Alhakema prze-

chowywani pisarze arabscy stali się nauczycielami oświaty nowoczesnej. Nie darmo też nakazywali papieże rzymscy w wieku XIII zakładać osobne katedry języków oryentalnych przy uniwersytetach niektórych.

U takich to nauczycieli kształcili się nasi pobratymcy w Hiszpanii. Na takiemto tle społeczeństwie rozwijały się losy niewolników słowiańskich, mające z czasem tak wysokiego dostąpić kresu. Pałac i ogrody Azahry służyły im za codzienny przybytek, poetki i poeci arabscy śpiewali chwałę naszych hadżibów, słowiańscy królowie Murcyi, Denii, Almeryi, posiadali własne pałace i ogrody na podobieństwo Azahry. Cała historia tego na odległe brzegi wyrzuconego roju słowiaństwa wygląda raczej jak jedna z czarodziejskich powiastek oryentalnych, niż jak zwyczajny wypadek rzeczywistości. Wywieziony z pod nadwiślańskiej lub naddunajskiej strzechy niewolnik widzi się stróżem osoby cesarza maurytańskiego, dochodzi u niego łask i zaszczytów, zasiada z nim do współrządu, sam nareszcie zostaje królem — nie istneż to marzenie historyczne? Zaprzędany w niewolę Kanaanejczyk z nad Wisły lub Dunaju wzniosł się wyżej nad brzegami Gwadalkiwiru niż Kanaanejczyk Józef w swoim Egipcie, ale czyż wraz z Józefem pamiętał o dalekiej ojczyźnie? Zdaje się nie pamiętał, gdy i ona go zapomniła — zapomniła syna najdziwniejszych losów pomiędzy wszystkimi utraconymi synami Słowiańszczyzny. I byłaby zgasła wszelka o nim wiadomość, gdyby nie pisarze narodu, któremu służył, a który zato odpłacił mu słowem pamięci.

A gdy się raz rozwarło źródło takich wspomnień arabskich, gdy dzięki badaczom jak Kasiri, Konde, Fraehn, D'Ohsson, powzieliśmy od Arabów tyle ciekawych wieści o naszych przodkach, dla czegożby nie wolno było spodziewać się jeszcze więcej darów tego rodzaju? Toć wszystko, cośmy już otrzymali w téj mierze, upoważnia do nadziei podobnej. Uczeni jak Kasiri i Konde patrzyli obojętnym okiem na wzmianki o Słowianach w dziejopisach arabskich i wypisywali je bez osobliwszej pilności, a przeszło dwuwiekowy pobyt i ważna rola Słowian w Hiszpanii dawały



im sposobność upamiętnić się z wielu różnych względów w dziejach krajowych.

Możnaby tedy wnosić, iż rękopisy arabskie, przechowywane po tylu bibliotekach europejskich, zawierają nieco więcej szczegółów o Słowianach, niż znajdujemy w Kasirim albo Kondem. Mniemanie nasze utwierdza się jeszcze okolicznością, iż każdy z nowych tłumaczy kronik arabskich, jak np. Murphy po Kasirim, Konde po Murphym, znachodzi coś nowego do powiedzenia o Słowianach hiszpańskich; nie zdaje się przeto, żeby i Konde wyczerpał wszystko.

Mamy zresztą ciekawy przykład, o ile dotychczasowe wyjątki z pewnego pisarza arabskiego są tylko próbką nierównie większych wiadomości o Słowiańszczyźnie, jakie tenże sam pisarz umieścił w innych pismach nieogłoszonych. Przykładem takim jest znany pisarz Massudy, który w wydanym przez D'Ohssona wyjątku wzmiankuje o wielkiej rzeszy słowiańskiej, rozbitej wojną domową, poczem dodaje: „Jestto przedmiot za obszerny, abym go mógł tu wyłożyć, mówiłem o nim w całej rozciągłości w dziełach moich *Achbar-uz-Zemani* i (*Ketab*) *ul-Ausatti*“<sup>66</sup>). Do tych nieodszukanych jeszcze dzieł Massudego, jako też do nowych rękopisów andaluzyjskich nie znajdzież drogi który z oryentalistów słowiańskich? Przetrząsniono już w celu poznania starożytnych Słowian źródła łacińskie, przejrzano bizantyńskie, czekają jeszcze arabskie.

## P R Z Y P I S K I.

- 1) D'Ohsson, Des peuples du Caucase 86, 89.
- 2) Abdelrahman, Abdelraman, Abderrahman, Abdorrrhaman, właściwie Abd-el-Rachman tyle co Sługa Miłosiernego. Arabski wyraz „rachman“, miłosierny, łagodny, dał początek staropolskim wyrazom rochmanny, rochmanność, urochmanić, tyle co łagodny, łagodność, ułaskawić (ob. słownik Lindego). Słuszna tu nadmienić także o niejednostajnej pisowni innych imion arabskich. Pochodzi ona z wiadomego zaniedbywania samogłosek w rękopisach tego języka, z kąd często wątpliwe onych brzmienie. I tak np. czytamy Omejadów, Ommajadów i Ommijadów; Elhakam i Alhakem; Hiszem, Hiszam i Heszam; Muhamed, Mohamed, Muhamad i Mahomet; Sulejman i Solejman; Edris i Idris; Ebn i Ibn, i t. p.
- 3) A. Bielowski, Pomniki dziejowe Polski (w druku) I. 62, 65. Z trafnych postrzeżeń Bielowskiego na str. 81 przekonywamy się, iż król Gebalimów słowiańskich u Chasdaja jest to wspomniany przez Konstantyna Porfyrogenetę książę Chrobatów na północno-zachodniej stronie gór Karpackich, w sąsiedztwie Niemców. Z témże zgadza się Chasdajowa nazwa Gebalim, pochodząca najprawdopodobniej od tego samego pierwiastku „góra“, po arabsku „gibal“ lub „gebal“, którego dostrzegł w niej już Bielowski na str. 81, a który zwyczajnie upatrywany bywa także w nazwie „Chrobacya“. Arabski wyraz „gebal“ powtarza się także w języku hebrajskim, w którym pisany jest list Chasdaja, a równie u Arabów jak u Żydów służył do nazw miejscowych. Śladem tego prowincya Gebalene, górzysta, w Palestynie; powiat Gebel (Dżebel), górzysty na Libanie; kraj Gebel w Kondego Historji panowania Arabów w Hiszpanii tom II rozdz. 11, tamże częste nazwy jak Gebal-Tarik, Gebal-Quintos i t. p. Takim sposobem Chasdajowa nazwa Gebalim byłaby tłumaczeniem nazwy Chrobatów, a obie razem znaczyłyby według zwyczajnego przypuszczenia tyle co mieszkańcy gór, „Horiti“ króla Alfreda.
- 4) Ustęp z Murphy'ego „History of the mahometan empire in Spain“ w Aschbacha „Geschichte der Ommaijaden in Spanien“ II. 98 brzmi całkowicie: „Other ambassies arrived at Annasirs court; namely, one from the king of the Slavonians, called Ducu; one from the king of France behind the Pyrenees, named Ukad; and one from the sovereign of the France on the east side of the country, called Calda. These envoys were likewise received by

Annasir with great pomp and state: and he sent back, with the ambassador of the Slavonians to their Sovereign Hugo Rabia, the biskop, who returned after an absence of two years." O używaniu przez Abdelrachmana III duchownych mozarabskich do poselstw, nawet do usług w kancelaryi arabskiej wspomina kilkakrotnie Vita Joannis abbatis Gorziensis w Pertz Monum. Germ. Script. IV. 369—377.

- 5) D'Ohsson, Des peuples du Caucase 86.
- 6) Multitudinem mancipiorum virilis scilicet et feminei sexus emere visi sunt, quos et in Africam ad paganum gentem nitebantur deducere. Fischer Geschichte des teutschen Handels I. 36.
- 7) Dandul. in Chron. ad a. 878/pag. 186. Fischer I. 26.
- 8) Lechicki początek Polski 340. Schwandtner Scriptorum rerum Hungaricarum III. 452.
- 9) Boguś w Sommersberga Scriptorum rerum Silesiacarum II. 19.
- 10) Muratori, Scriptorum rerum Italicarum II. 470 quos (eunuchów) Verdunenses ob immensum lucrum facere solent, et in Hispaniam ducere. Z téj przyczyny uchodzili Werduńczykowie za najlepszych znawców drogi do Arabów w Hiszpanii, i służyli często za przewodników. Vita Joannis abbatis Gorziensis Pertz IV. 370 praedictumque Viridunensem socium ob locorum regionumque notitiam facit. Nie dziw zaś, iż na dworze kalifów andaluzyjskich pożądanymi bywali eunuchowie, jeżeli o znanym cesarzu bizantyńskim Konstantynie Porfirogenecie opowiada biskup Liutprand w swojej Historii (Muratori II. 470), iż ze wszystkich darów złożonych cesarzowi przez Liutpranda w imieniu włoskiego króla Berengara, najmilszym upominkiem było mu czterech małych eunuchów, quatuor carsamata, imperatori nominatis omnibus (donis) preciosiora. Carsamata autem Graeci vocant eunuchum....
- 11) Fischer Geschichte des teutschen Handels I. 35 praedicavimus Christianis, ut mancipia eis (Judaeis) christiana non venderent, ut ipsos Judaeos Christianos vendere ad Hispanos non permetterent. Mowa tu jedynie o handlu niewolnikami chrześcijańskimi. Nie ochrzczonych jeszcze Słowian nikt zapewne nie bronił sprzedawać Żydom.
- 12) Lelewel Polska wieków średnich 1856. II. 328, 418.
- 13) Vita S. Adalberti. Pertz Monum. IV. 586 propter captivos et mancipia christianorum, quos mercator Judaeus infelici auro emerat emptosque tot episcopus redimere non potuit. Tamże IV. 600 mancipia christiana perfidis et Judaeis vendebant.
- 14) Thietmar Chron. Pertz Monum. III. 821 quod familias multorum.... Judaeis vendidit.
- 15) Lelewel Polska wieków średnich 1847. II. 352.
- 16) Z arabskich źródeł czerpał także Roderyk, arcybiskup Toledu, piszący jeszcze w wieku XIII. Jego Historia Arabum znajduje się w drugim tomie Schotta Hispaniae illustratae scriptores.

- 17) Tom I. str. 251. Habia puesto una guardia de cinco mil hombres, los tres mil Andaluces Muzarabes, y los dos mil Eslavos, com muchos eunucos dentro del alcazas.
- 18) Casiri Bibliotheca I. przedm. str. VI. Jak różnie np. czytali też same słowiańskie nazwy Massudego des Guignes w rozprawie o Massudym (Notices et extraits de manuscrits de la bibliothèque du roi I. 27) i D'Ohsson w swoim dziele Des peuples du Caucase str. 36—38—!
- 19) Casiri Bibliotheca II. 206. Scalabitaes sunt Illyrii, vulgo Esclavones, qui per ea tempora in Hispania stipendia merebant.
- 20) Casiri Bibliotheca II. 205.
- 21) Casiri Bibliotheca II. 108.
- 22) Casiri Bibliotheca II. 204 a Vadheh Alscalabaeo Eunuchorum rectore.
- 23) Herbelot Bibliothèque orientale 382.
- 24) Casiri Bibliotheca II 205.
- 25) Aschbach Geschichte der Ommajjaden II. 286 der slavonischen Eunuchen.
- 26) Hammer-Purgstall Gemaeldesaal der Lebensbeschreibungen grosser moslimischer Herrscher III. 152 Capitaen der slavischen Eunuchen-Leibwache.
- 27) Lembke Geschichte Spaniens I. 373. Aschbach Geschichte der Ommajjaden I. 229.
- 28) Hammer-Purgstall Gemaeldesaal III. 65.
- 29) Conde Historia de la dominacion de los Arabes en Espana. I 352 tu guardia de Eslavos que era gente extrangera oriental.
- 30) Casiri Bibliotheca II. 214 gente Dalmata.
- 31) Aschbach Geschichte der Ommajjaden II. 111. Mailath Geschichte der Magyaren I. 15.
- 32) Boczek Codex diplomaticus Moraviae I. 72.
- 33) Conde Historia tom I. 352. Vita Joannis Gorziensis (Pertz IV. 375) opowiada, iż udając się do pałacu Abdelrachmana, spotykał posel różne hufce wojskowe, między którymi pedites hastis humo stantes defixis, longe inde hastilia quaedam et missilia vibrantes manuque crispantes, ictusque mutuos simulantes...
- 34) Conde Historia tom I. 417.
- 35) Murphy w Aschbacha Geschichte der Ommajjaden II. 111. It is said the Slavonians amounted to six thousand and eighty seven.
- 36) Conde Historia tom I. 456.
- 37) Conde Historia tom I. 519.
- 38) Aschbach Geschichte der Ommajjaden II. 266.
- 39) Aschbach Geschichte der Ommajjaden księga VII rozdz. 1.
- 40) Conde Historia tom I. 558—582.
- 41) Casiri Bibliotheca II. 204. Aschbach Geschichte der Ommajjaden II. 264.

- 42) Casiri Bibliotheca II. 51 duce Vadheho Alscalabaeo (Alsaclabaeo).
- 43) Casiri II. 254 a Vadheh Alscalabaeo Eunuchorum rectore.
- 44) Aschbach Geschichte der Ommaijaden II. 254.
- 45) U kronikarza Roderyka Toletańskiego obaj Słowianie nazywają się Zabor i Hanbar. Aschbach Geschichte der Ommaijaden II. 264. Anbaro zdarza się także jako imię mahometańskie.
- 46) Aschbach Geschichte der Ommaijaden II. 265 regierte der Had-schib Wadha durch seine Slavonier fast unumschraenkt.
- 47) Hammer-Purgstall Gemaeldesaal III. 153. Nun herrschten die Slaven in Andalus.
- 48) Conde Historia tom I. 576—600.
- 49) Conde Historia tom I. 582.
- 50) Casiri Bibliotheca II. 205—206.
- 51) Casiri Bibliotheca II. 108.
- 52) Conde Historia tom II. 2—38.
- 53) „Dzieje rodziny Edrzydów“ — uskarża się Aschbach w swojej Historyi Almorawidów i Almohadów I. 28 — „pełne są najdziwniejszych sprzeczności, które żadną miarą nie dadzą się pogodzić według podań kronikarzów arabskich. Nawet kolej następstwa i lata panowania ulegają nie rzadko wątpliwości.“
- 54) Casiri Bibliotheca I przedm. str. VI.
- 55) Conde Historia tom II. 12.
- 56) Casiri Bibliotheca II. 204.
- 57) Tamże w indexie do tomu II.
- 58) Conde Historia tom II. 11.
- 59) Casiri Bibliotheca II. 42, 215.
- 60) Tamże apud Scolabaeum Almeriae et Murciae regem... adnitente Zohairo Almeriae et Murciae rege.
- 61) Aschbach Geschichte der Almoraviden und Almohaden I. 43.
- 62) Conde Historia tom II. 94—164.
- 63) Conde Historia tom I. 487. Hammer-Purgstall Gemaeldesaal III. 119.
- 64) Aschbach Geschichte der Ommaijaden II. 106.
- 65) Conde Historia tom I. 457.
- 66) Bielowski Wstęp krytyczny do dziejów Polski 186. D'Ohsson Des peuples du Caucase 88.



ZDOBYCZE PŁUGA POLSKIEGO.





Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy — z rycerskości i z zamiłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historii i w codzienném życiu narodu, ale nie zostawiły obie równie widocznych rezultatów po sobie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocalała niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiem i zajęciach rolniczych?

Najbliższą tego wynikłością byłoby znaczne udoskonalenie rolnictwa jako sztuki — lecz w téj mierze historia wcale smutnej uczy nas prawdy. Pomijając czasy i marzenia starosłowiańskie, nie byliśmy nikomu mistrzami w sztuce rolniczej, a dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej przedstawiają rolnictwo w nader opłakanym stanie upadku. Jeżeliby nasz przyrodzony pociąg do pracy około ziemi miał nas zniechęcać do zatrudnień innego rzędu, mianowicie odejmować nam serce i uzdolnienie do zajęć przemysłowych, natenczas ta skłonność sielska okazałaby się w ostatnich wynikłościach raczej szkodliwą niż zaletną. Nawet wychwalane nieraz zaopatrywanie głodnych ludów zamorskich płodami ziemi polskiej nie rozstrzyga stanowczo powątpiewania. Umniejszony bowiem w dwóch ostatnich wiekach handel zbożowy sprowadzał w rzeczywistości bardzo mało złota do skarbców naszych, a niezasilone rolnictwem ubóstwo materyalne po zejściu dynastji Wazów przyczyniło się

w wysokim stopniu do katastrofy późniejszej. Przy tylu zaś przeciwnych rolnictwu naszemu względach czemuż ono ostatecznie zasłużyło się dziejom?

Aby odpowiedzieć na to; wypada przedewszystkiēm przypomnieć z historii wielką niejednostajność, jaką pod względem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych epokach dawnego państwa polskiego różne jego prowincye. Rzecz to równie powabna jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W., mnożą się rysy do takiego obrazu.

Wówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony krakowskie, sędomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy, zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmia gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. Starożytne nadania i konfirmacye kościelne z wieków XII i XIII wyliczają nam prawie też samą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tynieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodniopolskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa — w tak zwanój Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych zaledwie tu owdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkimi wyspami nieco osiadlejszēj krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzone błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskimi gdzie-niegdzie zgłiszczami na Podolu, i trawne oczerety a stepy ukraińskie. Ztąd kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, było zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemnogie wsie i miasteczka.

Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W. Stanisław ze Strożysk, otrzymał od pana swego w r. 1362 Rzeszów z całym obszarem ziemi dokoła. Nieco dalej nad Dniestrem, wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadał około

1390 r. darem Władysława Jagiełły całą późniejszą Samborszczyznę do Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiełłów Władysław obdarzył w r. 1441 zasłużonego w walkach z Tatarstwem rycerza Jana z Sienna starodawnym Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa. Ów Samborszczyzną uzamożniony wojewoda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księstwo podolskie z dalekimi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Ordą. Lada chudopacholek z Mazowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi, albo kupował go za bezcen i osiadał na nowym gruncie.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców — darowizny pustych obszarów bywały istotnym dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich, szły nietknięte stopą ludzką zarosła coprędzej pod uprawę, gromadziła się zwolana zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedlili się z kolei Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jój łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donataryusze rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepełnionego drobną szlachtą Mazowsza napłynęły na Ruś z Jagiełłą i panującym na Bełzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenta ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawiali ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta

współmieszkających tu ludów, zazwyczaj czém inném się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę — sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w pocie czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamięłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej za możnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsie i miasteczka. Drobną szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopą. Wiele z owych wiosek drobno szlacheckich wzdłuż całego pogórza Karpat powstało z wydzielonych pojedynczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona z nich dziatwa rozbudowała się później w dzisiejsze wsie szlacheckie. Zapewne nieporównanie większa liczba osad województw ruskiego i bełzkiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolniej na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale historyi takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie niż doczekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Napróżno pytałbyś dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, z kąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenta fundacyi i jakątąką znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za skazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastało, nie było też wsi dokoła. Dopiero przy mnożeniu się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającemi się w niem targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku.

Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Przyносиło wprawdzie zakładanie miasteczek znaczne korzyści założycielom i bywało niekiedy z téj przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie <sup>1)</sup>. Nigdy jednak nie można było myśleć o założeniu miasteczka bez dostatecznej ludności sielskiej w pobliżu.

Ztąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnéj całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z trzynastu obwodowych miast dzisiejszój austriackiej Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełzkiego i podolskiego, tylko trzy stare grody: Lwów, Przemyśl i Sanok, znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

I tak Rzeszów i Stryj były małemi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1431 nową otrzymała lokacyę. W miejscu dzisiejszego Sambora stało spustoszone sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około roku 1390 założył miasto Sambor. Złoczów należał w wieku XV-m, jako wioska, do dóbr oleskich, i wznosił się dopiero za Sienieńskich, Górków, Sobieskich. Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w r. 1540. Brzeżany urosły w miasteczko dziesięcią laty pierwój za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żółkiewski, około r. 1597 na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli Stanisław Rewera Potocki, około r. 1654 zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasteczko Stanisławów. Za Czartkowskich nastał Czortków roku 1522. Zaleszczyki wzniosły się dopiero w ciągu wieku XVIII, pod rządem rodziny Poniatowskich.

Ledwie też nie każdy z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacyą jakiegoś miasteczka. Tęczyńscy np. w r. 1605 założyli Topców, około 1560 Podgrodzie w pobliżu Rohatyna.

Sieniawscy oprócz Brzeżan r. 1552 wzniesli Prokopów czyli Wojniłów, 1549 Kałusz, 1578 Tustań czyli Chorostków, 1576 Oleszyce, około 1676 Sieniawę. Zamojscy r. 1580 Zamość, 1615 Tomaszów niegdyś Rogoźno, 1588 Krzeszów. Tarnowscy oprócz Tarnopola zbudowali około roku 1548 Tarnogórę. Żółkiewscy przed założeniem Żółkwi dali około roku 1584 początek Brodom. Potoccy oprócz Stanisławowa założył 1553 Suchostaw czyli Jabłonów, około r. 1570 Potok, 1676 Tartaków, około 1692 Krystynopol, 1715 Kutry. Herburtowie ufundowali 1515 Podkamień, 1538 Kukizów, 1566 Dobromil. Żórawińscy 1489 Bukaczowce, 1563 Jaryczów, około 1563 Żurawno. Lipscy 1607 Bełzec, około 1620 Lipsko w Żółkiewskim. Łaszczowie 1503 Strzemilcze, 1549 Łaszczów niegdyś Domanysz. Tarłowie 1570 Mikołajów. Fredrowie 1580 Niemirów. Firleje 1570 Firlejów. Reje 1547 Rejowiec. Jordanowie 1595 Mikulińce. Sienieńscy 1504 Pomorzany. Jazłowieccy 1559 Barysz. Mieleccy 1548 Ujście nad Dniestrem. Strusiowie Strusów. Opalińscy 1638 Opalin. Maciejowscy 1557 Maciejów. Płazowie 1615 Płazów. Pileccy 1569 Sokółów.

Pozostawałoby jeszcze do wymienienia kilkadziesiąt innych fundacyj miejskich między Sanem, Bugiem a Zbruczem za rządów polskich. Z tych przynajmniej znamienitsze niech nam wolno będzie przypomnieć w porządku chronologicznym. Roku 1397 powstał Leżajsk. 1400 Hrubieszów. 1420 Dunajów. 1424 Sokal. Około 1431 Mrzygłód. 1431 Radymno. 1455 Rawa. 1471 Komarno. 1471 Kamionka Strumiłowa. 1510 Żurów. 1515 Uhrynów. 1516 Załośce. 1525 Husaków. 1530 Borek. 1538 Wareż. 1549 Budzanów. 1549 Mosty wielkie. 1559 Husiatyn. 1571 Rozdół. 1588 Dubienka niegdyś Dębno. 1588 Korytnica niegdyś Wręby. 1591 Magierów. 1610 Baligród. 1611 Janów. 1615 Sasów. 1619 Kasperowce czyli Lutomirsk. Po 1665 Uścieczko nad Dniestrem 1672 Wielkie Oczy i t. p.<sup>2)</sup>

Tyle miast i miasteczek przybyło województwom: ruskiemu, bełzkiemu i jednemu powiatowi Podola w przeciągu trzech wieków pod rządem nowych dziedziców polskich. Zenitem téj skrzętności kolonizacyjnej był wiek XVI, wzmała się ona w wieku XV, upadła w wieku XVII. Każde

z licznie powstających miasteczek urastało z zasiłku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek dokoła. Ilektych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenta fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nietyle z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich, i zapewne w nierównie większej połowie rękoma swojemi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladźką zaludnili, założonemi swoim staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Co więc—gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na pobliskie Wiśle województwa ruskie i bełskie, czyli na dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciśniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi podolskiej i ukraińskiej. Jakoż w tym samym czasie kiedy kolonizacja stron naddunajskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dnieprem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w drugą połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części podobnie szlachty polskiej zaśluga, i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jój gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczenia nierównie większe trudności niż rolnictwo w ziemiach województwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama bliskość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie znała wcale zagonów krymskich, jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały téj plagi, tu na kresach ukraińnych toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami, a najeżdżającym ich z pobliza Tatarstwem pogranicznym. Były to napady każdodziennie, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyłuż chrześcijan. Nie mogli z téj przyczyny osadnicy ukraińscy

wychodzić po jednym do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni. Nadawało to osobliwszego uroku tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej w równym stopniu do pługa jak do oręża. Ostatecznie atoli doznawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmiernego ztąd utrudnienia, i musiało nawet dwukrotnie być ponawianém.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego — drugi raz po zupełnem spustoszeniu Ukrainy w skutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem Andruszowskim roku 1667, a połową następnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych lubo niedość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowicie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmielnickiego i hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pieczołowitém staraniem króla Zygmunta III-go, a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV-go, zaczęły pustkowia ukraińskie z trudną do pojęcia szybkością napełniać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów, gospodarcza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. „Ja sam“ — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuzki Beauplan — „założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1,000 osad urosło.“

Na każdym pustkowiu zakładano z niezmierną skwapliwością nowe wsie i miasteczka, nie zważając na czyim właściwie gruncie, nie otrzymawszy upoważnienia od króla. Bywało to powodem wielu nadużyć, i odbywały się w pismach i na sejmie głosy doradzające, „aby prawem osady zakazane były wszelakie w dzikich polach, t. j. wszelkim ludziom prywatnym, bez danego przywileju na to.“<sup>3)</sup> Na stał wkrótce osobny rodzaj procesów o dorywcze zakładanie



osad na cudzym gruncie. W jednej z takich spraw trybunalskich, hetman w. koronny Koniecpolski, zapozwał xięcia Wiśniowieckiego o 40 miasteczek, zbudowanych przez xięcia na pustej przestrzeni ziemi, która później okazała się przyległością hetmańskiego starostwa Pereasławia.

Cały owszem nieszczęsny bunt Chmielnickiego wynikał pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczystej wsi Subotowa, lecz ze sporu o takąż nowo przezeń założoną osadę, czyli slobódkę, której jako na gruncie niewłasnym osiedlonęj, pozbawił go chciwy podstarości Czapliński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — „wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała“ — mówi społeczny Jerlicz. „Niegdyś za królów Kazimierza i Aleksandra Jagiellończyków“ — czytamy w jednym z dzisiejszych pisarzy małosyjskich \*) — „kiedy komu posiadłość ziemską wydzielano na Ukrainie, wymieniały dokumenta nadawcze na całej przestrzeni między Siniuchą a Tykiczem, tudzież od brzegów Rosi aż do ujścia Taśmina, nie więcej jak jednego lub dwóch poddanych; w dalsze zaś 100 lub 150 lat znajdujemy całą tę stronę już wielce zaludnioną.“

Tenże sam pisarz rosyjski daje nam bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z Ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niegdyś w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgłiszcza. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu andruszowskiego zawarowano, aby pewną przestrzeń pograniczną ziemi między Polską a Rosyą pozostawić na zawsze pustką.

---

\*) Zapiski o jużnoej Rusi. Izdał P. Kulisz. Peterburg 1856—1857. tom I str. 88.

Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru, wzdłuż dzisiejszych powiatów: czechryńskiego, czerkaskiego i kaniowskiego, skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalejsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie, bierzemy z saméjże książki przytoczonego tu pisarza rosyjskiego, który niepodejrzaniem świadectwem swoim najlepiej poprze nasze twierdzenie.

„Wszystek tedy kraj ukraiński“ — opowiada dalej p. Kulisz \*) — „obrócił się w pustynię. Wiemy to z kroniki Wieliczki, który ciągnąc w r. 1705 z Kozakami od Korsunia i Białej Cerkwi na Wołyn, przerażony był bezludnością zachodniej Małorusi... Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia tak szczerze uposażona od Boga miała zostać długo pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowuż zjawił się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dnieprowe, ani powstrzymywała przemoc człowieka, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych — z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, później dla zakrzątnienia się około nowej ich uprawy i kolonizacji. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądźto w głębokiej Polsce za Wisłą, bądź w spokojném Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzimych Poleszuków, i ich-to wioseczki pojawiły się najpierw na pobrzeżu Dnieprowém. Mowa tu głównie o stronach wyższej Ukrainy około Kijowa i Berdyczowa, gdzie oddawna trzymała ziemię szlachta średniej fortuny jak Zalescy, Bieżyńscy, Proskurowie, Olizary, Tyszowie, Bykowscy i inni. W południowych zaś i wschodnich częściach

---

\*) Tamże tom I. str. 83—87.

przeddnieprskiej Ukrainy, rozciągały się prawie bez wyjątku ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie. Humańszczyzna poszła od Strusiów do Potockich, Śmilańszczyzna od Koniecpolskich do Lubomirskich, a w tych ogromnych posiadłościach gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się ich oficyaliści i pełnomocnicy, podobnie jak właściciele górnych powiatów, sama szlachta herbowa. Do starostw królewskich i dóbr szlacheckich południowej i wschodniej części Ukrainy przeddnieprskiej napływała ludność zwolna tymże samym sposobem, bądźto z różnych kryjówek dotychczasowych, bądź z dóbr szlacheckich północnej Ukrainy. Dowiadujemy się o tém z mnogich procesów, które pod owe czasy toczyły się tu z przyczyny chłopów, od pana zbiegłych.“

„Kulminacyjnym punktem téj kolonizacji ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humańszczyźnie pod bezpośredniem zarządem Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego <sup>4)</sup>. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich, tudzież innych, najskuteczniejszym środkiem osiedlania ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądźto z pomiędzy samychże rządzców tych włości, bądźteż z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów stale na kresach Ukrainy konsystujących, a ztąd partya ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie nawykawszy do stron tutejszych pozbywali się chęci powrócenia do domu, i korzystając ze swobody zajmowania się czémkolwiek obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa, niezdala od stanowisk chorągwi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przedewszystkiem myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada nie wzrastała nigdy inaczej jak na prawach slobody, to jest uwolnienia

od wszelkich powinności i danin na pewną liczbę lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową slobodę na różnych miejscach tłumnego zgromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztor-nych praznikach — gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi. Rozumie się, iż gospodarz zamożny nie dał się uwieść wołaniem na slobodę. Lecz w każdym siole bywały sieroty pokrzywdzone od starszego rodzeństwa — byli utratnicy, którzy ostatni szczątek mienia z rąk wypuścili — byli kochankowie obawiający się rozłączenia lub doznający prześladowania, było nakoniec wiele ludzi pragnących zmienić tryb życia. Wszystko to nadśluchiwało z radością obietnicom nowozakładających się slobód, jako hasłom do uwolnienia od wszelkich nędz i utrapień żywota codziennego. Zachowało się podanie z czasów osiedlenia Śmilańszczyzny, jakoby książę Ksawery Lubomirski kazał obwoływaczom slobód ogłaszać na jarmarkach, iż ktokolwiek przybędzie do niego z cudzą żoną i z cudzemi wołami, on i takiego nie wyda i stanie za nim do prawa.“

„Kiedy takim sposobem wzdłuż całego Dniepru, na starych popieliskach i rozwalinach, w zacięciu spokojnych, licznemi strumieniami zroszonych dolin, stanęły nowozalożone baraki, lepianki i od ręki ciosane chaty, znalazło się także i za Dnieprem niemało ludzi, którzy zapragnęli korzystać z nieporównanie lepszych warunków poddaństwa u nowych właścicieli zachodniej Ukrainy. A ci nawzajem ślali ku nim przywabiające odezwy i ułatwiali im środki do przesiedlenia się. W ówczesnym stanie zarządu i pogranicznej kontroli na lewym brzegu Dniepru przechodzenie na polską stronę rzeki było wcale łatwem, jak teraz z gubernii do gubernii, a w następstwie tego kaniowskie, czerkawskie i czechryńskie pustynie napełniały się coraz bardziej i bardziej wychodźcami z przeciwnych siół i grodów rosyjskiej Hetmańszczyzny. U rybaków dniewprowych przechowała się podziśdzień pamięć figur i krzyżów z zawieszonym na nich snopem żyta, cepem i sierpem. Wystawiano takie krzyże na wynioślejszych miejscach pobraża, a miały one znaczyć, iż ktoś zakłada tu slobodę i przywoływa osadników na pewnych warunkach i wolnościach. W moc ta-

kowych warunków uwalniano osadników zwyczajnie od wszelkich czynszów i powinności na pewien przeciąg lat, co właśnie nazywało się *słobodą* czyli *swobodą*. Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżającemu<sup>1</sup> jawno być mogło, na ile lat dana jest swoboda takiemu siołu, wbijano na wygonie słup na podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego roku wytrącano jeden kołek, a gdy wszystkie lata minęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicielowi ziemi i odbywać niektóre powinności.“

„Obowiązki ukraińskich poddanych były nader łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne, pańszczyzny naczeczano najwięcej 12 dni do roku z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospodarstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku, sadła, pędzenia wódki na małą skalę i t. p. Podstarościowie i inni oficyaliści pańscy wzbogacali się podarkami, które starodawnym zwyczajem składali im poddani, ilekroć jakakolwiek potrzeba powoływała kogo do dworu. Wzbogacano się także różnego rodzaju handlem, mniej lub więcej godziwym, osobliwie dostawianiem furazu wojskom rossyjskim, które natenczas stały bez przerwy wzdłuż granic Dniepru, albo u samych kresów Turcyi. Prowadzono wreszcie handel wysyłanemi na Zaporoże przeróżnemi potrzebami do życia, które za bezcen nabywały się w kraju prawie bajecznie urodzajnym, a szły drogo w zamian za konie i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem szlachta sama sobą się bogaciła, i ani w obyczajach ani w czémkolwiek inném nie znajdowała pobudki do obciążania poddanych robocizną. Ztąd w nader szybkim czasie dochodziły nowe sioła do stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie tego kolonizacya kraju wzrastała jakby cudem. Wszystkie okoliczności współdziałały ku ubłogosławieniu doli mieszkańców. Ale jak każde młode społeczeństwo tak i Ukraińcy nieznali troski o jutro, nie zbierali zapasów chleba i ufając żyzności gleby nie orali wcale na zimę. Zaczém zdarzało się nieraz, iż nieurodzaj jednego roku nabawiał mieszkańców strasz-

nego głodu. W historyi uprawy ziemskiej i gospodarstwa na Ukrainie, przedstawiają się nam dwie ostateczności — albo niezwykle niskie ceny, albo całkowity brak chleba, głód a nawet pomorek z głodu. Wszakże te nieszczęścia chwilowe pochodziły jedynie z ówczesnego stanu ziem ukraińskich, i żadną miarą nie mogą być policzone na karb szlachty polskiej, która już po raz drugi uprawiała i zabudowała te strony...“

Tożsamo powtarza p. Kulisz dwukrotnie w dalszym ciągu swego opowiadania, mówiąc o spustoszeniu kraju kozackimi wojnami za Chmielnickiego i burzą hajdamacką w drugiej połowie wieku XVIII.

„Kilkunastoletni okres niepokojów kozackich, nazwany u dziejopisów polskich *hosticum* u naszego zaś ludu *ruiną*, obrócił zachodnią Ukrainę w istną pustynię, a w ciągu lat pięćdziesięciu, polska i już całkowicie katolicka natenczas szlachta zamieniła ją znowuż w ludną krainę..... Aż oto po niedługim czasie nowe najazdy zaporozkie, znane pod nazwą Hajdamaczyzny, zawichrzyły napowrót ziemię, ledwie co tylko staraniem szlachty polskiej zagospodarowaną.“

Mniej wyraźnie zachowała się pamięć dawniejszego osiedlenia stron naddniestrzańskich przez ziemian polskich, ale sama istota czynu niemniej przeto jest pewną. Jak Ukraina tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winne były największą część swęj uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlachectwu koronnemu. Jak Ukraina tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie na nowo osiedlone zostały przez szlachtę polską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie, czyto na Ukrainie, czy na Podolu i w Haliczu spustoszyły ze szczerem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obrócili mieszkania — tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowęj pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie. Cześć więc orężowi i cześć pługowi naszemu,

oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historyi.

Zastanawiając się nad tém historyczném powinowactwem polskiego miecza i pługa, lubimy przypominać sobie charakterystyczne słowa owego syna mieszczańskich rodzi-ców z Biecza, który w szacie biskupiej posłował tyle razy od królów polskich do monarchów zachodnich.

„W stronach południowej Rusi“ — pisze nasz Marcin Kromer w drugiej połowie XVI stulecia — „już prawie wię-ciej w używaniu jest dyalekt polski niż ruski, gdyż dla ży-źności gleby i harców z Tatarami, chętnie tam osiadają Po-lacy.“

W jakże braterskiej zgodzie idzie tu z sobą zamięłowanie w rycerskości z zamięłowaniem w rolnictwie—oreż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość broniąc Rusi od Tatarów, lemiesz uprawiał ją i osiedlił. Oba żelezca okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od oreżnych. Gro-mieni bowiem szablą polską Tatarzy i Turcy, wracali lat następnych na nowo z pożogą i rabunkiem w granice nasze, ani polski też oreż zgłębił ostatecznie Tatarów w Krymie i grozi dziś Osmanom w Carogrodzie.

---

## P R Z Y P I S K I.

- 1) O rozlicznych pożytkach z zakładania miasteczek obacz np. Krzysztofa Opalińskiego *Satyre: O sposobach pomnożenia miast i na nierząd w nich*. Czytamy w niej między innemi: „Trzecia jest niepoślednia wygoda, która nam częścią z kupiectw i rzemiosł pochodzi gdy naszym potrzebom i wygadza i one ratuje. Częścią z łącznego każdej rzeczy spieniężenia, dochodów i pożytków rolnych wyprzedania. Bo jedna wieś nad miastem i wielkim i bliskim więcej uczyni, niżli kilka ich odległych...”
- 2) Wskazane tu daty wzięte są z dokumentów, przytoczonych bądźto w treści bądź całkowicie w wielu wydanych ostatnimi czasy pismach i zbiorach, jak np. *Kodex dyplomatyczny polski* staraniem L. Rzyszczeńskiego i A. Muczkowskiego Tom I—III, Dodatek przy *Gazecie Lwowskiej* rok 1851 i dalsze, *Biblioteka Warszawska*, xiędza S. Barącz *Pamiętki Żółkwi*, tegoż artykuł „*Wolne miasto Brody*” w piśmie: *Kółko rodzinne* z roku 1860 Nr 35 i t. d. Największą jednak liczbę należących tu dat powziąć możemy z przytoczeń dokumentowych w dziele M. Balińskiego i T. Lipińskiego *Polska Starożytna* T. II.
- 3) Krzysztof Opaliński w *Satyrze* pod tytułem: *Zdanie i rozsądek o nowych osadach i slobodach ukraińskich*.
- 4) Autor zapisków „o jużnoji Rusi” nazywa tu Franciszka Potockiego właściwie wojewodą ruskim. Jestto wszakże pomyłka. Franciszek Salezy Potocki siedział w połowie wieku XVIII przez długi szereg lat na województwie kijowskiem, nigdy na ruskiem. Ob. spis urzędników koronnych przy drugiem wydaniu herbarza Nieśieckiego, podobnież w K. Sienkiewicza *Skarbcu dziejów polskich*.
-



POWIEŚĆ O NIEWOLI NA WSCHODZIE.



„Porzuć trudne cudzém okiem szperanie w źródłach a przestań na uzbieranym już zapasie studyów dawniejszych. Zaniechaj badań a pisz raczej powieści o dawnych czasach.“ Tak mi radzicie najświatlejsi z moich przyjaciół. Wam też w podziękowanie za radę kreślę pracę niniejszą. Od szperania w źródłach powściągnąć się wprowadzić nie umiem, ale jeśli o powieść chodzi — oto materiały do najciekawszych.

---

Trudno zaiste o zmyślenia przygód dziwniejszych od historyi niewoli u Tatarów i Turków, czyli według powszechnego niegdyś wyrażenia, u *pogan*. Ileż w niej najosobliwszych wydarzeń, ile dziwnych igrzysk losu i zmian fortuny! Smętna jak historia każdej niewoli jest ona zarazem całkiem różną od wszelkich innych dziejów więziennych. Kiedy bowiem u innych ludów zwyczajnie tylko mężowie wojenni padali ofiarami niewoli, pogaństwo tatarskie i tureckie porywało ludzi bezbronnych, porywało jeszcze liczniej niewiasty, porywało może najliczniej dzieci. Kiedy pod inném niebem niewola najczęściej krótkim ograniczała się czasem, u Tatarów i Turków tylko najmniejsza i najmożliwsza część jeńców odzyskiwała wolność, wszystka reszta pozostawała w jasyrze przez całe życie.

A w témże całym życiu cóż za opaczne przeobrażenie losu czekało uprowadzone przez pogan roje dzieci i niewiast! Pachołęta wychowywano w religii i zwyczajach islamu i robiono z nich w swoim czasie najżarliwszych słuźal-

ców proroka i padyszacha, niszczycielów własnej ojczyzny. Niewiastom dostawały się rządy haremu, gdzie niejedna córka szlacheckiej zagrody z nad Dniestru i Horynia stawiała się mistrzynią pana swego i jego dworu. Ludzi do siermięgi zrodzonych zamieniała czarodziejska różeczka jasyru w panów i dostojników, niekiedy od samego sułtana poważanych. Dla niewiast i dzieci nie było powrotu do ojczyzny, którego zawsze szukali chciwie mężczyźni. Wszakże ileż najosobliwszych przygód musiał każdy z nich przebyć, nim nareszcie długa, daleka droga wróciła go bez okupu stronom rodzinnym.

Po wielu latach niespodzianie u wrót domu swego stanawszy, jakiegoż przyjęcia doznawał niejeden w kole pokrewném. Żona za drugim żyła mężem, ojcowiznę posiadli bracia. Niekiedy przeciwnie czekała osierocona rodzina przez całe życie powrotu ojca i męża, a czekała zawsze na próżno. Natenczas żałoba płaczącój wdowy kończyła się nie prędzej jak w grobie, opuszczony majątek marniał bez pana. Zjawiał się wprawdzie czasem jakiś przybysz nieznany, mieniący się uprowadzonym w jasyr dziedzicem, ale bliższe porównanie okoliczności odkryło zdradę albo wywołało długie podejrzenia tajemne.

Oprócz nieszczęść rzeczywistych zadawała niewola pogańska wiele cierpień zmyślonych, budziła nader często bolesne urojenia, dojmujące nieraz dłużej od ran prawdziwych. Cała plaga tatarska otaczała się jakąś mgłą zabobonu i tajemnicy, w której niezwykłe przygody naszych ofiar jasyru przybierały podobieństwo do scen jakiegoś dziwotwornej powieści wschodniej. Przywiedziemy tu kilkanaście powiastek z téj tatarsko-tureckiej Tysiąca i jednej nocy.

---

Niczém niewola u Tatarów i Turków nie różniła się tak bardzo od każdej innéj niewoli, jak niepewnością losu pojmańców. Ponieważ jeńcy tatarscy często dopiero po kilkudziesięciu latach wracali do dom, więc nie było nigdy kresu czasowi, w którymby ich przyszło poczytać za całko-

wicie straconych. Gdy zaś powszechnie wiadomą było rzeczą, iż Tatarzy najchętniej żywcem biorą nieprzyjaciela, więc ktokolwiek nie wrócił z wojny tatarskiej, tego miano za jeńca i wierzono w jego przyszły powrót z niewoli.

Od kiedy znani są u nas Tatarzy, odtąd panuje zawsze takie mniemanie o ich brańcach. Z tej przyczyny już w Statucie Wiślickim zawarowano, aby dla jeńców tatarskich zadawnienie w sprawach dziedzictwa zapadało daleko później niż dla kogo innego. Jednym z najpierwszych panów polskich, którego w ten sposób spodziewano się bardzo długo z niewoli u Tatarów, był sławny wojewoda krakowski i przyjaciel Władysława Jagiełły, Spytko z Melsztyna. Podczas wielkiej wyprawy Witolda przeciw Tatarom pożegnał on piękną ukochaną żonę z trogiem niemowląt, porzucił swoje książęce posiadłości od Melsztyna w Krakowskiem aż po zamki podolskie, i na czele pocztów rycerskich pospieszył pod chorągiew krzyżowej wojny z Tatarstwem.

Dnia 12 sierpnia 1399 r. znalazło się wojsko chrześcijańskie w wielkiem niebezpieczeństwie od Tatarów, z którego wojewoda radził wycofać się ostrożnie. „Żal ci młodej żony i wielkich skarbów!“ — okrzyknął go z złością zagrodowy szlachcic Szczukowski, wzywający do spróbowania hazardu. W tejże chwili wszczęła się nieszczęsna bitwa nad Worską, w której wspaniałomyślny Spytko rzucił się pierwszy na wroga, i zniknął w gęstwie pogaństwa. Jedni utrzymywali że zginął, drudzy że się dostał w niewolę. Pan Szczukowski uszedł i wrócił cało do domu, a o losie wojewody wieczysta pozostała niepewność.

Przez długie lata spodziewano się jego powrotu z więzów tatarskich. Jeszcze w r. 1431 zastrzegał król Władysław Jagiełło w układach z swoim bratem rodzonym Świdrygiellem, obdanym wówczas grodami podolskiemi, aby złożył nazad w ręce królewskie rządy Podola, „gdyby pan wojewoda Spytko wrócił z niewoli“<sup>1)</sup>. Łaskawy na Spytkę król Władysław byłby mu wówczas oddał zapewne ziemię podolską, ale któżby mu był wrócił żonę kochaną? Od długiego już czasu wyszła ona powtórnie za mąż, za szląckiego xiążęcia ze krwi Piastów, Jana z Munsterbergu. Stanąwszy

u bramy swego zamku w Melsztynie, byłby chyba doznać musiał smutnego losu jednej z późniejszych ofiar niewoli krymskiej—nieszczęśliwego starosty Wilczka.

Tuż na pograniczu Podola ku województwu ruskiemu leżały posiadłości rozrodzonej na Rusi familii Wilczków klejnotu Poraj. O jednym z braci tego imienia, nazwanym w tradycyi starostą Wilczkiem, panem zamku Wilczki nad Strypą, przechowało się do niedawna następujące podanie. W czasie wielkiej wojny Chocimskiej opuścił on dom i żonę, aby wyruszyć ku obronie ojczyzny od Turków i Tatarów. W rodzinnym zamku Wilczkach pozostała młoda żona z domu Złotnicka, plemienniczka panów poblizkiej wsi Złotniki, z dwoma niemowlęcymi synami. Wojna Chocimska skończyła się prędzej i szczęśliwiej niż się można było obawiać, ale starosta Wilczek należał do jej ofiar. Nie wiadano z pewnością czy zginął czy się dostał w niewolę, dość że nie wrócił w progi domowe.

I nie wracał przez długie lata, ani też wieści żadnej nie nadsyłał o sobie. Tymczasem młoda starościna za naleganiem rodziny oddała rękę komu innemu. Już od lat kilku kto inny panował w Wilczkach, gdy jednego wieczora przybył tam wracający ze wschodu pielgrzym. Codziennym zwyczajem domu dano mu miejsce u stołu i proszono o wieści z dalekich krajów.

Pielgrzym zaczął opowiadać o wracających z niewoli brańcach, których długoletnie cierpienia zmieniły do niepoznania. „O czemuż i nam Pan Bóg nie wróci ojca!“ — zawołał ze łzami kilkunastoletni młodzian u stołu, przysłuchujący się z bratem opowiadaniu. „Synu mój!“ krzyknął zdradzony uczuciem pielgrzym, zrywając się ku młodzieńcowi. Nim jednak zdążył w jego objęcia, opuściły go siły, upadł zabity szczęściem i żalem. Dopiero w rysach trupa poznano wracającego z niewoli starostę Wilczka. Pani starościna opuściła drugiego męża i poszła do klasztoru<sup>2)</sup>.

W trzynaste lat po dokumencie króla Władysława Jagiełły na korzyść pana Spytki, stoczoną została nieszczęśliwa bitwa pod Warną. Bohaterskiemu synowi Jagiełły nie dano było stać się tém dla Osmanów, czém nieba dla Krzyżaków uczyniły jego ojca pod Grunwaldem i Tannenbergiem. Opuszczony na pobojuwisku rzucił się młody król Polski i Węgier w sam środek zastępów nieprzyjacielskich, i znikł na zawsze z przed oczu towarzyszków.

Jak po panu Spytku z Melsztyna tak i po Władysławie Warneńczyku pozostała długa niepewność dalszego losu. Życzono sobie powszechnie wiadomości o jego życiu, więc dawano wiarę lada pogłosce. Ustaliło się mniemanie o młodym królu, iż żyje w niewoli bisurmańskiej i wróci kiedyś do swoich. Krążyły po całej Europie listy z dokładnem opisaniem, jakim sposobem zwyciężony król polski dostał się w ręce Turków pod Warną<sup>3)</sup>. Powołany do następstwa po nim rodzony brat Kazimierz ociagał się przez lat kilka z przyjęciem ofiarowanej korony polskiej, która może jeszcze komu innemu należała podówczas.

Niektóre miasta polskie, jak Lwów, wyprawiały posłów w strony niedawnej wojny warneńskiej, aby odszukali nieszczęśliwego króla w niewoli. Pozostałe do dziś dnia rachunki magistratu lwowskiego świadczą, iż wysłał w tym celu goniec lwowski Usaczko otrzymał na drogę 8 florenów węgierskich, a potem dopłacono mu jeszcze 9 florenów za wydatki z własnej kieszeni.

Namiestnik królewski w Koronie i na Rusi, kasztelan krakowski Jan z Czyżowa, wystawił we Lwowie kaplicę na przedmieściu halickiem przy ulicy garncarskiej i osadził przy niej dwóch Karmelitów trzewickowych dla ustawicznego modlenia się o rychły powrót króla z jasyru. I uczynił nadto ślub uroczysty, iż skoro Pan Bóg da odzyskać wolność Władysławowi, wybuduje wspaniały kościół w miejscu kaplicy i wielki klasztor przy nim założy<sup>4)</sup>. Atoli kaplicę tymczasową zburzyli wkrótce Tatarzy, a o Warneńczyku rozeszła się osobliwsza pogłoska, iż uszedł szczęśliwie z więzów, ale nie powróci do swoich, aż odpokutuje grzech złamanego Turkom pokoju.

Utrzymywała się ta wiara nadzwyczaj długo. We dwa-

dzieścia lat po zgromieniu chrześcijan pod Warną, wybrał się brat królowej czeskiej Joanny, możny pan Lew Zdenko z Rozmitalu, w odpustową pielgrzymkę po cudownych miejscach Francyi, Anglii, Hiszpanii i ziemi włoskiej. Bawiąc za Pirenejami w królestwie kastylijskiem, usłyszał o jakimś cudzoziemskim pustelniku w pobliżu miasta Kantalopedy.

Miał to być sławny król polski z pod Warny, pokutujący za złamaną przysięgę. Pobożny Lew z Rozmitalu nie mógł się wstrzymać od nawidzenia monarchy w szalasię pustelniczym, i jak się o tém ze słów naocznego świadka i opisywacza pielgrzymki pobożnej dowiadujemy, „zjechał samoczwart cztery mile z drogi, a inne sługi naprost wyprawił, którzy mieli ciężary na koniach. A gdy mu dano znać, i że domeczek miał ten pustelnik przy wielkiej gestwinie leśnej, i jako kogo obaczy ku sobie jadącego zaraz się schowa, a tak pan Lew rozkazał przewodnikowi, aby jechał naprzód a zabawił go dotąd, póki on nie nadjedzie.“

„Gdy tedy przyjechali ku onój budce jego, wyszedł ku panu Lwowi. Pytać go kazał pan Lew z którejby krainy był. Odpowiedział: co panu albo książęciu tak wielkiemu potem wiedzieć ktom ja jest, albo zkądem jest, gdyż ja widzę, że on pan a ja ubogi pustelnik tu na téj puszczy. Był przy panu Lwie natenczas jeden Polak pielgrzym, który przez 50 mil przy nich pieszo szedł. Ten prosił pana Lwa, aby u owego pielgrzyma to otrzymał, żeby z nóg zdjął trzewiki, bo jeśliby miał sześć palców u jednej nogi, tedy by to rzecz prawdziwa była co o nim powiadają, że jest król polski, który od Turków był zwyciężony u Warny.“

„Wzbraniał się długo pustelnik on tego uczynić, owa przemożony prośbą uczynił tak. A gdy Polak on obaczył sześć palców u nogi jego, padł na kolana do nóg jego mówiąc: tyś dziedzic i król nasz polski, któryś w Węgrzech od Turków porażon. Na to on pustelnik odpowiedział: Dziwno mnie temu, że przedemną na kolana padasz, a moje nogi całujesz, gdyżem ja tego nie jest godzien, bom jest człowiek bardzo grzeszny, i chcąc być próżen grzechów moich, tu na téj puszczy pokutuję, a Pana Boga mego proszę, abym ich zbawion był. Zatym płacząc wszedł do swój budki albo domeczku.“



„Rzekł tedy Polak on do pana Lwa. Zaiste że to jest ten król polski, który w Węgrzech u Warny od Turków porażon, bo postawa i znak ten na jego nodze w tém go wydawa, com ja jeszcze w młodości méj nań widział. Zdał się im natenczas być w leciech 70, był wysokiego wzrostu, długiej twarzy, śniady, nosa długiego, czarnych włosów, broda długa sędziwa, w odzieniu długiem szarem a koszulę włosianą miał, którą on krył aby jój nikt nie widział na nim. Zatem od niego odjechali“<sup>5)</sup>.

Oprócz króla Władysława oczekiwała Polska wiele innych ofiar klęski warneńskiej. Było pomiędzy niemi kilkuset uprowadzonych w głąb Turcyi jeńców, a w tych liczbie osobiwie los dwunastu szlachetnych pacholat polskich powszechne obudził podziwienie. Bylito synowie najmożniejszych rodzin w Koronie, bawiący na usłudze u dworu. Przy podziale zdobyczy warneńskiej w Adryanopolu, piękna ich postać i młode lata ściągnęły na siebie oczy cesarza Osmanów Miurada II. Na jego rozkaz przeznaczono wszystkich do islamu i do poufnych usług przy osobie cesarskiej.

Harde dusze młodzieńców nie zdołały znieść téj sromoty. Przenosząc śmierć nad hańbę, postanowili sprzedać drogo krew swoją. Po takiémże samém zwycięztwie tureckim jak obecne pod Warną, zginął przed kilkudziesięcią laty cesarz Miurad I z ręki młodego Serba Miłosza. I nasi młodzi jeńcowie sprzysięgli się podobnie na życie terazniejszego sułtana. Ze współczucia dla pewnego rówieśnych lat Bułgarzyna, tąż samą zagrożonego sromotą, przypuszczono go do tajemnicy i współudziału w spisku. Kiedy o południu cesarz po zwyczaju spoczywał w swoim pałacu, a straż cesarska bez obawy drzemała w bramie, nastąpić miało wykonanie zamachu. O wyznaczonej godzinie wysłano Bułgarzyna przodem na zwiady, ale ten zamiast spełnić zlecenie, pobiegł co tchu do cesarza i ostrzegł go o niezwłoczném niebezpieczeństwie. Sułtan uszedł skrytymi drzwiami z komnaty, a niewstrzymani opóźnieniem się Bułgarzyna młodzieńcy wpadli do opróżnionej już sali.

Tymczasem wszczął się rozruch w pałacu, rzuciły się

zbrojne tłumy ku miejscu niebezpieczeństwa. Zdradzonym młodzieńcom nie pozostało nic innego jak zginąć. Obrali śmierć wiernych do ostateczności przyjaciół. Na odgłos wdzierających się do komnaty janczarów zatarasowali wnijsie potężnie i uderzyli w oręż. Temiż samemi mieczami, od których zginąć miał sułtan, stoczyli walkę o śmierć wzajemną. Nim janczarowie wpadli do sali, już wszyscy od bratnich polegli ciosów. Tylko dwanaście martwych ciał pacholących leżało do usługi sułtańskiej<sup>6)</sup>.

Przeznaczone dla nich fawory cesarskie a następnie wysokie może znaczenie z wpływem na całe państwo, ziściły się nieco później w losie innéj jasyru pogańskiego ofiary.

Była nią uboga dziewczyna wiejska z województwa ruskiego, porwana przez Tatarów w początkach stulecia XVI. Jedni mniemali ją rodem z okolic Stryja, inni córką xiędza ruskiego z Rohatyna. Rodzinne imię jéj niewiadome, u Tatarów i Turków nazywano ją od miejsca porwania Rusinką, Roxolaną. Zwyczajną drogą wszystkich branek tatarskich dostała się nieboga nad Czarne morze, a ztamąd sprzedając do Carogrodu. Zasiadł tam właśnie na tronie młody sułtan Soliman I od r. 1520, jeden z największych władców osmańskich. Pomyślny przypadek umieścił młodą brankę ruską w rzeszy niewolnic cesarskich, a niezwyčajne przymioty zapewniły jéj wkrótce pierwszeństwo w sercu Solimanowém.

Potrzebna była ku temu nietyle sama uroda ciała, którą wszystkie niewolnice haremu w wysokim jaśniały stopniu, ile osobliwsza umiejętność rozrywania nudów sułtańskich. I zapewne raczej takim darem rozweselania monarchy niż osobliwszą pięknoscią odniosła Roxolana tryumf nad resztą współtowarzyszek. Wenecki owszem poseł z owych lat, Bragadino mówi o niéj wyraźnie, iż była dziewczyną „nie tak ładną ile raczej powabną i pełną wdzięku“<sup>7)</sup>. Ztąd téż później jeden z jéj synów, który miał być bardzo podobny do matki, otrzymał u Turków od zbytniej pełni i czerwoności twarzy niepochlebną nazwę *piwonja*. Więcej jednak od pięknych rysów i gładkiej pici posłużyła naszéj

Rusince nieprzyćmiona niczém pogoda umysłu, zdolna rozpromienić podobnie najobojętniejszą chwilę sułtańską. Zawsze do wesołości i żartu skora, otrzymała Roxolana bardzo cenny w haremie przydomek *Churrem* t. j. Wesoła. Do tego miana nowego przybył następnie urzędowy tytuł *Chaseki*, oznaczający pierwszą z ulubieniec cesarskich. Po niedługim czasie ukochana Chaseki Churrem została prawnie poślubioną małżonką Solimanową. Według przywiezionych później do Polski powiastek carogrodzkich stało się to sposobem następującym.

Kiedy już Soliman stygnąć zaczął w miłości do naszej branki, zaniósł on mu prośbę jednego razu, aby ją udarować raczył wolnością. Chce Roxolana założyć w Stambule meczet z przytułkiem dla ubogich, gdzieby sama pędzić mogła lata na starość. Ale że fundacye tego rodzaju wzbronione są ludziom niewolnym, więc o swobodę błaga ulubienica. Soliman nie umiał oprzeć się naleganiom, a wyzwolona niebawem Chaseki zbudowała w istocie pyszny meczet w stolicy. Nie to atoli taiło się właściwie na dnie jój prośby. Będąc już wolną, ujęła jakąś starą Żydówkę Karaimkę, aby jój przyrzadziła napój miłosny dla Solimana. Zadany sułtanowi, rozpałił go nową namiętnością ku Roxolanie. Lecz żyjąc już na wolności, nie mogła ona pozostać nadal zwyczajną ulubienicą sułtańską. Nie dozwalały tego ustawy, według których wolnym niewiastom tylko jako poślubionym małżonkom godził się pobyt w haremie padyszacha. Zasłoniła się tém Roxolana, a uszanowanie dla przepisów koranu, chroniło ją od przymusu. Trawionemu napojem miłosnym sułtanowi nie pozostała inna rada jak poślubić wolną kochankę. Miało to już w podeszłym jego wieku nastąpić <sup>8)</sup>.

Odtąd wszelkie zamysły nowój sultanki skierowały się ku ustaleniu jaknajświeższej przyszłości dzieciom. Jeszcze w latach dawniejszych powiła ona sułtanowi dwóch synów, Selima i Bajezyda, i jedną córkę imieniem Mihrmah czyli Księżyc słoneczny. Krótki przeciąg czasu wystarczył do zjednania im u dworu pierwszeństwa przed całą resztą dzieci sułtańskich. Okazała Roxolana przytém niezmiernie wiele rozumu i przebiegłości. Jak dawniej piękna i wesoła

tak teraz umysłem wyższa od innych, potrafiła Roxolana ować z czasem dwór cały. Widywali ją w téj chwale panowania różni posłowie monarchów europejskich, między innymi i polscy. Najślawniejszy z nich Opaliński, bawiący w Stambule r. 1532, miał Zygmuntowi Staremu przywieźć list Solimana, w którym powiedziano było o Roxolanie: „W jakim szczęściu siostrę twoję, a małżonkę moję widział poseł twój Opaliński, ustnie ci powie.“ Siostrą króla polskiego nazwana tu Roxolana jako małżonka Solimana, stylem dyplomatycznym brata Zygmunto-wego. Tak wielkiej zaś powagi używając u męża, posiadała sułtanka tém większą władzę nad jego sługami i dywanem.

Uczuli to niebawem wszyscy niechętni jój wpływowi, osobliwie główny ulubieniec i sługa Solimanów, Ibrahim, niegdyś grywający na skrzypkach niewolnik grecki, potem z renegata urzędnik Porty, w końcu zwycięzki wojownik, wielki Wezyr, małżonek siostry cesarskiej, najpotężniejsza podpora państwa. Mimo wszelkie zasługi około cesarza i cesarstwa, nawet mimo daną mu raz przez Solimana przysięgę, iż nigdy za życia nie pozbawi go łaski, musiał Ibrahim uleść tajemnemu knowaniu Roxolany. Skrupuły sułtana względem zaprzysiężonej na całe życie łaski uspokoiła rada pewnego prawoznawcy, aby Ibrahimowi odebrać łaskę i życie we śnie, gdyż człowiek śpiący podobien jest umarłemu. Po uduszonym w ten sposób szwagrze cesarskim zaczęła Chaseki Churrem od r. 1536 popierać wszelkimi siłami swojego zięcia Rustema, podobnie jak ona nierodowitego Turka lecz krwi słowiańskiej, Kroatę poturczonego. Małżonek księżycy słonecznego dostąpił po kilku latach godności najwyższego wezyra, i potężnie nawzajem poparł wpływ swojej teszczy. Przez dalszych lat kilkanaście kierowali oboje wszechwładnie najważniejszymi sprawami państwa.

Chodziło sułtance głównie o zapewnienie jednemu z synów swoich następstwa po Selimanie. Mieli oni przed sobą kilku starszych braci przyrodnych, mianowicie przeznaczono już do tronu następcę Mahomeda, ale zręczność naszej Rusinki pokonała zwolna wszelkie zawady. Podniecono najpierw wojnę perską roku 1547, aby za wydaleniem się cesarza do obozu najstarszy syn Roxolany Selim, do-

W tymczas wielkorządca Magnezyi, zostać mógł namiestnikiem ojca w stolicy, a témsamém zbliżyć się do głównej kuźni intryg w seraju.

Po pięciu latach powiodło się usunąć jednego ze starszych synów Sulejmanowych Mustafę, któremu zbyt głośna więtość u wojska przyniosła śmierć od stryczka. Mało co później upadł drugi przeciwnik, mądry i przezorny wezyr Achmet, w czasie chwilowej niełaski Rustema podniesiony na jego miejsce. Jak niegdyś wezyra Ibrahima tak obecnie Achmeta upewnił był cesarz przysięgą, iż go nie złoży nigdy z urzędu. „I święcie dotrzymane zostało słowo cesarskie“ — prawi jeden z dziejopisów tureckich — „gdyż Soliman kazał tylko łeb uciąć Achmetowi, nie składając go z dostojęństwa.“ Uronione przez Achmeta wielkie wezyrstwo wróciło do Rustema, a w dopełnienie ostatnich życzeń Roxolany zabrała śmierć nareszcie największą przeskodę jej zamysłów, samego następcę tronu.

Korona cesarska przychyliła się stanowczo ku jój starszemu synowi Selimowi, gdy wtém własne zabiegi matki przywiodły do krwawego sporu w rodzeństwie. Niezręczne narzędzie sułtanka Rustem sprzyjał więcćj młodszemu bratu Bajezydowi, i do tego stopnia poważnił go niechęć ze starszym Selimem, iż wybuchła sroga wojna pomiędzy braćmi. Tylko pomyślniejszy los bitwy ocalił tron Selimowi, uwolnił go na zawsze od niebezpiecznego rywala.

Zbiegły z pobojowiska Bajezyd schronił się z niedobitkami do Persyi, gdzie wysłańcy ojcowscy po długich dyplomatycznych układach z szachem perskim dopełnili na nim wyroku śmierci. Dla uniknięcia podobnych swarów na przyszłość, musieli następcy Solimanowi zamykać synów swoich zosobna w głębi haremów, z czego inne wyniknęły niedogodności. Działo się to wszystko już nad grobem Roxolany. Umarła sławna sułtanka w samym ciągu wojny braterskiej, w roku 1558, tuż po śmierci polskiej królowej Bony.

Aż do śmierci ukochaną pogrzebał Soliman w przepysznym grobowcu obok świeżo ukończonej moszei Solimanii, najwspanialszej budowy władców osmańskich. Nieobojętna może będzie usłyszeć co dzisiaj opowiadać dzie-

jów tureckich nieco przydługim uplotem wyrazów pisze o pomniku i spoczywającej pod nim córce kmiećej z nad Dniestru.

„Ten grobowiec Rusinki — czytamy w Hammera Dziejach państwa ottomańskiego <sup>9)</sup> — która wdziękami i talentem potrafiła naprzód wznieść się z niewolnicy na stopień prawej małżonki cesarskiej, a potem jako jedyna towarzyszka sułtana po dawno już zapewne uwiedłych wdziękach jedynie rozumem i mocą charakteru kierowała nim według życzenia — która w księdze dziejów obarczona jest winą morderstwa dwóch wezyrów i popełnionego przez Solimana na xiażęciu Mustafie synobójstwa — która płocho roznieconą niezgodą synów zasiała krwawe nasiona wojny bratniej, i stała się przyczyną wywołanego tém zwyczaju zamykania synów sułtańskich w klatce haremu, zkąd dalej poszło ognuszenie władzców i władzy — grobowiec tej Rusinki na cmentarzu moszei Solimanii, u boku największego z cesarzów ottomańskich, równie dowolnie kierowanego przez nią jak on samowładnie kierował państwem — grobowiec tej Rusinki w pośrodku miasta cesarzów, na jednym z siedmiu wzgórzów Stambułu, jest nieskończenie wymowniejszej wróżby pomnikiem niż ów posąg na hippodromie greckiego Konstantynopola, który napisem swoim wróżył niegdyś podbicie miasta przez Ruś.“

---

Oprócz Roxolany ileżto innych jeszcze dziewcząt z nad Dniestru i z nad Wisły pędziło dnie mniej wesołe w stronach tureckich. Nietylko zwyczajne niewolnice haremów ale i większą część prawych małżonek swoich brali muzułmanie z rzędu zakupionych niewolnic chrześcijańskich.

Zachodziła tedy niezmierna potrzeba tego towaru, dostarczanego w największej części z pogranicznych ziem Polski. Dopiero uwzględniwszy tę okoliczność, pojmemy trudną do uwierzenia ilość dziewcząt i kobiet, jaką ledwie nie rok rocznie uprowadzali od nas Tatarzy. I tak np. jedynym napadem na Polskę w roku 1288 porwały hordy Nogaja i Telebugi taką mnogość ofiar żeńskich wszelkiego stanu i wieku, iż samych dziewcząt naliczono 21,000 <sup>10)</sup>.

Dziewczęta i niewiasty takie bywały najkosztowniejszym łupem każdej wyprawy tatarskiej.

Im urodziwszą i strojnieszą była która z białych głów, tém drożej spodziewał się sprzedać ją Tatar. Ztąd nawet w ucieczce, z rozgromionego od hufców polskich kosza z jeńcami starał się pierzchający ordyniec porwać jeszcze którąś z odbieżanych niewiast przedniejszych <sup>11)</sup>. Po sławném rozbieciu wracających z jeńcami zagonów krymskich w roku 1624 ubrał się jakiś Tatarzyn ze strachu w ornat złupiony, jako w nietykalną u chrześcijan szatę, ale mimo trwogę śmiertelną nie wypuścił z troku panny nadobnej, i trzymając w jednej ręce kilka kielichów kościelnych, a w drugiej brankę, wszedł pełen dobrej myśli do Jezupola <sup>12)</sup>.

Jeżeli zagon wojenny nie dostarczył należytej ilości plonu żeńskiego, natenczas uciekało się pogaństwo do zaślubin uczynienia koniecznej potrzeby niewolnic spokojnym o nie handlem z przemytnikami tego towaru u granic polskich. Nadjeżdżali pokryjomu ku osadom nadbrzeżnym bogaci w złoto i srebro kupcy tatarsey, i jak się o tém z jednej stariej piosnki ludu dowiadujemy, kupowali u wyrodnego brata Romana piękną siostrę Oleng <sup>13)</sup>. Głównemi pośrednikami tego rodzaju handlu byli osiedleni w miastach ruskich Tatarzy, utrzymujący zawsze tajne porozumienie z swoimi spółwyznawcami za Perekopem.

Zamieszkałych we Lwowie Tatarów oskarżano o częstą kradzież chłopców i dziewcząt, które następnie sprzedawali do Krymu <sup>14)</sup>. Gdyż równie jak dziewcząt potrzebował mahometanizm także niezliczonej ilości niewolnych chłopców. Obojgę płci niedorostkom groziło ustawiczne niebezpieczeństwo jasyru, i nad oboją téż młodzieżą nieszczęśliwych wschodnio-południowych stron Polski wisiała ciągła trwoga tatarska. Co starożytne podania gminne opowiadają o smokach, porywających w pewnej okolicy coroczne daniny z chłopców i dziewcząt, to na całym południowym pograniczu Rzeczypospolitej iściło się bez przerwy w stokroć srożej od podań rzeczywistości.

Długoletnia praktyka porywania młodzieży w ziemiach sąsiednich obeznała Tatarów najdokładniej ze wszystkiém

fortelami i sekretami ohydneho rzemiosła. Wyuczywszy się z niezmierną sztuką rozpościerać siatkę zagonów po całym kraju, umiano także wybierać najlepszą porę do łowienia sielskiej młodzieży. Była to jesienna pora wypoczynku po żniwach, kiedy lud wiejski po zwyczaju odprawia najliczniej swoje wesela. Tłumnie wówczas około nowożeńców zgromadzająca się młodzież obojęj płci bywała najulubieńszym przedmiotem wypraw pogańskich. Nieraz téż nagłym w takiej porze napadem wtargnąwszy na Podole lub Ukrainę, wprowadziło pogaństwo po kilkadziesiąt, czasem po 70 wesel z całą zgrają družek, družków i swatów. Ileżto natenczas młodzi chrześcijańskiej, ile niewolnic haremowych, ile małżonek spahów i janczarów uboższych, ile służalców serajowych, rozchodziło się z Krymu po całym Wschodzie! Czego obawiając się, uczyła się młodzież sielska wzajemnie czuwać pilnie nad sobą, uciekać się podobnie do różnych fortelów ostrożności, i tak np. kiedy bywało nadbiegnąć słuchy o niedalekim napadzie Ordy, zbierali się chłopcy i dziewczęta każdej wsi ukraińskiej w jedną wielką gromadę, i spędzali noce na czuwaniu i śpiewach w pośrodku sioła, gotowi do ucieczki za najpierwszym znakiem niebezpieczeństwa <sup>15)</sup>).

Wszakże wszelkie środki ostrożności prywatnej i publicznej nie zdołały dać odporu sprzymierzonej potędze oręża i zwyczaju muzułmańskiego. Szabla pogańska torowała drogę rokrocznym najazdom łupieżkim na ziemi polskie, a zwyczajowa potrzeba niewolnic i niewolników mnożyła tysiącznemi sposobami pożądaną ilość towaru. Płynęły więc niestety bez przerwy roje brańców polskich na wschód, szły w niewolę zarówno tłumy dziewcząt i chłopców. Dziewczęta za kratkami haremów tęskniły jeśli nie po utraconej na zawsze strzesze rodzinnej, tedy przynajmniej do podobnego losu jaki padł ich ziomce Chaseki Churrem. Chłopcóm otwierał się zawód sułtańskich iczoglanów i adziamoglanów, czyli poturczonych wychowanków większego i mniejszego seraju.

Z tych urastali później urzędnicy i żołnierze tureccy wszelkiego stopnia, niekiedy faworyci cesarscy i najwyżsi zarządcy państwa, najczęściej żarliwi słudźcy swojego pana i nowęj wiary. Prawie téż wszyscy bohaterowie osmańscy



wyszli z takich w dzieciństwie lub później poturczonych jeńców chrześcijańskich. Pomędzy dziesięciu wielkimi wezyrami przesławnych w historii ottomańskiej rządów Solimana I było ośmiu renegatów, a wraz z wszechwładną cesarzową Rusinką służyło u jego dworu kilku najznamienitszych baszów pochodzenia ruskiego, mianowicie Hassan basza wielkorządca Jemenu i eunuch Dżafer-basza <sup>16)</sup>. Zamiast nieznaną ich historię możemy podać nieco dokładniejszą wzmiankę o inném w podobny sposób wywyższoném chłopięciu polskiem, które bardzo krwawo przypomniało się swojej dawniej ojczyźnie.

Byłto potomek szlacheckiej rodziny Białoskórskich klejnotu Habdank, osiadłych za króla Stefana w ziemi lwowskiej. Porwanego dzieckiem w pierwszych latach panowania Zygmunta III uprowadzili Tatarzy do Krymu, i wychowali tam w wierze i obyczajach mahometańskich. Urosłszy w lata, znalazł się młody pojmaniec w służbie najpierwszego po Hanie xiążęcia krwi tatarskiej Gałgi czyli następcy chańskiego Dewlet Gireja, głośnego u Polaków z wielu srogich wypraw na Polskę. Gorliwość i uzdolnienie zjednały młodemu Białoskórskiemu tak dalece przychylną Gałgi, iż został najwyższym zarządcą jego dworu, zastępcą pana w sprawach domowych i wojennych.

Wtedy zbisurmaniony potomek Habdanków zaczął łupieżkami najazdami trapić południowe granice polskie, i wielokrotnie przed rokiem 1617 pustoszył włości Podola i Wołynia. Najboleśniej atoli upamiętnił się w tej mierze początek roku 1617, kiedy nadzwyczaj tęga zima zamrożeniem rzek i bagnisk ułatwiła wyprawę Białoskórskiemu. Wpadł z liczną orzą w ziemię ojczyste, i założywszy kosz u Sulżyniec, rozpuścił w koło zagony. Wszystek kraj od Międzyboża aż do Zinkowiec i Satanowa uległ okropnemu zniszczeniu. Obracając w perzynę dwory i chaty, kazał srogi poturnak brać osobliwie jak najwięcej chłopców i dzieci.

Na wracającego z niezmiernym łupem uderzyły nie hufce polskie lecz straszne mrozy. Największa część pędzo-

nych w niewolę chłopów i chłopiąt wymarżła w drodze do Krymu <sup>17)</sup>. Jakie były dalsze losy Białoskórskiego, nie wiemy. Tylko poeta mógłby nam opowiedzieć do jakich scen wiodło nieraz spotkanie się młodego Białoskórskiego w Krymie lub najechanej ojczyźnie z tym i owym znajomym lat dziecięcych. Nie obudziłoż się w nim natenczas wspomnienie lat dziecięcych? Nie uderzyłoż mu serce chęcią zerwania więzów ohydnych, powrotu do pierwiastkowej kolebki swojej?

---

Przypomina się też w istocie ustęp z poety współczesnego, dający odpowiedź na zapytanie podobne. Ale jakżeto smutna odpowiedź i jak smutne zdarzenie, które do niej było powodem. Oto bawi w Carogrodzie świetne poselstwo polskie, wyprawione tam w kilka lat po napadzie Białoskórskiego na Międzyboż. Pan poseł wizytuje baszów przedniejszych i jest właśnie w odwiedzinach u jednego z wezyrów imieniem Halil Basza. Obecni posłuchaniu Polacy widzą w baszy niezwykajnie czerstwego starca, siedzącego na złocistych poduszkach. Cała sala gościnna roi się tłumem służebnych czauszów, spahów, kapidżich. Przy boku baszy grono iczoglanów czyli pokojowców tureckich, złożone w znacznej części z poturczonych wyrostków chrześcijańskich.

Wiedząc o licznej młodzieży polskiej pod zawojem po-gańskim, przypatrują się Polacy uważnie twarzom tureckim, ażali nie dostrzegą jakich rysów znajomych. I nie na próżno wodzą okiem do koła. W otaczającym baszę tłumie tureckim więcej może rodowitych Polaków niż w asystencyi obecnego tu posła polskiego. I cóżto nawet za imiona polskie dworują Halilowi! Toć ów młodzieniec w orszaku iczoglanów to porwany w dziecięctwie Kalinowski, ów młody spah czyli żołnierz w jeździe cesarskiej to poturczony Chmielecki, owi dalsi iczoglanowie i spahi to inna szlachta polska. A jednocześnie z czuwającym tu nad baszą Kalinowskim urzęduje w Polsce późniejszy hetman polny koronny Kalinowski, tylokrotny wojownik z pohañcami a w końcu ich ofiara batowska. Jednocześnie z poturczonym spahą Chmieleckim słynie na całą Polskę nieśmiertelny Stefan

Chmielecki, uwielbiany w pieśniach pogromca pogan. Przy wspólnej z nimi krwi mogliż wasze serca młodzieńcze, biedne jasyru pogańskiego, ofiary pozbyć się tajemnego pociągu do swego gniazda, pozbyć miłości progów ojczystych i braci ukochanej?

Zadaje sobie to pytanie przypatrujący się iczoglanom Halilowym poeta polski Twardowski, i odpowiada sobie ponuro: „Próżna nadzieja! Niemasz tam już miłości, gdzie w wierze zaszła odmiana.“ Oto jego własny opis tej sceny.

„Hali basza sam siedział, starzec pełen chuci,  
Na kosztowném wezglowiu. Po przestronnej sali  
Okolo kapidżyje i drabanci stali.  
Przy boku iczoglani z handżary złotymi,  
Ciebieżto Kalinowski widzę między tymi!  
Albo i piękna domu nadziejo Chmieleckich,  
W ubiorze i tulipach Spahijów tureckich!  
Snadźli jeszcze magnesu efekt wasz nie traci  
Ku ojczystym penatom i ojczystej braci?  
Próżna jednak nadzieja, żadne tam afekty  
Gdzie pogańskiej obłuda zawadziła sekty.“<sup>18)</sup>

Oprócz tego westchnienia poety, oprócz owej wzmianki kronikarza o napadzie na okolice Zinkowiec i Międzyboża, nie wiemy nic więcej o Kalinowskim, Chmieleckim, Białoskórskim. Po dwóch innych ofiarach plonu u pogan i osobliwszych zmian fortuny w tym plonie, nawet imiona nie pozostały. Dowiadujemy się o nich jedynie z kilku nawiasowo rzuconych słów w jednym z współczesnych pamiętników, skreślonym przez uczonego dworzanina z Zamościa, Żurkowskiego. Od imienia autora nazwiemy obudwóch pojmańcami Żurkowskimi.

Porwano panów Żurkowskich w niewolę najprawdopodobniej podczas wyprawy Jana Zamojskiego do Multan w r. 1595. Siedmdziesiąt tysięcy Tatarstwa walczyło wtedy bezskutecznie ze szczupłym wojskiem założyciela Zamościa, urywając tylko jeńców codziennie. Do znacznej liczby szlacheckiego i nieszlacheckiego plonu, uprowadzonego temi czasy w częstych zagonach ordy, przybyło teraz niemało brańców multańskich.

Współ z wszystką wcześniejszą i późniejszą współbracią niedoli krymskiej powędrowali panowie Żurkowscy zwyczajnym sposobem na troku do Perekopu, ząd po daremnie wyglądany okupie sprzedano ich dalej do Carogrodu. Tam znaczniejsi jeńcy szli pospolicie do Jedykuly, po polsku Czarnéj Wieży, aby w niej czekać ostatecznego wyroku woli sułtańskiej albo nadesłania ogromnego okupu z Polski. Ubogich panów Żurkowskich pomieszczono w tłumie jeńców zwyczajnych, u wiosła na galerach tureckich.

Ze wszystkich losów niewoli pogańskiej było los najstraszniejszy. Upadały pod nim tysiące a tysiące naszych ofiar jasyru. Używane niegdyś galery miały postać ogromnych łodzi, których pośrodkiem ciągnęło się podłużne poddasze dla osady. Przeznaczeni do wiosłowania niewolnicy przykuci byli w dwóch rzędach z obojéj strony łodzi, po pięciu przy każdym wiosle, po dwustu u pięćdziesięciu wiosłach każdego statku. Obnażeni do pasa musieli wszyscy za danym znakiem rzucać się biodrami w tył na wiosła, i tylko z niezmierném wyteżeniem zdołali nadać wiosłom w ten sposób ruch należyty.

Galery takie bywały jedynymi statkami wojennymi owego czasu, a w każdej bitwie pierwsze strzały wymierzano do wiosł. Nikt téż oprócz niewolników nie dawał używać się do służby wiosłarskiej na galerach, co w dalszém następstwie pociągało za sobą potrzebę tém większej liczby ludzi niewolnych. Przy ciągłej zaś wojnie morskiej u Turków, przy niezmiernéj liczbie uzbrajanych ku temu galer, ileż nieszczęśliwych ofiar jasyru spotrzebowali Turcy u swoich wiosł przez długie lata, ile porwanych ziomków naszych ginęło tam rokrocznie bez żadnég wieści!

Zagrożeni podobnym losem Żurkowscy zasługiwali ze wszystkimi współtowarzyszami swoimi na tém większe uznanie nasze, ile że niewymownie ciężka ich dola była oraz wysokéj zacności duszy świadectwem. Należało bowiem każdemu niewolnikowi chrześcijańskiemu przyznać się tylko do gotowości przyjęcia wiary mahometańskiej, aby otrzymać uwolnienie od więzów i zostać swobodnym obywatelem tureckim. Jakoż sami panowie Żurkowscy znali nie mało

ziomków, którzy na téj drodze uniknęli katuszy na galerach a nawet z czasem wrócili do ojczyzny.

Przypominał się np. w téj liczbie pan Jakób Korytnicki, znany temi czasy szlachcic z Pokucia, który chcąc pomścić brata zabitego od Tatarów, dostał się sam w niewolę krymską, a następnie kupnem w turecką. Dla uniknięcia galer zbisurmanił się nieszczerze pan Korytnicki, a znalazłszy niebawem sposobność do ucieczki z ziemi pogańskiej, powrócił szczęśliwie do ojczyzny i umarł w religii chrześcijańskiej<sup>19)</sup>.

Ale biedni Żurkowscy nie chcieli ani pozorném ocalić się odstępstwem, a nie przybywał téż żaden z owych aniołów lub Świętych Pańskich, którzy jak niżej obaczymy wyzwali niekiedy cudownie z więzów pogańskich. Dźwigali tedy po chrześcijańsku swe jarzmo, wiosłując na galerze cesarskiej i chyba tylko od śmierci oczekując zbawienia.

Po kilkunastu latach niewoli kazano im jednego razu wiosłować z Carogrodu na greckie morze. W towarzystwie trzydziestu galer wypłynęli Żurkowscy pod naczelnictwem samego Kapudan-baszy na wyprawę wojenną do małej Azji, przeciw wybuchłemu właśnie powstaniu Druzów. Przedewszystkiem chciano udać się do Negroponte dla połączenia się tam z sześćdziesięciu innemi galerami floty cesarskiej. W pobliżu wyspy Chios wydzielił Kapudan-basza dziesięć galer ze swéj eskadry, i kazał im skierować się ku wyspie.

Znajdował się pomiędzy niemi i statek panów Żurkowskich. U przyładku Corvo spostrzegły wysłane łodzie tureckie jakiś nadpływający ku sobie oddział okrętów cudzoziemskich. Była to eskadra ośmiu galer neapolitańskich, wyprawiona przez wice-króla Neapolu księcia Ossuna ku poskromnieniu rozbójników morskich w Cylicyi. Załoga okrętów neapolitańskich wrzała tak gorącą żądzą boju z jakimikolwiek Turkami, iż bez wahania uderzyła na nieco większą siłę nieprzyjacielską. Wszczęła się krwawa bitwa, która prędzej niż może pragnęli sami Żurkowscy, obiecywała im uwolnienie od więzów za pierwszym strzałem.

Tymczasem strzegła ich łaska boża, równie jak strzegła zuchwałé galery chrześcijańskie. Mimo liczbę szczuplejszą od niosły one zupełne zwycięstwo. Siedm statków tureckich

zostało wziętych, trzy z trudnością uciekły. Do zabranych należała także galera panów Żurkowskich. Nieprzewidziany ten wypadek zmienił całkowicie ich los. Zwycięzcy chrześcijańscy rzucili się coprędzej do rozkuwania niewolników u wioseł, których na wszystkich galerach zdobytych naliczono z radością tysiąc. W miejsce odbitych braci poprzykuwano tyluż Turków do wioseł. Uwolnieni jeńcy padli w uniesieniu wdzięczności do nóg admirałowi chrześcijańskiemu, który odesłał wszystkich do wice-króla.

Takim sposobem znaleźli się nasi panowie Żurkowscy niespodziewanie w Neapolu. Wicekról tego państwa, książę Ossuna, przyjął ich bardzo łaskawie, ale nie myślał wcale przyspieszać powrotu do ojczyzny. Odbici z niewoli tureckiej chrześcijanie przechodzili zwyczajnie na własność swoich wybawców. Podobnie i panom Żurkowskim przyszło pozostać w poniewolnej służbie księcia Ossuna.

Upłynęły im w niej całe trzy lata, i miało zapewne upłynąć nierównie więcej. Lubo w porównaniu z przeszłością wielkiem to było szczęściem, odzywała się przecież coraz głośniejsza tęsknota do stron rodzinnych. Dumając o nich żałośnie, otrzymują nieboracy jednego razu osobliwszy rozkaz od pana. Przynoszą im strój bogaty, i każą im ubrać się od stóp do głowy w jedwabie i aksamity. Tak przystrojonych prowadzą dworzanie do sali wicekrólewskiej, w której zastają ucztę wspaniałą.

U stołu pomiędzy dwunastu książętami siedzi wicekról, a przy nim jakiś młodzian dorodny, widocznie Polak. „Jestto syn waszego wielkiego Zamojskiego“ — rzecze do zdumionej szlachty wicekról — „daję mu was w darze obudwóch.“ Uszczęśliwieni towarzysze niewoli przypadli z kolei do kolan wicekróla i młodego pana z Zamościa. Z ojcem wyszli niegdyś z ojczyzny, z synem powrócą teraz do niej.

Jakoż stało się to niebawem. Jeszcze tegoż samego roku 1617 zawitał młody Tomasz Zamojski z kilkuletniej podróży do ojczyzny, a z nim stanęli w niej także obaj wyzwolenicy z jasyru. Hojny syn zmarłego już założyciela Zamościa dopomógł im zapewne do spokojnego spędzenia reszty żywota, czyto pod jego własnym dachem, czy pod odzyskaną strzechą rodzinną. Bądź jak bądź, dzięki-

wali oni Panu Bogu za terażniejszość i nie lubili wspominać o przebytych jasyrze. Niewola na galerach nabawiała piętnowania przed zakuciem u wiosła, a taki ślad ręki pogańskiej nie pochlebiał dumie szlacheckiej. Jakoż zaledwie kilka nawiasowo rzuconych słów jednego z uczeńszych dworzan Zamojskich przechowało pamięć bezimiennych szlachciców, darowanych panu Tomaszowi w Neapolu <sup>20</sup>).

W tym samym czasie, kiedy nasi biedni galernicy z Zamościa wiosłowali po morzu greckim, pływał tam na galerze inny wychowaniec stron naddnieprskich czy nad-dniestrzańskich, któremu niewola wschodnia dziwnie pomyślnym uśmiechnęła się losem. Jak zwyczajnie bywało, ludziom do znaczenia i dostatków zrodzonym niosła ona nędzę i poniżenie, a wspomniona tu dziwna pomyślność losu spłynęła na chłopię w dymnej chacie zrodzone. Z jego wspomnień rodzinnych tyle jedynie pozostało w pamięci, że był rodem z okolic ruskich i zwał się niegdyś Iwaszkiem. W niewolę uprowadzono go zapewne w doroslejszym już wieku, gdyż w latach następnych wymawiali mu Turcy, że późno przyjął wiarę mahometańską.

Już przed tym pierwszym warunkiem wszelkich zaszczytów i powodzeń na Wschodzie zalecała Iwaszka w oczach Turków niepospolita uroda i krzepkość ciała. Takimi zaś przymiotami odznaczający się braniec bywał na targu niewolników bardzo cennym towarem, a témsamém jedynie bogatemu panu dostępnym. Jakoż zaraz w początkach zawodu widzimy Iwaszka własnością jednego z najmożniejszych panów korony ottomańskiej, znanego w historii kurda Dżambulada, rządcy Halebu. W uznaniu nieposlednich zalet młodego branka przeznaczył go Dżambulad do ważniejszych usług u swego dworu, mianowicie uczynił go podskarbin. Rychło potem przyszła rządcy Halebu ochota podnieść oręż przeciwko sułtanowi w chęci wywalczenia sobie niezawisłej władzy nad całą Syryą. Nadszły wojska cesarskie ku poskromieniu buntu, prowadzone przez sławnego wezyra Murada przydomkiem Studniarz. Wybuchła r. 1607

mordercza wojna, w której Iwaszko z całym dworem Dżambuladowanym walczył wiernie przy boku pana.

Rozstrzygnęła się wojna zwycięstwem wojsk cesarskich. Większa część armii Dżambuladowej dostała się w niewolę. W liczbie jeńców znajdował się także Iwaszko. Sam wódz powstania ocalił się ucieczką. Témci surowszą zemstę poprzysiągł zwycięzki „Studniarz“ wszystkim pojmańcom. Urosła mu ta nazwa od przygody w wojnie węgierskiej, gdy zwiedzając jednego razu pobojuwisko, wpadł w osłoniętą krzakami studnię. Nie chcąc zaś, aby go tylko żartem tak zwano, wprowadził Murad od tego czasu zwyczaj kopania głębokich studzien po każdej bitwie i wrzucania w nie skazanych na śmierć jeńców. Tym razem oprócz grzebania żywcem, nakazał wezyr okropne przelanie krwi żelazem. Dwudziestu katów ścinało głowy jeńcom, 26,000 głów spiętrzyło się ogromną przed Muradem mogiłą.

Iwaszko miał ginąć w studni. Zachowało go przy życiu miłosierdzie agi janczarów Halila. Ujęty powierzchownością jeńca, przeznaczył go do własnych usług i wziął z sobą do Carogrodu. Tu na galerze pracując, umiał Iwaszko zjednać sobie coraz większą łaskę nowego pana. Zalecony wiernością i przywiązaniem, zadziwiał przytém wszystkich ogromem i siłą ciała. Stojąc, bywało, w szeregu przewyższał wszystkich głową, a najcięższą galerę sam jeden odpierał od wybrzeża. Tak okazały i wierny chłop zasługiwał w oczach Halila na promocyę. Aby mu ją ułatwić, skłonił go aga do przyjęcia wiary i obyczajów mahometańskich. Przy téjto zapewne sposobności nadane zostało Iwaszkowi mahometańskie imię Abaza czyli Awaza, może dla podobieństwa do przekreconego z turecka Iwaś lub Awaz.

Szczęściem dla poturnaka postąpił Halilaga niebawem na admirała, czyli kapudan-baszę, a później i na wielkiego wezyra. Tak dostojny protektor, mógł lada kogo do najwyższych wynieść urzędów. Został też Iwaszko naprzód dowódcą galery, następnie rządcą powiatu Meraasz, w końcu baszą i namiestnikiem prowincyi Erzerum. Jako dostojnikowi, wolno mu było w najwyższych progach zapragnąć koligacyi. Rodzony brat wielkiego wezyra Gurdzi-basza wydał



córkę za niego. Sam cesarz Osman II, zwrócił uwagę na Iwaszka i umyślił do najsekretniejszych używać go spraw.

Zamierzał cesarz ukrócić nazbyt wygórowaną władzę janczarów. W powiernictwo tego zamysłu wciągnięty został Abaza-basza. Tajne w téj mierze porozumienie się przez listy z samym cesarzem przywiązało Iwaszka tém mocniej do osoby Osmana. Ale zamysły Osmanowe chybiły celu. Janczarowie domyślili się knowanych przeciw sobie zamachów, a nieszczęśliwa wojna cesarza Osmana pod Chocimem w roku 1621 podała im sposobność do wywarcia na nim swéj zemsty. Wybuchło krwawe powstanie, w którém stracony Osman dał gardło. Tenżesam los zagroził wszystkim stronnikom jego zamysłów. Spólnictwo w nich Iwaszka nie było na szczęście tak jawném, aby go o niebezpieczeństwo życia przypawić. Kazano mu tylko ustąpić z namiestnictwa w Erzerum i przestać na mniejszém rządztwie w Siwas.

Mógł więc Abaza winszować sobie dość obronnego wyjścia z niebezpieczeństwa. Szczere jednak przywiązanie do zabitego Osmana nie dało mu cieszyć się samolubnie ocaleniem. Powziął zamiar spełnienia kary na zabójcach cesarza, pierwszego z sułtanów tureckich zamordowanego na tronie. Zaczém ogłosił się mścicielem śmierci Osmana i na czele przeciwnych janczarom oddziałów armii wyruszył przeciw nieprzyjaciołom. Wszczęła się głośna w dziejach osmańskich wojna, w ciągu której bawiący w Carogrodzie Polacy słuchali ze zdumieniem pogłosek o wielkich czynach Iwaszka. Dla Turków nizkie i obce pochodzenie Abazy było rzeczą codzienną, powtarzającą się w życiu bardzo wielu bohaterów tureckich. Chyba tyle miano do zarzucenia Abazie, że był późnym muzułmaninem.

Trwała ta wojna od r. 1623 przez lat cztery do pięciu. Czego w niej oręż dokazał było dziełem Abazy; w sprawach rozumu wymagających, służyła głównie porada arabskiego szajka Kaszarijelü. Tento na wpół kapłan, na wpół wróżbita arabski był duszą postępowania Abazy, a jako sam nie o wiele wyższy od swego ucznia, kierował go najczęściej proroctwami, mianowicie przepowiadając mu w. wezrystwo. Wszakże mimo wróżby, gusła i 50,000 zgromadzonego w koło siebie żołnierstwa, nie podołał Iwaszko nako-

niec przedsięwzięciu. Po różnych zmianach fortuny przyszło mu stoczyć bitwę z sławnym wezyrem Chosrew, który stanowczo odniósł zwycięstwo. Sam Abaza-basza z całym swoim dworem, haremem, z dziećmi i skarbcem dostał się w moc zwycięzców.

Takie przecież było szczęście naszego brańca, że nawet ten ostateczny jak się zdało upadek nie zdołał pogrążyć go do szczytu. Wprowadzony w tryumfie do Stambułu, pozyskał tam osobistą przychylność sułtana Murada IV a z nią nowe wkrótce urzędy. Najpierw mianowano go namiestnikiem Bośni, gdzie sąsiadując z Węgrami, wchodzić musiał niekiedy w dyplomatyczne stosunki z dworem wiedeńskim. I tak zaraz po zleceniu mu rządów nad Bośnią, odwiedził go w Stambule poseł austriacki baron von Kuefstein, od którego po raz pierwszy dowiedział się Iwaszko, czém są Wiedeń i Praga. Aż do swego bowiem powołania na rządzącą Bośnią nie zdarzyło mu się słyszeć tych nazwisk, a rozmawiając teraz z baronem, mniemał je zamczkami w pobliskich Węgrzech.

Z namiestnictwa Bośni przeniesiony został Iwaszko na rządy Oczakowa. Tu były poddany Rzeczypospolitej znalazł się w częstych stycznościach z koroną i panami polskimi. Nieprzewidziany owszem obrót wypadków uczynił go jawnym wrogiem i najeźdźcą własnej ojczyzny. Najważniejsza to zapewne chwila w osobliwszym paśmie przygód wychowańca strzechy wieśniaczęj z nad Dniepru lub z nad Dniestru. Jednocześnie ze zwycięską wyprawą króla Władysława IV do Moskwy w r. 1633 postanowił cesarz turecki Murad IV pomścić niedawną klęskę chocimską i uderzyć na Polskę. Główne naczelnictwo wyprawy poruczono Abazie baszy, najbliższemu sąsiadowi granic koronnych. Jakoż rzeczywiście wtargnął on ze znacznym wojskiem do Polski, i w jesieni r. 1633 zaczął pustoszyć okolice Kamieńca podolskiego.

Ale zamach na własną ojczyznę nie przyniósł bynajmniej chwały Abazie. Przeciw wyrocznie spotężniałemu ziomkowi stanął hetman koronny Koniecpolski, uwieńczony świeżym zwycięstwem pod Sasowym-rogiem nad ordą i dzielnym oporem w obwarowanym obozie udaremnił wszelkie

usiłowania Abazy. Na próżném płądrowaniu pobrzeży Dniestrowych czas strawiwszy, musiał wódz turecki z upokorzeniem opuścić Polskę. Aby zaś jakimkolwiek blichтром okraścić odwrót, uprowadził z sobą kupę wiejskich jeńców oboję płci, o których dziwnym losie w niewoli nadmienimy później pokrótce.

Tak lichy plon oreżny mógł Abazę przyprawić łatwo o zgubę. Rozeszła się nawet pogłoska w Polsce, że Abaza za niefortunną wyprawę kamieniecką ukarany został na gardle. Skończył on tak w istocie, ale nie za bezskuteczność oreża w Polsce. Był to zwyczajny koniec wszystkich tego rodzaju bohaterów fortuny wschodniej. Jakby w odwet za nadmiar słońca przez większą połowę życia, uderzył piorun w ostatek dni. A właśnie przed tym piorunem rozpromieniło się niebo najświetniej nad Iwaszkiem. Dziwny jego żywot okazał się najdziwniejszym u schyłku.

Za powrotem z wyprawy polskiej został Abaza nie spodzianie faworytem cesarskim. Zamiast marszczyć mu brwi za Kamieniec, nie mógł sułtan Murad obejść się bez Iwaszka. Czy to w ogrodach seraju, czy w przejażdżce, czy w ujeżdżalni, wszędzie musiał przy boku być ulubieniec. Jego sposób przypasywania oreża, okręcania zawoju, stały się modą u dworu. Jego prośby i przedłożenia bywały zawsze mile słuchane. Trwało to kilka miesięcy, od zimy aż do wiosny.

Z wiosną atoli zmienił się cesarz. Podszeptywane mu pogłoski o faworycie zaczęły nabierać wagi. Jednego razu spotkał Abaza jadącego całym dworem cesarza, i skromnie ustąpił na bok. „Odbierz mu szablę“ — rzecze sułtan do jednego z bostandzych, który natychmiast wypełnił rozkaz. „Alboż nie wiesz“ — ozwali się do Abazy dworacy — „że w obecności cesarza niewolno nosić szabli?“ Iwaszko zmierkował odmianę łaski pańskiej, i wróciwszy smutny do domu, wyprawił kilkadziesiąt koni za miasto, aby z nadzieją nocy umknąć do Azji.

W tém o zachodzie słońca woła go cesarz. „Ileż-to wzięłeś od Ormian w sprawie grobów jerozolimskich?“ — zapytał Murad. „Dwanaście tysięcy“ — odpowie przelegniony Abaza, a wzięł w istocie dwadzieścia. To kłamstwo dopeł-

niło miary niełaski. Wyprowadzono go do ptaszarni w seraju, dokąd niebawem nadszedł téż wyrok śmierci. „Wola to padyszacha!” — rzekł pokornie Abaza, nizając paciorki swego różańca. Nazajutrz odbył się pogrzeb wspaniały. Włożono nieboszczykowi turban wezyrski w trumnę, która w jednym i tysamym grobowcu obok sławnego Studniarza trumny stanęła. Mnogie téż karty dziejów osmańskich wypełniły się historią obudwóch mężów.

Co tu z historii Iwaszka powtórzone, jest tylko króciuchnym rysem jój treści. Dla społecznych przecież Polaków nie miała ona najmniejszego powabu. Opisując wyprawę Abazy pod Kamieniec, zbywa go poeta-historyk jednem słowem niechęci: „gruby to odszczepieniec. Gdzieindziej więcej o nim wspomniałem“ <sup>21</sup>).

W pierwszych latach namiestniczych rządów Abazy w Erzerum zdarzyła się nieszczęśliwa wojna cecorska, nadzwyczajnie bogate żniwo jasyru dla Tatarów i Turków. Najprzedniejszym ze wszystkich jeńców był hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski. Niedawno ożenionemu kazał niepomyślny los wojny pożegnać się na zawsze z myślą o domu, rzec się wszystkiego, co przypominało dawną świetność i chwałę. Błakając się niepoznany pomiędzy rozsypaną dokoła pobojowiska tłuszcza łupieżników wołoskich, zrzucił z siebie dla utajenia osoby wszelkie bogatsze przybory stroju, cisnął w las pierścień dyamentowy, ale nie mógł postąpić również z dyamentowym krzyżykiem z relikwiami na piersi.

Ten zdradził go oczom drapieżców, którzy kosztowności zabrali, a samego hetmana odstąpili srogiemu Iskander-baszy. Za uprowadzeniem przez tegoż do Białogrodu wtrącony został hetman do dziwnie brudnej i niewygodnej turmy. „Pośrodkiem wieży przewleczony był łańcuch wielki, u którego pomykały się na kolcach inne łańcuchy. W taki tedy łańcuch wsadzono hetmana i w okowy. Okienko tylko było małe, którem więźniom jałmużnę podawano.“ Po rychłej śmierci Iskander-baszy uwieziono jeńca z tego tatarskiego tarasu do Carogrodu.

Tam niewola pogańska w dodatku do ciężkich cierpień fizycznych dręczyła jeszcze cięższymi niekiedy pokusami. Do przyprowadzonego na dywan więźnia rzecze wezyr: „Obieraj sobie, albo na muzulmańską wiarę przystań, a pan mój da ci zaraz 50,000 wojska. Pójdiesz do Persyi; co kosztem pana mojego zdobędziesz, to twoje będzie. Jeżeli tego nie uczynisz, w niewoli żywota dokończysz.“ Powiedział na to hetman: „Uczynić tego nie mogę, bo gdybym Bogu i panu memu wiarę złamał, i waszój pewnie nie miałbym wiary.“ Na to rzekł wezyr: „Idźże na więzienie wieczne, a to już odemnie grzech odpadł. Nie moja wina, na mnie nie narzekaj.“

Porwali się z dywanu wszyscy, odeszli Koniecpolskiego, nie wiedział gdzie się obrócić. Niebawem przecież kazał wezyr wziąć go na baręk. Miał za Konstantynopol odwieziony do Jedykuły albo Czarnej wieży. Wtém osławioném na całą Polskę więzieniu zdarzyły mu nieba o wiele znośniejsze życie niż się obawiał. Siedział w jednej sali z dwunastą innymi więźniami różnych narodów, którzy wraz z Koniecpolskim otrzymywali kilka asprów żołdu dziennego. Przez dwie godziny na dobę pozwalano im przechadzać się na bani czyli po górnej sali nad morzem; resztę dnia skracano sobie modlitwą, dyskursami albo grą w karty.

Na czas niejaki stała się hetmanowi niemałą rozrywką jakatąka znajomość zegarmistrzostwa. „Aga téj wieży miał kilka zegarów, z któremi mniej się umiał sprawić. Przyszedł do więźniów, pytał się, jeżeliby który nie umiał postawić zegarów. Hetman koronny rzekł: Gdybym widział, zrozumieć. Rad aga kazał mu za sobą iść. Dwa mu ich naprawił. Nazajutrz przywołany od agi znowu mu dwa naprawił, a jeden z wczorajszych umyślnie zastanowił. I tak kilka czasów wychodził do owych zegarów. Miał swoje *refrigerium*....“

Nieskończenie większą pociechę sprawiła okoliczność następna. Usługujący hetmanowi Turczynek przyniósł jednego razu jakiś kaftan na sprzedaż. Po łatwym targu maca hetman kupioną odzież i znachodzi coś zaszytego. Rozpara i znajduje listy z ojczyzny i tysiąc kilkaset czerwonych złotych, rzędem w szeroką lamówkę wszytych. Jeszcze

z Białogrodzkiej wieży powiodło mu się przesłać wiadomość o sobie królowi i przyjaciółom, którzy teraz tajną wywają jęmnili się odpowiedzią.

Przyniósł ją pewien u dworu królewskiego w Warszawie służący Tatar, skłoniony do tego obietnicą hojnej zapłaty i nieochybniej wolności za powrotem z poselstwa. Potrzeba zaś było tak fortelnego znoszenia się z hetmanem, gdyż jako jeden z wodzów podjętej przeciw sułtanowi wojny cecorskiej miał on przeciw sobie osobisty gniew padyszacha i był wyjęty ze zwyczajnego trybu postępowania z jeńcami, którym pospolicie dozwalało porozumiewać się z krewnymi o wykupno. Owoż donoszono teraz z domu Koniecpolskiemu, iż wyjedzie niebawem wielka legacya z Polski do Turku, że zalecono będzie posłowi traktować o wykupienie hetmana, przezco jest wszelka nadzieja ujrzenia go niebawem w stronach rodzinnych.

Nim to jednak nastąpić miało, ciągnęła się dalej przeszło dwuletnia już niewola w Czarnéj wieży. Jak wszystkie sprawy pogańskie podlegała ona według powszechnego mniemania tysiącnym złudom i pokusom szatańskim, a między innemi „i to nie mała była pokusa“ — opowiada blizki krewny hetmański. „Turkinie mają to z nabożeństwa, więźnie nawiedzając dają im jałmużnę. Siostra najpierwszego wezyra przyjechała do Czarnéj wieży. Obaczywszy hetmana, a on u stolika w karty gra z dwiema, fiasza i kieliszek przed nimi stoi. Minąwszy stolik poszła do więźniów innych, a dobywszy mieszka, rozdawała każdemu po czerwonym złotemu. Przystąpiwszy do stolika, dała i owym dwóm co grali, a do hetmana cicho rzekła, ukazując swój pełen mieszek: To twoje i ja twoją chcę być. Hetman wziął kieliszek wina, wypił do niej; ona przyjęła. Wypiwszy zaś, obróciła go do dwóch matron, co ją prowadziły pod rękę.“

„Gdy te wypily, ona poszła po schodach — oglądając się za hetmanem, który wcale nie spieszył za nią. Świeże bowiem listy z ojczyzny uradowały go wieścią o narodzeniu mu się pierwszego syna w domu. Przy błogiéj myśli o żonie i niemowlęciu, uśmiechnął się hetman chrześcijański wzgardliwie na pokusę pogańską, i nalał drugi kieliszek

wina, gdy rozkoszna poganka wróciła wkrótce ze schodów, widząc że hetman nie pospiesza. Stała na ostatnim stopniu, i na nowo wabić poczęła mieszkciem hetmana. On znowuż wychylił do niej kieliszek. Ona przyjęła i poszła po raz drugi na banię. Ale kiedy nie mogła zwabić hetmana, rozgniewana zszedłszy z góry, przeszła mimo nieposłusznego, i plunąwszy o ziemię, mieszkciem trząsnęła...“

Mało co po tych zalotach pogańskich usłyszał Koniecpolski przez ścianę jęki cecorskich spółtowarzyszów niewoli, duszonych w pobocznój sali za wyrokiem dywanu. I hetmanowi naszemu mógł lada chwila nadejść takż firman śmiertelny. Wieży bisurmańskie zaczęły coraz ciężej przygniatać duszę. Aż nakoniec stanął w Carogrodzie oczekiwany poseł z Korony, a z nim przybyli także wysłańcy od rodziny hetmańskiej, wiozący pisma instancyonalne do różnych osób i pieniądze na okup. Po usilnych zabiegach i targach powiodło się wykupić hetmana za 30,000 talarów twardych.

Ponieważ nadesłani z Koniecpola dworzanie przywieźli z sobą lepsze talary kopowe, musiał posłujący od Korony książę Jerzy Zbarazki przydać dla dopełnienia wagi znaczną ilość własnych sreber stołowych. „A gdy wychodził z wieży hetman koronny, aga kilka baranów kazał zarznąć na wyjście więźnia polskiego, i rozdać pozostałym towarzyszom niewoli. Laskę mu darował z powinszowaniem, aby w dobrém zdrowiu do domu przyjechawszy, z tą laską po swoim chodził ogrodzie, a hetman nawzajem 100 talarów kazał mu dać“ <sup>22)</sup>.

Wraz z oswobodzonym hetmanem wrócili na ziemię ojczystą zwłoki owego spółtowarzysza niedoli, który swoim jękiem śmiertelnym w Jedykule na długo przeraził duszę hetmańską. Byłto nieszczęśliwy książę Samuel Korecki, szwagier gospodarów wołoskich z domu Mohiłów, dwukrotny mieszkaniec, a w końcu męczennik Czarnej wieży.

Wzmianką o jęgo więzach tureckich dotykamy dziejów ambitnego wdzierania się naszych wielkich panów XVI i XVII wieku w sprawy wołoskie, które tylu jeńców przysporzyło pogaństwu. Opłakiwano w ich liczbie najprzedniej-

sze imiona polskie, najwaleczniejszych synów krwi Wiśniowieckich, Potockich, Koreckich i innych. Pierwszą z tylu głośnych w historii ofiar padł już przed półwieczem bohaterski książę Dymitr z Wiśniowca, niezmordowany prześladowca pogan przez całe życie. Jeszcze za rządów małżonka Roxolany Solimana I. wezwała go Wołosza na gospodarstwo, z którego właśnie zrzucony został Bazylik, a które każdemu gospodarowi otwierało pole ustawicznej walki z Osmaństwem.

Przyzwyczajony do zaprosin najpotężniejszych monarchów Polski i Moskwy, zaufał książę Dymitr wezwaniu wołoskiemu, i z małą garstką Kozaków opuścił swoją obozową siedzibę na wyspach Dniepru, nieprzełamaną zaporę napałów krymskich. Za przybyciem jednak do Multan, uderzył nań o wiele mocniejszy spółzawodnik krajowiec, hołdownik i sprzymierzeniec turecki, Tomsza. Zamiast spodziewanych później walk z Turczyńcem, znalazł chorobą złożony Dymitr rychłą klęskę od Tomszy, który czémprędzej wysłał go jen-cem do Carogrodu.

Tam niewola pogańska dawną nienawiść kniazia ku bisurmaństwu do prawdziwie męczeńskiej podniosła odwagi i rezygnacyi. Na zwyczajny rozkaz wybierania między islamem a niewolą wieczystą odpowiedział książę z taką wzgardą, iż za karę rozkazano mu wybierać natychmiast między prorokiem a śmiercią. I to nie złamało ducha kniaziowi, odpowiedział z równą zniewagą, pomszczoną najsroższym rodzajem śmierci, śmiercią na haku. W obliczu tedy stolicy nad morzem zaczepiony o hak za żebro, wisiał Dymitr w ciągłym przez dwa dni i dwie nocy konaniu, chwalcąc Boga chrześcijańskiego a bluźniąc Mahometowi.

Kiedy jeszcze i trzeciój doby nie opuściło go życie i męstwo, sami Turcy dla ukrócenia obrazu swego proroka dobili kniazia strzelaniem z łuków. Poczém zdjętemu z pała wypruto serce, i starodawnym zwyczajem bisurmańskim po-cięto je w kawałki, dla obdzielenia się niemi jako najlepszym środkiem nabycia równej odwagi. Późniejsze tradycye dodały różne rysy imaginacyi do obrazu śmierci Dymitra <sup>23)</sup>.



Jeden z niedalekich następców Dymitrowego rywala Tomszy na gospodarstwie wołoskiem, Mohiła, zapragnął wesprzeć się przeciw Turkom pomocą potężnych panów polskich, dla których cztery córki miał na wydaniu. Jakoż niezwłocznie znalazło się czterech zięciów, równie chciwych koligacyi z rodziną panującą, jak gotowych dać gardło i mienie za nią. Jednę z gospodarówien Mohilanek poślubił pan Stefan Potocki, generał podolski, drugą pan kasztelan sieradzki Maksymilian Przerebski, trzecią księżę Michał Wiśniowiecki, czwartą Samuel kniaź Korecki.

Wszyscy czterej dotrzyмали świetnie zobowiązania teściowi, przywrócili go r. 1612 na wydartém mu księstwie, ale nie zdołali wesprzeć podobnie jego synów a swoich szwagrów. Nieszczęśliwa wyprawa w roku 1616 podążyła wszystkich czterech bądźto osobiście bądź w swoich bratanków i imienników osobach na łup śmierci lub niewoli u pogan. Michał Wiśniowiecki umarł w obozie, strawiony trudami wojny. Samuel Korecki, Stefan Potocki i jeden z Przerebskich poszli dźwigać okowy w Czarnęj wieży. Na szczęście niedługo trwało ich więzienie tym razem. Stefanowi Potockiemu okazał się w modlitwie jakiś starzec cudowny, według zdania niektórych św. Dominik, i otrząsłszy mu pęta z nóg, uprowadził go nocą po drabinie z turmy pogańskiej, wsadził go na czekającą u wybrzeża morskiego łódkę i zawiózł tej samej nocy aż do Wenecyi <sup>24</sup>).

Bardzo podobnym acz nie cudownym sposobem uszedł jednocześnie r. 1617 Korecki. Dopomógł mu do tego pewien poufały Greczyn, przysłany z Polski od wiernego przyjaciela Sieniawskiego. Ten za pomocą przywiezionych z sobą pieniędzy i wrodzonej przebiegłości wnął się w łaskę tureckich dozorców Jedykuły. Pozwolono mu widywać się z księciem Koreckim i przynosić mu czasem podarki z miasta.

Pewnego razu sprowadził Greczyn kilka flasz wina, z których jedna zamiast napoju zawierała pod swoją plecionką długi powróż i pilnik. Winem flasz pełnych upoił książę czuwających nad sobą drabów, a treści flasz nietkniętej potrafił użyć tak szczęśliwie w czasie uspienia ich o północy, iż za kilka godzin ujrzał się przebranym za kupca na ulicach Stambułu. Ztamtał na Raguzę i Sycylię, jako

kupiec, z Sycylii zaś na Rzym i Loret jako pielgrzym wędrując, wrócił Korecki w r. 1618 do Polski, aby już w niespełna dwa lata później porwać się znowuż na Turka.

Poniesiona wówczas klęska cecorska zaprowadziła kniazia po raz drugi jeńcem do Carogrodu. Mogło to każdego innego złamać na duchu, tylko nie śmiałków jak Wiśniowiecki albo Korecki. Na widok Konstantynopola chwycił pojmany książę swoją kobzę kozacką, i wjeżdżając w tłumie jeńców do miasta, przygrywał sobie na niej wesoło jakby przy wjeździe tryumfalnym.

Daremne były zwyczajne zaprosiny tureckie do przyjęcia islamu i zwyczajne groźby w razie odmowy. Wtrącony został powtórnie do Czarnej wieży, tym razem pod nierównie nieszczęśliwszą wróżbą niż dawniej. Kilkanaście bowiem miesięcy więzienia nie nastreczyło żadnej sposobności do powtórnej ucieczki, a po upływie tego czasu wstąpiło dziewięciu spahów do sali Koreckiego, niosąc gotowy do wykonania firman śmiertelny. Zawieszone na ramionach ręczniki długie, wskazywały przeznaczony mu rodzaj śmierci.

Nieustraszony niczem Korecki, wyrwał najbliższemu siepaczowi nóż z ręki, i rzucił się z nim na oprawców. Upadł we krwi jeden i drugi, wkrótce jednak przemogła liczba. Po całej wieży rozległ się krzyk duszonego, przejmując zgrozą spółtowarzyszów niedoli. W kilka chwil po skonaniu wyrzucono zwłoki przez okno, i zagrzebano je w piasku pod wieżą. Za staraniem hetmana Koniecpolskiego, dali im ojcowie Franciszkanie tajemny przytułek w swoim klasztorze na Galacie.

Wracając do ojczyzny, zgłosił się hetman Koniecpolski w klasztorze z prośbą o ciało przyjaciela. W beczce smołą oblanej, przykryte zakupionemi w Stambule kobiercami i makatami, ruszyły zwłoki książęce z taborem poselstwa koronnego w drogę do ziemi przodków. Już za miastem postrzegli Turcy kradzież pobożną, i chcieli przeszkodzić ję u Wezyra. Ale dumny Turek uśmiechnął się wzgardliwie i rzekł: „Nie chciał pozostać z nami za życia, niechże nie leży tu i po śmierci.“<sup>25)</sup>

Szczęśliwszą była historia niewoli Przerębskiego. Jako bratanek kasztelana brzeskiego Maxymiliana, męża gospodarowej wołoskiej Mohilanki, towarzyszył on wyprawie szwagrów do Multan w r. 1616, i dostał się wraz z innymi w niewolę. Niedojście okupu w wyznaczonym terminie zaprowadziło szlachcica na pogański jarmark niewolnikami. Ceniąc w nim raczej chłopą zdrowego niż syna i krewniaka najpierwszych domów polskich, między innemi i domu Koniecpolskich, żądano i wzięto za niego przeszło 200 talarów.

Nabył go jakiś bogaty kupiec perski, z którym pan Wincenty Przerębski wyruszył wnet do Persyi. Działo się to właśnie w tę porę, kiedy w tych wschodnich stronach zasiadł na wielkorządztwie erzerumskiem Iwaszko czyli Abazy. Syn chłopą ukraińskiego panował w dostatkach nad szerokim krajem i ludem, a potomek rodziny senatorskiej dźwigał towary w kramie kupieckim. Minęło Przerębskiemu w tej niedoli kilka lat bez żadnej wieści o Polsce i Polakach, wyjąwszy przypadkowe spotkania z również jak on zabłąkanymi jeńcami.

Piątego roku niewoli wybrał się pan jego w podróż handlową do Carogrodu. Towarzyszący mu jeńiec polski stanął w tej samej porze w Stambule, kiedy poselstwo księcia Zbarazkiego zabierało się do powrotu z ziomkami wyzwolonymi. Tak zajętem przeciw służbą swoją był nasz Przerębski, tak małą różnicę sprawiała obecność legacyi polskiej w codziennym tłumie i gwarze olbrzymiej stolicy padyszachów, iż przez cały swój pobyt w Konstantynopolu nie spotkał się Przerębski z żadnym Polakiem, nie powziął żadnej wiadomości o pośle i jeńcach polskich.

Nie wiedział nawet o niewoli swego krewnego Koniecpolskiego w Czarniej wieży, i miał już nazajutrz wracać nazad do Persyi. Aż w tém kupując na bazarze dywany i makaty, wstąpił do kramu perskiego jakiś przechodzień, w którym zatrudniony przy towarach Przerębski poznał zaraz Polaka Dąbrowskiego, jednego z przybyłych niedawno do Carogrodu dworzan hetmańskich. Można sobie wyobrazić zdziwienie i uciechę obudwóch. Po kilku słowach wzajemnego oświecenia się, kazał Przerębski pobiedz Dąbrowskiemu natychmiast do hetmana, dziś właśnie wykupionego,

i donieść mu o krewnym w kramie perskim. Co gdy się stało, posłał hetman czempredź po pewnego znanego sobie spaha imieniem Czelebi, aby z nim o uwolnieniu Przerębskiego pomówić. Był ten spah czyli sypajh mężem dawniej branki chrześcijańskiej ze stron polskich, która hetmana w czasie jego więzienia w Jedykule zaopatrywała świeżą bielizną. Biedna niewolnica polska, a później żona sypajha tureckiego, nie miała powodu życzyć sobie powrotu do rodziny i tém jedném słodziła sobie niedolę, iż małżonek jój sprzyjał i dopomagał w potrzebie całém sercem Polakom.

Zapytany tedy o sposób uwolnienia Przerębskiego, podał sypajh bardzo zbawienną radę, którą niezwłocznie wykonano. W skutek tego udał się dworzanin hetmański Dąbrowski wraz z Czelebim i jego żoną na bazar i pozo-  
stawiwszy oboje w dwóch niedalekich od siebie miejscach, poszedł do Przerębskiego z nauką co ma czynić. Przestrze-  
żony Przerębski wychylił się z swego kramu i obaczywszy Czelebinę, rzucił się jój na szyję, jakoby poznając w niej siostrę swoją. Branka odpowiedziała w tymsamym tonie, i tak długo witała się z bratem mniemanym, aż póki Pers z nahajem nie wyszedł po sługę swego.

Natenczas Czelebina zawezwała pomocy męża, a ten przyskoczywszy do Przerębskiego, porwał go jako szwagra swojego, powołując się na przywilej spahów cesarskich. Mieli bowiem takie prawo spahowie, iż mogli u każdego kupca wziąć z niewoli brata swój żony, zaspokoivszy czemkolwiek właściciela. Musiał tedy Pers przystać na stratę jeńca i za wielką łaskę poczytać sobie, że mu po długich lamentach wyliczono 200 talarów wynagrodzenia. Usłużny Czelebi zaprowadził Przerębskiego z sobą do domu, a ztamtąd nocą do gospody hetmańskiej. W kilka dni później zamiast z kupcem swoim do Persyi, jechał pan Przerębski z resztą ziomków do Polski<sup>26</sup>).

---

Była to pora nader częstej wędrówki jeńców polskich z pola bitwy w niewolę i z niewoli nazad w strony rodzinne. Jakoś jednocześnie z Wincentym Przerębskim, z hetmanem Koniecpolskim, z synem i synowcem poległego w cecorskiej

wojnie hetmana Żółkiewskiego, z jego siostrzeńcem Bałabanem, a tyłu innemi ofiarami téj wojny, stanął w progu domowym pewien młody braniec tatarski, którego niewola u pogan stała się źródłem niezmiernie wielu nieszczęść ojczyźnie. Pobratawszy się bowiem z pogaństwem w niewoli swojej a potem wróciwszy na wpół poturczonym do kraju, pozostał on nadal w stosunkach z swoimi poufnikami w ziemi pogańskiej, nawiedzał ich niekiedy po przyjacielsku, a poważniony następnie z możniejszą klasą swoich spółziomków, powołał przeciw nim ordy krymskie, i jako hetman roznieconej za ich pomocą wojny domowej, spustoszył na długie lata całą swoją ziemię rodzinną.

Mowa tu o młodym kozaku Bohdanie Chmielniczeńku, który przy boku ojca wyruszył w ową wojnę cecorską, a straciwszy rodzica śmiercią walecznych w bitwie, dostał się sam jeden Tatarom. Ci dziarskiego mołojca zaprowadzili do Krymu, zkąd zwyczajna kolej niewoli uniosła go dalej handlem w ziemię tureckie. Kupiony od jakiegoś muzułmanna w służbie floty cesarskiej, spędził ze dwa lata w Stambule, mieszkając na przedmieściu Kasim-pasza.

Ścisłejsze niż zazwyczaj pożycie z pohańcami obeznało Bohdana tak dokładnie z obyczajem i wyznaniem mahometańskim, iż mógł później najdziwniejsze zmyślać o tém powiastki. Udawał więc w czasach następnych przed Turkami, iż będąc w niewoli przyjął wiarę proroka, w skutek czego nauczył się odprawiać niektóre obrzędy religijne trybem pogańskim i czytać z turecka na koranie. Po dwóch latach pobytu w Carogrodzie sprzykrzyła mu się poniewolna gościna w ziemi tureckiej, i wespół z kilku innymi towarzyszami jasyru uciekł szczęśliwie do ojczyzny.

Zawiazane przecież stosunki z pohańcami nęciły go odtąd zawsze ku stronom bisurmańskim. Zbiegając od nich niejednokrotnie, znosił się przyjaźnie z bejem perekopskim Tohajem, posiłkował w krymskich wojnach domowych księcia Szachingiraja, a gdy dalsze spory z podstarościm Czaplińskim i z chorążym koronnym Koniecpolskim zagnały go na Niż, i przyszło mu obawiać się mściwej pogoni hetmanów polskich, zażądał nawzajem posiłków w Krymie.

Wówczas wyznał się Chmielnicki kłamliwie tajemnym

muzułmaninem, który dlatego jedynie ukrywa wiarę swoją, aby tém skuteczniej pracować nad jej rozszerzeniem pomiędzy niewiernymi. Dla przekonania o tém hana Islam Gireja, odprawił Bohdan w jego obecności wieczorną modlitwę mahometańską namazu i czytał przed nim zwyczajem tureckim na koranie. Omamiony kłamstwami han udzielił mu posiłków, a osiągnięte za ich pomocą tryumfy zachęcały Bohdana do szukania dalszych związków w samym Stambule.

Roku 1651 wyprawił Chmielnicki poufne poselstwo do sułtana, mające zatwierdzić wszystkie jego zmyślenia o przyjęciu islamu w czasie niewoli. Jeżeli dotychczas nie wystąpił jawnie w imię proroka, stało się to jedynie z obawy buntu czerni kozackiej, która nawet ową modlitwę mahometańską przed hanem tak dalece za złe mu wzięła, że tylko przysięgą na ewangelię i zbudowaniem cerkwi zdołał uniknąć upadku. Mimo to wyznaje Bohdan w skrytości poślubioną za młodu wiarę, i gotów jest podjąć się wszystkiego dla islamu i dla sułtana<sup>27)</sup>.

Do takich zmyśleń usposobiła młodego rycerza cecorskiego kilkuletnia zażyłość z niewiernymi w jasyrze, takie owoce wydawała czasem niewola w ziemiach pogańskich. Przy pomocy Tatarów zalał Chmielnicki kilkakrotnie całą Ukrainę krwią i płomieniem, zamienił ją na długie lata w pustynię, dozwoilił rozzuchwalonemu Tatarstwu uprowadzić przeszło milion bezbronnego ludu w niewolę krymską. Wszakże bliższe o tém słowa należą jut nie do naszej powieści lecz do historyi. Wolimy opowiedzieć niepowszednie losy pewnego ubogiego Sieradzanina w ziemi pogańskiej.

---

Kiedy polscy zięciowie hospodara Mohiły zabierali się podać w Multanach zbrojną pomoc swemu teściowi, umyślił pan wojewoda sieradzki Hieronim Łaski, spróbować szczęścia w naddunajskiej Wołoszy, wspierając hospodara Radułę przeciw wojującym go baszom tureckim. Niedopisało szczęście, bo rozgromiono Radułę i posiłkujące hufce polskie, z których bardzo wielu nabrano jeńców. Chciał się popisać nimi przed sułtanem naczelny basza, ale ku wielkiemu

zmarłwieniu nie znalazł w ich liczbie żadnego pana większego, żadnego człowieka okazałego.

Najpokaźniejszą postawę miał jakiś prostak z czeladzi taborowej, chłop rośli i urodziwy, sługujący niegdyś za hajduka po dworach pańskich, teraz wzięty u wozów. Przestraszonemu popadnięciem w ręce pogańskie roіło się już o galerach i haku, gdy wtém zaprowadzono go uczciwie do balwierni tureckiej, omyto i wygolono chłopą, przywdziano mu kaftan bogaty, słowem przeistoczono go w pana. Jakoż nie za co innego jak tylko za jednego z pierwszych panów koronnych zaczęli odtąd szanować go wszyscy w niewoli, i w takim też charakterze dostojnym wprowadził go zwycięzki basza w tryumfie do Stambułu, owszem samemuż przedstawił sułtanowi.

Napróżno upewniał zdumiony swoją fortuną hajduk, że jest chłopem z Łasku w Sieradzkim, że nigdy ani wojskami nie dowodził, ani u dworu królewskiego nie bywał. Słowa jego wzięto za zwyczajny wybieg zabranych w niewolę panów, którzy kłamaną postacią ludzi ubogich pragnęli wykupić się tanio z jasyru. Takim np. podstępem przybrali najmożliwiejsi jeńcy cecorscy, w czasie traktatów o ich wolność, pokorną minę prostaczków i przyprowadzeni przed wtajemniczonego w to posła polskiego księcia Zbarazkiego, upadli ze łzami do nóg pańskich. W oznakę tém większego lekceważenia, kazano im przy odprawie do gospody jechać z tyłu za posłem na lichych koniach, co przy ich bładych cerach, podartych sukniach, długich włosach i zapuszczonych w więzieniach brodach, bardzo skromny czyniło widok. Dopiero za przybyciem do gospody rozwiązały się usta, nastąpiły przyjacielskie uściski, przywitania, po niewczasie dostrzeżone przez Turków<sup>28</sup>).

Nie pomogły więc żadne wymówki hajdukowi, pozostał zawsze panem w mniemaniu pogan i musiał pójść do więzienia pańskiego w Jedykule. Potrzeba mu było tylko za przykładem tylu renegatów z całego świata przyjąć wiarę i obyczaje tureckie, a byłyby mu padły najwyższe dostojęstwa, dowództwo nad licznem wojskiem, zarząd szerokich prowincyj. Ale nasz hajduk przestał na spokojnym i niezatrudnionym żywocie w Jedykule, przejadał swój codzienny żołd 6

asprów czyli 10 groszy i uchodził u Turków za wielkiego beja korony polskiej.

Jako taki, bywał on także przedstawiany nowym do Jedykuły przybyšsom polskim, pomiędzy którymi osobiwie pan hetman Koniecpolski ucieszył go swoim widokiem. Sługiwał on bowiem w Sieradzkiem u panów tego imienia, i dla powzięcia nowin o dawnych panach, zrzekł się chętnie swojej mniemanej dostojności w oczach hetmańskich. Zaczął więc z radością wypytywać się o panów Koniecpolskich w Ruścu i Koniecpolu, o pana Hieronima Łaskiego w Łasku, o pana Jarosza Gomolińskiego i wielu innych, odwdzieczając się wzajemną relacją swojej niewoli. Którą wyrozumiawszy nie myślał pan hetman utwierdzać pogańskich bredni o jego bejostwie w Polsce, lecz ku wielkiemu zdziwieniu Turków zażywał chłopą do posługi swojej w więzieniu.

Gdy zaś nadeszła pora wykupienia hetmana z Czarnéj wieży, prosił Koniecpolski wezyra przy pożegnaniu o darowanie mu dwóch jeńców chrześcijańskich. Jednym był Francuz Nicoli, później kapitan w służbie hetmańskiej na Ukrainie, drugim nasz hajduk z Łasku. Darowany z łatwością od wezyra, powrócił bej mniemany z hetmanem do ojczyzny i stanął znowu na służbę u panów Koniecpolskich. Zestarzał się wrotnym w Ruścu, opowiadając dziwy o swoich przygodach w ziemi pogańskiej. Wówczas ile razy się upił, zawsze płakał na pana hetmana Koniecpolskiego, że go wyprowadził z niewoli w Czarnéj wieży. Nic tam bowiem nie robił, a brał codziennie 6 asprów żołdu — tu zaś co za praca być wrotnym! <sup>29)</sup>

---

Inaczéj dziękowały panu hetmanowi Koniecpolskiemu inne ofiary jasyru tatarskiego, odbite przezeń sławnym pogromem ordy pod Martynowem nad Dniestrem. Odniośł hetman to błogosławione zwycięztwo już w kilkanaście miesięcy po swoim własnem wyzwoleniu z jasyru. Ogromna tłuszcza krymskiego i nogajskiego Tatarstwa wpadła na wiosnę r. 1624 pod srogim łupieżcą Kantemirem w południowe granice Polski i zagnawszy się aż po ostatnie mie-



dze ziemi przemyskiej, zniszczyła wszystko pożogą i rozbojem. Oprócz zwyczajnych łupów wojny tatarskiej chwyciła pogaństwo najchciwiej dzieci obojój płci.

Nabrano tyle chłopców i dziewcząt w handel do serajów tureckich, iż na trzy mile rozciągał się pochód teleg i koni z tym plonem, gdy orda nareszcie wracała ze zdobyczą do domu. Największą w takim razie trudnością była dla niej przeprawa przez Dniestr na Pokuciu. W tegorocznym pochodzie wyprawiono naprzód wszystek plon z łupami w kosztownościach i trzodach, a zbrojne hufce Kantemirowe ciągnęły z tyłu.

Około połowy czerwca, przeszły już były przez rzekę nieskończenie długie rzędy zdobycznych, i o milę za Dniestrem stanęły koszem ogromnym. Na dążącą zaś za wozami zgraję łupieżką wpadł niespodzianie hetman polny koronny z niewielkim poczem rycerstwa i straszną klęskę zadał Kantemirowi u brzegów Dniestru. Większa część pogaństwa zginęła, przechodząc rzekę albo blakając się rozbita po lasach okolicznych. Tylko mała garstka uszła w popłochu z trzykroć postrzelonym dowódcą Kantemirem.

W pogoni za rozbitkami zagnało się rycerstwo polskie aż do kosza z jeńcami, dla których niewola pogańska skończyła się tym razem na szczęście już w granicach własnego kraju. Scenę spotkania się wybawców z wybawionymi odmaluje najlepiej jeden ze świadków naocznych, spółuczestnik tego jedyne go w swoim rodzaju odgromu dzieł.

„Od południa, mila od Dniestru począł się kosz, niezliczona rzecz ludzi obojój płci, bydła, koni, stada owiec, które na gospodarstwo pędzili. Pełno było po polach dzieci, niewiniątek i niemowlątek odbieżanych, które tylko płaczem krzyczały. Zaczęły się więźniów naszych, szlachcianek i pańienek szlacheckich procesye, i tłumy bardzo gęste różnej kondycyi i wieku ludzi około Krosna i Przemyśla pobranych, przez trzy mile *continue* z płaczem idących. Wielki tam żal był z pociechą zmieszany, gdy ci ludzie znowu na świat porodzi, z prostoty swojej krzyżem przed nami padając, różne błogosławieństwa nam dawali. Sprzętami zaś domowemi nietylko ludzi ubogich ale i szlacheckimi, a nawet aparatami kościelnymi, cokolwiek jeno na koniu zanieść

mógł nieprzyjaciel, usłany był wszystek szlak. A plon wszystek osobliwie ludzi ubogich obojęd płci, których niezliczona rzecz na wieczną niewolę prowadzona była, temu poganinowi jako okrutnemu lwowi z paszczyki wydartą i do wolności pierwszej jest przywrócona, tak że ledwie kto u nich w niewoli został, oprócz tych, których oni uciekając ścinali i psowali, których jednak nie znalazło się więcej kilkuset na tych szlakach...“

Po wyczerpaniu ostatnich sił pogoni za resztkami pogaństwa, kiedy konie, od 26 godzin nie jadłszy, kroku już dalej ruszyć nie mogły, pozwolił sobie hetman o północy dwugodzinnego spoczynku w lesie, a rano o pierwszych zorzach udał się do pobliskiego Halicza, dla podziękowania Bogu za wczorajsze ocalenie tylu ofiar jasyru od długoletnich więzów, tylu dusz niemowlęcych od wieczystej zaguby w błędach pogańskich. Przy odgłosie dzwonów dziękczynnych, wyprawiono na rozkaz hetmana kilkadziesiąt wozów „dla pozbierania dzieci małych, których niezliczona rzecz była na miejscu pogromu, wzdłuż na całe trzy mile.“<sup>30)</sup>

Wiele z przywiezionych do Halicza dzieci, rozchwyciły natychmiast matki tameczne. Największą część zawieziono na kilkudziesięciu wozach dalej do Lwowa. Tam panowie rajcowie kazali wystawić sierotki publicznie na rynku miejskim, aby kto zechce przygarnął je za swoje. Czémprędzej rzuciły się tłumy mieszczanek i mieszczan do wozów z niemowlętami i rozebrali je między siebie. Czuwano tak troskliwie nad dolą dziątek, że o jakieś pacholę urodziwe, zabrane przez osobę posądzoną o konszachty z żydami, srogi tumult powstał na rynku. Wyrwano dziecię z rąk podejrzanych, a mniemanego spółnika żydowskiego i jego obrońców nielitościwie poszturchali pacholcy miejscy<sup>31)</sup>.

Przez znacznych rodziców przygarnięte sierotki urastały po największej części do wcale innych losów, niż im przeznaczone były od urodzenia. Nie mało dzieci pańskich poszło na wychowanie i całe dalsze życie w progi ubóstwa, wiele zrodzonych do biedowania pod ubogą strzechą wieśniaczą, znalazło niespodzianie przytułek w dostatnim domu mieszczańskim. Ileż to scen niespodzianego później spotkania się rodziców z dziećmi utraconymi odgrywać się mu-

siało po dziwnej zmianie losów, przy teraźniejszym wyzwoleniu z więzów pogańskich!

Niewola pogańska jak w tylu powyższych przykładach tak i w razie obecnym najswawolniejszą igraszkę czyniła sobie z losów i uczuć ludzkich. Jeden z braci tegoż samego poddasza rodzinnego uszedł przypadkowie jasyru i chował się dalej w gnieździe rodzinném; drugi przez całe życie błakał się niepoznany w własnej ojczyźnie; brat trzeci mimo odgromienia pewnej ilości jeńców, pozostał w ręku pogaństwa i w seraju sułtańskim rósł później na iczogłana, na baszę.....

Tymsamym napadem tatarskim r. 1624, uprowadzony został, jak niektórzy mniemają, syn szlacheckich rodziców z okolic Lwowa, który w latach następnych odznaczył się jako muzułmanin w rzędzie pierwszych urzędników i uczonych tureckich. Według własnych wspomnień dziecięctwa, nazywał się on Wojciech Bobowski, a sprzedany przez Tatarów do seraju cesarskiego w Stambule, oddał się tam z woli starszych zawodowi tłumacza. Przyswoiwszy sobie z wielką łatwością 18 języków, został dragomanem cesarskim, otrzymał stopień beja i słynął odtąd w dyplomacji tureckiej jako powszechnie od Turków i Chrześcijan szanowany Hali bej Polak.

W nazbyt dorosłym wieku w niewolę wzięty, aby postradać miał wszelkie wspomnienia pierwotnej religii chrześcijańskiej, dość wczesnie poturczony, aby miał być oprzecz się stale odstępstwu, pozostał Bobowski na całe życie smutnym zlewkiem sympatyj chrześcijańskich z nałogami muzułmańskimi, nader oziębłym Turkiem i jeszcze wątpliwym Chrześcijaninem. Wysługując się z kolei obudwom wiarom, ułożył Hali bej wiele xiąg w języku tureckim dla użytku Mahometanów i Chrześcijan. Uczonym tureckim pozostało po nim kilka szacownych rozpraw o zwyczajach islamu i urządzeniach wewnątrz seraju cesarskiego, miłośnicy chrześcijańskich intencji jego pióra cenią sobie przełożony przezeń katechizm anglikański, takż przekład Pisma świętego,

wreszcie tłumaczenie sławnych ćwiczeń Komeniuszowych w różnych językach.

Największa część pism Bobowskiego rozeszła się po odległych krajach europejskich, i spoczywa teraz w zbiorach manuskryptów oryentalnych w Paryżu, Londynie, Leyden i Wiedniu. W roku 1661 przesłał Bobowski przez posła polskiego Szumowskiego bardzo poważany rękopis turecki treści prawniczej w darze dla kolegium oo. Jezuitów we Lwowie. Umarł w kilkanaście lat później, około roku 1676. Wielorakie stosunki z uczonymi europejskimi a zwłaszcza Anglikami pozostawiły nie mało wzmianek o nim w różnych pismach owego czasu <sup>32</sup>).

Za pobytu Wojciecha Bobowskiego w seraju ucieszyło stolicę sułtańską nader wspaniałe widowisko jasyru z Lechistanu. Wprowadzono w tryumfie córkę hetmana polskiego w towarzystwie stu przednich panów korony polskiej. Tak przynajmniej całe miasto stołeczne, tak sam cesarz Murad i wszyscy urzędnicy dworu mniemali.

Przysłużył się Stambułowi tym widokiem ów z namiestnika Erzerumu rządca Oczakowa Abaza-basza, niegdyś Iwaszko. Wystawieni teraz przezeń na widok jeńcy polscy mieli być świetnym łupem jego wyprawy pod Kamieniec w roku 1633. Byłto łup niewątpliwie, ale nie równie mniéj świetny niż się zdawało. Napad Abazy w granice ziemi ojczystej nie przyniósł, jak wiemy, żadnych korzyści. Przyczyniwszy się radą swoją do rozpalenia wojny między Portą a Polską, nie umiał Iwaszko poprzec jej należyte orężem. Skończyło się na bezskutecznych utarczkach z hetmanem Koniecpolskim i odnowieniu dawnych traktatów z Polską.

Im skromniejsze tedy były owoce wojny, tém świetniejszemi pozorami wypadło upiększyć niepowodzenie. Kazał więc Abaza-basza spędzić przed siebie wszystką czeredę pojmanych w okolicy Kamieńca chłopów, aby ich wiadomym obyczajem pogańskim przestroić w bejów. Znajdowała się pomiędzy jeńcami pewna liczba kobiet i dziewcząt, w których gronie jedna gładszego lica pauienka. Tę

podobało się Abazie udać przed sułtanem za córkę hetmana lechskiego Koniecpolskiego, lubo hetman w. koronny nie miał bynajmniej córki. Została tedy w przepyszne odziana szaty, otrzymała kilka towarzyszek niewoli do posługi, i w bogatym wozie Abazy-baszy wjechała do Carogrodu.

Z pomiędzy reszty pospólstwa wybrano stu chłopów dorodniejszych, których podobnież ustrojono po pańsku. Tę całą drużynę pojmanych bejów polskich z mniemałą córką hetmańską i kilkuset głowami ściętego pod Kamieńcem pospólstwa wprowadził basza w tryumfalnym pochodzie w bramy Stambułu. Dalsze losy naszych Kamienieckich ofiar niewoli i omamień pogańskich są tylko w części wiadome. Przebrani za panów chłopci musieli złożyć dziwnie krwawą daninę u nóg sułtańskich. Kazano im zabrać owe ścięte łby z pod Kamieńca, i przedstawiono wszystkich z tym bisurmańskim podarkiem padyszachowi. Rozgniewany na Polskę sułtan kazał do złożonych przed sobą głów przydać także głowy bejów niosących. Fałszywa hetmanówna zapewne łagodniejszego doznała losu. Nie wiemy przecież na prawdę co się z nią stało <sup>33</sup>).

Wyprawiane w ten sposób kuglarstwa pogańskie przeplatane bywały często rzeczywistemi zwycięstwami i tryumfami. W piętnaście lat po uprowadzeniu mniemanej córki hetmańskiej trzymało pogaństwo krymskie dwóch prawdziwych hetmanów polskich w jasyrze. Byli nimi hetman w. koronny Mikołaj Potocki i hetman polny koronny Kalinowski, wzięci pod Korsuniem przez Tatarów i owego w niewoli pogańskiej pokmotrzonego z pogaństwem kozaka, Chmielnickiego.

Prócz hetmanów obudwóch oddał zwycięzki herszt kozactwa sprzymierzonym z sobą Tatarom bardzo wielu innych pojmanych panów polskich, których okupem mieli Tatarzy wynagrodzić sobie trudy swego przymierza z Kozakami. Zakosztowali teraz jasyru rzeczywiści magnaci jak Sapiehowie, Sieniawscy, Kazanowscy z tysiącem szlachty zamóżnej i uboższej. Na całą Polskę ozwały się z za Pere-

kopu gorące prośby o wybawienie z niewoli, rozbiegły się po wszystkich stronach listy z żądaniem okupu. W chórze tych błagalnych głosów z ziemi niewoli ciekawą może będzie usłyszeć jeden, dający bogdaj niedokładną miarę ponoszonych w jasyrze cierpień, używanych niekiedy środków ratunku, ciężkich wreszcie niepokojów z powodu ciągłej burzy w ojczyźnie. Jestto list pojmanego u Żółtych Wód piasarza polnego litewskiego Jana Sapiehy, w te słowa:

„Przez te wszystkie czasy od wpaścia mego w to ciężkie *infortunium* niewoli pogańskiej nie mogłem być tak szczęśliwym, abym lub wiadomość jaką pewną o dobrém zdrowiu i szczęśliwém powodzeniu WMPana i Dobrodzieja mógł mieć, lub téż listownie z zwykłą usługą moją za podaniem się pewnej okazji mógł się oddawać. Przyczyną tego zawsze był częścią niedostatek okazji takowych, przez któreby się bezpiecznie dyrygować mogło, częścią téż ostrość i ścisłość więzienia naszego, a nadewszystko diffidencya pogańska, którzy z ustawicznej podejrzliwości i moment najmniejszy obserwując, wszelką nam prawie możność przez te okazy porozumienia się między nami odjęli, że luboby się sposób obmyśleć jaki mógł, w takowym terminie żaden tentować i próbować szczęścia nie śmiał. Teraz troszeczkę za wyjściem przez okup pana Horodeńskiego uśmiechnęła się nam fortuna. Dla prędszej bowiem wygody swój, aby tém spieszniej z okupu naszego cieszyć się mogli, każdemu o zdrowiu swém aby oznajmił i staranie przez listy oswobodzenia swego czynił, pozwolili. Zaczém i ja już pewniejszej nie czekając, raz tę, którąm cale konsekrował, z rąk pogańskich przez to pisanie składam usługę, i Pana Boga mego o to proszę, aby WMością samym i zdrowiem się WMPana i Dobrodzieja w późny wiek opiekował.... Co się tćnie powodzenia mego oznajmuje, iż u Karazmurzy w niewoli siedzę, który lubo ma tę sławę, iż żaden Krym junaka lepszego nie ma, tak się jednak zemną obchodził (nim ściślej do docierania kontraktu naszego przychodziło, bo od dziesiątka tysięcy, na których się on *ultimarnie* zasadził talarów twardych, na 9 już z biedy pozwoiliwszy, o jeden się ostatni opieram) iż przysmaku takowego nie masz, jakowemi więc bracią naszą w niewoli tyranizować zwykli, którego by mię

poczesna nie doszła. Były okowy ciężkie, głód, więzienie rozmaite—to jednak wszystko znośniejśmby było widząc, iż nas Pan Najwyższy w takowém szczęściu mieć chciał, gdyby nas wieści o rzeczach w ojczyźnie naszej w coraz gorszą idących nie dochodziły. Zgoła zkąd wszystka nadzieja okupu naszego była, tam teraz wszystko brzemie wojny na ten kraj się obaliło, zkąd wielu braci naszych słysząc to, wszelką nadzieję powrócenia się utraciwszy, do takowej rezolucyi przyszło, iż sami *ultro* za morze bezpieczniej w tureckich niż w tatarskich ręku spodziewając się doznać fortuny, pouchodzili. Mnie samego szczególnie jedna nadzieja o miłościwój WMPana i Dobrodzieja łasce zatrzymywa, że jako Dobrodziej mój w tym ciężkim razie (o co uniżenie proszę) nie zechcesz mi odmówić, ale zaratowawszy do czasu z szkatuły swój, po łasce bożej to sobie windykujesz, żeś mię drugi raz na świat wydał. Nie wątpię nic, że i sam afekt braterski i wrodzona klemencya, którąś zwykł zawsze ludziom w takim nieszczęściu jakom ja teraz będącym hojnie oświadczać, będzie do tego powodem, że mi w téj mierze ręki podać nie denegujesz. Najwyższy, ten tak pobożny i miłosierny WMPana i Dobr. uczynek, wysoką zechce rekompensować nagrodą, a ja z dziatkami memi dożywotnie odslugiwać i jeżeli Bóg wyniesie, jak najprędzej uścić się winien zostanę. Którego się natenczas łasce, jako Dobrodzieja mego pilnie oddaję. Dan w Krymie ze wsi z Dairu 5 września roku 1648“<sup>34)</sup>.

Po kilkunastu miesiącach nadeszły zażądane sumy okupu, które przynajmniej głównym jeńcom koronnym dozwoliły wrócić do domu. Jak na owe czasy były to sumy niezmiernie wielkie, a czasem niepodobne zgoła do uzbierania. Za hetmana w. kor. Potockiego kazali Tatarzy wyliczyć sobie 100,000 czerwonych złotych, za hetmana polnego Kalinowskiego dwakroć tyle, za innych panów po 100,000 talarów. Najwyżej oszacowany Kalinowski obowiązał się Nurreddynowi sułtanowi doliczyć później resztę niedopłaconego okupu.

Wzięty pod Korsuniem młody Sieniawski osobliwszym przykładem bezinteresowności tatarskiej otrzymał wolność bezpłatnie, ponieważ jego uwiecziciel Tohajbej, pojmany nie-

gdyś od ojca młodego Sieniawskiego, podobnież bezpłatnie wypuszczonym został na wolność z Brzeżan. Nagromadzone z drogich okupów skarby, w nieznanym dotąd stopniu wzbogaciły ubogie pogaństwo krymskie. „Ci sami, którzy do niedawna nie mieli innej odzieży nad smrodny kozuch“ — czytamy w ówczesnych wspomnieniach o Tatarach <sup>35)</sup> — „dziś łupami i jeńcami polskimi ubogaceni, w kosztowne futra i kosztowne suknie się stroją.“

Niektórzy pohańcy przenosili posiadanie jeńca nad bogaty za niego okup, kierując się zwyczajnym zabobonem Tatarstwa, iż jeniec chrześcijański przynosi szczęście domowi. Toż prawie każdy Tatarzyn posiadał brańca lub brankę polską, których sprzedaż w razie potrzeby zapewniała gotowe zawsze błogosławieństwo brzęczące. Cały półwysep krymski — narzekają ówczesne głosy polskie — „spolszczał od jeńców polskich.“

Lubo nie pozostały obszerniejsze opisy niewoli w ziemach pogańskich, mnożą się piśmienne wzmianki o jednoczesnym pobycie wielu, najdziwniejszymi przygodami miotanych brańców i branek w Krymie, Carogrodzie, w najdalszych stronach Wschodu. Dla przykładu kilka rysów tej pogańsko-dziwotwornej mozaiki losów jasyrowych w tej porze.

Porwano wiele szlachty z pod Żółkwi. Między innemi także pannę Zabokrzycką, córkę zacnych rodziców. Miała się nieboga dostać do Krymu, i tam też wyprawia się po nią z okupem żółkiewski kupiec Almazy. Ale panny Zabokrzyckiej nie ma już w Krymie, wywieziono ją do Stambułu. Za morze więc do stolicy płynie za nią wysłannik i znajduje szczęśliwie brankę. Po wyliczeniu okupu właścicielowi wracają oboje razem do Żółkwi <sup>36)</sup>.

Mniej szczęśliwymi byli państwo Kochowscy z Sędmierskiego. Tym orda z pod chorągwi panów Koniecpolskich porwała syna, niezwykłych wdzięków i przymiotów młodzieńca. Brat to stryjeczny historyka i poety Wespazjana Kochowskiego, który wraz z rodzicami zasięga zewsząd wiadomości o losie jeńca. Mijają przecież lata, a o młodym Aleksandrze Kochowskim żadnej wieści, żadnego śladu



w Krymie. Nakoniec po kilkuletniej niewoli wraca z jasyru chorąży Sokołowski i ma pewną o nim wiadomość. Razem bowiem na tej samej galerze przez lat cztery dźwigali więzy, które teraz obudwom już nie ciążyą. Młody Alexander uległ katuszom, ale uległ jedynie ciałem. Ani słowa o uwolnieniu się zmianą wiary mówić sobie nie dawczy, umarł wiernym chrześcijaninem <sup>37)</sup>.

W tej samej porze jedna z uboższych rodzin ukraińskich oczekuje powrotu uwiezionej w niewolę krewnej, niewiasty już niemłodej, a ona za murami haremu sułtańskiego w łaskach u chana Islam Gireja. Zapewne nie tyle w łaskach dla swoich wdzięków, jak, że umie przyprawiać wyborne likwory i gorzałki, któremi sułtan Islam rad się upija. Ale ponieważ przeniewierca Giraj zaczyna teraz odstępować braterstwa z Siczą, więc ujmują Kozacy sekretnie chańską zaprawiaczkę likworów, aby mu trucizny nasypała w kieliszek. Ukrainka podjęła się zlecenia. Islam Giraj umarł rozsadzony trucizną <sup>38)</sup>.

Cnotliwszym od tej branki szlachcic z Rusi Stanisław Dostojewski, do niedawna jeniec turecki. Doczekawszy się za łaską bożą powrotu w strony rodzinne, spieszy podziękować cudownemu obrazowi Matki Boskiej w kaplicy przy kościele katedralnym we Lwowie i dwoje srebrnych kajdan przywozi z sobą w ofiarę. Do różnych cudownych obrazów zasyłał modły o ratunek z niewoli, ślubując każdemu dwoje srebrnych kajdan za uwolnieniem, a nie mógł nigdy odnieść pociechy. Dopiero gdy się ofiarował Najświętszej Pannie w kaplicy lwowskiej, natchnęły mu niebą szczęśliwy środek ucieczki. Przynosi więc kajdany ślubowane i ze łzami wdzięczności zawiesza je u obrazu <sup>39)</sup>.

Czemuż nie dano było ocaleć Aleksandrowi! wzdycha w swojej kronice stryjeczny brat Kochanowski. A gdy właśnie kreśli te słowa, staje przed nim jakiś człowiek zgnęzniały, z długą na piersiach brodą, w grubiej odzieży. „Czyż mnie nie poznajesz Wespazyaniel!“—woła żałośnie. Historyk nie umiał poznać witającego. „Toćto ja twój stryjeczny brat Jakub, wzięty od Tatarów pod Botuszanami w Wołoszech. Już temu lat szesnaście! Strasznie cierpiałem w niewoli, ale oto zlitował się Pan Bóg nademną“. Uczony Wспа-

zyan powiódł suchém okiem po jeńcu, w którego postaci nie przypominał mu się bynajmniej dawny młodzieniec Jakub, i rzekł z ubolewaniem: „Cóż ci za tyle cierpień da w nagrodę ojczyzna?“ — „Dość mi żem wolny“ — odpowie jeniec <sup>40)</sup>.

Nieco później jakaś trzecia niewolnica polska żyła w łaskach u dworu chana Kirym Giraja i otrzymała odeń po śmierci piękny grobowiec w ogrodach Bakeczysaraju. Powszeczne mniemanie pogan widziało w niej córkę możnego domu Potockich — zapewne równie fałszywie, jak w owęj brance kamienieckiej widziano córkę hetmańską.

Pełno takich wzmianek w kronikach i pamiątkach ówczesnych \*). I mnożyły się one tém liczniej, im częściej teraz grasowało Tatarstwo po ziemiach polskich. Tuż po zagonach korsuńskim, zborowskim, beresteckim, nastąpił krwawy zagon batowski, przypłacony przez Polskę zgubą pięciu tysięcy najszlachetniejszych jeńców koronnych. Głowę zabitego hetmana Kalinowskiego kazał Nureddyn sułtan zatknąć teraz na drzewcu i obnosić po obozie wołając: „Nie dopłacił sułtanowi okupu“. Którym z najpierwszych domów polskich nie przyszło jeszcze nigdy doznać ciosów ręki pogańskiej, te od pogromu batowskiego nauczyły się płakać na pogan.

Oprócz wszystkich owych przysmaków krymskich, jaskierni jasyr udręczyć mógł jeńców batowskich, oprócz oczekującej ich śmierci na galerach albo od miecza, dojechała niewola pogańska tym razem całemu narodowi może najsroższym bo najtrwalszym i najwymyślniejszym ze swoich bólów, t. j. bólem śmiertelnej niepewności o właściwym losie ofiar tatarskich. Gruchnęły najdziwaczniejsze wieści o wziętych pod Batowem ojcach, mężach i synach, wszystkie w najwyższym stopniu niepewne. Opowiadano sobie mianowicie, iż Tatarzy zaraz na pobojuwisku wyprzedali jeńców pol-

---

\*) „W Dagestanie Struys napotyka w niemałej liczbie Rusinów brańców, użytych do obracania kół młyńskich. Kolbert wykupując w Stambule zakupionych na rynkach Krymu, zatrudnia nimi swoje galery w przekonaniu, jakoby jeszcze spełniał chrześcijańskie dzieło.“ — Biblioteka Warszawska 1861. I. 116.

skich Kozakom, od których wszyscy okrutnie wymordowani zostali.

Nie było w tém przecież żadnej pewności. Inne głosy donosiły o uprowadzeniu jeńców przez Tatarstwo do Krymu, a wieloletni zwyczaj takiegoż postępowania ordy z plonem wojennym skłaniał powszechnie do wiary w zachowanie jeńców przy życiu i przyszły kiedyś powrót do domu. Urosły ztąd zamęt najopaczniejszych wieści i mniemań dał wreszcie powód do jednego z najosobliwszych złudzeń imaginacyi, na jaką niewola pogańska narażała już to samych jeńców pod niebem bisurmańskim już to utęskniającą za nimi przez długie lata rodzinę w domu.

Mało która z ofiar klęski batowskiój wzbudziła tyle żalu w kole rodzinném co oboźny koronny Samuel Kalinowski, syn hetmana polnego koron. Marcina. Miał on od niedawna za sobą córkę zmarłego wielk. kanclerza Ossolińskiego Urszulę, najgorętszém uczuciem przywiązaną do męża. Wraz z całym pocztęm rycerstwa wzięty od Tatarów, uległ młody oboźny koronny ze wszystkimi temuż samemu losowi niepewności. Jak o wszystkich tak i o nim pozostało rzeczą wątpliwą, czy poległ w bitwie otwartój, czy uprowadzony został w niewolę, czy nareszcie według pogłoski zginął zaprzędany Kozakom.

Dla uśmierzzenia niezwyczajnej boleści pani oboźnej koronnej zmyślili przyjaciele i lekarze wiadomość, iż małżonek żyje z pewnością w Krymie i wygląda nadesłania okupu. Uszczęśliwiona małżonka zajęła się czémprędzej przygotowaniem jak największej ilości złota, a tymczasem wysłała posłów do Krymu, aby uspokoić w téj mierze męża. Wrócili oni nie widziawszy się wprawdzie z oboźnym, ale przynieśli nadspodziewanie pomyślną wieść, która w najwyższe zadziwienie wprawiła przyjaciół pani Kalinowskiój. Pan oboźny koronny w istocie żył i według upewnienia Tatarów miał przybyć niebawem do swego miasteczka Husiatyna. Odstawi go tam jego terazniejszy właściciel krymski i otrzymawszy pieniądze okupowe, wróci jeńca rodzinie.

Nowina o rychłym wyzwoleniu ulubionego powszechnie oboźnego przejęła radością całą przyjazną i pokrewną mu ziemię podolską. Rozniosła się ona nawet po konsystującém

w pobliżu wojsku koronném i pobudziła kilku byłych rotmistrzów oboźnego do pospieszenia naprzeciw wracającemu z niewoli towarzyszowi. Bardzo wielu przyjaciół i koligatów wybrało się w oznaczonym terminie do Husiatyna, aby powitać uwolnionego bratanka. Zgromadziły się nareszcie w Husiatynie ze wszystkich dóbr Kalinowskiego liczne gromady wiejskie, utajone do niedawna przed Tatarami po lasach, a teraz na wieść o powrocie pana garnące się zewsząd naprzeciw niemu. Wszystko z największą niecierpliwością oczekiwało w Husiatynie nadciągnięcia orszaku krymskiego z jeńcem i wielce się też ucieszyło, gdy go już oznajmiono w pobliżu.

Nadciągało też w samą rzecz Tatarstwo, ale bez pana oboźnego, gotowe do rozpuszczenia zagonów po okolicy. Wsunawszy się bezpiecznie pomiędzy tłumy świąteczne, rzucili się pohańcy na lud bezbronny i z tysiącem porwanych z nienacka jeńców ulecieli cwałem do domu. Cała wiadomość o zachowaniu i powrocie oboźnego okazała się umyślną bajką tatarską, mającą zgromadzić liczny orszak przyjaciół i ludu w Husiatynie na łup nadciągającej od Perekopu drużynie z jeńcem mniemanym. Niepocieszona oboźna nie odzyskała małżonka a utraciła niemal ludu. Znajdowali się pomiędzy jeńcami husiatyńskimi dwaj rotmistrze Samuela Kalinowskiego, panowie Chlebowski i Sułowski. Uwiezieni do Krymu, musieli przez dwa lata pracować nad swoim wykupieniem z niewoli <sup>41</sup>).

---

Takie zuchwalstwo ordy zapowiadało coraz srozsze kłęski od pogan. Jakoż już w kilkanaście lat później cała okolica husiatyńska z większą częścią ziemi podolskiej stała się krajem tureckim. Nieszczęsne zamieszki domowe za panowania króla Michała ułatwiły pohańcom wzięcie niezdotąd dotąd twierdzy Kamienieckiej pod koniec sierpnia roku 1672. Wraz z murami Kamieńca popadły w moc Turków i Tatarów tłumy jeńców wojennych i brańców ze szlachty i pospólstwa. „Ze wszystkich kościołów twierdzy“ — donosi

jeden z listów ówczesnych pod dniem 11 września 1672 — „krzyże zdjęto i dzwony. Damy szlacheckie, których nie-mało było w Kamieńcu, a snąć urodziwych, część zabrano na samego cesarza tureckiego, część na wezyra, a ostatek na baszów“<sup>42)</sup>.

W miesiąc później wzmogła się niezmiernie ta liczba niewolnic i niewolników pogańskich, gdy towarzysząca cesarzowi tureckiemu orda hana krymskiego uderzyła z pod Buczacza mnogimi czambułami w dalszą głąb' Polski. Kilka-naście zagonów pod wodzą kilkunastu murzów i sułtanów tatarskich, razem około 60,000 barbarzyństwa, rozniosło niewolę i pożogę aż po Zamość, Jarosław i Pogórza sanockie. Ku odparciu tak znacznej siły łupieżkiej, ku odparciu całej potęgi ottomańskiej pod Kamieńcem i Buczaczem, miał hetman w. koronny Jan Sobieski mało co nad półtrzecia tysiąca kwarcianego żołnierza, a wrogie hetmanowi pospolite ruszenie powolnym krokiem wybierało się z domów.

Nie pozostało więc nic innego szczupłej garstce hetmańskiej jak uniknąć wszelkiego zbliżenia się ku olbrzymiej nawale wojsk tureckich, z grasującymi zaś czambułami krymskimi spróbować po zwyczaju fortuny wojennej w najnie-dogodniejszej dla nich porze, t. j. w odwrocie z jeńcami i zdobyczą. Dokonał tego Sobieski z bezprzykładnym szczę-ściem w swojej tak zwanąj ekspedycyi Kałuskiej, której bo-haterskie wysilenie jednym promieniem odkupienia rozświe-ciło terazniejszą porę sromoty i niedoli.

Dnia 7 października wpadł hetman na jeden z od-działów tatarskich pod sułtanem Dziambet Girajem w po-bliżu miasteczka Niemirowa, i rozgromiwszy wielokrotnie liczniejszą zgraję pogaństwa, odbił do 20,000 niewolników z za Przemyśla i Jarosławia. Już drugiego dnia po wy-granej Niemirowskiej ujrzały go grzęzkie błonia Komarna zavalone ogromnym koszem tatarskim pod wodzą Nura-dyna sułtana na czele przeszło dwudziestotysięcznej ordy. Po zupełnem onęj zniesieniu, około 40,000 szlacheckich i nie-szlacheckich jeńców od Sanoka i Krośna odzyskało szcze-śliwie wolność.

W pięć dni później znalazł się hetman u miasteczka Kałusza, gdzie za rozbiciem sułtana Hadzi Giraja z 15,000

pogaństwa własnego i niedobitków Nuradynowych najświetniejsze padło zwycięstwo, uwieńczone wyzwoleniem przeszło 30,000 jeńców. Było pomiędzy nimi niezmiernie wiele dzieci różnego wieku, po troje i czworo na jednym koniu uprowadzanych. Jak niegdyś owe przez Koniecpolskiego pod Martynowem odbite do Halicza, tak obecnie przez hetmana Sobieskiego oswobodzone dzieci zostały odstawione na wozach do Kałusza.

Ponieważ pochod jeńców tatarskich zwyczajnie przeszło milową zajmował przestrzeń, a odbieżana od Tatarów działwa rozpięchła się błędnie po całej okolicy, narażona na śmierć głodową lub z niewygód późnej jesieni, przeto rozesał hetman mnóstwo ludzi dla szukania dzieci po drogach i zaroślach, naznaczając ku tém większej zachęcie pewną kwotę pieniężną od każdego dziecka znalezionej. Wszystek zwieziony do Kałusza jasyr dziecinny przeszedł na tak długo pod opiekę licznych dozorców i dozorzyn, aż póki nie zgłoszą się rodzice albo kto inny <sup>43)</sup>. Reszta jeńców dorosłych pozostała jeszcze w znacznej części przy wojsku, z obawy popadnięcia w ręce wałęsającego się ostatka hord tatarskich.

Trzymały się wojska w ten sposób osobiwie liczne gromady odbitych pohańcom niewiast i dziewcząt, które niedawno rozejść się miały handlem po wszystkich stronach Oryentu, a teraz nie wiedziały gdzie się obrócić. Kiedy szczupły obóz polski był jeszcze przepełniony takim tłumem niewieścim, przybyli do hetmana posłowie od pospolitego ruszenia, niosąc mu oznajmienie nieprzyjaznych chęci związanej właśnie przeciw niemu konfederacyi gołębskiej, mianowicie skargę o nieczynność w obec nieprzyjaciela i zaprzękanie Kamieńca. Hetman dał im posłuchanie przy wojsku między trupami.

Wprzód była msza święta w polu bez namiotu, gdyż żadnego w całym wojsku nie było. Podczas elewacyi wstał hetman, mówiąc głośno: Boże! dziękuję Ci, że mię wszechmocną ręką swoją oczyszczasz z oskarżeń nieprzyjaciół.... Wszczął się na to srogi tumult w wojsku przeciwko posłom konfederackim. I nie tylko żołnierz lecz wszystek tłum wyzwolonych z jasyru bab i dziewcząt rzucił się z okrzykiem zniewagi na wysłańców i mało ich nie udusił. Upadli

konfederaci do nóg hetmańskich wypierając się swego poselstwa <sup>44</sup>).

Któż nam opiszę dalsze losy owych w niewolę uprowadzonych „dam kamienieckich“ i tych na zawsze od progu rodzinnego rozegnianych po świecie dziatek! Co tu o dziwnych losach niewoli wschodniej podano, jest tylko kroplą z nieprzebranego morza niedoli, które rokrocznie zasilają się tylu strumieniami krwi polskiej. Największa część ofiar i przygód tej niewoli poszła z owemi damami i dziećmi w zapomnienie wieczyste albo w mylném żyje podaniu. Bardzo wielu dziećmi w jasyr uprowadzonych jeńców, później sławnych w historii tureckiej mężów, nie umiało przypomnieć sobie z pewnością, jakiego właściwie są pochodzenia. O wielu też całkiem odmienne w tej mierze panują zdania. Jedni mienią ich rodem z Polski, drudzy z Francyi, inni z Węgier lub Niemiec. Oni sami w pełni swego czynnego życia i swoich przygód najmniej troszczyli się tém pytaniem.

Do takich niedość pewnych Polaków w turbanie należy np. sławny wezyr i ulubieniec cesarza Achmeta III Ibrahim w pierwszej połowie stolecia ósmnastego. Jeden z najslawniejszych badaczy rzeczy tureckich, Niemiec Hammer-Purgstal, nazywa go w jedném miejscu renegatem węgierskim, w inném tureckiego spaha potomkiem. Przy tak niepewnych doniesieniach z źródeł tureckich nabiera wagi podanie dziejopisów francuzkich, z których poturczonym ziomkiem Bonnevałem żył w przyjaźni Ibrahim, a którzy utrzymują, że był z urodzenia Polakiem.

Porwany dzieckiem w niewolę, dostał się Ibrahim w poczet iczoglanów cesarskich, co zwyczajnie do świetnej przyszłości wiodło. W tej mierze nieszczęście więzionego w seraju potomka rodziców chrześcijańskich było w oczach ubogiego Turka szczęściem niemalém. Podczas gdy jego dzieci ze zwyczajną trudnością dorabiać się musiały utrzymania, każdy z niewolnych iczoglanów od razu najwyższych sięgał zaszczytów.

Młody poturnak Ibrahim zaprzyjaźnił się w seraju z jednym z synów cesarskich, rówieśnikiem swoim Achme-

tem. Tak szczęśliwy traf bywał dostatecznym źródłem pomysłu na całe życie. Młody cesarzewic Achmet został w r. 1702 sułtanem, a ulubieniec Ibrahim wysokim urzędnikiem przy jego boku. Niezadowolniony tym cesarz chciał go mieć koniecznie swoim krewnym. Bez troski więc o ród i pochodzenie Ibrahima ożenił go ze swoją córką, i coraz wyżej podnosił zięcia.

Nie pozostało mu już nic więcej do osiągnięcia, jak tylko urząd wielkowiezyrski. Pragnął go udarować nim sułtan, ale Ibrahim znał nazbyt dobrze niebezpieczeństwo tego zaszczytu, aby go przyjąć natychmiast. Walczyła Porta właśnie bardzo niebezpiecznie z Austryą, która jak niedawno Janem Sobieskim tak teraz innym bohaterem obcej krwi i przeszłości, t. j. sławnym księciem sabaudzkim Eugeniuszem potrafiła straszną być Turkom. Każda nowa wyprawa kończyła się klęską Turków i upadkiem wojującego wezyra. Dopiero gdy w r. 1718 powiodło się Porcie uzyskać drogo opłacony pokój w Passarowicach, skłonił się zięć cesarski do przyjęcia godności.

Dwunastoletnie rządy w. wezyra Ibrahima liczą się do najszczęśliwszych czasów cesarstwa ottomańskiego. Za Polaka poczytywany wezyr okazał się prawdziwym dobroczyńcą i odnowicielem skołatanego oddawna państwa. Mądry, łaskawy, o wszystko dbały, między innymi np. zaprowadzeniem pierwszej drukarni w Turcyi pamiętny, stał się pociechą cesarza, opiekunem narodu, przedmiotem uwielbienia dziejopisów społecznych i dzisiejszych.

To wszystko atoli nie uchroniło go od zwyczajnej katastrofy ulubieńców fortuny wschodniej. W roku 1730 wybuchło nowe powstanie pułków janczarskich, domagających się po zwyczaju zmiany cesarza i jego rady. Małoduszny Achmet chciał ocalić się zamordowaniem czterech głównych dostojników dywanu, pomiędzy którymi był także zacny Ibrahim. Uduszony wraz z kolegami swoimi, zginął na próżno. Rozuzdane żołdactwo nie uspokoiło się pierwój, aż póki cesarz Achmet nie złożył berła.

Lubo zapewne żadna łza spłynęła w Polsce po Ibrahimie, był przecież powód żałować jego śmierci. Łaskawe albo niełaskawe usposobienie panujących wezyrów



oddziaływało coraz więcej na los jeńców polskich na Wschodzie. Zależała od tego mianowicie większa lub mniejsza pomyślność usiłowań pobożnych, czynionych temi czasy w Polsce około umniejszenia cierpień więzów pogańskich. Przyszło bowiem nareszcie do obmyślenia ze strony Rzeczypospolitej jakiego takiego ratunku porywanym w niewolę synom. Nastąpiło zgromadzenie osobne, zajmujące się wykupywaniem jeńców z niewoli. Za czasów cnotliwego wezyna Ibrahima powiodło się zgromadzeniu odnieść najpomyślniejsze owoce swoich trudów. Przydajmyż jeszcze wzmiankę o tych trudach błogosławionych.

W niespełna pięć lat po oswobodzeniu Wiednia przez króla Jana III, na wiosnę r. 1688, odbyła się we Lwowie nieznaną dotąd procesya uroczysta, która całe miasto radośnem przejęła zadziwieniem. Przy odgłosie pieśni pobożnych i wszystkich dzwonów kościelnych postępowali przez rynek od bramy halickiej ku krakowskiej dwoma rzędami oo. Karmelici i Trynitarze. Pomiędzy nimi na przemian z zakonnikami szli jacyś ludzie ubodzy, w podartej odzieży, o znękanych długim cierpieniem licach — jeden staruszek szlacheckiego wejrzenia, dwóch mężów w dojrzałym wieku, dwóch młodzieńców i dwie kobiety, młodsza z dzieckiem na ręku.

Byłto pochód ośmiu oswobodzonych z niewoli pogańskiej jeńców, których nowo zaprowadzeni we Lwowie Trynitarze wykupili świeżo od baszy tureckiego w Kamieńcu, i pierwszym tego rodzaju obrzędem wprowadzili do swego klasztoru przy ulicy krakowskiej. Ten sam oswobodziciel wielu tysięcy jeńców w ekspedycji kałuskiej, któremu odtąd dano było oswobodzić ojczyznę od sromoty pokoju buczackiego a całe chrześcijaństwo od wiszącej nad Wiedniem burzy pogańskiej, zapragnął teraz przynieść nieustającą ulgę więzom pogańskim i przywołał w tym celu do Polski zajętą wykupywaniem niewolników bracię zakonu trynitarzkiego. Jakoż stało się zadość szlachetnemu życzeniu i ośmnastu

razy odtąd powtarzała się we Lwowie podobna procesya nowo wykupionych przez Trynitarzy jeńców.

Przy dalszych obrzędach redempcyjnych występowało nierównie więcej ofiar oswobodzonych, niekiedy do pięćdziesięciu i sześćdziesięciu. Każdy z tych obrzędów był jedną nową kartą téj smutnej powieści o niewoli pogańskiej, która przez kilka ostatnich wieków naszej historyi tak nierozzerwanie spletała się z powieścią o wojnach tatarskich i tureckich. Ledwie téż niekażdy akt wprowadzenia nowowykupionych jeńców do stolicy ojczystej miał charakter odmienny, oryginalny, wysoce zajmujący. I tak np. procesya redempcyjna w roku 1720 była przeważnie procesją dzieci. „Na czele 26 jeńców w podeszłym wieku, po większej części szlachty wykupionej po kilkudziesięcioletniej niewoli, postępowało ośmnaścioro dzieci obojg płci po 4, 6, 10 i więcej lat. Byłyto sieroty zmarłych w niewoli rodziców, wyrosłe w zupełnem zaniedbaniu, bez chrztu i wiadomości o Bogu.“

Mało co późniejsza procesya wyzwoleńców z r. 1724, najświetniejsza ze wszystkich, bo za rządów owego łaskawego wezyra Ibrahima podjęta, składała się głównie ze starców, wykupionych z długoletniej niewoli w odległych stronach Oryentu, najczęściej od wiosła na galerach. „Stawali wówczas na ziemi ojczystej starcy zgrzybiali, którzy ją opuścili w młodości— wracali ludzie w wieku podeszłym, którzy jęj wcale nie znali, ile że jeszcze w dziecięcych latach uprowadzeni w niewolę, mogli chyba jak najciemniejsze wspomnienia zachować o swoich stronach rodzinnych. Dokładne sprawozdania pamiętników trynitarских obeznawają osobiście z temi ofiarami czasu onego.“

Na czele tegorocznej procesyi starców postępował 90 letni staruszek a 48 letni niewolnik Stanisław Komorowski z Sieradzkiego, przed blisko pół wiekiem porucznik z pod chorągwi pana Służki, pojmany pod Kamieńcem wraz z żoną Jadwigą, która teraz równie zgrzybiałą staruszką wracała z mężem do kraju. Pomimo znakomitego imienia i niepośledniego stopnia w społeczeństwie kosztują oboje staruszkowie ze względu na blizką chwilę śmierci zaledwie tyle co jeden prosty parobek, bo tylko tysiąc złotych. Co

do starszeństwa niewoli przodkował 70 letni starzec Wierzbicki, syn szlachecki z Podola, porwany w 18 roku życia, niewolnik od lat 52.

Pod ich przewodnictwem ciągnęli niemniej sędziwi towarzysze Białokrynicki Jan, wieku lat 80 niewoli 6 — Alexander Jabłonowski, niegdyś rotmistrz z pod chorągwi pana starosty brańskiego, wieku lat 76, niewoli 44 — Marcin Kowalewski, niegdyś kapitan w pułku marszałka koronnego Lubomirskiego, tyluż co poprzedni lat wieku i niewoli — Jan Zawadzki z Sieradzkiego, towarzysząc z pod chorągwi xiędza biskupa płockiego Madalińskiego, wieku 73 niewoli 44 lat — Stefan Brewicki z ziemi przemyskiej, Sebastian Żorawski z Sandomierskiego, Sebastian Margaszewski z Sandomierskiego, Szymon Żak niegdyś trębacz z pod chorągwi Sieniawskich — wszyscy 70 letni starcowie, po 36, 40, 48 lat niewoli. Młodszy od nich, bo tylko 60 letni wyzwoleniec Antoni, uprowadzony dziecięciem, nie wiedział wcale jak się nazywa, czy szlachcic lub nie szlachcic? w której stronie dom miał rodzinny? Jego 50 letni druh Jan, w również chłopięcym wieku porwany w jasyr i zaprzędany do Carogrodu, wiedział że się nazywa Zaleski, lecz jakże w tém nader gęstém imieniu znaleźć swoich własnych z przed pół wieku Zaleskich? <sup>45</sup>). Trzydziestu takich na wpół nieświadomych przeszłości swojej starców wróciła redempcyja ni-niejsza dawno zapomnianym stronom rodzinnym.

Szczęśliwym ich powrotem do ojczyzny zamknijemy naszą smutną powieść o niewoli pogańskiej. Odbłyło się wprawdzie jeszcze kilka wypraw po jeńców, ale jak wszelkie w ogóle czynności zakonu trynitarского w Polsce tak i te prace ostatnie nie wydały nazbyt bogatych owoców, a czasy na szczęście coraz mniej potrzebowały redempcyi. W jednym i tym samym roku 1783 zdarzyła się ostatnia pielgrzymka trynitarская i nastąpiło opanowanie Krymu przez Rosyę. Pod wojennym rządem nowych chrześcijańskich zdobywców przyszło Tatarom zapomnieć na zawsze o ponowieniu dawnych łupieży na ziemiach polskich. Prawie też jednocześnie okazało się coraz widoczniejsze podupadnięcie potęgi ottomańskiej i zamknęła się Turkom podobnie na wszystkie czasy droga przez Dniestr. W półszósta wieku po pierwszym po-

jawieniu się Mongołów u wschodnich granic Polski—w trzy wieki od pierwszych wypraw tureckich ku ziemiom naszym—ustała niewola pogańska dla Polaków.

Przeszło pół tysiąca lat grasowała ona śmiertelnie w plemienu polskim, a już kilkadziesiąt lat dalszych zatarło prawie do niepoznania jój pamięć. W porównaniu z niezliczonymi klęskami dawniej plagi tatarskiej czémże wszelka dzisiejsza wiadomość o niej! Nietylko szczegółowe rysy ponoszonej przez tyle wieków niedoli, nietylko dziwne nieraz losy i przygody pojedynczych jój ofiar, ale nawet najogólniejsze znamiona całej plagi pogańskiej poszły nieznacznie w zapomnienie. Komuż np. z mniej odczytanych przyjaciół naszych wiadomo, iż najpożądańszym łupem tatarskim były kobiety—że obok kobiet porywano niezmiernie wiele dzieci, że Tatarzy za lepszych czasów swoich sprzedawali w Stambule corocznie 20,000 niewolników, po największej części z Polski? <sup>46)</sup>

Zabliźniona od pewnego czasu rana pogańska, jak blizna na czole wojownika służy raczej za jakąś poetyczną ozdobę naszej przeszłości, niż za przedmiot badawczego zmierzenia jój głębokiej niegdyś boleści i historycznego znaczenia. Takim zatarciem się szczegółowych rysów dawniej niedoli i niewoli pogańskiej ubywa coraz więcej gruntu najwালniejszej chlubie historii naszej—t. j. tej chlubnej a tak wdzięcznie przez wszystkie niegdyś narody uznanej zasłuzie, iż w bramach pogaństwa osadzeni, byliśmy całemu chrześcijaństwu tarczą i przedmurzem od barbarzyństwa. Puszczać bowiem w niepamięć nasze klęski tatarskie i tureckie, a lubiąc bawić się natomiast obrazami błogiej doli i swobody praojców, widokiem ich wesołego niegdyś pożycia wśród ciągłych uczt i zjazdów, zwad i sejmików,—jakże fałszywe wyobrażenie czynimy sobie o możebności i prawdziwej zasłuzi historycznej!

Myślimyż bowiem na prawdę, iż to sejmikując wciąż a uczując i zwady brojąc, byliśmy przedmurzem i tarczą Europie! Owe sejmiki i zwady ujęły owszem wiele blasku naszej przeszłości i przyszłości—a wielka zasługa obrony ludów zachodnich od grożącej ze wschodu burzy pogańskiej jak wszystkie wiekopomne zasłuzi w dziejach—urośła

i wielkich ofiar i wielkich cierpień. Krew w boju z pohan-  
cami przelana była tylko mniejszą częścią téj historycznej  
ofiary naszéj; największą część zasługi około bezpieczeństwa  
chrześcijańskich ludów od pogan położyliśmy cierpieniem,  
łzami, niewolą tylu tysięcy współbraci naszych, dziesiątko-  
wanych ustawicznie plagą pogańską.

Dlatego to zapominając ich łez, ich więzów, ich ga-  
ler, ich dziwnych nieraz przygód, zapominamy najistotniej-  
szych świadectw naszego spełnionego w dziejach zadania.  
Zaiste, w najmniejszej części swojej było ono zadaniem  
pomyślności i miłych wczasów. Naród nasz w wiekach mi-  
nionych mógł na prawdę powiedzieć o sobie jak jego het-  
man: „Nie z roli ja ani z soli, ale z tego co mnie boli  
urostłem.“ Mniej więc o chlebie i o soli — a bogdaj kilka  
słów o cierpieniu i poświęceniu.



## P R Z Y P I S K I.

- 1) Inwentarz dokumentów w archiwie królewskim w Krakowie przez Marcina Kromera sporządzony. Rękop. w zakładzie im. Ossolińskich k. 102.
- 2) Tomasz Święcki, opis starożytnej Polski. Warszawa 1828, II str. 48, w artykule Trembowla i jej okolice.
- 3) Wiszniewski historia literatury polskiej I. str. 49. W spisie zatraczonych rękopisów historycznych między innemi „Ambrosii fratris, orti de Moravia, ordinis S. Augustini, poetae laureati regis Franciae, Epistola qua continetur, quomodo rex Poloniae est captus, dum pugnabat cum Turcis a 1444.” Niedawno temu znalazł się podobno ten rękopis w Berlinie, i wydzie zapewne z druku.
- 4) D. Zubrzycki Kronika miasta Lwowa str. 105, pod r. 1444.
- 5) B. Paprocki ogród królewski k. 171 — por. Jungmann historia literatury czeskiej, w Pradze 1825 roku, str. 97. Wzmianka o siedmdziesięciu latach pustelnika powinna była w każdym razie nie znaleźć wiary u Polaków. Lew z Rozmitalu odbył podróż swoją między rokiem 1465 a 1467, kiedy Władysław Warneńczyk urodzony według Długosza 21 października 1424, poległ w rozpoczętym właśnie 21 roku żywota, mógł liczyć dopiero lat 40.
- 6) Długosz Historia xięga XII kol. 812.
- 7) Żegota Pauli Starożytności galicyjskie str. 24.
- 8) S. Twardowski Przeważna Legacya j. o. xiążęcia Krzysztofa Zbarazkiego do Sułtana tureckiego Mustafy. Kraków 1639, str. 220.
- 9) Hammer, Geschichte des osmanischen Reiches, wydanie w 4 tomach 1834, Tom II. 208—254.
- 10) Długosz Historia xięga VII kol. 847.
- 11) Przyłęcki Sprawy Ukrainy 97. W Relacyi z r. 1629 „juki i więźnie gęsto rzucając, przednie tylko białogłowy co znaczniejsze unosząc.”
- 12) Ambroży Grabowski Starożytności historyczne I. 199.
- 13) Wójcicki Obrazy starodawne II. 68.
- 14) Zimorowicz Codex archivalis Leopoliensis. Rękop. Ossol. p. 32. Zubrzycki w swojej kronice Lwowa na str. 66 przytaczając tę wiadomość z Zimorowicza, zbija podanie o porywaniu dzieci przez Tatarów, a tymczasem w swojej własnej kronice na str. 263 podaje wiadomość o mnóstwie dzieci odbitych Tatarom r. 1624 i na kilkudziesięciu wozach do Lwowa odstawionych.

- 15) Wójcicki Obrazy starodawne I. 72.
- 16) Hammer II. 435.
- 17) Piasecki Chron. wydanie 1648 str. 351.
- 18) S. Twardowski Przeważna Legacya j. o. xiążęcia Krzysztofa Zbarazkiego do Sułtana tureckiego Mustafy str. 109.
- 19) Paprocki Herbarz, wydanie K. J. Turowskiego.
- 20) Żywot Tomasza Zamojskiego kanclerza w. kor. napisał Stanisław Żurkowski. Wydał Alexander Batowski z rękopismu w zbiorze Wiktora hr. Baworowskiego. Lwów 1860, str. 31. Hammer II. str. 752.
- 21) S. Twardowski — Władysław IV król polski i szwedzki — Leszno 1650 str. 247. „Gruby ten odszczepieniec..... Który (jako gdzieś w mojej Legacyi o tém) Baszą będąc Erzerumu“... Tenże, Przeważna Legacya j. o. xiążęcia K. Zbarazkiego do sułtana Mustafy str. 212—214. „Halli hasza.....  
Miał brańca na galerze, który wiele razy  
Pływał z nim po Egeo, imieniem Abazy.  
Rodem Rusnak, Włoszy mu Jazzo swoje dali  
A naszy po ruskoju Iwaszkiem go zwali“ itd. itd.  
Hammer Gesch. des. osm. Reiches. II. 705—828. III. 31—141.
- 22) S. Przyłęcki Pamiętniki o Koniecpolskich str. 171—175.
- 23) Bielskiego Kronika Polska pod r. 1563.
- 24) Potocki, Pauli Opera omnia str. 267.
- 25) Niesiecki wyd. lipskie tom V. str. 231—235. Przyłęcki Pamiętniki o Koniecpolskich 176.
- 26) Przyłęcki Pamiętniki o Koniecpolskich 175.
- 27) Sękowski Collectanea z Dziejopisów tureckich I. 201. Rudawski Historiarum libri IX, str. 69.
- 28) Twardowski Przeważna Legacya X. Krzysztofa Zbarazkiego. Kraków 1639 str. 227.
- 29) Przyłęcki Pamiętniki o Koniecpolskich 176.
- 30) Pogrom Tatarski albo relacya krótka zwycięztwa nad Tatarami w r. 1624.
- 31) Zubrzycki Kronika miasta Lwowa, 263.
- 32) Hammer III. 349, 517.
- 33) Pamiętniki xięcia Albrechta Radziwiłła I. 180. Hammer III. 130.
- 34) Kognowicki Życia Sapiechów III. 110 z przepolszczeniem makaronizmów.
- 35) Ricot Monarchija turecka, Słuck 1678 str. 75.
- 36) Xiądz Sadok Barącz Pamiętniki Żółkwi str. 21.
- 37) Kochowski, Annalium Climacter. III. 257. Historya panowania Jana Kazimierza z klimakterów Wespazyana Kochowskiego. Poznań 1859. III. 89.
- 38) Kochowski Annalium Climacter, I. str. 407.
- 39) Xiądz Sadok Barącz Pamiętnik Dziejów Polskich. Lwów 1855 str. 285.

- 40) Kochowski Annulium Clim. III. 258. Historya panowania Jana Kazimierza z klimakterów Wespazyana Kochowskiego. III. 89.
- 41) Kochowski Annalium Poloniae Clim. I. 399, pod r. 1653.
- 42) A. Grabowski Ojczyście Spominki II. 174.
- 43) Załuski Epistolae historico-familiares I. 399—403. Dyaryusz Expedycyi 1671. W Grabowskiego ojczystych Spominkach I. 190.
- 44) Rozmowy zmarłych Polaków, wydanie K. J. Turowskiego str. 36.
- 45) Szkice historyczne II. 192—194.
- 46) Ricot Monarchija turecka str. 102.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



## SPIS RZECZY.

---

|                                                |        |
|------------------------------------------------|--------|
| Wojna o cześć kobiety . . . . .                | str. 1 |
| Matka Jagiellonów . . . . .                    | ,, 39  |
| Jadwiga Jagiellonka, księżna bawarska. . . . . | ,, 73  |
| Zwycięztwo r. 1675 pode Lwowem . . . . .       | ,, 105 |
| OO. Trynitarze. . . . .                        | ,, 121 |
| Kopia hussarska. . . . .                       | ,, 153 |
| O myszach króla Popiela. . . . .               | ,, 165 |
| O „łaźni“ Bolesława Chrobrego. . . . .         | ,, 199 |
| Nastanie szlachty i herbów w Polsce. . . . .   | ,, 215 |
| I. Lech, lecha, szlachta . . . . .             | ,, 256 |
| II. Rodowość starogermańska . . . . .          | ,, 258 |
| III. Pieśń o sądzie Libuszy . . . . .          | ,, 260 |
| Słowianie w Andaluzyi. . . . .                 | ,, 271 |
| Zdobycze pluga polskiego. . . . .              | ,, 325 |
| Powieść o niewoli na Wschodzie . . . . .       | ,, 343 |

